

Iris Murdoch

Henryk i Kato



ŚWIAT KSIĄŻKI

Iris Murdoch

Henryk i Kato

Z angielskiego przełożyła
Agnieszka Kreczmar



ŚWIAT KSIĄŻKI

Stephenowi Gardinerowi

Część pierwsza

PRAWA PRZEMIANY

Kato Forbes szedł mostem kolejowym Hungerford, który poprzednio przemierzył już trzy razy – raz z północy na południe, potem z południa na północ i znowu z północy na południe. Teraz powolnym krokiem zbliżał się jeszcze raz do środka mostu. Oddychał głęboko, świadomy głośnego kontrastu oddechu i uderzeń serca. Jak gdyby pod nerwowym przymusem wciągał powietrze zbyt długo, lekko sapiąc. W kieszeni płaszcz rewolwer w pochwie, ciężki i niezdamny, za każdym krokiem uderzał nieregularnie w jego udo.

Było po północy. Ostatni słuchacze koncertu w Royal Festival Hall minęli już Katona i poszli do domu. A jednak ku swemu utrapieniu ciągle jeszcze nie był na moście sam. Mgła, tak bardzo pożądana, wprowadzała go w błąd. Podniosła się z Tamizy lekkim ruchem i otoczyła go, mokra, szara i cienka jak tiul, a choć pozornie przezroczysta, tłumiała przybrzeżne światła po obu stronach rzeki i kroki postaci, które uparcie pojawiały się, aby przybrać nagle konkretną formę tuż przy jego boku, minąć go podejrzliwie i zniknąć w ciemności. A może były to wszystko wizje tego samego człowieka, jakiegoś agenta w cywilu, którego zadaniem było obserwować most?

Lekko ogrzane powietrze owej kwietniowej nocy niosło za sobą świeże podmuchy, woń morza, a może po prostu stary roślinny zapach rzeki, ożywiony daleką obecnością wiosennych drzew i kwiatów. Choć tego dnia prawie nie padało, wszystko było mokre. Pod stopami Katona asfalt się lepiał, a grube żelazne poręcze mostu pokryte były zimnym potem ciekącej wody. Szedł wąskim przejściem dla pieszych obok torów kolejowych, jedną ręką podtrzymując rewolwer, a zmarzniętymi i wilgotnymi palcami drugiej przesuwając po poręczu mostu. Mokra, płonąca od niepokoju twarz wycierał co chwila niezręcznie rękawem płaszcz. Za przegrodą, która oddzielała tory od przejścia dla pieszych, powoli turkocąc przesunął się pociąg, który właśnie opuścił stację Charing Cross; drżące światło wagonów rozjaśniło mgłę. Kato odwrócił głowę.

Ach, jaki ze mnie głupiec – powiedział do siebie, używając słów, którymi od czasu dzieciństwa posługiwał się już niezliczoną ilość razy. W tej chwili wydało mu się, że popełniał w życiu jeden błąd za drugim i że teraz, jako mężczyzna trzydziestoletni, zaczął pakować się w najgłupszy ze wszystkich. Pociąg przejechał. Jakaś wysoka postać ukazała się i minęła go przypatrując mu się z nateżeniem. Panowała dziwna napięta cisza, której nie maćił delikatny szum skąpego ruchu na nabrzeżu. Z oddali zahuczała smutno syrena mgłowa, potem zabrzmiała

znowu, jak prawdziwy głos nocy. Kato wiedział, że nie może po prostu zrezygnować i pójść do domu. Sam stworzył sobie klatkę z postanowień i dał się w nią złapać. Obawa, którą odczuwał równie intymnie jak podniecenie seksualne, zamieniła się w końcu w przymus działania.

Nie próbując nawet sprawdzić, czy kogoś nie ma w pobliżu, ukląkł mniej więcej w połowie mostu, dotykając kolanami chłodnej, błotnistej ziemi. Zaczął wyciągać pochwę rewolweru z kieszeni płaszcza, ale jednym rogiem zaczepił o podszewkę i klęczał tak, szarpiąc i prując materiał. Kiedy wreszcie udało mu się wyciągnąć rewolwer, znowu się zawahał, zastanawiając się, czy wyjąć broń z pochwy. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Czy pochwa nie będzie unosić się na wodzie? – zastanawiał się głupio. Wpatrywał się z uporem w dół, ale woda była niewidoczna. Dotknął policzkiem mokrego, chłodnego żelaza. Wreszcie wepchnął rewolwer pomiędzy sztachety, we mgłę, i rozluźnił palce. Zniknął natychmiast, cicho wchłonięty przez ciemność, jak gdyby delikatnie wyłuskany spomiędzy palców. Nie odezwał się żaden plusk. Kato wstał. Dotknął kieszeni, jakby nie wierząc, że pozbył się już tego ciężkiego przedmiotu. Zrobił parę kroków i obejrzał się. Chyba wpadł do rzeki – pomyślał. Nie mógł spaść nigdzie indziej.

Ruszył z powrotem w kierunku północnego brzegu. W miejscach, gdzie kolana dotykały ziemi, miał dwa chłodne placki. Ktoś zbliżył się do niego miękkimi, kleistymi krokami, zamajaczył i przeszedł obok. Kato zakaszlał raz, potem drugi, jak gdyby dla upewnienia siebie i tamtej osoby. Oddychał powoli i głęboko, energicznie wydmuchując powietrze we mgłę. Ukazały się światła jezdnii. Celowo zwalniając kroku, zszedł schodkami na nabrzeże. Stacja metra Charing Cross była zamknięta. Nie powinien oczywiście brać taksówki. Ruszył Northumberland Avenue, zapalając po drodze papierosa. Poczul się lepiej. Uporczywy strach zniknął i teraz wydał mu się całkiem irracjonalny. Podniecenie seksualne, rozproszone i słabe, działało już tylko pokrzepiająco, jak gdyby zażył jakiś środek na uspokojenie nerwów. Ach, jaki ze mnie głupiec, powiedział do siebie jeszcze raz; teraz jednak, mówiąc to, uśmiechał się chytrze w głębi duszy.

Mniej więcej o tej samej porze, kiedy Kato Forbes spacerował we mgle po moście Hungerford, Henryk Marshalson obudził się z krótkiej drzemki w potężnym odrzutowcu sunącym na wschód wysoko ponad Atlantykiem. Opuściwszy Nowy Jork we dnie, samolot wzniósł się wkrótce na wysokość

promiennego, różowo-błękitnego półmroku strato sfery. Teraz było prawie zupełnie ciemno.

Henryk przecknął się ze świadomością, że świat ma mu do zaoferowania coś nowego i wspaniałego. Jakiś nieoczekiwany cud wkroczył w jego życie. Na czym to polegało? Ach tak, jego brat Sandy nie żyje. Opierając się i rozprostowując wygodnie na siedzeniu, Henryk z radością poruszał palcami u nóg.

Ta wspaniała wiadomość dotarła do niego w Saint Louis, kiedy jechał parówką w barze O'Connora. Właśnie otworzył egzemplarz londyńskiego „Evening Standard”, który zabrał bezmyślnie z hallu małego hotelu, gdzie pozostawił go jakiś podróżny. Indywidualista Henryk unikał w Saint Louis znajomych uniwersyteckich, wybierając skromne życie hotelowe i spacerując tam i z powrotem między galeriami obrazów i zoo. Żując parówkę, otworzył gazetę i zaczął przeglądać wiadomości o strajkach, deficytach handlowych, rozgrywkach wewnątrz Partii Pracy, kłótniach o system oświatowy, nowe drogi, nowe lotniska. Żadnych interesujących morderstw. W jego ziemi ojczystej, którą opuścił osiem lat temu przekonany, że nigdy nie powróci, wszystko toczyło się jak zwykle. Nagle zamarł z otwartymi ustami, zmartwiały od szoku, zaczerwienił się, a potem zbladł. Wśród fali kropek krótką wzmianka tańczyła mu wariacko przed oczyma. *Znany kierowca wyścigowy, Aleksander Marshalson... zginął w katastrofie samochodowej...*

Henryk wstał na chwiejnych nogach, przyciskając gazetę do piersi. Nagle wydało mu się, że rozrzedzone powietrze nie nadaje się do oddychania. Wypadł na dwór i popędził do hotelu, dysząc z podniecenia. To, co przeczytał w gazecie, nie musiało być prawdą. O Boże, gdy by okazało się kłamstwem! Połączył się z Anglią. Oczywiście nie dzwonił do matki, zadzwonił do Merrimana, radcy prawnego rodziny. To była prawda. Robiono rozpaczliwe wysiłki, żeby go odnaleźć. Właśnie odbył się pogrzeb. Henryk odłożył słuchawkę i z ulgą padł na łóżko, śliniąc się obficie. To nic, że odziedziczył majątek. Ważne jest, że przeklęty Sandy znikł z tego świata.

Henryk, obecnie trzydziestodwuletni, po uzyskaniu przeciętnego dyplomu z historii nowożytnej w angielskim Cambridge, okres wygnania spędził w Ameryce. Przez trzy lata zabawiał się w Stanford doktoratem, później otrzymał niepewne stanowisko nauczyciela w małym college'u humanistycznym w Sperriton, Illinois. Nie zrobił świetnej kariery akademickiej. W Stanford starał się, najpierw ostrożnie, uchodzić za historyka sztuki, który to pomysł zadziwiłby pewnie jego nauczycieli z

Cambridge. W niezbyt wymagającym i pobłażliwym Sperriton, gdzie nikt wiele nie umiał i gdzie Henryk mógł robić, co mu się podoba, obrał sobie za temat wykładów „pięćdziesiąt wielkich obrazów historycznych”. Potem „pięćdziesiąt wielkich obrazów”. Wykłady były popularne i Henryk myślał, że jego wędrowki po sztuce na pewno przysłużą się młodzieży. Czy pozostałby w Sperriton, gdyby nie Russell i Bella Fischerowie? Nie był pewien; w każdym razie uniwersytety i tak nie prześcigały się w walce o niego. Sperriton leżało na uboczu, wśród łąnów ciągnących się całymi milami po równinie, gdzie na tle błękitu nieba można było najwyżej co jakiś czas zobaczyć silos zbożowy. Tu i ówdzie wśród zboża biegły szosy, po których Henryk, Russ i Bella czasami pędzili samochodem. Kiedyś dotarli tak aż do Meksyku.

Miejscową metropolią było dziwne, majestatyczne Saint Louis nad ruchliwą Missisipi. Miasto T. S. Eliota. Henryk, który nienawidził Nowego Jorku, uwielbiał Saint Louis. Sperriton było małe i odludne, Saint Louis było olbrzymie i odludne, i zagubiony Henryk rozkoszował się jego obłąkaną samotnością. Kochał się w jego podupadłym splendorze, wielkich, bogato zdobionych, zaniedbanych pałacach dziś już nie istniejącej burżuazji, bezużytecznym łuku ze stali, wysokim jak drapacz chmur, pod którym po stronie stanu Illinois rozpościerał się widok nędznych magazynów i bocznic kolejowych. Puste pałace nad ogromną odwieczną rzeką, jakież to imponujący obraz schyłku kapitalizmu. (Henryk nienawidził kapitalizmu. Nienawidził również socjalizmu). Russell i Bella chodzili na koncerty. (Teatr praktycznie nie istniał). Henryk nie dbał o te sprawy, po prostu włóczył się po mieście, próbując się w nim odnaleźć. Wreszcie trafił na ślady Maksa Beckmanna, któremu los, jeszcze dziwniejszy od losu Henryka, kazał spędzić ostatnie lata życia w Saint Louis. Kierownik katedry Henryka polecił mu napisać książkę, dowolną książkę. Henryk postanowił pisać o Beckmannie. Praca nad książką zajmie Henrykowi dużo czasu. Russ i Bella śmieli się z tego.

W rzeczywistości po dłuższej serii wykładów na temat pięćdziesięciu wielkich obrazów Henryk zaczął nienawidzić sztuki. A może przedmiotem jego nienawiści była po prostu stara, pompatyczna i zagracona tradycja europejska. Masowa produkcja, zanim jeszcze powstały fabryki. Na świecie było za dużo przedmiotów. Człowiek wynalazł czas, Bóg wynalazł przestrzeń – mówił Beckmann. Henryk chciał powrócić do przestrzeni, zabawne, że tego również pragnął Maks, choć z takim zapalem wypełniał swoje płótna obrazami męki. Jedyne spokojną rzeczą w sztuce Maksa był sam Maks. Jakżeż Henryk zazdrościł mu wielkiej pewności siebie, szczęśliwego i zniewalającego egoizmu. Jakie to cudowne móc spoglądać

na siebie w lustrze i zamieniać się w coś trwałego, znaczącego i monumentalnego: przywódcę rewolucji, bohatera eposu, marynarza, rogarza, króla, błazna. Obrazy kobiet z rybami to inna sprawa. Ale ta szeroka, spokojna, okrągła twarz miała wielkie znaczenie w życiu Henryka. Dwukrotnie żonaty, wędrujący podziemnymi szlakami męskiego mistycyzmu, Beckmann łączył Signorellego z Grünewaldem, Rembrandta z Cézanne'em. Pewnego dnia Henryk wszystko to naszkicuje, tylko na razie, pochłonięty miłością i zazdrością, ciągle odkładał rozpoczęcie pracy.

Henryk często myślał o sobie jako o nieudanym artyście. Dlaczego nieudanym, na Boga, pytała Bella, kiedy nawet nie spróbowałaś! Brał wraz z Bellą lekcje malarstwa, ale ze skowytem wściekłości prędko je rzucił. Bella z zapalem dalej malowała źle. Henryk wyniośle stwierdził, że odpowiada mu bardziej *tabula rasa* białego płótna. Jego własną *tabula rasa* była zapewne Ameryka, od której początkowo oczekiwał wszelkiego rodzaju przygód i atrakcji. Gdzieś istniało życie bohaterskie i odczuwał, że powinno stać się jego udziałem. Wyobrażał sobie, jak zagłębia się w przerażający świat arlekinów Maksa, pełen skrajnych sytuacji i podejrzanych afer, które na jakiejś dziwnej zasadzie toczyły się w cyrkach i nocnych lokalach. Oczywiście Maks miał swoje prawdziwe koszmary: hitlerowców i wojnę dziewięćset czternastego roku rysowaną ołówkiem bez użycia farb. Oczywiście gdzieś była Ameryka, gdzie coś się działo, ale jakoś sam Henryk nie miał szczęścia do mocnych wrażeń i stwierdzał ze smutkiem, że jego życie jest pozbawione napięcia. Sam poruszał się po rozległych, swobodnych koleinach ciszy i spokoju. Jego Ameryka była słabym trunkiem. Oczekiwał wielkiej miłości, której nie przeżył w Anglii; ale rozsądne i higieniczne dziewczęta z miasteczka uniwersyteckiego, jego uczennice, dla których był komiczny i zbyt stary, napępniały go rozpaczą i przerażeniem. W Stanford przeżył kilka nie dokończonych, żalonych romansów. W Sperriton spotkał Russa i Bellę. Kiedy wreszcie poszedł do łóżka z Bellą, Russell doskonale o tym wiedział i oboje przedyskutowali to ze swoim psychoanalitykiem. Bella chciała, aby Henryk także poddał się analizie, ale on nie chciał się zgodzić. Pogarda dla analizy była jednym z jego małych angielskich sztandarów, które od czasu do czasu rozpościerał.

Henryk długo medytował nad tym, co uznał za „wielki chłód amerykański”, i nad tym, dlaczego czuł się ciągle tak obco w swojej przybranej ojczyźnie. Zarówno przenośnie, jak dosłownie odczuwał brak zapachu. Zarówno osoba, jak i ubranie Henryka miały zapach. Bella mówiła, że go lubi. (Russell nie miał zapachu). Henryk już dawno, czasami nawet podejrzewał, że zbyt szybko, pogodził się z tym, że zdolności jego są skromne, a możliwości ograniczone. Swój charakter i model swojego życia

traktował jako rzecz oczywistą. Oni (Russ, Bella, Amerykanie) najwyraźniej nie umieli pogodzić się ze swoją sytuacją i narzucali sobie reżim ciągłych zmian, bezustannie pytając samych siebie: czy rozwijam się, czy odnoszę sukcesy, czy się spełniam, czy jestem dość dobry? Fakt, że niczego nie można przewidzieć, przyjmowali jako prawo, a wysiłek woli jako obowiązek. Psychoanaliza, która teoretycznie miała wywołać pokorną świadomość własnych ograniczeń, w tym bohaterskim kraju, jak się Henrykowi zdawało, rozpętywała tylko niespokojne, nerwowe pragnienie zmiany i postępu. Obserwował to z przerażeniem, jak bezczynny niewolnik przyglądający się walce tytanów. Nie potrafił określić, czy ta wyniosła niechęć do poddania się jakimkolwiek definicjom była czymś dobrym, pewnego rodzaju niewinnością, czy też czymś złym. Ponieważ nie mógł myśleć o sobie dobrze, sądził, że powstrzymywanie się od ocen musi być cudowne, i ów rozkoszny brak stabilności stał się dla niego przedmiotem podziwu, choć wiedział, że nigdy nie będzie jego udziałem. Po uporządkowanym, pełnym daremnych pragnień dzieciństwie, typowym dla angielskiej burżuazji, nie mógł, wstępując w wiek średni, uważać, że wszystko jest jeszcze możliwe. Nie miał do siebie zaufania. Myślał o sobie jako o mężczyźnie demonicznym, ale nie udało mu się zrealizować tej koncepcji. Nieudany demon, byłoby w tym coś przekornego; ale nawet tę przekorę hamowało jego głębokie poczucie ograniczenia.

W istocie emigrant Henryk urządził się całkiem dobrze. W Ameryce nie można było się ukryć, więc przestał się ukrywać. Zaprzyjaźnił się z niezmiernie miłymi Fischerami, znajdując to, czego nigdy nie spodziewał się już znaleźć – dom na łonie ich żydostwa, ich potężnej, inteligentnej amerykańskiej niewinności. Ostrożnie i powoli rozplątywali go, rozpakowując jak chińską porcelanę. Jego romans z Bellą, teraz już zakończony i zapomniany, nie potargał niczych piórek prócz jego własnych. Tak jak przewidzieli, zbliżył go tylko jeszcze bardziej do nich obojga. Henryk doszedł do wniosku i powiedział im o tym, że teraz byłby całkiem szczęśliwy, gdyby mógł spędzić resztę życia z nimi, studiując Amerykę przy ich pomocy. Oczywiście (byli bezdzietni) przyjęli Henryka, zamieniając go w swoje „dziecko”. Sugerowali nawet, aby zamieszkał z nimi, ale Henryk wolał trzymać się swojego małego drewnianego domku i skromniutkiej niezależności, mimo iż z Fischerami spędzał więcej czasu niż u siebie. Poprzez nich ponawiały inne przyjaźnie, dzięki nim brał udział w życiu Ameryki. Oboje wykładali w college’u, Russell filozofię, Bella socjologię. Pragnęli przede wszystkim doskonalić się od strony duchowej, natomiast na swoją karierę akademicką zapatrywali się bardziej realistycznie. Nie opuszczało ich wielokrotnie analizowane

marzenie o tym, żeby dostać się na „wybrzeże”, to znaczy do Kalifornii. Kiedyś Russell o mało nie otrzymał pracy w Santa Barbara. Oczywiście nie mogli jechać, dopóki nie dostaną pracy wszyscy troje. Niestety żadne z nich nie spełniało stawianych tam wymagań.

Pożegnanie z Fischerami było ogromnie bolesne, choć oczywiście niedługo miał powrócić. – Nie martw się, stary, do świąt będziesz miał to wszystko za sobą – powiedział Russell do Henryka na odjeźdźnym. – Do świąt! – wykrzyknęła Bella. Ależ on będzie tu z powrotem za dwa tygodnie, nie potrafi bez nas żyć!

Dyskutowano na temat przygód, jakie czekają go w Anglii.

– Jeśli się w kimś zakocha, to w jakiejś przechodzonej dziwce – stwierdziła Bella.

– Podobnej do ciebie, kochanie – odparł Henryk miękko. Zgodzili się, że to nieprawdopodobne. Nieśmiały Henryk otrząsał się na myśl o niewybrednych lub pospiesznych przygodach miłosnych. Jedną z rzeczy, które zawdzięczał Belli, było uczucie, że w jakimś sensie przeszedł już „to wszystko” i wyszedł z tego czysty. W końcu cóż wiedział o kobietach? To, czego nauczyła go pulchna, duża i głośna, ciemnooka Bella; był jej uczniem, jej dziełem, zapewne jej własnością.

Henryk zdjął zegarek i przesunął wskazówki na czas londyński. Połowa drogi. Leciutki dreszcz uzmysłowił mu stopniowe oddalanie się Ameryki. Nie myśląc o Anglii ani o matce, nalał sobie pospiesznie martini z pierśiówki, w którą przezornie zaopatrzyła go Bella. Zapewne jest teraz bogatym człowiekiem. Oczywiście w Stanach bynajmniej nie był biedny, chyba tylko w tym sensie, że świadomie starał się przystosować do ubóstwa. Jego ojciec, surowy zwolennik praw pierworództwa, pozostawił wszystko starszemu synowi Sandy’emu; wszystko, to znaczy, prócz pewnej sumy pieniędzy, nie oszałamiającej, ale nie do pogardzenia, którą Henryk, uciekając, pozostawił nietkniętą w londyńskim banku. Czasami, prowadząc oszczędne życie z Russem i Bellą, myślał o tym, by ściągnąć całą sumę i szybko przepuścić ją na życie hulaszczcze, tylko jakoś nigdy nie umiał prowadzić takiego życia. Nie potrafił wydawać pieniędzy na rzeczy kosztowne, takie jak dziewczęta, rozrywki, *objets d’art*. Jeśli trzeba było za nie płacić, nie potrzebował ich. Nawet róg obfitości amerykańskich supermarketów przyprawiał go tylko o mdłości. Nigdy nie wspomniał o tych pieniądzach Fischerom. Naturalnie już przy pierwszym spotkaniu z Bellą na bankiecie wydziału opowiedział jej o Sandym i ona szybko rozwinęła swoją klasyczną teorię jego dzieciństwa. Tylko że oczywiście

wszystko było inaczej, zupełnie inaczej, a prawda nie nadawała się do opowiedzenia.

Ojciec Henryka, Burke Marshalson, umarł, kiedy Henryk był małym chłopcem. Właściwie powinien nosić tytuł szlachecki, a może lordowski, ale niestety w rodzinie tej nie było tytułów. Istniała natomiast legenda „wielkości”, nie oparta na konkretnych faktach, którą Henryk brzydził się do głębi. Burke Marshalson spędził życie, próbując gospodarować w majątku, który nieubłagane władze ciągle zmniejszały. Jego żona Gerda, owdowiała w młodym wieku, dbała o legendę i robiła, co mogła, z pozostawionymi pieniędzmi. Sandy, starszy z dwóch synów, wcześniej uwierzył, że jest kimś ważnym, w czym utwierdzali go nadskakujący krewni oraz służba. Jeszcze jako dziecko odziedziczył dwór Laxlinden, park i majątek ziemski wraz ze znacznymi sumami koniecznymi do ich „utrzymania” i przekazania w odpowiednim czasie własnemu synowi. Henryk, któremu prędko dano do zrozumienia, że Sandy jest właścicielem wszystkiego, włącznie z ziemią, po której łaskawie pozwalano mu chodzić, miał zwyczaj modlić się codziennie o śmierć brata. Sandy zawsze robił wrażenie zdolniejszego, choć studiował tylko inżynierię, a nawet w tym nie wytrwał długo. Miał osobowość, podczas gdy wszystkie zalety Henryka nie składały się na żadną wiarygodną postać. Sandy traktował Henryka protekcjonalnie, śmiał się z niego i nazywał „Bączkiem” lub krótko „Bąkiem”. Nigdy nawet nie zauważył jego nienawiści. Do Ameryki przesyłał mu kartki świąteczne, a nawet urodzinowe. Wszyscy chcieli być i prawdopodobnie byli dobrzy dla Henryka. Po prostu urodził się jako istota odrobinę nierealna i drugoplanowa. „Mały jest wątlym dzieckiem” – słyszał jak matka porównywała go z Sandym – i bystry Henryk nauczył się nowego słowa.

A teraz przystojny, niemal dwumetrowego wzrostu Sandy zginął, nie zdążywszy się ożenić i wyprodukować upragnionego potomka. Dziedzicem został nie dorównujący mu pod żadnym względem Henryk, który teraz wracał do tego wszystkiego, do starodawnej, klaustrofobicznej, złej, zagraconej Europy, dziwacznej małej Anglii oraz pięknego i strasznego Laxlinden i północnej poświaty nad łąkami. I do matki, z którą nie widział się od czasu, gdy pięć lat temu przyjechała do Nowego Jorku w towarzystwie tego pochlebcy i darmozjada, Lucjusza Lamba. (Oczywiście nietaktowny Henryk nie powstrzymał się od zapytania, czy opłaciła jego przejazd). Henryk miał nadzieję, że pochlebca Lamb zdążył już umrzeć lub zniknąć. Zastanawiał się, jak to wszystko będzie wyglądało. Czy nareszcie w jego życiu zdarzy się coś ciekawego? Czy zostanie wezwany do podjęcia wielkich, zmieniających świat decyzji? Czy będzie do nich zdolny? Russell

powiedział mu kiedyś, że wolna wola i zależność przyczynowa nie są ze sobą sprzeczne. Henryk nie rozumiał. A może wszystko okaże się tak nieistotne jak sen, z którego wkrótce obudzi się bezpiecznie w swoim małym białym domku w Sperriton na dźwięk telefonu i świeżego głosu Belli, która jak zwykle wcześniej wstała? Czy tam w Anglii czekają na niego jacyś ludzie? Czy jest tam ktoś, kogo naprawdę pragnąłby zobaczyć? No cóż, z prawdziwą przyjemnością zobaczyłby się z Katonem Forbesem; przy następnym martini zastanawiał się nad jego losem. Samolot, drżąc, sunął naprzód. Pijany i wyczerpany uczuciowo Henryk znowu zapadł w sen.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Kato Forbes spacerował po moście Hungerford, a Henryk Marshalson budził się z pierwszego snu w odrzutowcu wysoko ponad Atlantykiem, Gerda Marshalson i Lucjusz Lamb konferowali w bibliotece dworu Laxlinden.

– Na pewno nie będzie nic zmieniał – powiedział Lucjusz.

– Nie wiem – odparła Gerda.

Chodziła w tę i z powrotem. Lucjusz rozparł się wygodnie na kanapie koło niedawno zainstalowanego telewizora.

Długi pokój biblioteczny miał trzy wysokie okna, teraz ocienione zasłonami z aksamitu. Jedną ścianę pokrywał gobelin flamandzki z końca siedemnastego wieku, na którym Atena chwyta za włosy Achillesa. Zarówno bogini, jak i bohater występowali w dekoracyjnym otoczeniu zielonej roślinności znad Amazonki. Nie widać było Agamemnona ani jego towarzyszy, ale trzy kremowe wieżyczki wznoszące się w prawym górnym rogu nad ogromnymi liśćmi, na tle dziwnie promiennego szarobłękitnego nieba, symbolizowały pobliską Troję. Wzdłuż pozostałych ścian ciągnęły się półki z dziedzicznym księgozbiorem Marshalsonów; były to głównie książki historyczne, biograficzne oraz standardowe komplety klasyków literatury, w większości oprawione na nowo w jednakową złocistą skórę. Od wyjazdu Henryka książki te stały nie tknięte przez nikogo, jeśli nie liczyć ściereczki od kurzu w ręku Rhody. Na półkach tuż pod sufitem ustawiono popiersia rzymskich cesarzy. Nikt ich nie odkurzał, ale i tak na szczęście były czarne.

Jeden kąt pokoju oświetlały dwie lampy w abażurach, przerobione z wielkich wazonów, a na wysokim kominku, wyrzeźbionym przez ucznia Grinlinga Gibbonsa, paliły się jasno polana drew, które Gerda mocnym pchnięciem małej stopy niedawno poprawiła w palenisku. W niebieskiej kryształowej wazie obok jednej z lamp stał wielki pęk białych narcyzów;

delikatna woń rozchodziła się po pokoju wraz z ciepłem bijącym z kominka.

Lucjusz był bardzo zmęczony i chciał już iść do łóżka. Bolały go plecy, a nowa proteza, której nie śmiał wyjąć w obecności Gerdy, niezdolnie zapychała mu usta. Jakieś swędzenie rozchodziło mu się po całym ciele, nie pozwalając na przyjęcie wygodnej pozycji. Drzemiący ból kłębił się we wszystkich zakamarkach ciała. Jakżeż nienawidził starości. Nawet whisky już mu nie smakowała. Chciał się podrapać i ziewnąć, ale nie mógł sobie pozwolić ani na jedno, ani na drugie. W towarzystwie nigdy nie nosił okularów i teraz jak przez mgłę patrzył na twarz Gerdy, której od paru godzin nie zamykały się usta.

Gerda miała na sobie jedną z tych długich, luźnych sukien, zbyt eleganckich, aby można je było nazywać szlafrokami, które teraz często wkładała wieczorem. Lucjusz nie był pewny, czy ten nowy styl reprezentować ma nieskrępowaną intymność, czy po prostu ustępstwo na rzecz komfortu. Gerda nigdy nie mówiła o swoim zdrowiu i na ogół przedkładała surową koncepcję stylu ponad zwykłą wygodę. Dziś wieczorem miała na sobie suknię z lekkiej wełny, w niebiesko-zieloną kratkę, zapiętą na guziczki wysoko pod szyją i spływającą aż na dywan. Czy pod spodem była rozebrana? Proste ciemnobrazowe włosy, szesane z twarzy do tyłu, spięła na karku wielką szylkretową klamrą. Kiedy je rozpuszczała, ledwo zakrywały jej ramiona. Lucjusz zastanawiał się, czy są farbowane. Żył wśród tajemnic. Gerda, zwłaszcza w tym świetle, umiała jeszcze wyglądać niewiarygodnie młodo. Oczywiście uroda jej lekko zwiędła i rysy stały się mniej doskonałe. Miała bladą, dość szeroką twarz i nos, który z wiekiem zdawał się powiększać, wskutek czego nozdrza stały się bardziej wyraziste. Ciemnobrazowe oczy jarzyły się – jak u Sandy’ego i Henryka. Nie była ani niska, ani wysoka, wyraźnie tylko pulchna. Ciągle jeszcze miała w sobie władczość kobiety ongiś pięknej. Patrząc na nią, jak przechadza się i obraca, rozrzucając fałdy długiej niebiesko-zielonej spódnicy, pomyślał, że cokolwiek by o niej powiedzieć, jest kobietą w każdym calu. Jej staromodna kokieteria, tak naturalna, zamieniła się w szczególny wdzięk.

Lucjusz miał sześćdziesiąt sześć lat. Minęła już cała epoka, odkąd został niewolnikiem płomiennookiej Gerdy. Kiedy ją poznał, była żoną wysokiego, rudego Burke’a i nosiła na ręku żwawie rude niemowlę. Lucjusz zakochał się, nie zamierzał jednak zamieniać tego romansu w sprawę całego swojego życia. Jak to się stało? Jego bezowocna namiętność zamieniła się w przedmiot żartów całej rodziny. Gerda traktowała go z pobłażliwą poufałością. (W każdym razie angielscy intelektualiści to

dżentelmeni – mówiła). Nikt się Lucjusza nie obawiał. Burke, który nie wiadomo dlaczego był zdania, że Lucjusz jest spostrzegawczy, z wyższością klepał go po plecach, prosząc, aby czuł się we dworze Laxlinden jak u siebie w domu. Ani Burke, ani Lucjusz nawet sobie wtedy nie wyobrażali, jak dosłownie spełni się kiedyś to życzenie.

Lucjusz był wtedy, nieomal z urzędu, pięknym młodym mężczyzną. W czasach, gdy nikt się tak nie cesał, nosił długie, rozwiane jasnobrązowe włosy, jako dumną oznakę interesującej odmienności. Świadomy swojej wartości, odczuwał, że ta odmienność to po prostu geniusz. Jakżeż głęboko gardził Burke'em, gardził nawet swoim młodszym kolegą uniwersyteckim, Johnem Forbesem, dzięki któremu poznał Burke'a. W owym czasie cały Londyn zachwycił się Lucjuszem; dopiero w Laxlinden okazało się, że nie spełnił nadziei. Należał do modnego środowiska literackiego i drukował wiersze, zanim jeszcze przekroczył dwudziestkę. Kochało się w nim wielu znanych ludzi. Był dzieckiem starych rodziców. Byli biedni, ale posłali go do dobrej szkoły. Żyli dość długo, aby doczekać się tomiku jego wierszy, a także wydanej następnie powieści. Miał młodszą siostrę, zupełnie jednak niewykształconą, z którą niewiele miał wspólnego. Kierując się idealizmem, który był jedną z jego zarozumiałych ambicji, wcześniej wstąpił do partii komunistycznej. Zachowywał się dzielnie i stosunkowo uczciwie, jak później osądził, w ciągu długich lat rozczarowań. Może wstępując do partii popełnił błąd? Jakiś błąd popełnił. Może powinien był siedzieć spokojnie i wypracować sobie to wszystko jak inni, *a priori*. Później wydało mu się to oczywiste. Ile młodych sił strawił na bezowocnych sporach, którym teraz nieubłagany i dla Lucjusza zawsze zaskakujący bieg historii odebrał wszelką wagę.

Od wielu lat żył w ten dziwny sposób z Gerdą. Oczywiście znacznie wcześniej, po śmierci Burke'a, poprosił ją o rękę. Czy na pewno? Nie mógł sobie teraz przypomnieć swoich sformułowań. Odmówiła. Powrócił do Londynu. Pracował jako dziennikarz, potem w wydawnictwie, oszczędzając na zabezpieczenie chwil wolności. Pierwsza powieść miała wielkie powodzenie, druga nie miała, a trzeciej nigdy nie napisał. Pisał za to literackie listy miłosne do Gerdy. Zrzucił poezję i zaczął pracować nad dużą książką o marksizmie. Odwiedzał Gerdę regularnie i powiedział jej, że jest jedyną kobietą, którą naprawdę kochał, co nie całkiem było prawdą. Jego opowieści o książce robiły na niej wielkie wrażenie. Pewnego dnia zaproponowała, żeby przyjechał i zamieszkał we dworze, dopóki jej nie ukończy. Książka dotychczas nie została ukończona. Tak więc w ten dziwny sposób Gerda stała się w końcu jego losem. Czy był zadowolony? Czy ona była zadowolona? Ani razu nie poszedł z nią do łóżka. Ale

wydawało się, że ona go potrzebuje i pragnie, żeby pozostał. Zapewne z biegiem lat każda kobieta zaczyna cenić niewolniczą wierność. Przez pewien czas oczekiwała, że wiele się od niego nauczy. Mieli prowadzić dyskusje. Kiedyś dał jej spis książek i nic więcej z tego nie wynikło. Nadal łączyły ich bliskie, lecz dość konwencjonalne stosunki.

A on naprawdę jeszcze teraz był piękny, jak sądził i jak często się pocieszał, patrząc w lustro. Rozwiane białe włosy, roziskrzone oczy i twarz prawie bez zmarszczek nadawały mu wygląd jakiegoś zwariowanego mędrca i udając ekscentryka uchodził za niesłuchanie mądrego, a jednocześnie budził śmiech młodzieży. Szkoda, że zęby były sztuczne, ale jeśli uśmiechał się ostrożnie, nie rzucały się w oczy. Żył rozmowami, ciekawością, alkoholem i niepowodzeniami swoich przyjaciół. Tylko ostatnio zaczął odczuwać samotność i nie mógł uwierzyć, że w sześćdziesiątym szóstym roku życia osiągnął tak mało.

– Czy myślisz, że zostanie? – zapytała Gerda.

– Nie sędzę.

– Bo nie próbujesz myśleć.

– Skąd mam wiedzieć, co zrobi?

– Czy zostanie w Anglii, czy zostanie tutaj?

– Nie sędzę, żeby miał zostać w tych przeklętych nudach. To znaczy...

– Myślisz, że będzie chciał coś zmienić?

– Nie, dlaczego? Dowie się od Merrimana, co jest w szkatule, i poleci z powrotem do Ameryki.

– Żałuję, żeśmy sprzedali Dębową Łakę.

– Cóż, Sandy'emu tak się spieszyło do tej łodzi...

– Bellamy mówi, że John Forbes chce się tam budować.

– Nie przypuszczam, żeby Henryk mógł pamiętać Dębową Łakę.

– Ciekawe, czy zamieszka w Londynie?

– Kochanie, przecież wcale go nie znamy, nie możemy wiedzieć, co zrobi, i on sam pewnie nie wie.

– Ja nie mogę powiedzieć, że go nie znam, jest moim synem. Lucjusz milczał, ssąc zęby.

– Dlaczego nic nie mówisz? Przestań się wiercić.

– No, oczywiście, jest twoim synem. Musimy być dla niego bardzo mili.

– Dlaczego o tym mówisz?

– Och, nie wiem, to znaczy, skoro wraca i tak długo go nie było...

– Co innego miałaś na myśli.

– Ależ nie.

– Czy uważasz, że byłam dla niego niemila?

– Nie!

– Albo niesprawiedliwa?

– Nie! Gerdo, nie wyobrażaj sobie, że zawsze coś mam na myśli.

– A dlaczego?

– Chodzi mi o to, że ty ciągle wyobrażasz sobie, że on przyjedzie z jakimś planem. A będzie inaczej. To my będziemy musieli ułożyć plan. To znaczy – ty. Henryk nigdy nie był zdolny do żadnej decyzji. Kiedy wróci, zobaczysz, że jest tak samo nieśmiały, niezgrabny, łagodny i zagubiony jak dawniej.

– Już taki nie jest. A w Nowym Jorku nie był dla ciebie zbyt uprzejmy.

– Był zazdrosny.

– Och, nie mów takich głupstw. Trzeba było pojechać do Sperriton. Teraz to rozumiem. Powinnam była zobaczyć, jak on żyje.

– Przecież cię nie zapraszał.

– Odradziłeś mi ten wyjazd.

– Nieprawda! Nigdy niczego ci nie odradzałem!

– Ciekawam, czy ma tam jakąś kobietę. Może dowiemy się, że jest żonaty.

– Może.

– Jakoś nie starasz się mi pomóc. Może lepiej pójdziesz spać?

– Rzeczywiście jestem zmęczony.

– Zezujesz. To od whisky. Nie możesz powstrzymać się od następnej? Wiesz, ile to teraz kosztuje.

– Nie miałem wcale zamiaru pić.

– Nie wiem, jak przeżyję najbliższy tydzień, zanim przyjedzie.
– Przeżyjesz. Tylko przestań medytować, nic dziwnego, że dostaje zeza.

– W której sypialni go umieścimy?

– Oczywiście w jego własnej.

– Jest taka mała.

– Jak mu się nie spodoba, może się przenieść. Ostatecznie on jest teraz właścicielem!

– Myślę, że trzeba mu dać pokój czereśniowy, bo tam działa grzejnik. U „królowej Anny” jest zimno. O, Rhoda, dziękuję ci, kochanie...

Pokojówka o ptasiej twarzy weszła cicho, bez pukania, tak jak dawniej, kiedy wносиła jeszcze lampy naftowe, zanim do dworu dotarła elektryczność. Poruszała się po pokoju w swym nieokreślonym mundurku i rękami w rękawiczkach sięgała wysoko do okien, żeby sprawdzić, czy są dobrze zamknięte. Był to jej codzienny wieczorny obowiązek. Bez względu na to, czy ktoś był w pokoju, wchodziła bez pukania zawsze o tej samej porze.

– Myślę, Rhodo, że damy panu Henrykowi pokój czereśniowy.

Rhoda coś wymamrotała.

– Rozumiesz, on nie przyjeżdża na tydzień. Rhoda znowu coś mruknęła.

– No więc przygotuj pokój czereśniowy i sprawdź, czy grzejnik działa. Dobranoc, Rhodo.

Drzwi się zamknęły.

– Co ona powiedziała?

Rhode, która miała trudności z wymową, rozumiała tylko Gerda.

– Że przygotowała już łóżko w dawnym pokoju Henryka. Lucjusz skorzystał ze sposobności, żeby się podnieść.

– Chyba pójdę już spać, kochanie. Jestem kompletnie sflaczały.

– Zastanawiam się, czy powinnam...

– Och, przestań się zastanawiać. To nie ma znaczenia, szczegóły nie mają znaczenia. Kiedy Henryk przyjedzie, będzie pragnął tylko jednego.

– Czego?

– Twojej miłości.

Zapadło milczenie. Kiedy Rhoda weszła, Gerda przestała spacerować po pokoju i teraz stała przy kominku, jedną ręką dotykając ciepłego, wypolerowanego drewna obudowy. Nagły blask oświetlił jej twarz i Lucjusz dostrzegł łzy.

– Ach, kochanie...

– Jak możesz być tak okrutny?

– Nie rozumiem.

– Idź do łóżka.

– Gerdo, nie gniewaj się, wiesz, że nie mogę zasnąć, kiedy się gniewasz. Nigdy nie mogę spać, kiedy...

– Nie gniewam się. Po prostu idź już. Jest późno.

– Wybacz mi, Gerdo, kochanie, ty też nie siedź długo i... wiem, co myślisz... więc idź już do łóżka, moja droga.

– Tak, tak. Dobranoc.

– Nie płacz.

– Dobrej nocy.

Lucjusz szedł wolno schodami na górę, tak jak miał zwyczaj chodzić ze świecą w rękę w dawnych czasach, kiedy żył Burke i kiedy on bywał we dworze gościem. Czy nie był tu dalej gościem? Odrobinę zdyszany, przeszedł po skrzypiących deskach do swojej sypialni. Ten duży narożny pokój, służący mu za gabinet, znajdował się na drugim piętrze, po tej samej stronie domu co salon, i z jednej strony miał widok na jezioro, a z drugiej na bukowy las, o którym zwykle mówiono „wysokie drzewa”. Pokój był stosunkowo pusty, ponieważ Lucjusz, który większą część życia spędził w małych pokoikach, cieszył się tym, że jest wielki jak stodoła. Lubił czuć się swobodnie, spacerując po pokoju jakby zagubiony. Leżące na wielkiej otomanie poduszki świadczyły o jego ustępstwie wobec Gerdy i jej tendencji do upiększania wszystkiego. Czasami Rhoda wstawiała do pokoju kwiaty. Tego wieczoru na rzeźbionej dębowej komodzie stał brązowy gliniany garnek pełen dzikich hiacyntów. Przez okno, które właśnie zamknął, wpłynęło chłodne, pachnące ziemią kwietniowe powietrze. Grzejnik nie działał, ale w obliczu wielu innych niepowodzeń Lucjusz nie chciał nikomu o tym przypominać. Kanapę, jak każdego wieczoru od lat, zastał rozstawioną i równo posłaną, ale nie było w niej termoforu. Od końca marca termoforów nie używano.

Lucjusz usiadł na łóżku. Z przyjemnością posłuchałby teraz Bacha, ale było już zbyt późno. Dlaczego ta właśnie uwaga skłoniła Gerdę do płaczu? Nigdy nie potrafi jej zrozumieć. Jego okropnym błędem było, że nigdy siłą nie zaprowadził jej do łóżka. Czy teraz miało to jakieś znaczenie? Wiedział, że nie minął jeszcze jej nieopisany straszny żal po śmierci Sandy'ego, który teraz potrafiła już przed nim ukryć. Na początku zdawało mu się, że umrze z żalu, szoku, umrze wyjąc w szaleństwie osierocenia, jakiego nigdy sobie nie wyobrażał ani nie oglądał. Na wspomnienie o tym przechodził go dreszcz. Ale z przerażającą siłą, którą potrafiła w sobie znaleźć, pozbierała się i wycofała ze swym bólem do równie okropnego ukrycia. Unikając go, chodziła codziennie po pustych pokojach, a on słyszał jej wolne, dość ciężkie kroki. Czasami płakała, ale od razu odprawiała go, jeśli nie mogła szybko się opanować. Żyła w samotności ze swoim cierpieniem. Była niezwykła.

W młodości romantyczny Lucjusz uważał się za samotnika. A jednak prawdziwa samotność była czym innym. Nie, on i Gerda w niczym nie przypominali męża i żony, on nie mógł dzielić jej klęsk, a ona nie wiedziała nic o jego duszy. Rozmowy ich nie przypominały niczym czulej, bezsensownej paplaniny prawdziwych par. Konwencjonalność, która na początku miała w sobie coś ze staromodnego wdzięku, czuły szacunek, a nawet podziw, którym go kiedyś Gerda otaczała, teraz tchnęły chłodem i chwilami zamieniały się niemal w rozpaczliwą barierę. Ale tak już było. Oczywiście ona go potrzebowała, potrzebowała jako wielbiciela, może ostatniego, kogoś, kto ceniłby ją tak jak dawniej. I będzie go potrzebowała nadal, jeśli przerażający ból nie uwolni jej teraz od takich potrzeb. Był więzieniem kobiecej próżności. Gdyby nie ona, mógłby stać się wielkim człowiekiem.

Wpychając jedną nogę pod łóżko wyciągnął walizkę z ukrytą butelką whisky, do której zaglądał od czasu do czasu. Napełnił szklanekę na nocnym stoliku. Wynieść butelki z piwnicy było łatwo, dopiero potem trudno było ich się pozbyć. Czy Odyseusz upijał się na wyspie Kalipso? Kiedy znowu rozpoczną się jego podróże, czy chce, żeby się zaczęły, czy już na to nie za późno?

Wyjął protezę, położył ją na stoliku i poczuł, jak policzki z powrotem zapadają mu się z ulgą. Napił się whisky. Zęby szczyrzyły się do niego w uśmiechu. Czy sztuka może jeszcze przynieść pocieszenie? Dawno opuścił go Mozart, ale Bach był ciągle bliski. Odpowiadała mu teraz tylko nie kończąca się muzyka, gdzie brak formy jest samą formą, brak ruchu samym ruchem, nie zakłócona dramatem, historią ani romansem. Gerda, która nienawidziła muzyki, pozwalała mu nastawiać adapter tylko bardzo

cicho. Choć przestał pisać książkę, powrócił do poezji. Wciąż jeszcze pisywał recenzje do gazet, zarabiając tym na kieszonkowe, tyle że obecnie wydawcom mniej na nim zależało. Niewątpliwie gdzieś jeszcze drzemały w nim siły, te istotne siły, jakie wyczuwał kiedyś w ramach partii komunistycznej. Jedna po drugiej zawodziły go filozofie. W miarę jak je poznawał, zadawał sobie pytanie, czy to wszystko. Był człowiekiem twórczym, pisarzem i ciągle jeszcze artystą, a chociaż z upływem lat coraz mniej miał komórek mózgowych, to był przecież znacznie mądrzejszy. Oczywiście wiercił się niespokojnie na miejscu, nie znajdując upustu dla swej energii. Kiedyś będzie stary, zdziwaczały i lubieżny, ale jeszcze nie teraz.

Dalej bolały go plecy i czuł ból w piersiach. Dokończył whisky, rozebrał się, wszedł do łóżka i zgasił światło. Ogarnęła go zwykła dotkliwa melancholia. Słyszał sowę pohukującą wśród wysokich drzew. Wolałby nie wyobrażać sobie stale we śnie, że jest znowu młody, tak przykre było przebudzenie. W Nowym Jorku Henryk był dla niego bardzo nieprzyjemny. Z Sandym wypracował sobie jakąś formę współżycia. Lucjusz był mu wdzięczny za zupełny brak zainteresowania jego osobą, jego racją bytu, tym, dlaczego Lucjusz w ogóle siedział we dworze. Czy ta pobłażliwość była udawana? Lucjusz nie przypuszczał. Po prostu niewiele obchodził wielkiego, rudego filistra Sandy'ego. Gerda traktowała starszego syna jak swego rodzaju bohatera, ale naprawdę Sandy był tylko potężnym, spokojnym, swobodnym mężczyzną, w przeciwieństwie do ponurego maniaka Henryka. Lucjusz nigdy nie spoglądał na Sandy'ego ani jako na przeszkodę, ani jako na krytyka. Nie douczony Sandy interesował się wyłącznie, i to po amatorsku, maszynami. Dwór prowadziła Gerda, był to jej dom. Oczywiście śmierć Sandy'ego wywołała ogromny wstrząs, ale Lucjusz nie czuł się osierocony. Nie mógł teraz myśleć o Sandym, Sandy się skończył. Myślał o przyszłości, a ta przedstawiała mu się jak wibrująca ciemność. Bał się. Zapadł w sen i znowu śniło mu się, że ma dwadzieścia pięć lat i wszyscy go kochają.

W godzinę później Gerda ciągle jeszcze siedziała w bibliotece, na niewielkim fotelu przysuniętym tak blisko kominka, że jej aksamitne ranne pantofle dosłownie nurzały się w popiele. Ogień zamarł, nie widać było płomieni, tylko na szerniałym polanie rzędy czerwonych iskier. Polano zapadło się z jękiem i iskry zgasły.

Gertruda pomyślała: „Gdybym go naprawdę obchodziła, dopilnowałby, żebym poszła do łóżka, zamiast zostawiać mnie tu samą. Czekalby jak pies. Myśli tylko o sobie”. Ale była to tylko jedna z jej codziennych automatycznych refleksji. Zapomniała o Lucjuszu,

zapomniała o ich rozmowie, która choć ujawniła jej głębokie niepokoje, była przecież tylko sposobem na zatrzymanie go przez chwilę, wykorzystanie jego obecności. Nie chciała go o nic prosić, a tak bardzo obawiała się pozostać sama.

W jej domu wiele się zmieniło. Żył kiedyś życiem Burke'a i życiem Sandy'ego, a jeszcze przed Burke'em i przed Sandym rzucał promień światła na dzieciństwo Gerdy. Mieszkając w pobliżu, kochała ten dom, zanim pokochała swego męża; a kiedy przyszła tu z własnego skromniejszego domu jako dziewiętnastoletnia panna młoda, wydawał jej się symbolem wieczności. Ten dom był całym jej wykształceniem i jej zawodem, a mężczyźni, owdowiały ojciec Burke'a, Burke i Sandy, zamienili go w jej świątynię. Teraz jednak, całkiem nagle i niespodziewanie, ona i ten dom stali się sobie obcy. W gruncie rzeczy śmierć Sandy'ego przeszła nie zauważona przez nikogo, nawet przez ten dom. Miał on swoje własne cele i swoją własną przyszłość. Patrząc na listy z kondolencjami, Gerda widziała tylko garść popiołu. Podobnie jak Burke była jedynaczką. Krewni Burke'a z północy interesowali się wyłącznie sprawą spadku. Jej zaś krewni w Londynie, z którymi nigdy się nie widywała, zazdrościli jej wspaniałego mariażu i ucieszyli się z jej nieszczęścia. Sąsiedzi, pani Fontenay z Folwarku, wikary Westgate, architekt Giles Gosling, a nawet Forbesowie, nie byli szczerzy. Jedynym człowiekiem, który naprawdę się zasmucił, był stary proboszcz, już na emeryturze, ale ten więcej myślał o swojej śmierci niż Sandy'ego. Gerda zamknęła się w sobie i była teraz wygnańcem we własnym domu. Jej kroki budziły echo, jakiego nigdy przedtem nie słyszała.

Ale nie tylko o tym myślała, kiedy tak szła na górę ciemnymi schodami, pozostawiając cień na długim podejściu za sobą. Nie myślała także o podrzutku Henryku. Myśl o Henryku przypominała drzwi, które nagle otwierały się, ukazując jej szpitalne łóżko, a w nim Sandy'ego, takiego, jakim go widziała po raz ostatni, jakim uparła się go zobaczyć. I zastanawiała, się, jak wytrzyma chwile, które miały nadejść.

Mniej więcej o tej samej porze, kiedy Kato Forbes spacerował w tę i z powrotem po moście Hungerford, Henryk Marshalson budził się z pierwszego snu w gigantycznym odrzutowcu wysoko ponad Atlantykiem, a Gerda Marshalson i Lucjusz Lamb konferowali w bibliotece dworu Laxlinden, John Forbes siedział przy dużym piecu w kaflowanej kuchni, odczytując na nowo list od swojej córki Colette.

Najdroższy Tatku!

Muszę chyba rzucić college, jeśli zrobię to teraz, będę mogła zaoszczędzić chesne za bieżący semestr, pytałam już o to w kwesturze. Próbowałam Ci to powiedzieć, ale nie chciałeś słuchać, a kiedy się spieramy, zawsze potrafisz zbić mnie z tropu i nie mówię tego, co myślę, proszę, bardzo proszę, wybac mi. Teraz widzę to całkiem jasno, przemyślałam sprawę głęboko i po prostu doszłam do wniosku, że moje studia nie mają sensu. Rozmawiałam z panem Tindallem i zgodził się ze mną, a nawet, jak mi się zdaje, odetchnął z ulgą! Czuję, że oszukiwałam samą siebie i Ciebie, udając kogoś, kim nie jestem. Proszę Cię, Tatusiu, zrozum mnie, zawsze tak bardzo chciałam, żebyś był zadowolony, może aż za bardzo! Zmuszałam się wbrew swojej naturze, a to nie może być dobre, prawda? Strasznie mi przykro z powodu tego wszystkiego. Czuję, że przegrałam, ale lepiej jest przerwać teraz i nie marnować już więcej Twoich pieniędzy. Zdaje się, że nigdy Ci nie mówiłam, jak bardzo byłam nieszczęśliwa przez cały zeszły rok, nie mogłam się na to zdobyć. Trzeba było mieć trochę odwagi, żeby uczciwie spojrzeć prawdzie w oczy, chociaż wiem, jaka to dla Ciebie przykrość. W domu, kiedy mówiłeś, że trzeba próbować, mówiłam tak, spróbuję, ale czułam się tak podle. Pewnie myślisz, że brak mi kośćca moralnego, ale proszę Cię, proszę, nie gniewaj się! Spojrzałam prawdzie w oczy i teraz znam sama siebie jak Sokrates, którego tak często cytujesz. Tak bardzo chciałabym wrócić do domu. Proszę, nie próbuj telefonować, i tak nie uda Ci się połączyć, telefon w internacie jest zepsuty, i proszę, nie depeszuj ani nie pisz, nie ma na to czasu, po prostu spróbuj zrozumieć i nie uważaj tego za tragedię, to nie koniec świata! Znajdę sobie drogę w życiu, ale musi to być moja droga. Próbowałam już Twojej drogi, naprawdę. Dojrzałym i wykształconym człowiekiem można zostać i w inny sposób. Trzeba czuć się wolnym, by stać się sobą. Mogę się uczyć, ale nie tak. Czuję, że to, co teraz robię, nie składa się na żadną sensowną całość, przynajmniej dla mnie. Wiesz przecież, że nie jestem po prostu „głupiutką laleczką” jak te, których nie szanujesz. Proszę Cię, zrozum, że muszę robić wszystko po swojemu... a to wcale nie znaczy, że głupio. Proszę Cię, nie utrudniaj mi decyzji. Nie mogłam wytłumaczyć tego inaczej jak listownie. Naprawdę to nawet boję się trochę przyjechać do domu. Jest mi tak strasznie przykro, tyle pieniędzy poszło na marne, że nie chcę Cię narażać na dalsze wydatki. Niedługo postaram się o pracę, tylko się nie gniewaj. Spakuję swoje rzeczy i będzie je można później zabrać. Za parę dni będę w domu, dam Ci znać, kiedy. Drogi Tatku, ściskam Cię bardzo, bardzo mocno, kochająca

C.

John Forbes rzucił list na stół kuchenny pomiędzy brudne talerze i butelki po piwie. Wcześniej tego samego wieczoru George Bellamy, ogrodnik z Laxlinden, którego usługi John bardzo sobie cenił, zaszedł obejrzyć kolorową telewizję i podzielić się ostatnimi plotkami ze dworu. John nie lubił nikogo we dworze, a od czasu kupna Dębowej Łąki w stosunkach dwu domów dawała się wyczuć wyraźna, choć irracjonalna wrogość. Gerda robiła tyle zamętu przy sprzedaży, a potem napisała list, sugerując, że została do niej zmuszona. Oczywiście współczuł Gerdzie w związku ze śmiercią Sandy'ego i napisał do niej starannie skomponowany list. Nie mógł jednak zapomnieć chłodnego listu, jaki otrzymał od niej po śmierci Ruth. No, ale ostatecznie biedna Gerda zawsze zazdrościła Ruth urody i innych darów natury. John często myślał ze smutkiem o swoim dawnym przyjacielu, Lucjuszu Lambie. A teraz George Bellamy przyniósł wiadomość o przyjeździe, oczekiwanym za niecały tydzień, tego nudziarza Henryka. John Forbes nie lubił i nie miał uznania dla nikogo we dworze, ale zawsze interesowały go plotki Bellamy'ego.

List Colette spadł jak grom z jasnego nieba, choć teraz przypomniał sobie, że oczywiście dziewczyna najwyraźniej próbowała go do tego przygotować, tyle że on nie chciał słuchać. Nie mógł znieść myśli, że jego córka nie jest intelektualistką. Popychał ją i zachęcał, sam ją uczył, uciekał się do protekcji, zabiegał i próbował, ale nie udało mu się wepchnąć jej na przyzwoity uniwersytet (oczywiście nie umiała zdawać egzaminów) i musiał uznać ten college przygotowawczy za najlepsze wyjście z sytuacji, nie dość dobre dla jego córki, ale mimo to najlepsze z osiągalnych i dobre na swój własny sposób. Regularnie kontaktował się z jej opiekunem, panem Tindallem, dokładnie wyjaśnił, jakie wykłady uważa za najbardziej odpowiednie dla Colette, a nawet sugerował pewne zmiany i utrudnienia w programie college'u. Z samą Colette prowadził wielogodzinne rozmowy na temat tego, co powinna robić, jakie przedmioty ma wybierać, na czym powinna się skoncentrować, robił, co mógł, aby pomóc jej w nauce podczas wakacji. Dosłownie wpychał jej do rąk książki, które sam dla niej wyszukiwał.

Teraz doszedł do wniosku, że pewnie obrał złą taktykę. Kobiety są takie dziwne. Nie znosił wywierać na nikogo presji i często myślał i mówił, że wiele zła na świecie wynika z dominacji mężczyzn nad kobietami. Zawsze walczył o wyzwolenie kobiet, walczył, jak mu się zdawało, o wyzwolenie Colette! A jednak jakaś niezwyciężona głupota płci przeciwnej po prostu domagała się presji. Ostatecznie dokonanie tak prostego wynalazku, jakim jest biustonosz, zajęło im praktycznie cały okres pisanej

historii. Tak, wywierał presję na swoją bystrą ukochaną żonę, która od dawna już nie żyje, wywierał presję na swoją córkę. Możliwe, że wcale nie miał racji i rzeczywiście może była to po prostu sprawa taktyki. Pamiętał, jak bardzo cenił sobie studia, kiedy był w wieku Colette. Colette doskonale mogłaby cieszyć się swoją pracą i uzyskać jakieś świadectwo; później, na studiach wyższych, z pewnością dawałaby sobie radę znacznie lepiej. Po prostu rozwijała się z opóźnieniem i była odrobinę ślamazarna. Kłopot polegał na tym, że jej nauczyciele nigdy nie dostrzegali, iż na swój powolny sposób naprawdę umie myśleć.

A teraz ten niedowarzony, głupkowaty list. Ktoś musiał się do niej przyczepić. Jutro zadzwoni do Tindalla. Właściwie Tindall był zbyt miękki. John pohamował gniew i postanowił nie wysłać telegramu. Niech przyjedzie do domu. Pomówi z nią rozsądnie i wyśle ją z powrotem. Wy tłumaczy jej, ile straciłaby w życiu, odrzucając teraz swoją szansę. Nie może pozwolić na to, aby przerwała cenną edukację i została maszynistką, laleczką od układania kwiatów w wazonach albo pozującym manekinem jak Gerda Marshalsen. Pomyślał, że młodym brak kośćca. Myśmy byli inni. Nie potrafią stawić czoła żadnym trudnościom. Nie nauczono ich zasadniczej różnicy pomiędzy działaniem prawidłowym i nieprawidłowym. Po prostu chcą być sobą, ale wykształcenie to proces rozwoju i przemian, które mają nam uzmysłwić, co jest dla nas obce. Nic dziwnego, że leniwa, płaczliwa lewicowa młodzież schodzi na pozycje bezcelowego anarchizmu; zawsze narzekająca, kiedy tak wiele dobrego można zrobić, nauczyć się i z tyłu rzeczy cieszyć. Oczywiście kłopoty zaczynają się w szkole. Wszyscy oni za bardzo litują się nad sobą. Ja nigdy nie powiedziałbym swemu ojcu, że źle się czuję w college'u!

To wstyd, że nigdy nie dostałem się do parlamentu – pomyślał John. Nie miał szczęścia jako kandydat Partii Pracy. Teraz od wielu lat był wykładowcą na uniwersytecie. Mimo wszystko musimy ciągle starać się naprawiać świat – pomyślał. Każdy gdzieś może to robić i masę rzeczy mogę zrobić ja sam. Poznał granice swoich własnych możliwości za pomocą tej samej upartej metody, którą posługiwał się w studiach historycznych. Pochodził z rodziny kwakerskiej. Planował, że swój cenny roczny urlop, który akurat się zaczynał, spędzi pisząc historię kwaków, oczywiście nie w ujęciu religijnym, lecz socjologicznym. John Forbes nie dopuszczał do siebie żadnych przesądów. Już jako małe dziecko zorientował się, że choć jego ojciec chodzi na spotkania, nie wierzy w Boga. Ojciec nazywał siebie „agnostykiem”, ale tak to wyglądało w jego pokoleniu. On i jego krzepki, prawy, jasnooki ojciec wcześniej się zrozumieli. „Nie ma Boga, John, takiego, jak im się wydaje” – powiedział

mu ojciec. Ojciec nauczył go, że nie wolno kłamać i że na świecie nie ma Boga prawie jednym tchem. Teraz jednak, kiedy przyszedł czas, aby napisać jego biografię, John doszedł do wniosku, że go to nie interesuje. Zbyt wiele książek napisali już podobni do niego ludzie o przeciętnej inteligencji. Ostatecznie co może usprawiedliwić ludzkie życie? Na pewno nie książka. Poczyta, pomyśli i przygotowuje nowy cykl wykładów. Wiedział, że nie jest pozbawiony talentu jako nauczyciel. Nie można tracić wiary w sens własnego życia ani ustawać w wysiłku. John Forbes nigdy nie uważał tego za zbyt trudne. Może jeszcze zrobić w życiu wiele dobrego. Tylko teraz jego cenny urlop zakłóciły wybryki córki.

John wspominał dziadków ze strony ojca, których dobrze znał w dzieciństwie, swoich wspaniałych rodziców, szlachetnego, aktywnego społecznie ojca, czystą, uduchowioną matkę, inteligentną, anielską żonę, która tak bezsensownie umarła na raka. Jak to się stało, że dzieci o takiej genealogii ulepione były z tak podłego materiału? Kato zszedł na psy, a teraz Colette, która ma wszelkie szanse na szczęście i doskonalenie się, kwili coś o „sensownej całości” i odczuwa, że jej proste, drobne zadania są „zbyt trudne”. Czym zasłużył na takie dzieci? Ruth dała imię córce, on dał imię chłopcu. Był to smutny zmierzch wszystkich ich promiennych nadziei.

Kato Forbes, ukryty pod czarnym parasolem, maszerował długimi krokami wzdłuż Ladbroke Grove. Przeszedł pod mostem kolejowym i kawałek dalej, a potem skręcił w boczną ulicę. Cały dzień padał deszcz. Teraz był już ciemny, późny wieczór. Kato zwykle wracał do siebie po zmroku. Dnie spędzał spacerując, wysiadując w bibliotekach, kościołach albo w knajpach. Miał podjąć pewną decyzję, lecz nie potrafił się na nią zdobyć; i w miarę bezowocnie upływającego czasu decyzja stawała się jeszcze bardziej nagląca, a jej podjęcie jeszcze trudniejsze. Ostatniej nocy nie zmrużył oka. Dziś wieczór miał spotkanie.

Ladbroke Grove to długa i bardzo dziwna ulica. Na południowym jej krańcu stoją wielkie domy, jedne z najelegantszych w mieście. Na północnym, a zwłaszcza za mostem kolejowym, ulica jest zaniedbana i biedna, pełna ruder, zamieszkanych w znacznej części przez ludność kolorową, oraz rozsypujących się domów podzielonych na pojedyncze pokoje do wynajęcia. Kato Forbes zmierzał do jednego z niewielkich szeregowych domów wtopionych w melancholijny labirynt wąskich przecznic Grove. Dni domu były policzone, a niektóre z sąsiednich już rozebrano, tak że ulica kończyła się pustynią gruzów, między które

mieszkańcy zaczęli już wynosić śmieci. Nad całym tym terenem, zwłaszcza w ciepłe dni, unosił się charakterystyczny, nieokreślony zapach kurzu, ostrych przypraw, szczurów, moczu i zastarzałego czarnego brudu. Pewien Sikh, przyjaciel Katona, powiedział, że przypomina mu to zapach Indii.

Za ocalałym szeregiem domów ciągnęło się wąskie przejście, oddzielone małym podwórkiem i murem z cegły. Za nim znajdowały się inne domy, również skazane na rozbiórkę. Kato skręcił w to przejście, składając parasol, na który nie było tu miejsca. Otarł się płaszczem o ściany grubo zarośnięte pleśnią. Potknął się o pojemnik ze śmieciami. W ciemności szczyrzyły się otwory po wyłamanych bramach, prowadzące na podwórka. Niektóre domy były jeszcze zamieszkane. Stąpając ostrożnie po błocie, przesunął się przez dziurę w murze na zagracone podwórko i podszedł do tylnych drzwi domu. Spokojnie i dokładnie wsunął klucz do dziurki, nacisnął klamkę i bezszelestnie wszedł do środka. Zamknął drzwi i zaryglował je za sobą.

Nie zapalając światła sprawdził doświadczonymi rękami, czy gruba czarna zasłona, nie zdejmowana najwyraźniej od czasu wojny, gdy służyła do zaciemnienia, jest dobrze rozciągnięta i zawinięta po bokach. Przekręcił kontakt i słabiutka goła żarówka, lepka i ciemna od brudu, ukazała kuchnię w tym samym stanie, w jakim ją zostawił w porannym półmroku, z emaliowanym kubkiem wypełnionym do połowy zimną herbata, nadgryzionym kawałkiem chleba i masłem w papierowej paczce. Zdjął płaszcz i ustawił w kącie ociekający parasol, z którego strumyczek wody spłynął po podłodze, rozlewając się w kałuże na pękniętych kafelkach i siejąc niepokój wśród zgromadzenia na wpół przezroczystych prusaków, które bezwstydnie osiedliły się w kuchni.

Mgliste światło ukazało, bezpośrednio za drzwiami, strome schodki, po których Kato wspiał się do pokoju na górze; tu znowu zajął się oknem, które częściowo zabite było deskami, a niedawno zasłonięte kocem zawieszonym na dwóch gwoździach. Przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, zapalił światło, nieco jaśniejsze niż w kuchni. Zbiegł z powrotem na dół, żeby zgasić światło, a potem wolniej już wszedł na górę. Mały pokój był brudny i nędzny, ale nie całkiem pozbawiony komfortu. Komoda z wyciągniętymi pustymi szufladami, wersalka z wiotką, brudną zieloną narzutą na nie zasłanej pościeli, a na ścianie ponad nią na gwoździu mały metalowy krucyfiks. Poplamione linoleum, świecące dziurami, przykryte było nowym, tanim brązowym chodnikiem. Na umywalce z szarym marmurowym wierzchem, pod ścianą wyłożoną jaskrawymi kafelkami, leżały porozrzucane przybory do golenia. Na podłodze stała walizka Katona, pakowana, rozpakowywana i z powrotem

pakowana, a teraz znowu rzygająca zawartością, wśród której widoczna była butelka whisky. Zakurzona boazerię zdobiły rozplaszczone puszki po zupie o ekscentrycznych kształtach, którymi poprzedni lokator pozabijał mysie dziury. Znajdowały się tam również dwa proste krzesła i kilka wypełnionych po brzegi popielniczek. W pokoju czuć było zapach wilgoci i tytoniu oraz sąsiedniej ubikacji. Kato włączył stojący w kącie jednopalnikowy kominek elektryczny, który najpierw wyrzucił z siebie deszcz iskier, a potem zaczął płonąć równym, matowym blaskiem. Usiadł na wersalce i zapalił papierosa. Po raz któryś próbował zerwać z paleniem, choć nie miało to już naprawdę żadnego znaczenia.

Kilka razy z rozkoszą zaciągnął się głęboko, ale po chwili urok papierosa zmałał. Pochylił się do przodu, zasłaniając twarz jedną ręką, a drugą, z papierosem, opuścił tak, że dotykała podłogi. Siedział i czekał, lekko drżąc z podniecenia, które było jego nieszczęściem; rozpacz, cały dzień otaczająca go jak chmura, od której czasem dosłownie uciekał z nadzieją, że pozostawi ją za sobą jak chmarę much, stopniowo objęła go w posiadanie. Skóra mu ścierpła, drżał na całym ciele, nawet usta mu drgały, a zęby szczękały bezdźwięcznie; z rozszerzonymi obawą oczyma, które niczego nie dostrzegały, oddychał jak w głębokim śnie. Czekał.

Był to wysoki, barczysty mężczyzna, teraz odrobinę tęgi, o dużej głowie, grubych wydętych wargach i pulchnych policzkach. Miał wielkie brązowe oczy i gęste, proste brązowe włosy, które od czasu gdy został księdzem, nosił krótko ostrzyżone. Z powodu pulchnych policzków i dość mięsistego nosa nazywano go w szkole Grubaskiem, a czasami Śmiesznym Grubasem lub Starą Pyzą. Minęły już trzy lata od chwili, gdy przyjął święcenia kapłańskie. Dużą część tego czasu poświęcił teologii. Elitarny zakon, do którego należał, czcił Boga nie tylko sercem, lecz i umysłem. Zajęcie w „Misji”, teraz zamkniętej i rozwiązanej, było jego pierwszą próbą pełnoetatowej pracy duszpasterskiej.

Na dole odezwał się cichy szcęk, zgrzyt klucza ostrożnie wsuwanego do zamku. Kato poderwał się. Drzwi się otworzyły, a potem zamknęły. Kato przeszedł przez pokój. Po schodach wchodził spokojnie siedemnastoletni chłopiec.

– Ojciec...

– Jak się masz.

– Czekales?

– Tak.

Kato cofnął się na miękkich nogach i usiadł na łóżku. Chłopiec przyciągnął krzesło i z wymuszonym uśmiechem usiadł obok niego. Był to Joseph Beckett, znany przyjacielom i wrogom jako Piękny Joe. Bardzo szczupły, na pierwszy rzut oka robił wrażenie raczej dziwaczego niż pięknego. Nosił sześciokątne szkła bez oprawy, które lekko powiększały jego jasnoorzechowe oczy. Jasne i cienkie, bardzo proste i dość długie włosy, ostrzyżone na schludną polkę z przedziałkiem z boku, były zawsze świeżo i starannie uczesane. Miał mały prosty nos i szerokie usta o wrażliwych, żartobliwie uśmiechniętych wargach, a policzki gładkie i różowe. Ze swą bystrą, uważną i odrobinę kpiącą miną wyglądał jak młody amerykański uczonek lub bardzo inteligentna uczennica.

– Jesteś cały mokry – powiedział Kato.

Chłopiec był bez marynarki, pomarszczone džinsy i koszula ciasno oblepiały mu ciało. Włosy, pociemniałe od wilgoci, przylegały do głowy jak czapka.

– Cały dzień leje. Prędko wyschnę. Masz ręcznik?

– Proszę.

– Coś do picia?

– Czy brałeś coś? – (Chodziło o narkotyki).

– Nie, oczywiście, że nie, z tym już koniec.

Kato obserwował, jak chłopiec najpierw starannie wyciera szkła i kładzie je na kolanie, potem suszy twarz i szyję i energicznie masuje włosy, wkłada z powrotem okulary i stalowym grzebieniem układa na głowie schludną lakierowaną falę, z jasnym, kpiącym spojrzeniem cały czas utkwionym w Katona.

– Dasz się napić?

– Później. – Cóż, do licha, pomyślał Kato, sam chciałbym się napić. Sięgnął po butelkę whisky i przyniósł dwa kubki z umywalki. – Proszę. – Zgasił papierosa w kupce popiołu i zapalił następnego. Joe nie palił.

Głaszcząc palcami mokre włosy i przyklepując lśniące fale na policzkach, Joe obserwował księdza z pełnym czułości rozbawieniem.

– Ojciec...

– Tak.

– Nikomu nie mówiłem.

– O czym?

– Że jeszcze tu mieszkasz. Nikt o tym nie wie prócz mnie. Tak sobie życzyłeś, prawda?

– Teraz to nie ma znaczenia – powiedział Kato. Uparcie zmierzał do celu rozmowy. – Wyjeżdżam. Najlepiej zrobisz, jeśli mi oddasz klucz.

Joe wręczył mu klucz.

– Jakoś przykro, ojcze, przecież mi ufałeś, był to rodzaj symbolu, prawda, ojcze?

– Dalej ci ufam. To nie mój dom.

– Więc gdzie będziesz mieszkał, gdzie cię teraz znajdę?

– Nie wiem.

– Jedziesz do Rzymu?

– Nie. Skąd ci przyszło do głowy, że mam tam jechać?

– Wszyscy księża tam jeżdżą. Chciałbym zobaczyć Rzym. No i Jego Świątobliwość. Kiedy zostaniesz papieżem, ojcze?

– Jeszcze nieprędko.

– Gdzie będę cię mógł znaleźć?

– Nie wiem. Na... napiszę ci.

– Nie mam adresu. Przyjdę do ciebie. Chcesz, żebym przychodził, prawda?

Joe uśmiechał się, kołysał głową i przeczesując włosy palcami zaczął zamieniać gładkie loki w złociste pierze. Wzdrygnął się, wyciągnął mokrą koszulę z džinsów i rozpiął kilka guzików, żeby rozluźnić ją na plecach.

Kato nie patrzył na niego. Wyobrażał sobie, że po wielkanocnej przeprawie wszystko stanie się prostsze i trzeba będzie tylko podjąć pewne kroki. Zdawało mu się jednak, że w jego życiu nadal nie ma nic przymusowego, i strach przed wyborem, od którego powinien był już się uwolnić, ciągle jeszcze trzymał go w kleszczach, a potworne nakładanie się na siebie różnych problemów, im dłużej im się przypatrywał, odsłaniało przed nim coraz więcej widoków i perspektyw, coraz więcej niepotrzebnych możliwości.

Gdyby tylko – myślał Kato, instynktownie wyrażając swoją myśl w formie modlitwy – wszystko to nie zbiegło się u mnie na jedną chwilę. Czy to przypadek, czy to może być przypadek? O Boże, gdyby można było rozwiązywać każdą sprawę po kolei, dałbym sobie radę. Nie mogę

rozstrzygać tylu różnych spraw jednocześnie. Ale czy są to rzeczywiście różne sprawy? Zaczęło mu się wydawać, że sprawy te są nierozłącznie ze sobą związane. Ale to nieprawda. Jaki był ten związek, jaki mógł być? Musiał rozwiązywać problemy oddzielnie, musiał, i to jeden po drugim. Może właśnie problemem było, jak je rozdzielić.

Okres nawrócenia wydawał mu się teraz niewiarygodnie odległy, niby prehistoria, mityczny okres stworzenia z chaosu, który dotychczas nie przestał być dla niego źródłem władzy i siły. Został nawiedzony przez Chrystusa. Jego „uzbrojenie” przeciw religii, racjonalistyczne, ateistyczne wychowanie nie miało żadnego znaczenia. Było ono zawsze wątpliwe. Jak mawiali niektórzy, w takich wypadkach można „spodziewać się” reakcji. Kato jednak miał wiele własnych wewnętrznych oporów przeciw nagłym porywom religijnym. Bardzo wcześnie znieczulił się na urok tej mistycznej piękności wraz z jej obrządkiem, rozkoszami intelektualnymi, dramatem, władzą. Jako początkujący historyk zagłębiał się już w te zagadnienia, wypróbując własną słabość, która czyniła go bezbronnym wobec czegoś, co w sumie było niezmiernie wulgarne. Oczywiście sam Chrystus był nietykalny i czysty i nigdy nie zrobił fałszywego kroku, choć to samo można by powiedzieć o Sokratesie. Kato nie znajdował w nim cienia wulgarności, próżności, fałszu czy oszustwa, ale ostatecznie dowodziło to tylko, jak dalece człowiek może się doskonalić. Ten Jezus był starym przyjacielem, wielkim świętym, o którym często dyskutował z ojcem, analizując z nim chrześcijaństwo, oddzielając to, co dobre, od tego, co złe, prawdę od złudzeń. Chrystus był dobrym człowiekiem. Ale zabobon, symbolika, mistyfikacja: Kato doskonale rozumiał, przestudiował to wszystko z sympatią, wiedział doskonale, dlaczego tak się stało, dlaczego to do niego przemawiało, ale nigdy naprawdę nie mogło go głęboko zainteresować, a nawet pociągać. Jako historyk bardziej interesował się islamem.

Potem nagle, bez ostrzeżenia, czując, że przełamuje w umyśle potężne bariery, zblądził i potknął się o rzeczywistość. Nagle, za pośrednictwem sił psychicznych, z których nie zdawał sobie sprawy, doświadczył Boga. Wszystko, co przedtem „wiedział”, teraz wydawało się krainą cieni. Opuścił ją, wstępując w prawdziwy świat, w formę bytu, której dotychczas nie „znał”, ponieważ żył nią i stanowił jej nieodłączną część. Wkroczył całkiem spokojnie w obszar jakiejś świetlistej radości, jak gdyby nie tylko wyszedł z jaskini, ale patrzył w słońce, stwierdzając, że nie ma w tym nic trudnego, że cały świat, w którym nie ma nic skrajnego, lśni od bieli, czystej i bynajmniej nie oślepiającej, łagodny w swej pełni ogarniającej wszystko, co bezpiecznie i cicho pulsuje w kręgu słońca.

Co dziwniejsze, to nowe objawienie rzeczywistości identyfikował wyraźnie z doświadczeniem Trójcy Świętej, Trójca była słońcem, białym i pełnym, i kiedy się na nie patrzyło bezpośrednio, przenikliwie żywym i łagodnym. Oczywiście Kato znał doskonale tę dziwną doktrynę, wielokrotnie z ożywieniem i żartobliwie o niej dyskutował. Teraz przedstawiała mu się nie jako idea, lecz jako rzeczywistość, jako pełnia rzeczywistości, nawiedzanej przez Ducha, który wydawał się całkowicie obcy jego „osobowości”, takiej, jakiej był dawniej świadomy, a który jednak zamienił się w samą istotę jego „ja”. Ta istota uczestniczyła w Jedności Chrystusa z Ojcem i z Duchem. Otwartymi oczyma duszy widział, że Trójca jest Jednością i że ta Jedność jest prawem całego istnienia, prawem natury, elektrycznym, uniwersalnym wyrazem miłości, i odpoczywając jak nigdy przedtem, pozwolił, aby ta oczywista wizja zawładnęła w milczeniu jego umysłem.

Później, patrząc wstecz, Kato stwierdził, że trudno mu skojarzyć te objawienia ze zwykłym tokiem wydarzeń i ciągiem miejsc. W ramach studiów podyplomowych na macierzystym prowincjonalnym uniwersytecie pisał doktorat o pewnych aspektach historii Rosji osiemnastego wieku i rozglądał się za jakąś pracą. Lato spędził w domu, gdzie toczył przyjazne rozmowy z ojcem i grał w tenisa z Colette. Był letnio zakochany i miał już za sobą kilka letnich romansów, na szczęście zakończonych. Był zupełnie szczęśliwy, daleki od wszelkich obaw czy niepokojów. Skąd więc to objawienie? Może właśnie czyste zwierzęce szczęście kazało mu złożyć oręż twardego egoizmu, który chroni duszę przed Bogiem? A może ono samo stanowiło pierwszy automatyczny przebłysk przyszłej radości? Jego „nawrócenie” nie wyrosło z mąk duchowych, nieszczęścia, kryzysu wewnętrznego ani też pilnej potrzeby transcendentalnego pocieszenia. Wiele czasu spędzał sam, spacerując w letnim upale, wysiadując nad rzeczkami i obserwując ważki, pływając nago w odludnych, obrzeżonych kwiatami sadzawkach. Był szczęśliwy szczęściem młodości, niewinności, cieszył się swoim intelektem i bezmiarem perspektyw. Był zdrowy, aktywny, krzepki, odnosił sukcesy zarówno fizyczne, jak umysłowe. A potem, stwierdził jak gdyby obserwując samego siebie z zapierającym dech zdziwieniem, ta ziemską radość uparcie i całkiem niezależnie od jego woli zamieniła się w radość niebiańską.

Kato nigdy, ani w tym czasie, ani później, nie uczcił tych wydarzeń żadnym górnołotnym określeniem, takim jak „doznania mistyczne”. Dowiedział się natomiast, że wszystko jest mistyką. Nie potrzebował żadnej obrazowej „wizji” Chrystusa. Był z Nim i był w Nim. Został nawiedzony, zagarnięty, a wszystko to odbyło się spokojnie i z doskonałym

poczuciem rzeczywistości. Nie powiedział nic swojemu ojcu ani Colette. Czekał, aż odezwie się w nim głos, i głos się odezwał. Nie był to nieprze-myślany pęd do nowego życia, pełnego poświęcenia, wysiłków i pobożności. Przypominało to raczej rzekę lub wzrost rośliny. Wola nie miała z tym nic wspólnego, woli nie było. Od początku zrozumiał, że tej rzeczywistości sprostać może tylko, ofiarowując całą swoją istotę, ofiara już się dokonała, w istocie był nawiedzony. Natomiast znacznie wolniej dochodził do tego, co ma robić. Musi zostać księdzem, całym swoim życiem dowieść tego, co teraz już wiedział. I nawet nie myślał, że to będzie łatwe, nie bał się wcale, że ulega złudzeniom, ponieważ ta nowa, oczyszczona wizja obejmowała również jego dawne ja, istniejące jako nieodłączna cząstka świata, nie zmienione i zapewne (a była to jedna z najważniejszych nauk) niezmiennie.

Po jakimś czasie odwiedził pewnego katolickiego księdza (jakoś nigdy nie przychodziło mu na myśl, żeby przystąpić do wspólnoty protestanckiej), nie w Laxlinden, gdzie nie istniała społeczność katolicka, ale w pobliskiej wiosce. Okazało się, że ksiądz odniósł się bardzo niechętnie do Katona i jego nowych przekonań. Kazał mu oddalić się na sześć miesięcy i zobaczyć, co będzie czuł wtedy. Kato nie mógł czekać sześciu miesięcy. Tymczasem wrócił na uniwersytet i kontynuował studia. Tutaj przypomniał sobie o parę lat starszego wykładowcę katolika, Brendana Craddocka, którego poznał w latach studenckich, a który teraz był księdzem w domu parafialnym w mieście. Poszedł do Craddocka, który odniósł się do niego z tą samą chłodną i podejrzliwą rezerwą i przekazał go ojcu Sidneyowi Bellowi, który później został jego ojcem chrzestnym. Mniej więcej w rok potem Kato wstąpił do zakonu, do którego należeli ojciec Craddock i ojciec Bell, a w parę lat później otrzymał święcenia.

Oczywiście, tak jak oczekiwał, blask tych wczesnych doznań z latami trochę zmalął, choć od czasu do czasu, w miarę jak Kato przenikał skomplikowaną prostotę mszy i zaczynał zadomawiać się w codziennym życiu Kościoła, radość się odradzała. Myślał, że celebrując swoją pierwszą mszę zemdleje ze szczęścia, i rzeczywiście o mało nie zemdlał. Nowi mentorzy uczyli go obawy przed egzaltacją, ale w miarę jak wzrastał w Chrystusie, sam z każdym dniem życia odczuwał mocniej magnetyczną więź, która łączyła go z treścią istnienia. Żył w pobliżu, a często nawet pośrodku doskonałego szczęścia. A przecież zwyczajne bóle i niepokoje nie zniknęły; najbardziej martwiła go gorycz i szalony gniew ojca. Ojciec przyjął jego oświadczenie jako coś absolutnie niewiarygodnego. Uważał, że syn prawie dosłownie zwariował, i nie mógłby być bardziej oszołomiony i zdumiony, gdyby Kato powiadomił go, że Piotr Wielki wstał z grobu i odtąd

nieodłącznie mu towarzyszy. Przez krótki czas John Forbes przejawiał desperacką energię, zachowując się tak, jak gdyby widział, że syn na jego oczach tonie. Błagał, groził, poszedł z burzą pretensji do ojca Craddocka i ojca Bella i dosłownie prawie zarzucał im czary, z wściekłością groził, że odwoła się do sądu, a nawet (w szale, choć gardził psychiatrami) błagał Katona, aby uznał się za chorego umysłowo i poszedł do szpitala. Kato spokojnie i uparcie przeprowadzał swoje plany, nie wdając się w żadne dyskusje i bezustannie prosząc ojca o przebaczenie za ból, jaki mu sprawia. Ostatecznie John zrezygnował z walki, zamknął się w sobie i odgradził od syna murem chłodu, pogardy i goryczy. Kato pisywał do ojca, ale odwiedzał go coraz rzadziej. Listy pozostawały bez odpowiedzi, wizyty przebiegały gładko, bez dyskusji na jakiegokolwiek poważniejsze tematy. Konflikt rodzinny martwił jego siostrę Colette, która jednak tak bardzo kochała brata, że choć uważała jego przekonania za absurdalne, nigdy ani na sekundę nie traktowała ich jako bariery.

Kato, przez pewien czas pochłonięty rytmicznym życiem Kościoła i pogodnie podporządkowany zwierzchnikom, kontynuował pracę naukową, dzieląc czas pomiędzy teologię i historię Bizancjum. Mieszkał w domu parafialnym, najpierw w Manchesterze, potem w Londynie, spełniając swoje obowiązki najpierw jako kleryk, potem jako ksiądz; udzielał konsultacji studentom, rozmawiał z (jak wówczas mu się wydawało, najrozmaitszymi) ludźmi, przemawiał na zebraniach, udzielał nauk i pocieszenia zarówno wierzącym, jak niewierzącym. Czasami, z przekorą obserwując samego siebie, odczuwał obawę, czy nie zamieni się w „popularną postać”. Kiedyś obok humorystycznego rysunku na ścianie ubikacji zobaczył napis *Charisma Forbes: szalowy ksiądz*. Nie bał się jednak. Nie opuszczało go nigdy chłodne poczucie, że ma w sobie coś z krzepkiego starożytnego Adama. Wiedział, jak wielki urok ma dla niego pewien rodzaj władzy, władza autorytatywnego nauczyciela, władza mądrego spowiednika. Możliwość uwolnienia człowieka od ciężaru grzechu w konfesjonale napełniała go aż nazbyt triumfalną przyjemnością; i cenny klejnot kapłaństwa, sama msza, miał dla niego czasami siłę pokusy. Był aż nazbyt szczęśliwy.

Oczywiście ulegał niewłaściwym pragnieniom. Aż śmieszne, jak trudno było mu zerwać z paleniem, do czego czuł się zobowiązany. Chętnie wybrałby się w podróż, zwłaszcza do Rzymu, ale jego zwierzchnicy w swojej przezorności jeszcze mu tego wzbraniali; przyjął to jako upomnienie, a niewykluczone, że i próbę „ochłodzenia” go, obniżenia temperatury jego ciągle nazbyt dewocyjnej wiary przez zalecenie mu najmniej atrakcyjnego z możliwych regulaminów. W przepisanych

terminach odprawiał rekolekcje, poddając się surowszym tradycyjnym praktykom, które część jego kolegów-księży uważała za tak emocjonalne i staromodne. Było coś boleśnie niezręcznego w dyscyplinie, która sama w sobie spełniać miała przeciwne naturze wymogi doskonałości. Z drugiej strony Kato zawsze czuł się świetnie w swoim ciele, którego atletyczna giętkość była naturalnym elementem jego czci religijnej, a młodzieńcza siła sama skłaniała się do adoracji. Od czasu owych pierwszych „objawów” odczuwał, że Bóg i on zajmują tę samą przestrzeń, i nie widział w tym nic dziwnego, że potrafi bez trudu wyobrazić sobie z wszystkimi szczegółami Pana Naszego, Jego Matkę, rozwijającą się chwila po chwili rzeczywistość Pasji i historyczne znaczenie Inkarnacji. Nie potrafił wyobrazić sobie Piekła; było to dla niego pojęcie abstrakcyjne. Potępienie, jeśli istniało, było już sprawą Pana Boga.

Medytując nad własnymi grzechami, często myślał o ojcu i o tym, jak pod wpływem smutnej i wyższej konieczności stał się źródłem cierpień człowieka, którego tak bardzo kochał; powierzał ten układ głębokiej mądrości boskiej. Z szacunkiem odnosił się do wszelkich rygorów, jakie mu narzucano, i uwielbiał dziwną i prawie niewidoczną czułość, która w nich się kryła. Jednocześnie nie miał złudzeń co do możliwości własnej przemiany wewnętrznej. Może kiedyś, jeśli odsunie się od świata i będzie się przyglądał tylko Bogu, nastąpi jakaś drobna zmiana, choćby maleńka. W pewnym sensie to go nie dotyczyło. Obchodził go tylko Bóg, tylko Bóg był jego sprawą, tylko Bóg go interesował, a człowiek i jego dzieła tylko jako Jego rozszerzenie. Bez trudu przychodziło mu słuchać cierpliwie nudnych, skłopotanych ludzi, przemóc w sobie nudę i zmęczenie fizyczne, i jeśli to konieczne, obywać się bez rozkoszy intelektualnych, które również prowadziły do komunii z Bogiem. Ślub czystości i przestrzeganie tej cnoty nigdy nie sprawiały mu kłopotu. Nie doświadczał większych pokus prócz głębokiej, wysublimowanej pokusy, jaka kryła się w samej władzy płynącej z oddania się Bogu. W zakonie miał przyjaciół, zwłaszcza Brendana Craddocka, który od przyjazdu Katona do Londynu był jego spowiednikiem. Miał przyjaciół poza zakonem i poza Kościołem. Jednak te przyjaźnie nie przynosiły żadnych momentów dramatycznych.

W pewnej chwili zwierzchnicy zdecydowali, że należy mu się zmiana środowiska, a on, wewnętrznie pogodzony z kapłaństwem, stwierdził, że pragnie właśnie tego, co mu proponują. Nie opuszczając na razie schronienia w domu parafialnym, gdzie dotychczas mieszkał, Kato podjął się odwiedzać wiernych w biednej wschodniej dzielnicy Londynu, na granicy Limehouse i Poplar.

– Będziesz wstrząśnięty – powiedział Brendan.

– Nie ma rzeczy, która by mną wstrząsnęła – odparł Kato. Ale był wstrząśnięty. Przerazali go penitenci, przerażała niema porażka własnego autorytetu, świat, do którego nigdy nie dotarło i, jak się zdawało, nigdy nie dotrze słowo Boże. „Byłem w więzieniu, a przyszlście do mnie”, straciło swój urok. Czasami Kato nie mógł dostrzec najmniejszej iskierki światła w tych, których z oddaniem próbował kochać. Po raz pierwszy zrozumiał, że samowola występku stanowi nieodłączny składnik codziennego życia i że rozpacz i występki są jednym i tym samym. Tuż poza granicami tego, co szare i pospolite, kryły się miejsca, do których miłość nie miała dostępu; wyglądało to na załamanie się koncepcji. Kato wiedział doskonale, że potęga Boga dociera tam, gdzie załamują się wszelkie koncepcje, i tę właśnie lekcję powinien wyciągnąć ze swoich przeżyć. Teraz dopiero docenił, jak wielkie zasklepienie umysłowe niósł ze sobą czysty idealizm ojca. Prawdopodobnie po to właśnie, aby się z niego wydobyć, szukał schronienia w Chrystusie. Modlił się bez przerwy z nadzieją, że modlitwa przyniesie mu jakieś ślepe zrozumienie, towarzysząc tam, gdzie wiedział, że będzie bezsilny, znienawidzony, a nawet (co najgorsze!) wyśmiewany! A przecież tam właśnie żyły rodziny, zwłaszcza rodziny irlandzkie, które jego obecność traktowały jako sprawę oczywistą.

– A, to ojciec przyszedł. Proszę siadać, ojczu, może dać ojcu herbaty?

W czasie tych zmagañ znalazł jednego tylko przyjaciela, miejscowego księdza świeckiego, ojca Milsoma, starego człowieka, który przez wiele lat mieszkał w dzielnicy wschodniej i traktował Katona jak naiwne dziecko. Kato z radością przyjął jego ojcowski stosunek i wkrótce opowiedział mu wszystko o własnym ojcu, konflikcie z nim i nadziejach pokładanych w Chrystusie, że kiedyś konflikt wygaśnie. Ojciec Milsom nie zapatrywał się na to optymistycznie, ale nawet jego realizm stanowił dla Katona namiastkę nadziei. Czasami, późnym wieczorem, Kato spotykał Brendana i opowiadał mu swój „dzień”. Brendan pracował w slumsach Manchesteru i nic nie było w stanie go zdziwić. Kato opowiadał przyjacielowi i spowiednikowi o swoich odkryciach i obawach. „Mimo wszystko konfesjonał ma tak wielką władzę”. „Ale ty nie masz władzy”. „Spowiedź ma w sobie coś z podstępów”. „Oczywiście. Ważne, żeby pozostawiła jedno maleńkie nieprzyswajalne ziarno prawdy”. „Spowiadają się i robią dalej to samo, właściwie spowiadają się po to, żeby dalej robić to samo!” „Któż może wiedzieć, co skłania ich do spowiedzi? Łaska boska jest wszędzie”. „Chrystus jest wśród nich, jest w nich, wśród największych gwałtowników i zbrodniarzy, ale czasami trudno go odnaleźć”. „Musisz go dostrzec, oglądać go. On ci udzieli światła”. „Powiedziałeś, że będę wstrząśnięty. Nędzia nie przeraża, ale występki tak. Myślałem, że znam to wszystko, bo

znam swoje wady, ale to nieprawda. I czy wiesz, ojciec Bell powiadał, że zło jest nudne, ale tak nie jest, jest raczej podniecające”. „Wydaje się podniecające. Miejsce, z którego widać, jak wygląda naprawdę, jest poza granicami naszych zmysłów”.

Właśnie wtedy, gdy Kato zaczął dopasowywać się do swojej roli, powstał nowy pomysł. Zakon wydzierżawił dom w Paddington i znajomy ksiądz – entuzjasta Gerald Dealman – chciał namówić kilku księży, żeby, tworząc niewielką społeczność, zamieszkali wśród tamtejszej ludności i brali udział w jej życiu, a może nawet i pracy. Kato był zachwycony, kiedy Gerald zapytał go, czy nie zechce się przyłączyć. Było to rok temu; w ten sposób powstała Misja, jak nazywali ją miejscowi ludzie. Zgodnie z początkowym planem miało w niej pracować trzech księży na stałe i dochodząca siostra Najświętszego Serca Jezusa. Trzeci ksiądz, dziwak nazwiskiem Reggie Poole, kręcił się tam w pierwszym okresie remontu i zasiedlenia, aby potem w tajemniczy sposób zniknąć; plotki głosiły, że wysłano go do Japonii. Siostry rozmyśliły się i nie przysłały zakonnicy, prawdopodobnie z powodu tych plotek. Gerald i Kato prowadzili Misję zrywami, każdy z odmiennym rodzajem zapału. Kato doszedł do wniosku, że trudno mu pracować w tak bezpośredniej bliskości swojego brata w Chrystusie, który bynajmniej nie był operatywny i gadał bez końca. Jednakże po pewnym czasie, kiedy Misja działała już na pełnych obrotach, Gerald również wypadł z gry; wdał się mianowicie w bójkę z jednym z penitentów, której przyczyny nie zostały do końca wyjaśnione, i wylądował w szpitalu ze złamaną szczęką. Po tym stało się jasne, że albo należy zwinąć przedsięwzięcie, albo je ratować. Mniej więcej w tym samym czasie miejscowe władze powzięły dogodną decyzję, że cała ulica ma być rozebrana, tak że finał imprezy nie nosił na sobie okropnego stygmatu porażki.

W istocie Misja, mimo panującego dotychczas bezprzykładnego bałaganu, miała pewne osiągnięcia. – Zobaczysz, jak nas pokochają! – wykrzykiwał Gerald. Kato sądził raczej, że będą ich wyśmiewać i lekceważyć. Ale, czy to dlatego, że Gerald i Reggie byli postaciami tak malowniczymi, czy też że Kato nabrał już doświadczenia, księża cieszyli się znaczną popularnością. Odwiedzać biedną dzielnicę i powracać do czystego, pełnego książek pokoju było to zupełnie co innego niż mieszkać w biednym otoczeniu we dnie i w nocy. Teraz nie można było uciec od ludzi. Misja stała się siedzibą nie tylko katolików, ale ludzi z różnymi problemami, spragnionych wsparcia duchowego lub świeckiej porady, bądź też szansy wyłudzenia czegoś lub drobnej kradzieży. Proste dobra doczesne Misji: rondle, porcelana, sztucce, bielizna, koce, odbiorniki

tranzystorowe, a nawet książki już w ciągu pierwszych dwu miesięcy zaczęły znikać. Na początku z zasady nie ryglowano drzwi, później zaczęto ryglować je dlatego, aby uchronić sprzęt przed kradzieżą. Kato, zmuszony do prowadzenia czegoś w rodzaju jednoosobowego biura porad, stał się specjalistą od wszelkich praktycznych problemów, takich jak dodatkowe zasilki, zniżki komornego, umowy lokatorskie, sprzedaż ratalna, koszty prawne, ubezpieczenia oraz sposób wypełniania formularzy podatkowych. Na początku czuł pewne rozczarowanie, że tak niewiele czasu pozostawało mu na to, by poznawać ludzi i toczyć z nimi poważne rozmowy. Chciałby dotrzeć z Chrystusem do tych, którzy byli pogrążeni w nędzy lub znajdowali się na śliskiej krawędzi występku. Później był zbyt zajęty i zbyt zmęczony, aby kłopotać się takimi sprawami albo szukać okazji do „zasadniczych rozmów”. Dalej wysłuchiwał spowiedzi, ale teraz nie żywił niepokojów, z których zwierzał się Brendanowi. Codziennie odprawiał mszę, czasami w zupełnej prawie samotności, przy bocznym ołtarzu w dużym miejscowym kościele. Coraz więcej czasu, zwłaszcza po odejściu Geralda, spędzał w towarzystwie niewierzących pracowników socjalnych, a coraz mniej z katolikami lub ludźmi „pobożnymi”.

W ciągu tego roku Kato zaobserwował w sobie duże zmiany. Był jak roślina wzrastająca, a jednak nieświadoma znaczenia przemian zachodzących codziennie w jej kształcie i tkankach. Odczuwał coraz większą niezależność, odrębność i w coraz mniejszym stopniu uważał się za dziecko Kościoła. Zaczął nosić sutannę na co dzień, co u księdza katolickiego było niezwykle, i tłumaczył Brendanowi, że jeśli Reggie Poole mógł pokazywać się w stroju hipisa, on może przynajmniej paradować w czarnej sukni, jeśli mu się tak podoba. Czuł się niezależny, ale, pośród wielu interesantów, samotny. „Będziesz za nami tęsknił” – powiedział Brendan. I tak się stało. Po raz pierwszy od kiedy przystąpił do rodziny, jaką stanowił zakon, był zdany na siebie. Oczywiście przez pewien czas towarzyszył mu Gerald, ale jego uprzejma rezerwa sprawiała, że czuł się jeszcze bardziej samotny. Wiele myślał o ojcu i bardzo pragnął zaleczyć tę ranę, myślał o siostrze i pragnąłby widywać ją częściej. Trudno było liczyć na towarzystwo miejscowego proboszcza, ojca Thomasa, który od początku traktował Misję jako chybione przedsięwzięcie i wkroczenie na jego terytorium. Ksiądz świecki i ksiądz zakonny zwykle są skłócenii, ponieważ pierwszy z nich traktuje drugiego jako nie przynoszącą pożytku dekorację, podczas gdy ten drugi odczuwa zwykle swoją wyższość i „większe zaangażowanie”. Wszechstronny praktyk i specjalista są wrogami z urodzenia. Ojciec Thomas patrzył na Katona, Geralda, Reggie’ego i innych członków ich zakonu jak na zepsutych, leniwych zarozumialców,

przeuczonych i zadufanych w swojej cnocie, którzy urządzają sobie wieczne wakacje w klasztorach za granicą, nagle zjawiają się lub ulatniają z miejsc, gdzie wykonuje się solidną robotę, sączą hiszpańskie wina i popisują się znajomością łaciny i greki oraz subtelniej szych zagadnień teologii. Natomiast rozmowy z ojcem Thomasem nudziły Katona, który oburzał się na myśl, że ojciec traktuje go jak niefrasobliwego amatora. Oczywiście Kato i ojciec Thomas, jako uczciwi i szczerzy wyznawcy Pana Boga, byli świadomi swoich przesądów. Nie powstrzymały ich to jednak od cichej walki.

Ludzie, którzy przychodzili do Misji, byli w większości niewykształceni, często nawet niepiśmienni. Nie dziwiło to Katona. Wiedział już, że w bogatym i cywilizowanym społeczeństwie wielu obywateli żyje nie tylko w żalosnej biedzie, ale również nie potrafi przeczytać gazety. Oczywiście nie po to przybył do Paddington, aby utrzymywać stosunki towarzyskie z kulturalnymi ludźmi bądź rozkoszować się samotną kontemplacją. Było mu teraz trudno przestrzegać jakiegokolwiek ścisłej i regularnej dyscypliny religijnej, ponieważ w domu nigdy nie mógł być pewien, że jest sam, nawet w nocy. Wiedział jednak, że ksiądz musi żyć modlitwą wbrew nieustającej wrzawie świata i budować sobie komórkę samotności nawet na zatłoczonych ulicach lub w kolei podziemnej. W ten sposób modlitwa umacnia się i pogłębia; patrząc na ojca Milsoma, widział przykład długiego życia łączącego trywialną uciążliwość pracy praktycznej z całkowitym spokojem w obecności Boga. Kato trzeźwo i ufnie oczekiwał łaski jako siły, która w chwili próby pozwoli mu żyć głębiej, do gruntu własnej istoty.

Kiedy nadzieje te nie ziściły się, Kato na początku nie żywił żadnych obaw. Odczuwaną jałowość duchową przypisywał najrozmaitszym przyczynom naturalnym, takim jak zmęczenie, niedostatek samotności, podenerwowanie związane z przebywaniem na oczach innych, lub wprost tajemniczym rytmem, którym, jak zdążył już stwierdzić, podlega życie duchowe. Jałowość i pustka były na pewno tylko okresem przejściowym. Okazało się po prostu, że cieszyć się miłością do Chrystusa bez częstych poufnych rozmów jest trudniej, niż się spodziewał. Jednakże nie był to okres przejściowy i Kato obudził się pewnego ranka z absolutnym przekonaniem, że jest w błędzie i że Boga nie ma. Przekonanie co prawda osłabło, ale od tego czasu Kato zaczął odnosić się do siebie z ostrożnością i niemal z czułością, jak ktoś, kto odkrył w sobie objawy poważnej choroby i dla kogo świat w rezultacie ma całkiem zmienione oblicze. Brendan złożył mu przelotną wizytę. Kato napomknął: „Mówiąc między nami, straciłem wiarę”. „Głupstwo”. „Bóg zniknął. Nie ma Boga, nie ma Chrystusa, nie ma

nic”. „Spodziewałem się tego”. „Ty się spodziewasz wszystkiego”. „Wszyscy przeżywamy takie zaćmienia”. „Wiedziałem, że tak powiesz. Ale przypuśćmy, że ciemność jest prawdziwa, rzeczywista?” „Wytrwaj”. Brendan wyszedł, potem napisał do niego cudowny list, ale ciemność pozostała.

Brendan nie miał problemów, urodził się w rodzinie katolickiej i kształcił w Downside, od pierwszego tchnienia nasiąkając wiarą. Ci urodzeni katolicy stanowią odrębną rasę. Kato nigdy nie zetknął się ze sprawą wiary. Po prostu nie istniała. Potem zaistniała. Nie kwestionował jej, podobnie jak nie kwestionował światła dziennego. Teraz, kiedy nagle się okazało, że jej zabrakło, zastanawiał się, czy kiedykolwiek ją żywił. Czy wszystko to było całkowicie prywatnym, subiektywnym doświadczeniem, czymś w rodzaju halucynacji wywołanej przez narkotyki? A może dopiero zaczynał doświadczać prawdziwej wiary? Miał tak głębokie odczucie życia w Chrystusie i z Chrystusem, że prawie nie pozostawiało ono miejsca na koncepcję wiary. Czy teraz, po wielu latach, dotarł dopiero do początku drogi? A może zwyczajnie przebudził się ze szczęśliwego snu? Brendan, z którym przy następnym spotkaniu rozmawiał trochę dłużej, nie zlekceważył jego wątpliwości, ale o „ciemnej nocy duszy” opowiadał rzeczy, które Kato sam sobie już powiedział. Kato chętnie porozmawiałby teraz z ojcem Milsomem lub ojcem Bellem, ale ojciec Milsom był chory, a ojciec Bell pojechał do Kanady.

Oczywiście w okresie tej nagłej i niespodziewanej przemiany Kato potrafił się zdobyć na pracę w Misji, której większa część nie miała wyraźnego związku ze sprawami boskimi. Obserwował niewierzących pracowników socjalnych swoich obecnych kolegów. Niektórzy z nich wywierali na nim rzeczywiście wielkie wrażenie. Nie mieli wiary. Prawdopodobnie obce im były wzniosłe pojęcia miłości lub opieki, poczucie obcowania ze światem nadziemskim; funkcjonowali po prostu jak sprawne maszyny, niezmordowane, dbałe, zbawcze, nieustannie zabiegające maszyny. Kato w duchu składał im głęboki pokłon. Byli profesjonalistami. Nie przyjmował nowych penitentów i tylko w nieuniknionych wypadkach wysłuchiwał spowiedzi tych, którzy dotychczas szukali u niego oparcia. W dalszym ciągu odprawiał mszę codziennie, ale była już dla niego martwa, dosłownie wydawało mu się, jak gdyby każdego ranka trzymał w ręku jakąś zmarłą istotę. Stał przy ołtarzu nieobecny, ślepy, niezdolny nadać swoim cierpieniom żadnego religijnego wyrazu.

Decyzja, podjęta nie przez Katona, aby zamknąć Misję, była dla niego jednocześnie pożądana i niepożądana. Zaczął już boleśnie odczuwać swoją fałszywą sytuację kłamliwego, nieprawego nauczyciela, nieomal

szarlatana. Chciał uciec od tych wszystkich ludzi, którzy przyjmowali jako rzecz oczywistą, że jest księdzem, i na swój naiwny sposób uważali go za dobrego człowieka. Z drugiej strony, co stanie się z nim teraz, kiedy nareszcie będzie miał czas na myślenie? Praktyczna wytrwała praca, zajęcie, to, że ciągle był potrzebny i nie mógł się odizolować, nie pozwalało mu dotychczas stawić czoła własnym wątpliwościom ani ich przemyśleć. Przypuśćmy, że teraz, kiedy mógł już poświęcić tej sprawie całą swoją uwagę, zdecyduje, nieodwołalnie i bezapelacyjnie, że nie ma Boga? Dotychczas, wskutek ciągłego zamieszania i odkładania sprawy na przyszłość, groza tej prawdy była dla niego możliwa do zniesienia. Wielkanoc, która właśnie minęła, była jak zły sen, ale udało mu się przebrnąć przez nią w stanie duchowego rozdwojenia. Brendanowi, który ciągle jeszcze był jego spowiednikiem, przekazał dość stonowaną wersję swoich wątpliwości, ale dotychczas nie wspomniał o nich nikomu innemu, i Brendan, który postanowił traktować go „żartobliwie” i nazywał „pocziwym, biednym protestantem”, nie powiedział jeszcze nikomu o jego kłopotach. Oficjalnie Kato miał być teraz na urlopie, z wizytą u ojca. Potem nie miało być już żadnych okresów przejściowych, będzie musiał zdecydować, albo to, co się zdarzy, zdecyduje za niego. Czy będzie dalej posuwał się chwiejnym krokiem, godząc się, a jednocześnie, nie dowierzając i ukrywając swoje wątpliwości, zacznie gorączkowo przekształcać dogmaty, żeby zachować uczciwość? Wielu księży tak robiło. A może, jak mu się teraz wydawało, zniszczy samego siebie, porzucając dom Boży? A może zdarzy się cud, który odnowi jego wiarę?

Jednakże pod koniec tego okresu, kiedy zamykano Misję, kwestia, co Kato zrobiłby lub nie zrobił w innym wypadku ze swoim kryzysem duchowym, nabrała charakteru teoretycznego, ponieważ przydarzyło mu się coś innego, również całkiem niespodziewanego i niezwykłego. Już w pierwszych dniach życia w Paddington, kiedy jeszcze kręcił się tam Reggie Poole, Kato poznał Pięknego Joe. Piękny Joe był jednym z kilku beztrosko „zaniedbanych” kilkunastoletnich chłopców z rodzin katolickich, którzy od początku zaakceptowali Misję i zanudzali jej pracowników, zawracali głowę księżom, robili głupie dowcipy, kradli i czasami przyznawali się do problemów religijnych. Kiedy Misja straciła urok nowości, inni chłopcy stopniowo zaczęli znikać. W każdym razie niektórzy z nich byli „chłopcami Reggie’ego” lub „chłopcami Geralda”. W końcu odeszli, a „chłopcy Katona” odeszli również – prócz Pięknego Joe.

Kato nigdy ani przez sekundę nie uważał się za homoseksualistę. W latach szkolnych koledzy nie budzili w nim żadnych żywszych emocji. W college’u kochał się w dziewczętach, ale jakoś niewiele z tego wynikało. Nie

przerażały go śluby czystości. Oczywiście czuł pociąg do młodych dziewcząt, które przychodziły do niego z takim zaufaniem po radę i spowiadały się z drobnych grzeszków, ale nie sprawiało mu większej trudności trzymanie rąk z dala od swych penitentek. Często myślał sobie, jaka to łaska, że przynajmniej nie ma tego problemu.

Piękny Joe bardzo wcześnie zwrócił jego uwagę jako malownicze i interesujące zjawisko. Joe porzucił szkołę w szesnastym roku życia, choć radził sobie dobrze i nauczyciele nalegali, aby kontynuował naukę. Był niewątpliwie inteligentny. Katolicka rodzina z Holland Park, z której się wywodził, nie należała do najbiedniejszych. Ojciec jego, który zmarł, kiedy Joe miał dziesięć lat, był fryzjerem. Matka pracowała jako sekretarka w szkole podstawowej. W domu były książki. Kato wstąpił tam kiedyś, ale matka Joego okazała tak wielkie zmieszanie, graniczące z wrogością, że nie odważył się przyjść po raz drugi. Joe był najmłodszym z sześciu synów. Inni już dawno opuścili dom, wyjechali z Londynu lub po prostu poznikali. W gruncie rzeczy, jak Kato stwierdził później, Joe również opuścił dom. Kato nie wiedział, gdzie Joe mieszka. Joe był tajemniczy. Jak zdobywał pieniądze, a miał je niewątpliwie, pozostawało również tajemnicą, ponieważ wydawało się, że nie jest nigdzie zatrudniony. „Ten dzieciak to cwany oszust” – powiedział Reggie rzuciwszy okiem na Joego. Kato dopiero po pewnym czasie i z niechęcią musiał się z tym zgodzić.

Jako wybraniec Joego Kato czuł się zaszczycony, ponieważ Joe był z całą pewnością najinteligentniejszym i najprzystojniejszym z małej grupy chłopców, którzy przychodzili do Misji. Najważniejsze jednak, że Joe był jedynym, który, jak się wydawało, potrzebował duchowej rady i skłonny był jej wysłuchać. „Nabiera cię” – powiedział Gerald. „I tak, i nie” – odparł Kato uważając, że zna go lepiej. Niezwykła w ich stosunku była od początku łatwość, z jaką mógł mówić z Joem. Oczywiście Kato potrafił rozmawiać z ludźmi, ale nie umiał w taki sposób, jak na przykład Gerald, po prostu gawędzić z nimi o poważnych sprawach. Z Pięknym Joe gawędzili o Zmartwychwstaniu, o Trójcy Świętej, o Niepokalanym Poczęciu, o Przeistoczeniu, o nieomyślności papieża, o Hitlerze, o buddyzmie, o komunizmie, o egzystencjalizmie – w istocie Kato uprzytomnił sobie później, że mówili prawie o wszystkim prócz seksu. Joe nie wydawał się szczególnie zainteresowany seksem jako tematem dyskusji. „Seks to nudy – powiedział kiedyś – to znaczy, kochać się jest nudno”. Joe miał już wiele dziewczyn, jak wspomniawszy mimochodem. „Czy chciałbyś się ożenić?” – zapytał go kiedyś Kato. „Ożenić? Dziewczyny to szmaty, nie ludzie, ale rasa niewolnicza”.

Kato, niezwykle ciekawy Joego, wkrótce zaczął delikatnie indagować go o inne aspekty jego życia. Joe był nadzwyczajnie, niemal rozbijająco szczery. „Ja miałbym wziąć posadę? Ciekawe, może w banku”. „Więc jak właściwie żyjesz?” „Ściągam różne rzeczy. Tak jest fajnie. Nie wierzę we własność prywatną tak samo jak ty”. „Mógłbyś na pewno robić coś lepszego”. „Pewnie, że mógłbym, przechodzę do ochrony. Namówię kilku smarkaczy, a już oni napędzą sklepikarzom stracha”. „Powinieneś pójść do college'u i uczyć się czegoś”. „Właśnie wczoraj się nauczyłem”. „Czego?” „Jak zaciąć gliniarza żyłką, żeby blizna została”. „Gwałtem nie zdobędziesz niczego, czego naprawdę pragniesz”. „Rzeczywiście? Pokaż facetowi nóż, a on zrobi wszystko. Nieźle, co?” Innym razem powiedział: „Chciałbym wejść do mafii. Znam kogoś, kto zna tam ważnego faceta”. Mówił tak wyraźnie po to, by zaszokować Katona, wywołać kontrargumenty i wyrzuty, ale Kato nie brał tego zbyt poważnie, choć przypuszczał, że Joe rzeczywiście, w niewielkim zakresie, zajmował się „ściągnięciem różnych rzeczy”. Kiedy indziej Joe bywał rewolucjonistą, mówił o wstąpieniu do IRA, zwalczaniu kapitalizmu, rzucaniu bomb na Żydów i protestantów. „Wiesz, jestem anarchista. Normalny świat to zwykła granda, interesy, kapitalizm, telewizja, pieniądze, seks, jedna wielka granda. Zobacz, jak skończyli Beatlesi. Po prostu napchali sobie kieszenie i tyle!”

Kiedy Kato zorientował się, jak bardzo lubi te rozmowy, i zauważył, że bez względu na liczne zajęcia zawsze znajduje czas dla Joego, zaczął się denerwować. Powróciły wszystkie dawne obawy przed podstępem. Robił słabe wysiłki, aby pozbyć się Joego i przekazać go ojcu Thomasowi. „Rozmawiać z tym bałwanem? Jesteś jedynym człowiekiem, ojczu, który mnie rozumie, jedynym, który podchodzi do mnie tak, jak trzeba”. Kato był wzruszony. Nie miał żadnego dowodu, prócz samych długich rozmów, że ma jakikolwiek wpływ na chłopca. Z pewnością jednak lepiej było dalej z nim rozmawiać i zatrzymać go przy sobie niż pozostawić w świecie, o którym mówił tak gładko, a którego obecność wokół siebie Kato zaczął już dostrzegać. Oczywiście Joe nie był „zły”, można go było uratować. To po prostu młody człowiek o odmiennych zasadach, zbuntowany przeciwko społeczeństwu, z którym Kato był skłócony na swój własny sposób. „Jesteś jedynym człowiekiem, któremu na mnie zależy, ojczu, jedynym, który potrafi mnie zrozumieć”. Trudno się było temu oprzeć. Nawet jeśli to tylko w połowie prawda – myślał Kato – muszę zatrzymać tego chłopca przy sobie, cokolwiek miałyby się zdarzyć. Oczywiście już wcześniej zdecydował, że ma obowiązek dalej prowadzić rozmowy z Joem. Dyskutowali na temat własności, kapitalizmu, wolności, często kłócąc się o to

samo kilka razy. Kato posługiwał się elokwencją, perswazją, logiką, wszystkim prócz gniewu. Wiedział, że gniew, którego Joe oczekiwał, byłby najgorszym podstępem ze wszystkich. Z pewnością gdzieś można było posiać ziarno prawdy. Piękny Joe odnosił się do niego z szacunkiem i oddaniem, które mu pochlebiały, ale również z dziwną rezerwą, uparcie podtrzymując pozory, że jest kryminalistą. Czy przyjdzie do spowiedzi? Czy przyjdzie na mszę? Może, kiedyś. Kiedy? Może, może. A może tylko tak się bawi – myślał Kato.

Piękny Joe był teraz stale obecny w modlitwach Katona. Obraz młodzieńca budził jego irytację, podniecenie i litość. Oczywiście kochał go, ostatecznie nic słabszego od miłości nie mogłoby chłopcu pomóc. Jak bardzo go kocha, uprzytomnił sobie nie od razu. Wspomnił kiedyś u Brendana: „Myślę, że zakochałem się w jednym z tych chłopców, tym, którego widziałeś”. „Ten aniołek w sześciokątnych okularach? Nie martw się, wszyscy przepadamy za ślicznymi chłopcami”. Kato nie mógł zmusić Brendana, aby zaczął poważnie traktować jego nową sytuację. Poza tym powstało teraz inne, znacznie okropniejsze pytanie: czy jest Bóg? Pewnej ohydnej bezsennej nocy, paląc papierosa za papierosem (znowu zaczął palić), Kato nagle się zorientował, że te dwie sprawy muszą być i na pewno są ze sobą powiązane. Może Piękny Joe został specjalnie zesłany po to, aby go kusić. Kiedy zaczął wątpić o Bogu? Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w jego życiu pojawił się Piękny Joe. Czy chłopiec nie bawił się nim, chłodno go wypróbowując, wkradając się do jego duszy i wprowadzając zamęt do umysłu? Ta dziwna, żartobliwa i cyniczna rezerwa, jak to możliwe, by siedemnastoletni chłopiec zachowywał się tak chłodno i z takim dystansem?

Oczywiście były to myśli szalone, jak stwierdził podczas następnej rozmowy z Joem, który tym razem nie miał już w sobie nic z demona, ale wyglądał jak zmieszany, niemądry, bezbronny chłopiec, potrzebujący Katona i opierający się na nim, chłopiec, do którego tylko on potrafił dotrzeć. „Idę ściągać rzeczy ze sklepów”. „Dobrze”. „Pojadę do Belfastu zabijać te protestanckie świny”. „Nie, nie pojedziesz”. „Naprawdę, ojcze?” „Chciałbym móc zajrzeć do twojego serca”. „Możesz”. Ale Kato nie mógł. Bolało go własne wezbrane serce. Kiedy patrzyli na siebie, Kato pierwszy odwracał wzrok. A przecież Joe był szalenie taktowny, potulny, nie ujawniał swoich uczuć, ich stosunek jako stosunek księdza i ucznia naznaczony był dziwną poprawnością.

Mniej więcej w okresie, gdy Misja oficjalnie zamykała podwoje, Kato dokonał w domu pewnego odkrycia. W jednej z sypialni zauważył szafę w ścianie dokładnie zaklejoną tapetą i prawie niewidoczną, z wyjątkiem

pewnych momentów, gdy do pokoju wpadało słońce. Drzwiczki nie miały uchwytu, tylko dziurkę od klucza. Szukając koców, które zapewne zostały skradzione, Kato zaczął dobierać się do szafy palcami, potem nożem i wreszcie siłą wyważył drzwi. Koców nie było, ale wepchnięty głęboko na jedną z półek leżał rewolwer w skórzanym futerał. Kato wyjął go i obejrzał. Futerał był czysty, a rewolwer świeżo wypolerowany. Niewątpliwie należał do Joego. Joe miał klucz od domu, który Kato w odruchu zaufania kiedyś mu ofiarował. Szafa stanowiła bezpieczną skrytkę, jakiej zapewne Joe nie mógł znaleźć u siebie. Kato wahał się, co ma zrobić. Schował rewolwer w łóżku i kiedy Joe odwiedził go następnym razem, nic nie powiedział. Zastanawiał się, czy nie krzywdzi chłopca posądzeniem. Potem jednak broń ukryta w domu zaczęła go mocno niepokoić.

Kilka razy odchyłał koce, przyglądał się jej, dotykał. Wreszcie zabrał rewolwer i z mostu Hungerford spuścił do Tamizy. Stało się to ubiegłej nocy.

Teraz, przypalając sobie palce papierosem, patrzył na Pięknego Joe, a w głowie grała mu nieustająca katarynka, niby paplanina idioty – automatyczny mechanizm modlitwy, która bezowocnie toczyła się wbrew jego woli i na przekór sercu. Nie kończące się błaganie, wołanie o litość, wołanie o światło, które kiedyś natychmiast przywracało mu siły, teraz przypominało raczej nieprzyzwoity bezwolny objaw jakiejś choroby. Ponieważ nikt go nie słyszał, myśli pędziły mu w głowie jak szalone. Nagle wydało mu się, że skoro Bóg nie istnieje, dlaczego nie ma wszystkiego tego, ale to wszystkiego, powiedzieć Joemu? Pomysł ten jednak szybko się ulotnił. Zgasił papierosa i po raz pierwszy pomyślał trzeźwo – nie mogę pomóc temu chłopcu. Nasze stosunki to niebezpieczny kłębek nonsensów. Muszę się z nim rozstać raz na zawsze. Nie mogę nic, ale to nic dla niego zrobić. Muszę się z nim pożegnać. Dziś wieczór: Rozumując logicznie, to jest najlepszy moment. Już teraz, o mój Boże! Nie trzeba robić dramatu. Muszę się ratować. Muszę gdzieś odejść i spokojnie wszystko przemyśleć. Znaleźć się z powrotem w jakimś neutralnym miejscu, skąd wszystko widziałbym jasno.

– Gdzie się spotkamy, ojcze? – powiedział Piękny Joe, patrząc prosto w twarz Katona powiększonymi przez okulary, złotymi jak u żbika oczyma.

Jaki on chudy – pomyślał Kato – jaki strasznie kruchy i bezbronny.

– Joe, chciałbym wyciągnąć cię z tego błota.

– Jakiego błota?

– Wiesz jakiego.

– No więc weź mnie za rękę i ciągnij. – Joe wyciągnął rękę. Kato jakby jej nie zauważył.

– Masz rozum, masz rozsądek i nic nie rozumiesz?

– Zabierz mnie ze sobą.

– Dokąd?

– Tam, dokąd idziesz.

– Nie mogę.

– Jak tylko zrobię trochę pieniędzy, to się wycofam, będę się uczył, czytał, przeczytam wszystkich klasyków.

– Chciałbym, żeby to była prawda!

– Ale najpierw muszę zrobić pieniądze i sprawdzić, czy potrafię wygrać swoją własną grę. Wiesz przecież, że do tej psiej gonitwy ja się nie nadaję.

– Joe, jeśli zejdziesz w życiu na złą drogę, nie będziesz w stanie z niej zawrócić, jeśli raz posłużysz się gwałtem i dasz się w to wciągnąć, staniesz się po prostu narzędziem w ręku złoczyńców.

– Kto mówi o gwałtach, ojczy? Nie bierz tak poważnie tego, co mówię. Tak czy owak, bez gwałtu się nie obejdzie, prawda? Gliny też stosują gwałt, no nie? IRA musiała użyć gwałtu, inaczej nie znalazłaby sprawiedliwości, w kapitalizmie nie ma sprawiedliwości bez gwałtu, spójrz na związki zawodowe. W gruncie rzeczy, jak się tak dobrze zastanowić, to wszystko opiera się na gwałcie.

– Nie, nieprawda, Joe, słuchaj.

– Tak czy owak, kapitalizm się kończy. Dlaczego paru ludzi ma mieć wszystko, a wszyscy inni nic? Spójrz na Ladbroke Grove, tu masz cały świat kapitalizmu. Zafajdani milionerzy z jednej strony, a my z drugiej. Nic dziwnego, że potrzebują wojska i policji! To społeczeństwo jest do gruntu przegniłe, wiesz o tym równie dobrze jak ja, dlatego od niego odszedłeś, dlatego mieszkasz tutaj, dlatego tak się ubierasz. Ja to rozumiem. Wiesz, że majątek to rzecz zła, niesprawiedliwa, dlatego nic nie masz. Byłeś w Oksfordzie, ale jesteś tak samo biedny jak my. Miałeś czajnik elektryczny, no i ktoś go ukradł.

– Przypuszczam, że to ty.

– Ludzie to zwykli niewolnicy, inaczej by tego nie zniesli, nie zniesliby głodu i nędzy, kiedy tylu milionerów ma jachty, dlaczego mieliby to

znosić? Ale są niewolnikami. Zupełnie jak Żydzi. Czytałem w gazecie o tych wszystkich obozach. Dlaczego Żydzi tam szli jak cholerne barany, dlaczego nie walczyli? A w obozach, tam była ich masa, dlaczego dali się zagazować, dlaczego nie zabijali strażników? Ja na ich miejscu bym się bił.

– Nie byli zorganizowani – powiedział Kato. – I nie byli żołnierzami. Gwałtu trzeba się nauczyć. To była po prostu masa zwyczajnych spokojnych obywateli, wyciągniętych z biur i sklepów. Masa przerażonych jednostek; każdy chciał przeżyć i prawdopodobnie myślał, że przeżyje, jeśli będzie cicho siedział. Nikt nie chciał ryzykować, że go rozstrzelają lub wezmą na tortury.

– Cholerni tchórze. Ja bym mordował te faszystowskie świny własnymi rękami, tak bym ich nienawidził. Tak czy owak, stary Hitler wiedział coś niecoś, podziwiam go.

– Łatwo jest mówić o oporze już po wszystkim. Oni nie wiedzieli, co się dzieje.

– Wiedzieli swoje. Wiedzieli, że jakiś facet mierzy do nich z karabinu i zabiera ich rzeczy.

– No właśnie. Ludzie boją się karabinów.

– Właśnie, boją się. I wiesz, to zabawne, jak cholernie łatwo jest kogoś zastraszyć. Nie każdy wie, jakie to łatwe, ale tak jest.

– Przypuszczam, że tak. Więc widzisz.

– Cholernie łatwe. Nawet gołym nożem. Mam nóż, istne cudo. Kiedyś na drodze nastraszyłem nim dziewczynę, nagle wyciągnąłem, wymierzyłem jej w brzuch, no i narobiła wrzasku! Pokaż im tylko nóż, a każdy robi wszystko, dziewczyny się rozbierają, bogate skurwysyny oddają portfele, wszystko...

– Jeśli ty...

– Chcę napisać piosenkę. Mam już tytuł: *Strach to nóż*.

– Joe, jeśli dalej będziesz się w to bawił...

– No więc wiesz, że to tylko zabawa, znasz mnie, nastraszyć kilku szczurów, to nic nie szkodzi. Ale nie chcę być niewolnikiem. Spójrz tylko na ludzi, takich zwykłych, jakich pełno wszędzie, koło trzydziestki są skończeni, mogliby równie dobrze nie żyć, głupie świńskie ryje, myślą tylko o telewizji i futbolu, tu masz cały swój materializm. Ja będę inny, nie jestem materialistą. Wiem, że jestem kimś, chcę być inny. Ważny. Trzeba

być ekspertem. Wtedy ludzie się boją, tak jest. A kto jest na samej górze? Ci, co sięją strach. Ściąganie ze sklepów to nic. To tylko protest, dziecinne zabawki. Ci na górze nie bawią się w ściąganie, ale umieją nastraszyć mniejszych. Tak robi mafia, potrafi zastraszyć wszystkich innych zbirów, śmiechu warte, i tak samo wygląda cała ta ich ochrona. A Hitler robił to samo, dlatego był ważny. Chciałbym być ważny, sławny. Nie chcę być ofiarą systemu jak wszyscy inni. Jak będę się grzebał w garażu przy jakichś zaszranach samochodach za parę pensów tygodniowo, to kim będę? Nikim i niczym. A ja mam w sobie coś. Muszę tylko znaleźć swoje miejsce, swoją drogę, moją drogę. To cała wolność. Większość ludzi się boi, boją się wolności, to barany, krety, wola gapić się w telewizję z rozdziawioną gębą, ja chcę być inny.

– W porządku, bądź inny, rusz głową, skoro ją masz na karku. Myślisz, że chcę, żebyś był krety? Nie mówię wcale, że masz pracować w garażu. Zdobądź wykształcenie, to droga do wolności, to jest droga wyjścia...

– Nie mam czasu, ojciec. Nie mam siły. Chciałbym być bokserem, im łatwiej o sławę. Ja chcę już teraz żyć pełnią życia, mieć coś konkretnego, pieniądze, bawić się. I zdobędę je, zobaczysz, będziesz zaskoczony...

– Sam będziesz zaskoczony, jak cię powieszają.

– Nie, teraz już jest inaczej, dadzą dziesięć lat, a po sześciu wypuszczają! Chciałbym kiedyś zabić człowieka, chciałbym tak kogoś zrobić, po prostu żeby zobaczyć, jak to jest. Nie martw się, ojciec, żartuję przecież! Ale nie będę baranem, wolałbym umrzeć.

– Joe, znalazłem rewolwer, czy to twój?

Piękny Joe, którego szczupłe dłonie właśnie skończyły fryzować włosy w jasną grzywę, nagle zamarł, mocno zaciskając usta. Po chwili położył znowu ręce na kolanach i skrzyżował je z zastanowieniem.

– W tej szafie?

– Tak.

– Zabrałeś go?

– Zeszłej nocy wrzuciłem go do rzeki.

Joe umilkł i ciężko oddychał, jakby mu zabrakło tchu. Szarpnięte do tyłu krzesło zaskrzypiało. Nagle poczerwieniał.

– Jak mogłeś? Należał do mnie. Był mój.

– Nie potrzebujesz żadnych rewolwerów. Jedyne, co mogłem dla ciebie zrobić, to go zabrać.

– Jest mój, jest piękny... nie rozumiesz... tak bardzo mi zależało... nigdy ci nie przebaczę, nigdy, nigdy, nigdy.

– Joe, wiesz przecież...

– Nienawidzę cię za to, tylko za to, będę musiał... nie rozumiesz, jakie on dla mnie miał znaczenie, mój rewolwer... Boże, ale ze mnie głupiec, żeby go tu zostawiać...

– Och, nie bądź dziecinny! – powiedział Kato. – Wyglądasz, jakbyś miał dziesięć lat.

Joe zamknął oczy, potem otworzył je i podniósł do ust kubek, który stał nie tknięty na podłodze. Uśmiechnął się, wypił, a potem zaśmiał się cichym staccato.

– Nic nie szkodzi, nie był prawdziwy, to tylko straszak.

– Nie kłam.

– No cóż, nie ma go. Naprawdę wrzuciłeś go do rzeki? Chciałbym to zobaczyć. A więc odchodzisz, ojciec. Gdzie się spotkamy?

– Nie wiem – odparł Kato. – Odchodzę daleko, bardzo daleko, i nie mogę...

– O tak, możesz. Musimy się spotykać, musimy rozmawiać. Tylko z tobą mogę mówić, nie wiesz nawet, jak wielką gwiazdą jesteś w moim życiu, jedynym człowiekiem, który nie jest okropnie zepsuty, jedynym, który...

– Joe...

– Nie zostawiaj mnie, to dla mnie koniec, chyba oszaleję...

– Dobrze, przyjdę...

– Ty mnie rozumiałeś, widziałeś we mnie coś, wiedziałeś, że jestem coś wart...

– Dobrze, dobrze. Zobaczymy się... w następny wtorek... o tej porze... tutaj...

Henryk Marshalsen stał nieruchomo przy żelaznej bramie parku; jego szczupła postać stapiała się z ciemnym tłem bluszczu na murze i ktoś

idący ścieżką mógłby go wziąć za słup w ogrodzeniu lub w ogóle nie zauważyć w wieczornym półmroku.

Umyślnie przyjechał o kilka dni wcześniej, nie zawiadamiając matki o przyjeździe. Bagaż pozostawił w londyńskim hotelu, spakował tylko niewielką torbę i po obiedzie wyruszył na dworzec. Kiedy poprosił o bilet do przystanku Laxlinden, nie zrozumiano go. Stacja najwidoczniej przestała istnieć. Wziął bilet do następnej stacji na tej samej linii i stamtąd dotarł autobusem do wioski Laxlinden. Kapelusz trilby, który zachował tak długo ku ucieście Russa i Belli, naciągnął głęboko na czoło. Nie spotkał nikogo znajomego. Dwie mile z wioski do dworu przemierzył już prawie po ciemku.

Żywopłaty były ścięte, a droga poszerzona. Ale poza tym wszystko wyglądało jak dawniej. Najpierw trudno mu było odtworzyć drogę w wyobraźni, ale na każdym zakręcie uświadamiał sobie dokładnie, co zobaczy za chwilę: oto stara stodoła, wielka jak katedra, szereg wiązów na płaskiej zielonej linii horyzontu, skrawek kanału i czapla łowiąca ryby, cofnięta trochę gospoda Pod Koniem i Koniuszym, dwie chaty parobków w pobliżu (chaty przerobione zostały na elegancki mały domek), bród, nie, brodu już nie było i w tym miejscu stał koszmarny betonowy mostek; dalej rozciągał się piękny widok na dom Forbesów, Leśną Zagrodę, za Dębową Łąką, wreszcie sama łąka, teraz obsiana koniczyną, i okryty mgiełką pączków wielki dąb, od którego wywodziła się nazwa łąki, a na koniec syderytowy mur parku, za którym widniały ciemne drzewa iglaste. Wzdłuż porytej drogi wyrosła masa pędów czarnego bzu, pod którymi zakwitały blade gęste kępy pierwiosnków. Tu i ówdzie widać było lekko sine plamy fiołków. Idąc, Henryk sam siebie obserwował. Odczuwał spokój, a nawet chłód, zupełny chłód. Wieczór był cichy i bezwietrzny, przeniknięty wonią wilgoci. Niedawno padało, droga była mokra i trochę błotnista. Minęło go kilka samochodów, niektóre z zapalonymi światłami. Niewyraźna linia drogi rozwijała się przed nim jak gdyby na jego rozkaz we śnie na jawie. Myślał o tych ciemnych, a przecież jarzących się zboczach łąk i spokojnych samotnych drzewach.

Dopiero przy samym ogrodzeniu i żelaznej bramie parku coś, czego się spodziewał, spadło na niego z całą siłą. Ostrożnie postawił torbę na ziemi i stał całkiem nieruchomo, wciągając powietrze wolno i głęboko. Potem nagle rzucił się na bramę całym ciałem, ściskając mokre pręty rękami. Kapelusz spadł mu z głowy. Henryk osunął się, zawisł na bramie jak gdyby przypięty, kołysząc podkurczonymi nogami, a metal wrzynał mu się w ciało, pozostawiając mokre, zimne ślady. Zamknął oczy. Przycisnął policzek do pręta i na wargach pozostała mu woda deszczowa. Przytulił się

do żelaza w gwałtownym przypiływie uczucia, jak gdyby ta stara brama była pierwszą rzeczą w jego sennej podróży, która zapamiętała i wypowiedziała jego imię. Po chwili, kiedy już zdawało się, że osuwa się na kolana, odzyskał równowagę, otworzył oczy, podniósł i czupurnie nałożył kapelusz. Otrzepał garnitur i rozpięty płaszcz, chwycił torbę i pchnął bramę. Szczęknęła i ustąpiła pod jego naciskiem, ale zaraz się zacięła. Przyjrzał się jej bliżej i zobaczył, że jest związana łańcuchem zamkniętym na kłódkę. Szarpnął kłódką bezskutecznie i cofnął się.

Teraz widział dokładnie, że podjazd za bramą jest zarośnięty chwastami, a tuż za żelazną kratą wyrósł rząd szczawiu i młodych pokrzyw. Musieli zmienić wejście. Teraz korzystali pewnie z krótkiego podjazdu z drugiej strony i nie dbali już o utrzymanie dłuższego, który przestał być użyteczny. Henryk zawahał się, odszedł, znowu wrócił. Był to jego trakt. Jak duch odczuwał, że musi iść swoją własną drogą. Przerzucił lekką torbę ponad bramą tak, że wylądowała w pokrzywach. Zastanawiał się, czy łatwiej będzie wspiać się na bramę, czy na mur, i wybrał bramę. Początek był łatwy, wystarczyło wciągnąć się na poprzeczny pręt, który biegł na poziomie jego piersi. Następny kawałek wydawał się nie do pokonania, dopóki z boku nie znalazł jakichś osypujących się występów w murze; trzymając się bluszczu, przerzucił jedną nogę górą nad szpikulcami, a potem ostrożnie opuścił niepewną stopę tak, że sięgnęła pręta. Kapelusz znowu spadł mu z głowy, szczęśliwie od strony parku na podjazd. Ciało przypomniało mu, że nie ma już lat dwudziestu.

Henryk podniósł wilgotny, odrobinę zabłocony kapelusz, chwycił torbę i ruszył podjazdem, próbując zachować spokój. Rosnące wśród żwiru chwasty za każdym krokiem smagały go lekko po nogawkach spodni. Nieruchome wieczorne powietrze delikatnie nasycalo się wątlą, prawie namacalną ciemnością, która ukazywała jak gdyby, wydobywała raczej, niż ukrywała kępy krzewów i drzew po obu stronach drogi. Nierówno skoszona, nie strzyżona trawa połyskiwała szarawą wilgocią. Gdzieś niedaleko kos wyśpiewywał długą, skomplikowaną i namiętą pieśń. Słysać było spokojny i przekonujący odgłos kapania. Henryk wdychał chłodny, dżdżysty zapach ziemi. Robił to po raz pierwszy od dziewięciu lat. Był to zapach Anglii. Zapomniał już o tym wszystkim. Zapomniał o denerwującym, niesamowitym klimacie wiosny angielskiej. O tym, jak pachnie i jak kapie.

Podjazd zakręcał i drzewa się rozstały. Na lewo ciemność, niby potężna ściana, to żywopłot z cisów. Dawniej stały tam posągi, ale teraz wyglądało na to, że zniknęły. Na wprost otwierała się przestrzeń promiennego nieba, ciemnego, bo nasyconego rozproszonym błękitem, jak

gdyby noc zawisła w drobnych niewidzialnych cząsteczkach. Jedna duża jasnożółta gwiazda płonęła w otoczeniu innych, które Henryk stopniowo odkrywał, drobne jak główki od szpilek, niezdolne prawie przebić się przez promienny błękit zmierzchu. Mrużąc oczy, spojrzał na rozpościerające się przed nim połacie trawy. Przez chwilę przyglądał się rozsypanym tu i ówdzie zagadkowym plamom jarzącej się bieli, aby oczywiście rozpoznać narcyzy, wszystkie białe, bo ojciec nie znosił innych. Kos umilkł. Gwiazdy błyszcząły jaśniej. Jeszcze jeden zakręt podjazdu i zatrzymał się przed domem.

Dwór miał kształt litery L, której jedną część stanowiły pozostałości ceglanego domu w stylu królowej Anny, do którego około 1740 roku dobudowano pod kątem prostym trochę niższy dom kamienny. Teraz Henryk stał przed tą długą fasadą, z kilkoma oświetlonymi oknami malującymi się jak mleczne prostokąty w jej niewyraźnej bryle. Na tle granatowego nieba wypełzał ciemniejszy zarys płytkiego dachu. Za domem niewidoczny teren opadał ku jezioru. Rozjaśniło się trochę. Za zagajnikiem z drzew iglastych, tuż nad ramieniem Henryka, pojawił się jasny półksiężyc, posrebrzył dachówki, rzucając pod wystające okapy podwieszone cienie. Skoszona trawa, równa jak dywan, była szara i ciężka od wilgoci.

Tuż przed nim coś drgnęło i Henryk wyteżył wzrok. Wśród krzaków poruszał się drobny, ciemny kształt, potem oddzielił się od nich i zaczął bezgłośnie sunąć po trawniku. Zatrzymał się i Henryk rozpoznał sylwetkę lisa.

Ciemność, która była lisem, zdawała się wpatrywać w ciemność, która była Henrykiem. Potem, bez pośpiechu, odsunęła się i po chwili zniknęła w wyższej trawie otaczającej brzozy lasek za domem. Henryk znowu spojrzał w stronę domu. Potem nagle usiadł na trawie. Ogarnęła go jakaś gwałtowna, potężna i przejmująca myśl – zorientował się, że oto pierwszy raz w życiu, prawdopodobnie od najwcześniejszego dzieciństwa, ogląda dwór, nie myśląc o nim jako o „dworze Sandy’ego”. Z okresu przed śmiercią ojca niewiele pamiętał. Zachował jednak w świeżej pamięci pierwszych zabaw na tarasie słowa Sandy’ego: „To mój dom, gdybym chciał, mógłbym cię wyrzucić”. „Nie mógłbyś”. „Mógłbym”. „Nie mógłbyś!”

Po chwili Henryk powstał cały mokry. Nie wiadomo dlaczego, nie podłożył płaszcza. Bezskutecznie próbował otrzepać spodnie z wilgoci. Podniósłszy torbę, cicho i ostrożnie jak lis zaczął iść trawnikiem na przelaj, pozostawiając za sobą pasmo wodnistych śladów wijące się w świetle księżyca. Zszedł z podjazdu, który skręcał w lewo i biegł dookoła domu aż do drzwi frontowych z drugiej strony, a potem w kierunku stajni,

gdzie łączył się z drugim podjazdem prowadzącym na drogę do Dimmerstone. Henryk chciał się zjawić niespodziewanie, ale nie miał bynajmniej zamiaru przyjeżdżać w nocy. Pojawiając się o tej porze, czuł obawę i wiedział, że może budzić lęk. Przede wszystkim jednak, w miarę jak zbliżał się lisim krokiem do domu, ogarniało go przejmujące, czułe i bolesne wzruszenie, coś na kształt pragnienia, aby uczcić, klęknąć i ucałować ziemię. Cóż jednak miałyby być przedmiotem jego czci? Stawiając stopę na pierwszym z trzech stopni prowadzących na taras, poczuł mdłości, wyraźny odruch wymiotny, który musiał stłumić i zahamować. Drugi stopień był pęknięty, odłamany na rogu, w którym rósł tymianek. Wyczuł stopą pęknięcie i miękkość tymianku. Zatrzymał się ponownie na tarasie, starając się uzbroić w chłód. Nie wolno mu płakać. Będzie chłodny, twardy, jeśli to możliwe, nawet sardoniczny, nie będzie zdejmował maski. Inaczej musiałby po prostu się rozbeczeć. Przywołał na pomoc całą starą nienawiść i czuł, jak wyłania się z chłodu, udzielając mu błogosławieństwa. Tego właśnie było mu potrzeba, to go uodporni, Bogu dzięki.

W bibliotece, na parterze, paliły się światła. Opuszczane wiktoriańskie okna-drzwi, sięgające od podłogi do sufitu, ocieniały zasłony. W złocistych rzutach światła na tarasie widać było brunatne mokre kamienie i włochate kopczyki żółtozielonego mchu. Henryk postawił torbę i podszedł do najbliższego okna, skąd przez szparę w zasłonie mógł zobaczyć, co się dzieje w środku.

Najpierw dostrzegł, tuż naprzeciw siebie, gobelin i wyciągniętą rękę bogini zanurzoną w bujnych włosach bohatera. Choć paliły się tylko dwie lampy, wewnątrz pokoju oślepiało go i nie mógł się zorientować w jego kształcie. Potem odezwały się wspomnienia, poruszył głową i zobaczył pośrodku pokoju wielki okrągły stół pokryty gazetami, z opadającą czerwoną narzutą, i wysoki chiński parawan, który zasłaniał drzwi. Przez chwilę wydawało mu się, że pokój jest pusty, potem dostrzegł matkę. Gerda stała przy kominku, niezupełnie w polu jego widzenia, i patrzyła w ogień, oparta jednym kolaniem o kratę. Miała na sobie długi szlafrok z niebieskiej wełny, w miejscach fałd poznaczony długimi smugami cieni, z kapturem lub rodzajem kołnierza, uniesionym tak, że zakrywał do połowy jej włosy. Szlafrok rozchyłał się na kolanie, ukazując kawałek brązowej pończochy i aksamitny ranny pantofel. Nie ma siwych włosów, pomyślał w pierwszej chwili, albo je farbuje. Ale twarz miała dużo, dużo starszą; i zaskoczony jej widokiem, zorientował się po raz pierwszy, jak bardzo w pewnym sensie pragnął, żeby ciągle jeszcze była młoda i piękna. Wyglądała na tęszą, twarz miała pulchniejszą, o zgrubiałych rysach, choć

bez zmarszczek. Usta wydawały się większe, bardziej męskie. Przypominała trochę Sandy'ego. Henryk na chwilę zamknął oczy: kiedy otworzył je, zobaczył, że matka nie jest w pokoju sama. Z głębi potężnej starej kanapy po drugiej stronie kominka wystawała pod ostrym kątem para nóg w spodniach i długich butach, choć nie było widać ich właściciela. Jest z nią mężczyzna – pomyślał Henryk, mocno zdziwiony. Westchnął i oparł się o drewnianą framugę okna. Coś spadło na ziemię, pewnie wykruszony rękawem kawałek tynku. Gerda obróciła się do niego twarzą, zrobiła krok i krzyknęła.

Henryk cofnął się w popłochu, potknął o torbę, potem wykrzyknął: „Halo!”, i zaczął pukać w okno. Dostrzegł w cieniu twarz matki tuż przy sobie, wytrzeszczającą oczy przez szybę.

– Przepraszam, to ja – powiedział.

Usłyszał, jak Gerda szamoce się i otwiera zamek. Długa dolna część okna podniosła się tajemniczo i bezdźwięcznie i Henryk wszedł do pokoju.

Spojrzał prosto w oczy Gerdy, która cofnęła się, robiąc mu miejsce. Potem obrócił się i zaczął ściągać okno. Kiedy to robił, matka, próbując go ucałować, objęła się o jego ramię. Nastąpił niezręczny, zdawkowy uścisk i Henryk zamknął okno; zatrzaszkując zamek, poczuł, że zapamiętał jego mechanizm. Obrócił się i stwierdził z przykrością, że gościem matki jest Lucjusz Lamb.

– Jak się masz, mamó. Jak się masz, Lucjuszu. Przykro mi, że zjawiam się w taki sposób.

Lucjusz postąpił naprzód, okrążając stół z drugiej strony, i ujął Henryka za rękę. Teraz widać było, że od góry ubrany jest w granatowy sztruksowy żakiet, białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i wrzosowy jedwabny szalik. Postarzał się bardzo, nawet od czasu spotkania w Nowym Jorku; rozwiane włosy prawie całkiem już zbielały, a brunatna twarz miała więcej zmarszczek. Wyglądało na to, że doczekał się również sztucznej szczęki.

– Bąku, kochany chłopcze, nareszcie w domu!

– Cieszę się, że jestem z powrotem – powiedział Henryk, uwalniając rękę z uścisku Lucjusza i przechodząc w stronę kominka obok matki. – Wiem, że to trochę późna pora, ale nie wiedziałem, że pociągi już tu nie przystają.

– Ale dlaczego nie dzwoniłeś? Spodziewaliśmy się ciebie dopiero za tydzień.

Henryk nie odpowiedział, pochylił się w kierunku kominka, nieświadomie przybierając tę samą pozę, w jakiej przed chwilą zastał matkę.

– Musisz coś zjeść – ciągnęła Gerda. – Teraz jadamy wcześniej, ale... Nie masz bagażu?

– Ach, rzeczywiście, jest na tarasie.

– Przyniosę go, przyniosę – zawołał Lucjusz i rzucił się do okna. Wrócił i wręczył Henrykowi torbę.

– Zamknij okno, jeśli łaska – powiedziała Gerda, wpatrując się w Henryka surowym, zdumionym wzrokiem. Henryk przyglądał jej się przez chwilę i w uporze, z jakim tłumila uczucia, dostrzegł jakieś podobieństwo do siebie. – Jak tam podróż? Czemu nie zdejmiesz płaszcza?

Henryk zdjął płaszcz, rzucając go na podłogę, a uśmiechnięty Lucjusz, który właśnie zamknął okno, podniósł go skwapliwie i rozłożył na kanapie.

– Nie tutaj – rzuciła Gerda. Starannie powiesiła płaszcz na oparciu krzesła. – Jest całkiem przemoczony. Czy w Londynie padało?

– Prawie wcale. To znaczy – mżyło. A tu was nic się nie zmieniło. – Nie chciał ani na chwilę przerwać rozmowy z obawy, że stanie się coś strasznego.

– Niewiele jeszcze widziałeś – zauważyła Gerda. – Sprzedaliśmy Dębową Łąkę,

– Dębową Łąkę. Ach, tak.

– Johnowi Forbesowi.

– Ach, tak. Czy Kato Forbes jest w domu? Co się z nim dzieje?

– Jest w Londynie – powiedział Lucjusz. – Wiesz, że został księdzem?

– Księdzem? To znaczy księdzem katolickim?

– Tak, czy to nie okropne? – dodała Gerda. – O mało nie dobił swego biednego ojca.

– Wyobrażam sobie. Skończyłeś książkę, Lu ej uszu?

– No cóż, nie... hm...

– Miło mi cię widzieć. Przyjechałeś na dłużej?

– Lucjusz teraz z nami mieszka – oznajmiła Gerda.

– No cóż, niezupełnie, jestem tylko, to znaczy twoja matka jest tak miła... mam nadzieję, Bąku, że nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie ma – orzekła Gerda.

– Proszę, nie nazywaj mnie „Bąkiem” – zaprotestował Henryk.

– Przykro mi, nie...

– Która tu u was jest godzina? – zapytał Henryk.

– Mniej więcej kwadrans po ósmej. Koniecznie musisz coś zjeść. A może jesteś po obiedzie?

– Tak, dziękuję – skłamał Henryk.

– Rhoda może ci coś odgrzać...

– Nie rozstałaś się jeszcze z tą śmieszna dziewczyną? Chyba pójdę prosto do łóżka, mam, jeśli pozwolisz. Miałem tylko jedną przesiadkę w Chicago i czuję się dość dziwnie, mieszają mi się pory dnia i nocy...

– Łóżko jest przygotowane w twoim dawnym pokoju. Nie napiłbyś się czegoś gorącego? Lucjuszu, zadzwoń, jeśli łaska.

– Nikt nie usłyszy – odparł Lucjusz. – Rhoda na pewno już śpi.

W tym momencie ptasiogłowa Rhoda weszła do pokoju. Henryk się obrócił. Rhoda, w ciemnej skromnej sukni, która służyła jej jako mundurek, podeszła bliżej.

– Rhoda! – Henryk wziął ją za rękę i pocałował w policzek, łapiąc się natychmiast na tym, że zrobił coś dziwnego. Usłyszał westchnienie matki.

– Może nastawisz piecyk elektryczny w pokoju pana Henryka i włożysz mu termofor do łóżka?

Henryk, który w pierwszej chwili pomyślał, że nie wypada całować służących, przypomniał sobie, że nie ucałował własnej matki. Nagle zachciało mu się śmiać.

– Musisz coś zjeść, Henryku.

– Ciągłe to powtarzasz, mam. Może zjem jakąś kanapkę na górze.

– Rhodo, może przygotujesz kanapki dla pana Henryka. Na co masz ochotę, kochanie?

– Cokolwiek, cokolwiek, cokolwiek.

– I gorącą kawę, zupę...?

- Whisky – poprosił Henryk.
- Napij się tutaj – powiedział Lucjusz. – Ja sam napiłbym się kropelkę.
- Nie, dziękuję.
- Rhodo, przynieś whisky...
- Szkockiej – dodał Henryk.
- Na górę, do pokoju pana Henryka. Czy wolisz z wodą sodową, kochanie, czy...
- Nie. Wszystko jedno. Dobranoc. Przepraszam. Jestem potwornie zmęczony. Dobranoc.

Henryk chwycił torbę i niepewnym krokiem wysunął się z pokoju. W hallu było ciemno i nagle poczuł się zagubiony, niepewny, jak ma iść dalej, dopóki ptasiogłowa Rhoda, która wyszła za nim z biblioteki, nie wyprzedziła go, zapalając światła, a potem nie zniknęła. Usłyszał, jak jej bardzo lekkie kroki odbijają się echem o podłogę, a potem odpływają przez wahadłowe drzwi w kierunku pomieszczeń kuchennych. Wstępując na schody, obejrzał się za siebie, ale drzwi biblioteki były zamknięte.

Szerokie, kręcone dębowe schody wychodziły na rozległy podest z wielkim owalnym oknem, a potem dzieliły się na dwa biegi prowadzące na pierwsze piętro. Stopy Henryka odruchowo skierowały się na lewo. Idąc pustym, jasno oświetlonym górnym podestem, próbował uciszyć rozbrzmiewające kroki, minął drzwi, za którymi znajdowały się schody dla służby, i przeszedł innymi drzwiami, a potem w górę krótkimi schodami na pierwsze piętro pawilonu „królowej Anny”, zbudowane na wyższym poziomie, jako że dom położony był na stoku. Kiedy mijał drzwi, temperatura, według amerykańskiej miary i tak niska, spadła jeszcze o kilka stopni, a wilgotny zapach pleśni dodatkowo potęgował wrażenie chłodu. Skręcił na prawo w stronę swojego pokoju; na podeście paliło się światło. Otworzył drzwi i zobaczył, że w pokoju włączono już kominek elektryczny. Zapalił lampę.

Pokój był czyściutki i schludny, zasłony zaciągnięte i łóżko przygotowane do snu. Sterczący na nim garb świadczył o obecności pożądanego termoforu. Henryk postawił torbę na podłodze i szybko ją otworzył, jak gdyby mogło to napełnić go przekonaniem, że jest w hotelu. Wyjął neseser i ścisnął go kurczowo. „Królowa Anna” stanowiła zawsze jego terytorium, możliwie najbardziej oddalone od Sandy’ego. Z wściekłością milczącego dziecka słuchał o planach zburzenia pawilonu.

Szczerliwie zawsze okazywało się to zbyt kosztowne. Nie rozglądając się dookoła, wiedział, gdzie się znajduje. Masywna komoda z mahoniowym lustrem. Dość brzydka „męska szafa”. Małe biurczko z mosiężną barierką. Czerwony skórzany „klubowy” fotel. Tapety, bardziej wyblakłe, w brązowe romby na żółtym tle. Wąskie żelazne łóżko, do którego był tak bardzo przywiązany. Obok niego fałszywy antyk – komoda w stylu Sheratona. Ciemnobrązowy mocno wytarty kilim wełniany na ciemnoczerwonym wytartym dywanie tureckim. Ładne proste wiktoriańskie krzesło nie przeznaczone do siadania. Mocne krzesło w stylu windsor, nakryte poduszką. Nawet poduszka była ta sama. Czy ktoś sypiał tu, w czasie gdy go nie było? Prawie na pewno nikt. Pokój został ogołocony do minimum, jak gdyby nie demolując go, ktoś jednak próbował zatrzeć pamięć o właścicielu. Ale pamięć przetrwała. Henryk wyszedł na korytarz i do przyległej łazienki. Pachniała mokrym linoleum i wieloletnim zaniedbaniem. Odkręcił kurek z gorącą wodą, ale popłynęła chłodna i ruda. Wanna była mocno poplamiona, a mydło miało ciemne ślady. Jak mawiała Bella, Anglia jest wspaniała, ale jakaż brudna. Zauważył pajaka, potem następnego. Pogłowie pajaków w tym domu musi sięgać milionów. W Ameryce nigdy nie widział pajaka. Podniósł olbrzymią, błyszczącą mahoniową deskę i skorzystał z ubikacji. Ta sama wszechwiedząca porcelanowa muszla w kwiatki. Wrócił do sypialni, zdjął krawat, marynarkę i zaczął rozpinać koszulę, zapominając zupełnie o kanapkach, kiedy nagle znowu pojawiła się z tacą ptasiogłowa Rhoda.

– O, dziękuję, dziękuję, proszę to gdzieś położyć.

Rhoda postawiła tacę na komodzie, na nieskalanie białym haftowanym obrusie, który mimo bałaganu, jaki wprowadzał Henryk, pozostawał zawsze doskonały, często zmieniany, w dawnych latach przez pokojówkę, której imienia Henryk dziś już nie pamiętał.

– Dziękuję, Rhodo, to cudowne, przepraszam za kłopot.

Rhoda miała niemal groteskowo ogromne oczy, a może były tylko dziwnie osadzone. Henryk przypomniał sobie teraz żywo swój niedawny pocałunek i to, że jej policzek miał smak żywicy. Zastanawiał się, czy nie pocałować jej znowu, ale po chwili było już za późno. Zniknęła bezszelestnie.

Ujrawszy kanapki, Henryk poczuł, że jest bardzo głodny, i dziwne uczucie, coś, co nie było wyraźnie pożądaniem, lecz może raczej jakąś specyficzną obawą, którą obudziła w nim Rhoda, odpłynęło. Zaczął jeść tak łapczywie, że o mało się nie udławił.

Wniesiono butelkę szkockiej i wielką kryształową szklanę oraz syfon wody sodowej. Henryk nalał sobie i pochłoniął porządną porcję whisky, zastanawiając się, czy dobrze robi. Kiedy tylko ją przełknął, poczuł, że zbiera mu się na płacz. Nagromadziły się w nim nieprzebrane zasoby łez. Najchętniej położyłby się twarzą do ziemi i zaczął kwilić.

Uciekł się do sposobu, który często go uspokajał. Otwierając szeroko jasne, nie zmaczone łzami oczy, zaczął wpatrywać się z natężeniem w owal mahoniowego lustra. Autoportret. Był na nim ostrożny i czujny, szczupły, niewysoki, wąskonosy, ironiczny. Miał bujne, długie, bardzo kręcone włosy, ciemne, a jednak lekko rudawe (Burke i Sandy byli rudzielcami). Migdałowe, bardzo ciemnobrazowe oczy jarzyły się pod trójkątnymi brwiami. Czysta i okrągła, mocna broda była może zbyt drobna. Nad cienkimi wargami, pożłobionymi delikatnie siecią zmarszczek, rysował się pionowy rowek. Za jego plecami jasno oświetlone romby wyblakłej tapety zwisały jak niechlujny strój arlekina.

Ból złagodniał i pijany Henryk zgasił światło, a potem przy blasku elektrycznego kominka odciągnął zasłonę i otworzył okno. Wychylił się. Ciepłe powietrze, napływając gwałtownie do pokoju, wniosło zapach mokrej ziemi i rozwijających się roślin, ale mimo działania kominka w pomieszczeniu dalej panował wzorowy angielski chłód. Noc była bezwietrzna i Henryk, wyciągając rękę przez okno, poczuł drobne szpileczki deszczu. Słuchał. Dochodził go cichy, regularny, przerażająco znajomy dźwięk, pomruk niewielkiej rzeczki spływającej do jeziora. Chmury musiały zakryć księżyc. Wychylił głowę i dostrzegł niższą fasadę głównej części budynku, z pogaszonymi światłami, rysującą się na tle ciemnego nieba. Sypialnia matki była z drugiej strony. Z niesmakiem pomyślał o Lucjuszu. Na piętrze dla służby, w pokoju tuż ponad nim, pojawiło się światło. Cofnął się, przymknął okno i zaciągnął zasłony. Zakołysał się na nogach. Ściągnął spodnie, potem zwałił się na łóżko i momentalnie zapadł w głęboki sen, pozostawiając zapalony kominek. Kiedy obudził się rano, kominek był wyłączony.

– Obity blachą miedzianą?

– Tak, panie Henryku.

– Dobrze. Tylko o to mi chodziło.

– Pokazać panu...?

– Nie, dziękuję, ze szczegółami możemy poczekać.

Było to następnego ranka. Odprawiwszy Merrimana Henryk dalej siedział nieruchomo przy okrągłym stole nakrytym czerwonym aksamitem, wpatrując się w Atenę i Achilleśa na wielkim gobelinie biblioteki. Była to robota flamandzka, prawdopodobnie z końca siedemnastego wieku. Zwróciwszy na to uwagę, uświadomił sobie, ile wiadomości o sztuce przywiózł z Ameryki, choć z Anglii wyjechał jako barbarzyńca. Po raz pierwszy oglądał tkaninę świeżym okiem i analizował ją w jasnym północnym świetle bezsłonecznego poranka. Bogini, w wydłużonym hełmie, zsuniętym z czoła na loki, w fałdzistej sukni, z tarczą niedbale opadającą z jednego ramienia, wylaniała się z gęstego listowia krzewów, które zajmowały większą część tkaniny po lewej stronie. Stanowcza stopa w sandale bez obcasa wychylała się z rozkołysanej spódnicy. Prawa ręka trzymała pionowo długą włócznię, która dzieliła na dwie części niebo ponad krzewami, lewa zaś, zatopiona palcami w wyszukany i nieprawdopodobny wzór powiewających loków, trzymała z tyłu za jasne włosy odkrytą głowę bohatera. Ten, również zwrócony w prawo, trzymał miecz i skróconą w perspektywie tarczę. Spod bardzo krótkiej połyskliwej kolczugi wysuwały się falbanki fantazyjnej koszulki, zaledwie przysłaniając przyrodzenie. Pięknie wymodelowane długie, muskularne nogi połyskiwały brązem wśród liści. Obie postacie zwrócone były profilem, bogini niewzruszona i surowa, bohater, który nie dostrzegł jeszcze swojej patronki, bardzo piękny, bardzo młody, o ogromnych oczach, z rozchyłonymi wargami wyrażającymi łagodne zdziwienie. Równinę wystawionej na wiatr Troi symbolizował szeroki na dwie stopy pas złocistej murawy, obrzeżony wzorem z delikatnych kwiatów; dalej ciągnął się znowu gąszcz krzewów, a za nim widniały blade wieżyczki miasta. Bardzo, bardzo jasne niebo promieniało brązowym błękitem, „Dlaczego przyszłaś, o córo Zeusa?”

Chciałbym mieć taką boginię, która chwyciłaby mnie za włosy i powiedziała, co mam robić – pomyślał Henryk. Była godzina jedenasta. Śniadanie zjadł w łóżku. (Tym razem tacę przyniosła Gerda). Powiedział, że chce się zobaczyć z Merrimanem, a jego matka, która traktowała radcę prawnego rodziny jak służącego, wezwała go natychmiast. Henryk potrzebował Merrimana tylko po to, żeby stwierdzić, czy testament jest jasny i prawidłowy. Tak też było. Obowiązkowy Sandy pozostawił bratu posiadłość w całości. Tak więc wszystko jest w porządku. Henryk nie interesował się opowieściami o farmach i inwestycjach, które według Merrimana były takie znakomite, ani o tym, jak Merriman odradzał sprzedaży Dębowej Łąki, bądź jak z zawodową przezornością przekonał Gerdę, że musi zabezpieczyć się przed podatkiem spadkowym. Ciągle

jeszcze czuł się nieswój, nie całkiem przytomny, bardzo zmęczony; rozdrażniony i przesadnie wrażliwy na światło i dźwięki, zastanawiał się, czy nie lepiej wrócić do łóżka. Na dużym ruszcie kominka płonęły polana drew, trzeszcząc, a potem zapadając się miękko jak śnieg. Henryk zastanawiał się, czy potrafi dowlec się do kanapy. Wstał i poszedł w stronę drzwi, kierując się ku sypialni. Z pokoju jadalnego ciągle jeszcze dochodził stary, znajomy zapach przypalonych grzanek. W hallu zobaczył nie najgorsze osiemnastowieczne akwarele, które musiały wisieć tam od wieków. Właśnie zamierzał lepiej im się przyjrzeć, kiedy z otwartych drzwi salonu naprzeciwko dobiegły go jakieś głosy.

Salon, podobny do biblioteki, miał trzy wysokie podnoszone okna, wychodzące na południe. Ziemia opadała tam tarasami, odsłaniając widok na jezioro, całą dolinę rzeki, obelisk i ciągnące się w głębi lasy, a z prawej strony na niewielki belweder w stylu greckim, o zielonej kopule, sterczący na małym pagórku. Na tle ciemniejszego nieba panowała niemal słoneczna jasność, a świeże gałęzki w lesie miały odcień intensywnej zieleni. Cały salon utrzymany był w barwach białozółtych i dość skąpo umeblowany. Między oknami stały długie lustra i konsole. Na środku pokoju znajdował się okrągły intarsjowany stół, a w jednym kącie olbrzymia chińska komoda oraz komplet kanarkowych krzeseł w stylu Ludwika XV, luźno stojących i nigdy nie używanych, których aksamitne obicie poddano kosztownej operacji postarzenia. Na ścianach wisiało kilka dziewiętnastowiecznych szkiców, przedstawiających członków rodziny, na kominku stał francuski zegar z pozłacanego brązu, wsparty na dwu sfinksach, a nad nim znajdował się portret któregoś z przodków z psem. Oślepiiony słońcem wzrok Henryka dopatrywał się teraz w portrecie dzieła Stubbsa. Tu również paliło się na kominku, a dookoła niego, na pogniecionym dywanie, stała cała fortyfikacja foteli. Pokój był jednak chłodny i pachniał tak, jakby nie był zamieszkały. Wyglądało na to, że Henryk wypłoszył matkę i Lucjusza z ich ulubionego kąta.

Kiedy wszedł, Lucjusz niezręcznie poderwał się z miejsca i z wymuszonym uśmiechem i wyrazem zadowolenia z siebie zaczął od razu sunąć ku drzwiom.

– No, jak tam, Baku, założę się, że dobrze spałeś? – Entuzjastyczny ton Lucjusza zdradzał jego brak pewności co do własnej roli. Czy był figurą ojcowską, wesołym wujaszkiem, czy po prostu trochę starszym rówieśnikiem? Tego ranka Lucjusz wyglądał młodziej, miał dość jasne spojrzenie i chłopięcy wyraz. Potrząsnął białymi włosami, potem, mrugając i uśmiechając się, szesał je powoli długimi palcami z czoła do tyłu.

Henryk nie zamierzał niczego mu ułatwić.

– Całkiem nieźle.

– Ma akcent amerykański – zauważyła Gerda.

– Nie, nie, z pewnością nie, nie możemy sobie na to pozwolić, prawda? Choć w istocie... No cóż, muszę wracać do mojej książki. *Tempus fugit*, hm.

– Nie mogę sobie przypomnieć, o czym ona jest – powiedział Henryk.
– Zresztą pewnie nigdy nie wiedziałem.

– O, polityka, sprawy polityczne, rozumiesz, abstrakcyjne koncepcje. Gerda uważa, że to jest jak robota Penelopy. Ja twierdzę, że to ciężka praca. A ty piszesz jakąś książkę?

– Tak – odparł Henryk.

– A może już coś wydałeś? – zapytała Gerda.

– Nie.

– O czym piszesz? – ciekaw był Lucjusz.

– O Maksie Beckmannie.

– O kim?

– O Maksie Beckmannie. Malarzu.

– Obawiam się, że nigdy o nim nie słyszałam – skwitowała Gerda.

– Aha, o Maksie Beckmannie – powiedział Lucjusz. – Cóż, muszę wracać do swojej roboty. *Arrivederci*.

Henryk odprowadził Lucjusza wzrokiem do drzwi. Potem usiadł naprzeciw matki.

– Zimno tutaj. W Ameryce nie pozwalamy, żeby klimat przenikał do mieszkań.

– Jak się czujesz?

– Okropnie.

– To sprawa lotu.

– Tak.

Patrzyli na siebie w milczeniu, które wyrażało całą niezręczność sytuacji i zupełną niemożność porozumienia, ale nie było wcale krępujące. Gerda widziała przed sobą ciemną, kędzierzawą głowę młodzieńca o

czystej twarzy, z małymi, ślicznymi ustami i okrągłym podbródkiem, i miała wrażenie, że nie zmienił się od czasu, kiedy miał lat dwanaście. Nawet migdałowe, ciemne, podejrzliwie jarzące się, zasępienie oczy były te same, wyrażały niechęć, litość nad samym sobą. Henryk patrzył na matkę, najwyraźniej postarzałą, tęszą, ale nadal pełną pewności siebie, typowej dla osób pięknych. Twarz miała dużą, bladą i szeroką, bez śladu makijażu, o wielkich, wspaniałych brązowych oczach, które zdawały się niczego nie ukrywać. Ciemne, jedwabiste włosy były dzisiaj rozpuszczone, co nadawało jej wyraz dziewczęcy. Włożyła szykowną prostą suknię z tweedu i przypięła do kołnierza różową włoską kameę.

Henryk poczuł w sobie siłę i chłód sportowca. Nie musiał się obawiać, że wybuchnie płaczem.

– Od kiedy Lucjusz tu mieszka? – zapytał zdając sobie sprawę, że mówi dość oschłym tonem i mimo woli marszczy brwi.

– O... od dwu czy trzech lat... Nie przeszkadza ci to, prawda? Henryk wygładził palcami zmarszczone czoło i nic nie powiedział.

– Nie zamierzasz się żenić? – indagowała Gerda.

– Ja, żenić się! Nie, oczywiście nie. Jeśli już o to ci chodzi, nie jestem również żonaty.

– Ale nie masz pretensji o Lucjusza. Jest w pewnym sensie życiowym rozbitkiem.

– Czyżby? – zdziwił się Henryk.

– Zasługuje na współczucie.

– Dlaczego miałbym mieć pretensję?

– No cóż, to jest twój dom.

Henryk znowu umilkł, jakby zastanawiając się nad tą kwestią, i w dalszym ciągu bez skrepowania wpatrywał się w matkę z lekka zamglonym wzrokiem.

– Masz zamiar... zostać tutaj, prawda?

– Tutaj? Czy myślisz tutaj w domu, czy tutaj w Anglii?

– Jedno i drugie.

– Nie wiem – odparł Henryk.

Z tyłu za plecami matki dostrzegł na małym stoliku fotografię Sandy'ego. I ani jednej fotografii własnej. Oczywiście nie miała jeszcze czasu jej wyciągnąć. Czuł, że musi powiedzieć coś o Sandym.

– To musiało być straszne.

– To...?

– To... osierocenie.

Gerda milczała. Zacisnęła mocno usta i spoglądała na Henryka z jakimś desperackim, stoickim uporem, który bardzo ją szpecił. Nie odezwała się.

– Strasznie mi przykro – dodał Henryk z naciskiem. Mówiąc to, co należało powiedzieć, pragnął gorąco, aby matka się nie rozpląkała.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

Wstał, żeby wyjść z pokoju, ale matka źle zrozumiała jego ruch i wyciągnęła rękę. Henryk uścisnął ją krótko, z przykrością i zakłopotaniem.

– Pójdę na spacer, mamó.

– Idź, to ci dobrze zrobi – powiedziała cicho.

Henryk popędził do okna, zaczął mocować się z zamkami, wreszcie pchnął szybę do góry i wyszedł na taras.

Wielka ciemnoszara puszysta chmura, popychana przez wiatr, płynęła nisko nad domem, pozostawiając za sobą jasny błękit nieba. Słońce świeciło i mokra ziemia lśniła od kropli deszczu. Ruszył wzdłuż skrzydła domu, przesuwając ręką po dużych blokach sydereytu upstrzonych białymi spiralami skamieniałych muszli. Wzgórze opadało kamiennymi tarasami, środkiem których prowadziły schody. Henryk podszedł do nich i popędził w dół aż na skoszony trawnik, znacznie łagodniej opadający ku jezioru. Na wzgórzu po jego lewej ręce znajdowały się osiemnastowieczne stajnie, a dalej widać było żelazne arkady i lśniące szyby wielkiej szklarni z czasów króla Edwarda. Za nimi ciągnął się ogród otoczony murem, korty tenisowe, sad i droga do Dimmerstone. Henryk, zdyszany, biegł dalej.

Niezbyt duże jezioro zasilane było przez mały strumień, który brał początek w sadzie, wpadał do jeziora od strony znanej jako „strona obelisku” i wypływał z niego blisko belwederu, pod kamiennym mostkiem o dwóch przęsłach. Obelisk z czarnego granitu upamiętniał Aleksandra Marshalsona, który w początkach dziewiętnastego wieku założył sztuczne

jezioro i wzniósł ów belweder oraz, dzięki dokonany w odpowiednim czasie spekulacjom, powiększył wydatnie majątek rodziny. Niewielki kamienny budynek z zieloną miedzianą kopułą i frontonem wspartym na kolumnach stał na wzgórzu pusty, przodem do bukowego lasu, czyli tak zwanych „wysokich drzew”. Henryk biegł, potem zatrzymał się na mostku i spojrzał na jezioro. W świeżym od wilgoci blasku słońca woda była czarna, a szeroki pas trzciny, który w dzieciństwie tak bardzo go przerażał, kiedy ojciec bez powodzenia próbował nauczyć go pływać, tonął w bujnej, świeżej, rdzawej zieleni. Na samym końcu z kręgu liści wystawał niebieski dziób starej płaskodennej łodzi. Jezioro, niedawno ożywione deszczem, teraz stało nieruchome i błyszczące, a w paśmie emaliowego błękitu, przysyłającym czarną wodę po drugiej stronie, odbijał się szczyt obelisku. Siedziało tam rozproszone stadko spokojnych łysek. Henryk przylgnął do lekko osypujących się kamieni mostu, zbudowanego nie z syderytu, lecz z wapienia. Ze strachu przed błotnistą trzcina nigdy nie nauczył się pływać. Kiedy był z Fischerami w Kalifornii, kręcił się marnotnie po brzegu, podczas gdy oni szaleli jak delfiny w błękitnym oceanie.

Wolno zbliżał się do skraju lasu. Większość drzew była niska, brzoźki i leszczyny, jesiony i dzika czereśnia, tu i ówdzie kilka wyższych dębów. Czereśnia już kwitła, a czubki drzew w pączkach srebrzyły się białawą zielenią. Dąb już cały w liściach, jesion jeszcze twardy i czarny. U podnóżu drzew rozpościerała się mgielka dzikich hiacyntów, pośród których wyrastały roziskrzane masy kremowobiałej gwiazdnicy. Pachniało mokrą ziemią i pyłkiem kwiatów, a ptaki śpiewały jak szalone. Błotnista ścieżka, zarośnięta po bokach pokrzywami, wiła się wśród drzew w stronę drugiego końca parku, niewielkiej wioski Dimmerstone, kościółka i cmentarza, gdzie leżeli pochowani przodkowie Henryka. Gdzie był pochowany Burke. Gdzie prawdopodobnie leży Sandy. Henryk nie pytał o pogrzeb.

Zawrócił, poruszony przerażająco pięknym widokiem jeziora, wdzięcznego stoku zielonego wzgórza i domu. Po niebie płynęła następna puchata szara chmura, która za chwilę miała zakryć słońce. Henryk zazgrzytał zębami. Nie chciał myśleć o Sandym i nie mógł myśleć o matce, której osoba nagle przysłoniła mu cały krajobraz. Ruszył z powrotem w kierunku mostu, ociemniały z rozpaczy. Odczuwał popłoch, strach, rodzaj mglistej grozy, jak gdyby jakieś ciemne siły kazały mu popełnić morderstwo, którego ani nie chciał, ani nie rozumiał.

- Lucjuszu, po co kroisz ser na kawałki, których potem nie jesz?
- Przepraszam, kochanie.

– Wysychają tylko i marnują się.

– Przepraszam.

Było po obiedzie. Henryk poszedł położyć się na górę. Rhoda sprzątnęła ze stołu, a Gerda z Lucjuszem przenieśli się z filiżankami kawy do salonu. W jakimś sensie stało się oczywiste, że biblioteka będzie odtąd należała do Henryka.

– Chyba nieźle nam poszło? – powiedział Lucjusz po chwili.

– Co nieźle poszło?

– Obiad. Bąk się rozgadał. Henryk starał się być grzeczny.

– Mówisz, jakby był naszym gościem.

– Cóż, tak długośmy go nie widzieli, trudno nie zwrócić uwagi na to, że w końcu wszyscy czujemy się swobodnie razem.

– Swobodnie?

– No cóż, wiesz, te jego pytania o majątek. Uważam, że to dobry znak.

– W jakim sensie?

– Znak, że tu zostanie. Chyba chcesz, żeby został? Gerda milczała pogardliwie.

– Myślałem, że Bąk mógł obrzydzić sobie ten dom i zechce zamieszkać w Londynie. Ja na pewno bym tak zrobił na jego miejscu.

– Czy nie pozwalam ci mieszkać w Londynie?

– Nie, nie, powiedziałem tylko, że na jego miejscu. Ale nie jestem na jego miejscu.

– Proszę, nie pleć bzdur. Głowa mnie boli.

– Chodzi mi o to, że w końcu Bąk...

– Proszę cię, nie nazywaj go Bąkiem, on sobie tego nie *życzy*.

– Henryk...

– Już najwyższy czas, żebyś poszedł do siebie odpocząć.

– Tak, tak, już idę. Moja droga, chciałbym, żebyś przestała... przestała...

– Co takiego?

– Żebyś przestała się smucić.

Gerda zrobiła gest zniecierpliwienia i Lucjusz wstał. Dotknął delikatnie jej ramienia, choć wiedział, że się skrzywi, i tak było. Ruszył do drzwi.

– Ale, Gerdo, chyba obejrzymy sobie dzisiaj telewizję? To znaczy – nie będziemy chyba przeszkadzać Bąkowi?

Gerda, w obecności Lucjusza sztywna, po jego wyjściu wstała i podeszła do okna. Znowu padało. Patrzyła, jak deszcz odbija się od tarasu i porusza małe kałuże. Za srebrzystą zasłoną wody roztaczał się zamazany widok jeziora i lasu.

Pograżona w bólu, czuła się tak, jakby trzymała przy piersi miednicę, do której wycieka z niej życie. Czy spodziewała się czegoś po przyjeździe Henryka, jakiegoś pocieszenia, którego przedtem nie mogła sobie wyobrazić? Bynajmniej, choć w pewnym sensie miała nadzieję i trwała w niej prawie ślepo, ponieważ tak należało. Gdyby przynajmniej mogła traktować Henryka jako cel życia, nadałoby to jej światu jakiś sens. Ale nie spodziewała się, że gwałtowny i głęboki instynkt żalu każe jej płakać i boleć nad tym, iż Henryk żyje, kiedy Sandy'ego już nie ma.

Wspinając się po schodach do dużego, niskiego pokoju na drugim piętrze, położonego w tym samym pionie co salon i sypialnia Sandy'ego, Lucjusz szybko powrócił myślą do swoich spraw. Ponieważ Sandy nienawidził muzyki równie silnie jak Gerda, Lucjusz nie mógł puszczać Bacha ani w nocy, ani rano. Usiadł na łóżku i zdjął buty, lekko szcękając zębami. Uciskały mu dżiasta i w dalszym ciągu odczuwał, że są ogromne. Wiedział, że wielki ból tego domu przeszedł koło niego, po prostu całkowicie go omijając. Było mu smutno, tęskno i czuł się niepotrzebny. Gdyby Gerda się załamała, mógłby ją pocieszać. Spodziewał się, że będzie ją pocieszał, i ta nadzieja podtrzymywała go w chwili wstrząsu, jaki wywołała śmierć Sandy'ego. Ostatecznie będą przy niej, myślał, i ona wszystko zrozumie. Ale nie zwróciła się do niego; i kiedy zbliżał się do niej pełen współczucia, marszczyła się z irytacji. Oczywiście, oczywiście, powinni oboje, a nawet wszyscy troje, obejmować się, pocieszać i płakać. Ale istoty ludzkie są niezwykle pomysłowe, jeśli chodzi o pogłębianie własnego nieszczęścia. Nawet w momencie katastrofy pozostają między nimi tajemnicze bariery, bariery lęku, egoizmu, podejrzliwości i zwykłej głupiej ułomności moralnej. Co myślał Henryk o nim i o Gerdzie? Kiedy spotkali się w Nowym Jorku, Lucjusz oburzał się na myśl o tym, jak bardzo Henryk upraszcza jego sytuację. Czy Henryk był w stanie ogarnąć jego złożoną postać, czy zada sobie ten trud, czy potrafi kiedykolwiek

zobaczyć go we właściwym świetle? Trzeba znaleźć sposób, po prostu sposób na zaprzyjaźnienie się z Henrykiem. To było jego zadanie, podobnie jak zadaniem Gerdy było nauczyć się kochać Henryka zamiast Sandy'ego. Ostatecznie Gerda może pracować nad Henrykiem, próbując go udoskonalić. Ale przypuśćmy, że Henryk nie zechce się zaprzyjaźnić z Lucjuszem? Podejrzał, że Henryk jest *capable de tout*.

Lucjusz podszedł do adapteru i nastawił wariacje Goldberga, cicho, a potem trochę głośniej, świadomy, że w pokoju pod nim nie ma nikogo. Usiadł przy zasypianym wierszami stole. Jakie to błogosławieństwo, że był na tyle rozsądny, by na koniec powrócić do poezji! Nieudany poeta, to był jego los, ale to przecież najlepsza rzecz, jaka może się nie udać. I w gruncie rzeczy dlaczego musi się nie udać? Miał jeszcze czas na wielkość. „Po wielu latach abstrakcyjnych rozważań renegat i rewizjonista powrócił do poezji. Sentymentalizm młodości odrodził się, opromieniony spokojną mądrością podeszłego wieku. Zawsze młody duchem, odłożywszy pióro historyka, oddał się wreszcie twórczości poetyckiej”.

W poezji ciekawe jest to – myślał Lucjusz – że wszystko zawiera się w nas samych, cały świat jest wewnątrz, bezpieczny. Trzeba po prostu notować swoje myśli, jedną po drugiej, jak nietoperze wylazące z dziury. Oczywiście dokończę swoją książkę o polityce. Skrócę ją, wyrzucę z niej historię i zamienię w autobiografię, rodzaj odysei duchowej. Tak, tak właśnie postąpię, no i wydam również tomik poezji. Siedział z błyszczącymi oczyma, bliski płaczu. Ostatnio odkrył haiku i pochlebiał sobie, że opanował tę formę. Poezja bezpośrednia. Napisał około setki tych wierszyków o samej Gerdzie.

*Jej stopy wywołują głucho
Echa, co z każdą chwilą wiedzą mniej.
Człap, człap. Jej cień.*

Uniósł pióro.

*O, okrutne narcyzy.
Z każdą wiosną morderstwo.
Teraz młody pan.*

Zaczął się zastanawiać, czy jeśli Henryk kupi dom w Londynie, pozwoli mu tam zamieszkać.

Położył się na łóżku. W pięć minut później, rozluźniony i uśmiechnięty, zasnął mocnym snem.

Przypuśćmy, że nie mielibyśmy pojęcia cierpienia – myślał Kato, czekając w sypialni na przybycie Pięknego Joe. Przypuśćmy, że cierpielibyśmy jak zwierzęta, nie myśląc przez cały czas: oto cierpię. Czy to pojęcie jest wyuczone? Nie był pewien. Chrześcijaństwo przekazuje je nawet chłopom. Chrystus cierpiał, w tym cały sens. Ale jakież bezsensowny sens. Jakżeż samolubną czynnością jest cierpienie. Buddyzm odnosi się do niego z pogardą.

Kato zastanawiał się, czy żeby nareszcie przestać myśleć i cierpieć, nie powinien pojechać do Laxlinden i pokopać w ogrodzie. Nie byłby jednak w stanie spojrzeć w oczy ojcu, znieść jego sarkastycznej uprzejmości i gniewu z powodów, które już minęły. W Laxlinden musiałby grać jakąś rolę. „Wyjazd na wakacje” był nie do pomyślenia. Mógłby zatrzymać się u Brendana, który żył w nieskazitelnym spartańskim komforcie małego mieszkanka w centrum Londynu. Ale Brendan napominałby go, gniewał się, pocieszał, rozwodził się nad „ciemnością duszy”, delikatnie próbował zmienić całą strukturę jego okropnej klęski. I Kato chętnie będzie to przyjmował choćby w połowie, i prawdopodobnie, przynajmniej na czas pobytu u Brendana, ulegnie jego magnetycznym argumentom. Nie. Jeśli ma utracić wszystko, chce to utracić w sposób szczególny, własny, podobnie jak doszedł do tego własną drogą. Był neofitą i miał poczucie niższości neofity, ale również jego dumę. Musi usiąść samotnie u wejścia do własnego domu, dopóki nie zamknie się ono przed nim raz na zawsze. Odczuwał ciągle obsesyjną potrzebę modlitwy: była bezużyteczna jak choroba, jak organ, który w dalszym ciągu produkuje coś, czego ciało nie może przyswoić ani spożytkować. Słodki Jezu, pomóż mi. Jakie to proste. I właśnie prostota modlitwy, jej naturalność, a nie okrutna trudność, zastanawiała go naprawdę w takich momentach. Oczywiście modlitwa była najlepszą ucieczką od myślenia, ale nie mógł skorzystać z tej drogi; i prostota, która najbardziej powinna mu pomóc, wydała mu się dziecinna i wstrętne jak klepanie zaklęć. Był bardzo zmęczony. W miarę jak modlił się mechanicznie, Bóg ciemności, pustki i rozkładu zapełniał kruchymi obrazami jego umysł. *Recordare quod sum causa...* Nie mógł przebić się dalej, wiara, która kiedyś zaprowadziła go do tej płodnej ciemności, ulotniła się. Nieobecność Boga przestała być obecnością Boga. Myślał ciągle o chłopcu i nie potrafił za pomocą modlitwy unieszkodliwić tych myśli. Czasami poczucie straty

duchowej było tak wyraźne, że myślał: może Chrystus właśnie w tej chwili opuszcza naszą planetę i ja przeżywam to w ten sposób.

Miał dla tego chłopca całe morze czułości. Przypuśćmy, że przestane grać rolę – pomyślał Kato – jeśli w ogóle ją gram? Przypuśćmy, że po prostu pochwycę go w ramiona? Cóż to ma za znaczenie, czy Bóg istnieje, czy nie, jeśli istnieje zagubione dziecko, które trzeba kochać? Tak się złożyło, całkiem przypadkowo i bez żadnej mojej zasługi, że stałem się ostoją, łącznikiem, a może zbawcą tego chłopca w tym właśnie momencie. Może po to się urodziłem, po to nawróciłem? Może nawet Chrystus jest tylko częścią mechanizmu, który skojarzył mnie z Joem, na tej samej czysto i nieodparcie mechanicznej zasadzie, która każe jaskółkom odlatywać w końcu lata? Po co martwić się o Chrystusa, kiedy jest Joe? Po co martwić się o takie sprawy jak grzech?

Jednak jakaś głęboko zakorzeniona tęsknota za porządkiem potęgowała jego skrupuły. Nie była to kwestia „potępienia” miłości homo seksualnej. Kato jej nie potępiał. Jego przypadek był zbyt skomplikowany, zbyt konkretny, aby ujmować go w takich kategoriach. Wiedział po prostu, że będzie mógł pomóc Joemu tylko wtedy, jeśli potrafi ukryć, całkowicie zahamować swoją dziką czułość, przełamującą wszelkie bariery. Tu właśnie kryły się otchłanie zepsucia, deprawacja, a miłość i odwaga zamieniały się nagle we własną parodię. Nawet jeśli potrafi zachować czyste i jasne intencje w tym huraganie uczuć, wiedział, że Joe tego nie potrafi i że byłoby ostateczną podłością poddawać go takiej próbie. Zawiodłby szczególną subtelną ufność, którą Joe pokładał w nim po prostu dlatego, że Kato kiedyś wierzył w Boga. I nawet jeśli Bóg nie mógł teraz zamienić Katona w księdza, Joe tego dokonał. Tu właśnie krył się grzech lub coś w tym rodzaju. Kwestia, czy Joe go „kocha”, prawie nie istniała. Joe prawdopodobnie kocha władzę. Można by go jeszcze uratować, ale w tym celu trzeba by ją całkowicie usunąć z jego pola widzenia. Kato nie myślał poważnie, że może pochwyć chłopca w ramiona. To było bardzo odległe. Objawienie miłości było objawieniem, które nie powinno się ujawnić. Ale czy dzieło miłości nie może postępować dalej?

Muszę stąd uciec – pomyślał Kato – nie mogę mieszkać tu jak przestępca, po prostu wyczekując na niego. Pośród tej męki skąd mam wiedzieć, co robić z własnym powołaniem? Muszę uciekać, ale nie mogę zwyczajnie opuścić Joego, nie mogę pozwolić, aby bezbrzeżny cynizm zaprowadził go do zguby, nie ma nikogo prócz mnie. Muszę stworzyć jakiś program, który by go podtrzymał, kiedy odejdę. Gdybym tylko zdołał go namówić, żeby zaczął się czegoś uczyć. Ale czy on potrafi się uczyć? W latach szkolnych żył we własnym świecie marzeń. Kto mógłby uczyć go

teraz i jakie motywy skłoniłyby go do nauki? Gdybym mógł przekupić go w jakiś sposób, aby zechciał się uczyć. Jest bardzo zdolny, bystry, gdyby tylko chciał zacząć. Ale to przecież niemożliwe, nie mamy pieniędzy, ani ja ich nie mam, ani nie mogę teraz prosić o nie swoich zwierzchników.

Ale nawet w trakcie rozmyślań nad tym, jak zostawić Joego i jak go namówić, aby powrócił do nauki, nie opuszczała Katona myśl: zobaczę się z nim, niedługo tu będzie, nie mogę go opuścić. Nie będę mógł nigdy go opuścić. Tak już jest.

Usłyszał ciche, nagłe i niecierpliwe stukanie na dole i poderwał się z miejsca. Zbiegł pędem ze schodów i wpadł do kuchni. Było wcześniej, jeszcze jasno, jeszcze nie ta pora: ale otwierając drzwi był pewien, że to Joe.

W chłodnym świetle wieczoru stał szczupły młody mężczyzna o drobnej, ładnej twarzy, z masą ciemnych kręconych włosów; miał na sobie brązowy płaszcz deszczowy z kołnierzem postawionym do góry.

– Jak się masz, padre!

Kato przyglądał się gościowi, odnajdując w jego rysach coś znajomego.

– Nie poznajesz mnie, Kato?

– Henryk!

Kato ucieszył się, a potem przeraził. Musi jakoś pozbyć się gościa, zanim przyjdzie Piękny Joe.

– Wejdz! Jakżeś mnie znalazł?

– Zadzwoiłem do waszej sławetnej kwatery głównej i jakiś Francuz poradził mi, gdzie cię szukać. Powiedział, że twój „telefon jest odcięty”.

– To pewnie de Valois. Chodź na górę. Przepraszam, że tu taki bałagan, ale właśnie się wyprowadzam.

– Tak, dlaczego?

– Dom idzie na rozbiórkę.

– Wygląda na to, że rozebrali już połowę dzielnicy. Niektóre miejsca przypominają koniec świata. Widziałem sokoła.

– Sokoła?

– Tak, pustułkę.

– Symbol Ducha Świętego.

– Twój znajomy.

– Sokoły czasem pojawiają się w Londynie. Proszę cię, siadaj, spodziewam się kogoś, ale...

– I tak nie mogę długo siedzieć, bo nie zdążę na pociąg powrotny. Przyjechałem kupić samochód, ale z odbiorem muszę poczekać do czwartku..

– Co kupiłeś?

– Volvo.

– Piękny wóz.

– Masz własny?

– Nie, oczywiście że nie.

– Rozumiem. Żadnego majątku. Szczęściarz z ciebie.

Kato usiadł na łóżku, Henryk na krześle i przez chwilę przypatrywali się sobie nawzajem. W latach szkolnych byli przyjaciółmi i później utrzymywali dalej kontakt, chociaż studiowali na różnych uniwersytetach i Kato był trochę młodszy. Po wyjeździe Henryka przez jakiś czas korespondowali, potem się to urwało. Nie związani niczym innym, dwaj zamknięci w sobie mali chłopcy sprzymierzyli się pod wpływem okoliczności przeciwko ojcom, przeciwko Sandy'emu. Nie zagrażali sobie nawzajem i żaden nie próbował przewodzić drugiemu. Dzieciństwo pozostawiło mocną więź. Nie był to silny splot temperamentów czy kontakt umysłów. Sami specjalnie by siebie nie szukali, ale teraz cieszyli się ze spotkania, zainteresowani, ożywieni, ciekawi.

– Strasznie mi było przykro, kiedy dowiedziałem się o Sandym – powiedział Kato. – Pisałem do twojej matki. Cóż za makabryczna historia.

– Tak, makabryczna – przyznał Henryk. Rozejrzał się po pokoju. – A więc wyprowadzasz się. I pomyśleć, że jesteś księdzem. Co na to twój ojciec?

– Nie chciał o tym słyszeć.

– Dokąd się przenosisz?

– Nie wiem.

– Co to za instytucja? Twój Francuz nazwał ją Misją. Próbujesz nawracać grzeszników?

– Nic podobnego! Zwykła opieka społeczna.

– Może spróbowałbyś mnie nawrócić?

– Takiego cynika jak ty?

– A więc pomagasz ludziom. To dobre. Wiesz, w pewnym sensie ci zazdroszczę.

– Co masz zamiar robić? Czy chcesz osiąść jako szlachcic na roli?

– Chyba kpisz.

– Nie kpię. Dlaczego nie miałbyś zarządzać majątkiem, potrzebuje mocnej ręki. Powiedz mi, co robiłeś przez te wszystkie lata? Nie wiem nawet, dokąd pojechałeś ze Stanfordu.

– Pojechałem do pewnej dziury na Środkowym Zachodzie. Uczyłem tam historii sztuki śliczne i bezmyślne amerykańskie dzieci.

– Nie ożeniłeś się jeszcze, prawda?

– Nie. Żyłem *a trois* z pewnym małżeństwem. Czy to cię szokuje? Przypuszczam, że księży nic nie może zaszokować. Wiesz, jakoś nie mogę się pogodzić z twoją czarną sukienką. Myślałem, że tacy jak ty noszą eleganckie garnitury.

– Większość tak robi. Ja jestem dziwakiem. Masz w dorobku jakąś książkę?

– Książkę? Cóż to jest książka? No więc tak... piszę. O malarzu nazwiskiem Maks Beckmann. Oczywiście nigdy o nim nie słyszałeś. Będzie miała tytuł: *Krzyk albo ziewanie*, to jeden z wczesnych rysunków... mniejsza z tym. A więc jesteś księdzem.

– Chyba nigdy nie lubiłeś malarstwa.

– Zmieniłem się. Ameryka mnie zmieniła. Jak sądzisz, czy mam akcent?

– Amerykański? Może, leciutki...

– Matka mówiła mi... czy odpowiedziała na twój list?

– Nie, ale Lucjusz odpisał.

– Lucjusz. Mój Boże. Wszystko jedno. W gruncie rzeczy nienawidzę sztuki, nienawidzę tych starych wspaniałości z ich zadowoleniem z siebie, zadufaniem. Beckmann to koniec tego wszystkiego, u niego ziewanie zamienia się w krzyk. Lubię być na końcu, widzieć obraz upadku, jak tu za rogiem. Jestem jak sokół, który ogląda to wszystko z góry. Tak się

cieszę, Kato, że cię znalazłem, nie miałem z kim mówić. Nie jestem w stanie wypowiedzieć, jak okropnie jest w domu, okropnie.

– Twoja matka... jej żal... tak...

– I wszystko to miesza się... ach, ten cholerny fagas, Lucjusz Lamb... i cały dom... jest za duży... odkąd wróciłem, jestem chory, dosłownie chory.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Od trzech, czterech dni. Ona ciągle mnie obserwuje i czeka, co zrobię. Pewnie chce, żebym wrócił do Ameryki.

– To niewiarygodne.

– Ma do mnie wstręt, bo jestem zbyt namacalnie żywy i zupełnie niepodobny do Sandy'ego.

– Kocha cię i na pewno strasznie cię potrzebuje.

– Cóż, tym gorzej.

– Wybacz, że o to pytam... ale jak ty właściwie przyjąłeś wypadek Sandy'ego?

Henryk odpowiedział dopiero po chwili:

– Jestem zachwycony, absolutnie zachwycony.

– Nie możesz...

– Proszę, nie praw mi kazań.

– Dla twojego własnego dobra i,..

– Jak mam określić to, co czuję? Mógłbym powiedzieć, że po raz pierwszy w życiu czuję się wolny, ale cóż, u licha, miałoby to znaczyć? Oczywiście, jestem zadowolony. Ale to w ogóle nie jest ważne. Czuję, że narasta we mnie jakiś wybuch, jakieś wielkie całopalenie, wielki akt zagłady. Zabiłem Sandy'ego. Kto będzie następny?

– Musisz poczekać – powiedział Kato. – Ciągle jeszcze jesteś pod wpływem szoku. Masz przecież tyle praktycznych spraw do załatwienia. No i musisz pocieszać matkę, choćby diabli mieli wziąć twoje uczucia.

– W porządku, niech je diabli wezmą. Ale ją niełatwo pocieszać. Nie potrafimy nawet rozmawiać ze sobą.

– Ale zostajesz tutaj? Mógłbyś przecież i tutaj uczyć...

– Nie dostanę tu żadnej posady nauczycielskiej, nie mam najmniejszej nadziei, nie spełniam warunków. Przypuszczam, że mógłbym siedzieć i rozmyślać w bibliotece w Laxlinden. Tylko że nie umiem rozmyślać.

– Przecież pracujesz nad książką.

– Tak. Tylko że właściwie to nie jest książka, to malarz, a nawet nie malarz, tylko człowiek, a i on od lat już nie żyje. Jestem nikim.

– To początek mądrości.

– Twojej mądrości, nie mojej. Jestem jak ten facet z Dostojewskiego, który powiedział: „Jeśli nie ma Boga, jak mogę być kapitanem?” A ja nie jestem nawet kapitanem. Ale powiedz, czy rzeczywiście wierzysz w Zmartwychwstanie i czcisz Marię Pannę? To brzmi jak wizyta złożona przeszłości.

Na schodach rozległ się cichy szmer i ktoś uchylił drzwi. Był to Piękny Joe.

Kato zarumienił się i poderwał z krzesła.

– Wejdz, proszę, to jest... Proszę, wejdz... To Joe Beckett, jeden z moich... Joseph Beckett, pan Marshalson.

– Dzień dobry panu – powiedział Joe z szacunkiem i młodzieńczą prostotą.

– Dzień dobry – odparł Henryk, uśmiechnięty i przyjazny.

Kato nigdy dotychczas nie słyszał, żeby Joe zwracał się do kogoś przez „pan”. Miał to być zapewne dowcip.

– Joe, czy mógłbyś poczekać na dole? Pan Marshalson właśnie wychodzi i...

– Oczywiście, ojcze. – Joe spokojnie wycofał się, zamknął za sobą drzwi i słychać było, jak schodzi na dół.

– Przyjemnie jest powrócić tam, gdzie ludzie są grzeczni – powiedział Henryk. – U nas młodzież jest piekielnie bezpośrednia.

– On nie jest grzeczny. On się stacza.

– Ten miły chłopiec? W jakim sensie?

– Na dno przestępstwa. To nie tylko zajęcie, ale i świat. Już w nim jest.

– Taki młody...

– Słuchaj, ty nic nie wiesz...

– Jestem zachwycony. W Ameryce ludzie porządni i wykolejeńcy nie spotykają się w towarzystwie, a w każdym razie nie w mojej sferze. Ale ty próbujesz mu pomóc, uchronić go przed...?

– Tak, tylko nie jestem w stanie. Dobra wola na nic się tu nie zda, potrzebne byłyby pieniądze. W gruncie rzeczy nie potrafię nikomu z nich pomóc.

– Pieniądze? – powiedział Henryk. – To mógłbym wam ofiarować.

– Nie, nie, nie to miałem na myśli...

– Jasne, że nie miałeś, ale właściwie dlaczego nie? Teraz, skoro już o tym mowa, wydaje mi się to całkiem oczywiste. Mój drogi Kato, jestem pod tak wielkim wrażeniem tego, co tu zobaczyłem, nie, nie żartuję, mam na myśli to miejsce, ten okropny mały pokoik ze zbitą szybą, twoje ubóstwo, twoją, jeśli pozwolisz, zupełnie obrzydliwą starą sutannę, to, co próbujesz zrobić dla tych ludzi. Chciałbym ci pomóc. Teraz wyprowadzasz się stąd, może przeniesiesz się w podobne miejsce. Czy nie mógłbym się przyłączyć? Dlaczego nie? Czy to byłoby przeciwne woli Bożej?

Przez chwilę Kato spoglądał na Henryka rozszerzonymi oczyma. Potem roześmiał się.

– Na pewno nie. Ale ty byś tego nie wytrzymał. To wstrętne. Ludzie są często wstrętni. Albo nudni. Naprawdę miałbyś ochotę odwiedzać starych rencistów?

– Nigdy nie próbowałem. W swoim czasie zajmowałem się dość nudnymi uczniami. Uważam, że nie jesteś sprawiedliwy dla tych ludzi...

– Tak, oczywiście. Ale robota jest ciężka i...

– Czy to nie pycha wewnętrzna? Myślisz, że nie mógłbym robić tego co ty?

– Ja tego nie robię.

– Ale ty... ach, rozumiem, Bóg to robi.

– Nie, nie to miałem na myśli. Może będę się musiał od tego oderwać.

– Z pewnością. Więc nie masz zamiaru przenieść się do innej Misji?

– Nie możemy dostać innego budynku... mamy ten...

– Kupię ci dom, Kato. Mówię całkiem serio.

– Ale nie tylko o to chodzi. Nie jestem pewien, co ze mną...

– Ja oczywiście nie wierzę w Boga, ale jakie to piękne, że ty wierzysz! Nie potrafię ci powiedzieć... nie jestem w stanie... jakie to wszystko okropne... nie do wytrzymania... jakbym miał przed oczyma wielką czarną ścianę... Coś musi pęknąć. Cóż, oczywiście, oczywiście, chcesz, żebym sobie poszedł. Tak czy inaczej, muszę już iść. Opowiem ci o tych okropnościach innym razem. Jedziesz do domu?

– Nie, nie...

– W porządku. Wpadnę tu jeszcze kiedyś albo cię odszukam. Muszę już lecieć, bo pociąg mi ucieknie. Pomyśl o tym, co ci mówiłem, i ułożymy jakiś plan.

Henryk wymknął się z pokoju i zbiegł ze schodów. Zrobiło się ciemno. Kato zaciągnął zasłony i zapalił światło. Celowo wkręcił wcześniej słabą żarówkę i pokój tonął w półmroku. Piękny Joe pojawił się bezszelestnie.

– Co to za facet?

– Bardzo bogaty – powiedział Kato.

– Czy to pedał?

– Nie, bynajmniej.

– Jakoś tak na mnie spojrzał. Chciałbym być ulubieńcem bogatego pedała. Tylko że ja ich nie znoszę. Hitler miał rację, że kazał zabijać Cyganów i pedałów. Przed chwilą na ulicy zaczepiła mnie Cyganka z pękiem wrzosu. Plunałem jej prosto w twarz. Ale usłyszałem!

– Chciałbym, żebyś nauczył się grzeczności – powiedział Kato.

– Cyganie są brudni. Poza tym dotknęła mojego ramienia. Nie znoszę, jak mnie dotykają.

– Chciałbym cię wreszcie nauczyć.

– Chciałbyś. – Chłopiec usiadł na krześle, Kato dalej stał. – Przecież uczysz mnie. Ale ja miałem cholerne życie. Tacy jak ja to cały problem.

– Nie miałeś – powiedział Kato. – Wolałbym, żebyś mówił prawdę, stać cię na to. Przecież w szkole radziłeś sobie dobrze. Masz wykształconą matkę i przyzwoity dom...

– To znaczy czysty. Nie dostrzegłeś tam nic prócz obrusa. Oni mnie żywcem kroili. Życie to kula dum-dum. To następny przebój, jaki napiszę.

– Dlaczego nie chcesz się dalej uczyć, kształcić, zmadrzeć, to najlepsza droga do sławy i pieniędzy, jeśli ci na tym zależy.

– Prawisz kazania, ojciec, wszyscy tak robią. Dobrze to znam. Nie rozumiesz. Skończyłbym jak cała reszta w warsztacie mechanicznym.

– Cóż, warsztat mechaniczny to nic złego, to lepsze niż więzienie.– Kto mówi o więzieniu? Tak poważnie bierzesz moje słowa. Ty robisz swoje, dlaczego ja nie mam robić tego, co mnie się podoba? Muszę być sobą, nawet jeśli miałbym za to cierpieć. To religia, prawda?

– Więc dlaczego nie zwrócisz się ku religii?

– Dość jej miałem przez całe życie, ojciec, kiedy miałem sześć lat, już bili mnie księża, a odkąd otworzyłem oczy, pamiętam Chrystusa na krzyżu. Jak się trochę zastanowić, to przecież okropne, te gwoździe i krew. Jakby to zrobił jaki gang, dostaliby jak nic po dziesięć lat, nawet gdyby facet przeżył.

– Joe, nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi. Możesz być bliżej Chrystusa niż ja sam. Zresztą, cóż tu mówić o odległości, kiedy wszyscy jesteśmy oddaleni od Boga o miliony mil.

– Właśnie. Sam to mówisz, ojciec. Miliony mil. Miliony milionów. Więc co ma począć człowiek? Musi walczyć o siebie, bo tylko w walce może się wypowiedzieć. Trzeba mieć blizny jak prawdziwi bojownicy. On miał blizny, prawda? Spróbuj posłuchać, co opowiadają zakonnice, mdło się od tego robi.

– Gdybyś chociaż dostał jakąś pracę, to wtedy...

– Żartujesz! Wyobrażasz sobie, że mógłbym pracować dla jakiegoś szefa, no, powiedz szczerze? Muszę być wolny, taki już jestem. A w ogóle po co? Banda cholernych szefów, co tylko zgarniają forszę. Klasy wyższe są w porządku, piekło to klasy średnie, tu masz materialistów. Spójrz na Lawrence'a z Arabii. To społeczeństwo jest przegniłe, nie pociągnie długo. Dla ciebie ono jest dobre, ty jesteś inny, wyjątkowy, nie masz nic. Ale większość ludzi to gówno. Mówię ci, bo wiem. Jak oni kłamią, nawet wobec ciebie. Boże, gdybym miał powtórzyć wszystkie kłamstwa, które ci opowiadali...

W słabym świetle lampy Kato widział przed sobą jasną, świadomą twarz, mrugające oczy za sześciokątnymi, połyskującymi szklami. Piękny Joe nigdy nie wyglądał całkiem serio. Drżące kąciki jego suchych, cienkich, inteligentnych warg zdradzały trzeźwość i powstrzymane rozbawienie. Uczesał starannie proste włosy, prawdopodobnie wchodząc na schody, i teraz zwisały jedwabiste, gładkie i błyszczące. Namacalne.

– Och, wiem – powiedział Kato. – Wiem. – Odsunął się.

– Nie gniewaj się na mnie, ojciec, za to, co mówię, nie bądź taki oziębły. Modlisz się jeszcze za mnie, prawda?

– Oczywiście.

– Ja też próbowałem się modlić wczoraj w nocy. Przysięgam. Ukląkłem i przemawiałem do Boga jak do najlepszego przyjaciela. Powiedziałem, Boże, dlaczego mnie stworzyłeś, jeśli nic mi się nie udaje?

– Słuchaj – przerwał Kato – gdybym mógł ci zapewnić kosztowne studia, zabrałbyś się do nauki?

Zapadło milczenie. Piękny Joe zamarł z wysuniętą szczęką i palcem przyklejonym do dolnej wargi.

– Co to znaczy „kosztowne”? Coś w rodzaju Eton College?

– Nie, myślę o wychowawcy, korepetytorze, prywatnych nauczycielach, no i o pokryciu kosztów utrzymania.

– To znaczy, miałbym pieniądze?

– Tak, rodzaj stypendium. Mógłbyś mieć ładny pokój, pieniądze, nauczycieli, ale nic w rodzaju szkoły. Byłbyś całkiem wolny. A potem może uniwersytet...

– Wiesz co, ojciec – powiedział Joe – jesteś chytry. Sam na swój sposób jesteś łajdakiem. Ja tego wcale nie potrzebuję. Chcę tylko, żebyś mnie kochał i o mnie dbał. To wszystko, czego mi potrzeba, ojciec. Tak będzie, prawda? Prawda, prawda, że tak będzie?

Hannibal nie dokonałby istnych cudów w dziedzinie organizacji wojskowej, gdyby nie jego potworne okrucieństwo. Henryk pamiętał, jak mówiono mu o tym w szkole i jakie wówczas zrobiło to na nim wrażenie, bo przedtem przez pewien czas identyfikował się nieodwołalnie z generałem z Kartaginy. Miał skłonność do podświadomej identyfikacji z bohaterami, których imiona lub nazwiska zaczynały się na H. Homer, Hannibal, Hobbes, Hume, Hamlet, Hitler. Niezłe grono. Tylko jego imię wydawało mu się puste; było jakby antyimieniem i jeszcze jedną przyczyną niezadowolenia, chociaż nosiło je wielu królów. No i oczywiście sama litera H była jakby antyliterą, czystym oddechem, niczym, pozbawionym osobowości podrzutkiem, oddawanym po rosyjsku przez G. Gamlet, Gitler, Genryk. H, otwarte naczynie, stojąca pustka, nie gorsza ani nie lepsza, z którejkolwiek spojrzeć na nią strony.

Henryk stał pośrodku sali balowej. Było późne popołudnie i już po herbacie. Henryk nie pojawił się przy stole, ale jęknął, kiedy poczuł specyficzny zapach grzanek. Piękny parkiet sali, położony jeszcze przez dziadka Henryka, był zakurzony i od dawna nie froterowany. W jednym kącie stała grupa krzesel. Teraz Henryk zauważył, że wszystkie są połamane, a może odrzucone lub przeznaczone do renowacji; stare zapadnięte fotele o siedzeniach sięgających ziemi, proste krzesła bez jednej nogi, przewracane pod wariackimi kątami. Temat dla suchej igły Maksa. Okaleczone krzesła. Przestrzeń. Okrutna przestrzeń. Henryk zadrżał. Kiedy był małym chłopcem, rozgniewany ojciec wepchnął go pewnego popołudnia do sali balowej i zamknął drzwi na klucz. Zapłakany Henryk miotał się jak rozhisteryzowana mucha po pustym pokoju i ta przestrzeń zalana słońcem wydawała mu się straszniejsza od najmroczniejszej szafy. Podszedł do wysokiego okna wychodzącego na północ i ogarnął spojrzeniem taras i trawnik aż po drzewa iglaste i skraj brzeziny. Słońce świeciło blado. Narcyzy już przekwitły. Od dwóch dni nie padało. Bellamy, usadowiony na żółtej motorowej kosiarce, ostrożnie i powoli posuwał się brzegiem terenu zarośniętego wyższą trawą. Dopiero teraz Henryk dostrzegł, że to nie Bellamy, tylko jego matka, ubrana w stary tweedowy żakiet i workowate spodnie. Wydawało się, że zwraca ku niemu głowę, a potem odwraca wzrok. Wczoraj, na dworze, idąc ze szklarni, widział, jak matka obserwuje go z okien salonu. Zwiedził sad, korty tenisowe, ogród otoczony murem. Chciał obejrzeć wszystko, wszędzie obwieścić nowinę, upewnić się, że posmakował wszystkich wspomnień, zwolnił wszystkie pułapki, jakie kryła przeszłość. Był w Dimmerstone i ze szklanymi oczyma stał długo, wpatrując się w niski mur cmentarzyka. Myślał więcej o ojcu niż o Sandym. A może już wtedy te dwie smutne postacie podały sobie ręce. Obecność Sandy'ego objawiała mu się znacznie bardziej bezpośrednio w cieplej szklarni, gdzie pod wpływem zapachu jakiegoś aromatycznego zioła musiał nagle zamknąć oczy z bólu. Wrócił pędem do domu i dostrzegł, że matka go obserwuje. W miarę jak się zbliżał, postać bladła i wreszcie zniknęła jak duch. Teraz on, duch, zaczął ją obserwować.

Na śniadanie wypił filiżankę kawy i unikał, jak mógł, popołudniowej herbaty, ale pod innymi względami stosował się do obyczajów domu – rozbrzmiewającego wszędzie dzwonka Rhody, uprzejmych rozmów, zadziwiająco nędznych i skąpych, ale nadal formalnych posiłków. Co myślałby o tym jego ojciec? Wieczorami w bibliotece wspólnie oglądano telewizję. Henryk zawsze chodził spać wcześnie. Wydawało się, że nie ma powodu, aby ten układ nie miał trwać w nieskończoność. Siedział w swojej

sypialni i dusił się od tego wszystkiego. Na górze, w pawilonie „królowej Anny”, panowała czystość, chłód i rozsądek – białe ręczniki, biały papier toaletowy, mydło Pearsa. Teraz badał swoją sypialnię, otwierając każdą szufladę. Do Ameryki uciekł prawie tak, jak stał. Wszystkie jego stare ubrania pozostały tutaj, starannie porozwieszane w szafie, starannie poskładane w szufladach, pachnące naftaliną. Muzeum Henryka. Mauzoleum Henryka. Nawet stare tasiemki z jego nazwiskiem, długie wstążeczki z czerwonym haftem czekały, aż zostaną przyszyte do koszul i skarpetek. Henryk Blair Marshalson Henryk Blair Marshalson Henryk Blair Marshalson. Wszystko to było znaczące, ale bezosobowe, archeologiczne. Nie znalazł żadnych listów ani papierów. Czyżby je zniszczył? Żadnych książek. Czy myśleli, że nigdy nie wróci? Pokój pachniał starością i oczekiwał Henryka, który na pewno nigdy nie wróci, który już nie istnieje.

W dwa dni po wizycie u Katona Henryk pojechał jeszcze raz do miasta, żeby odebrać volvo, i popędził szosą z powrotem. Było to zadziwiająco szybkie i łatwe. W latach jego młodości sprawa dotarcia do Londynu była wielkim przedsięwzięciem. Teraz żółte volvo stało w obszernym garażu w stajniach tuż koło austina jego matki i jensena Sandy’ego. Ferrari Sandy’ego rozbił się w wypadku, o którym Gerda przekazała Henrykowi konieczne minimum informacji. Była to banalna, bezsensowna katastrofa drogowa. Henryk nie zadawał żadnych pytań. Rozglądając się po stajniach, odkrył w jednym z boksów starą erę, najwidoczniej pieczołowicie wyremontowaną przez majsterkowicza Sandy’ego po jej dawnym debiucie w Brooklands. O tym, że chce sprzedać samochody Sandy’ego, rozmawiał już z Merrimanem. Henryk nie uległ samochodowej manii. Zwrócił uwagę, że od jego przyjazdu matka ani razu nie wyprowadzała austina. Czy zwykle cały dzień siedziała w domu? Czy chce się przekonać, co on robi? Osiądzie na roli? Wyjedzie?

Z odwiedzin u Katona był bardzo zadowolony. Nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko pragnie porozmawiać z Anglikiem w swoim własnym wieku, dopóki nie zaspokoił tej potrzeby. Dzięki Katonowi odzyskał poczucie tożsamości i bezbolesnej więzi z przeszłością. Czy w trzydziestym drugim roku życia nie miał już dokonać nic prócz jakiegoś ciągle jeszcze zawołanego aktu zniszczenia? Dzięki spotkaniu z Katonem zarysował mu się mglisty plan. Henryk mógł być nikim, ale jego pieniądze to było coś, podobnie jak wiara, nawet jeśli nie jego własna. Myśl, że Kato Forbes może być księdzem, wydawała mu się śmieszna. Ale czarno ubrana mężczyzna w opuszczonym domu wzruszył Henryka i zrobił na nim głębokie wrażenie. To ogołoczone życie miało swój urok. Świętość to był

sensowny punkt oparcia. I nawet jeśli było to zaledwie malownicze, był to znak, a czy jemu nie zależało na znaku? Chrześcijaństwo nie robiło na Henryku wielkiego wrażenia, ale wraz z Bellą, nie zwracając uwagi na pogardę Russella, zapuścili się kiedyś w buddyzm Zachodniego Wybrzeża. Niedługo wytrwali w próbach medytacji, ale Henryk zyskał nowe pojęcie o religii; co prawda pozostało ono czystą abstrakcją, bo nie wiedział, co z nim począć – teraz jednak zamieniło się w bramę, przez którą Kato Forbes mógł w sposób bardziej istotny ponownie wkroczyć w jego życie.

Tego ranka Henryk otrzymał listy od Russella i Belli. List Belli był długi. Kochanie, tak strasznie za Tobą tęsknimy... Nie bądź dla nas Anglikiem... tak często mówiłeś, że nienawidzisz tego układu, nie daj się wciągnąć... Wracaj prędko do domu. List Russella był krótki. Cześć, stary, mam nadzieję, że wszystko w porządku. Pisz. Russ... Henryk nie był w stanie odpowiedzieć na listy, ale gniotąc je w rękę, czuł, że w gruncie rzeczy bardziej tęskni za Russem niż za Bellą. Czy rzeczywiście jego prawdziwe ja, jego istota moralna, jedyna nadzieja na zbawienie zostały tam, w małym, nieciekawym, pozbawionym cienia, drewnianym Sperriton, piekącym się w *lux perpetua* prerii, wielkiego amerykańskiego Środkowego Zachodu i bezmiernej amerykańskiej dobroci? A jeśli tak było, czy wkrótce nie będzie musiał wrócić tam i pozostać? Czy kiedykolwiek wątpił o swoim powrocie? Jaka niezdrowa nadzieja zaprowadziła go do Anglii?

Rozmawiał z matką, ale była to kaleka rozmowa. Dopytywała się bardzo o Sperriton, on jednak dawał jej krótkie odpowiedzi, minimalizując wszystko, tak że wydawało się nudne. Oczywiście były to nudy, rozkoszne nudy, ale nie tak niezrozumiale ponure, jak przedstawiał to Henryk. „Czy lubiłeś swoją pracę?” „Nie bardzo”. „Czy chodziłeś na spacer po wsi?” „Tam nie ma wsi. I nikt nie chodzi na spacer”. Oczywiście za pytaniami tymi kryło się coś innego, Gerda prawie nie słuchała jego odpowiedzi ani on jej pytań. To, co chciała powiedzieć, brzmiało: Jesteś mi potrzebny. Chcę cię poznać. Zobaczysz, że potrafię być cierpliwa. A on mówił: Dlaczego teraz udajesz, że cię obchodzę? Nigdy przedtem nie chciałaś wiedzieć, co robię i kim jestem, nawet nie przyjechałaś do Sperriton. Teraz jest za późno. A ona odpowiadała: Nie jest za późno, nie jest, nie jest. „Jak ci się układało ze studentami?” „Niespecjalnie”. „Czy masz tam dobrych przyjaciół?” „Parę małżeńską”. I czasami zdawało się Henrykowi, że dom również zabiega o jego względy w ten sam bezowocny, nieumiejętny, w sumie raczej zadowolony z siebie sposób, mówiąc: Oto jestem, wreszcie witaj w domu, jestem twój. Na co Henryk odpowiadał: Kiedy cię potrzebowałem, nie byłeś mój, kiedy cię potrzebowałem, odrzuciłeś mnie.

Dlaczego teraz mam dbać o ciebie? Henryk zauważył, że matka po cichu usunęła z salonu fotografię Sandy'ego w srebrnych ramkach.

Lucjusz w dalszym ciągu był uprzejmy, nawet uniżony, a Henryk traktował go jak biednego rezydenta-guwnera. Henryk nie bardzo rozumiał, jaką w istocie odgrywa rolę, i prawdopodobnie by go lekceważył, gdyby Lucjusz ze strachu przed Henrykiem nie wchodził mu ciągle w drogę w sposób, który najwyraźniej drażnił Gerdę. Lucjusz uważał za swój obowiązek poruszać intelektualne zagadnienia dotyczące literatury lub polityki amerykańskiej i stworzyć rodzaj akademickiego spotkania dwóch mężczyzn, z którego Henryk miał wiele wynieść. Gdyby Henryk z Gerdą pozwolili mu na to, chętnie posiedziałby z Henrykiem przy winku (kiedy je podawano). Henryk natomiast zachowywał się swobodnie. Z Lucjuszem poradzi sobie później. Na razie Lucjusz musi po prostu sam zająć się sobą, o ile tylko starczy mu śmiałości, aby wytrwać wśród potężnych przeciwników. Tymczasem Henryk stanowił dla niego tajemnicę. Lucjusz chciał odkryć, do czego Henryk jest zdolny. Ale Henryk nie był zdolny do niczego, Henryk czekał. Czekał z jakąś potworną zboląłą ufnością, że coś się zdarzy.

Widząc matkę zajęta przy żółtej kosiarce daleko od domu, Henryk uznał, że nadszedł moment, aby zrobić coś, o co Gerda z widocznym bólem go prosiła, a co dotychczas odkładał na później; chodziło o uporządkowanie rzeczy w pokoju Sandy'ego. Gerda po prostu nie była w stanie tam wejść. Prawdopodobnie odczuwała również, że byłoby wskazane, a może nawet zbawienne dla Henryka, spadkobiercy, żeby uporządkował papiery Sandy'ego. Przy ponownym spotkaniu Merriman także to sugerował. Henryk wypadł z sali balowej i pognął na górę tylnymi schodami, dostrzegając kątem oka ptasiogłową Rhode, która siedziała w kuchni i czytała jakieś pismo. Popędził korytarzem obok galerii pod drzwi pokoju Sandy'ego, położonego naprzeciwko pokoju matki, w zachodnim skrzydle domu. Rozejrzał się dokoła z miną winowajcy, a potem spokojnie nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Niesłusznie oczekiwał, że zastanie pokój sprzątnięty i uporządkowany, zamieniony już w muzeum Sandy'ego, a rzeczy schludnie posegregowane albo poprzekładane gałkami naftaliny. Zamiast tego znalazł pokój żywy, do którego nie dotarła jeszcze wiadomość, że nie ma już właściciela. Wydawało się, jak gdyby ten, dla którego pokój żył i oddychał, ciągle był w pobliżu, niezręcznie i pospiesznie ukryty za szafką lub okiennicą. Pokój wyglądał dokładnie tak jak tego ranka, kiedy Sandy wstał, ogolił się, ubrał, zjadł śniadanie, wyprowadził auto i wyruszył do Londynu. Czuć było jeszcze słaby zapach fajczanego tytoniu. Nieporządnie

rozsunięte zasłony pozostawiały pokój w półcieniu. Duże biurko zamykane na żaluzję było otwarte i zarzucone papierami. Na stole leżała rozłożona gazeta, dwie fajki i para okularów. A więc Sandy zaczął nosić okulary. Na podłodze tarzało się kilka krawatów i ręcznik. Na lustrze nad umywalką pozostało rozmazane mydło. Pościel była rozrzuciona, na poduszce leżał termofor. Henryk machinalnie odciągnął zasłony do końca, zaniósł termofor do umywalki, odkorkował i wylał wodę. Na widok białej miski i płynącej wody nagle poczuł mdłości.

Odwrócił się, oparł o półki i zaczął oddychać spokojnie i głęboko; czuł mdłości i lekki zawrót głowy. Zaczął ostrożnie odczytywać tytuły książek. *Hydroplany w drugiej wojnie światowej. Jane – wszystkie samoloty świata. Ciągniki dawne i nowe. Alvis win. Podręcznik entuzjasty kolei. Historia kolei w obrazach. Katastrofa na moście Tay.* Poczł się lepiej. Przyszła mu do głowy łacińska sentencja. *Delenda est Carthago.* Ulubione powiedzonko Sandy'ego, które go z jakiegoś powodu bawiło. *Delenda est.* Podszedł do biurka, z pewną ciekawością, ale głównie powodowany pragnieniem, żeby mieć to już za sobą, po czym wezwać na pomoc tych, co wszystko uporządkują, wyczyszczą i usuną śmieci. Przyciągnął duży kosz i zaczął zgarniać do niego rozrzucone na biurku, pobieżnie przejrzone papiery. Pokwitowania, ogłoszenia, zawiadomienia klubowe, katalogi samochodowe. Kilka zupełnie nieciekawych zaproszeń i listów osobistych. Jak Sandy radził sobie z seksem? Henryk szybko przeszukiwał szuflady i przegródki biurka. Książeczki czekowe, odcinki bankowe, ubezpieczenie, podatek dochodowy, to dział Merrimana. Klucze, banknoty. Niebieskie, wyściełane aksamitem pudełeczko na spinki do mankietów – puste. Kilka figur szachowych. (Sandy był doskonałym szachistą. Henryk nigdy nie nauczył się grać). Stare fotografie rodziny i czternaściorga służby na tle dworu. Dłonie Henryka fruwały, metodycznie odrzucając, wybierając. Już prawie skończył, kiedy nisko pod przegródkami, w długiej szparze, która dotychczas wydawała się pusta, zauważył coś, co przypominało głęboko wepchnięty arkusz złożonego papieru. Wpychając dłoń aż po nadgarstek, Henryk uchwycił palcami i wyciągnął papier.

Był to dokument prawny, wypisany na maszynie, na grubym, błyszczącym, lekko pożółkłym papierze, związany czerwoną wstążeczką. Henryk rozsuptał wstążkę i rozpostarł dokument. Dotyczył wynajmu lokalu. Przeczytał pierwszą część i zorientował się, że chodzi o wieloletni kontrakt najmu mieszkania w Londynie. Na Knightsbridge. Henryk wpatrywał się w papier. Najemcą był Sandy. A więc Sandy miał mieszkanie w Londynie. Nie było w tym nic dziwnego. Tylko nikt mu o tym

nie wspominał. Ani Merriman, ani matka nie pisnęli słowem. Więc prawdopodobnie nie widzieli o jego istnieniu. Więc prawdopodobnie Sandy utrzymywał to londyńskie mieszkanie w tajemnicy przed wszystkimi. Mieszkanie nie figurowało w spisach aktywów Merrimana. Do kogo należy teraz? Sandy zostawił wszystko, co posiadał w chwili śmierci, swojemu bratu Henrykowi Blairowi Marshalsonowi. A więc teraz właścicielem mieszkania został Henryk. I oczywiście Henryk również zachowa to w tajemnicy. Złożył dokument najmu i wepchnął go do kieszeni. Potem wsunął tam jeszcze pęk kluczy. Wyszedł z pokoju na palcach.

W ogrodzie powoli się ściemniało i nadchodził zmierzch. Spodiewając się powrotu matki, Henryk postanowił wyjść. Cicho zbiegł po schodach i wypadł na dwór przez frontowe drzwi, dostrzegając kątem oka łuszczącą się starą brązową farbę i ciągle źle dopasowane szyby, które jak zawsze dygotały na wietrze. Zeskoczył ze schodów. Długimi stopniami tarasów zbiegł na dół, zatrzymując się przy trawniku, wypielegnowanym przez Gerdę, który biegł wzdłuż muru w kolorze ochry. Bezwietrzny wieczór zastygł w okrutnej wiosennej ekstazie. Pod stopami Henryka intensywnie zielona, gęsta i gąbczasta trawa była mokra od rosy. Zachmurzone niebo zachowało jeszcze jasność, promienny szary błękit, bliżej horyzontu odrobinę żółtawy. Nad jeziorem wisiała lekka mgła, a drzewa na zboczu wzgórza skąpane były w szarym promiennym blasku, jak gdyby z ich ciągle jeszcze nagich gałęzi zwisała świetlista gaza. Ptaki wypełniały wieczorne powietrze bezustannym, przenikliwym i oszalałym krzykiem.

Henryk skierował się w stronę rzeki z zamiarem wspięcia się do belwederu. Serce przepęśniał mu głęboki smutek, przerażenie i bolesne pragnienie szczęścia. Wychował się w jednym z najpiękniejszych zakątków świata, ale dzieciństwo zmarnował przez niemądre urazy i zazdrości. Teraz, kiedy dziwną rzeczą kolejną dane mu było powrócić, dalej czuł się obco. Czy nauczy się kiedyś muzyki tej okolicy, czy zawsze przepływać będzie ona obok niego? Czy istnieje jakiś rytuał, jakiś ceremoniał posiadania, do którego nigdy nie dojrzeje? Czy jego dziadek, jego ojciec byli istotnie właścicielami tego miejsca? Czy był nim Sandy? Co do tego nie miał wątpliwości. Tylko wyobcowany Henryk oglądał je niedotykalne, jak przez szybę, pozbawiony całkowicie klucza do jego uroku. Wydawało mu się, że stoi pomiędzy dwiema zbrodniami, nie wiedząc, na czym polega jego własne spełnienie; a może na zawsze skazany jest na to, aby pozostać małym płaczkliwym człowieczkiem? Czuł w sobie pustkę, młodzieńczy brak

celu. Gdyby chociaż był malarzem albo przynajmniej widział jakiś sens w nie kończących się próbach, aby nim zostać.

Przeszedł przez mostek i spojrzął w górę na belweder, ciemniejący teraz na tle żółtego nieba. Ptaki ucichły. Postanowił nie wspinać się na wzgórze i zszedł z powrotem wzdłuż strumienia ku jezioru i wąziutkiej ścieżce, teraz zarośniętej, zapewne wydeptanej przez stopy jego i Sandy'ego. Okrażył gaj zielonych, jakby lakierowanych bambusów, czubkami palców delikatnie dotykając wilgotnych twardych łodyg. Przed jego oczyma, śmignawszy białym ogonem, przemknęła kurka wodna; zagłębiła się bezgłośnie w spokojną wodę pośród trzciny i szybko odpłynęła. Trzciny stały nieruchomo, a wśród młodych pędów ciągle jeszcze wznosiły się szczątki zeszłorocznych zarośli. Mgła przerzedziła się. Henryk szedł rozmyślnie wolnym krokiem, wdychając wilgotne powietrze i wyczuwając pod stopami mokre miejsca, w których jezioro pod wpływem wiosennych deszczów wylało na trawę. Ogarnął wzrokiem przestrzeń wody i znieruchomiał.

Mniej więcej pośrodku jeziora dostrzegł niebieską łódź pychową, a w niej dziewczynę o długich włosach. Rozstawiwszy szeroko stopy, stała wyprostowana przy końcu łodzi i, napinając mięśnie, trzymała obiema rękami drag do odpychania. Łódź kołysała się z wolna wokół dragi. Kilka fal niemal bezgłośnie rozbiło się na brzegu. Nagle z ust dziewczyny wyrwało się ciche i wyraźne:

– Do diabła!

– Dobry wieczór – powiedział Henryk.

Dziewczyna puściła drag i siadła na rufie łodzi, która nagle zagłębiła się, a potem bardzo powoli zaczęła odpływać od dragi, który pozostał wbity pionowo w dno. Oprzytomniawszy, dziewczyna położyła się na całą długość na dnie i szczęśliwie udało jej się chwycić drag, zanim umknął jej z zasięgu ręki. Leżąc w dalszym ciągu, podciągnęła łódź z powrotem do dragi, a potem, opierając się na nim, znowu podniosła się na nogi i zaczęła wyciągać go z wody, poruszając nim w różne strony. Widząc, jak operuje dragiem, Henryk domyślił się, że ma przed sobą osobę znającą się na rzeczy.

– Powiedziałem „dobry wieczór”.

– Słyszałam pana – odparła dziewczyna, zatapiając drag w wodzie. – Ale ta łódź tonie.

– Tonie?

– Tak. Jak pan myśli, po co tu siedzę, dla zabawy? Nabiera wody, a ja nie mogę jej ruszyć.

Henryk przyglądał się, jak dziewczyna ustawia drag, a potem napiera nań całym ciężarem. Łódź, najwyraźniej pełna wody, poruszyła się odrobinę.

– Rozumiem pani sytuację – powiedział Henryk,

– No i co chce pan zrobić?

Henryk przez chwilę się zastanawiał.

– Naprawdę nie wiem, co mógłbym zrobić. Umie pani pływać?

– Tak, ale nie mam zamiaru!

– Cóż, ja nie umiem – odparł Henryk – a w każdym razie robię to z trudem, więc obawiam się, że przypadnie mi tylko rola widza.

Dziewczyna wyciągnęła drag i znowu opuściła go do wody. Łódź, stojąca w odległości około trzydziestu metrów od brzegu, prawie nie drgnęła.

– Woda zalewa mi kostki. Pójdziemy na dno.

– Przykro mi – powiedział Henryk. – Ale może przede wszystkim nie trzeba było wsiadać.

– Nie może pan nic zrobić, na przykład postarać się o sznur? Henryk zamyślił się.

– Nie wiem, czy go w pobliżu znajdę. Mógłbym pewnie upleść sznur z trzciny, ale zabrałoby to dużo czasu.

– Niech pan nie żartuje. Proszę myśleć.

– Tak czy owak, nie jestem kowbojem i wątpię, czy mógłbym zarzucić sznur tak daleko. Ale gdybyśmy mieli psa...

– Och, do diabła, jestem przemoczona.

– Prawdę mówiąc, może pani być pewna, że łódź nie zatonie. Najwyżej napęlni się woda,

– Może nie, ale co ze mną, czy mam stać tu przez całą noc?

– Radziłbym opuścić statek.

– Więc nic pan nie może zrobić?

– Cóż, zapewne mógłbym pójść po sznur i...

– Och, do diabła...

Rozległ się plusk i lekki okrzyk. Dziewczyna dała nurka. Łódź zachybotała, przechyliła się i odsunęła trochę od sterczącego drąga. Jezioro zapienilo się i zagotowało wokół pływaczki, która zbliżała się do ładu energicznym crawlmem, rozpryskując wodę wokół siebie.

– Jak mam się przedostać przez te cholerne trzciny?

Twarz dziewczyny, mokra i zaczerwieniona, ukazała się tuż przy nim, ręce zaczęły czepiać się trzciny, a wokół niej bulgotała czarna woda jeziora. W powietrze uniósł się silny zgniły zapach głęboko poruszonego mułu.

– Nie mogę się przedostać, łapią mnie za nogi.

– Nie bądź głupia – powiedział Henryk – po prostu przepłynij między nimi i nie miotaj się na wszystkie strony.

– Proszę mi pomóc, konam z zimna.

Henryk zrobił krok naprzód i poczuł wokół kostki lodowaty uścisk wody. Zachłysnął się powietrzem, czując, jak noga nagle zapada mu się w muł. Próbując wydostać stopę, wyciągnął rękę przed siebie, żeby złapać równowagę, i w tej samej chwili ktoś gwałtownie chwycił go za rękę, wciągając coraz głębiej. Druga stopa też ugrzęzła po kostkę w mule. Coś dużego, mokrego i błotnisteo spadło mu na nogę, przewracając do tyłu, tak że usiadł w wodzie na trawiastym brzegu jeziora.

– Psiakrew! – wyrwało mu się.

Energicznymi ruchami, jak foka, dziewczyna wyplątała się z trzciny obok niego, wypełzła na czworakach, a potem wyprostowała się i otrząsnęła jak pies. Henryk podniósł się, przemoczony do pasa.

– Do diabła!

– Przepraszam – powiedziała dziewczyna. – To tylko ostatni kawałek. Wszystko w porządku?

– Wręcz przeciwnie. A w ogóle, co u licha robi pani na mojej posesji i w mojej łodzi?

W ciągu paru minut dramatu, który rozegrał się przy łodzi, niebo pociemniało, nabierając niebieskawo łupkowej barwy. Spoza drzew wypełzła ziarnista przesłona ciemności. Henryk wpatrywał się w swoją towarzyszkę. Stała przed nim oblepiona zabłoconą sukienką, z włosami spływającymi na kark i ramiona. Przechyliła się i wycisnęła wodę ze

spódnicy. Nawet jej twarz wydawała się ciemniejsza, ale może tak tylko wyglądała w półmroku.

– No i co?

– Nie poznaje mnie pan?

– Nie – odparł Henryk. Przyglądał się jej. – Ach, więc to, mój Boże... Colette Forbes?

– Tak. Mówię jeszcze raz, że konam z zimna.

– Więc nie masz dziesięciu lat?

– Nie, nie mam. O matko! – Głos dziewczyny załamał się, przechodząc w jęk.

– Proszę nie histeryzować – powiedział Henryk. – I tak mam z tobą dosyć kłopotu. Lepiej pójdz do domu się przebrać. To tylko dwadzieścia pięć minut drogi.

Colette nagle się odwróciła i maszerując szybkim krokiem, prawie natychmiast zniknęła w półmroku między bambusami. Henryk poszedł wolniej za nią i mniej więcej po minucie zobaczył, jak wraca.

– Cześć. Znowu się spotykamy.

Colette nic nie odpowiedziała, tylko na czworakach zaczęła gorączkowo szukać czegoś na skraju bambusowych zarośli.

– Czegóż, u licha, jeszcze tu szukasz? – zapytał Henryk.

– Mojej walizki.

– Dlaczego robisz tyle krzyku? Walizka stoi na pewno spokojnie, schowana w zaroślach.

Colette wyciągnęła walizkę i eleganckim krokiem odmaszerowała z powrotem w kierunku mostu.

Henryk poszedł za nią, śmiejąc się wesoło. Był to jego pierwszy śmiech po powrocie do Anglii.

Stojąc w oknie salonu i ściągając ogrodowe rękawiczki, Gerda widziała, jak Henryk jednym susem przesadził półokrągłe frontowe schody i popędził przez taras w kierunku trawnika. W chwilę później zobaczyła, jak idzie po trawie na przełaj w stronę mostka, i wycofała się w głąb pokoju.

Kłęcząc przy kominku, ptasiogłowa Rhoda próbowała rozpalić ogień. Papier zajął się od zapalki i rozgorzał żółtym blaskiem, oświetlając ogromne oczy Rhody.

Pozostawiona w samotności Gerda usiadła w fotelu i patrzyła, jak płomienie ścigają się po suchym drzewie. Najchętniej chwyciłaby się rękami za głowę i zaczęła wyc, ale tego nie zrobiła.

Wszedł Lucjusz i zapalił światło.

– Przepraszam, kochanie, nie wiedziałem...

– Stale robisz to samo.

– Przepraszam...

– Słuchaj – powiedziała Gerda. – Właśnie się zastanawiałam.

W Lucjuszu serce zamarło. Doświadczenie go nauczyło, że kiedy Gerda zastanawia się, ma zwykle do zakomunikowania coś nieprzyjemnego.

Tego wieczoru salon wyglądał weselej, bo wczesnym popołudniem Gerda z Rhodą poprzynosiły z galerii meble i ozdoby: krzesło z przyborami do szycia, haftowany taboret, stolik do kart, dwie wazy dreздеńskie, długi kazachski bieźnik. Galeria, a właściwie wąski pokój bez szczególnego przeznaczenia, służyła za skład mebli. Czasami nazywano ją „pokojem muzycznym”, ponieważ dziadek Burke’a słuchał tam muzyki kameralnej. Gerda i Rhoda, jak zwykle współpracując w milczeniu, ustawiły w salonie w dużym prostokątnym akwariium ogromną kompozycję z paków kasztana i leszczyny oraz białych narcyzów. Pod wpływem ciepła bijącego z kominka zapach narcyzów rozchodził się po pokoju.

Lucjusz przespał większą część popołudnia. Przez pewien czas ukrywał przed Gerdą swoje poobiednie drzemki; ona oczywiście nigdy nie odpoczywała w ciągu dnia; w końcu jednak odkryła to i teraz zawsze, tuż po lunchu, przypominała: „Pora na odpoczynek!” Na początku Lucjusz miał z tego powodu skrupuły i pozwalał sobie tylko na ukradkową, dwudziestominutową drzemkę. Teraz jednak czuł, że jest starszy i na więcej może sobie pozwolić, choć ciągle był wrażliwy na ironię Gerdy i z tęsknotą oczekiwał chwili, kiedy zaciągnie zasłony i będzie mógł się przespać. Jeśli plecy niezbyt mu dokuczały, szybko zapadał w przyjemną drzemkę i w ten sposób spędzał nadmiar wolnego czasu. W nocy zażywał, z umiarem, pigułki nasenne. Od dziecka zawsze cenił sobie stan nieświadomości.

Rano zajęty był pisaniem. To znaczy, spędził około godziny przeglądając swoją książkę o polityce i zastanawiając się nad skrótami, które zamieniłyby ją w rodzaj autobiografii duchowej nadającej się do druku. A może łatwiej byłoby porzucić tę robotę i rozpocząć wszystko od nowa, krystalizując doświadczenia całego życia na stu wymownych stronach? Lucjusz zaczął odczuwać zmęczenie. Nastawił partitę b-moll i powrócił do układania haiku. Właśnie wypróbowywał tę formę. Czy pozwala na rymy?

Narcyzów smętne pola

Wiosny warzy niedola,

Lecz jakaż jego wola?

Przyjechał pan.

– Nad czym się zastanawiałaś, kochanie?

– Myślę, że powinieneś wyjechać na odpoczynek. Lucjusz przez chwilę milczał – zaskoczony.

– Ależ ja ciągle odpoczywam. Przynajmniej, to znaczy...

– Przydałaby ci się odmiana. Dawno temu mógłbyś skończyć swoją książkę, gdybyś nie był zamknięty w tej wieży z kości słoniowej. Powinieneś bywać w świecie, dyskutować z ludźmi, żyć pełnią życia.

Lucjusz nie wydawał się zbyt ucieszony tą perspektywą.

– Ależ, moja droga...

– Nie zaczynaj od nowa...

– Miałem podobno dyskutować z ludźmi!

– Nie chcę, żebyś robił to ze mną. Chciałabym, żebyś na jakiś czas wyjechał. Mógłbyś pojechać do siostry.

Siostra Lucjusza, Audrey, żona pośrednika w handlu nieruchomościami, mieszkała w Esher. Nie byli pokłóceni, ale nie utrzymywali prawie żadnych stosunków.

– Audrey jest bardzo zajęta... poza tym dzieci...

– Czy nie są już dorosłe?

– Nie wszystkie. Jest jeszcze Timmie i Robbie...

– Cóż, możesz jechać, gdzie ci się podoba.

Lucjusz milczał. Ptasiogłowa Rhoda weszła w miękkich pantoflach i zaciągnęła zasłony. Kiedy się oddaliła, Lucjusz powiedział:

– Kochana Gerdo, byłaś dla mnie cudowna. Kiedy to się zaczęło, nie myśleliśmy, cóż, nie wiem, cośmy myśleli, a w każdym razie co ja myślałem... przeżyliśmy kawał czasu i byłem tu tak szczęśliwy, po prostu tak się złożyło i nigdy poważnie nie zastanawialiśmy się nad tym, i czasami czułem... to znaczy, zastanawiałem się, czy ty czujesz... czy chcesz, żeby ten układ... ostatecznie nie ma powodu...

Gerda zmarszczyła brwi. Lucjusz nagle wyobraził sobie maleńką klitkę w północnym Londynie, gdzie, żyjąc z renty starczej i dziś już prawie zupełnie bezwartościowych oszczędności, spędzałby całe dni w miejscowej bibliotece publicznej. Możliwość ta wydała mu się przerażająco realna.

– Czy chcesz, żeby ten układ przestał istnieć? – zapytała Gerda.

– Nie, oczywiście nie...

– Ja tego nie chcę. Uznaję swoje obowiązki wobec ciebie, podobnie jak wobec Rhody i Bellamy'ego.

Nie było to zbyt szczęśliwe sformułowanie, ale Lucjusz poczuł ulgę.

– To nie znaczy, że uważam ciebie...

– Ależ tak, kochanie, tak. *Mutatis mutandis*.

– Po prostu chcę zostać trochę sama z Henrykiem.

– Ach, rozumiem, tak, oczywiście. Doskonale rozumiem. Oczywiście, wyjadę...

Lucjusz z zadowoleniem przyjął to racjonalne wyjaśnienie, choć wzmianka o młodym dziedzicu nasunęła mu myśl: przypuśćmy, że wyjadę i Henryk po prostu nie pozwoli mi wrócić?

Gerda, ciągle jeszcze w spodniach ogrodniczych, wpatrywała się w ogień. Nie śledziła zmian nastroju wrażliwego Lucjusza.

– Myślę, że jeśli zostaniemy sami, będzie... będzie lepiej... Jeśli będziemy sami, ulituje się nade mną, myślała. Zmuszę go do tego. Inaczej pozostaje mi tylko męka, szaleństwo, nie mogę tak dalej żyć, muszę znać swój los. Myśli, że jestem twarda. Gdyby tylko spróbował mnie zrozumieć. W ciągu ostatnich kilku dni, widząc, jak Henryk korzysta ze swobody i odnosi się do niej z grzecznym, ale chłodnym i pełnym obcości dystansem, Gerda bardzo się zmieniła. Minał już dziwny przypływ niechęci, jaką

odczuwała na początku. Wtedy, gdyby Henryk chciał wziąć ją w ramiona i pomówić z nią o jej stracie, gdyby przysięgał, że będzie o nią dbał i że zajmie przy niej miejsce Sandy'ego, prawdopodobnie odsunęłaby się od niego ze zgrozą. Teraz, kiedy nie było już o tym mowy, widziała wyraźnie swoją nędzę, całą rozpacz swojej sytuacji, rozpacz, która kazała jej zapomnieć całkowicie o uczuciach Lucjusza, o jego żalosnej dumie i obawie przed wysłaniem do Audrey. Teraz wydawało jej się, że gdyby Henryk po prostu, co nie było wykluczone, oddał jej z powrotem dom i wyjechał, gdyby po prostu pozostawił ją tutaj na zawsze i wrócił do Ameryki, prawdopodobnie by oszalała. Henryk jest wszystkim, co jej pozostało, i w żadnym wypadku nie może go utracić.

W hallu obok rozległ się nagle hałas, frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem i dobiegły ją podniesione głosy. Gerda i Lucjusz spojrzeli na siebie, a potem poderwali się z krzeseł. Wyszli do hallu, gdzie ujrzeli Henryka w towarzystwie okropnie zabloconej dziewczyny.

– O, mamó, przyprowadziłem Colette Forbes. Jesteśmy oboje przemoknięci do nitki. Wpadliśmy do jeziora!

Od przyjazdu do domu Henryk ani razu nie okazał wobec matki takiego ożywienia.

Gerda, która nie widziała Colette od kilku lat, odniosła na jej widok podobne wrażenie jak Henryk. Pamiętała małą dziewczynkę, a teraz miała przed sobą młodą kobietę. Mimo dziecinnej przyjaźni Henryka z Katonem Marshalsonowie i Forbesowie prawie się nie widywali nawet za życia Burke'a. Gerda nigdy nie umiała się dogadać z bystrą Ruth Forbes. Później wynikła kłótnia o prawo przejazdu i Gerda w pewnym sensie odniosła wrażenie, że John Forbes nią pogardza i traktuje jak osobę niewykształconą, która nagle wskoczyła w skórę *grande dame*. Możliwe, że Lucjusz niechcący spotęgował to wrażenie. Lucjusz poznał Gerdę przez Johna Forbesa i choć John oczywiście nigdy o tym nie wspominał, Lucjusz odczuwał, że John nie rozumie ani nie aprobuje jego niezwyklej przyjaźni z Gerdą. Podejrzewał, że John podśmiewa się w duchu z nich obojga. I pełen wrażliwości Lucjusz odsunął się od niego. Tak więc Gerda, choć od tego czasu musiała widzieć ją parę razy, najlepiej zapamiętała Colette jako małą dziewczynkę, drepczącą na chwiejnych nóżkach tuż za Henrykiem i swoim bratem.

– Oboje jesteście kompletnie przemoczeni – zawołała Gerda. – Musicie natychmiast się przebrać, pewnie przemarzliście do kości. Co się stało?

– Strasznie mi przykro, proszę pani, bardzo przepraszam, poplamiałam dywan...

– Henryku, jesteś cały mokry, musisz się przebrać.

– Nie jestem mokry, tylko trochę przemoczony, Colette skąpała się cała. Na szczęście ma ubranie w walizce. Jeśli pozwolicie, pójde się przebrać, bo dosłownie szczękam zębami. Mama się tobą zajmie. – Henryk postawił walizkę Colette na podłodze i śmiejąc się jak wariat, popędził schodami na górę.

– Przepraszam panią, to wszystko moja wina...

Lucjusz, uderzony urodą oblepioną ubraniami Colette, zaproponował:

– A może trochę brandy, co?

– Proszę na górę – powiedziała Gerda. – Musi pani wziąć gorącą kąpiel. Zabierz jej walizkę, Lucjusz.

Procesja ruszyła po schodach; Gerda wykrzykiwała coś, Colette się usprawiedliwiała. Weszły do sypialni Gerdy i podziękowały Lucjuszowi za pomoc. Gerda puściła gorącą wodę i Colette wraz z walizką zniknęła w łazience, a Gerda usiadła na łóżku i zaczęła rozmawiać z nią przez drzwi.

– Zrobiłam głupstwo, wypłynęłam łodzią, a potem zaczęła tonać, Henryk pani opowie...

– A co na to Henryk?

– Cóż, właściwie nic; to znaczy, cóż miał robić w tej sytuacji...

– Więc dlaczego jest cały mokry?

– Wyciągał mnie z wody... Ach, jak strasznie mi głupio... zabłociłam pani łazienkę, ręczniki też są czarne...

Tymczasem Henryk, pluszcząc się w gorącej kąpiel, z zadowoleniem uśmiechał się do siebie. Skończywszy, włożył ciepłe ubranie i wełniany sweter. Wytarł energicznie ręcznikiem mokre włosy, a potem popatrzył w lustro. Był zielonym wielkookim akrobatą przykucniętym wysoko na trapezie, czujnie i spokojnie unoszącym się w żółtym powietrzu. W minutę potem był już na dole w salonie.

– Mój biedny Baku, masz, poczęstuj się brandy, a może whisky, musisz być na wpół żywy, sam chyba też się napiję, ładna historia...

Weszła Gerda z Colette. Długie włosy dziewczyny, podsuszone fenem, sterczały wokół jej głowy i ramion jak potężna fala połyskliwego pierza,

które zażenowana Colette bezskutecznie próbowała przyglądzić. Miała na sobie tweedową spódnicę z koszulową bluzką i wełniany pulower.

– Podejdź bliżej ognia, proszę, i poczęstuj się, to cię rozgrzeje. – Lucjusz usłużnie podsunął jej kieliszek brandy.

– Nie, dziękuję. Muszę iść do domu, koniecznie, właśnie tam wracałam, to znaczy jechałam autostopem z college’u i ktoś podwiózł mnie tamtą drugą drogą aż do Dimmerstone, dlatego przechodziłam przez park, strasznie przepraszam, ale wieczór był taki uroczy, no więc kiedy zobaczyłam łódź...

– Oczywiście, oczywiście...

– Bardzo mi przykro, sprawiłam tyle kłopotu...

– Nic podobnego...

– Naprawdę muszę iść, dobranoc, bardzo wszystkim państwu dziękuję...

– Dokąd to pani się wybiera? – zapytał Henryk, który przyglądał się jej z boku.

– Idę do domu. Dziękuję i do widzenia. Doskonale znam drogę, a poza tym jeszcze wcale nie jest ciemno. – Colette wzięła walizkę i skierowała się do drzwi.

– Chwileczkę – powiedział Henryk. – Po co się wygłupiasz, i tak to nic nie pomoże. Podwożę cię samochodem. Mam nadzieję, że będziesz na tyle grzeczna i poczekasz, aż dokończę whisky.

Reflektory żółtego volvo zataczały powolne kręgi, oświetlając żwir przed stajniami, połyskując na dachu szklarni, na siatce ogrodzenia kortu tenisowego, bielonych pniach drzew owocowych i wiązach w parku. Padał drobny deszczyk. Kiedy minęli pastwisko i skręcili w lewo na drogę z Dimmerstone do Laxlinden, Colette powiedziała zmęczonym, głuchym głosem:

– Nie wspomnę o tym ojcu ani słowem.

– O naszych wyczynach na jeziorze? Oczywiście.

– Czuję się jak skończona idiotka.

– Chyba tak – powiedział Henryk, obserwując złocisty sydereytowy mur parku. Mur był w doskonałym stanie. Henryk nie przyzwyczał się jeszcze całkiem do lewostronnej jazdy.

– Czy ojciec spodziewa się ciebie?

– Nie. To jeszcze jedno głupstwo.

– Co robisz?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi?

– To znaczy, czy jesteś studentką, nauczycielką, panią domu, baletnicą...

– Nie jestem zameżna, oczywiście.

– Oczywiście.

– Byłam studentką, ale skończyłam z tym.

– A dlaczego?

Colette przez chwilę milczała.

– To nie w moim stylu.

– O, więc masz swój styl? Zazdroszczę ci.

– Myślisz, że nie mam racji?

– Nie mam pojęcia. Studia są dzisiaj takie łatwe, skreślili wszystkie trudniejsze kawałki, teraz to jest po prostu rodzaj zabawy. Wydaje mi się, że powinno ci to doskonale odpowiadać jako sposób czekania na długowłosego, długonogiego chłopca, który jest twoim naturalnym partnerem.

– Proszę wysadzić mnie tutaj.

Henryk zatrzymał samochód na rogu alejki prowadzącej do Leśnej Zagrody.

– Czy przysięgniesz mi, że nikt cię nie napadnie ani nie zgwałci po drodze?

– Nic mi nie grozi. Dziękuję.

– Za co? Dobranoc.

Colette wysiadła, trzaskając drzwiczkami, i zniknęła w ciemności.

Henryk podjechał jeszcze kawałek dalej, potem wprowadził duży samochód na rosnącą pod murem trawę, zgasił światła i wysiadł. Znowu znalazł się koło zamkniętej na kłódkę żelaznej bramy i stał przy niej w półmroku jak przed wielu dniami, wielu miesiącami. Objął ramionami mokre żelazne pręty, chwycił za nie i lekko potrząsnął. Zapomniał o Colette. Noc była bezksiężycowa. Tuż przed nim podjazd tonał w cieniu

nisko wiszących chmur i drzew iglastych. Obmyślając zbrodnię, którą ma popełnić, Henryk wpatrywał się w mrok.

Alejka była bardzo ciemna i błotnista. Colette biegła, niezręcznie trzymając walizkę tak, żeby nie uderzała jej po nogach. W kuchni paliło się światło. Palce, kierując się dawnym odruchem, otworzyły drewnianą furtkę. Popędziła ścieżką do drzwi i z całą siłą rozpędu zaczęła się do nich dobijać głośno i gwałtownie.

Kroki. Światło w hallu. Drzwi się otworzyły.

– Colette!

John Forbes, który wcześniej wstawał i wcześniej kładł się do łóżka, miał za sobą dzień pełen zajęć i udawał się już na spoczynek. Był w Londynie z wizytą u Patrycji Raven. Patrycja, jego stara znajoma, dawniej przyjaciółka Ruth, a potem ich obojga, była archeologiem, a obecnie dyrektorką żeńskiego college'u w Londynie. Nie wyszła za mąż. Czasem John zastanawiał się, czy w ogóle interesuje się mężczyznami. Jego namowom uległa tylko dlatego, że zdołał przedstawić własne potrzeby jako sprawę czysto fizjologiczną. Teraz odwiedzał ją regularnie w jej mieszkaniu. Jedli lunch, rozmawiali o polityce, kochali się. To znaczy, John kochał ją, a Patrycja, zawsze pesząc go swoim żartobliwym tonem, pozwalała się kochać. Gdyby nie była jego starą i dobrą znajomą, nie byłoby to możliwe. John sam się dziwił, ale nie wstydził tego, z jakim uporem nekwały go nieustające potrzeby seksualne. Tę część swojego życia utrzymywał w ścisłej tajemnicy przed dziećmi, choć od czasu do czasu i one widywały „ciocię Pat”. Nigdy, nigdy nie przestał odczuwać braku Ruth.

Dzisiaj wrócił do domu na późną herbatę z zamiarem, że obejrzy wspólnie z George'em Bellamy rewanżowy mecz futbolowy w kolorowej telewizji. Oczywiście George miał własny telewizor, ale chętnie uciekał od żony i córki do Leśnej Zagrody, gdzie czekał go kieliszek i odrobina męskiego towarzystwa. Czasami spotykał się z Gilesem Goslingiem, miejskim architektem, Pod Koniem i Koniuszym. Dawno temu Gerda próbowała swatać Rhodę i Bellamy'ego. Bellamy nie był obojętny. Rhoda wyglądała dziwnie, ale miała pewien urok, bo wiele przemawiało za żoną, która nie może mówić, a pani Marshalson w prezencie ślubnym ofiarowałaby im niewielki domek na wsi. Jednak Rhoda wyraźnie dała mu odczuć swoją pogardę. Bellamy, który dopiero wtedy zorientował się, jakim ustępstwem byłaby jego decyzja, wybrał dziewczynę z Laxlinden, którą później terroryzował, w przeświadczeniu, że ożenił się poniżej swego stanu. Mieszkał w domku Marshalsonów w Dimmerstone.

Tego wieczoru zaszedł, przynosząc jak zwykle wiadomości ze dworu, których John wysłuchiwał ze złośliwą ciekawością. „Widziałeś dziedzica?” „Pana Henryka? Tak. Był w Dimmerstone i oglądał domki”. „Mam nadzieję, że powiedziałaś mu o dachach”. „Dachy nic go nie obchodzą. To Amerykanin, gapi się tylko i mówi całkiem po jankesku”. „Pewnie myśli, że takie porozwalane wyglądają malowniczo”. „Porozwalane, gadaj zdrow! Nie chciał w ogóle o tym słyszeć. Nie zdziwiłbym się, gdyby był pedałem, wygląda na takiego”.

John Forbes otworzył córce drzwi, Colette weszła do kuchni i usiadła przy stole, na którym stały resztki jajek na boczku, które John jadł na kolację.

– Pisałaś, że dasz znać, kiedy przyjedziesz.

– Przepraszam.

– Pewnie nic nie jadłaś?

– Nie, ale nic się nie kłopczo. Zjem tylko trochę chleba z serem. Mówiłam, nie kłopczo się. Wystarczy mi to.

– Dobrze, dobrze. Wyglądasz jak ofiara losu.

– Czy jest wino?

– A piwo nie wystarczy?

– Nie.

– To chyba jedyna rzecz, jakiej nauczyłaś się w college’u. Otworzę. Jak się tu dostałaś?

– Kiwnęłam na łebka. A potem piechotą.

– Mówiłem ci tysiąc razy, żebyś nie jeździła autostopem.

– Czy jest dżem?

– Chleb z dżemem i wino z dobrego rocznika.

– Jakiego tam dobrego.

– Cóż to za świetna rzecz, edukacja! Dzwoniłem do twojego opiekuna.

– Wiem.

– Wiesz, co powiedział?

– Nie.

– Powiedział, że nie nadajesz się do żadnej szkoły.

– Mnie powiedział, że jego zdaniem słusznie robię, zrywając z tym.

– Domyślam się!

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

– Oczywiście, że się gniewam! Dlaczego nie nadajesz się do żadnej szkoły? Masz zupełnie dobrą głowę. Po prostu nie chcesz próbować. Dzisiejsza młodzież po prostu nie wie, co to znaczy próbować. To zbyt przykre.

– A ja nie chcę przykrości. Czy jest coś w telewizji?

– Wracasz do domu bez słowa, wkraczasz i chcesz oglądać telewizję! Nie chcesz porozmawiać z własnym ojcem?

– Tak. Właśnie się zastanawiałam.

– Dlaczego nie dałaś mi znać o przyjeździe?

– Nie wiedziałam, co mam robić.

– Nie posłałem twojego łóżka.

– Sama je pościelę. Co z Katonem?

– Skąd mam wiedzieć?

– Tatusiu, tak mi przykro... wiem, co myślisz o Katonie... a teraz ja...

– Cóż za nieoceniona para. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie chcesz się kształcić. Ciągłe tylko szarpiesz się i narzekasz...

– Mówisz, jak gdyby wykształcenie było czymś jedynym w swoim rodzaju i nic nie mogło go zastąpić, a przecież są setki sposobów na odkrywanie świata.

– Jest czymś jedynym w swoim rodzaju i nic nie może go zastąpić. Jest nieocenione. I tak masz cholerne szczęście, że w ogóle możesz się uczyć.

– Nie chcesz przyjąć do wiadomości, że jestem inna niż ty.

– Nie musisz być taka jak ja. Mogłabyś być taka jak twoja matka.

– Nie chcesz przyjąć do wiadomości, że nie jestem intelektualistką, że nie jestem zdolna. Uważasz to za jakąś herezję...

– Oczywiście, że jesteś zdolna! Przyjemnie jest posłuchać, jak własne dziecko mówi, że nie jest zdolne...

– Wszyscy powtarzają, jak to cudownie być młodym. A ja tego nie czuję. Chcę się cieszyć młodością. Nie chcę jej tracić na udawanie, że jestem kim innym.

– A w jaki sposób zamierzasz cieszyć się młodością? Chcesz zostać tutaj i układać kwiatki w wazonie?

– Zawsze fałszywie rozumiesz moje stanowisko...

– Czy naprawdę chcesz być głupiutkim kociątkiem, bezmyślną zabawką seksualną?

– Nie! Nie znosiłam, jak mówili o seksie w college'u...

– Nigdy nie myślałam, że jesteś taka nieśmiała...

– Nie jestem! Jestem...

– Wiesz dobrze, że będziesz musiała postarać się o pracę. A cóż ty możesz robić? Nie umiesz nawet pisać na maszynie. W porządku, jesteś wolna, jesteś zupełnie wolna, to jest twoje życie, nie będę ci nic radził. Ale nie spodziewaj się, że będę cię tu utrzymywał, oczekując, aż zostaniesz wielką panią ze dworu w rodzaju pani Marshalson.

Colette zaczęła odkrawać plasterek z dużej bryły jasnożółtego cheddara. Stół kuchenny pachniał serem i winem.

– A jak tam Henryk Marshalson? Czy już wrócił?

– Ten wymoczek. Tak. Paradował tu już, udając właściciela.

– No cóż, chyba jest właścicielem.

– Nie zasługuje na to, żeby być właścicielem. Skuli ogon i wróci chyłkiem do Ameryki. Nie darmo Sandy nazywał go Bączkiem.

– Idę spać – powiedziała Colette.

– Prześcieradła są w szafce nad bolierem. Przepraszam, że tak ci wypaliłem. To dla mnie wielki cios.

– Sam mnie do tego pchnąłeś.

– Nieprawda.

– A jednak tak. Katona też pchnąłeś w objęcia Kościoła.

– Co takiego?

– No więc zmusiłeś go do ucieczki, musiał gdzieś uciec, bał się ciebie. Ja też się ciebie boję. Zawsze nas wyśmiewałeś, kiedy byliśmy mali. Poza tym strasznie podnosisz głos. Tak nie można mówić do nikogo, nawet do

własnych dzieci. Nie wiesz sam, jaki jesteś silny, jak potrafisz zranić. Jestem śmiertelnie zmęczona, mam za sobą okropny dzień, a od chwili przyjazdu ciągle tylko słyszę twoje kazania...

– Słuchaj. Bardzo cię przepraszam, ale nie...

– I jeszcze jedno, jeśli cię to interesuje. Ciągle jestem dziewicą i zamierzam nią pozostać, dopóki nie spotkam właściwego mężczyzny, a wtedy wyjdę za mąż i będę miała sześcioro dzieci! – Colette wypadła z kuchni, zatrzaskując za sobą drzwi.

John Forbes siedział nieruchomo, z poczuciem klęski i winy. Czy rzeczywiście dzieci się go bały? Nie mógł w to uwierzyć. Myśl ta wydawała mu się straszna. Ach, gdyby tylko miał przy sobie Ruth... Tak czy inaczej, żeby Kato tęsknił do Boga, a Colette do dzieci! Jaka klęska. Otworzył puszkę piwa.

– Ten bogaty facet...

– Henryk Marshalson.

– Podoba mi się, wygląda jak prawdziwy pan. Niektórzy panowie przepadają za łobuzami. Podniecamy ich. Czy naprawdę go coś obchodzi?

– Nie.

– Ale powiedziałeś...

– Myślałem, że mogę go poprosić o pieniądze na twoją naukę, ale skoro ci na tym nie zależy...

– Cóż, kto wie, może by mi i zależało. Widzisz, prócz ciebie nikogo nie obchodzi. Nie wiesz, jak to jest. Zawsze ktoś się o ciebie troszczył. Zawsze był ktoś. Ja nigdy nie miałem nikogo. Nic dziwnego, że jestem rozgoryczony. Więc jeśli ten bogaty facet...

– Nawet o tym nie myśl.

– Jesteś jedynym prawdziwym człowiekiem, jakiego znam. Czy myślisz, że ten bogaty facet mógłby mnie urządzić...?

– Nie.

Na wystawie sklepu z konfekcją po drodze z kościoła do Misji Kato dostrzegł neonowy napis PANORAMA SPODNI. Ogarnęło go nagle pragnienie, żeby śmiać się i płakać jednocześnie. Boga nie ma, świat jest przeklęty i wszyscy popadli w łagodny obłęd, tylko oni działają jak zwykle. Cały wszechświat to śmieszna, krucha, przerażająca chwila. Życie ludzkie

to bezsensowna wędrówka owadów. PANORAMA SPODNI. Otóż to. Życie to po prostu panorama spodni.

Choć na początku nosił się z tym zamiarem, tego ranka nie odprawił mszy. Nagle wydało mu się, że potrzeba mszy to tylko przesąd, odruch nerwowy. Nie oznaczało to, że dzisiaj właśnie ostatecznie i całkiem trzeźwo „przestał wierzyć”, ale odczuwał, że w tej chwili msza hamowałaby w jakimś sensie jego myśli i ruchy. Stała się martwym bożkiem, czymś, co musi, przynajmniej na razie, pozostawić na boku. I rozkrzyżowawszy ręce, powiedział do Chrystusa: żałuję, wybacz, nie mogę.

Mimo to wczesnym rankiem znalazł się w mrocznym kościele, oświetlonym przez grupkę świec stojących w oddali. Usiadł w ławce, opierając się przymusowi klęczenia. Siedział tak nieruchomo z otwartymi oczyma około godziny, czując, jakby w mózgu jedna za drugą otwierały mu się bezgłośnie kolejne bramy, aż wreszcie wszyscy go opuścili. Nie szukał, nie mówił, po prostu czekał. Było cicho i pusto. Przelotne myśli budziły się i odpływały jak łagodne ptaki.

Myślał o Pięknym Joe i przez chwilę zatrzymał w ciszy obraz chłopca, jak gdyby wystawiając go na błogosławieństwo. Myślał o ojcu i siostrze. Zastanawiał się, czy msza, którą odprawił, była ostatnią i czy głęboka miłość Boga, która jest radością, na zawsze zniknęła z jego życia. W ciszy nie odczuwał żadnego ożywienia, żadnej radości. Zaznał porywów, bez których trudno mu będzie żyć. Czy teraz rzeczywiście został powołany do tego, aby porzucić drogocenny przywilej kapłaństwa, pełną poświęcenia rolę, która w sposób tak zasadniczy i tak naturalny była jego rolą? Czuł całą swoją istotą, że jest księdzem. Jeśli zabraknie mu kapłaństwa, nic nie pozostanie. Był tak dalece księdzem, że z pewnością potrafiłby stworzyć sobie Boga, który sankcjonowałby jego powołanie. Ale właśnie o tym nie wolno mu myśleć.

Wychodząc z kościoła, Kato zauważył, że choć nie rozmyślał tam o swoich decyzjach praktycznych, pewne sprawy, które wymagały natychmiastowego załatwienia, objawiły mu się jaśniej. Miał nowy list od Brendana, w którym ten zapraszał go do siebie. Kato postanowił, że pojedzie do niego, nie od razu, ale za parę dni. Nie oczekiwał nowego objawienia, ale chciał nadać jakiś kształt swojej egzystencji, zwłaszcza poczynić jakieś rozsądne kroki w związku z Pięknym Joe. Bał się spotkania z Brendanem; oczywiście nie z obawy przed wyrzutami, ale przed własnym głębokim i rozpaczliwym pragnieniem, aby namówiono go do pozostania w zakonie, który jest jego domem, jego miłością.

Co do najbliższej przyszłości, siedząc w kościele zrozumiał jasno, że nie może dalej się ukrywać. Kilka dni, jakie pozostały mu przed wyjazdem do Brendana, do Laxlinden albo gdziekolwiek indziej, dokąd ostatecznie się uda, musi przeżyć otwarcie w Misji, wśród ludzi, no i porozmawiać wreszcie szczerzej z Pięknym Joe. Czuł teraz, jak niemądrze zrobił, pozwalając, aby pomiędzy nim i chłopcem wytworzył się stosunek niejako zaczepnoodporny. Stosunek ten sam w sobie stanowił rodzaj niebezpiecznej bariery. Nic dziwnego, że Joe pozwalał sobie na ekstrawaganckie uwagi w nadziei, że doprowadzając Katona do wściekłości, zacieśni ich związek. Musi zaryzykować i porozmawiać z nim szczerze i otwarcie. Przecież, prawdę mówiąc, nie miał żadnych dowodów, prócz niezwykłych oświadczeń Joego, że chłopiec naprawdę wciągnięty jest w nielegalne machinacje lub choćby że istnieje taka groźba. Jedynym dowodem był rewolwer. Joe powiedział, że to straszak. Po raz pierwszy przyszło Katonowi do głowy, że to może naprawdę był straszak. Dosyć ciężki. Ale może... Wtedy zobaczył napis PANORAMA SPODNI. Nie zmienił jednak postanowienia i odczuł ponurą wdzięczność wobec kruchego, śmiesznego i przerażającego mikrokosmosu, który powstrzymał go od odprawienia mszy.

Podczas jego przechadzki wyjrzało słońce i kiedy dotarł do Misji, pozostawił tylne drzwi nie domknięte, a od frontu otworzył jedno okno, żeby przewietrzyć dom oraz dać znak, że ktoś tu mieszka. Dom potrzebował powietrza. On sam również go potrzebował. Ubranie miał zapuszczone, bielizna była od dawna nie zmieniana, sutanna śmierdziała. Niespodziewanie ciepły wiosenny dzień uświadomił mu, że jest zarośnięty i wygląda niezdrowo. To, co powiedział Henrykowi, było prawdą: uparcie trzymając się sutanny, robił wrażenie dziwaka. Większość jego kolegów rozstała się już nawet z koloratką. Kato, przyglądał się temu z niechęcią, podobnie jak młodym zakonnikom, które teraz biegały po Londynie w krótkich spódnicach i pantoflach na wysokich obcasach.

W południe zjawił się Piękny Joe. Świeży i lekki, w szeleszczącej kwiecistej koszuli z szerokim aksamitnym krawatem i w dopasowanym garniturze z wrzosowego lnu. Wszedł tanecznym krokiem.

– Zobaczyłem otwarte okno od frontu – powiedział. Kato zaprosił go na lunch składający się z chleba z serem. Posłał go po piwo i papierosy.

Teraz byli już po lunchu. Blask słońca oświetlił szarą gazetę przyklepioną do kuchennego stołu kilkoma warstwami tłuszczu, dwa przypalone rondle i resztki wykipiałych potraw na piecu, okruchy i niedopałki rozsypane po podłodze, kilka butelek ze skwaśniałym mlekiem,

a w drugim końcu kuchni wiec różowych, przezroczystych prusaków. Przez otwarte drzwi przedostawały się jakimś sposobem zapachy ziemi i zielonych liści z odległych ogrodów. Kato patrzył na Pięknego Joe. Nie udało mu się jeszcze nawiązać tego szczerego kontaktu, który tego ranka wydawał mu się taki konieczny i taki łatwy. Szukał odpowiedniego momentu, odpowiedniego tonu. Czujne, kpiące oczy chłopca, na wpół ukryte za połyskującymi refleksami okularów, niepokoiły go i peszyły. Joe zdjął krawat i rozpiął koszulę. Następnie czystym stalowym grzebieniem starannie uczesał jedwabiste jasne włosy, budując z nich coś na kształt kwadratowego hełmu i wpatrując się w Katona z napięciem, za którym mogła się kryć chęć szalonego śmiechu. Kato poczuł, jak budzi się w nim pragnienie, potrzeba kontaktu.

– Wiesz, ojczy, ja nie jestem przestępcą, jeszcze nie.

– Mam nadzieję, że to prawda.

– Źle o mnie myślisz.

– Nie wiem, co o tobie myśleć.

– Nie myśl o mnie. Po prostu mnie kochaj.

Kato spojrział w błyszczące złote oczy, teraz rozjarzone szczerością.

– Joe, muszę spróbować pomówić z tobą otwarcie.

– Od dawna na to czekam. Sam wiesz, że ciągle traktujesz mnie jak dziecko.

– Czyżby? Przepraszam. Słuchaj, Joe. Muszę stąd odejść i nie wiem nawet, dokąd pójdę. Może nawet zrzucę sutannę, odejdę od Kościoła i...

– Dlaczego, co się stało?

– Nic się nie stało, po prostu postanowiłem, to znaczy, mogę postanowić...

– O nie, nie, nie możesz, nie możesz przestać być księdzem, to niemożliwe, nie rozumiesz, że to niemożliwe, jesteś księdzem, nie mówisz tego serio, nie możesz mówić poważnie rzeczy niemożliwych, nie możesz nigdy przestać być księdzem, nigdy, nigdy... – Chłopiec mówił cicho, ale z gorącym przekonaniem, opierając rozpostartą dłoń na stole.

Z dreszczem emocji, w której było coś z ulgi, Kato powiedział:

– Cóż, niemożliwe, tak, może masz rację...

– Rzeczy niemożliwe się nie zdarzają, prawda?

– Nie, cóż, przypuszczam, że zostanę, tak, oczywiście tak...

– Niepokoisz mnie, ojczy, przez chwilę naprawdę myślałem, że mówisz serio! Jeśli ty odejdziesz, co się stanie z nami? Gdzieś musi być coś świętego, musi, gdzieś tam.

Kato był ogromnie wzruszony.

– Tak, tak. Ale świętość... ona nie zależy tylko od zwykłych grzesznych ludzi, takich jak ja... jest tam, Joe, i tam pozostanie, cokolwiek zrobię i cokolwiek będę myślał... więc nie wolno ci...

– Wiem, wiem, to jest wiara w Boga. Ale ja nie wierzę w Boga, ja wierzę w ciebie.

– Niech cię Pan Bóg strzeże! – powiedział Kato.

U wejścia stanął cień i ktoś szybko wszedł do kuchni; była to wysoka dziewczyna w humorystycznie krótkiej sukience i płaszczu długich brązowych włosów spływającym na ramiona.

Kato wpatrywał się w nią, mrużąc oczy w blasku słońca.

– Colette!

Ze śmiechem i krzykiem padli sobie w ramiona. Duże czarne buty Katona i delikatne sandały Colette wykonały swoisty taniec, ślizgając się na brudnej podłodze. Letnia sukienka i szczupłe ramiona utonęły w objęciach starej, zatechłej sutanny. Wionęło zapachem jabłek, kwiatów, cienkiego, świeżo wypranego kretonu.

– Ach, moja droga, kochana. – Przez chwilę jeszcze taniec trwał.

Joe poderwał się i stanął przy piecyku gazowym, przyglądając się z uśmiechem tej scenie.

– To moja siostra, Joe.

– Nie udawaj, ojczy!

– Naprawdę jestem jego siostrą! – wykrzyknęła Colette. – Roześmieli się wszyscy razem.

– Poznajcie się, Joseph Beckett, Colette Forbes.

– Cześć, Joe. – Colette podeszła do niego z promienną twarzą i wyciągnęła rękę.

Joe uścisnął ją, onieśmielony.

– Nazywają go Piękny Joe.

– Nie dziwię się. Miło mi, że mogłam cię poznać. Prawda, jaki piękny dzień? Ach, Kato, tak się cieszę, że cię widzę. Jestem taka szczęśliwa, wiedziałam, że muszę się z tobą zobaczyć, i...

– Jadłaś już lunch?

– Zjadłam parę kanapek na stacji, widzę, że wyście też jedli. Kato, ależ tu bałagan, czy mam pozmywać? Poczekaj, czy mogę tylko zjeść ten kawałek chleba i trochę sera? Ale, kochanie, zdaje się, że przeszkadzam. Strasznie przepraszam. Pójdę się trochę przejść.

– Nie, nigdzie nie pójdziesz – powiedział Kato, śmiejąc się dalej z zadowoleniem. – Muszę tylko przez chwilę pogadać z Joem. Może pójdziesz na górę...

– Nie, jest tak przyjemnie, pospaceruję sobie na dworze, zawołasz mnie. A więc do widzenia, Joe. Nie martw się, zabiorę chleb ze sobą. – Colette chwyciła kawałek chleba i zniknęła w drzwiach prowadzących na podwórze. Rozległ się łoskot bramy.

Joe znowu usiadł przy stole.

– No, no!

Kato chwycił się rękami za głowę. Wraz z Colette do pokoju spłynął jakiś całkiem nowy nastrój nadziei i radości, muskając go lekko, jak dziecko dotyka innego dziecka przy zabawie w berka.

– Cóż to się ze mną dzieje? Słuchaj, Joe, byłoby lepiej, gdybyś teraz poszedł. Ale ja naprawdę muszę z tobą pomówić. Przyjdź jutro rano i wtedy...

– Wiesz, coś ci muszę powiedzieć. Twoja siostra to piękna dziewczyna.

– Naprawdę? Tak, chyba tak.

– Mówię ci, że tak jest. I jest taka... inna. Jeszcze nigdy żadna dziewczyna nie spojrzała na mnie w ten sposób, tak jakoś prosto, podając rękę jak mężczyzna. Wszystkie cizie, jakie znam, stale tylko chichoczą i krygują się... to idiotki, nie wiedzą nawet, jak porządnie włożyć rajstopy. Ojczy, jak myślisz, czy mógłbym ją gdzieś zaprosić?

Kato przestał się uśmiechać.

– Zaprosić... moją siostrę?

Zapanowała chwila ciszy. Piękny Joe wstał. Podniósł krawat ze stołu, otrzepał go wykwinnym ruchem i zaczął zawiązywać wokół szyi.

– Ojczy, jesteś cholernym snobem.

Kato zaczerwienił się. Gorąca krew nabiegła mu do twarzy. Piękny Joe skierował się ku otwartym drzwiom.

– Poczekaj – rzucił Kato. Szybko okrążył stół i zastąpił mu drogę. Spojrzeli na siebie.

– Przepraszam – dodał Kato, zacinając się ni stąd, ni zowąd. – To nie... to nie snobizm... nie rozumiesz... ja cię nie znam...

Joe spuścił oczy. Kato odsunął się i chłopiec wyszedł na słońce.

– Joe... proszę... przyjdź jutro... proszę...

– Ach, tak... dobrze. – Chłopak obrócił się i popędził przez podwórze, znikając w bramie.

Kato siadł.

W chwilę potem weszła Colette.

– Popędził jak... ale jak ty się czujesz?

– O, doskonale. Weź trochę sera.

– Kato, spójrz na te prusaki!

– Mieszkają tutaj.

– Ależ tu śmierdzi. Czy mogę sprzątnąć? Wyjdę kupić jakieś środki dezynfekcyjne. Czy mogłabym zostać tutaj i pomagać ci? Mogłabym się przydać, prawda? Na przykład sprzątać.

– Nie – powiedział Kato. – To nie jest miejsce dla ciebie.

– Mówisz jak stara dewotka. Nie wiesz, jaka jestem odporna. Mimo że tatuś uważa mnie za zabawkę seksualną.

– Tak powiedział?

– No, niezupełnie. Ale bardzo się zmartwił, że rzuciłam college.

– Więc zdecydowałaś?

– Tak. Tak jak ci pisałam. To nie miało sensu. Wczoraj wieczorem wróciłam do domu.

– Ale chyba nie gniewa się na ciebie?

– Nie tak jak na ciebie. Chyba stopniowo zaczyna godzić się z tym, że ma straszne dzieci.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział Kato. Ujął jej dłoń i przez chwilę przytrzymał nad stołem.

Zupełnie proste, jedwabiste włosy Colette mieniły się wieloma odcieniami jasnego brązu, jak drzewa skąpane w soli morskiej, i sięgały prawie do pasa. Dookoła twarzy krótsze loczki opadały prosto i płasko jak liście. Miała podobne do brata wystające kości policzkowe, ale z prostym nosem i rozchyłonymi w uśmiechu szerokimi, ruchliwymi ustami wyglądała szczuplej i delikatniej. Dociekliwe oczy jaśniały czystym brązem. Dwa przednie zęby rozdzielała niewielka szparka. Kato wpatrywał się w jej promienną twarz, która ciągle jeszcze nie nabrała określonego charakteru. Wyglądała uczciwie, zdrowo i dziecinnie młodo.

– Dlaczego nie mogę zostać tutaj, Kato?

– Zamykamy Misję. Dom idzie na rozbiórkę.

– Ach, jaka szkoda! Żałuję, że nie przychodziłam tu częściej. Bałam się tylko tatusia. Musiałabym go oszukiwać, bo inaczej by się gniewał. Teraz już mi wszystko jedno.

– Nie będziesz go oszukiwać?

– Nie, niech się gniewa! Kiedy się wyprowadzasz?

– Jutro albo, no cóż, może pojutrze... albo... pewnie zamieszkać u Brendana Craddocka.

– Pozdrów go ode mnie, jeśli mnie pamięta. Czy myślisz, że mogłabym kiedyś zostać karmelitanką?

– Niech cię Pan Bóg broni! – wykrzyknął Kato. – Co zamierzasz ze sobą począć?

– Nie wiem. – Patrzyła na niego rozradowanymi brązowymi oczyma dziecka. – Chyba po prostu będę... czekać... aż bogowie... powiedzą mi.. co robić... dalej. Nie Bóg, bogowie. Tatuś by nie zrozumiał, prawda?

– Ciesz się wiosną. I nic się nie martw – powiedział Kato. – Jak pięknie musi być teraz w Laxlinden – westchnął. – O, wiesz, kto zjawił się tutaj któregoś dnia? Henryk Marshalson. Przyjechał z Ameryki.

– Naprawdę? – zawołała Colette. – Poczekaj, czy mogę napić się piwa? Przypuszczam, że nie masz tu wina, chyba się nie mylę?

Ciekaw jestem, czy Maks kiedykolwiek to oglądał – zastanawiał się Henryk.

Przyglądał się sławnemu obrazowi Tycjana *Diana i Akteon*; był to najpoważniejszy zakup, jakiego dokonano w Galerii Narodowej podczas jego nieobecności. Nieśmiertelna bogini, z okrągłym jak jabłko policzkiem i uniesionym do góry łukiem, sunie we wdzięcznych podskokach, z okrutną obojętnością, na pierwszym planie, podczas gdy w głębi, w świetlanej zadumie zaświatów, postać Akteona, sztywna jak manekin, pada ofiarą psów. Błyszczący strumień. W oddali przesuwają się tajemniczy jeźdźce. Las i powietrze mieniają się rdzawym brązem, którego intensywne i przerażająca barwa przekonuje nas, że tragedia odbywa się w kompletnej ciszy. Patrząc na obraz, Henryk odczuwał tak wielką przyjemność, był tak zupełnie szczęśliwy, że chciało mu się krzyczeć z zachwytem. Uśmiechając się, usiadł w pobliżu.

Z całą pewnością niebezpiecznie jest wdawać się w konszachty z boginiami. Atena była potwornie władczą i surową nawet w stosunku do swych ulubieńców. Hera była okropnie mściwa. Artemida i Afrodyta to morderczynie. A zwykli śmiertelnicy to wobec nich po prostu biedne, wątłe, na wpół świadome istoty, jakże łatwo zwodzone i niszczone przez siły, których straszliwa potęga pozostawała na zawsze poza granicami ich rozumienia. Z całą pewnością siły te istnieją w rzeczywistości, a rozum ludzki jest tylko cieniem, zabawką w ich ręku. Ale jeśli tak jest, dlaczego się uśmiechał? Jeśli ludzie są manekinami, mogliby przynajmniej poddańczo przeczuwać swoją własną kruchość. Przeszywająca go w tej chwili radość, o której wiedział, że jest tylko chwilowa, była z pewnością równie rzeczywista jak bogowie.

Henryk siedział spokojnie i przed zamglonymi oczyma miał teraz całkiem inny obraz. Na tle pustego błękitnego nieba, pustego błękitnego horyzontu zamaskowany sternik wywozi daleko w morze króla rybaków, królową i ich jasnowłose dziecko, podczas gdy stara bogini ścisnęła kurczowo brzeg łodzi, a potężna, mądra błękitna ryba leży, spoglądając w górę. Po obu stronach tego wielkiego obrazu, pełnego ufności i spokoju, pokazano sceny tortur. Ale Maks nie uciekł – myślał Henryk. Pozostał, przyszli hitlerowcy i nie mógł przedostać się do Ameryki, jego Ameryka przyszła później. Bezlitośni bogowie czuwali nad Maksem, rozpracowali go w ciągu dwóch wojen, kazali mu zapomnieć wszystkiego, czego się dotąd nauczył, odebrali mu wszystko prócz ołówka. To straszliwe gotyckie spojrzenie zrodziło się w latach ogołoconych z barwy: Maks i jego męski mistycyzm. Grünewald, Breughel, Van Gogh. Dlaczego aż tak go kocham – zastanawiał się Henryk, dlaczego odczuwam, że jestem nim, chociaż był tak zupełnie do mnie niepodobny i właściwie nie wiem nawet, jak go ocenić? Wszystko u Maksa jest przepojone seksem, cóż, cała sztuka jest

pełna seksu, tylko zwykle go ukrywa. Maks nigdy niczego nie ukrywał. Świece i rekiny, szczęśliwy stary Maks, czysta wizja plus czysty egoizm, obiektywne doskonale szczęście. Bogowie wynaleźli przestrzeń, przeraźliwą przestrzeń, którą całe życie zapełniał gratami, broniąc się przed śmiercią, i która rozciąga się zagadkowa, pusta i błękitna za sternikiem w masce i królem rybaków. Jakim nerwowym, zwariowanym artystą, pobłażliwym dla siebie samego, był ów malarz tłustych ciał i szalony symbolista, a przecież jakże był szczęśliwy, nawet sceny tortur promieniają tajemniczą radością. Albo wszystkie te męskie autoportrety. Rembrandt-Beckmann, oto, co znaczy prawdziwy mężczyzna. Hedonista, więzień, błazen. Tak cudownie zadowolony z siebie. O Boże, Boże, Boże, gdybym tylko umiał malować! Nagle radość go opuściła i zaczął z niepokojem myśleć o sobie.

Nie spojrział już więcej na Tycjana, tylko wymknął się oślepiiony z Galerii i wyszedł na otwartą przestrzeń zalanego blaskiem Trafalgar Square. Słońce świeciło jasno i nad placem unosiła się chmara gołębi. Złocistobiałe chmury powoli zsuwały się nad Whitehall i tuż przed jego oczyma Big Ben wybił jedenastą. Zbiegł ze schodów i przywołał taksówkę. Miał zamiar spenetrować zakonspirowane mieszkanie brata. Oczywiście nie wspomniał o tym ani słowem Gerdzie ani Lucjuszowi, a kilka mimochodem rzuconych pytań utwierdziło go w przekonaniu, że nie wiedzą nic o londyńskiej kryjówce Sandy'ego. Merriman także nic nie wiedział. Henryk, lekko podrażniony i podniecony myślą, że wkrada się w prywatne życie brata, właściwie nie spodziewał się, że odkryje w nim coś nadzwyczajnego. Ciekawiło go to jako zabawny wypadek z perspektywą łupu. Oczywiście Sandy był kompletnym filistrem, więc Henryk nie mógł się spodziewać ciekawych *objets d'art*. Przede wszystkim jednak obawiał się, że dotknie go widok czegoś trywialnego.

Taksówka zawiozła go w pobliże Knightsbridge od strony Kensington, na małą uliczkę, która szybko wydobyła się z zaniedbania, nabierając swoistej, niepewnej elegancji. Było tam kilka sklepów, głównie z antykami, i niewielkich domów szeregowych, pomalowanych na różne kolory. Taksówka zatrzymała się i Henryk zapłacił. Stropił się, widząc, że numer domu pospiesznie przepisany z umowy o najem oznaczał duży brzydki blok mieszkań wybudowany przy końcu ulicy, prawdopodobnie w wyrwie pozostawionej przez wojnę. Główne drzwi były otwarte. Nerwowo, z poczuciem winy, Henryk wszedł do hallu. Był tu obcy, prawie jak przestępca, i miał nadzieję, że nikt go nie zagadnie ani nie zauważy. Stał tak niezdecydowany. Dom był najwyraźniej mrówkowcem składającym się z małych mieszkań. Jak miał odnaleźć to, które należało do Sandy'ego, skoro nie zapisał numeru? Potem nagle uwagę jego zwrócił biały błysk

drewnianej tablicy. Spis lokatorów. *Numer 11. A. Marshalson*. Jak dziwnie, jak wzruszająco zagubione i nieważne wydawało się to nazwisko, pozbawione właściciela i zapomniane w samym środku Londynu. Henryk przeszedł do windy.

Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze. Drzwi windy otwierały się automatycznie na wyłożony dywanem korytarz bez okien, tylko ze światłem elektrycznym. Henryk zaczął grzebać w kieszeni, szukając pęku kluczy, i poczuł mocne, paraliżujące bicie serca. Podeszedł do numeru 11 i rzuciwszy okiem w prawo i w lewo zaczął wypróbować klucze trzęsącą się ręką. Trzeci z kolei pasował, obrócił się i drzwi się otworzyły, skrobiąc delikatnie o dywan. W środku powitała go głęboka cisza. Wszedł bokiem i ostrożnie zamknął drzwi za sobą. Znalazł się w niewielkim przedpokoju, z którego kilkoro drzwi prowadziło do innych pomieszczeń. Szybko, nie pozwalając dojść do głosu panice, chwycił najbliższą klamkę. Był to oczywiście salonik. Rzucił się do innych drzwi. Salonik, dwie sypialnie, kuchnia i łazienka. Cisza. Powrócił do saloniku i wyjrzał przez okno. Widok sklepów z antykami, kilka dachów, jedno czy dwa drzewa, a w pewnej odległości grzybiasta kopuła magazynu Harrodsa. Stał nieruchomo, rozglądając się wokół, i próbował ochłonać.

Mieszkanie było małe i dość ciasne. Pod stopami żółtawy dywan ciągnął się jeszcze z korytarza. Kilka dużych ciemnych mebli, potężna szafa, wielkie kwadratowe biurko pozostawiało trochę ciemnej przestrzeni, w której nic nie dałoby się sensownie ustawić. Długa, świeżo kupiona skórzana sofa, z przyczepioną do nogi ceną, stała w salonie po przekątnej. Pozostałe meble były podniszczone i wyglądały, jakby pochodziły z pokojów służby we dworze. Były tam dwa chwiejne bambusowe stoliki z grubymi popielniczkami z zielonego szkła. Politurowane półki na książki, prawie puste, jeśli nie liczyć kilku kryminałów i książki o ślizgaczach. Wydawało mu się, że wszystkie meble chwieją się i napierają na niego, wrogo spoglądając; Henryk instynktownie się skulił. Atmosfera pokoju, dusznego od zapachu tytoniu i słodkiej woni, której Henryk nie potrafił zidentyfikować, była ciężka, irytująca raczej niż złowieszcza. Znalazł też kilka drobnych akcentów upiększających: haftowany podnózek, parę słoni ze steatyty, akwarelę przedstawiającą dwór, wyjętą z kolekcji z Laxlinden. Był tam również chiński lew z komiczną twarzą, którego Henryk zapamiętał z dawnych lat. Odwracając się od tego jedyne go świadka, sięgnął do biurka i zaczął pospiesznie przeszukiwać szuflady; znalazł programy teatralne, menu obiadu klubowego, broszurki o łodziach, w sumie nic ciekawego. Większość szuflad była pusta. Czego zresztą mógł się spodziewać? Mieszkanie było posprzątane. Łóżka posłane. Henryk

spacerował po nim, oddychając głęboko i tamując wzruszenie. Najbardziej zastanawiał go prowizoryczny, prawie młodzieńczy charakter tego wszystkiego. Przeciw czemu wytoczył Sandy tę z góry przegraną walkę? Z pewnością nigdy się nie dowie.

Nagle przytłoczony tym wszystkim, Henryk pobiegł do kuchni poszukać alkoholu. W jednej z szafek znalazł butelkę whisky, w innej szklankę. Rozglądając się za lodem automatycznie otworzył lodówkę. Kiedy wyciągał tackę z lodem, zorientował się, że w lodówce jest jedzenie, pomidory, rzeżucha, dzbanek z mlekiem. Chwycił dzbanek i powąchał. Świeże. Zastanowiło go to. Wydobył lód i włożył go do szklanki. Zamknął lodówkę. Wtedy zauważył na kredensie złożoną gazetę. Podniósł ją i rzucił okiem na datę. Wczorajsza. Trzęsącymi się rękami nalał sobie whisky i cofnął się do salonu.

Pierwszą jego myślą było, że Sandy wcale nie umarł, tylko żyje sobie po cichu w Londynie. Ale była to myśl obłąkana. Następnie przyszło mu do głowy, że Sandy musiał sprzedać mieszkanie. Ale w takim wypadku czy dokumenty również nie przeszłyby na nabywcę? Mieszane uczucie winy i przerażenia mąciło jasność jego myśli. To nie było puste, opuszczone mieszkanie, ale czyjeś mieszkanie. Teraz wydawało się to oczywiste. Miał wrażenie, że słyszy tykanie zegara. Postanowił natychmiast wyjść. Pochłonał whisky i chwycił kapelusz. W tym momencie usłyszał stuk i zgrzyt klucza w zamku. Drzwi wejściowe zaskrobały o dywan i z wolna się otworzyły.

Drzwi salonu były uchylone. Henryk zeszywniał, sparaliżowany ze strachu, spodziewając się czegoś niesamowitego i nieopisanego. Oniemiały, znieruchomiał. Drzwi wejściowe się zamknęły. Usłyszał czyjeś westchnienie. Popchnięte drzwi salonu otworzyły się i weszła kobieta. Na widok Henryka wydała lekki okrzyk.

Przez chwilę żadne z nich się nie ruszało. Henryk zastygł z kapeluszem w ręku. Kobieta, ciągle jeszcze w płaszczu i kapeluszu na głowie, stała, trzymając się rękami za gardło, pełna przerażenia. Henryk z ulgą stwierdził, że to nie jego brat. Próbując stłumić echo jej okrzyku, wydusił z siebie parę słów.

– Strasznie przepraszam... Nie chciałem... przykro mi... jestem Henryk Marshalson.

Kobieta bardzo wolno poruszyła się, zdjęła kapelusz i rzuciła go na czerwoną sofę, za którą stał Henryk. Potem opuściła torebkę na sofę i

machinalnie szczesując włosy palcami do tyłu przypatrywała mu się z lekko otwartymi ustami.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Henryk. Przeraziło go jej przerażenie. – Nie chciałem pani niepokoić... Widzi pani... jestem spadkobiercą mojego brata... ale pewnie to jakaś omyłka... pewnie to pani mieszkanie i...

Kobieta okrzyknęła sofę i usiadła na niej, przyciskając rękę do serca. Słyszał jej oddech.

– Pan wybaczy, że tu jestem. – Z trudem mógł dosłyszeć, co mówi.

– Nie, przepraszam... to ja powinienem... ale, to znaczy... więc to pani mieszkanie?

– Nie... ale... widzi pan... on powiedział... że zostawi mi mieszkanie... w testamencie... ale...

Henryk słuchał jej mamrotania, nic nie rozumiejąc. Zaczął od początku.

– Bardzo mi przykro...

– Widzi pan... ja jestem... byłam... jego przyjaciółką. Henryk się stropił. Poruszył się i położył kapelusz na krześle.

– Obawiam się, że niezupełnie rozumiem. Pani znała Sandy'ego?

– Tak, znałam... Sandy'ego.

Henryk w końcu zrozumiał

– Rozumiem... bardzo przepraszam... jakoś powoli myślę... doskonale rozumiem... oczywiście... pani... pani mieszkała tu z moim bratem?

– Powiedział... że gdyby cokolwiek się stało... miałam dostać mieszkanie... ale oczywiście nie spodziewałam się, że on... a teraz, kiedy pan... wyprowadzę się, jak tylko...

– Ależ nic podobnego! – krzyknął Henryk. – Musi pani tu pozostać, zatrzymać mieszkanie, nie śmiałybym... w końcu ma pani prawo, a Sandy pewnie życzył sobie... naprawdę strasznie mi przykro... to znaczy z powodu pani... straty, osierocenia... jak długo była pani... z Sandym?

– O, długo... to było okropne...

– Tak. Rozumiem. Proszę, niech pani będzie przekonana... że jeśli mógłbym cokolwiek dla pani zrobić...

– Dam sobie radę... nic mi nie potrzeba... pan jest bardzo dobry...

– Ostatecznie czuję się... odpowiedzialny... tak jakby... Och, proszę nie płakać!

Jej policzki, mokre od łez, pałały czerwienią. Mimowolnym gestem zsunęła włosy na oczy. Henryk podszedł i usiadł przy niej.

– Pan jest... taki dobry... Ale pan siedzi na moim kapeluszu!

– Ach, przepraszam!

Przyjęła zgnieciony kapelusz z rąk skruszonego Henryka i odsunawszy się trochę od niego, oswobodziła z płaszcza, który opadł jej z ramion, a potem wyciągnęła zza siebie torebkę i odwracając głowę, szybkimi, nerwowymi ruchami zaczęła pudrować sobie policzki i nos. Zapach pudru, czerwone i świecące od płaczu policzki, teraz pokryte warstwą blad różowego pudru, nagle tak bezsensowne i bliskie, przyprawiły Henryka o zawrót głowy. Poczuł ogromną litość dla niej, dla Sandy'ego. Drobny, instynktowny, obronny gest z pudrem wzruszył go. Znów obróciła się ku niemu i pospiesznie upudrowana, z uszmińkowanymi ustami i brwiami pociągniętymi ołówkiem, wyglądała jak lalka, jak błazen z cyrku. Dziewczyna Sandy'ego.

W rzeczywistości nie mogła być bardzo młoda, na pewno miała po trzydziestce. Była pulchna i niewysoka. Falbaniasta bluzka, niezupełnie czysta, opinała bujny biust. Jeden z guzików był odpięty. Widział, jak jej piersi szybko się unoszą. Miała okrągłą twarz z dużą wystającą brodą i ciężko zarysowaną szczęką. Lepkie czerwone usta o pełnych wargach pod nikłym wąsikiem były dość małe, nos szeroki, z rozdętymi nozdrzami, zadarty i pewny siebie. Oczy miała duże, okrągłe, szeroko rozstawione, o mętym ciemnoniebieskim odcieniu, a włosy, jasnobrazowe, tworzyły potargany węzeł. Twarz miała zmęczoną, doświadczoną, z pewnością nie była to twarz młoda. Po obu stronach ust znaczyły się dwie głębokie bruzdy. Spoglądała teraz na Henryka z jakąś desperacką śmiałością.

– Czy mogę wiedzieć, jak się pani nazywa?

– Stefania.

– Chodzi mi o...

– Stefania Whitehouse.

– To znaczy, panna Whitehouse?

– Tak, ja... nigdy nie byłam zameżna... tylko... tak jak z Sandym, i on nigdy... widzi pan, ja nie jestem z jego sfery i nigdy nie miałam nadziei, że

się ze mną ożeni... jestem trochę poza... nie byłam dla niego odpowiednia... i nigdy nie myślałam...

– Ale żył z panią przez kilka lat?

– Cóż... byliśmy... On to utrzymywał w tajemnicy. Przypuszczam, że się mnie wstydził, chyba musiał się wstydzić. Ale jednak mówił, że gdyby cokolwiek się zdarzyło, zostawi mi mieszkanie...

– Ależ dostanie pani mieszkanie, to oczywiste! – powiedział Henryk. – Przepiszę je na panią. Proszę się nie martwić. A jeśli chodzi o jego uczucia... to wręcz śmieszne... nie powinna pani w żadnym razie odczuwać, że... jeśli pani tylko pozwoli, będę chciał pani pomóc.

– Ach, pan taki dobry... ja sobie daję radę, zawsze musiałam...

– Ale Sandy panią utrzymywał?

– No tak, pod tym względem był bardzo dobry.

– Przypuszczam. Ale z czego pani teraz żyje?

– Cóż, dostaję zapomogę i...

– Zaopiekuję się panią – powiedział Henryk.

Zamknęła oczy i odwróciła się, chwytając powietrze ustami. Zaczęła szukać chusteczki i łzy popłynęły po różowym pudrze. Henryk wstał.

– Nie potrzeba – wybąkała. – To za wiele. Mogę dostać pracę. Mogłabym dostać, tylko niezbyt dobrze się czułam od czasu poronienia.

– Poronienia?

– Tak. Byłam w ciąży, tylko Sandy nie chciał mieć dziecka, więc pozbyliśmy się.

– Ach. – Myśli Henryka zawirowały. Czy nieślubne dziecko Sandy'ego odziedziczyłoby majątek? Jak przedziwnie układało się wszystko wokół niego. Henryk zauważył nagle, że jest mu wesoło, ale nie miał czasu zapytać siebie, dlaczego.

– Co pani robi? – zapytał. – To znaczy, co pani robiła dotychczas?

– No, więc kiedyś... widzi pan, jestem sierotą i nigdy nie chodziłam do porządnej szkoły. Uciekłam do Londynu, kiedy miałam czternaście lat. Poszłam na Piccadilly Circus, to było jedyne miejsce w Londynie, o jakim słyszałam. A potem... będzie pan o mnie źle myślał... zostałam striptizerką.

– To znaczy tancerką?

– No tak, jeśli pan tak woli. Robiłam... mężczyźni byli tacy okropni. Cały czas się bałam... trzeba było robić... to, co kazali... więc potem zostałam...

– prostytutką?

– Tak. Teraz pan nie będzie chciał...

– Panno Whitehouse, proszę. Mam dla pani wiele szacunku, proszę mi wierzyć.

– To było okropne życie.

– Jestem pewien. Uważam panią za ofiarę. Ale jak pani poznała Sandy'ego?

– Zobaczył mnie w lokalu.

Obraz Sandy'ego siedzącego w ciemności i przyglądającego się, jak panna Whitehouse się rozbiera, poruszył nagle serce Henryka przejmującym dreszczem prawdy. Dziwne, ale była to najprzyjemniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek mógł pomyśleć o swoim bracie. Przed oczyma żywo stanęła mu scena, w której brał udział nie znany mu Sandy; duszna salka, milczący, zapatrzeni mężczyźni, niezręczna, bezbronna naga dziewczyna.

– Kiedy zaczynałam, byłam młodsza i szczuplejsza, kiedyś mówiono, że jestem piękna. Widzi pan, teraz utylam i...

– A więc Sandy... poznał panią i...

– Zobaczył mnie, a później znowuśmy się spotkali. Naprawdę to chyba mnie wyratował. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby Sandy się mną nie zajął.

– No i kochał panią.

– Powiedział, że jestem typem *femme fatale*. Chyba podobało mu się, że byłam tym, kim byłam.

Biedny Sandy – pomyślał Henryk. Samotność, martwota umarłych. Odczuwał dotkliwą, pełną fascynacji ciekawość, ale jakiś wstyd nie pozwalał mu wypytywać dalej, a nawet już w tej chwili nakazywał odejść, pocieszyć ją i wyjść.

– Ale oczywiście nie wiedziałam, czy będzie troszczył się dalej. Straciłam urodę, a bez ślubu kobieta nie ma żadnej pewności i zawsze się bałam, że kiedyś powie mi po prostu, że wszystko już skończone.

Jej głos, z lekkim środkowoangielskim akcentem, o głębokim, przymilnym, pieszczotliwym rytmie, pobrzmiwał nieustannie jakimś rozpaczliwym błaganiem. W ten sam sposób pewnie rozmawiała z mężczyznami, którzy... A potem był Sandy i oczywiście ona nie należała do jego sfery, i nigdy nie mogła się spodziewać, że się z nią ożeni...

– Panno Whitehouse, niestety muszę już iść, czuję, że jestem intruzem.

– Och, proszę nie odchodzić! – Ręka jej nerwowo zatrzepotała przy piersi, próbując zapiąć guzik.

– Nie, nie, to jest pani mieszkanie, pani własność. Mam nadzieję, że pozwoli pani udzielić sobie pomocy finansowej. Ostatecznie...

– Proszę nie odchodzić! Tak się cieszę, że pan przyszedł! Byłam taka niespokojna, myślałam, że dostanę list od adwokata, więc uporządkowałam wszystko, jakby mnie tu nie było. Zdawało mi się, że nie powinnam tu zostać, ale nie miałam gdzie pójść. Widzi pan, nie mieliśmy żadnych znajomych. Dowiedziałam się o tym z gazety i nie miałam nawet z kim porozmawiać. Żyłam jak w więzieniu, dosłownie, Sandy nigdy nie lubił... Był taki zazdrosny, ciągle dzwonił, żeby sprawdzić, czy tu jestem...

Sandy zazdrosny. Niewątpliwie też czuł się winny. Henryk z przerażeniem i zmieszaniem poczuł nagle litość dla nich obojga.

– Proszę się nie martwić, panno Whitehouse, nie ma pani najmniejszego powodu, nie dopuszczę do tego...

– Ale przyjdzie pan jeszcze i powie mi, co mam robić? – Duże ciemnoniebieskie oczy w czerwonych obwódkach spoglądały na niego nieśmiało, potulnie, a cichy przymilny głos powtarzał rytmiczne błagania. Henryk pomyślał, że z tą kobietą poczciwy Sandy musiał się czuć jak radża.

– Oczywiście, że przyjdę.

– Tak bardzo go kochałam.

– Proszę, niech pani już nie płacze...

– Nie będę dla pana ciężarem, wezmę jakąś pracę, oczywiście nie taką pracę...

– Nie, oczywiście nie. Ale co... innego umie pani robić?

– Cóż, prawdę mówiąc nic, ale...

– Proszę się nie martwić... i, panno Whitehouse, proszę, niech pani stąd nie ucieka... mówię to, co myślę, zatroszczę się o panią. Chciałbym, żeby pani tu została.

– O, dziękuję, dziękuję...

– A teraz muszę iść.

– Wspomniał pan coś o... nie znoszę prosić o pieniądze, ale gonię już resztkami...

– Ach, oczywiście, przepraszam... Proszę, dam pani czek. Czy to na razie wystarczy?

– Och, to o wiele za dużo! Chodziło mi tylko...

– Głupstwo, proszę to wziąć... Za... zadzwonię do pani. Proszę mi tylko podać numer. Ale obiecuje pani, że się stąd nie ruszy?

– O tak, obiecuje! Dziękuję bardzo, przywrócił mi pan nadzieję! Przyjdzie pan jeszcze, prawda?

– Tak, przyjdę... niedługo... zadzwonię... pomogę pani, jak tylko potrafię... daję słowo... tak się cieszę, że panią poznałem... naprawdę...

Henryk umknął do drzwi, odprowadzany pospiesznie przez pannę Whitehouse. Na chwilę zatrzymali się w ciasnym przedpokoju. Henryk wyciągnął rękę, potem w niezgrabnym popłochu chwycił jej dłoń i skłonił się z lekka, jak gdyby chciał ją pocałować, ale tego nie zrobił. Otarł się głową o obcisły przód falbaniastej bluzki, poczuł, jak włosy zaczepiają o guzik. Dostrzegł połamane paznokcie i luszczący się różowy lakier. Mała, pulchna dłoń pachniała kremem.

Wybiegł pędem. Minał windę i sfrunął ze schodów jak na skrzydłach. Przebiegł całą drogę aż do Harrodsa i wspiał się lekko po stopniach do działu męskiego. Sprężystym krokiem przeszedł po grubym dywanie, przeglądając się w lustrach. Uczucia wrzały w nim jak w gorącym kotle. Poczul nagłe współczucie, pragnienie, triumf, szalone rozbawienie. Był po królewsku zadowolony z siebie. Powoli odzyskując spokój, kupił sobie cztery bardzo kosztowne koszule.

Pakując walizkę, Lucjusz myślał: wszyscy oni są młodzi i mają przed sobą przyszłość młodości. Tylko ja jestem stary i mam przed sobą przyszłość starości, choroby, ból, samotność i śmierć. Nawet Gerda jest zdrowa i energiczna, pełna planów i woli ich spełnienia. A teraz, właśnie kiedy zdawało mi się, że mogłaby mnie potrzebować, wysyła mnie z domu i pewnie Henryk nie pozwoli mi powrócić. Sztuczne zęby raniły mu dziąsła.

Czuł ból w piersiach. W oku pojawiła mu się łza i otarł ją owłosionym wierzchem dłoni.

Propozycję wizyty brata Audrey przyjęła niechętnie. Jej mąż Reks traktował Lucjusza jak staruszkę i najwyraźniej uważał go za starego nudziarza. Timmie i Robbie byli w domu, więc będzie tam nieustanny hałas. Lucjusz nie umiał nawiązywać kontaktu z dziećmi. Nie będzie mógł pracować, więc nie warto mu zabierać rękopisu. Poza tym mógłby go zgubić. W sypialni będzie zimno, będzie musiał siedzieć z całą rodziną i oglądać to, co im się spodoba w telewizji. Nie będzie miał gdzie pójść na spacer. Będzie musiał chodzić do biblioteki publicznej i tam pisać haiku. Na starość pozostała mu przynajmniej pociecha, jaką daje sztuka. Dalej wypróbowywał rymy.

Narcyzów smętne pola

Wiosny warzy niedola.

Giniemy i znikamy,

Panicz u bramy.

Gerda, wypatrując z tarasu, czy Henryka nie ma w ogrodzie, dostrzegła nagle, jak zielony jensen Sandy'ego wylania się ze stajni i przemyka podjazdem. W kilka minut później pojawił się land rover ciągnący za sobą podskakującą erę. Gerda wiedziała, że land rover należy do właściciela garażu i sprzedawcy samochodów w Laxlinden. Najwidoczniej Henryk postanowił sprzedać samochody Sandy'ego. Nic jej o tym nie wspominał. Nie porozumiał się z nią również co do losu papierów Sandy'ego. Gerda z zaciśniętymi ustami obserwowała, jak Rhoda wynosi na stos pudełka pełne najrozmaitszych rupieci.

Teraz Henryk był trochę bardziej komunikatywny, mniej markotny. Po odwiezieniu Colette do domu tego samego wieczoru, kiedy wpadli do jeziora, przedstawił z ożywieniem scenę przy łodzi, desperackiego nurka Colette i własną niezbyt bohaterską rolę. Wszyscy śmieli się wesoło. Po raz pierwszy od dnia powrotu Henryk okazał tyle radości i zwyczajnej ludzkiej przyjaźni i w sercu Gerdy zbudziła się nieśmiała nadzieja. Wydawało się jej, że po niedawnej wizycie w Londynie również poweselał. Ale dalej był skryty i zachowywał dystans. Często znikał. Odbył dwa długie posiedzenia z Memmanem, ale adwokat i za pierwszym, i za drugim razem wyjechał nie zobaczywszy się z Gerdą. Henryk pojechał jeszcze raz do Dimmerstone, żeby, jak powiedział, ocenić stan domków. (Marshalsonowie

byli właścicielami Dimmerstone). Gerda zastanawiała się, czy był na cmentarzu.

Kupując znaczki do kilku bardzo ważnych listów na pocztę w Laxlinden, Henryk obrócił się, by stanąć oko w oko z Colette Forbes.

- O, jak się masz, nimfo wodna!
- Jak się masz, bohaterze.
- Jak się czujesz po nurkowaniu w jeziorze?
- Doskonale!
- Czy mogę ci kupić znaczek?
- Cóż za szlachetność. Mam własny.
- Czy można cię odprowadzić?
- Co się stało z żółtym volvo?
- Skąd o nim wiesz?
- Przecież podwiozłeś mnie tamtego wieczoru.
- Ach tak, prawda. Zupełnie zapomniałem.

- I tak jesteś sławny na całą okolice. Wszyscy mówią o tobie i o twoich posunięciach. Nic o tym nie wiesz?

- Wolę nie wiedzieć. Prawdę mówiąc, myślałem, że w taki piękny dzień spróbuję pospacerować. Jak gołąb.

- Jaki gołąb?
- Jakikolwiek.
- Czy wiesz, że mówisz z akcentem amerykańskim?
- Tak. Któż jest ten młody człowiek, który nas właśnie minął?
- To Giles Gosling, architekt. On robi...
- Cóż takiego robi?

- Przepraszam. Tatuś mówił, że on robi nagrobek Sandy'ego. W wolnych chwilach zajmuje się kamieniarstwem.

- Jak się miewa tatuś?
- Zły.

- Na ciebie?
- Tak. Uważa, że nie przyjmuję z wdzięcznością wyzwolenia kobiet.
- Dzięki Bogu, nie jesteście jeszcze wyzwolone.
- Uważa, że powinnam mieć jakieś zajęcie.
- Już je masz. Jesteś kobietą.
- Czy być mężczyzną to także zajęcie?
- Nie.
- Przypuszczam, że będę musiała postarać się o jakąś pracę.
- A co umiesz robić?
- Nic.
- Wspaniała dziewczyna.
- A co ty zamierzasz robić?
- W jakim sensie?
- Jeśli bycie mężczyzną nie jest zajęciem, to czym chcesz się zająć?
- Malowaniem.
- Naprawdę? Ależ to cudowne! Nie wiedziałam, że...
- Ja tego nie robię. Mam w tym zastępcę. Piszę książkę o malarzu. Na pewno o nim nie słyszałaś. Maks Beckmann. Nie lubił uczennic, tylko boginie i prostytutki.
- Nie jestem uczennicą!
- Więc dlaczego nosisz warkocz? Wyglądasz na dziesięć lat.
- A ty wyglądasz na sto. Masz siwe włosy.
- Nie mam!
- No, może jeden.
- Więc nie ma tu między kim wybierać? Jestem tylko ja i Lucjusz Lamb.
- Lubię Lucjusza Lamba.
- Dlaczego jesteś taka agresywna?
- A ty? Tu jest zakręt do Leśnej Zagrody. Może zajdziesz odwiedzić tatusia?

- Nie. On mnie nie szanuje.
- Nieprawda.
- Prawda. Do widzenia.
- Dlaczego idziesz tędy? Brama jest zamknięta na kłódkę.
- Wiem, głupiutka. Przejdę górą.
- A ja podejść i zobaczę, jak przełazisz.
- Kto mieszka w tych przerobionych domkach koło baru?
- Giles.
- Giles?
- Giles Gosling, architekt.
- Słyszałem, że twój ojciec kupił Dębową Łakę.
- Tak. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.
- Dlaczego, u licha, miałoby mi przeszkadzać?
- Nie mam zamiaru na niej budować.
- Szkoda. Moim zdaniem każdy powinien budować, gdzie się tylko da.
- Tu jest twoja brama.

Henryk wspiał się na bramę bez pośpiechu, zwracając uwagę na spodnie przy przejściu na drugą stronę. Opuścił się i stał, trzymając za pręty i spoglądając przez nie na Colette. Na bladoniebieskim niebie między pasmami żółtej chmury świeciło słońce. Kosy i drozdy śpiewały chórem. Colette miała na sobie powiewną szmizjerkę w drobne zielone i niebieskie kwiatki. Spuściła warkocz przez ramię i trzymała jego koniec w ręku.

- Do widzenia, kurko wodna.

- Do widzenia, panie dziedzicu.

Henryk poszedł wolno pomiędzy jodłami, słuchając śpiewu ptaków i grzejąc się w wilgotnym ciepłe wiosennego słońca. Myślał o Stefanii Whitehouse.

Lucjusz, sapiąc, zniósł walizkę ze schodów, postawił ją w hallu i rzucił na wierzch swój płaszcz. Zastanawiał się, czy powinien zabrać słomkowy kapelusz. Mogło być gorąco, a kiedy nie osłaniał oczu, dostawał straszliwych bólów głowy. Jeśli zabierze kapelusz, będzie musiał nosić go

podczas podróży. Czapkę można spakować, ale słomkowego kapelusza się nie da. Może Reks będzie mógł pożyczyć mu kapelusz? Reks ma na pewno mniejszą głowę, przecież biedak jest łysy. Ogarnęła go prawdziwa rozpacz na myśl o niewygodach podróży i zniszczeniu świata własnych przyzwyczajęń. Kiedy schodził ze schodów, zakreśliło mu się w głowie. Czuł się kompletnie chory i chciał się położyć. Zabrał czapkę i słomkowy kapelusz z garderoby, włożył kapelusz na głowę, a czapkę do kieszeni. Podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić po miejscową taksówkę, która zabralaby go do najbliższej stacji. Po południu autobusy nie kursowały. Gerda wyszła z salonu.

– Cóż ty wyprawiasz najlepszego? Po co ten słomkowy kapelusz?

– Telefonuję po taksówkę – odparł Lucjusz donośnym głosem.

– Dlaczego? Dlaczego nie poszedłeś odpocząć?

– BO JADĘ DO AUDREY.

– Nie krzycz – powiedziała Gerda. – Zapomniałam, że to już dzisiaj.

– O, czyżby! Każesz mi wyjechać, stawiając mnie i moją siostrę w bardzo kłopotliwej sytuacji, a potem nie raczysz nawet zapamiętać, kiedy wyjeżdżam!

– Czyś ty się upił?

Henryk, lekkonogi jak duch, wszedł przez frontowe drzwi, przesunął się pomiędzy matką i Lucjuszem i popędził na górę, przesadzając po dwa schody na raz. Słysząc było, jak jego skoki oddalają się w kierunku podestu i pawilonu „królowej Anny”.

– Chodź no tutaj – przywołała Gerda Lucjusza. – Chcę z tobą porozmawiać.

– Spóźnię się na ten przeklęty pociąg.

– Poczekaj.

Lucjusz zdjął słomkowy kapelusz, rzucił go na podłogę i kopnął. Potem poszedł za Gerdą do salonu i głośno zamknął drzwi.

– Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób przy moim synu! – Gerda, z włosami spiętymi surowo szylkretową klamrą, zmarszczyła nos ze złości i wysunawszy szeroką, bladą twarz o płonących oczach stanęła przed nim, dosłownie następując mu na nogę.

Lucjusz usunął się.

– Przepraszam, moja droga, bardzo mi przykro...

- Nie pozwolę, żeby ktoś na mnie krzyczał w moim własnym domu!
- Przepraszam, ale myślałem, że przynajmniej będziesz pamiętać...
- Dlaczego miałabym pamiętać?
- Wspominałem o tym przy śniadaniu.
- Cóż, nie słuchałam. Mam poważniejsze zmartwienia niż twój rozkład jazdy!
- Wiem, to tylko dla mnie ma znaczenie, wszystko, co mnie dotyczy, ma znaczenie tylko dla mnie.
- Och, przestań jęczeć.
- Jeśli nie zadzwonię, spóźnię się na pociąg.
- Poczekaj, zmieniłam zamiar. Wolałabym, żebyś został.
- Co?
- Dobrze, że cię złapałam, inaczej mógłbyś mi się wymknąć.
- Mogłaś mi powiedzieć, zanim się spakowałem, jestem zupełnie...
- Poczekaj, siadaj, nie, może najpierw dołożysz drzewa na kominek, jeśli łaska.
- Czy nie chcesz, żebym jechał dzisiaj, czy żebym w ogóle wyjeżdżał? Sprawiłoby mi wielką ulgę, gdyby...
- Och, przestań zawracać głowę. Siadaj.
- Będę musiał zadzwonić do Audrey.
- Przestań wreszcie miotać się i trajkotać, dobrze, Lucjuszu? Słuchaj...
- Dlaczego nie chcesz, żebym teraz wyjeżdżał?
- Chcę, żebyś poszedł odwiedzić Johna Forbesa.
- Co?
- Widujesz go od czasu do czasu, prawda? Chyba ze sobą rozmawiacie?
- Cóż - rzekł Lucjusz. Siedzieli oboje przy kominku. - Czasami spotykam go we wsi. Ale już od lat nie byłem u niego w domu. - Wyglądało na to, że Gerda, która namawiała go do zerwania kontaktów z Forbesami, teraz zarzuca mu, że to uczynił.

Ptasiogłowa Rhoda weszła bezszelestnie z nakryciem do herbaty i zręcznymi dłońmi w rękawiczkach rozstawiła je na kruchym stolyczku tuż koło krzesła Gerdy.

Kiedy wyszła, Gerda powiedziała:

– Chciałabym, żebyś go odwiedził.

– Tak ni stąd, ni zowąd? Czy to nie będzie dziwne?

– Możesz znaleźć pretekst, cokolwiek, zanieś mu książkę lub coś w tym rodzaju.

– Książkę?

– Ciągłe powtarzasz moje słowa. Masz tu herbatę.

– Och, Gerdo, tak się cieszę, że nie muszę wyjeżdżać. Przepraszam cię bardzo, że byłem taki grubiański.

– Mógłbyś pójść i zobaczyć się z nim jutro.

– Ale dlaczego... nagle postanowiłaś, że mam odwiedzić Johna Forbesa?

– Chciałabym na nowo zaprzyjaźnić się z Forbesami. Nawiązać z nimi stosunki.

– Nie rozumiem – odparł Lucjusz. – Ach, wielkie nieba, chyba nie próbujesz swatać Henryka z Colette Forbes?

– Tak, próbuję – odparła Gerda. – Oczywiście może nic z tego nie wyjdzie, ale to nie jest głupi pomysł, i to jest pomysł. Chciałabym, żeby Henryk tu pozostał, nie chcę, żeby wracał do Ameryki, nie chcę, żeby ożenił się z Amerykanką. Colette jest młoda i głupiutka i niezupełnie odpowiada mojemu pojęciu o synowej, ale to uczciwa dziewczyna ze stosunkowo dobrej rodziny. Potrafi być wierna i nauczy się rozsądku, a poza tym życie na wsi to dla niej rzecz normalna. Rozmawiałam z nią trochę tamtego wieczoru i odniosłam dobre wrażenie. W każdym razie chciałabym częściej ją widywać. No i wydaje mi się, że Henryk ją lubi, prawdę mówiąc, po powrocie do Anglii ona pierwsza mu się tutaj spodobała. Pamiętasz, jaki był wesoły po tym, jak ją odwiózł do domu. I w ogóle od tego czasu bardzo się rozgadał i ożywił. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, będzie miał młode towarzystwo i może przyzwyczai się do myśli o tym, żeby pozostać w kraju. Chciałabym mieć wrażenie, że tu mieszka, a nie że przyjechał w odwiedziny. Więc dlatego właśnie musisz pójść zobaczyć się z Johnem Forbesem.

– Ale co będzie, jeśli John Forbes nie przyjmie mnie życzliwie?

– Przyjmie. Musiał już o tym myśleć. I jestem pewna, że dziewczyna aż podskoczy na tę myśl.

– Nie jestem pewien. Może już kogoś ma.

– Nie sędzę. W każdym razie musisz zbadać sytuację.

– No, no – powiedział Lucjusz i dodał: – Oczywiście, gdyby Henryk ożenił się z Colette, odzyskalibyśmy Dębową Łąkę, a poza tym do Johna należałaby cała ziemia po drugiej stronie rzeki.

Gerda nic nie odparła, tylko lekko zmarszczyła brwi. Zupełnie jej nie zależy, żeby Henryk się ożenił, ale skoro koniecznie trzeba mieć dziedzica, oczywiście ożenek z tą dziewczyną, którą Gerda mogłaby tak łatwo pokierować i uformować, nie byłby wyjściem najgorszym. Niepokoiła się, czy Henryk w Ameryce nie zamienił się w homoseksualistę.

Lucjusz, którego wieczorem po wypadku na jeziorze wzruszyła młodość i uroda Colette, myślał teraz, jak smutno jest być starym i nie mieć już żadnych podniecających projektów, i gorzko zazdrościł Henrykowi, który może fruwać po schodach jak ptak i który jest przedmiotem planów matrymonialnych. Perspektywa wizyty u Johna Forbesa nie ucieszyła go zbyt. Jaki pretekst mógłby wymyślić? Czuł jednak ogromną ulgę na myśl, że nie musi jechać do Audrey. Ukradkiem poczęstował się drugim kawałkiem ciasta.

Tymczasem na górze Henryk-arlekin przyglądał się sobie w lustrze. Na głowie miał dawno nie używany szary cylinder, znaleziony na podłodze w szafie. Poprawił kapelusz, zsunął go dokładnie o milimetr do tyłu, otworzył szeroko oczy, zgarnął ciemne kędzierzawe włosy z czoła i zaczął się wpatrywać we własne oblicze. Choć było jeszcze jasno, zapalił lampę. W jej żółtym świetle twarz jego wyglądała mizernie, ale szlachetnie, jak twarz arystokraty. Zdjął cylinder i włożył czarny beret, również zabytkowy. Zmrużył oczy i cynicznie wykrzywił kąciki ust. Neurastenik, niebezpieczny, *louche*. Zdjął beret, wsadził melonik i uśmiechnął się do siebie z przemożnym, tajemniczym i ironicznym rozbawieniem.

Odłożył kapelusze i rzucił się na łóżko, podciągając kolana i splatając dłonie na karku. Myślami był daleko stąd. Pochylona nad nim pulchna postać Kalipso, w błękitnym naszyjniku, pieściła go delikatnie, zwracając ku niemu śliczną, jasną twarz. Ale Henryk, nawykły do podróży, nie

zwracał na nią uwagi. Jego poważny wzrok pod zmarszczonymi brwiami znamionował ważne myśli, desperackie plany, ucieczkę i zagładę.

Widział przed sobą pełne usta, wilgotne od lepkiej czerwonej pomadki i od łez. Widział porysowane i spękane, błyszczące różowe paznokcie. Nieśmiałe, błagalne i łagodne spojrzenie okrągłych ciemnoniebieskich oczu. Sandy postąpił z tą dziewczyną jak łobuz. Ale zastanawiając się nad nową i niespodziewaną rolą swego brata, Henryk bardziej niż kiedykolwiek od chwili powrotu bliski był współczucia, które skłania mężczyznę do płaczu. Sandy odszedł. Pozostała Stefania Whitehouse. Nie mógł pozwolić, żeby znikła i odpłynęła, ten sekret z przeszłości Sandy'ego musi pozostać bezpieczny, czysty i nieskażony pośród walki jego uczuć synowskich z przemożnym pragnieniem zemsty. Stefania Whitehouse była jego branką, jego prawowitym łupem z wyprawy w życie brata. Pieniądze uczyniły ją więźniem Sandy'ego i gdyby chciał, w ten sam sposób mogłaby zostać jego więźniem. Z napięciem oczekiwał następnego spotkania ze Stefanią.

W Leśnej Zagrodzie obowiązywała zasada nieustannej pracy. John Forbes ze spokojnym zadowoleniem przyjmował fakt, że jego córka nigdy nie próżnuje. Zastanawiał się, czy ta pracowitość jest spontaniczna, czy też Colette zabiega w ten sposób o jego uznanie? Sprzątnęła cały dom, wypieliliła ogród, wyprała i doprowadziła do porządku jego ubrania. Wieczorami czytała lub oglądała telewizję. Czytaną właśnie książkę zostawiła (celowo?) na stole. *Religia i narodziny kapitalizmu*. Zaczęła lepiej gotować. John musiał przyznać z zadowoleniem, że przy niej żyje mu się znacznie wygodniej.

O wiele mniej jasno przedstawiały mu się jednak sprawy jej umysłu i ducha. Wciąż jeszcze był zaskoczony i wstrząśnięty niezwykłym wybuchem Colette w wieczór jej przyjazdu. Czy naprawdę był tyranem domowym? Nie mógł w to uwierzyć. Z całą pewnością nigdy nie wyśmiewał swoich dzieci i nie musiały się go bać. Zawsze traktował je tak, jakby były dorosłymi, dojrzałymi, wolnymi ludźmi. Nie rozpieszczał ich ani nie uważał za wrażliwe rośliny, i w tym na pewno miał rację. Były krzepkie i rozsądne i od początku zdawało mu się, że całkiem słusznie jest wobec nich szczery i otwarty. Zawsze mówił im prawdę, nawet jeśli była nieprzyjemna, a one nigdy nie płaszczyły się przed nim ze strachu. Stanowili mocną parę i mógłby przysiąc, że w latach wczesnej młodości nie zdradzali szczypty nierozsądku. Odstępstwo Katona traktował w dalszym ciągu jako całkowicie niezrozumiały kataklizm. Wszystko zaczęło się jeszcze w

ekskluzywnej szkole średniej wraz z modą popijania sherry z chłopcami ze „starych rodzin katolickich”. A teraz Colette. John nie potrafił doszukać się w tym swojej winy. Oczywiście nie mógł spoglądać na siebie jako na tyrana. Tego pierwszego wieczoru Colette była bardzo zdenerwowana i zmęczona. Później nie poruszali już drażliwego tematu, a prawdę mówiąc, żadnych poważnych spraw.

Obserwując córkę, John dostrzegł, że wydorosłała, stała się mniej dziecinna. Oczywiście przyjął z wiarą jej oświadczenie, że ciągle jeszcze jest dziewczyną, bo wiedział, że nigdy by mu nie skłamała. Zmiany, jakie w niej zauważył, nie wynikały z doświadczeń seksualnych. Po pewnym czasie doszedł jednak do wniosku, że to, co w niej dostrzega, nie polega na świeżej dojrzałości, ale na jakimś absurdalnym rozkwicie pewności siebie młodej dziewczyny. Może po prostu zauważyła, że jest bardziej pociągająca. Colette była teraz mniej więcej w tym samym wieku co Ruth, kiedy ją poznał jako swoją koleżankę na wydziale historii nowożytnej w Birmingham. Ruth była niższa, bardziej krępa, z krótkimi włosami mysiego koloru, bardziej podobna do Katona, o twarzy pulchniejszej, niespecjalnie ładnej, ale z cudownym, spokojnym, mądrym, bystrym i żartobliwym wyrazem, który zachwycił Johna od pierwszego wejrzenia. Colette miała twarz bardziej kościstą, była bardziej podobna do niego. John i Colette byli szczupli i teraz, kiedy jego lekko rudawe włosy posiwiały i przerzedziły się na czubku głowy, John wydawał się jeszcze bardziej wychudzony. Kato w przyszłości będzie tęgi, taki, jaka byłaby Ruth. Colette miała przejrzyste brązowe oczy matki, ale podczas gdy Ruth w rozbawieniu lub zamyśleniu ciągle je mrużyła, oczy Colette były zawsze jakby świadomie szeroko otwarte, tajemniczo wpatrzone, jaśniejące jakąś siłą lub po prostu zadowoleniem z siebie młodej dziewczyny.

John doszedł do wniosku, że nastrój pewnej siebie dojrzałości, w jakim córka wykonywała proste zajęcia domowe, nie był niczym więcej (ani mniej) jak całkowicie irracjonalną radością z powodu zdrowia, młodości i dobrego wyglądu. W końcu, dlaczego nie, przyznawał z pewną zazdrością. Kiedy biegła po domu roztańczona, zręczna, długonoga i lekkostopa, z półuśmiechem, z długimi włosami zaplecionymi w warkocz dla wygody, czuł bijącą od niej siłę, jak gdyby umieszczono tuż przy nim jakieś nowe, mocne źródło promieniowania. Nie była to siła intelektualna, ale też i nie czysto zmysłowa; raczej siła duchowa, siła ducha w surowej, młodej, prawie okrutnej, prawie niebezpiecznej, prawie nieświadomej formie. Jest jak młody rycerz, myślał, pełen dziwnej i prostej wiary w zwycięstwo niewinności. Pewnie marzy o przygodach, o wielkiej, słusznej sprawie, która zamieni jej czystość w odwagę i moc. Wierzy, że jej zbawienny wpływ

uratuje jakiegoś nędznika „przed nim samym”. Ze wzruszającą bezczelnością ceni siebie po prostu dlatego, że jest młoda i nietknięta. Biedne dziecko. Oto ona, gotowa i przygotowana na to, żeby ściągnąć masę kłopotów na siebie i na innych. Cała praca, jaką w nią włożył, nie zrodziła głodu wiedzy, tylko tę osobliwie dziecinną pychę wewnętrzną. Jednak w pewnym sensie on również pozostawał pod jej urokiem i był zadowolony, że obudziła na nowo jego wrażliwość.

– Tatusiu, idzie Lucjusz Lamb. Zobaczyłam go z okna na podeście.

– Lucjusz? Do nas? Coś takiego.

Był wczesny wieczór i John właśnie zapalił lampę na biurku, przy którym przygotowywał pierwszą wersję artykułu. Za oknem widać było ogród, spowite mgiełką drzewa nabrzmiałe od zimnokawowych pączków, a za nimi świetlistomglisty, jednolicie pociemniały błękit nieba. Jakieś ptaki śpiewały, starannie splatając w girlandy swoje trele.

John ze zniecierpliwieniem odrzucił pióro. W chwilę później usłyszał pukanie do drzwi i Colette pobiegła otworzyć. John poszedł wolno za nią, dostrzegając u wejścia, w jasnym świetle lampy, zapalonej na ganku przez Colette, uśmiechniętą twarz Lucjusza Lamba.

– Jak się masz, Colette, moja droga. Jak się masz, John. Właśnie wyszedłem na wieczorny spacer i pomyślałem, że zajdę i zobaczę, jak się miewacie.

– Cóż za uprzejmość – powiedział John.

Colette stała, patrząc na Lucjusza jasnymi, dociekliwymi, szeroko otwartymi oczyma, zwiesiwszy ręce nieruchomo, młoda i pełna wdzięku.

Nastąpiła chwila konsternacji, którą John świadomie przedłużał, ociągając się z konwencjonalnym:

– Wejdz, proszę bardzo.

Pierwszy poprowadził gościa do bawialni, głośno zapalając światła i zaciągając zasłony. Włączył kominek elektryczny. Zwykle przesiadywali z Colette w kuchni. Lucjusz szedł za nim z uśmiechem, trzymając czapkę w ręku.

Leśna Zagroda, dawniej nazywana Oleandrowym Domkiem, została tak ochrzczona przez Ruth, która również pochodziła z rodziny kwakerskiej. Był to domek niewielki, ładny i solidny, zbudowany niedługo po pierwszej wojnie światowej. Skromna, przyjemna bawialnia miała

błyszczące kremowe ściany i wykuszowe okno, a pod nim niską ławeczkę. Urządzenie, projektu Ruth, pozostało od czasu ślubu nie zmienione. Brązowo-żółte wazy, błękitne fajansowe lichtarze z tymi samymi czarnymi świecami stały jak dawniej na malowanych półkach koło kominka. Wełniany kilim był dziełem Ruth. Na ścianach ciągle wisały fotografie z Grecji, zrobione i oprawione przez nią własnoręcznie. To za jej pieniądze kupili ów mały domek. A za to, co pozostało, nabyli przyległą Dębową Łąkę, pospiesznie sprzedaną z powodu łodzi, której Sandy nigdy już nie zdażył kupić. Zaprzyjaźniony ekonomista poradził Johnowi Forbesowi ulokować oszczędności w ziemi.

Oczywiście John widywał od czasu do czasu swojego starego czy też dawnego przyjaciela na drodze lub w wiosce, ale od dawna nie prowadzili dłuższych rozmów. Ponieważ zerwanie stosunków między Leśną Zagrodą i dworem wydawało się Johnowi tak nieuniknione, że prawie naturalne, nie przyszło mu do głowy ubolewać nad utratą Lucjusza, którego towarzystwo niewątpliwie lubił. Życie towarzyskie Johna toczyło się głównie na uniwersytecie, gdzie w trakcie semestru spędzał cztery dni w tygodniu. W Laxlinden, jeśli nie miał zaproszonych gości, nie znajdował wiele towarzystwa prócz Bellamy'ego, nauczyciela Ecclesa, który teraz wyjechał na „wymianę”, i takich znajomych, jak wikary i architekt Gosling, z którym spotykał się Pod Koniem i Koniuszym. Lucjusz nigdy nie zachodził do baru, na pewno zabroniła mu tego Gerda. John lubił samotność i zawsze powtarzał swoim kolegom uniwersyteckim, że stałe towarzystwo ludzi doprowadziłoby go do szaleństwa. Ale od czasu do czasu chętnie porozmawiałby z Lucjuszem, gdyby nie wielkopańska postawa Gerdy, jej dawna niechęć do Ruth, kłótnia o prawo przejazdu, ochłodzenie stosunków z powodu łąki i absurdalność pozycji Lucjusza, o której John zawsze wyrażał się z sarkazmem. Lucjusz miał swoją drażliwość, a John swoją dumę, w związku z czym rozłam ugruntował się jako stan trwały.

Teraz jednak, kiedy minęła pierwsza irytacja, że mu ktoś przeszkadza, John ucieszył się ze spotkania z Lucjuszem. Stary znajomy to przecież w końcu także coś trwałego. Można sobie darować wszelkie wstępy, pozowanie, szermierkę słowną. Nie ma tu barier, które, w miarę jak życie posuwa się naprzód, coraz bardziej odgradzają od siebie ludzkie istoty. Przyjaźnie, zawarte w dwudziestym roku życia i podtrzymane, zachowują coś z naiwnej młodzieńczej otwartości. Właściwie Lucjusz był starszy od Johna Forbesa; kiedy John zaczynał studia, Lucjusz właśnie porzucił pracę nad magisterium, aby włączyć się w życie literackie; zostali jednak bliskimi przyjaciółmi, bo John, co wspominał nieraz ze zdumieniem, należał do wielbicieli poezji Lucjusza.

Colette, choć mogła usiąść z nimi i porozmawiać, przyjęła rolę anioła opiekuńczego, przyniosła butelkę sherry i dwa kieliszki, po czym zniknęła, ciągle uśmiechając się skrytym uśmieszkiem, pełnym zadowolenia z siebie. Było przytulnie. Lucjusz nawet jakby trochę się odprężył.

– Cóż, Lucjuszu, jak tam twoja księga? Zazdroszczę ci, że masz czas na pisanie.

– Ach, książka, tak. Postanowiłem ją skrócić, zamienić w coś bardziej osobistego.

– O, to mnie nie zachwyca. Chyba dość już mamy książek osobistych. Oczekiwałem jakiejś głębszej analizy koncepcji marksistowskich.

– Wiesz, John, to może brzmieć okropnie, ale ostatecznie zerwałem z marksizmem. Pozbyłem się tego bakcyła. Teraz piszę poezje.

– Nie mówisz tego serio. Przecież najważniejsze jest to, jak patrzymy na Marksa. Masz wiedzę i masz czas, nie tak jak my, woły robocze, zmuszone zarabiać na życie...

– W miarę jak się starzeję, coraz mniej mnie to interesuje. Woleę myśleć o sobie.

– To brzmi, jakbyś szykował się na oddział geriatryczny.

– Kapitalizm, sowiety to po prostu dwa sposoby rządzenia, równie bezładne i niezręczne, tyle że nasz jest lepszy. Socjalizm to wprost przestarzała iluzja. Zapytaj kogokolwiek ze wschodniej Europy.

– Lucjuszu, na miłość boską! Powiedz mi, jak głosowałeś w ostatnich wyborach?

– W ogóle nie głosowałem.

– Nie głosowałeś? Jak można doprowadzić świat do porządku lub mieć nadzieję na jego poprawę...

– Nie mogę, nie mam.

– Jeśli nie będziemy trzymali się Marksa? Nie mówię o Marksie Stalina...

– Nie wiem. Masz na myśli prawdziwego Marksa, twojego Marksa. Każdy idealista ma swojego. To jak religia.

– Przecież byłeś historykiem. Ale przypuszczam, że życie w wiejskim dworze...

– Zerwałem z tym wszystkim, mówię ci szczerze. Myślę, że marksizm to okropna pomyłka.

– W porządku, zapomnij o Marksie, jeśli ci się to nazwisko nie podoba. Ale co z angielską tradycją, co z...

– O, angielska tradycja jest wspaniała, ale to jest sposób życia, a nie pseudonauka.

– Lucjusz! Jesteś po prostu torysem!

– Może najzwyczajniej zdałem sobie wreszcie sprawę z własnych ograniczeń. Ale skoro mowa o religii, jak się miewa Kato?

– Przestań!

– A Colette... pięknie wyrosła.

– Ona też nie głosowała, niech ją diabli!

– Nawiasem mówiąc, Gerda przesyła ci pozdrowienia.

– O!

– I Henryk też.

– Jak się miewa ten młody pyszałek?

– Muszę ci powiedzieć, że bardzo, bardzo się zmienił...

– Najwyższy czas.

– Bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki.

– Jakie obowiązki? Ach, masz na myśli obowiązki bogatego człowieka.

– Zrobił inspekcję całego majątku, ma zamiar odnawiać domki w Dimmerstone...

– Kiedy wraca do Ameryki?

– Nie ma zamiaru, chce...

– Chyba nie traktujesz serio tego, co mówisz o marksizmie. Każdy racjonalny program sprawiedliwości społecznej...

– Nawiasem mówiąc, czy to prawda, że zamierzasz budować na Dębowej Łące?

– Nie mam pieniędzy, gdybym miał, zbudowałbym z miejsca dwadzieścia domów. Głód mieszkaniowy w wiosce...

– Więc nie masz zamiaru budować?

– Głód mieszkaniowy w wiosce jest przerażający... Bellamy wspominał mi...

– Ale wracając do Colette...

– Dzisiaj główny problem społeczny to budownictwo mieszkaniowe...

– Czy ma jakiegoś chłopca?

– Ile pokoi macie we dworze? Dwadzieścia, trzydzieści?

– Pytałem właśnie, czy Colette ma chłopca.

– Colette! Skąd mam wiedzieć? Jestem tylko jej ojcem!

– Nie jest chyba zaręczona ani...

– W dzisiejszych czasach nie zaręczają się, tylko zachodzą w ciążę...

– Nawiasem mówiąc, Gerda prosiła, żeby pozdrowić Colette i...

– Powiedz mi, co to wszystko znaczy? Czy Gerda chce odkupić Dębową Łąkę?

– Nie, nie.

– Bo jeśli ma taki zamiar...

– Nie, po prostu przesyła pozdrowienia Colette i chciałaby widywać ją we dworze, no i oczywiście ciebie...

– Gerda dostała chyba rozmiękczenia mózgu. Ale dlaczego ty sam nie zajrzysz do mnie czasem? Muszę ułożyć ci wszystko w głowie na temat socjalizmu. A może Gerda nie chce, żebyś przychodził?

– Nie rozumiesz...

– Nie mogę się z tym pogodzić, że zostałeś ulubieńcem tej piekielnej kobiety, każdy mężczyzna z charakterem już dawno by się wyniósł...

– Po prostu tak się złożyło, że się kochamy!

– Bzdury! Małżeństwa się kochają, muszą się kochać, bo się ze sobą zrastają. A ty i Gerda żyjecie od lat, podsycając zatęchły niedopałek sentymentalnej przyjaźni, która tak czy owak od początku była tylko złudzeniem.

– Nie możesz mówić w ten sposób o życiu innych ludzi, nie wiesz...

– Do licha! Przecież byłem świadkiem tego wszystkiego, widziałem, jak się zakochałeś w Gerdzie, to było jak ze złego filmu!

– Oczywiście uważałeś, że twoje małżeństwo jest doskonałe, a wszyscy inni żyją jak w złym śnie...

– Nie wspominaj o moim małżeństwie. Zachęcałeś Gerdę, żeby wyśmiewała się z Ruth, nazywałeś ją komiczną entuzjastką...

– Nieprawda...

– Nie pozwolę ci mówić o Ruth, nie pozwolę kłaść jej imienia tobie ani tej cholерnej snobce, na której koszt żyjesz.

– Nie mówiłem nic o Ruth...

– Mówiłeś, sugerowałeś...

Weszła Colette. Rozpuszczone, świeżo wyszczotkowane włosy spływały jej gładką falą na plecy. Przebrała się w suto marszczoną sukienkę z liliowego kretonu, która sięgała jej do kostek. Weszła prędko, jakby chciała coś obwieścić obecnym.

Lucjusz i John podnieśli się.

– Wyglądasz jak Atena z naszego gobelinu – powiedział Lucjusz.

– To znaczy, z gobelinu Gerdy. Colette, na miłość boską, odejdz od kominka, bo spalisz sobie spódnice! Po co się przebrałaś? To nie bal.

– Gerda przesyła ci uściski i ma nadzieję...

– Colette, zabraniam ci się zbliżać do tych przeklętych ludzi!

Zresztą mogę być o ciebie spokojny. Słuchaj, Lucjuszu, bardzo cię przepraszam, trzeba oczywiście być rozsądnym i nie kłócić się, zachodź tu, porozmawiamy sobie od czasu do czasu, ale nie doprowadzaj mnie do szału jaśnie panią ani tym cherlawym Henrykiem, bo rzygać mi się chce na samą myśl o nich!

W jakiś czas potem, siedząc bezpiecznie w domu przy ciepłym ogniu drewnianych palących się na kominku, Lucjusz odpowiadał na pytania.

– Więc nie ma zamiaru budować na Dębowej Łące?

– Nie.

– A ona nie jest zaręczona ani...

– Nie, wolna jak ptak.

– I przyjęli cię życzliwie?

– Nadzwyczaj.

– Przekazałeś im ode mnie pozdrowienia i tak dalej?

– O, tak.

– I byli zadowoleni?

– Szalenie.

– Ci kwakrzy mają głowy na karku. John Forbes ruszył z miejsca do ataku, kiedy tylko zwiertzył, że łąka idzie na sprzedaż.

– Uważaj, oni są dumni.

– Będę taktowna, zaproszę dziewczynę na...

– Lepiej trochę poczekać, nie wypada być zbyt natarczywym...

– Może Henryk mógłby... W każdym razie wyglądało na to, że nie są obojętni, to dobrze, dobrze się spisałeś.

– Dziękuję – powiedział Lucjusz.

W poszukiwaniu brandy przywędrował Henryk. Jego obecność przy obiedzie nie pozwalała na dyskusję.

– Henryku, kochanie, może zaprosiłbyś Colette Forbes na partię tenisa?

– Nie umiem grać w tenisa.

– Myślałam, że może nauczyłeś się w Ameryce.

– Nie! – Henryk wyszedł, zatrzasnął drzwi. Idąc do łóżka, John Forbes zwrócił się do córki:

– O co, u licha, mogło chodzić Lucjuszowi, że aż tu przyłaził?

– Nie mam pojęcia – odparła Colette.

– To mnie zdumiewa. Może wreszcie postanowił się wyrwać. Powinienem być grzeczniejszy.

– Znowu widziałem twojego sokoła – powiedział Henryk.

– Przechodziłeś tamtędy? – spytał Kato. – To pustkowie sprawia dość tragiczne wrażenie, odsłoniły się różne widoki. Co mają zamiar tam postawić?

– Luksusowy hotel.

- Cóż, przypuszczam, że pokoje hotelowe są potrzebne.
- Potrzebne są tanie pokoje hotelowe.
- Nie byłem pewny, czy cię jeszcze zastanę.
- Niewiele brakowało, abyśmy się minęli. Jutro już mnie tu nie będzie.

- Dokąd jedziesz?

- Zamieszkać u księdza, ojca Craddocka. Dam ci adres. Kato zwlekał z odwiedzinami u Brendana, bo przedtem chciał przemyśleć własną sytuację. Teraz nagle, ulegając dziwnej słabości, którą przyjął jak łaskę, postanowił najpierw zobaczyć się z Brendanem, a swoje rozważania odłożyć na później. Czy oznaczało to, że chce, aby Brendan na niego wpływał, namawiał go, żeby pozostał z Bogiem i nie przestawał kochać Pięknego Joe? Myśli te stanowiły teraz dla niego jak gdyby kwintesencję nieba: gdyby tylko mógł pozostać ze swoją religią i nauczyć się od niej, jak zatrzymać chłopca przy sobie, nie niszcząc ani siebie, ani jego. Spakował walizkę. Umówił się, że Joe przyjdzie się pożegnać. Nie był jeszcze pewien, jak to sformułuje: czy będzie to krótkie do widzenia, niedbałe do widzenia, czy znamienne do widzenia? Kato czuł, że powinien powiedzieć Joemu coś trudnego, a jednocześnie jasnego, jeśli tylko potrafi znaleźć odpowiednie słowa. Teraz wydawało mu się, że ich rozmowy były zawsze takie same, że zawsze znajdowali w nich rodzaj wyzwolenia uczuciowego, niby w zwarcu bokserkim, organizowanym w subtelny i głęboki sposób przez Joego. Gdyby tylko mógł trafić do tego chłopca, nawiązać z nim bezpośredni kontakt, dotrzeć do jakiejś prawdy. Kato zdążył zauważyć, że perspektywa takiego „dotarcia” również wywoływała w nim rodzaj uczuciowego wyzwolenia i zastanawiał się, co powinien i co zechce powiedzieć o tym Brendanowi. Jednakże z ulgą pomyślał, że wszystko musi zadecydować się później i że jego pożegnanie z Pięknym Joe nie będzie musiało być ostatnim. Myśl o tym, że jeszcze tego samego wieczoru zobaczy się z nim znowu, napawała go, przyznawał się do tego w duchu, niepokojem fizycznym i wariackim szczęściem.

Może powinienem bardziej się odprężyć, przyjmować wszystko naturalnie – zastanawiał się Kato; a potem wydało mu się, że myśli tak dlatego, że jutro będzie u Brendana – bezpieczny. Zauważył też, że w trakcie wielkiego metafizycznego kryzysu swego życia myślał więcej o Pięknym Joe niż o Bogu. A może było tak dlatego, że czuł, iż wkrótce Brendan będzie mówił z nim o Bogu, że Brendan zachował dla niego swojego Boga, nie tkniętego przez niebezpieczne myśli. A może było tak, że

w głębi duszy, pośród wszystkich tych kłopotów, dalej nieodmiennie, ufnie i w zasadzie bez wątpliwości wierzył w Boga, uznawał Go za podstawę swojego bytu i zwracał się do Niego, aby rzucił światło na te same myśli, które zagrażały Jego istnieniu? Kimże jestem, aby myśleć o Bogu – zastanawiał się Kato. Panie, wierzę, wydobądź mnie z mojej niewiary.

Podczas gdy Kato się pakował, przyjechał niespodziewanie Henryk. Kato ucieszył się na widok przyjaciela, ale był zmęczony, zbyt zajęty i niezdolny odwzajemnić się Henrykowi, który przyszedł z wyraźnym planem, żeby mówić wiele o sobie. Henryk, jak zauważył, traktował go z naiwną i wzruszającą ufnością, jak księdza, to znaczy kogoś, kto nie ma własnych problemów i gotów jest nieustrudzenie poświęcać całą uwagę innym.

– Przykro mi, że zamykacie Misję – powiedział Henryk. – Wolałbym, żebyście tu zostali. Uważaj, bo niedługo będziesz miał świeckiego, i w dodatku niewierzącego pomocnika, który nie będzie odstępował cię na krok.

– Myślisz o sobie? Żartujesz chyba. W każdym razie nie wiem jeszcze, gdzie się zatrzymam. Nie wiem nawet, czy pozostanę księdzem.

– Słuchaj, Kato, nie wolno ci tracić wiary akurat wtedy, kiedy ja jej potrzebuję! Nie potrafię wierzyć w Boga, ale ty mógłbyś robić to za mnie, od tego są księża. – Henryk najwidoczniej nie miał ochoty dyskutować o trudnościach Katona ani nawet dopuszczać do siebie myśli o ich istnieniu.

– To nie najgorsza koncepcja księdza – powiedział Kato – ale ja nie muszę się do tego nadawać.

– Co się stało z tym chłopcem, tym ładnym w okularach, z włosami jak u dziewczyny?

– Stacza się na dno na swój własny sposób. Notabene, zauważył, że jesteś dżentelmenem.

– Bystre dziecko. Kato, musisz mu pomóc. To właśnie rodzaj pracy, który by mi odpowiadał, ratowanie przestępców.

– To niełatwe. Powiedział, że należysz do dżentelmenów, których złoczyńcy przyprawiają o dreszczyk.

– Czytał pewnie coś z psychologii. W każdym razie cieszę się, że Ameryka nie całkiem mnie zdeklasowała. Ale ty chyba nie zamierzasz rzucić tej roboty i wstąpić do klasztoru? Pewnie urządzisz się gdzieś tak jak tu?

– Może. Ale co z tobą? Co udało ci się zdziałać po przyjeździe?

– Zaraz ci opowiem – powiedział Henryk. I dodał: – Ach, widziałem Colette.

– Naprawdę? Byłeś w Leśnej Zagrodzie?

– Nie, oczywiście nie. Twój ojciec ma zbyt donośny głos, który zawsze przyprawiał mnie o gęsią skórę. Spotkałem ją... w wiosce. Jest już zupełnie dorosła.

– Tak, to już duża dziewczyna.

– Zabawnie jest wrócić do kraju. Wszystko toczy się tu po staremu, to znaczy, wiesz, nie chodzi o to, że przebieramy się do obiadu, ale jest w tym coś z tego... Wszystko toczy się jak dawniej, tylko wszystko jest martwe, martwe jak gwóźdź od trumny.

– Pewnie twoja matka liczy na to, że wniesiesz w to trochę życia.

– Nie mogę.

– No cóż, tak niewiele czasu upłynęło.

– Nie mogę grać roli Sandy’ego.

– Nie myślałem o graniu jego roli. Oczywiście ty zrobisz to inaczej...

– Ach, więc przypuszczasz, że będę to robił?

– Dlaczego nie? Chyba nie chcesz wracać do Ameryki? Przed chwilą mówiłeś, że chcesz mi pomóc. Ale może nie mówiłeś na serio?

Henryk nie odpowiedział. Siedzieli w ogołoconym pokoju na piętrze, Henryk na łóżku, Kato na krześle. Był wieczór i Kato właśnie zapalił światło. Wydobyło ono z mroku drobną, żywą twarz Henryka, który był najwyraźniej bardzo podniecony. Bawił się puklami ciemnych włosów, skręcając je nerwowo w małe kędzierzawe kulki, i rzucał szybkie, niespokojne spojrzenia na Katona. Poważną miną pokrywał ochotę do śmiechu.

– Powiedz mi, Kato, czy kiedy mnie nie było, widywałeś często Sandy’ego?

– Nie, prawie wcale.

– Nie widywałeś go w Londynie... albo jakichś jego przyjaciół czy w ogóle kogoś...

– Wpadliśmy kilka razy na siebie w Laxlinden, w wiosce. Kiedyś w Londynie zaprosiłem go na obiad. Ale, słuchaj, mnie nie chodziło wcale o

to, żebyś miał po prostu osiąść na roli. Jesteś teraz niezależny finansowo, możesz dalej pisać swoją książkę o tym jakimś malarzu, o którym nigdy nie słyszałem...

– Niewykluczone, że to rzucę...

– Cóż, książka albo coś w tym rodzaju, jesteś typem naukowca...

– Ha, ha, ha.

– Mógłbyś na przykład uczyć; jeśli chcesz mieć do czynienia z młodzieżą wykolejoną, to ostatecznie pełno jej w naszych czasach. To byłoby chyba mądrzejsze niż nie odstępować mnie na krok.

– Potrzebny mi jesteś w polu widzenia, Kato, naprawdę jesteś mi potrzebny.

– W polu widzenia? Jesteś bardzo podniecony. Oczywiście nie musisz spędzać całego czasu we dworze. Twoja matka świetnie sobie z nim radzi, przypuszczam, że kiedy Sandy tam był, też załatwiała większość spraw. Mógłbyś mieszkać w Londynie, w Paryżu, gdziekolwiek. Ale mógłbyś również, choćby po to, żeby sprawić przyjemność matce, zainteresować się rozsądnie tym obiektem. Ostatecznie musi przecież istnieć dalej.

– Musi? – zapytał Henryk.

– Jeśli chcesz zmienić jego obyczaje... Coś ty powiedział?

– Powiedziałem „musi”? Czy musi istnieć dalej?

– No a jak, nie musi?

– Nie rozumiem, dlaczego musi.

– Co masz na myśli?

– Co więcej, Kato, nie będzie musiał.

– Ale, coś ty...?

– Zamierzam go sprzedać – odrzekł Henryk.

– Sprzedać, co?

– Mam zamiar sprzedać wszystko, cały ten kram, dwór, park, domki, gospodarstwa. Wszystko.

Henryk patrzył teraz prosto w oczy Katona jasnymi, gorejącymi oczyma, z trudem powstrzymując uśmiech drżących warg. Kato podciągnął sutannę i założył nogę na nogę.

– Nie mówisz tego poważnie.

– Dlaczego? Czemu nie? Spójrz na mnie. Czy nie wyglądam na poważnego człowieka?

– Wyglądasz na szaleńca.

– Zrobię tak, Kato, i zrobię to bardzo prędko, kiedy tylko uda mi się wszystko załatwić. To mój majątek i mogę go sprzedać. Sprzedali Dębową Łąkę, żeby kupić kosztowną zabawkę, której nagle zachciało się Sandy’emu.

– Ale... skąd taki krańcowy pomysł... Po co się spieszyć?

– Jesteś zaskoczony?

– A czego się spodziewałeś? Tak, jestem zaskoczony... jeśli rzeczywiście to masz na myśli. A cóż na to twoja matka?

– Jeszcze jej nie powiedziałem – odparł Henryk. Zaśmiał się piskliwie i na chwilę rzucił na łóżko, a potem znowu usiadł, pochylając się do przodu i wpatrując w Katona jasnymi, wyczekującymi oczyma.

Kato spojrział na szelmowsko ożywioną twarz.

– Poczekaj no, słuchaj, spróbuj wytrzeźwieć. Nie możesz tego zrobić.

– Myślisz, że nie mam prawa? Oczywiście, że mam. Majątek nie jest ordynacją. Zbadałem już tę sprawę z Merrimanem. Przysiągł mi, że będzie dyskretny. Ale chyba grozi mu kryzys nerwowy.

– Nie myślę o prawie cywilnym, tylko o prawie moralnym. To by zabiło twoją matkę.

– Spodziewałem się, że tak powiesz. Wydaje mi się, że nie masz racji.

– Więc chcesz... sprzedać wszystko... całą posiadłość... a gdzie będzie mieszkać twoja matka?

– O, przemyślałem już wszystko. Wiesz, że Dimmerstone też należy do nas. No, więc są tam dwa zrujnowane domki, które można by przerobić na całkiem przyjemną niewielką willę, z przyzwoitym ogródkiem.

– Chyba nie przypuszczasz, że twoja matka zechce opuścić dwór i zamieszkać w domku w Dimmerstone.

– W dwu domkach. Dlaczego nie? Dlaczego?

– Cóż, byłaby nieszczęśliwa, umarłaby pewnie ze wstydu.

– Wstydu? Czy nie powinna się wstydzić, że mieszka w wielkim pustym domu, gdy tyłu jest bezdomnych dookoła? Czy, mówiąc to, nie przedstawiasz wszystkiego na odwrót?

– Nie mówię o tym, co ona powinna odczuwać, mówię o tym, jak będzie się czuła. A poza tym jest jeszcze Lucjusz...

– Czyżby?

– Co chcesz z nim zrobić? Czy ma mieszkać razem z nią w malutkim domku?

– Słuchaj, Kato, pluję na to, co się stanie z Lucjuszem. Kiedy opowiem to wszystko matce, dam Lucjuszowi wyraźnie do zrozumienia, żeby się zabierał. Dość długo już żył na jej koszt, a poza tym ona już ma go dosyć. Pije, krzyczy na nią, ona krzyczy na niego. Słyszałem już nie jedną awanturę.

– Ludzie mogą robić awantury i kochać się dalej.

– Chyba nie sądzisz, że mojej matce zależy na tym starym szarlatanem? Ale nie mówmy o Lucjusz, to mi tylko działa na nerwy. Matka odetchnie z ulgą, kiedy go wykopię.

– Ale z czego ona ma żyć?

– Ma całkiem niezłą dożywotnią rentę i będzie mogła żyć za nią całkiem wygodnie w Dimmerstone. Ostatecznie nie jest już młoda, ma za sobą niezły kawał życia. Zdziera się tylko, próbując utrzymać ten humorystyczny majątek, stale coś robi w domu albo w ogrodzie. Chyba już czas porzucić to wszystko i odpocząć.

– Ale może ona inaczej na to patrzy. Słuchaj, przecież nie możesz... to znaczy, co chcesz właściwie zrobić... zwyczajnie sprzedać to wszystko byle jak, byle komu?

– Niezupełnie. Na początku myślałem, że może sam rozbuduję tę posiadłość i zamienię ją we wzorowe miasteczko...

– Wzorowe miasteczko?

– Ale to byłoby zbyt trudne i naprawdę nie widzę siebie w roli mecenasa, zależy mi raczej na działaniu negatywnym. Nie chcę bez końca zajmować się tymi sprawami, to pociąga za sobą zbyt wiele decyzji i obowiązków i tylko podsycaloby moje poczucie własności. Chcę się ostatecznie pozbyć i uwolnić od tego wszystkiego. Majątek podzielę na parcele. Kawałek parku przy jeziorze sprzedałbym razem z dworem, można by tam umieścić jakąś instytucję, na przykład uczelnię lub szkołę zawodową. Gospodarstwa sprzedam dzierżawcom, a domki w Dimmerstone miejscowym robotnikom rolnym. Wtedy górna część parku od strony Laxlinden mogłaby się zamienić w osiedle dla mieszkańców

wioski. Jest przecież ten facet, młody architekt Gosling, który pobudował te domy rady koło szosy, mógłby zrobić kawałek dobrej roboty...

– Poczekaj, poczekaj, widzę, że chciałbyś pomóc ludziom z wioski, właściwie nawet powinienes im pomóc, sprzedać chaty tanio ludziom, którzy ich potrzebują, i tak dalej, ale dlaczego spieszysz się, żeby sprzedać wszystko? A poza tym do czego zmierzasz? Zostaniesz z kupą pieniędzy zamiast ziemi i co z nimi zrobisz?

– Rozdam innym.

– Komu?

– Komukolwiek. Radzie Gminnej Laxlinden, Schroniskom, Towarzystwu Dobroczyńności, Kasie Zbiorów Sztuki Narodowej, tobie, temu złotowłosemu chłopcu...

– Mnie?

– Tak, na pokrycie kosztów nowej Misji, czy jak ty to nazywasz. Dlaczego nie? Mógłbyś wykorzystać te pieniądze, prawda?

– Tak, ale...

– Nie rozumiesz, że ja po prostu chcę się tego wszystkiego pozbyć?

– Zgoda, i może powinienes pozbyć się poważnej części majątku i zrobić coś dobrego, ale uważam, że nie powinienes sprzedawać domu i...

– Dlaczego, u licha, nie mam tego zrobić? Jakich wartości tutaj bronisz? Dlatego, że przekłenci Marshalsonowie mieszkają we dworze od...?

– W każdym razie nie powinienes tego robić za życia twojej matki. I jakoś... taki jestem zaskoczony... dom twojego dzieciństwa...

– Kato, doprowadzisz mnie do choroby! Dom mojego dzieciństwa! Nienawidziłem swojego dzieciństwa, większość ludzi go nienawidzi. Powiedz, przecież sam nie dałbyś dwu pensów za Leśną Zagrodę!

– No, niezupełnie, ale chciałbym dożyć czasów, kiedy Colette zamieszka tam z mężem i dziećmi.

– Colette z... wiesz, zaskakujesz mnie, myślałem, że staniesz po mojej stronie.

– Powinienes pomyśleć o swojej matce.

– Dlaczego?

– Bo jest twoją matką.

– Jeżeli o mnie chodzi, tylko z nazwy.

– To nieprawda. Moim zdaniem pchasz się w to wszystko w jakimś niezdrowym nastroju, nie pomyślałeś dobrze, co robisz. Spróbuj trochę poczekać.

– Boję się, że się rozmyślę.

– No, więc widzisz.

Henryk dalej siedział pochylony do przodu, z niesamowitym uśmiechem na wilgotnych wargach. Wyciągnął rękę, dotknął sutanny i lekko pogłaskał materiał.

– Tak jest, ale nie rozumiesz, że... Wiem, że teraz dotarłem do prawdy. Wiem.

– Wszystko to jest tak nieodwołalne, tak niszczące...

– Niszczące, owszem. Ale czasami zniszczenie jest dobre, Kato. Wiesz, że naprawdę mnie zaskakujesz. Jesteś świątobliwym księdzem, sam pozbyłeś się wszystkiego, ale wygląda na to, że w głębi duszy ciągle jeszcze zachowałeś stary irracjonalny szacunek dla własności.

– Może i tak... nawet jeśli tak, to nieważne, przecież własność może być różnego rodzaju. Po prostu wydaje mi się, że drzesz coś na kawałki dla samej przyjemności, i nawet jeśli przyznajesz, że później możesz tego żałować...

– Powiedziałem, że jeśli teraz go nie sprzedam, mógłbym się rozmyślić. To całkiem co innego. Nie chciałbym, Kato, zamienić się w człowieka, który potrafi się rozmyślić. Nie chciałbym, żeby ten majątek mnie związał, nie chcę się mu zaprzedać, nie chcę poświęcić mu swojego cennego życia.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbyś się poświęcić. Mógłbyś uczyć historii sztuki w Edynburgu. Mógłbyś nawet powrócić do Ameryki.

– Nie, jeśli będzie dalej istniał, na pewno mnie zwiąże. Nie chcę zostać kimś w rodzaju Sandy'ego, jakimś playboyem utrzymującym dziewczynę w wynajętym mieszkaniu i...

– Nie wyobrażam sobie, żeby Sandy utrzymywał jakieś dziewczyny!

– No nie, mówię tak ogólnie. Myślę o jakimś cholernym, bezużytecznym posiadaczu ziemskim z jachtem i samochodem wyścigowym, wiecznie trzęsącym się o swoje drzewka i roślinki...

– Ale dlaczego miałbyś zamienić się w kogoś takiego?

– Moja matka żyje w jakimś feudalnym świecie marzeń. Wszystko to fałsz i kłamstwo i ja mam zamiar je obnażyć.

– Myślę, że lepiej dać sobie spokój z obnażaniem kłamstw innych ludzi. Lepiej skoncentrować się na własnych. A z majątkiem możesz zrobić tysiąc różnych rzeczy. Dlaczego nie pójdziesz na kompromis? W posiadaniu majątku jest nawet coś niewinnego, mógłbyś nad nim pracować, ulepszyć go, rozwinać...

– Dziwię się, że ty możesz mnie namawiać, żebym zrobił sobie bożka z własności materialnej! Nie, nie znoszę całego tego kramu, nie znoszę go i nie mam zamiaru stać się jego częścią. Czy Jezus nie powiedział, sprzedajcie wszystko, co macie, i rozdajcie ubogim?

– Tak, ale zastanów się, jakie są twoje motywacje.

– Nie powiedział, żeby robić to pod wpływem najwznioślejszych motywów.

– Nie, ale uważał, że motywacje są ważne.

– Kiedy?

– Kiedy kobieta stłukła naczynie z bardzo cennym olejkiem.

– Po prostu odpowiadał w ten sposób sknerom. I nie powiedział jej, tak jak ty, poczekaj, przemyśl to, przecież to rzecz kosztowna.

– Więc przyznajesz się do niskich motywów?

– Nie zawracam sobie nimi głowy. Oczywiście są złożone.

– Chcesz się zemścić.

– Na kim?

– Na matce. Na ojcu. Sandym.

– Oczywiście jest w tym pewna satysfakcja, nie przeczę. – Podciągnął stopy pod siebie i patrzył na Katona jak kot, naelektryzowany i zachwycony sobą.

– Nie rób tego. To zbrodnia. Sposób, w jaki chcesz to zrobić, jest zbrodnią.

– Może. Ale moja wina nie przejdzie na pieniądze. Pieniądze są czyste.

– Masz obowiązki wobec matki.

– Czy ty nie miałeś obowiązków wobec ojca?

– Unieszczęśliwisz ją.

– Nie doceniasz mojej matki. Pozbiera się i zamieni kiedyś w plagę Dimmerstone.

– A ty zwichniesz swoje życie.

– Próbuję się ratować. Moja matka razem z tym majątkiem po prostu mogłaby mnie pochłonać.

– Chcesz zniszczyć przeszłość. Musisz poczekać.

– Nie mogę czekać, Kato, i nie będę. Chcę zrzucić ten ciężar. Boże święty, przecież ty wyrzekłeś się świata, dlaczego ja nie mogę?

– Nie musisz koniecznie być powołany do tego, do czego ja zostałem powołany.

– To brzmi jak pycha wewnętrzna.

– Jesteś pełen nienawiści. Czuję to teraz, jest jak elektryczność.

– Kato, nie wierzę w Boga, a ty wierzysz. Może na tym polega różnica. Ja nie uważam, że to, co dzieje się w mojej duszy, ma jakiś sens. Nie mam na to świadków. Oczywiście w mojej duszy pełno jest irracjonalnych rzeczy, śmieci, w jakich z upodobaniem grzebie się psychoanaliza. Nie dbam o moją duszę. Chodzi o to, żeby działać uczciwie i mieć konkretne plany, jak działać podobnie w przyszłości. Nie rozumiesz?

– Rozumiem, o co ci chodzi – powiedział Kato niechętnie – ale...

Na podeście za drzwiami coś skrzypnęło i Kato, nagle zarumieniony, wstał.

– Do diabła! Henryk podniósł się.

Kato otworzył drzwi i Piękny Joe z uśmiechem wśliznął się do pokoju.

– O, jak się masz – powitał go Henryk – to ty.

– Dzień dobry, to ja.

– Cóż, pora na mnie – oświadczył Henryk. – Pewnie zarekwirowali mi samochód, stoi na żółtym pasie. – Przez chwilę niezręcznie stali obok siebie. – Czy mógłbyś mi podać swój nowy adres? Spróbuj zrozumieć mój punkt widzenia, Kato.

– Spróbuj zrozumieć mój. Radzę ci, powstrzymaj się od przedwczesnych kroków. – Kato zapisał adres.

– Nie mogę się domyślić, dlaczego tak ci na tym zależy. No cóż. Do widzenia, Kato. Do widzenia... zapomniałem, jak ci na imię...

– Joe.

– Do widzenia, Joe. – Henryk ulotnił się.

Kato wydał niezrozumiały okrzyk i usiadł na łóżku. Joe przyciągnął krzesło i usiadł na nim okrakiem, kładąc podbródek na oparciu.

– Powiedz, czy ten bogaty facet naprawdę chce się pozbyć gotówki?

– Więc słuchałeś?

– Tak, troszeczkę. Nie chciałem tak od razu ładować się do środka. Rzeczywiście chce rozdać pieniądze?

– Nie – odparł Kato. – Na pewno się rozmyśli. Ludzie, którzy mają dużo pieniędzy, rzadko skłonni są je rozdawać. Powstrzymuje ich od tego jakaś niewidzialna ręka.

Kato był tak podniecony, że chciało mu się wykrzykiwać coś bez sensu. Był zły na siebie, ponieważ dał się Henrykowi wyprowadzić z równowagi i nie potrafił sięgnąć do właściwych argumentów ani nawet zrozumieć, dlaczego sam jest taki rozdrażniony. Wizyta Henryka wypadła nie w porę. Chciał spokojnie poczekać na przyście Pięknego Joe, pomyśleć o nim i powitać go łagodnie. Gdyby Henryk nie przerwał mu spokojnego oczekiwania i nie zakłócił go, zapewne przyszyłaby mu do głowy jakaś bardzo ważna, olśniewająca myśl na temat chłopca.

– Do licha! – wykrzyknął

– Co się stało, ojczy?

– Nic, jestem zmęczony.

– Prawda, że ten facet, ten dżentelmen, myśli o tobie Bóg wie co?

– Nie wiem. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

– Odchodzisz – powiedział Joe. – Spakowałeś walizkę. Kato spoglądał w rozszerzone, żółtawe oczy chłopca, których migotliwe spojrzenie zza okularów co chwila umykało w bok. Widocznie niedawno umył włosy i gładko uczesane odstawały trochę jak złota druciana peruka. Przechylił się na krześle i kołysał na jego dwu nogach, rzucając na poplamioną tapetę groteskowy cień.

Kato miał żywą wyobraźnię. Wyciągnie rękę, uchwyci krzesło z tyłu i delikatnie je pociągnie. Joe, pełen zrozumienia, przesunie krzesło, popychając je do przodu jak drewnianego konia. Kato obejmie ramionami

szyję chłopca i promienne złote włosy nagle rozsypią się na ciemnej sutannie. Joe westchnie i opuści głowę na pierś księdza, a krzesło bokiem osunie się na ziemię. Wtedy padną razem na łóżko w niezręcznym uścisku.

– O czym myślisz, ojcze?

– O tobie.

– O mnie, co?

– Nie daj się wplątać w żadną awanturę.

– Nie dam się. Obiecuję!

Wzrok Katona napotkał spojrzenie zmrużonych, połyskujących oczu, nieuczciwe, młode i roześmiane.

– Kiedy się wyprowadzasz, ojcze?

– Jutro.

– Dokąd? Kato milczał.

– Dasz mi swój adres? Kato odpowiedział po chwili:

– Nie.

– Ale jemu dałeś. Przecież chyba nie opuścisz mnie, ojcze, nie chcesz chyba mnie opuścić?

– Nie.

– Więc dlaczego? Boisz się, że pojawię się tam z całą bandą?

– Jaką bandą?

– Żartuję sobie. Ale dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

– Napiszę do ciebie na adres matki.

– Nie chcę chodzić do niej po twoje listy, ojcze. Obejdę się bez nich.

– No to się obejdiesz.

Nastąpiła pełna napięcia cisza, Joe kołysał się na krześle, Kato siedział spokojnie na łóżku. Nogi mu drżały, miał nadzieję, że niedostrzegalnie.

– Wiesz, ojcze, jak bardzo mi na tobie zależy. Jesteś chyba jedyną osobą, na której mi zależy. Ale teraz stałeś się dla mnie taki wrogi, jakoś tak, jakbyś drażnił się ze mną i odrzucał mnie. Przez ciebie jestem niespokojny i rozgoryczony. Dlaczego nie chcesz być ze mną szczerzy i

uczciwy, a może myślisz, że naprawdę jestem złym człowiekiem? Nie chcę, żebyś odchodził. Powinieneś zostać tutaj z nami, nie odchodzić do nich. Wrócisz tutaj, prawda, że wrócisz? Obiecujesz mi? Czy możesz mi obiecać, że nigdy mnie nie opuścisz?

– Niczego nie mogę ci obiecać, Joe. Wiesz, jak bardzo się do ciebie przywiązałem. O Boże...

Joe nagle postawił krzesło z powrotem na podłodze.

– Ojczy, to nie jest pożegnanie, prawda?

– Nie, nie.

– Zawsze możesz napisać do mnie na adres sklepu na rogu.

Zapadła cisza. Kato odczuwał tak silne pragnienie, żeby dotknąć chłopca, że podniósł prawą rękę i przyglądał się jej ze zdumieniem. Gdyby teraz pochwycił Pięknego Joe w ramiona, czy byłaby to droga zbawienia, czy po prostu utrata wszelkiej nadziei na łaskę?

– Więc nie zabierasz ze sobą Jego? – Joe, nagle uśmiechnięty, spoglądał w górę ponad głową Katona na metalowy krucyfiks nad łóżkiem.

Kato uprzytomnił sobie, że jeszcze o tym nie pomyślał.

– Tak.

– Zdejmę go.

Joe momentalnie wskoczył na łóżko. Kato podniósł się szybko i stanął z boku. Chłopiec wręczył mu krucyfiks. Przez chwilę trzymali go obaj za dwa końce.

– Nie można Go zapomnieć, prawda, ojczy?

– Nigdy nie można o Nim zapominać – powiedział Kato. – Trzymaj się swojej wiary, Joe. Urodziłeś się w tej wierze. Jest taka cenna. Trzymaj się Chrystusa. Nieważne, co to znaczy. Po prostu trzymaj się. A teraz, proszę, idź. Napiszę do ciebie, obiecuję ci. Niech cię Bóg ma w swojej opiece, drogi Joe.

Chłopiec lekko zeskoczył na podłogę i teraz stał przez chwilę, patrząc na Katona oczami, które nagle stały się niewinne, bezbronne, dziecinne, bliskie łez. Potem delikatnie dotknął rękawa czarnej sutanny i wyszedł bez słowa z pokoju.

Kato położył krucyfiks na poduszce i usiadł na łóżku obok niego. Ukrył twarz w dłoniach. W miarę jak burza emocji stopniowo w nim przycichała, ogarnęło go głębokie i odświeżające uczucie szczęścia.

Gerda stała w sali balowej. Było dość ciemno i pełno ludzi. Miała na sobie długą białą suknię, biały koronkowy szal i białe wieczorowe rękawiczki, była podniecona i pełna nadziei. Za oknami rozciągał się ogród pograżony w trupiozielonym półmroku. Sandy w wieczorowym stroju przepychał się ku niej wśród tłumu i czuła żywą radość. Więc nie umarł – pomyślała – śniło mi się tylko, że umarł. W końcu to tylko mara senna. Podszedł do niej i, nic nie mówiąc, lekko ujął w dłonie jej obie ręce, goście rozstapili się, a oni zaczęli tańczyć. Nie słychać było muzyki, tylko jakiś pulsujący dźwięk. Gerda rozumiała, że jest to taniec szkocki i że musi obserwować stopy Sandy’ego i dokładnie naśladować jego ruchy. Ktoś rzucił na nas czar, myślała, i jeśli popełnię najmniejszy błąd, stanie się coś strasznego. Coraz trudniej było tańczyć, bo pod stopami przybywało wilgoci, i wreszcie stąpali po mokrych kamieniach. Sandy puścił jej ręce i zszedł w dół po schodach do czekającej na niego motorówki. Gerda widziała, jak stopnie ciągną się jeszcze daleko pod wodą. Sandy wszedł lekko do łodzi, która pod jego ciężarem zagłębiła się. Gerda próbowała iść za nim, ale poczuła na piersi żelazną barierę. Sandy ostrzegawczo podniósł rękę. Musiałam zmylić krok – pomyślała Gerda z rozpaczą. Włączył motor, który zaczął pulsować jakimś głębokim, niemym rytmem. Łódź odplynęła, ale ona dalej widziała jarzący się w ciemnościach biały gors koszuli Sandy’ego. Uczepiona żelaznej bariery, zaczęła krzyczeć. Obudziła się z krzykiem na ustach, niepewna, czy to ona go wydała. Poczucie obecności Sandy’ego było tak silne, że przez chwilę, poddając mu się, leżała nieruchomo. Potem usiadła. Po zasłonach poznała, że już świta. Sztywna i ciężka, odsunęła pościel i opuściła stopy na podłogę, ciągle jeszcze pozostając w kleszczach snu. Nie chciała zapalać lampy, na chwiejnych nogach podeszła do okna i odciągnęła zasłonę, żeby spojrzeć na zegarek. Była za piętnaście szósta. Wyjrzała przez okno na ogród, obejmując spojrzeniem trawiaste zbocze aż po wysokie drzewa, nad którymi ciągle jeszcze jaśniał półksiężyc. Ogród był nie zmieniony, ale bezbarwny i niezwykle spokojny; mgła, okrywająca tajemnice jego nocnego życia, jeszcze się nie rozplynęła, ustępując ożywczej prostocie dnia. Gerda, w powiewnej koszuli nocnej, drżała od zimna. Nagle z zapartym tchem dostrzegła z prawej strony ciemną, nieruchomą postać stojącą na trawniku i wpatrującą się w drzewa na wzgórzu. Postać ta wyglądała jak ciemna smuga, ale z jej kształtu i postawy Gerda nieomylnie poznała Henryka. Obawiając się, że ją zobaczy, cofnęła się w głąb pokoju i usiadła na łóżku. W sercu jej nabrzmiwała rozpacz i lęk. Ciągle jeszcze czuła lekki dotyk palców Sandy’ego prowadzących ją w skomplikowanym tańcu. Zadrzała z

obawy, obawy o siebie, o zdrowie własnych zmysłów, o ciągłość swojego bytu. Myślała o okrutnym opuszczeniu, które niesie starość i śmierć, a którego nie będzie mogła dzielić z nikim. Oczy jej i gardło napękały się łzami i jęcząc padła na łóżko.

Lucjusz też nie spał. Była to jedna z jego gorszych nocy. Postanowił pójść do doktora, choć wiedział, że doktor nic tu nie poradzi i tylko będzie chciał uprzejmie się go pozbyć. Dolne zęby podjeżdżały do góry i czuł się tak, jakby w każdej chwili miał je połknąć. Wyjął je i, na próżno szukając stolika nocnego, upuścił na podłogę. Siedział niewygodnie wśród przewracanych poduszek, czekając, aż zrobi się jaśniej. Potem wstał, podszedł do okna i obserwował, jak pierwsze chłodne promienie słońca liżą czerwone czubki drzew. Nie mógł usiedzieć na miejscu, kręcił się i spacerował po pokoju, oswajając na nowo z rozlicznymi bólami. Kopnął zęby, wpychając je głębiej pod łóżko. Założył okulary i wpatrywał się w stół, przy którym poprzedniego dnia siedział do późna w nocy, układając wiersze.

Powiedz jej żeś był młody i jasny jak gwiazda

A dziś jam niewidzialny...

Tyle tylko, że ja nie jestem niewidzialny – pomyślał Lucjusz. I ciągle potrafię zrobić z siebie kompletnego durnia. Dlaczego, u licha, nie powiedział Gerdzie prawdy o Johnie Forbesie? Tylko po to, żeby uniknąć chwilowej przykrości, zaczął działać wyraźnie przeciwko sobie. Im dłużej Gerda bawić się będzie myśla o Colette, tym uparciej będzie do niej przywiązana. Dlaczego nie ostrzegł jej przed tym otwarciem i stanowczo? Czy chciał, żeby Henryk ożenił się z Colette i żeby żyli długo i szczęśliwie w Laxlinden? Nie, oczywiście nie. Chciał, żeby Henryk wrócił do Ameryki, zostawiając jego i Gerdę w spokoju. Z niechęcią myślał o tym, jak zupełnie nie potrafi bronić własnych interesów. Wstydził się swoich mętnych myśli, niskiej zazdrości o młodość Henryka, swojego głupiego, obolałego ciała, które nie zasługuje na litość, rozkładającej się inteligencji, swego wieku i nietrwałości własnego życia. Z przykrością i niesmakiem wspominał rozmowę z Johnem Forbesem, wzdrygając się na myśl o tym, jak John spogląda na jego osobę. Moje życie jest pozbawione wartości – pomyślał – żyję w świecie nieprawdziwym i nierealnym. Gdyby tylko nastąpiła jakaś radykalna zmiana, odrodzenie, ucieczka. Gdybym tylko mógł uciec i powrócić do ludzi, tam, gdzie toczy się zdrowe, zwyczajne życie. Przyjąłem

podłą rolę i nie potrafię przestać jej grać. Ach, gdybym tylko mógł się z tego wyrwać! Ale nawet snując te znajome myśli, wiedział: nieprawda jest moją prawdą, to, co nierzeczywiste, jest moją rzeczywistością, jestem już zbyt stary i nie mam innego wyjścia.

– Nie wpadłeś na jakiś ślad pierścionka w pokoju Sandy’ego? – zapytała Gerda.

– Pierścionka? Nie. – Henryk pojawił się na moment w czasie śniadania i właśnie pożerał ogromną grzanekę.

– Wiesz, o który pierścionek mi chodzi. Różę Marshalsonów.

– Ten, który lubiłaś nosić, z rubinami i diamentami?

– Tak, to zaręczynowy pierścionek Marshalsonów.

– Dlaczego go nie wkładasz?

– Dałam go Sady’emu. Miałam nadzieję...

– Nie widziałem go.

– Mam nadzieję, że gdzieś tam jest. W niebieskim aksamitnym pudełeczku.

– Niebieskie aksamitne pudełeczko? Chwileczkę. – Henryk ulotnił się i po chwili wrócił z pudełeczkiem w ręku. – Czy o to ci chodzi?

– Tak.

– Jest puste. Myślałem, że to na spinki od mankietów.

– Mam nadzieję, że go znajdziesz. Musi tam gdzieś być.

– Do czego ci potrzebny? O ile mi wiadomo, nikt nie ma zamiaru się zaręczać...

– Cóż, to cenny pierścień. Rhodo, kochanie, czy możesz pójść do drzwi, ktoś tam jest. Zdaje się, że to Bellamy. Kosiarka znowu wpadła w bagno

– Nie, to architekt Gosling.

– Słuchaj, do remontu domków w Dimmerstone niepotrzebny ci architekt. Wystarczy majster Regan.

Henryk znikł.

– Jakoś cicho siedzisz – powiedziała Gerda do Lucjusza.

– Jestem cały obolały.

– Niepokoję się o ten pierścionek.

– Henryk nigdy nie ożeni się z Colette Forbes.

– Dlaczego ostatnio wszyscy jesteście dla mnie tacy niegrzeczni? Najpierw Henryk, teraz ty. Mógłbyś choćby spróbować być miły.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo wszystko mnie boli.

– Colette...

– O, pani Marshalson...

Gerda podwiozła Lucjusza do doktora. Teraz, robiąc zakupy w wiosce, spotkała Colette.

Colette była w dżinsach. Wschodni wiatr zarumienił jej błyszczące policzki, rozwiewając krótkie loczki wokół twarzy. Ogon włosów, brązowych jak na starej polichromii, wepchnęła pod pstry niebieski sweter. Gerda tkwiła w futrach.

– Zimno, prawda?

– Tak, wiosenne dni są mroźne.

– Kwiecień jest gorszy od lutego.

– Colette, czemu nie zajdziesz czasem odwiedzić nas we dworze? Henryk bardzo by się ucieszył.

– Cóż, ja...

– Wpadnij, bardzo cię proszę. Na herbatę albo na lampkę wina. Może jutro?

– Dziękuję, z przyjemnością, ale muszę jechać do Londynu. Czy będę mogła zadzwonić...?

– Tak, bardzo cię proszę. A w ogóle to pamiętaj, że możesz zapraszać się sama. Sprawisz wszystkim wielką przyjemność. Uroczo wyglądasz, kochanie. Masz piękny sweter.

– Norweski. A pani ma wspaniałą płaszcz. Czy to norki?

– Nic podobnego. W twoim wieku, cokolwiek się włoży, można pięknie wyglądać.

– Ale, proszę pani, przecież to pani wygląda ślicznie... nie wiem, czy ktoś to pani mówił... ale pani jest, cóż... nawet teraz... musiała to pani słyszeć w latach młodości.

– Cóż, to było dawno temu. Muszę już pędzić. Proszę, zajdź do Henryka, będzie zachwycony.

Kiedy Gerda dotarła do auta, Lucjusz już w nim siedział.

– Co powiedział doktor?

– Nic.

– Co ci dał?

– Nic.

Gerda przez chwilę prowadziła w milczeniu.

– O, mamy Henryka. – Zatrzymała samochód. – Może podrzucić cię do domu?

– Nie, dziękuję.

– Z kim rozmawiałeś, czy nie z Merrimanem? Tak szybko się ulotnił. Ostatnio stał się nieuchwytny. Jeśli pójdziesz piechotą, spotkasz Colette Forbes. Pytała o ciebie.

Gerda wyprowadziła samochód i pojechała w kierunku drogi do Dimmerstone. Lucjusz, spoglądając przez ramię, dostrzegł, że Henryk nie zawrócił w stronę wioski, tylko poszedł dalej ścieżką i rozpostarłszy ręce zaczął wykonywać jakieś kroki taneczne. Gerda, która patrzyła we wsteczne lustro, nie widziała nic, bo oczy jej napęłniły się łzami. Kiedy była młoda, dziesiątki, setki ludzi chwaliły jej urodę.

– O, jak się cieszę. Myślałam, że może pan nie przyjdzie.

– Ależ to oczywiste, że przychodzę. Mówiłem, że przyjdę.

– Kamień spadł mi z serca.

Henryk zadzwonił do Stefanii Whitehouse, zapraszając się na lunch.

W ciągu ostatnich dwu dni, od czasu rozmowy z Katonem, był niebezpiecznie podniecony. Czuł, że walczy z demonami, i sama ta walka, bez względu na wynik, dawała mu pewną satysfakcję. Reakcja Katona zachwiała jego równowagą tak dalece, że nie zmieniając planów, odczekał, aż wrażenie zblednie i ostra reakcja przyjaciela przestanie rzutować na to, co zamierzał zrobić. Czuł instynktownie, że po stosunkowo krótkim okre-

sie wahania nabierze większej pewności. I ten instynkt, ten lekki odruch obronny, sprawił, że było mu łatwiej robić to, co chciał robić w najbliższej przyszłości, myśleć o Stefanii Whitehouse. W istocie te dwie rzeczy były ze sobą związane. Dopóki w jakimś sensie nie „uporządkuje” sprawy Stefanii, nie będzie mógł, nie będzie godzien powziąć żadnych drastycznych kroków wobec matki.

Od czasu pierwszego spotkania z kochanką Sandy’ego Henryk obserwował samego siebie z zaciekawieniem, a nawet z pewną radością. Było to tak, jakby przez krótką chwilę dał się „objąć w posiadanie” swemu bratu. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że wolno mu „utrzymywać” Stefanię w ten sam sposób i dokładnie na tych samych warunkach. Leżąc na łóżku wkrótce po ich niezwykłym pierwszym spotkaniu, z przyjemnością napawał się myślą, że dziewczyna jest jego więźniem. Nie ucieknie. Będzie potulnie czekała. Jednak w miarę jak te wizje z niezwykłą szybkością mnożyły się i rozwijały, próbował również im się oprzeć. Jak można tak grubiańsko klasyfikować drugą istotę ludzką? Ta dziewczyna kochała Sandy’ego. Dlaczego miałoby jej zależeć na Henryku? Czy ma prawo zakładać, że powita w nim z radością nowego kochanka tylko dlatego, że kiedyś była prostytutką? Byli dwojgiem obcych ludzi, którzy właśnie się spotkali. Dlaczego mit przeszłości miałby decydować o ich działaniu? Stefania była tajemnicą, sekretem, czymś, co trzeba uważnie zbadać. Jeśli nawet wpuści go do swego łóżka jako od niego zależna, poddana mu osoba, to czy on naprawdę tego pragnie? Myśl o niej niewątpliwie go podniecała. Ale czy nie było to trochę niesamowite, niedobre podniecenie, czy nie miało czegoś wspólnego z Sandym? Czy Henryk potrzebował poddanej, zwłaszcza teraz, kiedy ma zamiar wykreślić feudalizm ze swego życia? Cóż za zdumiewający problem. Czuł, jak na myśl o tym uśmiecha się.

Oczywiście Henryk wiedział, że będzie musiał jeszcze się z nią zobaczyć i że cały jego świat oczekuje tego spotkania. Zdawał sobie również sprawę, że nie będzie to zwyczajne spotkanie w interesach, ale część głębokiego dramatu, samej metafizyki, jego życia. Jedno z możliwych rozwiązań, polegające na tym, żeby po prostu „spłacić ją” i powiedzieć „do widzenia”, było moralnie i psychologicznie niedopuszczalne. Ponosi odpowiedzialność za Stefanię Whitehouse i musi stanąć na wysokości tego zadania. Musi zwrócić się do niej uczciwie i po prostu, uznając jej prawo do odrębności, niezależności i własnych tajemnic. Musi odrzucić całą wytartą oczywistość sytuacji, banalny i ordynarny uśmiezek, który z taką łatwością mógł zniekształcić jego stosunek do tej sprawy. Musi oczyścić swoje podniecenie. Musi zdobyć się na pokorę.

Tak to odczuwał i z tego właśnie powodu odłożył wizytę; z tego samego powodu, choć nie miał zamiaru wspominać o Stefanii, poszedł do Katona, kojarząc z myślą o niej plan własnego zbawienia. Teraz, skoro plan ten został na chwilę odsunięty, czuł potrzebę sprawdzenia się. Tak, to był sprawdzian, próba. I gdyby mógł „uporządkować” sprawę Stefanii, czułby się znacznie pewniejszy w sprawie własnej matki. Tak więc zmagał się sam z sobą w ciemnościach. Ale kiedy wreszcie podniósł słuchawkę telefonu i niedługo potem wybrał się na Knightsbridge, wsiadł do windy i pomaszerował po żółtym dywanie ku jej drzwiom, przepełniły go najdziksze uczucia, przesłaniając wszystkie ostrożne myśli i plany.

Stefania Whitehouse wyglądała inaczej, młodziej i ładniej. Może po prostu bardziej zadbała o swój wygląd. Pewnie była u fryzjera, bo włosy, śliskie i falujące, układały się teraz zgodnie z kształtem głowy. W drobnej, energicznej postaci, okrągłej głowie z szerokim przekrzywionym nosem, twarzy i oczach było coś z kucyka. Henryka zaskoczył w niej jakiś nowy wyraz. Twarz jej była przesadnie, lecz starannie umalowana, nadał się usta powleczone czerwienią. Na powiekach położyła liliowe cienie, a linię oka dyskretnie zaznaczyła ołówkiem. W mieszkaniu rozchodził się przyjemny, ciepły zapach.

Henryk nie podał jej ręki i niezręcznie przeszedł do saloniku, jak gdyby torując sobie drogę.

Stali w pokoju koło czerwonej skórzanej sofy, przyglądając się sobie nawzajem. Potem Henryk wyciągnął rękę i ona, zamiast normalnie się przywitać, ujęła ją, wraz z przegubem, w swoje dłonie. Było w tym coś z chamskiego, kurczowego uścisku. Palce Henryka zaczepiły o jej mankiet. Potem, głęboko oddychając, odstepili od siebie. Henryk powiedział:

– Jaki uroczy, ciepły, słoneczny dzień.

– Tak, nareszcie mamy prawdziwą wiosnę. Patrzyli na siebie z lekka błędnymi oczyma.

– Nie ma mi pani za złe, że się tak po prostu nagle zaprosiłem?

– Nie, nie. Ale nie miałam czasu nic ugotować ani...

– Ależ to urocze, jak piknik...

– Tak, piknik...

Tego dnia była lepiej ubrana, miała na sobie czarną lnianą szmizjerkę i kwiecistą niebieską bluzkę z falbankami pieniącymi się u szyi. Henryk spuścił wzrok, widząc, jak len unosi się na jej obfitym biuście.

Spojrzał w dół na błyszczące czarne pantofle na wysokich obcasach. Przypominały małe eleganckie kopytka młodego osiołka.

- Proszę zdjąć płaszcz. A może się pan czegoś napije?
- Dziękuję. Sherry. Widzę, że ma pani zapas.
- Kupiłam. Dał mi pan tyle pieniędzy...
- Proszę, nie mówmy o pieniądzach, panno Whitehouse.

Upuścił płaszcz na podłogę. Podniosła go i zabrała do przedpokoju. Potem nalala i podała mu kieliszek sherry. Poruszała się łagodnie i, jak mu się zdawało, pokornie, z niewymownym wdziękiem. Tak niewątpliwie poruszałyby się gejsza.

- Jestem taka wdzięczna, proszę pana...
- Wolałbym, żeby mówiła pani do mnie „Henryku”.
- Ach, dziękuję... ale wobec tego proszę... czy może pan mówić do mnie „Stefanio”?
- Stefano. Dziękuję. Ale czemu nie pijesz... a może... przepraszam, wygląda na to, jakbym częstował cię twoim własnym alkoholem.
- To przecież pana alkohol.
- Nie, nie. No więc, co z tobą? To znaczy, czy od czasu mojej wizyty wszystko było w porządku?
- O tak, tak. Po prostu czekałam na pana.
- Przepraszam, ale nie mogłem przyjść wcześniej. Byłem bardzo zajęty we dworze. Przypuszczam, że nigdy... nie jeździłaś tam z Sandym... nie, cóż, oczywiście.
- Nie jeździłam...? Gdzie?
- Do dworu, do Laxlinden.
- Nie.
- To piękna miejscowość. Cóż, możesz zobaczyć na obrazku.
- Obrazku?
- Tak, tutaj, na tej akwareli. Więc Sandy nigdy nie mówił ci, że to jego dom?
- W ogóle prawie nie wspominał... może wiedział, że nie chcę słuchać opowiadań o jego drugim życiu... oczywiście nie mogłam tam bywać.

Henryk spojrział na obrazek. Francis Towne, prawdopodobnie siedząc na wzgórzu z obeliskiem, namalował kwietniowy wieczór, południową fasadę lśniąca w złotawym blasku słońca, pierwsze liście na dużych drzewach, których ogromne, okrągłe cienie kładły się na zielonym zboczu, i lekkie promieniste chmurki rozsypane po błękitnym niebie. Odwrócił się ku Stefanii. Miała łzy w oczach.

– Był skryty. Byłam tylko małą częścią jego życia. Nic mi nie opowiadał.

– Ach, bardzo przepraszam...

Znowu wyciągnął rękę i tym razem uścisnęła ją jak przy powitaniu. Patrzyli na siebie. Oczy jej napełniły się łzami, których nie próbowała ocierać. Jedna stoczyła się jej na piersi.

– Zaraz pójde i... zobaczę, czy lunch gotowy. Jest w kuchni. Proszę wybaczyć.

Z nagłym zażenowaniem cofnęła rękę, szybko otarła łzy i popędziła do kuchni. Henryk, pozostawiony sam w pokoju, okrążył absurdalną sofę i podszedł do okna, z twarzą wykrzywioną mieszanymi uczuciami podniecenia, czułości, litości, ochoty do śmiechu i do płaczu. Potem poszedł za nią do kuchni. Usiedli do lunchu.

„Piknik” Stefanii był prosty, ale obfity. Szynka, salami, pasztet z mięsa, oliwki, pomidory, sałatka z ziemniaków, sałatka jarzynowa, jogurt z wkrajaniem ogórkiem, ser, seler, szarlotka. Poza tym zamrożona butelka niezłego białego wina. Najwyraźniej Sandy czegoś ją nauczył.

Okazało się, że Henryk, zazwyczaj głodny, nie był w stanie nic przełknąć. To po prostu przechodziło jego siły. Zaczął dziobać widelcem szynkę i ogórek. Stefania, jak zauważył, również tylko udawała, że je. Próbowwała ukryć napływające łzy. Napił się trochę wina i natychmiast poczuł, że jest pijany.

– Czy rodzice twoi jeszcze żyją?

– Nie.

– A bracia, siostry?

– Nie, nie mam nikogo.

– Więc uciekłaś z domu?

– Tak, kiedy miałam czternaście lat.

– Co robił twój ojciec?

– Był robotnikiem. Nigdy się z nim nie zgadzałam. Bił matkę. Proszę, nie mówmy o tym.

– Rozumiem, bardzo przepraszam.

– Czy mógłby mi pan opowiedzieć... Sandy nigdy mi nie mówił... nie wiem nawet...

– O sobie, o nas? Mój ojciec umarł dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem. Matka mieszka we dworze i ciągle trzyma się doskonale. Było nas tylko dwóch, Sandy, no i ja.

– Pana matka musi być bardzo nieszczęśliwa. Sandy czasami o niej wspominał. Bardzo chciałabym ją poznać, ale naturalnie to niemożliwe.

– To jest możliwe – powiedział Henryk. Odłożył widelec. – Nie widzę najmniejszego powodu, żebyś nie miała poznać mojej matki. – Spojrzał w okrągłe, wilgotne granatowe oczy, a potem znowu odwrócił wzrok, czując, jak lekko kręci mu się w głowie.

– Ach, nie...

– Słuchaj, Stefano – powiedział Henryk. – Nawiasem mówiąc, chciałbym usłyszeć, jak mówisz do mnie „Henryku”.

– Czuję, że ja... niech będzie, Henryku.

– Dobrze. Teraz słuchaj. Co minęło, minęło. To znaczy, nie uważam cię za... nie mam zamiaru wstępować w ślady Sandy’ego.

– Oczywiście nie... – Oczy jej znowu napełniły się łzami i zaczęła wycierać twarz papierową serwetką, rozmazując szminkę.

– To znaczy, chciałbym, żebyśmy byli przyjaciółmi. Chciałbym poznać cię taką, jaka jesteś. Nigdy... nigdy nie opuszczę cię, Stefano, och, nie płacz, kochanie.

Henryk wstał i obszedł stół dookoła. Stefania podniosła się i w następnej chwili, najnaturalniej w świecie, pochwycił ją w ramiona. Dłonie dziewczyny złapały go za rękaw. Gorąca, mokra, pomazana szminką twarz utonęła w jego marynarce i poczuł, jak jej uwięzione serce wali dziko tuż przy jego własnym.

Bardzo delikatnie zaprowadził ją do sypialni.

– Pisał do mnie Gerald Dealman – powiedział Brendan.

– A gdzie on się teraz obraca?

- Prowadzi grupę spotkań w Glasgow.
- Ciekaw jestem, jak długo to potrwa. Masz wiadomości o Reggiem?
- Mówi, że został buddystą, ale przypuszczamy, że to żart.
- Słyszałem, że ojciec Milsom ciągle jeszcze choruje.
- Tak, biedny staruszek.
- Czy pamiętasz Sandy'ego Marshalsona? Kiedyś ściągnąłem go na obiad.
- Tego wielkiego rudego pijaka, co to roztrzaskał się w swoim ferrari? Mam nadzieję, że nie tamtego wieczoru?
- Nie. Wtedy wszyscy byliśmy mocno zalani.
- Ciekaw jestem, czy był pijany, kiedy się zabił. Wyglądał na straceńca.
- Biedny Sandy. No więc, jego brat wrócił, chyba nie miałeś okazji go poznać, Henryk Marshalson, był w Ameryce.
- Pamiętam, jak o nim mówiłeś. Przyjaciel z lat dzieciennych. Pewnie odziedziczył tę dużą posiadłość.
- Tak, ale zamierza ją sprzedać i rozdać pieniądze.
- No, to nieźle. Ale komu?
- Chce ofiarować je nam.
- Nam? Ach, nam. Łap je prędko, zanim się rozmyśli.
- To się nie spodoba jego matce.
- No cóż, dla starszej pani byłaby to wielka zmiana.

Kato denerwował się, bo czuł, że Brendan, który właściwie sam wezwał go na „poważną rozmowę”, nie powinien zabawiać się trywialnymi plotkami, które ciągnęły się przez całą kolację. Znudzony Kato podtrzymywał jednak pogawędkę, zdecydowany, że nie poruszy pierwszy poważnych tematów. Oczywiście Brendan, który cały dzień uczył, był zmęczony. A może myślał, że Kato jest zmęczony i będzie chciał pójść do łóżka, a nie rozmawiać do późna w nocy o poważnych sprawach. Ale Kato nie chciał iść spać, chciał nareszcie porozmawiać z Brendanem, tyle że Brendan ani na chwilę nie przerywał zdawkowej gadaniny.

Kato zjadł lunch w barze i przyszedł do mieszkania Brendana po południu, otwierając drzwi kluczem, który zawsze leżał pod słomianką.

Korzystając z samotności, zażył luksusu gorącej kąpieli, a potem położył się w wąskim, kiszkwatym pokoju, który stanowił gościnną sypialnię Brendana. Zasnął natychmiast i obudził się dopiero, kiedy Brendan przyszedł do domu. Popili troszkę wina i zjedli trochę znakomitej pieczeni, którą Brendan, całkiem dobry kucharz, odgrzał z poprzedniego dnia. Popijając whisky, Kato spacerował niespokojnie po pokoju. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy książkach i znowu zaczynał krążyć. Brendan, który nie pił, zdjął pantofle i leżał płasko na sofie, ze stopami na jednej z poręczy. Chwilami przymykał oczy. Do licha – pomyślał Kato – pewnie chce iść spać.

Małe mieszkanko Brendana znajdowało się w Bloomsbury; na zewnątrz bezustannie krążyły samochody, ale podwójnie oszklone okna tłumili hałas, zamieniając go w jednostajny szum, który po pewnym czasie zupełnie nie zwracał uwagi. Panowała tam atmosfera izolacji i spokoju, zwłaszcza teraz, gdy paliły się lampy i ciężkie zasłony były zaciągnięte. Brendan pochodził ze starej rodziny katolickiej i należał do gatunku „katolików ze szkół prywatnych”, do których ojciec Katona odnosił się tak podejrzliwie. Przyjechał prosto z Downside do seminarium i kiedy rozpoczął studia w Oksfordzie, był już księdzem. Żył skromnie, ale w jego wąskim pokoju panował nastrój jakiejś ufności i swobody. Lampy w abażurach z jedwabnymi frędzlami rzucały stłumione złociste światło, a na długim dywanie pośrodku pokoju, położonym na inne dywany, widniał rodzaj haftu w złote i brązowe róże, które goście mimo woli omijali. Na tle czarnej aksamitnej zasłony wisiał hiszpański krucyfiks z kości słoniowej, sama postać Chrystusa, bardzo blada i pochłapana krwią.

- Co porabia Henryk Marshalson prócz tego, że sprzedaje ojcowiznę?
- Pisze książkę o malarzu nazwiskiem Maks Beckmann.
- Ach, tak. Dość frenetyczny niemiecki symbolista.
- Nigdy o nim nie słyszałem.

Kato spoglądał na odpoczywającego przyjaciela – czy rzeczywiście zapadał w drzemkę, czy też obserwował go spoza długich rzęs? Brendan miał w sobie coś z przystojnego eleganta; chodził w doskonale skrojonym czarnym garniturze z koloratką, a wieczorami w czarnej aksamitnej marynarce. Był wysoki, miał czarne, lśniące, proste włosy i jasne niebieskie oczy. Na początku Kato nie mógł się do niego przekonać i nie dostrzegał w nim nic poza kokieterią. Jak często bywa, dopiero inteligencja Brendana otworzyła mu oczy na jego cnoty.

Jeśli będzie paplał, dopóki nie skończę whisky, pójdę do łóżka – pomyślał Kato. Udzieliło mu się również wrażenie, jak gdyby emanujące z książek Brendana, złocistych lamp, krucyfiksu, że przyjaciel, bez względu na to, czy mu się to podoba, czy nie, jest dla niego przedstawicielem władzy. Kato był pewien, że Brendan nie mówił nikomu innemu w zakonie o jego wątpliwościach. Ale pomówiwszy z Katonem, Brendan będzie musiał zdecydować, czy ma przekazać tę wiadomość dalej, czy nie, i wtedy zrobi to, co uzna za słuszne, a nie to, czego chce Kato. Ostatecznie może lepiej poczekać do jutra.

– Więc zastanawiasz się, czy nas nie opuścić – powiedział Brendan, z pozornie przymkniętymi oczyma.

Kato poczuł ulgę. Zmieniła się atmosfera, zmieniło się tempo.

– Czy mogę jeszcze napić się whisky?

– Proszę bardzo.

– A ty?

– Nie, dziękuję.

Kato przez chwilę przechadzał się w milczeniu po pokoju. Nie miał powodu się spieszyć.

– Nie wiem.

– Więc nie myślisz o tym, żeby nas opuścić?

– Czuję się, jakby... może będę musiał...

– Dlaczego?

– Straciłem wiarę. Jest w tym coś z kryzysu. Oczywiście nie chcę odejść. Ale po prostu przestałem wierzyć.

– W co przestałeś wierzyć?

– Nie wierzę w Boga Ojca ani w Boga Syna.

– A co z trzecim?

– Bez nich albo po prostu nie istnieje, albo nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem.

Brendan zaśmiał się. Otworzył oczy, ale nie zmienił swobodnej pozycji, z rękoma splecionymi na karku.

– No więc trzymajmy się ich. W jakąż to absolutnie zasadniczą centralną sprawę kiedyś wierzyłeś, a teraz, jak sądzisz, przestałeś wierzyć? Co zniknęło?

Kato zastanowił się. Co zniknęło?

– Osoba. Osoba zniknęła. Nie ma tam nikogo.

– Chrystus?

– Święty człowiek. Cudowny symbol religijny. Ale nie Bóg. Nie Odkupiciel. Nie główna postać historii. Nie ma głównej postaci, nie ma odkupienia.

– Więc nie chodzi ci po prostu o wstręt do Matki Kościoła?

– Nie.

– Kiedy ostatni raz odprawiłeś mszę?

– Nie mogę.

– Poczekaj, na razie zostawmy to. Ciekaw jestem, skąd wiesz, w co wierzysz, a w co nie wierzysz. Przecież kryzys twojej wiary był nieunikniony.

– Wiem. Widziałeś, jak nadchodzi!

– Widziałem. Wszyscyśmy widzieli.

– Cholerny konwertyta.

– Cholerny konwertyta. Tego rodzaju dziecinne niepokoje...

– Oczywiście myślisz, że moja wiara zrodziła się w sposób dramatyczny i nigdy nie wyszła poza ten etap.

– Doskonale sformułowanie. Tak, to jest coś, z czego trzeba wyjść. Żyłeś tym dramatem. A teraz po prostu się wyczerpał. To miłość.

– Miłość?

– Do Niego.

– Ach, do Niego, tak, przypuszczam, że tak było. Nagle wkroczył w moje życie. Wszystko się rozstało, wszystko się rozpadło. O Boże, jestem tak strasznie nieszczęśliwy. – Kato nie miał zamiaru tego mówić, ale nagły obrót rozmowy zmieszał go. Zobaczył twarz Chrystusa taką, jaką zwykle sobie wyobrażał. A potem twarz Pięknego Joe.

– A co z tym chłopcem? – zapytał Brendan.

- Czytasz w moich myślach.
- Po prostu próbuję zrozumieć kontekst.
- Nie ma żadnego kontekstu.
- Ale musi być jakiś kontekst. Twoje wątpliwości i dociekania żyją w czasie. To nie są byty metafizyczne zawieszane w pustce.
- Chyba nie myślisz, że wszystko to z powodu...
- Nic nie myślę. Po prostu badam teren.
- Jeśli myślisz, że moje motywy...
- Och, niech licha porwie twoje motywy, każda teoria o motywach to oszustwo, tak czy owak.
- Myślałem, że nie interesujesz się tym chłopcem.
- Interesowałem się i dalej się interesuję.
- Cóż mógłbym ci powiedzieć? Kocham tego dzieciaka, szaleję za nim, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.
- Czy on o tym wie?
- Nie jestem pewien – powiedział Kato. – Nie, chyba nie. A czy wiedział?
- Więc nie zabierałeś się do niego ani nic...
- Zabierałem się? Nie, oczywiście nie!
- Po prostu tak się pytam. Ale z przejęciem prowadzisz z nim wzniosłe rozmowy na temat jego przyszłości i tak dalej?
- No... tak...
- Budujące?
- Niespecjalnie. Ale po prostu nie mogę przestać się z nim widywać. To jest, jakby... nigdzie indziej nie było miłości...
- Rozumiem.
- Nie wiem, czy mnie rozumiesz. Moje wątpliwości, sposób, w jaki to wszystko... zbladło i zmartwiało... to zaczęło się wcześniej. I nie ma nic wspólnego z Joem.
- W porządku. Zostawmy tę sprawę. Mówisz, że teraz czujesz, jakby tam nie było nikogo. Czy to jest uczucie opuszczenia, czy wniosek intelektualny, czy...

– To jest wniosek intelektualny. Musi być.

– Dlaczego musi?

– Ponieważ jestem intelektualistą. I ponieważ jest to kwestia prawdy. Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, próżna jest wiara nasza. To znaczy, może być tylko A albo nie A.

– Oczywiście jesteście arystotelikiem. Arystoteles to początek końca. Do dzisiaj zajmujemy się naprawianiem szkody, jaką on uczynił.

– Nie jestem filozofem – powiedział Kato zniecierpliwiony. – Ani nie jestem buddystą jak Reggie Poole! Stwierdzam, że Chrystus stanowi przeszkodę, o którą się potykam.

– Wszyscy się potykamy.

– I proszę cię, nie próbuj tych starych sposobów z tłumaczeniem, że wiara to zwątpienie, a zwątpienie jest wiarą, i że tam, gdzie kończy się wiara, zaczyna się wiara i tak dalej! Wszystko to znam na pamięć.

– Nie musisz być taki zgryźliwy, mój drogi. Próbuję po prostu zrozumieć, co się z tobą dzieje. Kapłaństwo to sprawa całego życia. To małżeństwo. Nie ucieka się od niego natychmiast, kiedy tylko zaczyna być nudno i nie możemy doczekać się nagrody.

– Ja tego nie robię! Mówię ci, że chodzi mi o prawdę!

– Prawda jest tu bardzo złożona – powiedział Brendan. Spuścił nogi z sofy i usiadł, patrząc na Katona oczyma, których błękit widoczny był nawet w przyćmionym świetle pokoju.

– Kiedy ludzie zaczynają mówić, że prawda jest złożona, zwykle zaczynają kłamać. Dogmat...

– Poza dogmatami rozciągają się całe światy...

– Jak daleko może chrześcijaństwo wyjść poza dogmat, pozostając jednocześnie religią?

– Tak daleko, jak daleko rozciąga się dusza ludzka.

– To nie jest odpowiedź. Tak czy owak, ty nie widzisz w tym problemu. Pływasz wewnątrz dogmatu jak ryba w wodzie i było tak zawsze, od kiedy nauczyłeś się mówić!

– Poczekaj chwilkę i nie wściekaj się na mnie. Mówisz, że Chrystus wkroczył w twoje życie.

– Tak.

– Coś się stało.

– Tak. Teraz powiesz, że to wszystko było sprawą uczuć.

– Wydaje mi się, że ty to właśnie mówisz. Coś się zdarzyło. Zgoda. Ale czy nie powinieneś pozwolić, aby toczyło się dalej? Chrystus to nie pigułka, którą zażywa się raz na zawsze. Jest zasada, według której powinno się zmieniać życie ludzkie. A ileż zmian zachodzi w ludzkim życiu. „Nie ja, ale Chrystus!” W twoich narzekaniach nie widzę w ogóle Chrystusa, jesteś tylko ty!

– Nie narzekam!

– Mówiłeś, że się czujesz nieszczęśliwy.

– Widzę, że się nie porozumiemy. Ty mówisz, pozwól Chrystusowi działać, a ja mówię, że Chrystusa nie ma.

– Myślę, że powinieneś poczekać. Pohamować ten stan pewności. I modlić się.

– Nie mogę się modlić. Próbuję, ale wszystko to kłamstwo, wszystko to są pokłady kłamstwa.

– Mimo wszystko módl się. Do licha, jesteś przecież księdzem, a nie pensjonarką.

– Mówisz o sprawach zewnętrznych. Ja mówię o prawdzie. Nie rozumiemy się.

– To, że się jest księdzem, że jest się chrześcijaninem, polega na długich, żmudnych próbach wyrzekania się siebie. Jesteś dopiero na początku tej drogi, Kato, napotykasz dopiero pierwsze prawdziwe trudności. Ubierasz te trudności w pewien rodzaj terminologii. Myślę, że powinieneś chwilę poczekać i zastanowić się, czy ta terminologia jest właściwa.

Kato milczał. Usiadł naprzeciw Brendana i wpatrywał się w niego.

– Nie mówię – ciągnął Brendan – że chcąc porzucić kapłaństwo, na pewno nie masz racji. Mówię, że powinieneś poczekać. Życie duchowe to długa i dziwna sprawa i żeby się go nauczyć, trzeba wiele spokoju i uległości. To, co robisz teraz, to zapasy mocnego człowieka, jesteś ciągle na etapie heroicznym, chcesz wszystko zrobić sam. A teraz, kiedy zacząłeś przeczuwać, o co właściwie chodzi, jesteś przerażony albo twoje ja jest przerażone. To jest jak wyrok śmierci. I to jest wyrok śmierci. Nie ból, nie umartwienie, ale śmierć. Właśnie to przeszywa cię zimnym dreszczem. To

właśnie przeżywasz, mówiąc, że nie ma tam nikogo. Dotychczas uważałeś Chrystusa za odbicie samego siebie. To bardzo wygodny układ.

– Jak możesz...!

– Żyjesz jak we śnie. Zwykła ludzka świadomość utkana jest ze złudzeń. Naszym głównym złudzeniem jest nasze pojęcie o sobie, poczucie własnej ważności, którego nikt nie może naruszyć, godności, z której nikt nie powinien szydzić. Z tego złudzenia płyną wszystkie nasze urazy, pragnienie zadawania gwałtu, pomszczenia obelg, potwierdzenia samego siebie. A przecież z nas wszystkich szydzą, szydzono z Chrystusa, i to jest najważniejsze. Jesteśmy absurdalnymi, komicznymi postaciami ze snu o życiu i to pozostaje prawdą nawet wtedy, kiedy umieramy w obozie koncentracyjnym, nawet jeśli umieramy na krzyżu. Ale w rzeczywistości nie ma obelg, bo nie ma kogo obrażać. I kiedy mówisz: „tam nie ma nikogo”, prawdopodobnie jesteś na tropie ważnej prawdy.

– Nie rozumiem – powiedział Kato.

– Mówisz, że tam nie ma nikogo, ale przede wszystkim powinieneś zrozumieć, że tu nie ma nikogo. Mówisz, że zniknęła osoba. Ale czyż usunięcie osoby nie jest właśnie tym, do czego zawsze dążyłeś w swojej dyscyplinie kapłańskiej?

– Cóż... osoba ludzka...

– A jeśli osoba ludzka jest obrazem boskiej?

– To filozofia!

– To teologia, mój stary. A właśnie chwaliłeś się, że jesteś intelektualistą.

– Nie mogę myśleć – powiedział Kato, chowając twarz w dłoniach.

– Więc przestań. Nie mówię nic szczególnie dziwnego. Chodzi o pokorę, kluczem jest pokora. Wszystko to wiąże się z tym, co słyszałeś, kiedy przygotowywałeś się do święceń.

– Ach, gdybym tylko mógł powrócić do tych czasów.

– Kiedy wszystko było takie proste. Później znowu będzie proste.

– Prawda musi być prosta. Macisz mi tylko w głowie gadaniem o złudzeniach. Oczywiście wiele z naszych celów to cele złudne, złudne dobra. Ale ja niecały składam się ze złudzeń i muszę sądzić o świecie, jak umiem najlepiej, angażując w to wszystko, co jest we mnie najlepszego.

– Nie ja, ale Chrystus.

– To przesądza sprawę! Przecież pewne rzeczy w moim życiu są rzeczywiste, na przykład miłość do ludzi.

– Miłość do ludzi – powiedział Brendan – jest często największym złudzeniem.

Kato znowu umilkł.

– Zmęczyliśmy się – kończył Brendan. – Prześpijmy to. Najlepiej idź do łóżka.

– Czy mówiłeś im o tym? – zapytał Kato.

– Nie.

– Ale teraz powiesz?

– Może. Prawdopodobnie.

– Aha.

– I Kato...

– Słucham?

Podnieśli się i stali w drzwiach.

– Chciałbym ci jeszcze coś poradzić.

– Co takiego?

– Przestań widywać się z tym chłopcem.

– Nie mogę – powiedział Kato. Chwycił ręką krawędź drzwi. – Nie mogę go opuścić...

– To znaczy, nie umiesz zrezygnować z tej przyjemności. Myślisz, że masz na niego dobry wpływ? I on na ciebie?

– Jestem jedynym człowiekiem, który może go uratować.

– Wątpię. Jeśli chodzi o niego, mogą istnieć nadzieje, o jakich nie masz najmniejszego wyobrażenia, ponieważ upierasz się, że ty i tylko ty musisz być tu pośrednikiem. Pozwól innym spróbować. Zostaw tę sprawę Bogu. Spróbuj zrobić dziurę w swoim świecie, może coś przez nią zobaczysz.

– Nie mogę.

– Stanowczo zostaw go w spokoju. W ogóle przestań się z nim widywać. Bądź pewien, że to dobra rada, a nie...

– Tak, wiem. Ale nie mogę.

– Napisz do niego, jeśli chcesz. Ale przestań się widywać. A potem odpraw rekolekcje. Ja nie powiem nic.

– Nie mogę, Brendan.

– Mówisz o prawdzie... a mnie się zdaje, że jesteś lekkomyślny i zbyt pobłażliwy dla siebie. To tylko twoja wyobraźnia, Kato, ratujesz go tylko w wyobraźni. W rzeczywistości...

– Przestań – powiedział Kato. Wypadł z saloniku i nic nie mówiąc, wszedł do swojej sypialni i zamknął drzwi. Spodziewał się, że Brendan pójdzie za nim, ale usłyszał, jak w chwilę później przyjaciel wchodzi do łazienki, a potem do swojego pokoju.

Kato siedział przez chwilę na łóżku obok na wpół rozpakowanej walizki. Brendan się za niego modli – pomyślał. Czy nie mogę modlić się za siebie? Nie ukląkł, tylko zamknął oczy i tak jak za młodych lat w milczeniu zaczął wołać w ciemność. Wpatrywał się w nią i ciemność nie była martwa, ale straszliwie żywa, kipiąca i bulgocąca życiem. A w środku tego wszystkiego zobaczył uśmiechającą się do niego, promienną twarz Pięknego Joe. To miłość – pomyślał Kato – nie złudzenie, i muszę poddać się jej i być jej wierny. I wszystko, co dotyczyło jego wiary, tak bardzo w tej chwili ulotne, bulgotało i kipiało w tej ciemności, która była jego miłością do Pięknego Joe. Czuł, że stoi przed nieuchronnym wyborem pomiędzy oczywistą prawdą i bajką. Otworzył oczy i zobaczył łóżko, ciągle jeszcze skłębione po poobiedniej drzemce, i walizkę z leżącym na wierzchu krucyfiksem. Wziął krucyfiks i położył go na poduszce, podobnie jak poprzedniej nocy, kiedy Joe wręczył mu go, zdejmując ze ściany, i przypomniał sobie uczucie radości, jakie wtedy go ogarnęło. Dlaczego czułem wtedy taką radość – zastanawiał się. Czy to z Jego powodu, z powodu jakiegoś momentu boskiej czułości, kiedy miłość nagle okazuje się niewinna? A może dlatego, że w jakiś sposób ufałem, wiedziałem, że nie stracę Joego, że nie mogę go utracić, że muszę pozostać z nim i kochać go i że wszystko, nawet sam Chrystus, jest niczym, nie ma najmniejszego znaczenia w porównaniu z tą pewnością i z tą przyszłością? Wczorajsza radość była spokojna, jakby zawoalowana. Ale teraz gwałtowniejsza radość, potop, pożar, złożony z obaw, a przecież pochłaniający obawy, podniósł się w nim, dławiąc go za gardło. Nie ma innej drogi – pomyślał Kato. I jeśli to właśnie ma mnie zniszczyć, niech tak będzie. Wszystko jest jednością, nie ma dwóch problemów, tylko jeden. I jeśli Bóg istnieje, to jest po drugiej stronie tego wszystkiego.

Spokojnie spakował walizkę od nowa i zostawił krucyfiks na poduszce. Potem, wsłuchując się przez chwilę w ciszę domu, podniósł się, włożył płaszcz, bardzo cicho otworzył drzwi i wyszedł do przedpokoju.

Brendan, w szlafroku, siedział na krześle przy wejściowych drzwiach. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Myślałem, że spróbujesz czmychnąć.

– Nie wyobrażasz sobie chyba, że mnie zatrzymasz?

– Jesteś cholernie nudny. Mam wykład o *Timajosie* jutro o dziewiątej rano. To znaczy, dziś rano. Jest trzecia.

– Przykro mi, wobec tego idź do łóżka.

– Nie odchodź, Kato. To bardzo ważne, żebyś nie odchodził. Wszystko, co powiedziałem, było niewłaściwe. Byłem zmęczony. Powinienem być poczekać. Nic z tego, co powiedziałem, nie ma znaczenia, przynajmniej jeśli chodzi o szczegóły. Może nie mam racji, jeśli chodzi o tego chłopca. Za mało wiem, może wszystko, co powiedziałem, jest zbyt nadęte. Ale nie odchodź z tego powodu. Czekaj, zostań u mnie, odpocznij. Zapomnij o rekolekcjach. Ja nikomu nic nie powiem. Po prostu zostań tutaj.

– Czego chcesz?

– Jestem egoistą. Po prostu chcę, żebyś został tu, a nie gdzie indziej.

– Uważasz, że zmierzam ku własnej zgubie?

– Nie bierz tego tak tragicznie. Proszę, zostań. Po to, żebym ja mógł spać. Z powodu moich wykładów o Platonie. Ponieważ jestem księdzem i ponieważ ty jesteś księdzem. A w ogóle wszystko jedno dla czego.

– Przykro mi – powiedział Kato. – Bardzo mi przykro. – Otworzył drzwi. Patrzyli na siebie. Kato jeszcze raz powiedział: – Przykro mi.

Schodząc po schodach, słyszał, jak drzwi cicho zamykają się za nim.

Powrót do Misji zajął mu czterdzieści minut.

Henryk stał na tarasie. Słońce i cień bezustannie przesuwają się po zboczu pod wysokimi drzewami, tworząc coś na kształt obrazu Francisca Towne'a. Chłodny, jasny błękit nieba w górze przekreślały ruchome warstwy kawowych chmur. Słońce muskało teraz jasnoszarą wieżę kościółka w Dimmerstone, widoczną ponad drzewami lasu. Zapalało szczyty drzew, wyłuskując jakby każde z nich oddzielnie. Wieża

Dimmerstone rozjarzyła się, potem zgasła. W jasny dzień można było, spoza obelisku, dostrzec zarówno Dimmerstone, jak i strzelistą wieżę kościoła w Laxlinden. Wiał mokry, chłodny, wschodni wiatr. Henryk stał w płaszczu.

W głowie miał radosny i dziki zamęt. Czuł się, jak gdyby siedział na skrzydle wiatraka, unosząc się i opadając, i rozglądał wokół siebie, silnie i rytmicznie obracany ruchem wirowym. Nie przewidywał pięknego zdarzenia ze Stefanią. A może przewidywał? Trudno powiedzieć. Wiedział, że podszedł do niej tak pokornie i uczciwie, jak tylko umiał, zdecydowany, że nie będzie wykorzystywał dziwnego stosunku zależności, jaki ich połączył. Czy wykorzystał go? Z jakąś szczególną radością przebiegał myślą owe cenne godziny. To, co się zdarzyło, było niezwykle, cudowne. I w gruncie rzeczy odczuwał, że nie mogło być inaczej. Nigdy jeszcze miłość nie wydawała mu się tak nieunikniona i tak doskonała. I tak niema. Przyszło mu do głowy, że wszystkie jego poprzednie kochanki były Amerykankami, którym nie zamykały się usta. Zwłaszcza Bella. Pójście do łóżka wiązało się z nieustannym komentarzem, potokiem żartów i dowcipów. Właściwie Henryk nie miał nic przeciwko temu, choć czasami ogarniało go krępujące uczucie, że kochanka chce go w ten sposób ośmielić. Dawniej zawsze odczuwał, nawet z najmłodszymi z bystrych młodych istot, że jest partnerem młodszym. Wszystkie były tak doświadczone, kompetentne i sprawne. One nadawały tempo. Bella mówiła o nim nawet „Marshalson junior”. Ze Stefanią było inaczej, pozwalała mu odczuć, że świat poddaje się jego woli.

Oczywiście Stefania również była „doświadczona”. Ciekaw był, jak te sprawy wyglądały dla niej ze wszystkimi innymi mężczyznami? Z litością, która sprawiała mu dziwną satysfakcję, myślał o jej życiu jako ofiary męskiej żądzy. Nic dziwnego, że nic nie mówi. Teraz, kiedy myślał o niej, a myślał bez ustanku, ogarniało go gorączkowe współczucie, pragnienie, aby zatrzymać ją, uchronić, ratować. Kiedy powiedział jej tak szczerze: „Nie widzę najmniejszego powodu, żebyś nie miała poznać mojej matki”, zrozumiał, że zasada ich stosunku niejasno się zmienia, jak gdyby wszystko spokojnie przesunęło się na wyższy poziom. Nie, nie wykorzystał swojej przewagi. Słusznie zrobił, odkładając spotkanie z nią na później, zostawiając sobie czas na namysł, na przygotowanie się do tego, co uważał za swój główny obowiązek. I chyba sprostał tej próbie – dzięki niej nabrał siły i zdolności, które przydadzą mu się w następnym dziele jego życia. Czuł ogromną wdzięczność dla Stefanii. Był szczęśliwie i bezpiecznie zajęty. Na razie nie czuł się jeszcze całkiem zakochany, ale rozumiał, że kocha ją w sposób czysty, i to było dla niego czymś nowym.

Sama miłość była dobra. Dziwna niezręczność Stefanii chwyciła go za serce. Może prostytutka, nie przyzwyczajona do czułości, musi być niezręczna? Wcześniej nie przychodziło mu to do głowy. Zastanawiał się, jak wyglądały jej kontakty z Sandym, i na początku sama myśl o tym była okropna. Ale jakieś dziwne poczucie obowiązku ciągle mu ją podsuwało, choć był zdecydowany, że nic go nie przerazi; i stopniowo to także zmieniło się dzięki sile transformacji emanującej z tej kobiety, która wzbudziła w nim łagodność i pokorę. Współczuł jej, współczuł Sandy'emu. Zdawało mu się, że nie tylko oni, ale i on sam, wszyscy razem są ofiarami, które nieubłagany los mocą swych wyroków na przemian to kojarzy, to znów odsuwa i oddala. I ta myśl bardzo go pocieszyła.

Nie mniejszym zadowoleniem z siebie napełniała Henryka jego natchniona decyzja, aby po prostu i bez wstępów zaprowadzić dziewczynę do łóżka. Było to niewątpliwie słuszne. Kiedy rozbierał ją, drżała w jego ramionach, a w uległych, okrągłych niebieskich oczach malowała się tak wielka wdzięczność, że jemu samemu chciało się krzyczeć z radości i wdzięczności. A kiedy objął to pulchne, drżące ciało, te duże piersi, pozbył się wszelkich wątpliwości. Po raz pierwszy w życiu poczuł, odrzuciwszy zbędne rozważania i kalkulacje, że znalazł swoje miejsce.

Potem pili herbatę. Ogarnięty pełnym i dziwnym spokojem, jak gdyby znał tę kobietę od lat, Henryk ociągał się z odejściem. Rozmawiali swobodnie o tym i owym i rozmowa ich przypominała poufałą pogawędkę starych przyjaciół. Stefania mówiła trochę o swojej przeszłości, ale niechętnie, i Henryk nie chciał na nią nalegać. Miała trzydzieści cztery lata, o dwa lata więcej od Henryka. Wspominała o klubie striptizowym, o tym, że miała tam tańczyć, tylko nikt nie nauczył jej tańca, po prostu zakładano, że wszystkie kobiety umieją tańczyć. Henryk opowiedział jej, przemilczając pewne rzeczy i dobierając fakty, o dworze, o swoim dzieciństwie, o Ameryce, a nawet, z istotnymi opuszczeniami, o Russie i Belli. Trzymał Stefanię za ręce i rozmawiali ufnie jak dzieci. Pożegnał się szczęśliwy, rozluźniony. „Kiedy przyjdiesz?” „Niedługo zadzwonię. Nic się nie martw”. „Nie martwię się. Dziękuję. Bądź zdrow”.

Tryskający energią fizyczną, odmłodzony Henryk zbiegł po stopniach tarasów, przeskoczył ostatni odcinek i wylądował na miękkim trawniku. Ruszył w podskokach w kierunku stajni i zadyszany zatrzymał się na żwirze pod zegarem. Słońce oświetlało zabudowania i szaroniebieskie dachówki, mokre po nocnym deszczu, lśniły oślepiająco. Henryk zauważył, że kilka z nich trzeba wymienić, a potem uśmiechnął się do siebie. Wszedł do obszernego boksu, w którym stało żółte volvo, uniósł maskę i pochylił się na chwilę nad silnikiem, badając go z satysfakcją i

przyjemnością. Russ i Bella oboje dobrze prowadzili, ale nie mieli najmniejszego pojęcia o motorze. Henryk grał przy nich rolę mechanika. Jak dają sobie radę bez niego?

W odpowiedzi na ich pierwsze listy Henryk, niezdolny wycisnąć z siebie nic poważnego, posłał każdemu z nich komicznie zredagowaną widokówkę. Russowi kartkę z wieżą poczty. Belli kupioną w wiosce kolorową kartkę z dworem Laxlinden. Na odwrocie napisał: „Obacz dom przodków z drugiej strony. Życie tu, z grubsza biorąc, jest piekłem. Tęsknię za Tobą, Koteczku”. Dzisiaj przysły odpowiedzi od obojga. Russ przesłał pocztówkę z Łukiem w Saint Louis i wiadomością: „Czerwoni pobili Śmiałych. Żałuj, że Cię tu nie było. Kiedy wracasz?” Bella napisała długi list. „Kiedy można będzie Cię odwiedzić? Ale, mówiąc serio, Kochanie, jeśli to rzeczywiście piekło, a nawet jeśli nie, wracaj prędko, bo zamartwiamy się o Ciebie...” Henryk był zadowolony, że napisali, że go kochają, że istnieją, że są tam, zabezpieczając mu tyły, miejsce odwrotu. Ale wiedział, że nie napisze do nich tak, jak należy, dopóki nie załatwi najpilniejszych spraw. Ciekaw jestem, gdzie będę w przyszłym roku o tej porze – myślał. Czy w Sperriton, gdzie po powrocie z uniwersytetu, popijając mocne martini Belli, będę opowiadał jej o wydarzeniach dnia? Na swój szczególny sposób był to obraz niewinnego szczęścia.

Opuścił maskę żółtego volvo, zatrzasnął drzwi pomieszczenia i nie przecinając strumienia, pospacerował w słońcu pod górę w kierunku cieplarni. Kiedy był dzieckiem, patrzył na nią jak na tajemniczy, pociągający, odrobinę ponury pałac, i w miarę jak się do niej zbliżał, serce jego zaczęło bić mocniej pod wpływem dawnych, nie uświadomionych wspomnień. Była to duża wiktoriańska konstrukcja z lanego żelaza, z obszerną kopułą główną i dwiema mniejszymi. Czasy jej świetności dawno już minęły, ogrzewanie nie działało, miejscami świeciły dziury po i tak splekanych dachówkach, a w jednym końcu szkło było strzaskane. Wiele roślin i drzew, zasadzonych tam przez dziada i pradziada Henryka, przeżyło jednak i rozrośnięte w potężne, nastrzępione formy, napierały na dach, a w słoneczne dni nasycaly gorące powietrze egzotycznymi zapachami: kamelii, mimozy, bambusu, ołownicy i oleandru. Pod jedną z mniejszych kopuł Bellamy hodował pomidory i wczesną sałatę, a choć podlewał cały teren, większa część upraw po prostu zdziczała. Czasami Gerda i Rhoda przychodziły tu zrywać kwiaty.

Pod wpływem nagłego impulsu Henryk wszedł cicho, niemal ukradkiem, jak za dawnych lat. Może krył się tutaj przed Sandym, nie pamiętał dokładnie. Wraz z falą ciepła i ostrego zapachu ziemi wspomnienia chwyciły go za gardło. Uderzyła go w nozdrza zwłaszcza

jedna woń, budząc w nim dawnego Henryka. Azalia? Nie, cesarska korona. Bezszelestnie zamknął drzwi i stanął nieruchomo. Naprzeciw niego rozłożył się kamelii, pokryte białym kwiatem i lśniącymi liśćmi, wznosiło się łukiem do góry, zginając się pod dachem i ciągnąc po szkle spuszczało końce gałęzi na kępę dużych bambusów. Ziemia, z której wyrastało, pokryta była aromatycznym ziołem o fiołkowych kwiatach, którego zapach, jak się Henrykowi zdawało, dominował w kłębowisku jego wspomnień. Ruszył przed siebie, skręcił w palcach kilka listków zioła i zmiął je pod nosem. Potem zerwał z pewnym trudem kwiat kamelii i włożył go do butonierki. Kwiaty były podwójne, prawie zupełnie białe, niektóre miały w środku, pod pręcikami, blad różowe cętki. Spacerował cichym krokiem, wśród zapachów i wspomnień. Z jednej strony zasłaniała słońce wybujała passiflora, która wpełzła po szybie prawie na sam szczyt głównej kopuły, o tej porze roku upstrzona niesamowitym bladozielonym i purpurowym kwiatem. Henryk podniósł głowę i dostrzegł drobne, napięte twarzyczki kwiatów tuż nad sobą. Stojąc w zielonym cieniu, spojrzął przed siebie, pod wygięte pióra bambusów, i zamarł, zeszywniały ze zdziwienia, na widok młodej dziewczyny.

Nie zauważywszy go, pochylała się ciekawie nad czymś, co rosło u jej stóp. Wśród liści widać było tylko jej głowę i ramiona, a dużą część twarzy zasłaniały długie włosy. Coś w jej postawie, włosach, zarysie policzka sprawiło, że w jednej chwili rozpoznał Colette Forbes. Ucieszył się i pragnąc ją zaskoczyć, cicho przekradł się do przodu.

Kiedy dzieliło ich już tylko kilka kroków, odwróciła głowę, zobaczyła go i uśmiechnęła się, ale zaraz powróciła do tego, co ją pochłaniało. Henryk zobaczył, że pochyla się nad starym zbiornikiem wypełnionym czarną, błyszczącą wodą, który służył do podlewania. W jednym jego końcu rosły lilie wodne, a na powierzchni pływały czerwone wodorosty. Colette włożyła do wody rękę, wokół której natychmiast zebrała się chmara drobnych jasnozłoty rybek ze srebrzystymi brzuszka, pędzących w różne strony i kręcących się wokół jej palców, które zrudziały pod powierzchnią wody.

– Obgryzają mi palce! – powiedziała Colette, z twarzą rozjaśnioną promiennym uśmiechem.

Henryk przyglądał się rybkom.

– Czujesz, jak gryzą?

– Tylko troszeczkę. To takie miłe laskotanie.

– Dawniej nie było tu ryb. Ciekaw jestem, kto je tutaj wsadził.

– Myślisz, że mają dosyć jedzenia?

– Tak, chyba tak. Ten zbiornik to w tej chwili rodzaj naturalnej sadzawki.

– Tak tu ładnie. Te czerwone wodorosty są zachwycające. I te prześliczne małe rybki. – Wyciągnęła rękę i otrząsnęła z niej krople wody.

– Zwracam uwagę, że znowu wkradłaś się na cudzy teren.

– Masz pretensję?

– Nie jestem pewien. Pomyślę o tym.

– Widziałam któregoś dnia, jak tańczyłeś na ścieżce.

– Dlaczego więc nie podeszłaś, żeby zatańczyć ze mną?

– Myślałam, że chcesz być sam.

Henryk przyglądał się Colette. Słońce sączące się przez kwiaty passiflory rzucało złote i czerwone plamy na brązowe włosy dziewczyny, a jej twarz, po kilku ciepłych wiosennych dniach już opalona, nabrała młodzieńczej, kremowej barwy. Pod podniszczonym tweedowym płaszczem Colette miała na sobie letnią sukienkę.

– Wyrosłaś na niebrzydkiego podlotka, chociaż masz dopiero dziesięć lat, o wiele za duże usta i szparę między zębami.

– Ty też nie najgorzej wyglądasz, chociaż jesteś taki mały.

– Mały?

– Tak. Jestem wyższa od ciebie.

– Nieprawda!

– Tylko włosy bardziej ci sterczą.

– Masz pantofle na wysokich obcasach.

– Nieprawda. Spróbujmy się zmierzyć. Stań twarzą do mnie i niech każde z nas patrzy dokładnie przed siebie. Ty będziesz widział moje usta, a ja twoje brwi.

Henryk spojrzał prosto przed siebie w śmiejące się brązowe oczy Colette.

– To nonsens. Jesteś ode mnie szczuplejsza.

– A cóż to za różnica?

– Łatwiej ci stać prosto. A poza tym ja mam wyższe czoło.

– To sprawa włosów.

– Nie. Sprawa mojego mózgu. Mam więcej komórek mózgowych.

– Nie, nie masz, jesteś ode mnie starszy, po dwudziestce każdego dnia znikają tysiącami.

– Bzdura.

W drugim końcu cieplarni odezwał się cichy dźwięk. Colette nagle odwróciła się i jak spłoszone zwierzę wtopiła w światłocien przesłaniających wszystko bambusów. Henryk popędził za nią jak strzała, ale kiedy znalazł się za drzwiami, była już daleko i sadziła w podskokach po trawie w kierunku podjazdu. Poszedł za nią, a ona zatrzymała się na zwirowanej ścieżce.

– Co się stało?

– Przyszedł Bellamy. Tak czy owak, muszę iść do domu. Już późno.

– Którą drogą idziesz?

– Twoją drogą, przez bramę, to prędeej.

Poszli obok stajni przez brzozowy las w kierunku wysokiego żywopłotu z cisów. Wysoką mokrą trawę pokrywała lekka perłowa mgiełka i brzoźki w pączkach, oblane światłem, lśniły jasną zielenią. Na skraju lasu zwieszał się szczodrzeniec, znacząc się na tle błękitnego mglistego gąszczu żółtym pasmem. Narcyzy już powiędły i liście zwiotczały. Kępy ciemnej żywej zieleni zapowiadały wczesne tulipany; niektóre z nich już zakwitały.

– Wszystkie te tulipany są żółte. Nie lubię żółtych tulipanów. Powinny być czerwone i białe.

– Zapisuję to sobie w pamięci.

– Lubię białe kwiaty. Poza tym trzeba przystrzyc wasz żywopłot z cisów. Posagi są zupełnie zarośnięte.

– To także zapisuję sobie w pamięci.

– Kto to jest?

– Posagi? Boginie.

– Wyglądają jakby przyczajone, kiedy tak zerkają wśród zieleni.

Weszli między drzewa i dotarli do bramy. W jednej chwili, nie zatrzymując się, Colette wskoczyła na nią, unosząc długą nogę nad

szpikulcami. Przerzuciła drugą nogę i zeskoczyła na ziemię po drugiej stronie. Spojrzeli na siebie.

– Muszę kazać odryglować tę bramę.

– Nie, nie rób tego, tak zabawnie jest się wspinać.

– Jesteś młodsza, jak zdążyłaś to podkreślić. Proszę, przyjmij ten biały kwiat. – Henryk wyjął kamelię z butonierki i wyciągnął ją do dziewczyny przez pręty. Złapała ją i wywijając w powietrzu pobiegła drogą. Henryk zawrócił z uśmiechem i zaczął myśleć o Stefanii Whitehouse.

Szedł podjazdem, trącając nogą chwasty. Kiedy znalazł się przed domem, zauważył z rozdrażnieniem, że matka sunie ku niemu środkiem trawnika. W głębi Lucjusz w słomkowym kapeluszu wracał ścieżką spod wysokich drzew. Henryk z wahaniem zaczął skręcać, próbując wyminąć matkę, ale było za późno.

– Henryk! – Gerda promieniała. Miała na sobie stary płaszcz przeciwdeszczowy i kalosze, a w ręku płaski koszyk pełen ciętych kwiatów, z których tworzyła własne kompozycje: pąki kasztana, pąki buków, wiśni, kilka tulipanów.

– Dzień dobry, mamo.

– Widziałam cię z Colette Forbes.

– A...

– Jak się stąd wydostała?

– Przez bramę.

– Powiem Bellamy'emu, żeby ją otworzył.

– Mnie się podoba tak, jak jest.

– To najkrótsza droga do Leśnej Zagrody.

– A kto tam chodzi?

– Prawda, że jest ciepło jak w lecie? Chodźmy na ławkę przed salonem, pogrzejemy się w słońcu.

Henryk ruszył za matką na taras, obeszli dom dookoła i usiedli pod południową ścianą na starej ławeczce z tekowego drzewa. Spieczony słońcem sydereyt emanował ciepło, a skamieliny drobnych muszelek błyszcząły w jaskrawym świetle. Spoglądając w dół na jezioro, Henryk zmrużył oczy.

– Widziałam, jak oglądałeś żywopłot z cisów. Zdaje się, że warto się nim zająć.

– Widzę, że lipowy żywopłot też diabli wzięli.

– Bellamy stara się, jak tylko umie. Ale już nie tak jak za życia twojego ojca. Henryku...

– Słucham.

– Chciałam tylko powiedzieć... że bardzo lubię Colette Forbes.

– Śmieszna dziewczyna.

– To naprawdę do głębi porządna dziewczyna, do głębi porządna rodzina.

– Tyle tylko, że jej ojciec to wściekle gruboskórne bydlę.

– Nie mów tego, Henryku! To znakomity, szczerzy człowiek. A jej brat jest twoim najlepszym przyjacielem.

– Moim najlepszym przyjacielem jest człowiek o nazwisku Russell Fischer.

– Cóż, Kato jest starym przyjacielem, a starzy przyjaciele są ważni, prawda?

Marszcząc brwi i wpatrując się w dolinę Henryk zobaczył, jak Lucjusz w słomkowym kapeluszu znowu pojawia się w oddali, kierując się dla odmiany w stronę jeziora.

– Jak on – powiedział.

– Jak... o, jak Lucjusz... mam coraz krótszy wzrok.

– Czy jest twoim kochankiem?

Gerda, która trzymała na kolanach koszyk ciętych kwiatów, postawiła go gwałtownie na kamieniach.

– Nie mów do mnie takim tonem.

– Przepraszam za ton. Mam nadzieję, że pytanie cię nie dziwi.

– Pytanie również mi się nie podoba.

– Chyba mam prawo je zadać. Zaraz ci wyjaśnię...

– Nie możesz wtrącać się w moje stosunki z Lucjuszem.

– Mieszka w moim domu.

– Jesteś grubiański i niegrzeczny.

– Przepraszam, mamó, to nieumyślnie.

– A mnie się zdaje, że umyślnie. Od chwili powrotu jesteś cały czas niegrzeczny i niezadowolony, nie mogę zrozumieć, dlaczego, przecież powitaliśmy cię...

– Właśnie to „my” nie podoba mi się, mamó. Spróbuj zrozumieć.

– Skoro pytasz w taki gruboskórny sposób, nie, oczywiście Lucjusz nie jest moim kochankiem i nigdy nie był!

– Cóż, tak przypuszczałem, chciałem się tylko upewnić. Po prostu stary przyjaciel...

– Nawet i nie to, Lucjusz jest żalonym rezydentem, który nie potrafi sam się o siebie zatroszczyć, więc ktoś musi się nim zająć, jest jak wymagające dziecko, nie potrafię wyrazić, jaki to dla mnie ciężar i utrapienie. Mój kochanek!

– Dziękuję ci, mamó. To wszystko, czego byłem ciekaw.

– Jak gdybym mogła mieć kochanka w moim wieku.

– Nie rozumiem dlaczego nie, ciągle jeszcze bardzo dobrze wyglądasz.

– Dobrze wyglądałam! Tak, nawet Colette zapytała mnie któregoś dnia, czy mówiono mi kiedyś, że jestem piękna!

– Widać, że tej dziewczynie nie brakuje tupetu!

– Bądź przekonany, że wcale nie patrzę na siebie pod tym kątem, nie ma nic przykrzejszego niż starsza kobieta, która zachowuje się jak młoda dziewczyna i stale chce być na świeczniku. Powiem ci więcej, zależy mi na tym, żeby jak najprędzej wycofać się z czynnego życia i pozbyć obowiązku prowadzenia domu.

– Miło mi to usłyszeć.

– Czas już, Henryku, żebyś się ożenił. Kiedy sprowadzisz do dworu młodą małżonkę, przekażę wam wszystkie sprawy i całkowicie wycofam się na drugi plan. I, słuchaj, powiem ci otwarcie: uważam, że Colette Forbes byłaby dla ciebie bardzo dobrą żoną.

– Och, och – powiedział Henryk, kręcąc się na siedzeniu i nie spuszczać oczu z Lucjusza, który w oddali maszerował powoli z powrotem w stronę domu. – Rozumiem, zbyt wolno myślę. Więc o to ci chodzi. Niestety, nigdy mi to nawet nie przyszło do głowy. I szukając Róży Marshalsonów...

– Znalazłeś ją?

– Nie.

– Uważam, że Colette byłaby idealna, to dobra dziewczyna, młoda, zdrowa i pełna wdzięku...

– O, piekielnie zdrowa. Ale, droga mamó, muszę cię rozczarować... zaręczyłem się już z kimś innym.

Gerda odsunęła się, zwracając do syna.

– Ale nie... z Amerykanką?

– Nie, z Angielką. Nazywa się Stefania Whitehouse. Jest prostytutką.
– Henryk zaśmiał się dziko.

– Żartujesz sobie – powiedziała Gerda po chwili. Siedziała sztywno, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie płaszcza i szeroko rozstawionymi nogami w zabłoconych botach. Ciemne oczy jarzyły się ostro. Henryk odsunął się odrobinę. – Nie śmieję się – powiedziała Gerda.

– Ja się nie śmieję – odparł Henryk, rzucając jej spojrzenie pełne nienawiści. – Słuchaj, mamó.

– Proszę, przestań żartować na ten temat.

– Nie żartuję. Owa Stefania Whitehouse była przez długie lata kochanką Sandy'ego, jego utrzymanką, dla której wynajmował mieszkanie w Londynie. Nie wiedziałaś o tym, prawda?

– Nie – odparła Gerda, patrząc w bok.

– Cóż, oczywiście nie wiedziałaś. Sandy się z tym nie zdradzał. Prawdę mówiąc, to cudowna osoba. Kocham ją.

– Ależ to niemożliwe... przecież dopiero co ją poznałeś...

– Tak. Ale wiele się już zdarzyło. Jedno jest pewne. Sandy traktował ją jak...

– Jak to, czym była – powiedziała Gerda – według ciebie. – Odwróciwszy wzrok od syna patrzyła w przestrzeń, zeszywniała, z trudem panując nad sobą.

– Przepraszam, mamó, ale musiałem wspomnieć tu o Sandy'ym. Przejąłem odpowiedzialność za jego sprawy. A potem wszystko to okazało się o wiele ważniejsze.

– Zachowałeś się jak skończony głupiec. Słyszałeś chyba o takich rzeczach jak deprawacja. Tej kobiecie zależy na twoich pieniądzach.

– Dziwne – odparł Henryk – ale ja nie wierzę w deprawację. A poza tym nie będzie żadnych pieniędzy.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie sądzę, żebyś naprawdę mówił serio. Myślę, że po prostu związek tej kobiety z Sandym zrobił na tobie... w jakiś dziwny sposób... duże wrażenie. Zawsze miałeś zwyczaj naśladować Sandy'ego. Przypuszczam, że to osoba zupełnie bez wykształcenia.

– O tak. Podobnie jak ty.

Gerda zacisnęła usta. Obróciła się, spoglądając na niego, a jej płomienne oczy, tak bardzo podobne do oczu syna, pełne były powstrzymywanych łez.

– Nie chcę się z tobą kłócić.

– Czasami nie można się nie kłócić. Przepraszam.

– Przypuszczam, że nie mówisz tego poważnie. A jeśli tak... wydaje mi się... że nie idziesz za głosem serca, tylko wypełniasz punkty jakiegoś okrutnego planu.

– Nie wiesz nic o moim sercu – odparł Henryk. – Nigdy nie wiedziałaś. Gardziłaś mną, zaniedbywałaś mnie, kiedy byłem dzieckiem.

– To nieprawda – szepnęła Gerda. Otarła łzy wierzchem dłoni. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że masz zamiar sprowadzić tutaj tę kobietę?

– Nie będzie żadnego „tutaj”.

– Jak to?

– Mamo, nie krzycz ani nie mdlej. I nie myśl, że żartuję. Chcę sprzedać majątek.

– Henryku, co ty mówisz?

– Tylko tyle, mamo. Chcę sprzedać dwór, park, chaty i całą ziemię. Nie chcę być posiadaczem ziemskim. Nie chcę być angielskim ziemianinem. Nie chcę być bogatym człowiekiem. I nie wiem dlaczego, z szacunku dla tradycji, którą uważam za głupią i niesłuszną, miałbym poświęcać swoje życie dla tych wartości, tych rzeczy. Spędziłaś tu całe życie, mamo, i cieszyłaś się nim, a w każdym razie mam nadzieję, że tak było. Nie mam zamiaru iść w ślady dziadka, ojca i Sandy'ego. Dlaczego miałbym to robić? Jestem innym człowiekiem i należę do nowej epoki. Sandy należał do przeszłości. Ja nie. Jeśli się zastanowisz, zobaczysz, że w tym, co mówię, nie ma nic niezwykłego. Nie mogę pozostać tu i zamienić się w Sandy'ego, nawet po to, żeby zrobić ci przyjemność. A jeśli nie

odejdę, te rzeczy będą mnie wiązały, dopóki będą moją własnością, i odpowiedzialność za nie ciążyć będzie na mnie. A gdybym uciekł, pozostawił je tobie, żeby wszystko toczyło się jak dawniej, zachowując ten dom, tę bezużyteczną ziemię, wszystkie pieniądze, które za tym stoją, jako rodzaj mauzoleum Marshalsonów, byłoby to nie tylko lekkomyślne, ale wręcz makabryczne. Nie chciałem, żeby tak się stało, nie chciałem odziedziczyć majątku, nie wybierałem takiego losu, ale skoro się to stało, muszę sobie z tym radzić, muszę coś postanowić. Proszę cię, nie myśl, że jestem okrutny albo że robię to z jakichś dziwnych powodów związanych z Sandym czy... nigdy w życiu nie byłem równie poważny ani nie działałem bardziej trzeźwo. Mamo, to wszystko musi zniknąć, ten sposób życia powinien zniknąć. Jeśli istnieją ludzie biedni i bezdomni, nie mogę po prostu siedzieć na całym tym majątku i wszystkich tych pieniądzach. Mam zamiar go podzielić, rozdać innym. Nie mogę żyć tak, jak ty żyjesz. Bardziej martwisz się o drzewa i rośliny niż o ludzi. Wybacz mi, wiem, jaki to dla ciebie wstrząs. Ale po pewnym czasie zobaczysz, że mam rację, a przynajmniej zrozumiesz...

Gerda nie krzyknęła ani nie zemdląła. Nie było miejsca na łzy. Siedziała obrócona do syna i wpatrywała się w niego z napięciem. Z szerokimi, rozdętymi nozdrzami, dużą, czerwoną twarzą i podniesionym kołnierzem podniszczonego płaszcza wydała mu się nagle mocna i brutalna jak mężczyzna.

– Henryku – powiedziała – tak nie będzie.

– Będzie, mamo. Przepraszam. Taki jest mój projekt. Zastanawialiśmy się nad tym z Merrimanem.

– Z Merrimanem?

– Tak. Bardzo mi przykro. Musiałem prosić go o zachowanie tajemnicy. Wystawienie na sprzedaż całego majątku jest sprawą kilku tygodni. Oczywiście będziesz urządzona. Dwie chaty w Dimmerstone przerobimy na mały domek, jest tam całkiem niezły ogródek i będzie bardzo miło. Dam Bellamy'emu domek, w którym mieszka, a resztę się sprzeda. W Dimmerstone będzie ci wygodnie, daleko od osiedla.

– Osiedla?

– Tak. Zamierzam oddać górną część parku od strony Laxlinden radzie gminnej, pod warunkiem że zbuduje tam wzorowo zaprojektowane osiedle. Giles Gosling pokazał mi wspaniały plan, z elewacjami w miejscowym kamieniu...

– Przyznam się, że nie mam ochoty tego słuchać – powiedziała Gerda.

– Nie mogę pozwolić na zepsucie krajobrazu...

Gerda oddychała ciężko, prawie sapiąc. Opanowała się i odwróciła od Henryka. Przypatrując się swoim botom, zaczęła spychać zaskorupiałe błoto jednym palcem.

– A co o tym myśli ta dziewczyna... twoja... Sandy'ego przyjaciółka?

– O, jest zachwycona – powiedział Henryk. – Nienawidzi bogaczy! To komunistka! – Zaśmiał się znowu szaleńczo, podciągając pod siebie stopy na siedzeniu. – O Boże, jaka to ulga, że już ci wszystko powiedziałem, nie myśl, mam, że było mi łatwo... to była próba i wyzwanie. Wybacz, że myślę teraz o sobie... o własnej konsekwencji wewnętrznej i przyszłości. Nie mógłbym pójść na kompromis. Po prostu nie mógłbym. Proszę, powiedz mi, że choć trochę mnie rozumiesz, nie uważasz, że to czyste szaleństwo lub... nie wiem co... zemsta albo... Przyzwyczaj się i zobaczysz, że to najlepsza droga. Ostatecznie w młodości robiłaś tak, jak chciałaś, a teraz przyszedł czas na mnie. Proszę, powiedz, że się nie gniewasz.

– Zemsta – powiedziała w zamyśleniu Gerda, ciągle zajęta botami. A potem dodała: – O, wyobrażam sobie, że to nie było łatwe.

W tym momencie nadszedł Lucjusz, który przeszedł po stopniach tarasów całą drogę z dołu na górę. Ostentacyjnie sapiąc położył laskę na balustradzie.

– Co za droga! Już nie na moje lata. Dzień dobry, Henryku. Zdaje się, że znowu spóźniłem się na śniadanie. Ale, moja droga, co za masa pięknych kwiatów! – Lucjusz umilkł, nagle zdając sobie sprawę, że coś jest nie w porządku.

– Henryk chce sprzedać majątek – powiedziała Gerda. – Dwór. No i w ogóle wszystko.

Lucjusz odrzucił głowę do tyłu i z ostrożnym namysłem zaczął rozpinać przód płaszcza, guziki marynarki, a potem koszuli. Rozluźnił jedwabny szalik wokół szyi. Potem zdjął kapelusz i starannie przecesał palcami wspaniałą grzywę białych włosów, odrzucając je na kark.

– Słyszałeś? – zapytała Gerda.

– Tak, moja droga.

– Nie wydajesz się bardzo zaskoczony. Może wspominał ci już o tym?

– Nie, nie, nie wspominał. Ale, cóż, w naszych czasach... musimy spodziewać się zmian...

– Cieszę się, że tak szybko zrozumiałaś, jak poważnie traktuję swoje plany – powiedział Henryk do Gerdy, nie zwracając uwagi na Lucjusza. – Nie myśl, że to złośliwość, tak nie jest, jest zupełnie inaczej. Po prostu muszę żyć... i oczywiście zrobię wszystko co w mojej mocy...

– Ja mam zamieszkać w domku w Dimmerstone – podkreśliła Gerda. – Zdaje się, że co do ciebie nie ma jeszcze żadnych planów...

– Myślę, że będę mógł przenieść się do Audrey – powiedział Lucjusz. – Może dostanę jakąś małą posiadkę... to jeszcze nie koniec świata.

– Widzisz, nie jest wcale taki słaby i żaloszny, jak sobie wyobrażasz – zauważył Henryk. – Wszyscy damy sobie jakoś radę.

– Powiedziałaś, że jestem słaby i żaloszny?

– Pytał mnie, czy jesteś moim kochankiem – odparła Gerda. – Była to część odpowiedzi.

– Cóż, myślę, że mógłbym być twoim kochankiem, to nie jest nieprawdopodobne.

– A co z Rhodą? – zapytała Gerda Henryka.

– Przeniosę ją na rentę.

– Z Bellamym nie ma kłopotu. John Forbes złapie go natychmiast, a jak nie on, to pani Fontenay.

– Cieszy mnie, że oboje jesteście tacy uczciwi...

– Kiedy się żenisz?

– O, żenisz się może z Colette Forbes?

– Nie, nie żenię się z Colette Forbes.

– Żeni się z prostytutką... jak ona się nazywa?

– Stefania Whitehouse.

– Była kochanką Sandy'ego. Sandy wynajmował dla niej mieszkanie w Londynie.

– Czyżby? Ludzie szykują nam tyle niespodzianek. Nigdy by mi do głowy nie przyszło...

– Nie wiem, kiedy się ożenię. Niedługo.

– Wyobraź sobie naszego Sandy’ego.

– Idę się położyć – powiedziała Gerda. Wstała nagle i weszła do domu przez jedno z okien salonu.

– Od jak dawna Sandy...? – zapytał Lucjusz.

Ale Henryka już nie było. Obrócił się na pięcie, popędził po schodach, przeskakując pierwsze stopnie jak kozica, i zniknął gdzieś w dole.

Lucjusz stał przez chwilę, oparty o balustradę, przyciskając rękę do serca. Zauważył, że Henryk w pędzie wyważył spomiędzy kamieni dużą poduszkę puszystego żółtego mchu. Czubkiem buta zepchnął mech z powrotem na miejsce i przydeptał go. A więc nadeszła klęska, głębsza, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. W każdym razie zachował się poprawnie i był na tyle taktowny, że od razu stracił nadzieję. Jeśli Henryk zechce ofiarować mu niewielką rentę, czy znajdzie w sobie dość pokory, aby ją przyjąć? Niestety nie miał co do tego wątpliwości. Ale Henryk jej nie ofiaruje. Oczywiście Henryk myśli, że Lucjusz jest dla Gerdy tylko ciężarem. Prawdopodobnie sama Gerda mu to powiedziała. Dodatkowym bólem napełniały go pogardliwe słowa Gerdy, własna rozpacz z powodu jej niewypowiedzianej porażki i bezsilna, paląca wściekłość na Henryka. A więc Gerda może być pokonana i świat może się zmienić; i co się z nim teraz stanie? Reks nigdy nie pozwoli mu zamieszkać u Audrey. Pochylił się i podniósł pozostawiony przez Gerdę koszyk z kwiatami. Najważniejsze, że wizja załamanej, pokonanej Gerdy napełniała go trwogą i dzieciennym przerażeniem. Wszedł do salonu.

Gerda siedziała wyprostowana na krześle przy oknie, z wzrokiem utkwionym w jeden punkt. Przez chwilę zdawało się Lucjuszowi, że dostała apopleksji.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– Tak, oczywiście. Zamknij okno, jest koszmarny przeciąg.

– A więc jestem słaby i żaloszny. Cóż, przypuszczam, że to prawda. Czy mówiłaś Henrykowi, że żyję na twój koszt?

– Nie pamiętam. Może. Rozzłościło mnie, że z góry założył sobie, co nas łączy.

– Nie rozumiem, dlaczego miałabyś się złościć?

– To nieważne. Słuchaj...

– Ale dla mnie to ważne. Może nadszedł czas, żebyśmy się rozstali?

– Och, przestań gadać głupstwa.

– Myślę, że bardzo dzielnie to przyjąłeś... no i chyba ja też przyjąłem to dzielnie.

– Ja tego nie przyjąłem – powiedziała Gerda.

– Myślisz, że Henryk nie mówił na serio?

– Och, na serio. Jest pod wpływem tej kobiety. Ale nie pozwolę, żeby tak się stało. Nie możemy do tego dopuścić.

Mój drogi Kato!

Przykro mi, że odszedłeś. Przykro mi, że Ci prawilem kazania, wszystko wyszło nie tak. Jeśli chodzi o tego chłopca, po prostu tak mi się zdawało. Może przełamanie hamulców i miłość do niego to jedyna droga jego ratunku. Kto wie? Na pewno nie ja. Może przyprowadzisz go tutaj? Jeśli to konieczne, moglibyście nawet pomieszkać u mnie razem. W każdym razie, proszę Cię, wracaj i, na miłość boską, nie traktuj mnie, jakbym był urzędnikiem inkwizycji! Musiałem wspomnieć o tym jednym słowem w wyższych instancjach, ale nikt się tym nie przejął, wiesz, jak oni przyjmują takie sprawy. Prawdopodobnie na razie nikt nie zwrócił uwagi na Twoje dziwactwa, więc niech Ci się nie wydaje, że musisz decydować się prędko lub że uciekając w istocie już zdecydowałeś. Nie jest tak łatwo wyplątać się z tej sieci, mój drogi, i oczywiście nie mam na myśli pocziwego głupiego zakonu ani nawet, *sub specie temporis*, uprzykrzonego pocziwego Kościoła. Ryby ruszają się w wodzie, ptaki w powietrzu i miotając się w kółko nie uciekniesz od miłości Boga. Powiedziałbym nawet: nie martw się o kapłaństwo. To znaczy, mógłbyś je porzucić nie rozstając się wcale z religią. Chociaż, z drugiej strony, powiedziałbym również: dla Ciebie żyć w Bogu oznacza być księdzem. Jeśli kiedykolwiek widziałem prawdziwego księdza, to na pewno Ty nim jesteś. I choć to, co mówię, może się wydać niepoważne, przecież złożyłeś uroczystą obietnicę. Nie odrzucaj tego, który złożył tę obietnicę, bądź lojalny choćby jeszcze przez jakiś czas, poczekaj na pouczenie. Duch jako doświadczenie, jako wizja, jako radość powróci. Poczekaj. Nie próbuję pomniejszać wagi Twojego „kryzysu intelektualnego”. Jesteśmy intelektualistami, musimy przechodzić te kryzysy, w gruncie rzeczy przełamywanie takich kryzysów to zasadnicza część naszego zadania. Musimy cierpieć za Boga naszym intelektem, iść ciągle naprzód i podejmować wysiłki. Oczywiście nigdy nie możemy całkowicie poznać prawdy; biorąc pod uwagę dystans pomiędzy człowiekiem i Bogiem, to chyba w ogóle niemożliwe. Nasza prawda jest w

najlepszym razie mglistym odbiciem, a jednak nie możemy ustawać w próbach rozumienia. Zresztą sam to wszystko wiesz. Nie twierdzę, że nie powinienes „zмагаć się”, ale że powinienes robić to pozostając w Kościele, blisko tego, czego kiedyś byłeś taki pewny. Powiedziałeś: „Chrystus wkroczył w moje życie”. Cokolwiek wtedy się zdarzyło, coś się jednak zdarzyło. To nie była po prostu „omyłka”. Wytrwaj tylko i przyjmuj wszelkie zmiany z ufnością wiary i nadzieją na łaskę. Nie uciekaj, nie kryj się, zatrzymaj się przy swoim objawieniu i bądź mu wierny, a ono samo się odrodzi. Bo jeśli tylko zaczekasz, na pewno tak się stanie. Istnieje mistyczne życie Kościoła, któremu musimy się poddać nawet w chwilach zwątpienia. Nie zaprzataj sobie umysłu zagadkami pojęć i obrazów, które, jak dobrze wiesz, mogą być zaledwie słabymi przeblyskami boskości. Zatrzymaj się. Poczekaj. Nie można uciec od Boga. I na razie nie rezygnuj ze swych zadań kapłańskich. Odprawiaj mszę, nawet jeśli odczuwasz, że to jakiś „hokus pokus”! No i wracaj. Czekam.

Zawsze Twój kochający *in Christo*

Brendan

Drogi Synu!

Brendan opowiedział mi o Twoich kłopotach, mam nadzieję, że nie weźmiesz mu tego za złe. Jak Ci może wiadomo, chorowałem. Może przyjechałbyś zobaczyć się ze mną? Zaniepokoiła i zmartwiła mnie wiadomość o tym, że myślisz o opuszczeniu zakonu. Nie spiesz się z decyzją i zawierz objawieniu, które zaprowadziło Cię do Boga. Widziałeś Go wtedy w jasności i z radością nie znaną wielu świątobliwym. Wytrwaj na razie w swojej dawnej pewności. Na wszystkich nas przychodzi ciemność i kiedy zabraknie światła, musimy pokornie chronić płomień wiary w naszych sercach. Nie wysilaj się i nie szukaj niecierpliwie jakiejś nowej pewności. Siła woli nic tu nie pomoże. Twoim zadaniem jest miłość i miłość jest Twoją nauczycielką, poprzestań na tym i czekaj cierpliwie, aż prawda się objawi. Wiesz, że nie jestem uczonym ani filozofem czy teologiem jak Brendan, który, pewien jestem, potrafi znacznie lepiej z Tobą dyskutować. Ja nie umiem dyskutować, ale wskazuję na Tego, który jest naszą drogą, naszą prawdą i naszym życiem. Spójrz w górę na Chrystusa, a zobaczysz żywą prawdę doskonałej miłości. Tam wszelka mowa jest milczeniem i w tym mieści się wszystko, co istotne i potrzebne. W miłosierdziu i prostocie ducha trzymaj się tego, co uznałeś za cenne i święte w swoim życiu, mój drogi Synu. Byłbym szczęśliwy mając pewność, że jesteś z Brendanem, a nie sam. Jeśli to niezbyt trudne, chętnie

widziałbym Cię u siebie. Mam nadzieję, że potrafisz odczytać moje chwiejne pismo. Niech Cię Bóg błogosławi, drogi Kato, i w swojej mądrości zachowa Cię w opiece.

Twój kochający przyjaciel

J. Milsom

Z tymi dwoma listami w kieszeni Kato stukał do drzwi niewielkiego parterowego mieszkania przy Holland Park. Było późne popołudnie i ulica tonęła w żółtawym półmroku; padał drobny deszczyk. Sutanna Katona była mokra. Nie udało mu się znaleźć parasola.

Drzwi przytrzymywane łańcuchem otworzyły się odrobinę i ze środka odezwał się głos kobiety:

– Tak?

– Pani Beckett?

– Tak. Czego pan chce?

– Jestem ojciec Forbes. Kiedyś już tu byłem, pamięta pani? Jestem przyjacielem Joego.

– Kogo?

– Joego. Josepha. Pani syna. Czy mogę wejść?

Drzwi się zamknęły. Słysząc było szcęk zdejmowanego łańcucha, ale drzwi nie otworzyły się, tylko uchyliły, i Kato usłyszał ginące w głębi mieszkania człapanie nóg w rannych pantoflach. Traktując to jako zaproszenie do wejścia, zamknął drzwi i ruszył wąskim ciemnym przejściem, a następnie wszedł do oświetlonego pokoju na wprost.

Pani Beckett zdejmowała ze stołu kieliszek i opróżnioną do połowy flaszkę czerwonego wina. W pokoju czuć było jego zapach.

– Przepraszam, że panią niepokoję. Miałem nadzieję, że po powrocie ze szkoły będzie pani w domu.

– Ze szkoły? Już tam nie chodzę.

Odstawiwszy wino do małego kredensiku, pani Beckett odwróciła się twarzą do Katona. Miała podbite oko, spuchniętą wargę i rozległy siniec na policzku. Kato napatrzył się już tylu rzeczom w Notting Hill, że potrafił domyślić się, co to oznacza, i powstrzymać od uwag.

Chociaż jeszcze się nie ściemniło, zasłony były zaciągnięte i pokój oświetlała jedna mała lampa w zielonym abażurze. Pani Beckett usiadła ciężko przy stole. Kato naprzeciwko niej.

– Więc który to z nich, jak pan mówi?

– Który... ach, z pani synów... Joe. Pamięta pani, kiedyś przychodziłem...

– Nie pamiętam. Ludzie są zawsze tacy sami. Przyszedł taki jeden w zeszłym tygodniu pieniądze zbierać. Nie zostawia człowieka w spokoju, to jak tajna policja, wiecznie tylko człowieka szpiegują i prześladują. Chyba mają jakąś listę. Odeszłam już od Kościoła, skończyłam z tym dawno temu.

– Nie chcę pani prześladować – powiedział Kato. – I nie zajmę pani wiele czasu.

– To dobrze. Jakby tu pana znalazł, urządziłby pana tak jak i mnie. Przypuszczam, że Joe ma kłopoty.

– Jeszcze nie, ale pewnie niedługo będzie miał. Nie ma pracy i wydaje mi się, że żyje z drobnych kradzieży.

– To świetnie. Niech się trzyma drobnych kradzieży! Wszyscy jego bracia poszli na grube.

– Powiem krótko, pani Beckett.

– Dominik jest w więzieniu, Pat i Fran wywieśli za granicę, a przynajmniej tak mi się zdaje, mówili o tym i od lat nie odezwali się ani słowem, Benedykt żyje na utrzymaniu jakiejś dziwki w Birmingham, a Damian zatrzał się proszkami i umarł w styczniu.

– Bardzo mi przykro...

– Och, nie ma powodu, ja się nie przejmuję, jak przychodził, to tylko po to, żeby mi nawymyślać. A co się stało z Joem?

– Zastanawiałem się, czy pani ma na niego jakiś wpływ, czy miałoby sens, żeby pani spróbowała się z nim zobaczyć i...

– Nie. Po prostu nie. Napije się pan? – Pani Beckett przechyliła krzesło i sięgnęła do tyłu, wyciągając flaszkę czerwonego wina. Ciężko wzdychając, wstała i poszukała kieliszków.

– Nie chce pan? Ale pozwoli pan, że ja?

– Zastanawiałem się, czy w rodzinie jest ktoś, kto mógłby pomóc, choćby na przykład wziąć go na wakacje...

– Jego całe życie to jedne wakacje. Nie, nie ma żadnej rodziny. Brat nie chce nas znać. Reszta się pogubiła, porozjeżdżali się Bóg wie gdzie, a może to raczej ja się zagubiłam. Najlepiej by było, jakby pan już sobie poszedł. Boże, ale jestem zmęczona.

Kato spojrział na panią Beckett. W rzadkich ciemnych włosach miała pełno klipsów i wałków, a spuchnięte wargi pokryła szminka. Ręka trzymająca kieliszek drżała. Spojrzała na trzęsącą się rękę i powiedziała jeszcze raz:

– O Boże, ale jestem zmęczona. – Oczy jej napełniły się łzami, które lekko spływały na policzki.

– Proszę mi wybaczyć, że przyszedłem z panią pomówić, ale jestem księdzem, a pani, cokolwiek pani powie, jest jednak katoliczką. Przyszedłem porozmawiać o Joem, ale bardzo chciałbym również pani pomóc. Musi pani odnaleźć swoją drogę do nadziei i radości. Droga jest otwarta, jeśli tylko zechce pani na nią wstąpić. Droga to Chrystus i Chrystus jest naszą nadzieją. Zanieś tam swoje brzemie i przyjmij Jego miłość, ukryj się w Jego miłości, a On cię uleczy. Nie rozpaczaj. Cokolwiek się zdarzyło, świat może się odnowić i naprawić. Dlaczego pani nie przyjdzie do kościoła, dlaczego nie przyjdzie pani na mszę? Nie wiem, jakie są pani kłopoty, i nie przyszedłem tu, aby panią prześladować czy wypytywać. Naprawdę serdecznie i pokornie pragnę pani pomóc. Proszę przyjść czasem do kościoła, choćby po prostu posiedzieć. Miłość Boga pozostanie z panią, jeśli tylko zechce pani spokojnie oddychać i pozwoli, aby na panią spłynęła.

– Niech się ojciec odpierdoli – powiedziała pani Beckett, dalej wpatrzona w kieliszek, który zaczął podskakiwać w jej ręku. – Bo inaczej jeszcze się z nim ojciec spotka. I proszę nie przychodzić tu więcej. Jeśli tylko ojciec zechce być tak uprzejmy.

– Co do Joego...

– Proszę nie zawracać mi głowy Joem. Nienawidzę Joego. Nienawidzę wszystkich moich dzieci i one mnie nienawidzą.

– Proszę, niech pani przychodzi do kościoła. Choćby po to, żeby się przyjrzeć naszemu Panu, przemówić do Niego. Albo proszę myśleć o Nim tutaj. Jest i tutaj, przy tym samym stole, w tym winie. Niech Bóg panią błogosławi. Proszę mi wybaczyć.

Kato wycofał się do ciemnego korytarza i wyszedł frontowymi drzwiami na ulicę, gdzie właśnie zapalono latarnie. W drzwiach wpadł na

tęgiego mężczyznę, który właśnie miał wejść do domu. Mężczyzna, śmierzdzący alkoholem, krztusił się, jakby miał zwymiotować, a potem plunął wprost na sutannę Katona. Drzwi trzasnęły.

Kato ruszył szybkim krokiem pociemniałą ulicą, która w świetle latarni nabrała niebieskawej barwy. Wciąż padało. Skręcił za róg. Niedaleko znajdował się kościół anglikański, zwrócił się pospiesznie w tamtą stronę i wszedł. Usiadł z tyłu w ciemności. W nagim, wilgotnym kościele ogarnęło go uczucie opuszczenia. Jak szybko i łatwo wydobył z siebie wielokrotnie odklepywany tekst. Ale nie znał teraz żadnych innych słów pocieszenia i jeśli słowa te były fałszywe, pocieszenia nie było nigdzie. Wyciągnął list ojca Milsoma, żeby go jeszcze raz odczytać, ale w ciemności nic nie widział. Wyjął list z koperty i podniósł do twarzy, przyciskając do ust.

Henryk obudził się wczesnym rankiem. A może nawet nie było tak wcześnie, bo nad zasłonami iskrzyła się smuga słońca. Nie mógł spojrzeć na zegarek, bo jednym ramieniem obejmował Stefanię Whitehouse, która jeszcze spała. Musieli leżeć tak w objęciach całą noc. Jakie to wzruszające. I jak zupełnie nie przypomina niczego, co zdarzyło się dotychczas w jego życiu. Ubiegłego wieczoru, a raczej musiało to być tego ranka, po raz trzeci się kochali, ale była to ich pierwsza wspólna noc. Oczywiście już przedtem spędzał noce z kobietami, choć nie było ich zbyt wiele. Nigdy jednak nie robił tego z takim spokojnym, milczącym przekonaniem, że jest to nieuniknione i właściwe. Wiedział, że ten brak obaw wynika częściowo z zależności Stefanii. Była więźniem jego woli i na swój pokorny sposób cieszyła się tym i demonstrowała ów stan poddaństwa. Henryk wielokrotnie słyszał o „intuicji” kobiet, ale nigdy przedtem się z nią nie stykał. Prawdopodobnie intuicja Belli i sprytnych dziewcząt z miasteczka uniwersyteckiego była przeżarta przez intelekt.

Jednak jego spokojna satysfakcja nie płynęła po prostu z poczucia, że Stefania jest jego „własnością”. Sandy wspominał podobno o jej uroku *femme fatale*. Henryk uznał, że to, co w niej dostrzegł, zasługuje na subtelniejsze określenie. Przypominała raczej tajemniczą milczącą kobietę spotkaną w świątyni, z którą spokojny i oczywisty wyrok boski nakazuje mu dzielić łożę. Henryk nigdy nie czuł się bardziej szczęśliwy z powodu braku innej drogi. Dziwne, ale przypominał mu się obraz Maksa z piękną kobietą niosącą lampę i mężczyzną przywiązany do góry nogami u jej boku. Jakież zupełnie absurdalne obrazy potrafił wymyślać Maks. Co dziwniejsze i co dawniej już przychodziło Henrykowi do głowy, choć

mężczyzna miał związane ręce i przypuszczalnie sztylet wbity w plecy, wyglądało na to, że jest mu bardzo wygodnie w tej niezwyklej pozycji! Kobieta, wylaniając się z rozjaśnionej lampą ciemności, pieści ręką jego udo. Jej twarz przypominała mu teraz odrobinę twarz Stefanii. I nagle zdał sobie sprawę, że zawsze w pewnym stopniu identyfikował się z mężczyzną tak wygodnie odwróconym do góry nogami. Okazuje się więc, że w pewien przewrotny sposób on jest jej niewolnikiem, a nie ona jego.

Oczywiście Stefania nie była ani piękna, ani młoda. Jakże dziwnie i tajemniczo objawia się starzenie ciała. Ocieężałość piersi i pośladków, pewne zgrubienie i stężenie mówią o latach nie gorzej niż zmarszczki. Bella, zawsze bardzo uwrażliwiona na konkurencję dziewiętnastoletnich rywalek, wiele o tym mówiła, tylko wybredny Henryk nie chciał słuchać. Teraz, kiedy trzymał w ramionach Stefanię Whitehouse, to, że nie jest młoda, napełniało go współczuciem i przyjemnością. Przyglądając się uważnie nasadzie jej włosów, dostrzegł, że są farbowane. Twarz, zniekształcona przez dwie ostre rysy wokół ust, które nie znikają nawet we śnie, wyglądała teraz starzej. Oczywiście jego pocałunki starły cały makijaż. Ze wzruszeniem obserwował twarz, z której znikł uwodzicielski wyraz ożywienia, we dnie stanowiący jej obronną maskę. Poruszyła się lekko i jedna z ciężkich piersi oparła się miękko o niego. Nagle poczuł palące ciepło jej uda przy swoim udzie. Mruknęła coś i twarz jej drgnęła. Pomyślał: może się jej wydaje, że jest z Sandym? Myśl ta nie stropiła go, lecz wręcz przeciwnie, wprowadziła w nastrój pogodny, pełen dobroci i rozmarzenia.

Scena z matką, po której pojechał prosto do Londynu, wstrząsnęła nim w nieoczekiwany sposób. Oczywiście nie miał złudzeń, że zgoda, tak demonstracyjnie i sarkastycznie wyrażona przez matkę, jest prawdziwa. Wiedział, że wymierzył jej okrutny cios i że ponosi za to poważną odpowiedzialność. Wiedział również, że jest dopiero na początku drogi, na której dowie się, do czego jest w istocie zdolny. Nie miał wątpliwości, że jego plan jest słuszny. Brak wątpliwości był zresztą nieodzownym warunkiem wszelkich drastycznych posunięć. Dokonywał swego morderstwa. W istocie, matkobójstwa. Na zbawienie i usprawiedliwienie mógł liczyć jedynie dlatego, że nie miał przed sobą innej drogi. Czuł się jak człowiek, któremu nagle włożono do rąk jakiś wielki, obezwładniający ciężar. Musiał go upuścić, bez względu na to, jaką wyrządzi szkodę. (Maks umiałby to namalować). Nie mógł, w sensie moralnym, duchowym i psychologicznym, stać się człowiekiem, w jakiego zamieniłaby go ta odrażająca własność. Zawsze nienawidził własności, lubił podróżować z lekkim bagażem i prowadzić rozchętane życie, więc czy teraz miał pozwolić, aby

sparaliżował go sentyment do domu własnych przodków? Rozdać pieniądze ludziom będzie łatwo. Przywiązanie do tradycji niewątpliwie będzie go bardziej krępowało niż to, że chwilami wydawało mu się czymś okropnym proponować matce, aby zamieszkała w Dimmerstone. W sumie jednak potrafił ocenić chłodno irracjonalny charakter więzów, jakie ciągle łączyły go z Laxlinden: czy nie może zatem w podobny sposób ocenić Gerdy? Było jej dobrze we dworze; ale większość ludzi starszych musi pogodzić się z pewnym obniżeniem poziomu życia. Jego matka jest już dość wiekowa na taką zmianę i z pewnością dostatecznie młoda, aby jej to nie podkopało. W końcu taka próba sił może jej nawet dobrze zrobić. Będzie chciała pokazać synowi, że nie została tym dotknięta, i w rezultacie prawdopodobnie odkryje, w zmniejszonej skali, całkiem nowe źródła radości życia.

Ujawniwszy swoje plany, Henryk poczuł ulgę. Był wdzięczny matce za stoicyzm, z jakim odegrała tę scenę. Nieomal z czułością podziwiał jej odporność. Oczywiście musiał to być dla niej straszny wstrząs. Była dość inteligentna, aby od razu zorientować się, że syn traktuje sprawę poważnie. Ale i jemu niełatwo przyszło zdecydować się na ten krok: w tym właśnie momencie nie miał na to specjalnej ochoty. Zapewne niedorzeczne, irytujące uwagi o Colette Forbes przyspieszyły odkrycie kart. Jego oświadczenie o Stefanii stanowiło rodzaj cięcia. Nie wyłożyłby wszystkiego tak otwarcie, gdyby nie był zły na Gerdę. W ten sposób minął ważny etap i poczuł, że jest nowym, a nawet bardziej miłosiernym człowiekiem. Musiał „podsumować” całą sprawę, aby była w ogóle do pomyślenia, aby mogła przybrać formę decyzji. Teraz, kiedy już ją wygłosił, mógł chłodno i dłużej zastanawiać się nad szczegółami.

Mówiąc Gerdzie, że zaręczył się ze Stefanią Whitehouse, Henryk traktował to prawie jako żart. Oczywiście był to żart okrutny i celowy, który miał nią wstrząsnąć. I Henryk, mówiąc to, naprawdę tego nie „myślał”, choć nie była to również „czysta fikcja”. W jakimś sensie pomysł ten wypłynął naturalnie i Henryk tylko zamienił go w przekorny żart, od razu oświadczając, że Stefania jest prostytutką. Bynajmniej nie pragnął, żeby matka rozczulała się nad przyjaciółką Sandy’ego. Trzeba było natychmiast oznajmić, że Stefania jest „nie do przyjęcia”, a impuls, który kazał mu zadreć matkę tą myślą, pojawił się całkiem nagle. Kiedy jednak zobaczył Stefanię następnym razem, stwierdził, że jest już pod wpływem tego „absurdalnego” pomysłu. Bo oczywiście nie był on bynajmniej absurdalny. Nie było żadnego powodu, aby nie żenił się ze Stefanią Whitehouse. Kochał ją. Ona go kochała.

A może oszalałem? – myślał Henryk. Nie. Nigdy jeszcze nie tkwiłem równie mocno w rzeczywistości. Przebywając tutaj z tą kobietą, jestem sobą bardziej niż kiedykolwiek przedtem, choć udział mojej woli jest tu mniejszy niż przeznaczenia. I właśnie dlatego jestem bardziej sobą. Nareszcie głęboko, po szyję, zanurzyłem się w przeznaczeniu, a chyba na tym właśnie polega szczęście. Wszystko to jakoś tajemniczo się łączy, sprzedaż majątku, odkrycie Stefanii. Tylko w ten właśnie sposób, przyszło mu na myśl, mogę się ożenić! Co za cud, jaka pełnia szczęścia! Jakie to słodkie i dziwne, że leżę tu w łóżku, obejmując dziewczynę Sandy'ego, i nie pozostało we mnie cienia niechęci czy złości. To ona dokonała tego cudu pogodzenia dzięki pokorze, prawdomówności, siłą głębokiej, nieświadomej intuicji. Jest cała kobiecością, cała tutaj, mogę posiąść ją całkowicie, nic, co do niej należy, mi nie umknie. No i, myślał, mogę ją mieć tylko żeniąc się z nią. Nagle mu się to objawiło. Nie mogę „utrzymywać” jej, jak robił to Sandy, nie istnieje taka możliwość moralna. A jeśli bym ją „puścił”, powróci do... Nie. Nie mogę jej puścić, nie zrobię tego, jest moja. Wszystko to oznacza, że nie mogę się z nią nie ożenić!

Stefania przebudziła się. Oczy jej otworzyły się szeroko, okrągłe, ciemne, wilgotne od snu. Wargi rozchyliły się w grymasie zdziwienia, który od razu zamienił się w uśmiech. Pociągnęła głowę Henryka za włosy ku sobie.

– Jesteś taki młody!

– To miłe – powiedział Henryk. – Często czuję się, jakbym miał sto lat. Ale nie dzisiaj.

– Co wolałbyś na śniadanie, herbatę czy kawę?

– Dopiero się obudziłaś, a już chcesz mi usługiwać. Lepiej zostań w łóżku i podziwiaj widok.

– Zostań z tym, kto cię kocha, i nie szukaj już.

– Czy to wiesz?

– Piosenka.

– Podoba mi się. Czy to nie zabawne, Stefanio, ty i ja. To zabawne, prawda? Jestem szczęśliwy. Czy jesteś szczęśliwa?

– Tak. – Odepchnęła go od siebie z uśmiechem. Potem się zachmurzyła. – Muszę wstać. – Wyślizgując się z objęć Henryka, wymknęła się i pobiegła do łazienki.

Henryk wstał leniwie z łóżka i włożył szlafrok. Uciekając pośpiesznie z Laxlinden, zabrał parę rzeczy ze sobą. Chyba teraz tu mieszkam – pomyślał. Chyba tak, prawda? Pomaszerował do kuchni i napił się wody. Ubiegłej nocy oboje o mało nie upili się białym winem.

Słońce zaglądało do pokoju, który połyskiwał wesołą czystością. Czuć było przyjemny zapach jakiegoś mydła. Tryskający zdrowiem i dobrym samopoczuciem Henryk stał przy oknie, podnosząc się lekko na palce, i spoglądał na złoconą kopułę Harrodsa i błękitne niebo zalane wiosennym słońcem.

Stefania, tonąc w falbankach kwiecistego negliżu, weszła bezgłośnie do pokoju.

– O, moja głupia gaska, umalowała się, uczesała!

– Musiałam strasznie wyglądać.

– Wyglądałaś ślicznie. Zresztą mamy to już poza sobą.

– Co takiego?

– Okres, kiedy ludzie przyglądają się sobie krytycznie. Jesteśmy teraz po prostu razem, jak dwa szczęśliwe i dobre zwierzaki w zagrodzie.

– To miłe. Mówisz takie miłe rzeczy.

– Czy masz sok pomarańczowy?

– Tak, proszę. Nie powiedziałaś, czy wolisz kawę, czy herbatę.

– Kawę. I grzanekę z miodem. Lubisz mnie chyba, Stefanio, prawda, lubisz mnie jako mnie, to nie jest tylko... to znaczy...

– Tak, tak, bardzo. Wiesz, jak bardzo. Bardzo.

– Dobrze. – Usiadł przy czystym, małym, białym stoliku. – Lubię twoje ręce, są takie pulchne, jak u dziecka.

– Jak... tak... O mój Boże, to takie dziwne – urwała, wpatrując się w niego.

– Tak. A jednak wydaje mi się, że znam cię od lat.

– Tak samo i mnie.

– Powiedz mi coś, Stefanio. Czy Sandy dał ci kiedyś pierścionek?

– Pierścionek? Nie, oczywiście nie. – Odwróciła się, sięgając po dzbanek z kawą, i nagle zaczęła cicho pochlipywać.

Henryk poderwał się i chwycił ją za ramiona, a potem pociągnął na sąsiednie krzesło.

– O co chodzi, moja malutka, co się stało?

– Jestem taka szczęśliwa, a nigdy w życiu nie byłam.

– Cóż, nie ma powodu do płaczu. Masz, weź moją chusteczkę.

– Ale, widzisz, wszystko to jest kłamstwem...

– To nie kłamstwo, Stefano, nic podobnego, jesteście tutaj, jesteście sobą, to prawda.

Wytarła oczy chusteczką, a potem zazgrzytała zębami, wydając z siebie jakiś zwierzęcy pomruk.

– Odejdiesz.

– Nie odejdę.

– I ja nie odejdę. Ach, mam dla ciebie tyle wdzięczności, byłeś taki miły, od chwili kiedy tak cudownie nazwałeś mnie „panną Whitehouse”. Ale ja jestem taka głupia i ciemna, jestem nikim, nic nie umiem. Nie wiesz, jaka jestem. To wszystko, to wszystko nieprawda, to jest, ach, przebacz mi, przebacz. – Chwyciła go za rękę i pocałowała, przyciskając ją do gorącego, mokrego, świecącego od łez policzka.

Henryk przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Pamiętasz swoją piosenkę? „Zostań z tym, kto cię kocha, i nie szukaj już”.

– Ale to tylko... głupia... piosenka.

– Pobierzmy się, Stefano, dobrze? Co o tym myślisz? Poczul, jak sztywnieje w jego objęciach.

– Co? Coś ty powiedział? – odezwała się chrapliwie.

– Powiedziałem: „Pobierzmy się”. Albo, jeśli wolisz wyrażenie tradycyjne, czy wyjdiesz za mnie, Stefano?

Patrzyła na niego wielkimi, pełnymi łez oczyma i czuł, jak jej palce zaciskają się boleśnie na jego ramieniu. Potem zaczęła się śmiać. Próbując utrzymać ją przy sobie, zobaczył mokre wargi i czerwone wnętrze ust. Wrywał się z nich, jak gdyby nieumyślnie, potok histerycznego śmiechu. Kopnęła go w kostkę rannym pantoflem, puścił ją i uciekła z pokoju.

– Stefano, Stefano, przestań!

Śmiejąc się po wariacku i gubiąc po drodze pantofel, pobiegła do sypialni i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Szarpnął drzwi, skoczył i o mało nie runął na nią całym ciałem. Leżała na łóżku, bębniąc nogami i trzęsąc się od przerażającego śmiechu.

– Stefanio, uspokój się, dosyć tego wrzasku.

Przez moment walczyli ze sobą, a w chwilę potem leżeli już cicho, objęci. Po niecałej minucie powiedziała, mrucząc mu do ucha:

– Tak, tak, tak.

Henryk znieruchomiał z zamkniętymi oczyma, triumfujący, przerażony. Leżał wyciągnięty w wielkiej czerwonej grocie, która przypominała usta Stefanii, i drżał z upojenia, radości i obawy, ogarnięty przecuciem nieodwołalnego przeznaczenia.

– Chyba pierwszy raz, ojczy, upiliśmy się razem.

– Ojej – powiedział Kato – więc uważasz, że to właśnie to?

Siedzieli przy świeczce w sypialni Katona. Światło było wyłączone. Niedługo przyjadą buldożery i zaczną rozwalać ulicę. Dom, świadomy bliskiego już końca, był tego wieczora dziwnie rozchwiany i kruchy; Kato, wpatrując się w chłopca, czuł się, jakby siedział w chwiejnym domku z tektury. Szyby dygotały od wiatru, zamknięte drzwi przesuwwały się i stukały. Kato siedział na łóżku, a Piękny Joe tuż koło niego na krześle. Na podłodze stał przyniesiony przez Joego wielki dzban wina. Były tylko dwie świeczki, jedna na komodzie, druga na parapecie. Płomienie ich migotały w mocnym przeciągu.

Kato miał za sobą zwariowany dzień. Zaczął się od prawie bezsennej nocy. Łóżko było wilgotne, w domu nagle zrobiło się bardzo zimno. Śniła mu się pani Beckett. Rano zastanawiał się, czy powinien pójść i jeszcze raz się z nią zobaczyć, ale zdecydował, że to bez sensu. Zaczął pisać list do Brendana, ale go podarł. Wyszedł z zamiarem, że zadzwoni do ojca Milsoma, ale wszystkie budki telefoniczne w okolicy były zniszczone przez chuliganów i automaty nie działały. Poczul się nagle okropnie głodny i zorientował się, że nie ma już pieniędzy. Głód zaprowadził go wreszcie do domu ojca Thomasa, od którego niechętnie pożyczył funta. Ojciec Thomas miał tę dobrą stronę, że był dość dalekim znajomym. Jednak jakieś plotki już musiały krążyć. Przyglądał mu się łagodnymi i współczującymi oczyma, zaprosił go na lunch, proponował, aby został na noc. Kato uciekł. Zjadł jajka na boczku w małej kawiarence, a potem zaczęło go mdlić.

Kiedy wracał do domu, świat nagle wypełnił się znakami. Na ścianie zobaczył napis: *Activate Kundalini*. I znowu: PANORAMA SPODNI. Tylko teraz słowa te nie były już śmieszne, ale groźne.

Wrócił, położył się na wilgotnym łóżku i natychmiast zasnął. Śniło mu się, że ojciec Milsom jedną ręką otwiera drzwi, a drugą chwyta go za przegub i Kato próbuje się wyrwać. Obudził się w półmroku i zobaczył, że przy jego łóżku stoi Piękny Joe, trzyma w ręku dzban z winem i wpatruje się w niego z dziwnym napięciem, bez uśmiechu.

– Z tobą jest jak z diablem z pudełka, ojcie. Raz cię widać, innym razem nie.

Było późno. Wypili prawie cały dzbanek wina.

– Przepraszam – powiedział Kato. – Zabrnąłem gdzieś... chyba teraz już wiesz... i nie widzę wyjścia... nie wiem, co mam robić...

– Lubisz się ze mną drażnić, ojcie, to po prostu to.

– Wcale nie lubię – ciągnął Kato. – Chcę być szczery, chciałbym mówić z tobą o wszystkim, powiedzieć ci wszystko. – Czy jestem pijany? – pomyślał. – Przy tej ilości wina chyba nie.

– Więc powiedz mi. Wiesz, że jestem twoim przyjacielem.

– Jakie to miłe, Joe, że to mówisz, że właśnie to mówisz. Tak, jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

– O to chodzi, ojcie. Teraz powiedz mi coś i zalejemy to winem.

– Byłem wczoraj u twojej matki.

– Ojej... dlaczego to zrobiłeś?

– Chcę ci pomóc, Joe, chciałbym ci pomóc ze wszystkich sił. Myślałem, że mogłaby... wpłynąć na ciebie albo powiedzieć mi o kimś, kto mógłby to zrobić. Ale to na nic.

– To po prostu pijana dziwka.

– Nie mów tak o własnej matce, Joe. Nie litujesz się nad nią? Ona tak bardzo potrzebuje miłości. Czy nie znajdziesz dla niej miłości w swoim sercu? Gdybyś znalazł, to byłoby takie cudowne dla was obojga.

– Jak tylko się do niej zbliżyć, wrzeszczy i przeklina. Proszę cię, nie mów o niej. Skończyłem z nią. Wszystko mi jedno, czy ta suka zdechła, czy jeszcze żyje.

Kato westchnął. Doszedł do wniosku, że kontynuowanie tego tematu nie ma sensu, tak samo jak powiadamianie Joego o sytuacji Dominika, Benedykta, Pata, Frana i Damiana.

– Próbowałem – powiedział Kato. – Próbowałem na różne sposoby. Wszystko zawodzi.

– Co ty mówisz, ojcze?

– Przepraszam, po prostu głośno myślę. Powiedz mi, Joe, czy nie myślałeś kiedyś o małżeństwie? Małżeństwo mogłoby ci bardzo dobrze zrobić.

– Małżeństwo? Nie! Te cizie, z którymi się stykam, to dno. Gdybym miał żonę, tobym ją zabił. Prawdę mówiąc, wolę mężczyzn. Dziewczyny są tylko dla seksu. A nawet i to lepiej wychodzi z facetem.

Kato się zamyślił. Czuł, że jest w labiryncie, w którym musi bardzo ostrożnie i uważnie szukać swojej drogi. Tylko wszystko poruszało się tak szybko, że przypominało raczej samolot niż labirynt. Wrażenie pędu było nieomal fizyczne, jak gdyby sufit nagle przesunął mu się nad głową. Z wysiłkiem skupił wzrok na drżącym płomieniu świeczki. Wiedział, że powinien kończyć tę rozmowę, ale wiedział również, że mu się to nie uda. Musisz te sprawy jakoś uporządkować, jakoś to załatwić, powiedzieć prawdę – myślał. Wszystko będzie w porządku, jeśli tylko potrafię sięgnąć do źródła tego wszystkiego.

Odezwał się:

– Joe, muszę powiedzieć ci o sobie coś ważnego.

– Wiem co, ojcze.

Kato nie zrozumiał odpowiedzi. Ciągnął dalej:

– Postanowiłem, że nie mogę dalej być księdzem. Joe najwyraźniej tego się nie spodziewał.

– Och, nie, ojcze! Na pewno nie mówisz tego serio! Nie możesz być nikim innym, tylko księdzem. Gdybyś nie był księdzem, byłbyś nikim.

– Więc będę musiał być nikim – powiedział Kato. Nigdy jeszcze nie widział tego tak jasno jak teraz.

– Nie, nie, ojcze. Nie mówisz tego poważnie. Nigdy z tym nie zerwiesz, wiem, że tego nie zrobisz, nie możesz, po prostu ja cię niepokoję.

– Ty mnie niepokoisz? – Gdzieś kryła się logika, ale gdzie? Logika była ramą, która się na niego chyliła, spadając tak, że o mało nie został

posiekany przez jej ostre kanty. – Joe, powiedz mi prawdę. Czy rzeczywiście jesteś przestępcą?

– Nie chodziło mi o to, ojciec.

– A co innego mogłoby mnie niepokoić? – powiedział Kato. Tak bardzo próbował jasno myśleć, ale wszystko, co mówił Joe, brzmiało nie tak, jak trzeba, jak gdyby stanowiło odpowiedź na zupełnie inne pytanie. – Czy jesteś przestępcą, Joe? Czy związałeś się naprawdę ze złymi ludźmi?

– Nie, oczywiście że nie, ojciec. Nikt nie jest naprawdę zły. To społeczeństwo jest złe. A skoro mówisz o przestępcach, to każdy w gruncie rzeczy jest przestępcą. Ty nie jesteś, dlatego cię kocham. Dlatego właśnie będziesz dalej księdzem. Muszą być jacyś ludzie, którzy nie mają z tym nic wspólnego.

– Ale czy robisz rzeczy niedozwolone?

– Tak, odrobinę, ale tak robią prawie wszyscy. Wszyscy oszukują, wszyscy kradną. Gdyby mogli, ciągle by to robili, pozwalaliby sobie, tylko często nie wiedzą jak albo się boją. Ściągam czasem różne rzeczy, ale nigdy od biednych, tylko z dużych sklepów, dla nich to niewielka strata, liczą się z tym, że ktoś coś podłapie. To nie kradzież, wiele ludzi, nawet szanujących się, tak robi, nie wiesz nawet. Żyjesz w jakimś śmiesznym własnym świecie, ojciec. Nie wiesz, jak żyją zwykli ludzie. Ale lubię cię takiego, cieszę się, że istniejesz, dla nas, dla innych, w swoim śmiesznym świecie.

– To, co nazywasz śmiesznym światkiem, to świat prawdziwy – podkreślił Kato. – Jest w nim Bóg, a w każdym razie prawda, bo nie wiem już nic o Bogu. Jesteś młody, Joe. I bardzo piękny. – Kato nie zamierzał mówić ostatnich słów, ale kiedy wyrwały mu się z ust, zablokowały jak gdyby to, co miał powiedzieć potem, a było to coś bardzo ważnego.

Kołyszące się płomienie świec rzucały długie cienie i po pokoju krążyły niespokojne światelka. W pulsującym półmroku wydawało się, jakby twarz Pięknego Joe nie była oświetlona, tylko sama się jarzyła. Przerywane światło padało na jego cienkie nogi, ukazując spłowiały materiał na kolanach dżinsów, i na duże, długie ręce, które zwisały, kiedy pochylał się do przodu, lub podnosiły się, aby przygłodzić włosy albo udzielić rozmówcy swoistego błogosławieństwa. Mimo zimna w pokoju zdjął marynarkę i starannie zawinał rękawy koszuli. Błyszczące, przyczesane włosy były świeżo ostrzyżone.

– Tak – rzekł Kato, wyciągając rękę.

Joe ujął ją w swoje dłonie ufny i spokojny gestem, który wywołał w Katonie odruchową wdzięczność. Joe przysunął swoje krzesło nieco bliżej. Jaki on taktowny – pomyślał Kato, jaki czarujący, jaki po prostu cholernie inteligentny.

– Bardzo mi na tobie zależy, ojciec – powiedział Joe. – Dawniej tak nie myślałem. To był zwyczajny zgryw, taki żart. Wszystkich nas to bawiło. Zgrywaliśmy się z was, z ciebie i tych dwu innych, nie domyślałeś się nawet jak.

– Tak mi się zdawało – przyznał Kato. Trzymał bezwładnie rękę, poruszając nią bardzo delikatnie w odpowiedzi na coraz mocniejszy uścisk Joego.

– Ale teraz jest inaczej. A ty ciągle jesteś taki sam. Niepotrzebnie się niepokoisz.

– Joe, kocham cię – powiedział Kato.

– Wiem, ojciec, i jestem ci bardzo wdzięczny, to bardzo ważne.

– Ale, Joe, co możemy zrobić?

– O co ci chodzi, ojciec?

– Muszę ci pomóc, muszę cię uratować, jesteś wszystkim, co mi teraz pozostało, twoja sprawa to jedyne dobro, jakie mogę jeszcze uczynić na tym świecie. Nie mogę pozwolić, żebyś się zmarnował, po prostu wiem, że jeśli będziesz dalej postępował tak jak teraz, staniesz się strasznym człowiekiem.

– Masz fantazję, ojciec. – Joe ścisnął dłoń Katona, uwolnił ją i sięgnął po wino. Napełnił kieliszek Katona, Kato położył rękę na kolanie Joego, wyczuwając kości i ciepło jego ciała.

– Mój drogi chłopcze, nie zamień się w łotra, bezlitosnego egoistę. Tak nie musi być. Powiedz mi tylko, co mam zrobić, żeby ci pomóc. Pozwól mi zostać z tobą i dzielić twoje życie. Moglibyśmy wyjechać z Londynu i zamieszkać gdzieś indziej, pracować, może pomagać ludziom. To by ci się spodobało, masz to w sobie...

– Wątpię, ojciec. Chyba postradałeś rozum. Z czego będziemy teraz żyli? Może twój bogaty przyjaciel będzie nas utrzymywał, ten, co to chce się pozbyć wszystkich pieniędzy?

– Moglibyśmy pracować. Mógłbym uczyć. Mógłbym cię utrzymywać, dopóki nie zdobędziesz jakiegoś zawodu. Jesteś zdolny, jest cała masa rzeczy, których mógłbyś się uczyć...

– A twój bogaty przyjaciel pomoże nam?

– No cóż, może i tak. Ale my sami musimy sobie pomóc, Joe. Możemy to zrobić, obydwaj, dlaczego nie? Ja bym ci nie zawadzał ani nie byłbym dla ciebie ciężarem, mógłbyś żyć własnym życiem. Po prostu byłbym przy tobie i pomagał ci. A kiedy już wejdiesz na dobrą drogę...

– Jesteś nie z tego świata, ojciec. Czego właściwie chcesz? Czy chcesz, żebyśmy byli kochankami?

Joe zdjął rękę Katona ze swojego kolana, ścisnął ją i puścił. Kato usiadł głębiej. Spoglądał na jarzącą się twarz, wędrując po niej wzrokiem. W myśli i w wyobraźni odtwarzał sobie zarys jasnych sześciokątnych okularów. W żywych, łagodnych piwnych oczach widać było rozbawienie. W obliczu tego zupełnie uczciwego pytania Kato zachował dziwny spokój.

– Nie wiem – powiedział. – Nie myślę.

– Więc o co ci w końcu chodzi, ojciec?

Nagle światło zachybotało od podmuchu otwieranych drzwi i jeden z płomyków zgasł. Krzesło Joego szarpnęło się do tyłu i Kato wydał okrzyk przerażenia. Dostrzegł ciemność ziejącą za otwartymi drzwiami, a koło nich błądą, wysoka, świetlista postać. Przez chwilę zdawało się, jak gdyby jakaś fascynująca istota anielska zjawiała się w pokoju. Potem w wątlym świetle pojedynczej świeczki rozpoznał siostrę.

– Colette!

– Jak się masz – powiedziała dziewczyna. Ubrana była w długi srebrzysty płaszcz deszczowy. Potem zwróciła się do Joego. – Jak się masz, Piękny Joe.

– Jak się masz, Piękna. – Joe stał za krzesłem, oświetlony od tyłu świeczką. Uniósł krzesło i opuścił je. Wydało odgłos podobny do stukania obcasami.

– Colette, na litość boską, co ty tu robisz w nocy o tej porze?

– Wcale nie jest tak późno. Mieszkam u cici Pat. Ależ tu u was zimno. Dlaczego siedzicie po ciemku? Nie mogłam trafić do światła.

– Wyłączyli elektryczność. O co ci chodzi?

– Nie bądź taki zły. Po prostu poczułam się szczęśliwa, więc pomyślałam, że może zajdę do ciebie.

– Joe, czy mógłbyś zapalić drugą świeczkę? – powiedział Kato. – Proszę cię, Colette, zamknij drzwi... Jest tak... – Nie mógł znaleźć właściwego słowa.

Podczas gdy chłopiec zapalał jedną świeczkę od drugiej, Kato spoglądał na siostrę, która w kołyszącym się, tańczącym świetle wydawała mu się niezwykle wysoka, jak niebiańska istota promieniejąca czystą radością. Powiedziała, że poczuła się szczęśliwa, i Kato jakoś nagle posmutniał. Czy jest potępiony? Te sprawy wiązały się ze sobą. Wlepił w nią wzrok. Colette uśmiechała się, kręcąc ramionami w srebrnym płaszczu.

– Ciocia Pat pytała, czy nie przyszedłbyś do nas jutro na lunch.

Kato czuł się bardzo dziwnie. Kiedy Colette weszła do pokoju, chciał wstać, ale czuł, że jego nogi od kolan w dół są ciężkie i zimne, jak gdyby tkwiły w gipsie. Górna ich część jakby w ogóle nie istniała. Co się ze mną dzieje? – zastanawiał się. To nie może być tylko wino. Powoli przeciągnął ręką po krawędzi łóżka i widział, jak dłoń oddala się od niego podobna do bladego szczura.

– Twój przyjaciel mógłby też przyjść, jeśli zechce.

– Dokąd? – zapytał Kato.

– Jutro na lunch z ciocią Pat. Kato, czy tobie coś jest?

– Obawiam się, że jutrzejszy lunch zupełnie nie wchodzi w rachubę – powiedział Kato. – Ale podziękuj cioci Pat. Przepraszam cię, jestem chyba trochę zalany, a może to grypa. Lepiej idź już, Colette. Przyjdź, kiedy będzie jasno. Wszystko jest takie okropnie... trudne w ciemności.

Z wielkim wysiłkiem wciągnął nogi na łóżko. Mechanika tej nowej pozycji polegała na tym, że leżał teraz płasko na plecach. A przynajmniej tak mu się zdawało, ponieważ widział nad sobą tylko czarne rysy na jasnozielonym suficie. Nagle drzwi otworzyły się i zamknęły i sufit zachwiał się niespokojnie w blasku rozchybotanych świec.

Kato usłyszał głos Pięknego Joe:

– Mówisz, ojczy, że mnie kochasz, ale nie pozwolisz mi się zbliżyć do swojej drogocennej siostry, prawda?

– Joe – powiedział Kato – czyś ty coś wsypał do wina?

– Dlaczego nie mielibyśmy pójść na ten lunch? Ja chciałem iść.

– Czy wsypałeś coś do wina?

– No tak, odrobinę, nie na prawdziwy sen, myślałem, że to ci może ułatwi sprawy.

– Bardzo dziwnie się czuję – powiedział Kato. – To nie jest nieprzyjemne. Po prostu dziwne.

Usłyszał jeszcze raz, z pewnej odległości, głos Joego rozbrzmiewający w wielkiej pustce.

– Po co tu przyszła ta cholerna kurwa?

Kato zamknął oczy. Natychmiast poczuł, jak szachowa maszyna do mielenia myśli spada na niego z góry, pola szachownicy zamieniają się w setki okien, a w każdym z nich stoi jego ojciec w stroju kardynała i śmieje się, śmieje. Rozdzwoniły się dzwony, radosne dzwony, weselne dzwony.

– Mamo – powiedział Henryk – pozwolisz, że przedstawię ci moją narzeczoną, Stefanię Whitehouse. Stefanio, moja matka.

– Bardzo mi miło panią poznać – powitała ją Gerda.

– Była pani tak uprzejma, żeby mnie zaprosić – powiedziała Stefania.

Henryk był zdumiony i zadowolony, widząc, jak prędko matka przybrała postawę pełną realizmu. Jego plan dotyczący majątku przyjęła bez jednego słowa skargi. Przeprowadzili nawet całkiem przyjazną rozmowę na temat przyszłości Rhody. Oczywiście – myślał Henryk – teraz, kiedy zasadnicza koncepcja została już przyjęta, mogę do niej wprowadzić cały szereg humanitarnych poprawek. Jak to dobrze, że wyłożyłem wszystko w całości i bez usprawiedliwień. Teraz, kiedy minął już główny szok, będą mi wdzięczni za każdą drobną zmianę, jaką zdecyduję się wprowadzić później. Będą podziwiać moją szlachetność. Ale jakież to wszystko obłąkane.

Henryk miał teraz wrażenie, jakby poruszał się w świecie mitycznym. Nie miało to nic wspólnego ze szczęściem, szczęście wydawało mu się czymś frywolnym, związanym ze znacznie niższą formą świadomości. Czuł, że jest wielkim człowiekiem, jak olbrzym, jak starożytny bohater, i inni ludzie, z którymi ma do czynienia, są również wielcy, jaskrawo kolorowi, pod niebem tak bezchmurnym i jasnym jak w *Królu rybaków* Maksa. Wyłaniają się z piwnicy, wyłaniają się z jaskini. Gerda, Stefania, nawet Lucjusz, nawet ptasiogłowa Rhoda są wielcy, pełni znaczenia i godności. Henryk to sędzia ich losów; a jednak wiedział, że on też, w tej chwili, nie jest bynajmniej wolny, jest tworem jakiegoś wyższego przeznaczenia, tworem bogów. Dlaczego musi pozbyć się dziedzictwa? W dalszym ciągu

nie wiedział, dlaczego. Po prostu musi przekształcić wszystkie te przedmioty, te rzeczy i miejsca w czyste i łatwe do rozporządzenia pieniądze, a potem pozbyć się pieniędzy i stać się – jakim – wolnym, dobrym? Nawet te słowa były zbyt słabe na określenie tego, co opętany przez bogów Henryk chciał osiągnąć.

Volte-face Gerdy w związku ze Stefanią stanowiło jeszcze jedną zagadkę tej sytuacji. Matka Henryka, która pierwotnie przyjęła taktykę: „Nie wpuszczę tej kobiety do domu”, ostatnio wyraźnie sugerowała, że trzeba ją zaprosić. Henryk był zdumiony, a nawet stropiony. „Jeśli zdecydowałeś się z nią ożenić, muszę ją polubić, prawda?” – powiedziała Gerda w nagłym przypiływie spokojnego rozsądku. Henryk był poruszony. Już wcześniej zdecydował, że nie ma najmniejszego sensu sprowadzać Stefani do dworu, częściowo z powodu sprzeciwu Gerdy, ale również dlatego, że naprawdę, w myśl jego zamiarów, Stefania i dwór miały stanowić rzeczywistość innego rzędu. Prawdziwą istotą Stefani było w pewnym sensie to, że należała do świata ubogich, do którego Henryk miał zamiar się przyłączyć. Rozumując jeszcze prościej, dlaczego miał pokazywać Stefani bagatelkę, której wkrótce zamierza się pozbyć? Nie sądził zresztą, żeby to miało nią zachwiać w najmniejszym stopniu. Zdażył już, choć może niezbyt składnie, wytłumaczyć jej swoje plany, a ona nie oponowała. Była w dalszym ciągu wzruszająco wdzięczna i uległa i Henryk spoglądał w przyszłość z ciągle jeszcze lekko niespokojnym zadowoleniem. W Ameryce prowadził życie proste. Nawet jego pozornie skomplikowany stosunek z Russellem i Bellą stał się prosty, ponieważ byli takimi wspaniałymi ludźmi. Kiedy opuszczał Amerykę, czuł głęboką obawę, że nigdy nie będzie mógł powrócić i że nigdzie indziej nie będzie mógł prowadzić tak prostego życia. Teraz, kiedy miał przed sobą wizję całkiem zwyczajnego życia z żoną, pracy dla niej i opieki nad nią, poczuł, jak ogarnia go przyjemny cnotliwy zapach. Ostatecznie każda wielka zagłada prowadzi i musi prowadzić z powrotem do prostoty.

– Wy z Lucjuszem uciekajcie – powiedziała Gerda do Henryka – a my ze Stefanią porozmawiamy sobie przy herbatce.

Ptasiogłowa Rhoda, która rozłożyła nakrycia, powiedziała coś do Gerdy swoim niezrozumiałym *patois*.

– Tak, Rhodo, obiad na cztery osoby. Nie zapomnij poprosić Bellamy’ego o cebulę.

Henryk uśmiechnął się szeroko do Stefani i pomachał jej ręką, jak gdyby mówiąc: „powodzenia”. Cóż za szczególna scena! Ale ostatecznie

pokój jest lepszy od wojny, a zgoda od niechęci. Wraz z Lucjuszem wyszli za Rhodą z salonu.

– Chińską czy indyjską?

– Mhm... chińską, proszę.

– Mleko, cukier?

– Tak, proszę.

– Bardzo proszę, może pani sama nałoży sobie cukru. Koniecznie proszę zjeść kanapkę. Po podróży musi pani być na pewno głodna i zmęczona.

Podróż volvem po szosie zajęła około trzech kwadransów, ale Gerda stale zachowywała się tak, jak gdyby do Laxlinden nie można było dotrzeć inaczej, jak złą drogą i powozem zaprzężonym w konie.

Stefania wzięła niepewnie mokrą, złożoną we dwoje kanapkę, instynktownie zajrzała do środka, zarumieniła się i podniosła wzrok. Dwie kobiety spojrzały na siebie.

Obie zadbały o swój wygląd. Ubrane były bardzo prosto. Gerda miała na sobie lekką wełnianą suknię w mysiobrazowym odcieniu, z odpiętym kołnierzem i jaskrawą niebiesko zieloną apaszka. Rozpuszczone ciemne włosy szesane były gładko na ramiona. Stefania miała gładką czarną sukienkę, a przy kołnierzu broszkę w kształcie foksteriera wysadzaną diamencikami. Kasztanowate włosy były dyskretnie ułożone i odrobinę napuszone przez wytrawnego fryzjera. W rękę ścisnęła błyszczącą czarną torebkę. Miała bardzo skromny makijaż.

Powiedziała Henrykowi, że ma trzydzieści cztery lata – pomyślała Gerda. Ciekawam, czy to prawda. Ciekawam, czy naprawdę kochała Sandy'ego, czy chodziło jej tylko o pieniądze. Ciekawa jestem, czy Sandy... Była to tajemnica, sprawa drażliwa, nad którą, jeśli nie chce zwariować, nie powinna się zastanawiać. Ale jeśli Henryk ożeni się z tą kobietą, czy będzie mogła nie powracać obsesyjnie do tej sprawy? I czy Henryk będzie mógł? Oczywiście Gerda w całym swoim realizmie nie była tak życzliwa, jak się Henrykowi zdawało. Musiała przecież poznać jego narzeczoną. Ale później, kiedy oceni sytuację, będzie mogła obrać jakąś metodę postępowania.

Uśmiechnęła się zachęcająco do Stefanii.

– Henryk wspominał, że pani jest komunistką, ale potem dodał, że to żart.

– O nie, nie jestem komunistką. Naprawdę to nie mam nic wspólnego z polityką.

– Ja też nie. Uważam, że kobiecie z tym nie do twarzy, prawda?

– Nie, ja, mhm... nie.

Zapadła cisza. Potem Stefania powiedziała:

– Mam nadzieję, że to pani nie przeraża... to znaczy, mam nadzieję, że Henryk mówił pani...

– Nie, nie, ja... pani tak wiele wycierpiała... uważamy panią za ofiarę.

Było to wyrażenie Henryka i Gerda uznała je za użyteczne. Zdecydowała: Nie pozwolę, żeby ta kobieta opowiadała mi o swojej przeszłości. I nie pozwolę, żeby opowiadała mi o Sandym.

– Dziękuję! – powiedziała Stefania. Ona również uznała, że w ten sposób zadowalająco wyczerpały zagadnienie, przynajmniej na razie. Poczęstowała się następną kanapką, a potem odkaszlnęła z zażenowaniem.

– Pani jest dla mnie bardzo uprzejma. Nigdy nie myślałam, że mogę być zaproszona do... mhm... do dworu.

Gerda pospiesznie, na wypadek gdyby Stefania zechciała mówić o Sandym, dorzuciła:

– Prawda, że to piękna posiadłość?

– Tak, pięknie tu jak w bajce.

– Słyszała pani chyba, że Henryk zamierza ją sprzedać?

Gerda nie chciała poruszać tej sprawy wprost, ale poniosły ją nerwy.

Stefania okazała niepokój.

– Naprawdę?

– Tak. Nie wspominał pani? Mnie powiedział, że już o tym mówił i że pani jest z tego zadowolona. Ma zamiar sprzedać wszystko. Dwór i całą resztę, a pieniądze rozdać. Ja mam zamieszkać w małym domku. Przecież musiał pani o tym mówić?

– Mówił coś, ale ja nie zrozumiałam. Myślałam, że po prostu chce sprzedać jakieś pola czy coś takiego, nie sądziłam, że chce sprzedać dwór. Nie może sprzedać domu swoich przodków, to chyba niemożliwe.

– A właśnie że możliwe. Ale pani jest zadowolona?

– Nie. Uważam, że to okropne, okropne, nie może mu pani pozwolić.

– Pani nie może mu pozwolić – powiedziała Gerda. I dodała: – Nie możemy mu na to pozwolić.

Czy celem mojego spisku – pomyślała – jest, żeby właśnie ta kobieta została panią na dworze? Czy to jest moja najlepsza przyszłość, moja jedyna nadzieja? Nie mam wyboru – albo to, albo Dimmerstone. Z przekorną goryczą powiedziała:

– Ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żebyśmy mogły go przekonać. Przypuszczam, że pani jeszcze dobrze go nie zna. Jest wyjątkowo uparty. Wątpię, czy kiedykolwiek zamieszka pani we dworze. Henryk zostanie zapewne nauczycielem w Szkocji lub w Ameryce i będzie pani żyła z jego pensji. To taki romantyk i idealista.

– A pani zamieszka w małym domku. Uważam, że to okrutne.

– Cóż, kiedy tylu jest biednych ludzi...

– O, ja to dobrze znam, bieda to dla mnie nic nowego. Mogę pani powiedzieć, jak to wygląda, nie mieć mieszkania ani nic, to nie jest wcale zabawne ani romantyczne, jestem taka zmęczona, mam już dosyć...

– No to lepiej niech pani nie wychodzi za Henryka, dobrze pani radzę – powiedziała Gerda. – Proszę, może pani spróbuje tego tortu z czekolady...

– Pani nie chce, żebym wyszła za Henryka.

– Chcę, żeby Henryk był szczęśliwy – ciągnęła Gerda. – Wydaje mi się, że będzie szczęśliwy z panią. Może ma rację. W każdym razie to, co ja myślę, nie ma znaczenia. Jestem stara.

Spoglądały na siebie.

– Przepraszam – zawstydziała się Stefania. Spojrzała w dół na swój talerz. Nagle powiedziała: – Chciałabym zobaczyć fotografię Sandy’ego... nie mam ani jednej... to nie znaczy, że zapomniałam, jak wyglądał... ale chciałabym zobaczyć jakąś fotografię...

Gerda przyciągnęła nogi do fotela i chwyciła za poręcz. Potem wstała i podeszła do chińskiej komody. Wyjęła z szuflady grubą kopertę i położyła ją na stole. – Proszę. Jest ich dużo.

Stefania zaczęła natychmiast pochłaniać fotografie wzrokiem.

– O, dziękuję... tak... był taki przystojny, prawda, znacznie przystojniejszy od Henryka... wyższy i... o mój Boże... – Łzy napłynęły jej do oczu i zaczęła niezręcznie szukać chusteczki w torebce.

– Przepraszam – powiedziała Gerda. – Muszę się dowiedzieć, co słyhać z obiadem. Proszę włożyć je z powrotem do koperty, jak pani skończy. Z pewnością znajdzie pani Henryka na tarasie.

Spokojnie wyszła z pokoju i bez pośpiechu poszła na górę do sypialni. Energicznie zrzuciła pantofle i położyła się na łóżku. Nie płakała, ale oczy jej rzucały wściekłe błyski. Otworzyła usta. Czuła, że życie jej minęło i że wszystko, czego teraz pragnie, to ukryć skandal i wstyd, wstyd z powodu własnej starości, obłąkanej rozpacz i utraty syna. Ukryje się w domku w Dimmerstone i na zawsze odetnie się od świata.

Henryk przemknął przez hall, pozostawiając matkę i narzeczoną zajęte tą dziwną rozmową. Choć był zadowolony, że spotkanie odbywało się tak spokojnie, w jakiś szczególny sposób przyprawiało go to o mdłości. W skrzynce po wewnętrznej stronie drzwi zauważył jakieś listy. Wyjął je. Jeden był dla Lucjusza, jak się domyślał, od Audrey, dwa rachunki dla matki i dwa listy adresowane do niego. Listy do matki i do Lucjusza położył na stole i przeskakując po kilka stopni na raz pobiegł do pawilonu „królowej Anny” i swojego pokoju. Stefania miała spać w pokoju czereśniowym obok sypialni jego matki. Jakie to dziwne, jakie niesamowite. Czy potajemnie odwiedzi Stefanię w nocy, czy ona go odwiedzi? Było w tym coś ze świętokradztwa, jakiś sensacyjny dreszczyk związany z przełamaniem starych tabu. Ale jednocześnie czuł mdłości. Matka jest na tyle szlachetna, że próbuje pokochać Stefanię. Henryk jednak postara się, żeby ten miły nastrój nie zatriumfował. Nie chce wcale, żeby te dwie kobiety wpływały na siebie nawzajem. Niejasno zaczynał mu się malować obraz przyszłości. Nie było w nim matki. Postanowił, że już następnego ranka zabierze Stefanię do Londynu. I nagle pomyślał, więc pewnie dzisiejsza noc jest ostatnia, jaką spędzam we dworze. Nigdy, nigdy więcej. Myśl ta napełniła go grozą.

Siadł na łóżku i spojrzał na dwa listy, które otrzymał. Pismo jednego z nich wydawało mu się znajome, drugie było obce. Najpierw otworzył znajome. List był od Katona i brzmiał, jak następuje:

Mój drogi Henryku!

Myślałem o Tobie i naprawdę mam nadzieję, że niedługo znowu się zobaczymy. Spodziewałem się, że może przyjdiesz do Misji. Mam Ci masę rzeczy do powiedzenia, które w liście mogę przedstawić tylko w najgrubszym zarysie. Pierwsza, i jak sądzę najważniejsza, to że ostatecznie zdecydowałem się odejść od Kościoła i porzucić stan kapłański. Oficjalna „laicyzacja” zajmie mi pewnie dużo czasu, ale jest to czysta formalność. Wszystko to, jak możesz sobie wyobrazić, jest bolesne i upokarzające. Decyzję podjąłem z przykrością i z goryczą, ale jednocześnie jestem przekonany o jej słuszności. Czuję się tak, jakbym miał w ręku coś cennego i pięknego i stracił to z własnej winy; a jednak tylko i wyłącznie sama prawda zmusza mnie do tego rozstania. Nie wydaje mi się, żeby „wszystko to było złudzeniem”, choć teraz już wiem, że to nie dla mnie. Sprawę można przedstawić mniej więcej tak: nie ma Boga, wszystko to bajka. Ale bajka ta pełna jest siły duchowej dla tych, którzy myślą, że mogą ją uczciwie wykorzystać. Jestem w związku z tym bardzo nieszczęśliwy i bardzo zagubiony. Duszpasterstwo było jedyną rzeczą, jakiej się naprawdę nauczyłem, i teraz wydaje mi się, że jestem zupełnie nieprzygotowany do tego, żeby być kimkolwiek innym. Zakon był moją rodziną i domem. Życie bez Chrystusa kiedyś wydawałoby mi się niemożliwe, równałoby się śmierci. Nie miałem zamiaru wywnętrzać Ci się z tym wszystkim. Chciałem napisać coś bardzo konkretnego. Cóż, to pierwsza sprawa. Następna przedstawia się tak. Pamiętasz tego chłopca, Joe Becketta? (Tego, który zauważył, że jesteś dżentelmenem!) Kocham go bardzo i postanowiłem wyjechać z nim gdzieś poza Londyn, gdzie moglibyśmy razem pracować. To stwierdzenie może brzmieć tak, jakby ukrywało się za nim co innego, ale jest inaczej. Nie wiem nawet, czy jestem homoseksualistą (myślę, że w pewnym stopniu tak, jak wielu księży) ani czy on jest, ani co się z nami w końcu stanie. Wiem jedno, że powinienem oderwać go od świata przestępczego, w który wciąga się tutaj coraz głębiej. Jest to jedyne uczciwe i ważne zadanie, jakie mogę w tej chwili spełnić. Stanowię jedyny punkt w jego życiu, który ma jakąkolwiek wartość, i choć nie jest to moja zasługa, mogę (może to moje ostatnie zadanie jako księdza?) odegrać wobec niego swoistą rolę symboliczną, mogę na niego wpłynąć, a nikt inny nie może. Tak więc jedziemy. Przed chwilą, jakimś cudem, zgodził się wyjechać. A teraz (znowu jakimś cudem!) dostałem właśnie, a w każdym razie tak mi się zdaje, tymczasowe zajęcie na letni semestr, jako wykładowca historii w Leeds. Dzwoniłem do Fitzwilliam, pamiętasz, naszego nauczyciela historii ze szkoły, on połączył mnie z kimś innym i trafiła się ta praca, w każdym razie przez

telefon. Jeszcze nie mam tego na piśmie. Ale nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, jestem teraz znacznie pewniejszy, że taka bądź inna praca się znajdzie. Tak że będę mógł utrzymać Joego. Otóż (i w tym miejscu stajesz się potrzebny) dobrze byłoby, gdyby chłopiec zaczął czegoś się uczyć, a on mówi, że chciałby zostać elektrykiem. Czy masz ochotę w niego zainwestować? Myśl, że mógłbyś dać nam część pieniędzy, których tak bardzo chcesz się pozbyć, bardzo mu się spodobała – w jego oczach jesteś postacią zgoła romantyczną! – i starałem się ją podsyć, chociaż wiem, że to traci przekupstwem! Nie chciałbym, żeby mu się zdawało, że na północy czeka go pracowite ubóstwo – i oczywiście na dłuższą metę tak nie będzie. Będę miał pensję, a on, mam nadzieję, dostanie szkolną zapomogę. Trudno będzie tylko na początku. Gdybyś mógł nam pomóc w tym pierwszym okresie, byłbym bezgranicznie wdzięczny i naprawdę myślę, że trudno byłoby lepiej wydać te pieniądze. Chciałbym wiedzieć, czy mógłbyś nam dać, powiedzmy, pięćset funtów? Waham się, czy mogę nazwać to pożyczką, bo Bóg wie, kiedy i jak dostaniesz je z powrotem, ale mam nadzieję, że będę mógł zacząć spłacać część tego w przeciągu roku, zależnie od okoliczności. Naprawdę byłbym bardzo wdzięczny i nie będę się już nad tym rozwodził. Proszę Cię, prześlij je odwrotną pocztą przekazem poleconym na adres Misji. Nie jestem pewien, jak długo tu jeszcze pozostanę.

Wybacz, że tak się rozpisałem o własnych sprawach. A więc trzecia dotyczy Ciebie. Moim zdaniem powinieneś zaniechać sprzedaży dworu. Myślałem o tym i oczywiście rozumiem słuszne motywy (równie dobrze jak niesłuszne!), które mogły Cię do tego skłonić. Po prostu uważam, że popełniasz błąd. To zbyt okrutne wobec Twojej matki. I myślę, że nie powinieneś zbyt pośpiesznie zrzucić z siebie tej odpowiedzialności. Wykorzystanie części gruntów to inna sprawa. Ale nie powinieneś sprzedawać majątku ani rozdawać wszystkich pieniędzy, choć oczywiście mam nadzieję, że przekażesz mi ich drobną część. Nie wiem, jak Ci to wytłumaczyć. Po prostu nie nadajesz się do tego. Nie umiałbyś przeprowadzić tego właściwie, a tak, jak Ty byś to zrobił, wypadłoby źle i nie przyniosło nic dobrego. Wydaje mi się, że niezbyt dobrze rozumiesz swoją rolę w tym układzie. Przykro mi, jeśli to nie brzmi jasno ani zbyt uprzejmie! Ale zastanów się i poczekaj. A tymczasem opiekuj się matką i Lucjuszem i (może to dziwna rada ze strony „księdza”) spróbuj się trochę zabawić!

Wszystko powyższe objaśnię Ci obszerniej. Mam nadzieję, że nie obrazisz się za to, co Ci powiedziałem. Musimy spotkać się jak najprędzej. Prawdę mówiąc, mój umysł jest teraz w okropnym stanie.

List ten zaciekał, poruszył, ale i wzburzył Henryka. Cóż za egoizm! Więc do tego prowadzi życie religijne! Cała ta długa mowa o własnych planach i spokojne założenie, że Henryk pieniądze przekaże. Oczywiście założenie było całkiem słuszne i Henryk posłałby pieniądze odwrotną pocztą, ale przecież jego hojność nie powinna być z całkowitym spokojem przyjmowana jako oczywista. Jeśli zaś chodzi o „ucieczkę” z tym zastanawiającym, ale dość małpowatym młodym mężczyzną, Henryk (który nie mógł sobie wyobrazić, aby pociągał go mężczyzna) odczuwał, że jego przyjaciel musiał po prostu postradać zmysły. Z całą pewnością aberracja ta nie potrwa zbyt długo. I Henryk może się świetnie obejść bez rady zamieszczonej na końcu. A więc Kato myślał, że Henryka nie stać na dokonanie wielkiego, słusznego czynu! Henryk mu pokaże. Głównie jednak denerwowało go to, że Kato nie chce być księdzem. Odczuwał to dziwnie głęboko jako stratę osobistą. Kato miał w pewnym sensie swoje miejsce w jego planach na przyszłość, jako rodzaj tajemniczego przewodnika czy mędrca, pełnego promiennej pewności. Henryk czuł się oszukany, zawiedziony. Kato w stanie świeckim, borykający się z losem i nie lepszy od niego samego, nie na wiele mu się przyda. Niemniej z tęsknotą oczekiwał ponownego spotkania z przyjacielem. Co Kato pomyśli o Stefanii? Tak, pokaże mu, jak radykalnie potrafi zmienić swoje życie.

Zatopiony w marzeniach Henryk odłożył na bok list od Katona i wziął do ręki drugi list. Otworzył go i zaczął czytać. Zanim się zorientował, od kogo pochodzi, minęła krótka chwila.

Drogi Henryku!

Pomyślisz, że jestem szalona, ale muszę napisać do Ciebie właśnie tak, ni stąd, ni zowąd. Po prostu muszę. Skoro już przyszedł mi ten pomysł do głowy, walka z nim stała się męką. Czuję się tak pewna, moje serce jest takie pełne i czyste, że po prostu byłoby absurdem nie wypowiedzieć wszystkiego, i nie ma mowy o jakiejś głupiej „dumie” czy „skromności”, które kazałyby mi siedzieć cicho. Nie będę siedzieć cicho!

Henryku, kocham Cię. Ciekawam, czy jesteś zaskoczony? To musiało być straszliwie oczywiste, kiedy spotkaliśmy się ostatnio, zwłaszcza wtedy w cieplarni, przy rybkach. Ale istota sprawy polega na tym, że to nic

nowego. Kochałam Cię od dawna, jeszcze jako dziecko, kiedy biegaliście z Katonem bez końca, a ja próbowałam biegać za wami, kiedy byłam bardzo mała. Kochanie kogoś to po prostu fakt. Nie znaczy to, że nie było lub nie ma teraz powodów mojej miłości. Przychodzą mi na myśl tysiące. Natomiast jeśli chodzi o przeszłość, wiecznotrwałość tej miłości, to ona po prostu jest i trudno mi przypomnieć sobie czasy, kiedy Ciebie nie kochałam. To tak jak gdybym spała i ledwie otworzyła oczy, byłeś Ty. Oczywiście była to tylko dziecięca miłość i kiedy pojechałeś do Ameryki, to chociaż za Tobą tęskniłam, wyzwoliłam się z tego i przyzwyczaiałam do myśli, że nigdy nie wrócisz. W każdym razie mogę powiedzieć, że się wyzwoliłam, to znaczy, nie usychałam z tęsknoty, ale dalej myślałam o Tobie. Jesteś, byleś moim pierwszym mężczyzną, oprócz Tatusia i Katona, a więc byleś pierwszym prawdziwym mężczyzną, z którym się rozstałam, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Byleś rodzajem postaci idealnej i kiedy podrosłam i poznałam innych mężczyzn, wszyscy wydawali mi się gorsi od Ciebie, a w każdym razie od marzenia o Tobie, i zaczęłam już myśleć o Tobie jak o marzeniu, bo przypuszczałam, że nigdy się nie zobaczymy. A potem, kiedy usłyszałam, że jednak wracasz do domu, nie mogłam już myśleć o niczym innym. Dlatego rzuciłam college. Rzuciłabym go tak czy owak, ale dlatego właśnie rzuciłam go w tym momencie. Nie mogłam tego znieść, to byłyby fizyczne tortury być tam, kiedy Ty jesteś tutaj, chociaż naturalnie myślałam, że kiedy Cię zobaczę, wszystko może się rozwiązać i załamać. No i nie rozwiązało się. Oczywiście nie jesteś postacią z marzeń, to się nie zdarza. (Prawdę mówiąc, jesteś o wiele miłszy i zabawniejszy!) Ale w jakimś sensie Ty, Henryk, którego zawsze potrzebowałam, pozostał wewnątrz Ciebie nie naruszony – Ty, który jak mi się zdaje, zawsze należałeś do mnie, chociaż wiem, że jest to rodzaj bluźnierstwa i nie można posiadać kogoś na własność w ten sposób, nawet w małżeństwie. I byłam taka przerażona, że może się ożeniłeś czy zaręczyłeś, i z taką ulgą przyjął wiadomość, że nie. Cóż, Henryku, to wszystko. Wiem, że dziewczynom nie wypada mówić takich rzeczy, ale musiałam to powiedzieć – na wszelki wypadek, gdybyś miał mnie nie pokochać tylko dlatego, że nic nie wiedziałeś o tym, jak bardzo Cię Kocham. Nie chcę, żebym kiedyś musiała sobie powiedzieć – żałuję, że Mu nie powiedziałam. Chciałabym, żebyś mógł mnie zrozumieć, a ponieważ miłość do Ciebie tak bardzo mnie pochłania (całkowicie, tak że staję się prawie kim innym), więc i Ty musisz to zrozumieć. Nie rozumiejąc tego, nie rozumiałbyś mnie, a nie mówić Ci o tym, znaczyłoby oszukiwać Cię. Nie mówiłam o tym nikomu, nawet Tatusiowi ani Katonowi, nic o tym nie wiedzą. I chcę Ci powiedzieć, że nigdy jeszcze z nikim się nie kochałam. Myślałam, że trzeba poczekać, chociaż nigdy mi się nie marzyło, że naprawdę czekam na Ciebie. Nie

wiem i trzęsę się, i drzę, kiedy myślę o tym, co Ty o mnie myślisz. Twoja matka wiele razy mi mówiła, że bardzo mnie lubisz – ale to mogła być czysta uprzejmość albo nieporozumienie. Henryku, kocham Cię i chcę wyjść za Ciebie za mąż, żyć długo i szczęśliwie, uczynić Cię szczęśliwym i być całkowicie i absolutnie Twoją, tego chcę. I nie myśl, że to zadurzenie głupiej młodej dziewczyny albo że to sprawa mojego dzieciństwa, to prawdziwa głęboka miłość, a nie fantazja. Oczywiście chciałabym powiedzieć Ci, odpowiedz mi zaraz, napisz od razu, zadzwoń – ale również, ponieważ tak bardzo się boję, chciałabym powiedzieć Ci, nie rób tego. Przemyśl to. Zastanów się nad tym, co powiedziałam. Zastanów się nad tym, co czujesz. Jest mnóstwo czasu. Może Ci się zdaje, że nie dość dobrze mnie znasz. Proszę, proszę, nie odpędzaj mnie tylko dlatego, że chcesz oszczędzić mi przykrości. Wolałabym tysiąc razy bardziej cierpieć jako poznana i odrzucona niż jako uprzejmie odsunięta i nie poznana wcale. Więc nie spiesz się z odpowiedzią, nie ma potrzeby pisać obszernych listów, po prostu spotkajmy się zwyczajnie i nie będę Cię prześladować swoim uczuciem. Wybacz

Tak bardzo kochająca,

zawsze Twoja

Colette

Henryk zagwizdał. Potem rzucił się na łóżko i zauważył, że się śmieje. Przestał się śmiać. To nie był powód do śmiechu. Biedna mała Colette. Ale jakie to niewypowiedziane miłe i wzruszające, że go kocha. I choć ze smutkiem pomyślał, że wkrótce będzie przez niego nieszczęśliwa, poczuł głębokie zadowolenie.

Kato Forbes, rozglądając się jak winowajca po wysypisku śmieci, wepchnął swoje zawiniątko głęboko między kupę spękanego cementu i starych cegieł. Zawinał sutannę starannie w gazetę i zawiązał sznurkiem, ale papier pękł i pył cementowy ubielił czarny materiał. Naciągając na wierzch więcej śmieci, ukrył sutannę głębiej. Wydzielała okropny zapach, który mieszał się ze zgniłymi wapiennymi odorami wysypiska. Czy chodził po mieście z tym zapachem? Czy tak pachniał w obecności Pięknego Joe? Kiedy całkowicie już zakopał pękatą paczkę, poczuł się jak złoczyńca, a jednocześnie doznał ulgi, jak gdyby pochował umarłe dziecko. Nikt go nie widział. Otrzepał dłonie z kurzu i zaczął wycofywać się przez pustkowie.

Wtedy zobaczył sokoła. Unosił się, jak niemy znak, niezbyt wysoko, ponad środkiem terenu, napięty, a jednak tak odległy, ze spuszczone w dół ogonem, bijąc w milczeniu skrzydłami, jakby w chłodnej, nieruchomej pasji. Kato stał, spoglądając w górę. Na opuszczonym terenie wokół niego nie było nikogo; po deszczu na bryłach porytej ziemi wiosna budziła już do życia trawę i drobne rośliny. Sokół wisiał całkowicie nieruchomo niczym uosobienie kontemplacji, a nad nim rozciągał się ciepły błękit popołudnia, wibrujący barwą i światłem. Kato spoglądał na niego, jakby nic poza tym nie istniało. Kiedy tak patrzył, wstrzymując oddech, ptak opadł. Zszedł nisko, powoli, jak gdyby z niedbałą swobodą, na ziemię, a potem wzniósł się znowu i odleciał nad głową Katona. Kiedy Kato się odwrócił, przysłaniając oczy, dostrzegł w jego dziobie maleńki ciemny kształt, malutki ciągnący się ogonek skazany na ztratę.

– Panie i Boże mój – powiedział Kato głośno. Potem zaśmiał się i zawrócił do Misji.

Zastanawiał się, jak Joe przyjmie jego świecki strój. Przyzwyczajony do czarnej sutanny, w zwykłym ubraniu czuł się bardzo dziwnie. Był całkowicie odmieniony. Włożył ciemnoszary garnitur ze sztruksu, koszulę w czerwono–białe paski i czerwony jedwabny szalik, własność (chwilowo wypożyczoną) Geralda Dealmana. Znalazł je pod arkuszem papieru na dnie szafy w trakcie ostatecznych czynności porządkowych w Misji. W cudzym ubraniu Kato czuł się jak na maskaradzie.

Doznawał jakiejś ponurej, bezwstydney ulgi, ale w głębi duszy czuł się winny i wstrząśnięty. Ze zdziwieniem odkrył, jak szybko gotów był rzucić z siebie starą sutannę i pozbyć się jej raz na zawsze. W kieszeni miał drogocenny czek przysłany przez Henryka, ale dzięki Geraldowi nie musi natychmiast marnować go, choćby w części, na ubranie.

Chwilami zdawało mu się teraz, że chyba oszalał. W końcu zmusił się do napisania oficjalnego listu z „rezygnacją” do generała zakonu. Samo zmuszenie się do tego, żeby usiąść i ułożyć list, przyszło mu z trudnością i wielkim bólem. Kiedy list już został napisany, nie przeglądając, prędko wrzucił go do skrzynki. Z techniczną stroną laicyzacji można było poczekać. Jeśli chodzi o niego, to czuł się zwolniony. Sprawa pomiędzy nim i „Bogiem” była już załatwiona, a formalności to tylko kurtuazja wobec dawnych kolegów. Poczucie, że musi być szalony, płynęło skądinąd – zrezygnował z najcenniejszego przywileju świata i nie potrafił dokładnie określić, kiedy ani, ściśle biorąc, dlaczego powziął taką decyzję.

Wszystko to rozplynęło się, rozwiało, myślał, próbując odnaleźć jakąś koncepcję utraty swojej wiary. Czy zatem treść jej była wątła, czy było to

zaledwie odbicie obrazu? Przecież zniknął, prawda? Stale zadawał sobie to pytanie. Tak, zniknął, to wydawało się jasne. Ale co takiego utracił? Środki do życia, przyjaciół, sposób bycia, osobowość. I co jeszcze, na pewno coś jeszcze zniknęło, przecież zniknęła istota rzeczy? Ale istota nie jest istotą – pomyślał – czy nie o to chodzi? Cóż to jest, co mnie tak rani, boli mnie, jak gdybym popełnił jakąś okropną zbrodnię lub jakiś straszny błąd? Bóg jest niczym, myślał, Bóg Ojciec to po prostu bajka. Ale Chrystus, jak mogłem utracić Chrystusa, jak to możliwe, żeby to nie było prawdą, jak to możliwe, jak?

A jak to możliwe, że nie jestem już księdzem? Z tą kwestią łatwiej mu było się uporać, ponieważ początki życia poza Kościołem pociągały za sobą tyle praktycznych problemów. Był zdumiony łatwością, z jaką otrzymał pracę. To nie tylko dobry znak, lecz w pewnym sensie sprawdzenie jego nowego ja, własnej woli, jakieś spełnienie. Była to pierwsza zwyczajna dobra rzecz, jaka mu się przydarzyła w nowym życiu. Nadzwyczajnie dobrą rzeczą, która mu się przydarzyła, było oczywiście zastanawiające pogodzenie się Pięknego Joe z myślą o tym, żeby mu towarzyszyć. Jak to będzie wyglądało? I co, w sposób tak zaskakujący dla Katona, skłoniło go do tej decyzji? Czy była to fascynująca tego chłopca myśl, że będzie mógł w nieskończoność ciągnąć forszę z Henryka? A może, i Kato żywił taką nadzieję, Joe nareszcie dostrzegł, jak bardzo Kato go kocha? I rzeczywiście zdawało mu się, że zrobił na chłopcu wielkie wrażenie. A teraz Joe, który nigdy nie widział go inaczej jak w sutannie, będzie mógł zrozumieć, jak całkowicie Kato się wyzwolił, po to, aby ponownie się związać. Potrzebuje miłości – myślał Kato – potrzebuje miłości, każda dusza jej potrzebuje. W miłości jest jakaś prostota i tylko ludzki egoizm jest zbyt przebiegły, aby ją przyjąć. Jedynie czysta miłość może leczyć zło, w końcu nic innego leczyć go nie potrafi.

Wracając na przełaj przez pustkowie, które w blasku słońca tak bardzo upodobiło się do łąki, czuł, jak przepelnia go ta siła. Nie opuszczał go ból, palące poczucie straty i wstydu, ale przepelniała siła miłości, jak gdyby pokryte bliznami ciało mogło, wraz ze swymi bliznami, zaznać chwały. Uśmiechał się do obrazu, który tak spontanicznie powstał w jego umyśle. Nie ja, ale Chrystus. A teraz tylko ja. Tylko ja mogę być Chrystusem – pomyślał Kato. I kiedy myślał o Joem, który niedługo miał odwiedzić go w Misji, miłość tak mocno targnęła jego sercem, że o mało się nie zachwiał, i zdawało mu się, że z parującej ziemi płynie do niego wielka, namiętna siła, i nie była to tylko sprawa wyobraźni, po deszczu w gorącym słońcu ziemia naprawdę parowała. Kato stanął nieruchomo, pozwalając, aby radość miłosnego oczekiwania objęła mu ciało jak płomień.

Nie miał żadnych długofalowych planów. Powiedział Joemu, że jutro pojedzie na północ, żeby poszukać dla nich mieszkania. Semestr zaczynał się dopiero za dwa tygodnie. Wyglądało, że Joe traktuje to jak przygodę. Kato bynajmniej nie wyobrażał sobie, że będzie w stanie zatrzymać przy sobie Joego na zawsze. Chciał zrobić dwie rzeczy: przekonać chłopca o swojej miłości i namówić go, żeby nauczył się jakiegoś fachu. Oczywiście pieniądze Henryka nie byłyby tu od rzeczy i Kato nie czuł skrępowań, że o nie prosił. Gdyby było trzeba, poprosiłby o więcej. Wierzył, że z chwilą gdy Joe zacznie się uczyć, jego inteligencja obudzi się i stanie się drogą ratunku. Wtedy, a może nawet wcześniej, skończy się rola Katona. Na razie jednak na tym będzie polegało jego zadanie jako wybawiciela, a nawet jego obowiązek, i Kato pozbył się już wszelkich wątpliwości na ten temat. Natomiast jeśli chodzi o szczegóły ich stosunku, spokojnie zachowywał postawę agnostyczną. Prowadziła go miłość. I miłość oświeciła go w odpowiednich momentach, gdy będzie tego potrzebował.

Skręcając w niewielką ślepa uliczkę, dostrzegł przed budynkiem Misji jakiegoś młodego człowieka. Ujrzawszy Katona młodzieniec podszedł do niego i Kato rozpoznał jednego ze studentów Brendana, młodego kleryka. Młodzieniec wręczył mu list.

– Od ojca Craddocka.

– O, dziękuję – powiedział Kato.

Wziął i rozdarł kopertę. Brendan napisał na kartce pocztowej: Przesyłam Ci to przez gońca, bo wydaje mi się, że powinienem zawiadomić Cię od razu. Tej nocy zmarł ojciec Milsom. Umierając, mówił o Tobie.

Jak się miewasz? Proszę Cię bardzo, wróć do mnie. Nieważne, co myślisz o Bogu. Po prostu wróć. B.

Kato podniósł wzrok i napotkał łagodne, lekko zaciekawione spojrzenie młodego kleryka.

– Dziękuję bardzo.

– Czy mam coś przekazać? Wiadomość albo list?

– Nie. Nic. Ale chwileczkę, proszę poczekać. – Kato wyjął ołówek i napisał na wewnętrznej stronie rozdartej koperty: „Odchodzę z chłopcem. Żegnaj”. Zawahał się, spoglądając na te słowa. I dodał: „Módl się za mnie”. Złożył kopertę i wręczył ją z powrotem klerykowi.

– Dziękuję panu. Oddam to ojcu Craddockowi.

Kato został sam na ulicy, spoglądając pod nogi na własny cień malujący się na nierównym chodniku. Śmierć ojca Milsoma przejęła go skurczem czystego żalu. Czy pojechałby go odwiedzić, gdyby jeszcze żył? Nie – pomyślał Kato – w każdym razie nieprędko. Nie sięgnąłby nawet po telefon, żeby do niego zadzwonić. Biedny staruszek. A jednak przecież szczęśliwy staruszek. Nie żył dłużej niż radość jego wiary. Jeśli istnieje niebo, ojciec Milsom na pewno teraz w nim jest. *Requiescat in pace. Lux perpetua lucet eo.* Jakaż to pocieszająca myśl. Tylko że nieba nie ma. Czy naprawdę kiedyś w nie wierzyłem – zastanawiał się Kato. Jak to źle, że nie napisałem jakiejś odpowiedzi na list ojca Milsoma, jakichś słów pełnych uczucia i wdzięczności. Ciągle jeszcze miał jego list przy sobie, teraz w kieszeni na piersi sztruksowej marynarki. Do tej samej kieszeni włożył kartkę od Brendana i skręcił w alejkę, żeby wejść do domu od tyłu. Dopiero kiedy dotykał furtki ręką, uderzyło go coś, co przed chwilą usłyszał. Uczeń Brendana powiedział do niego „pan”. I przypomniał sobie, że rozgniewany Cezar zwrócił się podobnie do dziesiątego Legionu, nazywając żołnierzy *Quirites!* Drzwi kuchni były otwarte; Kato wszedł i zamknął je za sobą. Podszedł do zlewu i spojrział na siebie w lustro, którego używał przy goleniu. Zobaczył swoją głowę jakby na obrazku, koszulę w paski, czerwony szalik. Przyszło mu na myśl, że dawno już nie patrzył na siebie w ten sposób. Był starannie ogolony i uczesany, choć włosy miał nierówno ostrzyżone. Wyglądał znacznie młodziej. Miał śmieszna, prawie dziarską minę. Śmieszny Forbes. Stara pyza. Uśmiechnął się głupio.

– Ależ to ty. Nie mogłem się domyślić, co to za facet gapi się na siebie w lustrze. – Za jego plecami stał Piękny Joe.

Kato odwrócił się zawstydzony. Joe, w krótkiej czarnej skórzanej kurtce o wojskowym kroju, wyglądał na czternastoletniego chłopca. Jego młodziutka twarz była wypucowana, włosy trochę krócej obcięte, zmoczone, a może posmarowane jakąś maścią i zaczesane w dwie sztywne fale za uszami. Nagle Kato poczuł się tak, jak gdyby znowu miał przed sobą obcego człowieka. Było to uczucie podniecające.

– Jak się masz, Joe, mam nadzieję, że podobam ci się w tym stroju.

Joe, z wzrokiem utkwionym w rozmówcę, usiadł w milczeniu przy stole.

Kato poczuł się nieswojo.

– Cóż, Joe...

– Co to za piekielny dowcip? – zapytał Joe.

– Co takiego?

– To przebranie. Nie masz pojęcia, jak komicznie wyglądasz. Tyle że ja się nie śmieje.

– To ubranie ojca Dealmana...

– Ubranie! Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać! Wyglądasz, jakbyś się wybierał do Southend na molo.

– Przypuszczam, że to trochę szokujące.

– Słucham, słucham!

– Mój drogi, mówiłem ci, że odchodzę z zakonu, że...

– Nie wierzyłem ci...

– Ale teraz chyba wierzysz?

– Nie wierzyłem, że odejdiesz. Nie wierzę.

– No więc teraz spróbuj, do cholery! – powiedział Kato, siadając przy stole.

– Nigdy nie mówiłeś do mnie takim grubiańskim językiem.

– Więc to ma być grubiański język?

– W twoich ustach tak. Ale może teraz zejdziesz na psy. To zwykły los przegranych księży.

– Cóż, może i tak. Jeśli tak jest w moim przypadku, to poczekamy i zobaczymy, prawda? Napijmy się. Mam tu trochę wina.

– Rozpijesz się.

– Joe, przestań pleść bzdury. Czy nie możesz pogodzić się z faktem, że jestem po prostu zwyczajnym człowiekiem, takim jak ty?

– Nie, do ciężkiej choroby, nie mogę.

– A teraz klóćmy się jak dwaj zwyczajni ludzie i czy to nie jest cudowne? Nareszcie jesteśmy dwoma zwyczajnymi ludźmi. Chciałbym ci pomóc, ale nie chcę spełniać w twoim życiu roli jakiegoś fałszywego świętego. Po prostu kocham cię. A wtedy nie mogłem tego powiedzieć. Żeby to powiedzieć, musiałem odejść z zakonu. Na miły Bóg, czy nic nie rozumiesz?

– A ty nie rozumiesz? – zawołał Joe. Nagle zagryzł mocno usta i zmarszczył brwi, patrząc w stół, jak gdyby miał się rozpłakać.

Kato przyglądał mu się uważnie.

– Joe, mój drogi, musisz mi pomóc. Może będziemy musieli poznać się na nowo, w inny sposób. W porządku. To nie była dla mnie łatwa przemiana i nie będzie łatwa. Ale jeśli mnie kochasz...

– Nigdy nie mówiłem, że cię Kocham – powiedział chłopiec, w dalszym ciągu patrząc w stół i wodząc palcem po słojach drewna.

– Możesz się nauczyć. Na początek wystarczy moje uczucie.

Joe podniósł wzrok. Powiedział:

– Ojczy, ty jesteś jak dziecko. Nie wiesz, jakie to straszne.

– Mylisz się, Joe. Wiem, jakie to straszne. I słuchaj, przestań nazywać mnie „ojcem”.

– Więc jak mam cię nazywać?

– Nie znasz mojego imienia?

– Nie.

– Kato.

– Co?

– Kato.

– Jak się to pisze?

– Ka. A. Te. O.

– To cholernie śmieszne imię. Czy to włoskie?

– Nie. Rzymskie. Przyzwyczaisz się do niego. Przyzwyczaisz się...

– Nie. Dalej będę cię nazywał „ojcem”. Inaczej to wszystko nie ma sensu.

– Ale ja już nie jestem księdzem! Zerwałem z tym ze względu na ciebie...

– To nieprawda.

– Niezupełna prawda...

– Niezupełna! Wszystko, co dotyczy ciebie, jest niezupełną prawdą.

– Uwolniłem się od wszystkiego, żeby móc być z tobą, żebyśmy mogli wyjechać i rozpocząć razem nowe życie. Prawda, że zrobimy tak, Joe... ja będę pracował, a ty będziesz się uczył... możesz być pewien, że nie będę cię niepokoił...

– Ja nie jadę – powiedział Joe.

– Cóż to, u licha, ma znaczyć? Mówiłeś, że pojedziesz.

– Myślałem, że to będzie inaczej. Myślałem, że ten bogaty facet będzie nas utrzymywał.

– Ale tak będzie! Spójrz, przysłał czek. – Kato położył na stole czek od Henryka.

– Ale ja myślałem, że dalej będziesz księdzem, i tak by było w porządku. Nie masz pojęcia, jak cholernie głupio wyglądasz w tym ubraniu. Cały... urok prysnął... wszystko, na czym mi zależało... Teraz jesteś po prostu pedałem w sztruksowym ubraniu. Pluję na takich jak ty.

Kato, którego nagle ogarnął popłoch, sięgnął ręką przez stół i chwycił dłoń Joego.

– Joe, nie mów tak! To ja. Przecież mnie znasz.

– Nie znam. O to chodzi. – Joe cofnął rękę, popychając krzesło trochę do tyłu. – Gdybyśmy wyjechali razem, ojczy... byłby to gnój... gnój, o jakim nie masz pojęcia. I gównem by mi to wszystko obchodziło, wszystko, co mógłbyś mi dać, wszystko, co mógłbyś dla mnie zrobić. To nie byłoby szczęście, ojczy, tylko piekło, chodziłoby tylko o pieniądze. Zależało mi kiedyś, ojczy, na tobie, ale na tobie innym, tym, który nosił sutannę i nic nie posiadał, nawet elektrycznego czajnika.

– Dalej nic nie posiadam.

– Masz czek na pięćset funtów od pana Marshalsona.

– Ale ja je zdobyłem dla ciebie, wszystko robiłem dla ciebie, nie chciałem, żebyś cierpiał, nie chciałem, żebyś był biedny!

– Cóż, popsuleś wszystko. Przepraszam, byłem głupi...

– Co do czeku od pana Marshalsona, możemy to szybko załatwić.

Kato wziął czek i podarł go na drobne kawałki. Joe przyglądał się strzępkom, a potem zaczął rozprostowywać je palcami.

– To smutne. To naprawdę smutne.

– Mogę dostać drugi.

– Wszystko mi jedno, co zrobisz, ojczy, tylko nie możesz zrobić tego ze mną.

– Nie opuszczaj mnie, Joe. Nie mam już nic. Oddałem wszystko, żeby być z tobą, a przecież mówiłeś...

– Byłem szalony. To nigdy by nie wyszło, a w każdym razie nie tak. Kiedyś zdawało mi się, że są dwie rzeczy na świecie: ty i w pewnym sensie to, co za tobą stoi, i piekło, gdzie nic się nie liczy oprócz pieniędzy. Teraz myślę, że na świecie jest tylko jedna rzecz. Piekło, gdzie nic się nie liczy oprócz pieniędzy.

Kato milczał. Próbował myśleć. Gdyby tylko mógł znaleźć odpowiednie słowa, przemówić do niego w odpowiedni sposób. Choć Joe go odrzucał, byli sobie bliscy, bliżsi niż kiedykolwiek przedtem. Pochylił się do przodu i na chwilę przytrzymał w palcach chłodny gruby rękaw czarnej skórzanej kurtki Joego.

– Słuchaj, Joe, po prostu słuchaj i nie przerywaj. Robiłem na tobie wrażenie, ponieważ byłem księdzem, ale ksiądz to tylko symbol. A ja nie mogę być dłużej symbolem. Ale to nie znaczy, że istnieje tylko piekło. Istnieje miłość, i to jest prawdziwe, ja cię naprawdę kocham. I nie musisz myśleć o tym, czego ten człowiek ode mnie chce, o co mu chodzi. Nie wiem nic o sobie oprócz tego, że chcę ci pomóc. Czy to nie jest coś, czego nie wolno ci odrzucać? Czy jesteś tak bogaty w miłość, że możesz odrzucić ten dar? Dlaczego przynajmniej go nie wypróbujesz? Pozwól mi wejść w swoje życie. Znasz mnie dość dobrze i wiesz, że nie przeszkadzałbym ci, nie dominowałbym nad tobą. Chciałbym tylko pomagać ci i służyć. Wydaje mi się, że to wszystko, co pozostało z mojego kapłaństwa. Pytałeś mnie kiedyś, czy chodzi mi o miłość, i ja powiedziałem nie. Teraz mówię, dlaczego nie? Oczywiście chcę cię trzymać w ramionach, i teraz, kiedy jestem zwykłym pedałem w sztruksowym ubraniu, mogę ci przynajmniej powiedzieć prawdę! Jeśli to się zdarzy, dobrze, jeśli nie, drugie dobrze! Wiesz, że nigdy nie pozwoliłbym na to, żeby moja miłość ci ciążyła, chcę, żebyś był wolny, o to właśnie chodzi w miłości. Czy nie możesz tego po prostu przyjąć i pozwolić mi, żebym ci pomógł być szczęśliwym? Mówisz o życiu w piekle... więc dlaczego masz żyć w piekle? Jeśli dalej będziesz żył jak dotychczas, zabawiając się w drobnego złodziejaska, skończysz jako prawdziwy przestępca, będziesz prowadził wstrętne, nędzne, tchórzliwe życie, z którego nie będziesz mógł się wyzwolić. Przecież z pewnością chcesz być wolny i szczęśliwy? Możemy zamieszkać razem w Leeds i cieszyć się życiem. Pieniądzy nam nie zabraknie. Ja będę pracował, a ty mógłbyś się uczyć czegoś ciekawego...

– Ja nie chcę się niczego uczyć – powiedział Joe, przyglądając się ruchomym cieniom swoich rąk na stole. – Wiecznie gadasz o nauce, jakby ludzie lubili się uczyć. No, może ty lubisz, ale ja nie.

– Mówiłeś, że chciałbyś zostać elektrykiem.

– To ty tak mówiłeś. Może chciałbym zostać słynnym piosenkarzem. Ale nie mam zamiaru niczego się uczyć. Z nauką koniec.

– W porządku, nie musimy o tym decydować od razu. Ważne, żeby stąd uciec, poznać się lepiej nawzajem i znaleźć sposób życia i pracy...

– Chcesz iść ze mną do łóżka...

– To nieważne. Chcę być z tobą, żyć koło ciebie, widywać cię. Jeśli nie chcesz, nie musimy nawet mieszkać w jednym domu.

– Powiedziałeś, że nie zabraknie nam pieniędzy, ale podarłeś ten czek.

– Poczekaj, Joe, mogę zdobyć nowy czek, mogę dostać od pana Marshalsona tyle pieniędzy, ile nam tylko potrzeba. Tak czy owak, będę miał przyzwoitą pensję i...

– Nie obchodzą mnie twoje uczucia ani to, z kim chcesz żyć, brzydę się tym wszystkim. To na nic, ojcze, z tego nic nie wyjdzie. Przestałeś mi się podobać taki, jaki jesteś, rzygać mi się chce od tego wszystkiego. Kiedy mówiłem, że pojedę z tobą, nie myślałem, że to ma tak wyglądać.

– Ale przecież ci mówiłem!

– No cóż, wtedy nie rozumiałem, nie pomyślałem. Nie mógłbym tego znieść i wreszcie, jak to zwykle pedały, skoczylibyśmy sobie do gardła. Tak czy owak, ja nie jestem pedałem.

– W porządku, nigdy nie mówiłem, że jesteś...

– Tak, mówiłeś, podsuwałeś mi to, a ja się tym brzydę! Przepadam za dziewczynami, chciałbym je pieprzyć, nawet jeśli to cholerne głupie cipy. Próbujesz mnie przekupić i to jest okropne. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Joe, chłopcze kochany, nie mów tego! – Kato przysunął krzesło i położył rękę na ramieniu Joego. Próbował przyciągnąć go do siebie.

Joe w jednej chwili poderwał się, skoczył i znalazł przy drzwiach.

– Nie ruszaj mnie!

– Przepraszam...

– Idź sobie, idź, gdzie chcesz, ale idź. I, do cholery, nie łaź za mną więcej, bo ci kości policzę. Nie znasz mnie, nic o mnie nie wiesz, nie wiesz, co to jest być na moim miejscu, nigdy nie chciałeś się dowiedzieć, po prostu wymyśliłeś sobie, że jestem taki, jak ci się podobało. Miałem zaplute życie, nikt o mnie nigdy nie dbał i ty też nie. Ojciec mnie

nienawidził, matka mnie nienawidziła, bracia mnie nienawidzili i przeklinam ich wszystkich, a najbardziej ciebie, bo udawałeś tylko, że jesteś inny. Chciałeś mnie złapać i pochwyć w swoje sieci, ale teraz widzę całą twoją podłość, rozumiem, kim jesteś, i nie zbliżaj się do mnie więcej, bo cię zabiję! Wdałem się z wielkimi asami, jestem w gangu, wzięłem się za grubą robotę i nic mnie nie obchodzisz ty i całe twoje podłe łgarstwo! Trafiłem na prawdziwych ludzi i będziemy robić razem wielką forszę! A więc do widzenia, cholerny panie Forbes albo Kato, czy jak cię tam zwa. I zostaw mnie w spokoju, słyszysz? Tak czy owak mnie nie znajdziesz, spływam. Idę do nich. Nareszcie ich znalazłem. Mówiłem ci, że ich szukam. Więc do widzenia i możesz robić sobie sam własne piekło, ale beze mnie.

Kato się poderwał. Piękny Joe wypadł za drzwi jak strzała, zatraskując je głośno tuż przed nosem Katona. Rozległ się łoskot furtki na podwórzu.

Kato otworzył drzwi od kuchni, zamknął je i powoli usiadł przy stole. Zaczął głaskać drewno i tak jak Joe bawić się cieniem własnych rąk. To święta prawda – pomyślał – wcale go nie znałem. Ale przecież go kochałem. I przecież nie byłem w tym egoistą. Kochałem go z całych sił.

Siedział tak przez dłuższy czas, oglądając swoje dłonie i wiercąc niezręcznie ramionami w cudzym ubraniu. Chciało mu się płakać, ale nie mógł. Przeżył wstrząs. Świadomie zniszczyłem to, dzięki czemu mógłbym mu pomóc – pomyślał. Ale czy mogłem zrobić inaczej? Powiedziałem prawdę. Może nie powinienem był mówić prawdy. A teraz poszedł do nich. I pewnie to moja wina. Lepiej byłoby, gdyby przywiązano mi do szyi kamień młyński i wrzucono mnie w morze.

Nie ma sensu jechać jutro do Leeds – pomyślał Kato – tak przyjemnie byłoby poszukać ładnego lokum dla Joego, ale teraz wszystko mi jedno, gdzie mam mieszkać. Pojadę tam z początkiem semestru i zamieszkał gdziekolwiek. A na razie może zostanę tutaj. Nie dlatego, żebym się spodziewał, że wróci. Pewien jestem, że nie wróci. Zresztą może pojadę do domu. Pojadę do Laxlinden, do Leśnej Zagrody. Straciłem Chrystusa i straciłem Joego. A ojciec Milsom nie żyje i nawet nie odpowiedziałem na jego list. Zrobiłem wszystko nie tak, jak trzeba.

I pomyślał: Podniosę się, pójdę do mego ojca i powiem mu, ojcze, zgrzeszyłem przeciw niebu i przed tobą i nie jestem już godzien nazywać się twoim synem.

Droga Colette!

Dostałem Twój uroczy, wzruszający, zupełnie humorystyczny i zwariowany list. Co za masa czarujących nonsensów! Oczywiście człowiek jest wdzięczny za każdą oznakę uznania w surowych okolicznościach życia, ale Ty posuwasz się za daleko! Czy naprawdę przypuszczałaś, że potraktuję to serio? Porzuć te pensjonarskie marzenia i wracaj czym prędzej do rzeczywistości! I czemu to przedmiotem Twoich „zapałów” zostałem właśnie ja, starzec z siwą brodą, zgorzkniały od dzieciństwa, bez odrobiny talentu, nie znający Boga ani ojczyzny? W dodatku jestem już przynajmniej w połowie Amerykaninem, a niedługo będę bez grosza. Słyszałaś może, że zamierzam pozbyć się ojcowizny? Coś mi się zdaje, że ta plotka zaczęła już krążyć, więc jeśli chodziło Ci o dwór, to lepiej zapomnij o tym. Naprawdę potrzebny Ci miły, rozsądny angielski chłopiec, młody, ze świeżą cerą (a nie zgrubiałą jak u mnie), z odpowiednią posadą (dyrektor szkoły? adwokat? architekt? Co myślisz o Gilesie Goslingu?), który urządzi dla Ciebie bezpieczny, przytulny angielski dom. (Bynajmniej nie ironizuję). Tak czy owak, chcesz chyba, żeby ojciec Twój żył jeszcze parę lat, a gdyby usłyszał, kto ma być jego zięciem, na pewno umarłby na apopleksję. Nie, nie, nic z tego nie będzie; jeśli o mnie chodzi, to mogę się tylko z tego pośmiać i spodziewam się, że w tej chwili Ty też się już z tego śmiejesz.

Prawdę mówiąc, jest jeszcze jeden powód, dla którego nie mogę należeć do Ciebie; mianowicie jestem zaręczony z pewną miłą dziewczyną o nazwisku Stefania Whitehouse, która teraz przebywa razem ze mną we dworze. Zamierzamy wkrótce się pobrać i wtedy najprawdopodobniej odfruniemy do Ameryki. Więc widzisz! Niemniej dziękuję Ci za list. Jesteś chyba jedyną osobą, która wolała mnie od Sandy’ego. W każdym razie wszystko to dziewczęce marzenia i jako takie szybko się rozplyną. Życzę Ci wszystkiego najlepszego

Henryk

Moja najdroższa Bello!

Przepraszam, że nie napisałem wcześniej, tak jak należy. Od mojego przyjazdu wszystko układało się okropnie i szaleńczo. Ty i Russ nazwalibyście to pewnie kryzysem osobowości! Nie mogłem pisać, bo nie wiedziałem, kim jestem. I dalej nie wiem. Teraz mi się wydaje, że w Ameryce również nie wiedziałem, tyle że tam to nie ma znaczenia, bo tam nikt nie wie, kim jest. (I chyba lepiej im z tym!) Tutaj czekało na mnie

kilka różnych kapeluszy do przymiarki. Wydaje mi się, że ciągle jeszcze odrzucam jeden po drugim. (Pasuje tylko błazeński!) Tak wiele rozmyślałaś nad tym, jak ułożą się moje stosunki z matką, ale żaden z Twoich domysłów nie był trafny. Nie ma awantur, nie ma pojednania, tylko okropna pustka. Nie chciałem tego, nie chcę, ale możliwe, że w pewien sposób przyczyna leży we mnie samym albo w nas obojgu. Pełno przy tym bolesnych zadrażnień i zasadniczego okrucieństwa z obu stron. Dziwne, że widzę to i mogę opisać, ale nie mogę tego zmienić. I cała stara, poczciwa machina psychoanalizy, którą w tej chwili pewnie wytoczą, nic by tu nie pomogła. Wszystkie te pseudogłębokie wyjaśnienia są tak abstrakcyjne i tak proste w obliczu okropnych komplikacji wzajemnego stosunku, który się popsuł. Myślałaś, że może będzie nade mną płakać, potrzebować mnie, że będzie chciała, żebym stał się Sandym. Nic podobnego. Jej uczucia dla niego są jej prywatną sprawą. Wydaje mi się, że po prostu ją irytuję, nawet nie jest rozczarowana! Nie dostrzegłem ani jednej łzy. Muszę przyznać, że jest twarda. Przypuszczam, że kobiety (oczywiście mam na myśli angielskie burżujki, a nie wyzwolone strzygi jak Ty!) dość prędko uczą się, że muszą być same i znosić wszystko w samotności, nawet jeśli pozostają na łonie rodziny. Wydaje mi się, że ojciec i Sandy byli kropka w kropkę tacy, jak chciała, jak to, co wielbiła, ale mimo to byli cholernymi, bezlitosnymi egoistami jak wszyscy mężczyźni, jeśli zdecydowanie nie przeciwstawi się temu jakaś wyjątkowa kobieta. Stąd ta odporność, ta samotność. Oczywiście nie mogę do niej dotrzeć, a ponieważ nie okazała mi śladu czułości czy uczucia od mojego przyjazdu, to prawdę mówiąc, specjalnie się w tym kierunku nie wysiłam. Wydaje mi się, że chce być czczona i akceptowana jak rodzaj pomnika, a że mną jej się to nie uda. Skoro już mowa o pomnikach, muszę Ci coś powiedzieć. Postanowiłem (co również niezbyt zachwyciło moją matkę) sprzedać dwór, całą ziemię, majątek i wszystkie akcje i papiery, cały ten majdan, zrezygnować z dochodów, rozdać to, rozsypać, zrzucić z siebie, z własnego karku, i mieć ręce czyste. Mam nadzieję, że to Cię nie smuci ani nie szokuje? Wiem, że zabawnie byłoby podejmować tu Ciebie i Russa, upijać się razem w naszej bibliotece a la Grinling Gibbons, po czym Ty byś pewnie chciała tańczyć nago w parku lub coś w tym rodzaju! Miło by było poepatować trochę okolicę! Ale to są przyjemności dziecinne. I prawdę mówiąc, Bello, po prostu nienawidzę tego wszystkiego, nienawidzę, nie wiedziałem jak bardzo, dopóki nie zobaczyłem na nowo tego wszystkiego, z moją cholerną matką udającą księżnę w samym środku. Tfu! W marzeniach wyobrażałem sobie, że będę mógł zniszczyć tę całą historię, ale nie wiedziałem, czy starczy mi sił, dopóki sam nie zobaczyłem tego i nie zacząłem obserwować własnej reakcji na to wszystko. Matka przyjęła

to ostateczne rozwiązanie dość spokojnie. Niczego jej nie zabraknie, ma przyzwoite dożywocie i zamieszka w niewielkim ładnym domku w pobliżu. Oczywiście wiem, że będziecie teraz węszyć za motywami, których są tysiące, a wśród nich kilka niezbyt chwalebnych (jak gdyby mnie to wzruszało), ale głównie jestem zdania, że nie mogę mieć dużo, kiedy inni mają mało, i: mój temperament nie pozwala mi zostać angielskim ziemianinem. Nienawidziłbym tego i stałbym się nieznośny. (Jeśli tak wolicie, jeszcze bardziej nieznośny!) To nie tylko obciążenie duchowe, moja droga, lecz również przekłete obciążenie materialne i praktyczne: mury, dachy, drzewa, służba, melioracje, podatki... Boże, jak cudownie proste było nasze życie w Sperriton i jak mi go brakuje!

Cóż, to jest bomba numer jeden, jeśli w ogóle jest bomba. (Ciekaw jestem, czyście się z Russem tego spodziewali). Poczekaj, kochanie, na bombę numer dwa. Zaręczyłem się. Chcę poślubić pełne słodczy, skromne, seksowne i zupełnie nieuczone kociątko-kobieciątko o nazwisku Stefania Whitehouse, które odziedziczyłem po Sandym – jest ona, można powiedzieć, częścią spadku. Jest (dosłownie!) była prostytutką, którą Sandy potajemnie utrzymywał w Londynie! (Powód do triumfu dla Ciebie!) Kocha mnie i jest jedyną kobietą poza Tobą, z którą było mi dobrze w łóżku! Miała żalosne życie i mam dla niej masę współczucia. Nie jest bynajmniej piękna, ale bardzo pociągająca, rozgrzewa mnie i podnieca i czuję się z nią bezpieczny. Jest całkowitym przeciwieństwem dworu w Laxlinden i nie mogę doczekać się chwili, kiedy zabiorę ją z tego przeklętego miejsca. Nawiasem mówiąc, ma trzydzieści cztery lata, coś dla Ciebie!

Bello, kochanie, nie bądź zazdrosna. (W porządku, gdybyś była tutaj, dostałbym za to po głowie!) Wiesz równie dobrze jak ja, że miłość (jak wszystkie inne ważne rzeczy) jest rozciągliwa – może nawet nieskończenie rozciągliwa, i im więcej jej jest, tym bardziej. Mogę kochać biedną Stefanię, nie ujmując ani joty z mojej miłości do Ciebie. I słuchaj: to wszystko stało się dla mnie jasne w ciągu ostatnich paru dni. Mam wrażenie, że wbrew tym wszystkim okropnościom, od czasu gdy postawiłem stopę na ziemi angielskiej, cały czas działałem jak mały bezosobowy komputer i dopiero teraz wpadłem na odpowiedź. Chcę wrócić do swojej pracy, chcę wrócić do Ciebie i Russa (jesteście przecież moją rodziną), chcę przywieźć Stefanię do Sperriton. Wiem, że wszyscy mówiliśmy, że wrócę, ale czy wszyscyśmy w to wierzyli? Jeśli chodzi o mnie, to chyba nie. Więc słuchaj: wydaje mi się, że jakimś głębokim nieświadomym zmysłem odkryłem jedyną kobietę, która pasuje do tej łamigłówki. Gdybym ożenił się z intelektualistką albo nawet ze zwyczajną

angielską (lub *a fortiori* amerykańską) dziewczyną, nic by z tego nie wyszło, nie mógłbym wrócić. Rozumiesz. Ale mała Stefania jest rozbitkiem i zupełnie nie intelektualistką, jest łagodna i słodka, polubisz ją i będzie świetnie pasować. W każdym razie na to liczę i tak to teraz widzę. I wiem, że mi pomożesz i pomożesz jej, bo jesteś mądra i dobra. Nie mogę i nie chcę utracić Ciebie i Russa i teraz zaczyna mi się wydawać, że może nie będę musiał. A całkiem niezależnie od tej łamigłówki, muszę tak czy owak wrócić do Sperriton, ponieważ nigdy nie dostałbym tutaj pracy ani nie mógł sprzedać swoich kolosalnych talentów w Anglii!

Proszę Cię, Bello, zrozum to wszystko i poprzyj mnie tak, jak zawsze to robiłaś. Przyjmij biedną Stefanię – jest to prosta, wdzięczna dziewczyna i nikomu nie będzie sprawiać kłopotu. I, wiesz co, od czasu gdy ponownie, ze strony swojej matki, doświadczyłem, czym potrafi być chłód angielski, trudno mi wyrazić, jak bardzo cenna i utęskniona wydaje mi się amerykańska delikatność i swoboda, którą Ty z Russem okazałaś mi i z którą mnie zapoznałaś. Tutaj z każdym dniem staję się bardziej chłodny – i to jest jeszcze jeden powód, żeby stąd uciekać, Tak wiele myślałem o was od chwili przyjazdu i z taką wdzięcznością. Przepraszam, że nie napisałem wcześniej, ale byłem całkiem skołowany, i cieszę się, że nareszcie napisałem, bo wiele rzeczy wyjaśniło mi się dopiero, kiedy zasiadłem do tego listu! Pokaż go Russowi i przekaż Mu moje uściski. Odpisz prędko, Bello kochana – zawsze pełen miłości Twój (jak dawniej mnie nazywałaś) demoniczny syn

H

– Ostrożnie – powiedział Henryk cofając się. – W żadnym wypadku nie można go naciągnąć. Pan podniesie tę stronę do góry, Bellamy, a Rhoda niech odczepi te ostatnie kółka. W porządku. Teraz oboje możecie go opuścić.

Gobelin osunął się z głośnym klapnięciem na podłogę, wznosząc do góry tuman kurzu. Rhoda i Bellamy zeszli z wysokich drabin ustawionych po obu stronach.

Wyjrzało słońce i kałuże na tarasie zaświeciły jak emaliowe błękitne talerze. Przez okna biblioteki wpadało stłumione światło bladego poranka. Na gołej ścianie, niby zagadkowa wizja przeszłości, ukazała się stara, zapomniana i wyblakła tapeta w kratkę przeplatana wijącymi się różami. Jednocześnie biblioteka nagle wydała się znacznie większa, chłodniejsza,

jak gdyby przyszłość wtargnęła do niej z brutalną, chłodną siłą. Henryk podszedł do gobelinu i kopnął go, wznosząc nowy tuman kurzu.

– Trzeba go wyczyścić. Czy mógłby pan teraz go zwinąć i zobaczyć, czy zmieści się z tyłu volvo? Nie, nie tutaj, niech pan go zabierze do hallu, jeśli łaska, duszę się.

Rhoda i Bellamy zwinęli gobelin w długą nieforemną kielbasę i wyciągnęli z biblioteki. Henryk dostrzegł jeszcze potężną rękę Ateny zatopioną we włosach bohatera. Zamknął drzwi. Potem usiadł przy okrągłym stole i przyglądał się wielkiej pustej ścianie, spłowiałej i bladej, pokrytej trójkątnymi kępkami pajęczyny. Oddychał głęboko.

Weszła Gerda, w jednej ze swoich długich niebieskich sukien, kołysząc spódnicą. Henryk wstał. Gwałtownym gestem rzucił na stół jakieś papiery.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Powiedziałem ci. Mówiłem, że przesyłam go do Sotheby’ego.

– Nie mówiłeś, że masz zamiar zrobić to dzisiaj.

– Dziś czy jutro, cóż to za różnica? Nie powiesz go przecież w swoim domku?

– Umyślnie chciałeś mi sprawić przykrość.

– Nie rozumiesz, mamó – powiedział Henryk. – Nie chciałem umyślnie sprawić ci przykrości, to byłoby humorystyczne i małostkowe. Ta sprawa jest większa od ciebie i ode mnie. To poważna transakcja finansowa, która w rezultacie ma przynieść wiele dobrego ludziom, o których nigdyśmy nie słyszeli i którzy nigdy nie słyszeli o nas. Czy wyobrażasz sobie, że się z tego cieszę?

– Tak.

– A więc jesteś w błędzie. Jestem ogromnie przywiązany do tego gobelinu. Bardziej niż do czegokolwiek innego w tym domu i bardziej od ciebie, bo dla ciebie jest to tylko przyjemny stary kawałek obicia, a dla mnie to dzieło sztuki!

Ptasiogłowa Rhoda, wymownie machając dłońmi w rękawiczkach, weszła i coś wymamrotała.

– Co ona mówi?

– Mówi, że nie zmieści się w volvo – powiedziała Gerda, odsuwając się od kominka, gdzie ogień płonących polan dyskutował ze światłem słonecznym.

– Do diabła. Cóż, więc niech zostanie tak jak jest zwinięty w hallu, dobrze, Rhodo?

– Więc dlaczego sam zadajesz sobie tortury? – powiedziała Gerda, kiedy Rhoda wyszła. – I mnie. I swojej narzeczonej.

Henryk stanął obok matki, głaszcząc girlandę polerowanych brązowych żołądź w obudowie kominka.

– Mamo, proszę cię, niech będzie, co ma być. Przeżyłaś tu dobre chwile i nie chcę zaczynać wszystkiego od nowa. Bądź sprawiedliwa. Bądź dla mnie sprawiedliwa.

– Dlaczego tak ci się spieszy ze sprzedażą tego gobelinu?

– Bo chcę sprzedać coś, co cenię, i sprzedać szybko. To ułatwi mi dalszy ciąg. Kiedy nawlekasz igłę, koniec nitki musi przejść pierwszy, a dopiero za nim reszta. To jest koniec nitki. Wszystko to zniknie, mamó, jak pałac Aladyna. I musimy już zacząć wierzyć, że tak będzie. Nie wydaje mi się, żebyś w to wierzyła. Może ja w pewnym sensie też nie wierzę.

– Jeśli tak cię to wszystko wzrusza – powiedziała Gerda nie patrząc na niego – i wcale nie jesteś pewny, czego chcesz, dlaczego nie zaczekasz? I dlaczego chcesz tak prędko zabierać stąd swoją narzeczoną?

– Chciałbym, żebyś przestała wreszcie nazywać ją moją narzeczoną. Znasz jej imię.

– Cóż, przecież jest twoją narzeczoną, prawda?

– Tak, ale ty wyrażasz się sarkastycznie.

– Dlaczego tak prędko chcesz ją stąd zabrać?

– Ponieważ ty nią gardzisz.

– Henryku – powiedziała Gerda. – Bądź rozsądny i miej trochę litości. Próbuje ją poznać.

– Próbujesz przeciągnąć ją na swoją stronę.

– Och, nie bądź śmieszny! Nie podobało ci się, że po śniadaniu rozmawialiśmy o Sandym.

Henryk odwrócił się i skierował do drzwi.

– Proszę cię, Henryku, zaczekaj. Zatrzymał się i spojrzał jej w twarz.

– Karcilaś mnie i drażniłaś się ze mną przez całe moje dzieciństwo i dotychczas nie możesz się tego oduczyć. Nie chcesz pokoju. Chcesz wojny. Dobrze. Wiem, że nie możesz mi wybaczyć, że ja żyję, kiedy Sandy’ego już nie ma.

– Chciałabym – powiedziała Gerda – żebyś przestał się zamęczać. Walczysz ze sobą, nie ze mną. Gdybyś wiedział, jak bardzo się nad tobą lituję.

Henryk wyszedł z pokoju, cicho zamykając drzwi za sobą.

Gerda powoli wróciła do stołu i usiadła. Siedziała nieruchomo w postawie pełnej napięcia.

W kilka minut później wszedł Lucjusz w płaszczu, z ręką zanurzoną w rozwianych włosach.

– Pojechali – stwierdził. Dostrzegł ogołoconą ścianę. – O mój Boże! Więc to stąd ta wielka góra w hallu.

– Nie zmieścił się w volvo – poinformowała go Gerda.

W tym momencie Lucjusz zobaczył papiery leżące na stole, przykryte dużą płaską dłonią Gerdy. Uniósł brwi, a potem pomaszerował do kominka i stanął, nucąc przez chwilę w zamyśleniu, wreszcie obrócił się ostrożnie i spojrzał na nią.

Gerda w końcu raczyła go zauważyć.

– Słuchaj, co mają znaczyć te papierzyska, które znalazłam w twoim pokoju? Na przykład to? „Jej stopy wywołują głucho echa, co z każdą chwilą wiedzą mniej. Człap, człap. Jej cień”.

– O, to tylko poezje.

– A to. „Błądząc po ścieżkach domu, gubi drogi serca. Człap, człap. Stara kobieta”. Czy to ja jestem tą starą kobietą?

– Nie, oczywiście, nie, moja droga...

– A to co takiego? „Jej kocie ciepło czaruje mnie tysiącem kobiet”. Kto ma być tą kotką?

– Nikt, moja droga, to wyobraźnia... sztuka...

– Sztuka! Nie potrafię wyrazić, jak obraźliwe i bezczelne wydaje mi się to wierszowanie. Tego są całe stosy. „Człap, człap”, doprawdy! Proszę. – Gerda pchnęła mu kartki przed nos.

Lucjusz zebrał je, zawahał się i wstał.

– O co ci...

– Gdybyś był dżentelmenem, spaliłbyś to wszystko.

Lucjusz bez najmniejszego wahania podszedł do kominka. Wrzucił wiersze w gorące wnętrze ognia, gdzie natychmiast wybuchnęły płomieniem. Odwrócił się do Gerdy i usiadł naprzeciw niej przy stole, przyglądając się jej z łagodnym, zagadkowym wyrazem twarzy i uwalniając się od płaszcza, który opadł na krzesło.

Gerda patrzyła na niego uważnie, marszcząc brwi.

– Czy masz zamiar przyjąć rentę od Henryka?

– Tak, moja droga.

– Umówiłeś się już co do mieszkania z Audrey?

– Nie. Reks mi na to nie pozwoli.

– Więc dokąd pojedziesz?

– Znajdę sobie jakiś pokoik.

– Gdzie?

Lucjusz siedział, spoglądając na nią z jasnym i łagodnym wyrazem twarzy.

– Gdzieś blisko ciebie, kochanie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ty jesteś wszystkim, co mi pozostało. Reszta nie ma znaczenia. Myślę nawet, że może Henryk ma rację, podziwiam go, chciałbym mieć tyle odwagi co on. Starzejemy się, moja droga, i ja, i ty. Gdybyśmy mieszkali na Wschodzie, zaczęlibyśmy już myśleć o wstąpieniu do klasztoru. Może naprawdę pora już pożegnać się ze światem. W pewnym sensie Henryk po prostu zmusza nas do zrobienia tego, co powinniśmy zrobić. W naszym wieku trzeba prowadzić życie proste. Wszystko to nie ma znaczenia, ten dom, meble, te trawniki i drzewa, wszystko to jest rodzaj iluzji, jak gobelin, który można zwinać i sprzedać. Ważna jesteś ty i ja i może lepiej nam będzie bez tego wszystkiego i zachodów, jakie z tym się wiążą. Chciałbym mieszkać blisko ciebie w jakimś małym pokoiku. Kocham cię, Gerdo, i tej miłości oddałem całe swoje życie. Możliwe, że większość rzeczy, jakie robiłem, nie ma sensu, ale nie to.

– Wszystko to bzdury – powiedziała Gerda. – Nigdy cię tutaj nic nie obchodziło poza spacerami po parku i tym, żeby mieć posiłki podane na czas. Nie nadajesz się do tego, żeby odwrócić się od świata. A co do starości, mów tylko o sobie. Jesteś ode mnie o wiele starszy.

– Wiem, moja droga, ja tylko...

– Więc przyznajesz się do rezygnacji?

– Tak. Zdjęli gobelin. Wszystko to zniknie. Już zdążyłem się z tym pożegnać.

– Cóż, ze mną jest inaczej – stwierdziła Gerda. – A teraz idź już, proszę, muszę nad czymś pomyśleć.

Lucjusz podreptał na górę do swego pokoju, nalał sobie odrobinę whisky i nastawił drugi koncert Brandenburski. Pospiesznie zabrał się do spisywania na nowo swoich wierszy. Znał je wszystkie na pamięć.

Gerda siedziała w zadumie. Pomyślała: to on sprawił, że jesteśmy starzy. Czy przestałam być żywą, aktywną, rozsądną kobietą i mam się zamienić w niepotrzebną, płacziwą, złośliwą starą jędzę? Potem, patrząc na ścianę, zaczęła przypominać sobie nie kończące się głupie żarty, jakie Sandy robił na temat tego, co działo się na gobelinie.

– Znowu zaczynasz.

– I to takie okrutne wobec twojej matki.

– Nasz stosunek jest wyjątkowy.

– Wolałabym, żebyś mówił zwyczajnie. Wszystko zamieniasz w teorię. Nie wiem, kiedy mówisz serio.

– Możesz przyjąć, że prawie cały czas, i trzymać się tej zasady.

– Dom jest naprawdę nieduży i twoja matka mówiła mi, że prowadzi go prawie za darmo.

– Widzę, żeście się nieźle dogadały!

– Nie cieszy cię to?

– O, tak, tak.

– Uważam, że to biedna, nieszczęśliwa stara kobieta.

– Wydaje mi się, że to niezbyt trafne określenie.

– Nie zostawiasz na niej suchej nitki, a potem chcesz, żeby ją podziwiać. Widzę to wszystko jasno.

– Nic nie widzisz jasno i nigdy nie będziesz. Nie próbuj zrozumieć tego, Stefo. Ci, co rozumieją, giną z rąk morderców.

– Czasami mnie przerażasz. Byłeś dla niej taki niegrzeczny, trudno mi w to uwierzyć, i ta straszna sprzedaż domu, to po prostu koszmar.

– Niektórzy ludzie lubią spędzać życie, zabawiając się własnym majątkiem. Ja nie. Nie chcę się martwić o drzewa, ściany i rury kanalizacyjne, szkoda na to mojego i twojego czasu. Moja matka jakoś sobie z tym radzi...

– Myślisz, że ja bym nie potrafiła?

– Nie rozumiem, dlaczego miałabyś to robić. Chcę, żebyśmy byli wolni.

– Ja nie chcę być wolna. Z rozkoszą zajmowałabym się drzewami, ścianami i rurami. Nigdy w życiu nic nie posiadałam.

– Masz szczęście.

– A ty nigdy nie znalazłeś...

– Od początku świata, prawdopodobnie od rajskich czasów, kobiety kusiły mężczyzn, aby zdobywali dobra materialne. Posiadanie to specjalność kobiet. Nie twierdzę, że to wada, lecz taka jest ich natura, kobiety posiadają, mężczyźni są. Cóż, dzięki Bogu, ty nie zamierzasz wplątać mnie...

– Wolałabym nigdy nie oglądać tego miejsca.

– Nie chciałem ci go pokazywać. Chciałem pokazać ci moją matkę. Choćby raz...

– Więc dlaczego chciałeś mi ją w ogóle pokazać?

– Chciałem, żeby moja matka przyjęła cię, powitała, uznała i była wobec ciebie uprzejma. Chciałem pokazać ci, że to jest możliwe.

– Chcesz powiedzieć, że to pomogłoby mi nie czuć się...

– Tak.

Żółte volvo zahaczyło o ogrodzenie pastwiska i skręciło w lewo w stronę wioski.

– O wszystkim decydujesz beze mnie – powiedziała Stefania. – Nie traktujesz mnie jak kogoś równego.

– Bardzo niewielu mężczyzn traktuje kobiety jak równe sobie – powiedział Henryk – i jeśli ja nie traktuję cię na równi, to nie ma nic wspólnego z twoją przeszłością. Po prostu kocham cię i nie te cholerne drzewa, tylko ciebie uważam za swoją własność.

Stefania wsunęła ramię za plecy Henryka. Miała na sobie czarną sukienkę z rozpiętym kołnierzykiem i broszką w kształcie foksteriera. Od czasu ich pierwszego spotkania, jak zdawało się Henrykowi, wyraz jej twarzy się zmienił. W okrągłych oczach malowała się zaduma i zakłopotanie, skrytość i zamyślenie, dzięki którym twarz pełna napięcia była prawie piękna. Zacisnęła mocno usta, próbując językiem pomadki.

– Jesteś śmieszny. Chyba nigdy nie mówisz tego, co myślisz. Nie pożegnałam się nawet porządnie z twoją matką.

– Była wściekła. Ale nie chodziło jej o ciebie.

– Kupisz mi pierścionek z brylantem?

– O, zapewne.

– Uwierzę we wszystko, co mówisz, jeśli tylko kupisz mi pierścionek z brylantem.

– Wierzysz w magię. Cóż, to naturalne.

– Proszę cię, Henryku, zamieszkajmy we dworze. Mógłbyś sprzedać wszystko inne, ale zatrzymać dwór. Nie możesz go sprzedać, chyba oszalałeś.

– Muszę się go pozbyć, Stefo, bo inaczej mnie zniszczy. A jeśli po prostu zostawię go matce, w końcu też mnie dopadnie. O co ci wreszcie chodzi, o mnie czy o dwór? Nienawidzę tego miejsca całą duszą. Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że jedziemy z powrotem do Londynu.

– Byłam taka biedna i nieszczęśliwa. Nie miałam nic...

– Będę pracował dla ciebie, Stefo. To będzie miało sens. Chcę prowadzić zwyczajne życie, które ma sens.

– To wszystko przez Sandy'ego.

– Wcale nie!

– To dlatego, że...

– Ucięłyście sobie o Sandym niezłą pogawędkę?

– Jesteś zazdrosny?

– Chcesz, żebym wjechał do rowu?

Henryk nagle skręcił na pobocze i zgasił motor. Byli już o krok od wioski. Naprzeciwko nich ciągnął się mur parku. Duże, prostokątne złociste kamienie połyskiwały w słońcu, które tu i ówdzie muskało spiralne wzory skamieniałych muszelek.

W tym momencie Henryk dostrzegł sunącą ku nim drogą wysoką postać Colette Forbes. Zawahał się, sięgnął do stacyjki i oparł głębiej na siedzeniu. Pewnie już dostała jego list. Namiętnie pragnął uniknąć tej rozmowy.

Stefania, obrócona plecami do drogi, spytała:

– Co się stało?

Henryk siedział sztywno, patrząc przed siebie. Coś przysłoniło przednią szybę. Colette okrążyła samochód, przechodząc na stronę Henryka, który otworzył okno. Miała na sobie białą bluzkę, kurtkę z zielonego tweedu z paskiem i odpowiednie pumpy. Jej długie brązowe włosy, podpięte z tyłu i przerzucone przez ramię, tworzyły splecione ogon.

– Cześć, Henryk.

– Cześć, Colette. Stefania, nasza sąsiadka, Colette Forbes. Moja narzeczona, Stefania Whitehouse.

– Miło mi panią poznać – powiedziała Stefania.

– Witam – rzuciła Colette, a potem zwróciła się do Henryka. – Dostałam twój list o niej.

– A więc oto ona – powiedział Henryk – we własnej osobie. Dziękuję ci za list, doceniam go.

– Doceniasz go? Śmieszne wyrażenie.

– Bo list też był śmieszny.

– Cieszę się, że cię zabawił. Uważam, że twoja odpowiedź była bardzo głupia i niegrzeczna.

– O Boże...!

– Była obraźliwa, samolubna i nieprawdziwa. Niby traktujesz mnie jak dziecko, bo boisz się nawiązać ze mną głębszy kontakt. Próbowałeś zamienić w żart sprawę bardzo poważną i istotną. Świadomie nie okazałeś mi szacunku. Nie mogłeś wierzyć w to, co piszesz, to było kłamstwo.

– Doprawdy, Colette. Chyba ty zachowujesz się głupio i niegrzecznie! Napisałem całkowicie przyjacielski, zupełnie jasny list. Ostatecznie nie tak łatwo było ci odpowiedzieć! Mam nadzieję, że przynajmniej schwytałaś pointę.

– Byłeś bardzo niegrzeczny i nieszczerzy.

– Skąd w tej małej dziewczynce tyle złości!

– O co chodzi? – zapytała Stefania.

– Czy mogę jej coś powiedzieć?

– Nie!

Colette nachyliła się do okna samochodu.

– Panno Whitehouse, chcę pani powiedzieć tylko jedno. Wyjdę za Henryka Marshalsona. Znam go i kocham całe życie i należy do mnie. To wszystko. Wyjdę za niego za mąż. Jest mój. Do widzenia.

Wysoka postać czmychnęła. Długie nogi Colette w zielonych pumpach mignęły nad opłotkiem i przeskoczyły na pole za poboczem. Henryk popatrzył za nią. Potem zaczął się śmiać. Uruchomił motor. Śmiał się dalej. Żółte volvo popędziło drogą.

– Jak się czujesz, Stefo? – zapytał Henryk, kiedy się uspokoił. Rzucił jej ukradkowe spojrzenie. Volv o pędziło pod górę i skręciło na szosę.

Stefania drżała; podwinęła pod siebie pulchne nogi i skulona przyciskała do twarzy chusteczkę, spod której kapały łzy.

– Dość tego, Stefo, koniec z tym, musisz się otrząsnąć. Możesz się tylko pośmiać z tej idiotki. Chyba nie wzięłaś tego poważnie?

– Byłeś z nią zaręczony, byłeś... Nie dziwnego, że twoja matka zachowywała się tak szczególnie...

– Nie jestem z nią zaręczony. To po prostu nieznośna rozfantazjowana pensjonarka. Od czasu kiedy dorosła, widziałem ją tylko dwa razy.

– Powiedziała, że skłamałeś, więc musiałeś obiecywać...

– Mówię ci, że widziałem ją zaledwie...

– Dlaczego się śmiałeś?

– Bo zawsze mnie śmieszy.

– Ale mówisz, że spotkałeś ją tylko dwa razy.

– No więc śmiałem się dwa razy. To jest trzeci i ostatni raz. Jeśli cię denerwuje, nie ma w tym nic śmiesznego.

– To czarownica. Chce ciebie mieć i na pewno cię dostanie. Powiedziała: „On jest mój”, i brzmiało to prawdziwie. Rzuciła na nas czar, czuję go.

– Dam ci pierścionek z brylantami, on cię obroni.

– Ona cię do siebie przyciągnie. Będiesz do niej wracał. Musiałeś być z nią zaręczony, bo inaczej by tego nie powiedziała.

– Nie znasz jej! No już, Stefanio, dosyć tego. Przysięgam, że nie będę się z nią widywał.

– Naprawdę?

– Słuchaj, nie mówiłem ci tego, ale kiedy sprzedam dom...

– Nie chcę, żebyś go sprzedawał...

– Kiedy sprzedam dom, jedziemy do Ameryki. Wrócę do swojej pracy...

– Nie chcę jechać do Ameryki. Czy to, czego ja chcę, nie ma znaczenia?

– Tam jest wspaniale, będziemy się czuli wolni i szczęśliwi. Mam tam śliczny mały domek...

– Chcę mieszkać we dworze.

– Gdybyś zamieszkała we dworze, zostałabyś niewolnicą mojej matki.

– Chcę być jej niewolnicą.

– Och, przestań wreszcie płakać!

– Ta dziewczyna cię dostanie, to czarownica. Czuję to. Jak ona mnie atakowała, czuję jej pazury!

– Stefanio, czy musisz zaczynać wszystko od nowa na tej szosie?

– Nie jestem dość silna, żeby cię zatrzymać, wiem, że tak jest.

Żółte volvo popędziło do wylotu szosy, potoczyło się drogą dojazdową, wjechało nagle w spokojną wiejską alejkę, podskakując na niej, i zatrzymało się w błocie koło bramy. Śpiewał skowronek.

– Spójrz mi prosto w oczy, Stefo... nie chowaj się za chusteczką...

Stefania spojrzała na niego, pokazując świecąca od łez, czerwoną, spuchniętą twarz, wilgotne wargi i wykrzywione od płaczu drżące usta.

– Stefanio, obudź się, wiesz przecież, że szminka zawsze plami, cała jesteś pomazana, wyglądasz jak kocmołuch, jak prawdziwa filmowa komediantka.

– Nie możesz mnie kochać, to niemożliwe, kochasz ją...

– Gdybym ją kochał, to czybym się z niej śmiał?

– Nie wiem, jesteś taki dziwny.

– Jesteś moją komediantką z mojego filmu. I pojedziemy do Ameryki, i tam ci się spodoba. Pewnie uważasz mnie za egoistyczne bydlę, dobrze, pewnie nim jestem. Muszę się ratować, inaczej nie będę mógł uratować ciebie.

– Kochasz ją, jest taka młoda, tak się boję, ona mnie przeraża...

– Przestań skamlać, Stefanio, bo nie wytrzymam. Zeszliśmy się, bo tak chciało przeznaczenie, byłaś stworzona dla mojej sytuacji i moich problemów. Postawiłem światu pytanie i ty jesteś odpowiedzią. Nigdy nie potrafiłem kochać żadnej kobiety tak jak ciebie. I nie mów, że „to tylko seks”. Cóż to ma znaczyć, „tylko seks”? Wszystko jest seksem, twoja chusteczka pomazana szminką to seks, volvo to też seks, i ten niebieski znak drogowy, i mech na bramie, i ten idiotyczny śpiew skowronka, i to, jak bardzo chciałbym się tobą opiekować. Nigdy przedtem nie chciałem nikim się opiekować, nie miałem kim, odkąd matka zabrała mi pluszowego misia, nie miałem nigdy nic własnego.

– Po prostu litujesz się nade mną.

– Oczywiście, że się lituję. Ty sama litujesz się nad sobą.

– Chcesz po prostu dokuczyć moją osobą swojej matce.

– Do licha z tym twoim po prostu. Mógłbym to robić, nie żeniąc się z tobą.

– Nie ożenisz się ze mną, nawet nie dałeś mi pierścionka.

Henryk zdjął jedną z samochodowych rękawic i uderzył ją w twarz. Odwróciła się, oparła głowę o szybę i gryząc chusteczkę popłakiwała.

– Stefanio, bo cię rozszarpie! Posłuchaj, kochasz mnie czy nie? To chyba nie tylko z powodu Sandy’ego?

– Nie...

– Chyba nie odczuwasz, że musisz się stać moją własnością, ponieważ należałaś do niego? Kochałaś go i doprawdy nie rozumiem, dlaczego miałabyś kochać mnie. Pamiętaj, że nie tylko ty masz wątpliwości. Był wysokim, przystojnym mężczyzną, a ja jestem niedużym czarniawym chudeuszem. Nie musisz mnie mieć, możesz się wycofać. Ale jeśli wyjdiesz za mnie, muszę być panem i będziemy robić to, czego ja chcę. Zgoda?

– Zgoda.

– Do licha, ja też mam swoje kłopoty, jestem zagubiony, nie wiem, kim jestem, nie tylko ty nie wiesz. A teraz przestań płakać. Już.

– Przepraszam. Ta dziewczyna tak mnie przeraziła.

– Patrz, całą rękawiczkę mi pomazałaś. Wsiądźmy. Słońce całkiem nieźle grzeje. Chodźmy na pole. Zabiorę koc. No już, Stefanio, prędko, prędko. Prędko.

W chwilę potem skowronek dalej ciągnął swoją pieśń, zamieniony w niewidoczny punkcik w rozpromienionym od słońca błękicie. Zachłystując się od czasu do czasu w ekstazie, zalewał niebo śpiewem, który płynął, płynął i płynął.

– Kochasz mnie, Stefo?

– Tak, tak. Tylko to wszystko jest jak sen, zbyt dobre, żeby było prawdziwe, jak gdybym nie miała śmiałości.

– To koniec jednej historii, Stefanio, i początek drugiej.

– Żyli długo i szczęśliwie?

– Nie wiem. Wątpię. Ale żyli razem, ufali sobie, pomagali nawzajem i zawsze mówili sobie prawdę. No, jak?

– Tak.

– Posłuchaj skowronka.

– Daj mu talerz, a sama idź do łóżka.

Kato spoglądał na Colette, która w starym zielonym drelichu, poplamionym błotem w ogrodzie, stała z niezgrabnym wdziękiem przy piecu, z włosami podwiązanymi tasiemką, z twarzą pałającą i świecąca jak u chłopca. Spojrzał na ojca, który marszczył się, próbując ukryć promienną radość, i brudnymi rękami w mankietach wykończonych skórą wodził niespokojnie po chropowatym drewnie kuchennego stołu. Kato wpatrywał się w dwie pary oczu jaśniejących powitaniem i miłością. I pomyślał, jaki jestem szczęśliwy, że kochają mnie tacy wspaniali ludzie, i jak niewiele mogą oni teraz dla mnie zrobić, mimo całej dobrej woli. To jest pierwszy dzień nowej rzeczywistości, w której muszę przemienić się wewnątrz i postawić sobie za cel poszukiwanie szczęścia. Utraciwszy to, co stanowiło istotę mego życia, jakże zmałałem, pod ciężarem porażki, wstydu i poniżenia stałem się cienki jak igła. Straciłem siły, myślał,

straciłem postawę i godność, i jak niegodnie jest myśleć o tym w ten sposób, jak gdyby tylko to miało znaczenie.

– W porządku. Dość tych uścisków. Puść go, Colette.

– Ale, tatku... No więc dobrze. Dobranoc, kochany, kochany Kato.

Współczują mi – pomyślał Kato. Miłość sublimuje ich litość. Inni będą mi współczuć mniej subtelnie i wtedy zaczną się kurczyć. Przyzwyczaję się do tego, że jestem w końcu niczym więcej, jak tylko pedałem w sztruksowym ubraniu. – Zaczął jeść gulasz zagrzany przez Colette. Zjawił się bardzo późno.

– Więc masz już pracę? To dobrze. No i w Leeds, to dobre miejsce.

– To tylko chwilowe zaczepienie.

– Może dostaniesz się na uniwersytet, znam tam parę osób...

– To by musiało trochę potrwać... ostatnio nic nie studiowałem.

– Szkoda, że zmarnowałeś tyle czasu. W każdym razie dawniej czegoś się uczyłeś. To tylko ostatnie lata były kompletnie stracone.

– Tak...

– Cóż, teraz możesz znowu żyć normalnie i studiować. Masz tu wszystkie swoje książki. Zaczniemy żyć jak dawniej, obaj będziemy pracować.

– Tak...

– Spodziewałem się, że w końcu otrzeźwiejesz. Zastanawia mnie, jak ktoś może wierzyć w te głupstwa. Musiałeś odczuwać fałsz swojej sytuacji. Czy nie jest ci lżej, że to się już skończyło?

– Tak...

– To zdumiewające, jak nawet racjonalnie myślący ludzie potrafią się oszukiwać. Nie jesteś wyjątkiem. Boże, jak ja nienawidziłem twojej czarnej sutanny. Teraz znowu wyglądasz jak mężczyzna.

– Tak, ojczy...

– No, dzięki Bogu wyrwałeś się z tego i szczęśliwie niezbyt późno. Wyrobimy ci drogi na uniwersytecie.

– Wątpię, czy...

– Dzisiaj, w naszej epoce, cóż, to niepojęte... przypuszczam, że to miało jakiś urok estetyczny. Czy mam rację?

– Może, w pewnej mierze...

– O, to mogę zrozumieć. Religia była zawsze urzekającą sztuką. No i jest w tym coś z wielkiego przedstawienia, jak wstąpienie do partii komunistycznej, to, że ma się po swojej stronie historię i wspólnotę międzynarodową, i tak dalej... Była taka moda w latach mojej młodości.

– Tylko że ty nigdy nie wstąpiłeś.

– Nigdy mnie to nie kusilo. Przejrzałem to wszystko na wylot. Zawsze byłem zbyt kanciasty, nigdy nie znośłem, żeby ktoś mną rządził. Niektórzy to lubią, posłuszeństwo wiąże się z bezpieczeństwem, to nawet podniecające. Ale nie dla mnie. Zawsze rozumiałem wszystko zbyt dosłownie. Zawsze trzymałem się tego, co byłem w stanie zrozumieć. Prawda to sprawa dosłowna, to sprawa szczegółów, tego, co można wyjaśnić i wytłumaczyć. Widziałem oznaki niebezpieczeństwa. Kiedy człowiek zaczyna gonić za tym, co wielkie i mgliste, szybko wciąga się w kłamstwa, kłamstwa duchowe, rzeczy, których nie sposób dostrzec ani rozszyfrować, ale które się przyjmuje, ponieważ jest się zakochanym w całości. To droga do piekła, tak pod względem moralnym, jak i politycznym. Wszelkiego rodzaju metafizyka jest kłamstwem, wszystko, co wielkie. Nie może być inaczej.

– Tak, pewnie masz rację – przyznał Kato.

– Powiedziałeś, że jestem filistrem...

– Wielki Boże, naprawdę? Przepraszam...

– Powiedziałeś, że jestem duchowym filistrem.

– Myślałem tylko, że...

– W porządku, wiem, co myślałeś. Nie wierzę we wszystkie te mity i legendy i uważam, że pojęcie życia pozagrobowego to w sensie moralnym najbardziej destrukcyjne pojęcie, jakie kiedykolwiek wymyślono, ale wierzę w uczciwe życie, w to, że trzeba się starać być dobrym człowiekiem i mówić prawdę... uważam, że to jest istota tego wszystkiego, mówić prawdę, zawsze szukać prawdy, nie tolerować kłamstwa ani półprawdy... to półprawdy zabijają ducha. Więc nie jestem takim filistrem, jak ci się wydaje.

– Bardzo przepraszam...

– Twoja matka była kimś w rodzaju świętej. Urodziliśmy się jako kwakrzy, ale religia opuściła nasze życie w sposób całkiem naturalny. A jednak ci starzy kwakrzy coś wiedzieli, było w nich coś uczciwego i

prawdziwego. Światło wewnętrzne to istota prawdy. Zrozumiałem to dość wcześniej. Znalazłem w tym jakiś własny sens. Nie tę koszmarną teologię, chorobliwe malownicze rekwizyty, które tak bardzo przemawiają do twojego poczucia estetyki, ale zwykłą skromną zasadę przeżywania życia, zarabiania na chleb, pomagania innym ludziom, walki z kłamcami i tyranami. Na tym polega wszystko, Kato, i to wystarcza.

– Tak...

– Wiesz, nigdy się z tobą tym nie podzieliłem... nigdy ci właściwie nie mówiłem, jak to odczuwam i co o tym myślę...

– Powiedziałeś kilka całkiem mocnych zdań.

– Nic z tego, co chciałem naprawdę powiedzieć. Rozumiałem, że nie ma sensu na ciebie krzyczeć. Brzydzę się tą piekielną religią. Jest chytra jak diabeł. Gdziekolwiek zakwitnie, zabija uczciwość, wolność, wszelką myśl.

– Ojczy, jestem wykończony, chyba pójdę do łóżka.

– Ciągle jeszcze jesteś na wpół urzeczony tym stekiem nonsensów.

– Nie wszystko to nonsensy.

– Dobrze, możesz do tego wrócić, ja cię nie zatrzymam. Sądziłem, że to przemyślałeś.

– Przemyślałem. Nie wierzę już w Boga i to wszystko. Sprawa zakończona. Tylko proszę cię, nie gniewaj się i nie mów takim ostrym tonem. Cieszę się, że jestem w domu, i cieszę się, że ty się cieszysz.

– Colette mówiła mi, że w dzieciństwie byliście przeze mnie zastraszeni. To chyba nieprawda?

– Chyba tak było, ale kochaliśmy cię, a miłość jest równie ważna jak prawda. Idę do łóżka. Dobranoc, tatku.

– Zdawało mi się, że to ja prawię wam kazania. A teraz ty to robisz. Taki jestem szczęśliwy, że wróciłeś. W porządku, w porządku, no więc dobranoc, śpij dobrze. Ja na pewno będę dobrze spał. Nareszcie czuję, że w domu jest spokój. Dobranoc.

Kato poszedł na górę do swojego pokoju, który, odkąd sięgał pamięcią, zawsze do niego należał. Lampy były zapalone. Colette odwinęła pstrą kołdrę na zgrabnym jasnoorzechowym łóżku. W środku był termofor. W pokoju panowała dziwna cisza, którą Kato odczuwał jak podmuch własnego dzieciństwa, jak gdyby pokój w dalszym ciągu

pozostawał w kontakcie z chłopcem, który sypiał tam, czytał książki każdego wieczoru, czuł się taki szczęśliwy, spokojny i bezpieczny. Na ścianach w błyszczących politurowanych ramkach w dalszym ciągu wisiały małe czyściutkie pejzaże, przedstawiające pagórki, chaty i drzewa, oczywisty owoc niewinnej i szczerzej wyobraźni. Toaleta pokryta była błękitno-brązowym chłopskim samodziałem, na którym leżały starannie ułożone grzebień i szczotka z kości słoniowej, ozdobione jego inicjałami; oraz lustro w srebrnej oprawie, należące kiedyś do jego matki. Ojciec wspominał o spokoju w domu i rzeczywiście panował tu spokój, Kato wyczuwał go dokoła. Był to rodzaj zwykłego spokoju lasów i pól, nawet nie pogańskiego, lecz starodawnego, nieskalanego i prostego. Czuł go, rozpoznawał, ale spokój ten nie miał do niego przystępu, nie mógł go napęłnić, tak jak ten, który utracił dawno temu. „Niechaj pokój Boży, który przewyższa wszelkie pojęcie, ustrzeże serca i myśli wasze w nauce i miłości Bożej...” Usiadł na łóżku. Czas mijał.

Potem usłyszał cichy, ukradkowy szmer, jak gdyby poruszającej się myszy. Otworzył szerzej uważne oczy i zaczął słuchać. Znowu doszedł go szmer. Zastanawiał się przez chwilę, a potem rozpoznał stłumione łkanie. W sąsiednim pokoju płakała Colette. Po chwili Kato wstał i na palcach podszedł do drzwi.

Po drugiej stronie domu, kilka stopni w dół, a potem w górę, znajdował się pokój jego ojca. Ta strona stanowiła zawsze królestwo dzieci. Kato zaskrobał w specjalny sposób do drzwi Colette, a potem otworzył je bezszelestnie, czując, jak powracają do niego dawne wspomnienia.

– Colette, kochanie, co się stało?

– Nie zapalaj światła.

– Nie bój się... co się stało? Posuń się, usiądę na łóżku.

– Myślałam, że śpisz... musisz być taki zmęczony... tak mi przykro...

– Nie martw się, mały misiu...

– Tak się cieszę, że wróciłeś, duży misiu. Jestem taka głupia, taka głupia...

– I ja też. Ale dlaczego ty?

– Zakochałam się w kimś... on mnie nie kocha... to był głupi pomysł... właściwie to nawet było świadome... ale to tak boli...

– Pewnie ktoś z college’u?

– Nie, ktoś, kogo spotkałam...

– Ale nic z tego nie wyszło?

– Nie, nie, to skończone, on się żeni z kim innym.

– Założę się, że nie jest ciebie wart!

– Oczywiście, że nie jest mnie wart, to zupełnie niepoważny facet, ale mnie tak bardzo zależało, bardziej niż na czymkolwiek innym na świecie, i tak bardzo tęsknię do niego, całymi dniami, w każdej chwili, to takie głupie...

– Ale nie kochaliście się jeszcze?

– Jak spokojnie to mówisz. Przypuszczam, że to nawyk z konfesjonału. Nie, oczywiście, że nie. Jestem dziewicą. Chcę poczekać, dopóki nie wyjdę za mąż... tylko że nigdy już nie wyjdę, bo po prostu marzę o nim i nikt inny go nie zastąpi... Myślę, że chyba najlepiej będzie wstąpić do klasztoru. Och, Kato, żałuję, że już nie jesteś księdzem.

– Więc nie dzielasz radości tatusia z powodu końca mojej aberracji? Dlaczego żałujesz?

– Bo to wyglądało jak właściwe miejsce, coś innego. Nie potrafię wytłumaczyć. Tu nie chodzi o magię, ale o coś cennego i świętego... i chociaż ja nie wierzyłam... wolałabym, żebyś tam pozostał.

– Sam bym wolał, gdybym mógł. A teraz przestań płakać i śpij. Jestem pewien, że przebolejesz tego faceta, sama widzisz, że nie jest nawet wart tego, żeby za nim płakać. Musisz się pozbierać, Colette.

– Mówisz jak tatuś.

– Przypuszczam, że teraz, kiedy odszedłem od Kościoła, będę z każdym dniem bardziej podobny do niego. To jeszcze nie takie najgorsze. Pomyśl, jaka jesteś szczęśliwa w świecie pełnym niedoli, jaka młoda i wolna w świecie pełnym ludzi, którzy przegrali swoje życie. Spróbuj tylko dopuścić do siebie radość. Jeśli chcesz, porozmawiamy o tym jutro. A teraz śpij. Bądź dobrej myśli. I śpij.

– „Bądź dobrej myśli”. Tatuś wspominał, że tak zawsze mówiła mamusia

– Tak, pamiętam.

– Pobłogosław mnie. Wiem, że teraz nie możesz, ale w jakiś sposób mnie pobłogosław.

– Niechaj duch miłości, prawdy i pokoju zamieszka w twoim sercu, teraz i na wieki.

– To miłe. Co to jest?

– Właśnie to wymyśliłem. Czy pójdziesz wreszcie spać?

– Tak. Dobranoc, Kato. Będę myślała: Kato jest w domu, i z tym zasnę.

– Dobranoc, mały misiu.

Kato wrócił do swojego pokoju i znowu usiadł na łóżku. Najpierw poczuł współczucie dla Colette, a potem zazdrość. Jak prosty, jak czysty był jej ból i jak prędko się z niego wyleczy. Znajdzie dobrego męża, zamieszka w Leśnej Zagrodzie i będzie wychowywać zdrowe, zdolne dzieci, które zostaną doktorami, prawnikami i nauczycielami. Osiągnie zasadnicze cele ludzkości, doskonałość natury. I w przyszłości będzie z niej dumny i zadowolony, będzie odwiedzał jej szczęśliwy dom, który przyniesie mu pocieszenie, ale również smutek i zazdrość.

Nowy świat, myślał, nowe życie, a jakie smutne. Przypuszczam, że powinienem sobie pogratulować, może być, że później będę spoglądał na to jak na raj. Uciekłem, wyszedłem bez szwanku z głupiej przygody erotycznej i wielkich złudzeń intelektualnych. Jestem z powrotem w domu z moim dobrym, łagodnym ojcem i pełną słodyczy, kochającą siostrą. Mam nawet pracę. Ale jakie to wszystko wydaje mi się teraz bezwartościowe. I w wielkiej pustce zobaczył twarz Pięknego Joe, promieniejącą ku niemu zza lśniących sześciokątnych okularów, ze zwodniczym wyrazem nietkniętej dziecinnej niewinności, pełną absolutnie urzekającego, najbardziej upragnionego dziewczęco-chłopięcego uroku, energii życiowej, która rzuca światło na wszystko inne. Nigdy już go nie zobaczę – myślał Kato – muszę to przyjąć jako pewność, może jedyną rzecz, której mogę być pewny, i początek mojej prawdy. Nie mógłbym mu pomóc i chyba zawsze o tym wiedziałem; po prostu omotał mnie kompletnie, pokonał mnie z pełną wdzięku, demoniczną zręcznością. Zakpił sobie ze mnie w jak najgorszy sposób. Lucyfer, nosiciel światła. I Kato przypomniał sobie, że kiedyś myślał o Joem jako o symbolu załamania w swoim życiu, znaczącej pokusie, a nawet wysłanniku diabła. I pomyślał, nie, to był po prostu pocieszający sen, ostatnia próba nadania sensu sprawie, która go nie miała. Piękny Joe to zwykły przechodzień, nieważny, zaniedbany małolatek, który będzie wiódł marne, nieszczęśliwe życie oszusta i pewnego dnia, kiedy ja będę prowadził lekcję gdzieś na północy lub gdzieś w Ameryce, pójdzie do więzienia i nawet nigdy o tym się nie dowiem. Kochałem go, ale oszukiwałem przy tym samego siebie, to była próżność, nie miało to żadnego sensu ani mocy zbawczej. Ludzie nie mogą pomóc sobie nawzajem, nie mogą nawet nawzajem się zrozumieć,

nawet najbardziej szalona miłość nikogo nie zmieni ani nie zbawi. Podczas gdy oddawałem się marzeniom o Joem, odebrano mi wszystko, wysokie budowle mojej wiary zostały rozebrane: Bóg w trzech osobach, Upadek i Odkupienie, życie na tamtym świecie, *in saecula saeculorum*. Teraz jest tylko grzech i niedola i nie ma Zbawiciela. Jezus nie był Synem Bożym, był po prostu ofiarą, zwykłym dobrym, mądrym człowiekiem, który cierpiał na złudzenia. I tak moje życie zamieniło się w drobny, marny i nie dokończony okruch, i muszę zacząć je od nowa, bez pociechy i bez magii. Taki jest koniec tej historii, a to, co nastąpi, będzie spokojne i nudne, i mam szczęście, że tak jest i że nie jestem ułomny ani nawet nie będę do końca życia nieszczęśliwy.

Część druga

WIELKI NAUCZYCIEL

- Bardzo mały ten brylancik – poskarżyła się Stefania.
- To bardzo piękny pierścionek – powiedział Henryk. – Nie podoba ci się?
- To całkiem lichy mały brylancik.
- Cóż, nic więcej nie dostaniesz. Masz szczęście, że w ogóle dostałaś coś takiego.
- Każda narzeczona dostaje brylant w naszych czasach.
- W porządku, więc dostałaś. A teraz milcz.
- Potrzebuję nowych strojów.
- W tych, które masz, mogłabyś przetrwać najdłuższą wojnę. Wolny pokój jest zavalony ubraniami.
- Potrzebuję nowych rzeczy, potrzebny mi drugi płaszcz i...
- Och, dobrze, ale to już ostatnia rata.
- Zwykły szofer byłby grzeczniejszy...
- Co, u licha, masz na myśli?
- Nawet prości ludzie, jeśli są mili, interesują się ubraniami swoich żon, gotowi są ponieść ofiary, żeby tylko one mogły...
- Interesują mnie przecież twoje kapelusze.
- A ty jesteś bogaty i nie chcesz nawet...
- O to chodzi, że nie jestem bogaty, nie chcę zaczynać życia człowieka bogatego właśnie wtedy, kiedy mam zamienić się w biednego.
- Mówiłeś, że nie będziesz biedny.
- No więc biedniejszego.
- Tak bardzo zależy mi na eleganckich strojach. Nigdy nie miałam...
- Nie mam zamiaru zamieniać swojej żony w lalkę z towarzystwa.
- Chcę mieszkać we dworze.
- Nie zaczynaj od nowa.
- Gdybyś tylko zechciał poczekać rok i zobaczyć...

– Nie mogę czekać, to dla mnie męka, Stefanio, czy ty nie rozumiesz...?

– To dlatego, że naprawdę wcale nie chcesz go sprzedać, wcale nie...

– Chcę go sprzedać! Nie potrafię ci powiedzieć, jak namiętnie pragnę rzucić to wszystko i roztrzaskać na kawałki. Chcę pozbyć się tego jak najprędzej i wyjechać. Nigdy niczego bardziej nie pragnąłem niż wrócić do domu, do Ameryki.

– Pragniesz tego bardziej niż mnie.

– Przestań patrzeć na mnie w ten sposób. Żenię się z tobą i jedziemy razem. Przecież pobieramy się, prawda, Stefo?

– Tak – powiedziała Stefania, patrząc na niego.

– Chyba nie zmieniłaś zamiaru, co? Będę się tobą opiekował i Ameryka na pewno ci się spodoba! To zupełnie co innego niż ta zramolała wyspa.

– Chcę mieszkać we dworze.

– Można z tobą zwariować. Za parę tygodni cały majątek pójdzie na sprzedaż. Nie musimy na to czekać. Kiedy już załatwię wszystko w szczegółach, zostawię sprawę Merrimanowi. Uciekniemy, przelecimy przez Atlantyk i jesteśmy wolni. Kiedy się pobierzemy, Stefo, będziemy się dużo bawić. Postaram się o to. Będzie nam bardzo wesoło. Będziemy podróżować, mam nie najgorszą pensję. O niebo lepszą niż jako przeciętny wyrobnik mógłbym dostać tutaj. Głowa do góry. Czy nie potrafisz być promienna i wesoła? Musisz teraz zostać moją dziewczyną do zabawy. Czy musisz wyglądać jak obraz nieszczęścia tylko dlatego, że sprzedaję ten cholerny dom? Może pokazać ci w lusterku, jak ci paskudnie z tą nieszczęsną miną?

– Nie...

– Pamiętasz, mówiłem ci, co zrobię, jeśli znowu zaczniesz płakać? Kochasz mnie przecież, prawda?

– Ta...ak.

– Och, przestań wreszcie! Robisz ze mnie jakiegoś potwornego tyrana, a ja jestem inny, to wszystko przez ciebie.

– Ale naprawdę cię kocham – powiedziała Stefania, tamując łzy papierową serwetką. – I to właśnie jest śmieszne.

– Okropnie śmieszne, tak...

– Ale to wszystko jest takie dziwne i tak się boję...

– Czego się boisz, na miłość boską?

– Nigdy nie miałam nikogo. Nigdy nie miałam własnego domu ani rodziny, a teraz chcesz, żebyśmy byli sami w Ameryce właśnie wtedy, kiedy zobaczyłam, jak przyjemnie mogłoby być tutaj.

– Boże, więc to znaczy, że chcesz mieszkać z moją matką?

– Lubię ją i nie mam nic przeciwko temu.

– Chryste, zmiłuj się...!

Była pora śniadania. Pół godziny przedtem kochali się. Teraz jak zwykle zaczęła się kłótnia. Czy Henryk lubił kłótnie? Nie był pewien. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na obmytą deszczem, lśniącą w słońcu kopułę Harrodsa. Naprawdę odczuwał, że jakoś wbrew własnej woli zamienia się w tyrana. Nigdy nie uważał się za tyrana. To inni byli niezmiennie tyranami dla niego. Russ i Bella tyranizowali go przez cały czas. Tyranizowali go uczniowie. Tyranizował go ojciec, matka i brat. Czy jego dziwna namiętność do Stefanii, bo była to dziwna namiętność, miała coś wspólnego z jej wyjątkową podatnością na tyranie? Czy tego właśnie zawsze pragnął, kogoś, kogo mógłby tyranizować?

– To dziwne – odezwał się. – Powiedziałaś, że to śmieszne, że mnie kochasz. A mnie się wydaje, że to śmieszne, że ja cię Kocham. Nigdy w życiu nie spotkałem nikogo podobnego do ciebie.

– A ja nikogo do ciebie...

– Przecież nic prawie o tobie nie wiem. Nie chcę, żebyś opowiadała o Sandym. A ty nie chcesz mówić o tym, co było przedtem.

– To było ohydne...

– Cóż, może kiedyś zaczniesz mówić. A może to nie ma znaczenia. W Ameryce żyłem wśród ludzi, którzy mówią o każdym głupstwie. Może milczący związek przyniesie mi więcej spokoju.

Henryk przyglądał się jej. Miała na sobie połyskliwy kosztowny negliz w czarno-złote romby, z kołnierzem, który wyglądał, jakby zrobiono go z samych czarnych piórek. Po wyjściu z łóżka umalowała się starannie, codziennie uczyła się czegoś nowego. Wydawała się przystojniejsza, starsza, lepiej utrzymana. Znikł wyraz znużenia kryjący się w zmarszczkach koło ust. Dobry makijaż, dobre jedzenie, szczęście? Czy była szczęśliwa? Czy on był? Była jego losem, koniecznością – szczęście nie miało z tym nic wspólnego. Nie można było mieć wątpliwości, że

pieniądze jej służyły. W ciągu kilku dni wydała setki funtów. Henryk najpierw jej współczuł, potem cieszył się własną hojnością, odczuwał dziecinną radość z powodu jej radości, wreszcie zaczęło go to niecierpliwic. Nie wiedziała, kiedy dosyć oznacza dosyć. Z drugiej strony, myślał, miała prawo wyposażyć się na swoją podróż przez życie jako młodsza pani Marshalon. Przypomnił sobie, jak mówiła, że Sandy nazywał ją „typem *femme fatale*”. Przyszło mu na myśl, że jest najbardziej zmysłową z kobiet, jakie widział w życiu, a może to tylko oznaka jego szaleństwa? Oczywiście Bella była zmysłowa, ale jakaż inteligentna i gadatliwa i jaki miała przenikliwy głos! A wszystkie dziewczyny były chude, z małym biustem i w okularach. Spoglądał na ciężką szczękę i dużą okrągłą brodę, pełne usta i szerokie nozdrza, leciutką smugę włosów na górnej wardze. Nic kruchego, żadnych pretensji intelektualnych, dzięki Bogu. Spoglądał na duże, niepokojne, wilgotne oczy, mieniące się prążkowanym błękitem.

– Masz oczy w prążki – powiedział, podchodząc. Jaki wspaniały obraz z tej ciężkiej, posępnej głowy mógłby zrobić Maks. – Hejże, Kolombino.

Stefania, czytając w jego oczach, uśmiechnęła się.

– Nie przeglądałaś listów, kochanie. Poza tym jest telegram. – Jej głos, o lekko pospolitym brzmieniu, był cichy, przyjemny, niezbyt donośny.

Henryk usiadł przy stole i wyciągnął rękę, wciskając ją pomiędzy duże piersi dziewczyny. Oparła się na niej z uśmiechem na nadąsanych ustach.

– Wiem, co jest w telegramie, a listy nie są ważne. – Westchnął, cofnął rękę i przyciągnął pocztę do siebie. – Zrób jeszcze trochę kawy, Stefo.

Przed nim leżał telegram i trzy listy. Jeden od Merrimana, drugi, przesłany ze dworu, wyglądał, jak gdyby był od Katona, na trzecim, również przesłanym, widać było niedojrzałe, okrągłe pismo i stempel pocztowy Laxlinden. Henryk wiedział, od kogo pochodzi. Otworzył telegram.

„Długi list dotarł. Całym sercem z Tobą, chłopcze, Russell i Bella”.

– Tego się spodziewałaś?

– Tak – powiedział Henryk – to od moich przyjaciół w Ameryce. Cieszą się, że się z tobą żenię.

– Nie znają mnie.

- Mają intuicję.
- Czy mogę zobaczyć?

Wręczył jej telegram. Otworzył list od Merrimana. Był pełen technicznych szczegółów dotyczących sprzedaży majątku. Pani Fontenay chciała kupić zagajnik przylegający do jej farmy. Giles Gosling awanturował się z miejskim inżynierem o prawo rozszerzenia systemu kanalizacji. Zawalila się ściana. Henryk przebiegł list wzrokiem. Wszystko to wydawało się już cudownie nierealne.

– Kto to jest Russell i Bella?

– Nauczyciele z mojej uczelni.

– Uczelni! Ja myślałam...

– College'u. To bardzo serdeczni ludzie. Wszyscy razem będziemy dla siebie ogromnie serdeczni. – Otworzył pospiesznie drugi list i prędko go przejrzał.

Mój drogi Henryku!

Twoja odpowiedź na mój list była nieszlachetna i bezmyślna. Nie jestem dzieckiem. Przypuszczam, że traktujesz mnie jak dziecko, ponieważ nie mam doświadczenia. Wydaje mi się, że mnie wcale nie rozumiesz. Proszę, zobaczmy się i przynajmniej pomówmy o tym. Znam Cię od tak dawna i tak bardzo Cię kocham. Mam dziwne i głębokie przekonanie, że właśnie dla Ciebie stanowią wartość, której nie powinieneś przeoczyć. Pomyśl o mnie. Nie odrzucaj mnie przez zwykłą nieuwagę. Jestem tego tak bardzo pewna. Proszę Cię, zobaczmy się prędko. Jestem pewna, że ożenisz się ze mną, tak, tak, tak, na pewno.

Całkowicie Twoja

Colette

PS. Oczywiście zależy mi na dworze, komu by nie zależało, i chcę wziąć ślub nie w Laxlinden, lecz w kościele w Dimmerstone.

Henryk zaśmiał się i zmiął list.

- Od kogo to jest?
- Od tej szalonej dziewczyny.
- Daj mi.

– To po prostu dziewczęca deklamacja.

– Daj mi.

Henryk wręczył jej list i zaczął otwierać trzeci. Obserwował Stefanię.

– Stefo, no już...

– Widzisz, że to czarownica.

– To dziecko.

– Jest taka młoda i mówi, że nie ma doświadczenia.

– Więc co z tego? Nienawidzę dziewczic.

– Nie spotkasz się z nią, dobrze?

– Oczywiście że nie, ty głuptasie!

– Rzuciła na ciebie urok, będziesz musiał do niej pójść, mówi, że się z nią ożenisz, mówi, że jest pewna...

– Stefanio, dość tego.

– Śmiałeś się, bo byłeś zadowolony.

– Śmiałem się, bo to humorystyczne. A teraz siedź cicho i daj mi przeczytać ten list. Jeszcze dziś rano mam setki rzeczy do zrobienia. Możesz iść po zakupy, wygląda na to, że tylko do tego jesteś zdolna.

Henryk rozpostarł trzeci list, od Katona. Brzmiał on następująco:

Drogi Henryku!

To, co Ci powiem, wyda Ci się zgoła niewiarygodne, ale proszę Cię, proszę, uwierz mi, i proszę, proszę, zrób dokładnie to, co Ci mówię. Zostałem porwany. Jestem uwięziony w domu w Londynie, nie wiem nawet gdzie. Kiedy mnie tu przywieziono, byłem na wpół przytomny. Nie wiem też, kto mnie porwał, jakiś gang, wydaje mi się, że bardzo podłych, bardzo zaciętych ludzi. I szczerze Ci mówię, wydaje mi się, że moje życie jest w niebezpieczeństwie. Chcą prędko okupu ze stu tysięcy funtów w używanych banknotach. Jeśli nie dostaną ich prędko, zaczną mnie krajać. Proszę, uwierz mi, Henryku, i proszę, pomóż mi. I słuchaj, nikomu o tym nie mów. Na litość boską, nie mieszaj w to policji ani żadnej innej osoby, jeśli chcesz mnie jeszcze widzieć żywego. Ci ludzie są rzeczowi. Jeśli doniesiesz o tym albo popsujesz wszystko, mówiąc o tym komuś, Ciebie też zabiją. Masz przyjść sam, w następny wtorek, i przynieść pieniądze w walizce do domu Misji o pierwszej nad ranem, i poczekać w małej szopie

na podwórku za domem. Ktoś tam wyjdzie Ci naprzeciw. W ten sposób dają Ci czas na zebranie pieniędzy. Jeśli nie zdążysz we wtorek, gdybyś na przykład nie otrzymał w porę tego listu, przyjdź we środę. Ktoś będzie czekał co noc o pierwszej, dopóki nie przyjdiesz – ale każdego dnia będę bardziej narażony na okaleczenie lub utratę życia, więc proszę Cię, proszę, spiesz się. I jeśli chcesz uratować życie moje i swoje własne, nie mów nikomu. Proszę Cię, staraj się nie popełniać błędów. Strasznie mi przykro.

Kato

Serce Henryka zaczęło bić gwałtownie i twarz mu zmartwiała. Próbował ukryć napięcie, ale czuł, że oczy jego spoglądają dziko. Stefania, zajęta dzbankiem do kawy, nie patrzyła na niego. Zakaszłał, wstał i znowu podszedł do okna.

– Od kogo to?

– Ciekaw jestem, czy jeszcze będzie padać. Jak myślisz?

– O, chyba nie. Co to za list?

– Ach, w interesach. W związku ze sprzedażą.

– Mogę zobaczyć?

– Nie. Nie należy zakładać, że w małżeństwie czyta się nawzajem swoje listy. Od początku trzeba wprowadzić zasadę, że każdy ma prawo do własnych tajemnic. Wprowadzam ją od dzisiaj.

– Jesteś zdenerwowany. To w związku z tą dziewczyną.

– Daj spokój, Stefo. Myślałem, że idziesz po zakupy. Myślałem, że chcesz kupić płaszcz.

– Nie mam pieniędzy. Potrzebne mi konto w banku. Chcę mieć konto u Harrodsa.

– Spójrz. Podpiszę ten czek in blanco. Nie zgub go na ulicy. A teraz zmiataj.

Kiedy Stefania wyszła, Henryk usiadł i przeczytał jeszcze raz cały list, płonąąc na twarzy i trzęsąc się ze strachu. List był bardzo dziwny zarówno w tonie, jak w treści. Czy Kato napisałby coś takiego, czy potrafiłby się na to zdobyć? Czy list w ogóle pochodził od Katona? Pismo wyglądało na jego własne, choć było dość chwiejne. Henryk zastanawiał się, czy ma jeszcze gdzieś poprzedni list Katona. Poszukawszy trochę, znalazł tylko zgniecioną kopertę w kieszeni marynarki. Prawie na pewno było to pismo Katona. A

może było podrobione? Może to żart? Nadużycie zaufania? I pomyślał nagle, przecież dzisiaj jest wtorek! Co mam robić, jak mogę zdecydować, co robić, tak nagle, tak prędko? O Boże, gdybym tylko mógł się upewnić, że Kato jest całkowicie zdrowy i bezpieczny i że wszystko to jakiś makabryczny żart.

W napięciu i z zapartym tchem poszukał w książce telefonicznej numeru Leśnej Zagrody. Wykręcił go.

– Halo.

– Halo, Henryku.

– Bystra jesteś.

– Spodziewałam się, że zadzwonisz.

– Dlaczego?

– Dostałeś mój list?

– A, tak.

– Henryku, spotkajmy się. Kiedy masz czas?

– Colette, przestań się bawić moim kosztem, dobrze?

– Ja się nie bawię, słuchaj...

– Czy Kato jest w domu?

– Nie, wrócił do Londynu.

– Kiedy?

– Och, kilka dni temu. Był tu tylko dwa dni. Henryku...

– Gdzie jest w Londynie? W Misji?

– Nie. Chyba ją zamknęli. Możliwe, że jest u ojca Craddocka, wiesz, tego z college'u...

Henryk odłożył słuchawkę. Sprawdził numer college'u i po chwili mówił już z Brendanem Craddockiem.

– Tu mówi Marshalson. Przyjaciel Katona. Czy przypadkiem nie zatrzymał się u pana?

– Nie. Byłoby mi bardzo miło. Nie wiem, gdzie jest, ulotnił się jak kamfora.

Kiedy Henryk odkładał słuchawkę, odezwał się nowy dzwonek.

– Henryku...

- Odczep się, Colette.
- Odłożyłeś słuchawkę w środku zdania, to niegrzeczne.
- Niegrzecznie jest prześladować ludzi przez telefon. A w ogóle to skąd masz mój numer?
- Zajrzałam pod A. Marshalson.
- Skąd wiesz, że Sandy miał mieszkanie w Londynie?
- Bellamy mówił tatusiowi.
- Cholerny Bellamy.
- Henryk, czy to prawda, że masz zamiar sprzedać dwór?
- Tak.
- Nie powinieneś. Słuchaj, czy nie możemy porozmawiać?
- Nie.
- Masz jakieś kłopoty; czuję to, nieważne, czy się ze mną ożenisz, chcę ci pomóc, chciałeś pomocy Katona, pozwól mi spróbować, zrobiłabym wszystko...
- Cześć.

Siedział, czekając na następny dzwonek, ale telefon już się nie odezwał. Zajdę do Misji, pomyślał, choć to niczego nie wyjaśni. Przypuszczam, że to Kato napisał ten list, przypuszczam, że będę musiał zdobyć pieniądze. Ale będę musiał zobaczyć się z Merrimanem, zmyślić jakąś bajeczkę, podpisać, co trzeba, i w żadnym razie nie będę mógł załatwić tego wszystkiego na dziś wieczór, musi to być jutro wieczór, o Boże, Boże! I na myśl o okropnej, małej, ciemnej szopie na podwórku serce w nim zadrżało i głośno jęknął. Czy może, czy powinien zawiadomić policję? Nie, nie śmie ryzykować życia Katona, nie śmie ryzykować swojego. Nagle cały jego świat kompletnie się zmienił. Przerażliwy strach zamknął mu usta i ścisnął za gardło. Nie potrafię tego znieść w samotności, pomyślał, nie potrafię, a jednak muszę. Gdybym tylko mógł powiedzieć o tym komuś, komuś śmiałemu i mocnemu jak John Forbes albo jak matka.

- Jak się czujesz, ojczy?
- Okropnie – powiedział Kato.
- Zdawało się nam, że może daliśmy ci za dużo.

- Za dużo czego?
- Narkotyku.
- Uszkodzenie mózgu – powiedział Kato głośno sam do siebie.
- Czy możesz usiąść?
- Proszę, nie świeć mi w oczy.

Piękny Joe zasłonił latarkę dłonią, a jego palce ułożyły się w świetlisty, przezroczysty, różowozłoty kwiat i stłumione światło ukazało mały pokój bez okna. Piwnica? Nie wyglądał na piwnicę. Był zanadto kwadratowy, o zbyt ostrych kantach, prostokątne pudełko, bardziej przypominające celę więzienną, tyle że ściany były gęsto pokryte jakimiś ciemnymi zygzakami. Tapeta?

- Możesz się podnieść?

Zajęcie pozycji siedzącej wydawało się sprawą odległej przyszłości.

- Nie wiem. – Kato spojrzał w górę na twarz Pięknego Joe, na połyskliwe sześciokątne okulary, które w tym kontekście wyglądały jak akcesoria jakiegoś kosmonauty z powieści fantasty- czno- naukowej, na jasne włosy gładko uczesane z rozdziałkiem, na pełne wyrazu (ale jakiego?), lekko uśmiechnięte usta. Próbował sobie przypomnieć, co się stało.

Po dwu dniach spędzonych w Leśnej Zagrodzie wrócił do Londynu, bo po prostu czuł, że znowu musi się spotkać z Pięknym Joe. Nie miał żadnego celu, żadnego planu prócz tego, żeby znaleźć się z powrotem w obecności chłopca. Powiedział sobie, że zbyt szybko zrezygnował. Powtarzał sobie bajeczki o tym, że musi „pomóc” Joemu, musi go w końcu zabrać, o tym, że jakoś, tak czy inaczej, wszystko jeszcze będzie dobrze. Wiedział, że to bajki. W istocie bajki te mogły okazać się prawdziwe; ale nawet to było nieważne, wydawało się błahostką w porównaniu z prostą potrzebą ponownego zobaczenia się z Joem, potrzebą wyjątkową i metafizyczną w swojej grozie. Jeśli nie zobaczy się z Pięknym Joe, mury istnienia runą; żeby zbawić siebie, żeby zbawić świat, musi iść tam, gdzie jest Joe. Kupił świece. Pamiętał to dokładnie, pamiętał także, jak bardzo symboliczny wydawał mu się ten akt w owej chwili. Poszedł do domu Misji, ustawił świece w oknie, zapalił je i czekał w półmroku, aż przyjdzie Piękny Joe. I jak cudowna ćma Piękny Joe wyszedł do niego z głębi nocy. Kato pamiętał moment, kiedy usłyszał te ciche kroki na schodach, jako najszczęśliwszą chwilę swego życia, chwilę absolutnej radości, która jak

magiczny klejnot warta była więcej niż wszystko, mogła okupić wszystko inne.

Później sprawy przedstawiały się mniej jasno. Jedli czy pili coś razem i Kato poczuł się bardzo dziwnie i nieswojo. Pamiętał, że patrzył na twarz Joego i widział, jak jaśnieje nieziemską urodą, jak gdyby Joe był młodym świętym ukazującym się w chwale albo może dobrym czarodziejem, jakąś istotą ponadczasową, która wędruje przez świat, dokonując aktów zbawienia, przedzierzgnięta w cudownie pięknego młodziana. Potem spacerowali razem i spacer ten był radosny; nocne niebo nad Londynem lśniło różowa wy m brązem, a wiotkie różowe chmurki rzucały światło na ziemię. Zdawało mu się, że przeszli tak długą drogę; a potem znaleźli się w jakimś ciemnym kącie ze schodkami i Kato spadł ze schodków. Przypominał sobie słabo jakieś przejście, nagłą ciemność i drzwi, których nie mógł otworzyć. I głosy, zdawało mu się, że słyszy głosy w oddali, mówiące jakimś obcym językiem, tylko nie mógł rozróżnić słów. Potem zjawilo się coś innego. Świeca, dwie świece o nieruchomych płomieniach, jarzące się jakimś niebiańskim świetlistym olejem. I pisał Ust. List był trudny, ale jakoś w końcu wyszedł mu jasno i łatwo, jak pasjans.

Kato spoglądał na dłoń Joego, zamienioną w świecący kwiat, o ciele jasnym i przezroczystym jak nocne chmury świętego Londynu.

– A więc, Joe – powiedział – w końcu znów się spotkaliśmy.

– Tak, ojcze. Wiedziałem, że tak się stanie.

– Tak. Ja też wiedziałem. – Kato zastanawiał się przez chwilę. – Upadłem.

– Tak, ojcze, upadłeś i skaleczyłeś się w nogę. Boli cię jeszcze?

Kato czuł, jak gdyby w dużej odległości, ból, z którego zdawał sobie sprawę, choć nie wiedział, na czym polega.

– Trochę boli. Ale chyba jej nie złamałem?

– Nie, nie, ojcze, to tylko siniak.

– Ktoś rozmawiał. Pamiętam obcą mowę. W jakim języku rozmawiali?

– To cię nie musi obchodzić, ojcze.

– Joe, czyś ty mi groził nożem?

– Było coś z nożem, ojcze. Nie groziłem ci.

„Było coś z nożem”. To ważne. Kiedyś było coś z rewolwerem, ale wrzucił go do rzeki.

– Napisałem list – powiedział Kato. Zaczął dźwigać się do góry. Leżał na niskim polowym łóżku ustawionym pod ścianą w kącie pokoju. Łóżko zaskrzypiało i przesunęło się. Był przykryty szarym kocem, pod głową miał poduszkę. Był w spodniach i koszuli. Stopy miał bosc.

– Poczekaj, ojczc, poprawię ci poduszkę.

Kato usiadł niewygodnie, z wyciągniętymi nogami, ale zaraz opadł z powrotem.

– Napisałem list do Henryka Marshalsona z prośbą o okup?

– Zgadza się, ojczc.

– O Boże! – Kato leżał przez chwilę. Potem powiedział: – Muszę wstać, pomóż mi. – Oparł się łokciami, a potem dłońmi o skrzypiące łóżko. Poruszył nogami i zgiął je w kolanach. Ból w nodze nasilił się i nagle uderzył go w głowę. Kato spuścił nogi na ziemię i podniósł się do pozycji siedzącej na brzegu łóżka, opierając głowę na rękach.

Joe zdjął palce ze szkła latarki i skierował snop światła na podłogę.

– Nie ruszaj się, zapalę świecę.

Kato spoglądał w dół na swoje bosc stopy. Potem podciągnął nogawkę i przyjrzał się rozległemu siniakowi. Pomacał kość. Wyglądało, że jest cała.

Zapalono zapałkę i płomyk świecy zachybotał, a potem podniósł się w drugim kącie pokoju. Światło zatańczyło i przesunęło się w dół. Joe postawił świecę na podłodze pod stołem, tak że światło nie przenikało wyżej. Ściany tonęły w ciemności. Kato, spoglądając w górę, zorientował się, że pokój ma dwoje zamkniętych drzwi. Podłoga pokryta była grubym, porządnym czerwonym linoleum.

Próbował wstać, ale natychmiast znowu usiadł. Zaczął grzebać palcami przy spodniach i zorientował się, że nie ma paska i że wszystkie guziki są odcięte. Przez chwilę rozważał sytuację.

– Wysłales ten list?

– Tak, ojczc. – Piękny Joe siedział na stole, kołysząc nogami, które rzucały na czerwoną podłogę wahadłowe cienie.

– Chciałbym pomówić z jednym z twoich przyjaciół – powiedział Kato.

– Chciałbym dokładnie wyjaśnić sytuację.

– Myślisz o jednym z nich?

– Tak, jednym z nich. Kimkolwiek „oni” są.

– Oni nie zechcą – powiedział Joe, dalej kołysząc nogami. – Znasz przecież moją twarz. Nie ma powodu, żebyś znał inne.

– Moglibyśmy pomówić po ciemku.

– Nie, nie, ojcze, oni nie zechcą. I tak jest znacznie lepiej. Ja będę cię pilnował, ze mną jesteś bezpieczny. Ci ludzie nie są zbyt mili. Postaram się, żeby ci nie zrobili krzywdy. Ale musisz obiecać, że będziesz robił wszystko, co ci powiem. Mogę cię obronić, jeśli zachowasz się spokojnie i rozsądnie. Inaczej oni się tobą zajmą. I mnie też możesz zrobić w kabałę. Rozumiesz?

Kato zastanawiał się. Potem powiedział:

– Och, Joe, Joe, stało się najgorsze, czego się obawiałem, dostałeś się w ręce...

– Cii... ojcze...

– Więc ty też jesteś jakby uwięziony...

– Nie jestem. Wiem, co robię. Jestem wolny, jestem naprawdę wolny jak...

– Wolny! Kiedy...

– Wiem, co robię. Dla twojego własnego dobra powiedziałem ci, żebyś cicho siedział.

– Groziłeś mi nożem.

– Noże są potrzebne, ojcze. Pełno ich na świecie. Nóż to strach. Spójrz. – Nagle coś błysnęło. Kato zobaczył długie błyszczące ostrze. Joe poruszył nim, trzymając je nisko, tak że skupiło na sobie całe światło świeczki. Potem rozległ się szcęk i ostrze zniknęło.

– Czy użyłeś go już kiedyś? – zapytał Kato.

– Tak. I porznąłem komuś twarz. Jak ja kroję komuś twarz, to już na dobre. Nie wierzyłeś mi dawniej, prawda? Stale mówiłeś, żebym był dobry, i ciągle myślałeś, że jestem małym chłopcem i że zawsze będę się bał zrobić coś na serio. Nie wierzyłeś w nic złego, ojcze, myślałeś, że wierzysz, ale nie wierzyłeś. Nie wiedziałeś, że prawdziwe zło istnieje. Żyłeś w przyjemnym śnie, nie wiedziałeś, jaki jest świat.

– Dostałeś już pieniądze? – zapytał Kato.

– To cię nie obchodzi. To i tak wielka łaska dla twojego przyjaciela. Chciał się pozbyć pieniędzy, no nie? Właściwie to twój pomysł, to ty o nim

ciągle mówiłeś. Spuścimy z niego tyle krwi, ile się da. To, co napisałeś w liście, to tylko pierwsza rata.

– Pójdzie na policję.

– Nie, nie pójdzie. Wie, z kim ma do czynienia. Chce żyć i chce, żebyś ty żył.

– Przypuszczam, że kiedy dostaniesz pieniądze, twoi przyjaciele się mnie pozbędą.

– Będę cię pilnował.

– Myślę, że to ty żyjesz jak we śnie, Joe.

– I tak nigdy nikomu nie powiesz. Dla swojego własnego dobra. I dla mojego dobra. Oni to wiedzą. To należy do planu.

– Rozumiem... Cóż, może nie powiem ze względu na ciebie, ale nie wiem, dlaczego twoi przyjaciele mieliby ryzykować. Joe, czy jest tu gdzieś ubikacja?

– Jest kubeł. Specjalnie go przyniosłem. Za tymi drzwiami. Kato podniósł się i, podtrzymując spodnie, przeszedł do drzwi.

Skulone stopy odmawiały mu posłuszeństwa. Pośrodku małego pomieszczenia, które niewątpliwie było ubikacją, w świetle latarki Joego ukazał się pomarańczowy plastikowy kubeł na podłodze. Z dawnego wyposażenia nie pozostało tam nic oprócz kawałka rury, która prowadziła zapewne do umywalki. Kato próbował ulżyć sobie, ale mu się nie udało. Pokuśtykał z powrotem do łóżka i ciężko usiadł. Kręciło mu się w głowie.

– Jesteś głodny?

– Nie. – Zdawało mu się, że już nigdy w życiu nie będzie głodny. I pomyślał: Cokolwiek zjem, będzie zatrute.

– Jeszcze będziesz. Przyniosę coś później. Teraz muszę cię zostawić. Nie próbuj nic robić, jeśli nie chcesz dostać po łbie. Jest tu taki Murzyn, trochę zbzikowany. Teraz zamknę te drzwi. Inne też są pozamykane, ale zawsze ktoś się tam kręci. To duży dom. Po prostu siedź spokojnie i nie rób hałasu. Gdybyś wołał, tylko oni mogą cię usłyszeć. A oni mogliby się zdenerwować i wejść tutaj. Po prostu rób, co ci mówię, a ja cię będę pilnował.

– Nie wiem, jak to zrobisz – powiedział Kato. Znowu położył się na łóżku.

Płomyk świeczki zachwiał się, potem zgasł i w twarz Katona zaświeciła latarka. Zamknął oczy. Światło odsunęło się i Kato znowu otworzył oczy. Piękny Joe wkładał klucz do zamka drugich drzwi. Przez ułamek chwili Kato oglądał z profilu drobną, inteligentną, dziewczęcą twarz pełną napięcia. Przemknęło mu przez myśl, czy nie skoczyć i nie rzucić się do drzwi. Ale nogi skamieniały mu ze strachu i wiedział, że nie będzie do tego zdolny.

– Do widzenia, ojciec. Siedź cicho. Słodkich snów.

Drzwi otworzyły się szeroko, a potem zamknęły i Kato usłyszał zgrzyt klucza. W pokoju zapanowała całkowita ciemność. Kato natychmiast usiadł i chwycił się za głowę. Nagle poczuł, że jest mu słabo, i zaczął chwytać powietrze ustami. Trudno było oddychać, jak gdyby sama ciemność go dusiła, jak gdyby pokój był zapchany czarnym aksamitem. Nie wolno mi wpadać w panikę – pomyślał. Odwagi. Tego mi teraz potrzeba. Odwagi. Mam ją. Muszę się nią posłużyć. Oddychał powoli i głęboko.

Po chwili wstał i zaczął się ruszać, trzymając spodnie jedną ręką. Ciemność zdążyła go zmylić tak, że nie pamiętał, gdzie są drzwi. Potknął się o kant łóżka, a potem trafił na ścianę. Spodnie mu opadły na podłogę. Po omacku zaczął szukać łóżka, wyplątał się z ubrania, które spadło na ziemię, i ułożył je na łóżku. W pokoju było zimno. Dotknął ręką ściany i posuwał się powoli, dopóki nie wyczuł framugi i szpary w drzwiach. Przesunął palcami wzdłuż szpary, która rozszerzała się odrobinę ku górze, ale nie dość na to, aby drzwi wyważyć. Posunął się dalej, opierając bokiem o drzwi i bezgłośnie badając drzewo rękami. Znalazł dziurkę od klucza, a potem metalową klamkę. Nacisnął ją ostrożnie i pociągnął. Oczywiście zamknięte. Poza tym drzwi niczym nie przypominały wiotkiej konstrukcji, której płyty mógłby przedziurawić nogą, nawet gdyby nie zabrakło mu odwagi. Robiły wrażenie ciężkich i solidnych. Kiedy tak stał nieruchomo, twarzą do drzwi, miał dziwne uczucie, że po drugiej stronie ktoś stoi i słucha. Słucha jego ruchów. Odstąpił gwałtownie, uderzył o kant stołu i zatrzymał się. W chwilę później usłyszał odległy szmer głosów, potem jak gdyby dźwięk zatraskiwanych drzwi i zapadła cisza.

Wydawało mu się, że przebył już długą drogę i spędził w ten sposób wiele czasu. Ciało jego utraciło poczucie otaczającej przestrzeni. Nie spodziewał się, że stół będzie stał w tym miejscu, i nie miał już pojęcia, gdzie jest łóżko. Zaczął badać powierzchnię stołu, a potem, na czworakach, podłogę, zastanawiając się, czy została tam świeca i zapalki, ale nic nie wyczuł. Podniósł się i rąbnął głową w ścianę. Wyciągnięta ręka

napotkała drzwi do ubikacji. Przepelznął za nie i obmacał dokładnie wnętrze pomieszczenia. Miejscami wyczuwał miękka, wymykającą się narośl, może był to jakiś owad. Ściany były zimne, suche, gładkie, bez wyjścia. Wysunął się, potem ruszył do przodu, z miejsca trafiając kłykciami badawczych rąk w następną ścianę. Prześliznął się wzdłuż niej i znowu potknął o łóżko. Ukląkł, żeby zbadać, co jest pod nim. Poszukał ręką butów, ale ich nie znalazł. Podniósł się i pomacawszy wokół siebie podniósł spodnie i znowu się położył. Słuchał, na początku słysząc tylko własny oddech. Potem wydało mu się, że słyszy słabe, krótkie dudnienie w pewnej odległości, może po prostu wibrację. Maszyna? Metro? Odległy dźwięk nie napawał go otuchą. Nagle uświadomił Katonowi, że jest gdzieś, ukryty, schwytyany, gdzieś w Londynie, w jakiejś fantastycznej, może olbrzymiej i wijącej się jak labirynt kryjówce, w jakimś potwornym prywatnym więzieniu. Ktokolwiek budował ten pokój, zbudował go dokładnie w określonym celu. Pokój bez okien, pewnie dźwiękoszczelny, bez szpary, w którą mógłby choć wsunąć palec.

Leżał, wpatrując się w grubą, duszną ciemność i próbując opanować strach wyjący w jego duszy. Kiedy zdobędą pieniądze Henryka – pomyślał – zabiją mnie, tak samo jak Pięknego Joe. Sięgnąłem kresu drogi, pomyślał, i nikt nigdy się nie dowie, co się ze mną stało ani jak wyglądał mój koniec. Wszystko, co mogę zrobić teraz, mój jedyny obowiązek to trzymać się, zachować jakąś bezsilną godność, coś, co dotyczy tylko mnie. I pomyślał: tylko ja zostałem teraz na świecie, ja i mój stosunek do siebie.

I myśli zaczęły wirować mu w głowie, a obracając się rzucały jak gdyby wielkie kolorowe obrazy na ekran ciemności, i zobaczył z niezwykłą jasnością Brendana Craddocka siedzącego przy drzwiach w szlafroku i próbującego go zatrzymać. I ukazała mu się, jak w wizji, postać ojca siedzącego w gabinecie w Leśnej Zagrodzie i przewracającego pod lampą papiery. I w skurczu czystej litości zrobiło mu się strasznie żal ojca. W ciągu dwu dni jego krótkiej wizyty jakżeż był szczęśliwy.

W alejce było ciemno. Henryk popchnął drzwi nogą i odskoczyły tak głośno, że się wzdrygnął. Chory ze strachu, napięcia i trzepotania wzburzonego serca, Henryk stał nieruchomo. Nerwowo przesunął palcem po wierzchu walizki. Związał ją sznurkiem, ale ciągle się obawiał, że się otworzy, rozsypując banknoty na ziemię. W ciszy słychać było tylko odległy ruch uliczny. Zrobił krok w kierunku podwórza, wyczuwając pod stopą błoto i rumowisko. Nie próbował zamykać bramy, tylko szedł naprzód, szurając nogami w ciemności. W szeregu opuszczonych domów,

wznoszących się na tle czerwonego nieba nad Londynem, nie płonęło ani jedno światło.

Teraz mógł poznać szpęgę i otwarte drzwi, ciemniejsze od reszty ciemności. Za chwilę będzie pierwsza. Ścisnęło go w dołku z podniecenia i zdawało mu się, że za chwilę zwymiotuje. Nie odważył się postawić walizki na ziemi. Przez całą drogę był pewien, że zostanie zatrzymany przez policję bądź obrabowany przez zupełnie przypadkowych ludzi. Wziął dwie taksówki i dalej poszedł piechotą, niosąc ciężką walizkę jak najbardziej oczywisty winowajca. Ale nikt go nie indagował, nikt go nie zatrzymał. Żył teraz jak w ohydny śnie i choć desperacko spragniony pomocy, nie powiedział nic nikomu. Pojechał ze Stefanią do Laxlinden, znosząc jej niepokój i obawy. „To ta dziewczyna, Colette, chcesz się z nią spotkać”. Henryk, posępny ze strachu, nie był w stanie jej pocieszyć. „Cóż, myśl sobie, co chcesz, jeśli nie chcesz mi wierzyć!” W czasie podróży Stefania płakała; a on, niezdolny się odezwać, myślał z bólem w sercu: Teraz odpowiadam za jej los i musi być ze mną szczęśliwa... ale, o Boże! jak trudne i okropne stało się moje życie. Jaki szczęśliwy był parę dni temu, kiedy zdawało mu się, że ma jakieś problemy! Po przyjeździe do dworu Stefania schroniła się w swoim pokoju z bólem głowy.

Oczywiście nie zdołał ukryć przed matką wyczerpania nerwowego, tyle że widząc czerwone obwódki wokół oczu Stefanii, Gerda przypisywała to kłótni i nie zadawała pytań. Widząc promienne zadowolenie, z jakim syciła swoją ciekawość, Henryk zgrzytał zębami. Tymczasem musiał się zobaczyć z Merrimanem i powiadomić swego wiernego i dyskretnego doradcę, że dużą sumę pieniędzy trzeba zamienić na banknoty, w tajemnicy i natychmiast. Merriman, choć zdumiony, powstrzymał się od pytań i zaaferowany zabrał się do dzieła z wielką dokładnością. Załatwił telefony, tłumaczył, przedstawiał papiery. Henryk nie próbował nawet rozumieć. Wreszcie dotarło do niego, że jutro będzie mógł odebrać pieniądze w Londynie. Wrócił do dworu. Stefania była jeszcze na górze i poprosiła o kolację do łóżka. Henryk poszedł do niej.

– Stefanio, kochanie, co się stało, czy naprawdę jesteś chora?

– To ta dziewczyna, to wszystko przez nią.

– Och, bzdury. Spójrz, Stefanio, musisz być mocna i dzielna i pomagać mi w życiu. Ja też jestem przerażony, przeraża mnie każde głupstwo! Musimy sobie pomagać, rozchorujesz się od tych obaw!

– Czy przyjdiesz dziś wieczór?

– Nie, tutaj to niemożliwe. Nie będę daleko. Będę o tobie myślał. Będę próbował o tobie marzyć.

– Ach, mój drogi, ale pobierzemy się, prawda?

– Tak, i już zawsze będę się tobą opiekował. Tylko nie martw się o głupstwa. Jutro wrócimy do Londynu.

Jednak kiedy nadszedł ranek, Stefania nie chciała jechać, powiedziała, że chce zostać we dworze. Omdlały ze strachu przed tym, co go czekało, Henryk nie dyskutował. Powiedział, że wróci. Gerda, obejmując rządy, zmusiła Stefanię do pozostania w łóżku, wyciągnęła termometr, wspomniała o doktorze. Henryk uciekł.

Sprawa samego zdobycia pieniędzy okazała się, dzięki zabiegom Merrimana, prostsza, niż Henryk sobie wyobrażał. W istocie to, co Henryk podjął i co znajdowało się teraz w dużej walizce, stanowiło tylko dwadzieścia tysięcy funtów. Ta skromniejsza suma była owocem przemyślanej taktyki, którą Henryk, w walce z obezwładniającym strachem, zdołał obrać tego ranka. Jest oczywiste, że w jakiś sposób, inteligentnie, powinien się targować. Głupio byłoby przekazać od razu pełną sumę. Pieniądze muszą przekonać przeciwnika, że Henryk traktuje sprawę poważnie, ale nie może być ich tyle, żeby dalsza współpraca z nim okazała się nieinteresująca. Musi poprosić o dowód, że Kato żyje. Musi postawić warunek, że reszta pieniędzy nadejdzie dopiero, kiedy Kato będzie wolny. Ale jak stawiać warunki, jak targować się z takimi ludźmi?

W Laxlinden, w koszu na śmieci, Henryk odkrył resztki poprzedniego apelu Katona. Nie ulegało wątpliwości, że to jego pismo. Prawdę mówiąc, Henryk nigdy nie wątpił w to, że list z prośbą o okup był autentyczny. Musi działać. Ani przez chwilę nie pomyślał też poważnie, że mógłby powiadomić policję. Swoją nieśmiałą wyobraźnię szybko ogarnął imperatywy przesłania Katona. Nie może ślepo ryzykować życia przyjaciela. A nawet, prościej rzeczy biorąc, nie może przez całe życie drzeć ze strachu przed jakąś przerażającą zemstą. W sposób, którego wcześniej nie mógłby sobie wyobrazić, strach zapanował nad światem Henryka i uczynił go swoim niewolnikiem.

Stojąc w ciemności i spoglądając na niemy czarny otwór drzwi szopy, zrozumiał, że przynosząc tylko część pieniędzy, był szalony. Gdyby tylko przyniósł je wszystkie, mógłby po prostu bez słowa przekazać je, a potem odejść, zrobiwszy wszystko, co uważał za możliwe w swojej sytuacji. Strach, który przypominał poczucie winy, chwycił go za gardło, okropne wrażenie, że chwila obecna zawieszona jest na krawędzi jakiejś ohydnej,

trudnej do wyobrażenia przyszłości. Zdawało mu się, że zaledwie kilka milimetrów, kilka sekund dzieli go od śmierci.

Zrobił następny krok naprzód. Cisza wydawała się zaludniona, nieznośnie złowroga. Stał sztywno przy czarnym wejściu i próbował coś wyszeptać, ale nie był w stanie. Wydał cichutki dźwięk. Ktoś zaświecił mu latarką w twarz. Henryk opuścił walizkę i automatycznie podniósł ręce do góry.

– Wejdz do domu – powiedział cichy, ledwie dosłyszalny głos. Henryk sięgnął po walizkę, ale nagle odskoczył do tyłu, trafiając ręką na cudzą rękę. Latarka zarysowała krótki ślad na ziemi, a potem zgasła. Henryk ruszył za tym śladem, potknął się o stopień i wszedł. Drzwi się zamknęły.

Znowu zabłysła latarka, osłonięta palcami, rzucając odrobinę światła. Henryk zobaczył kuchnię, z zaciągniętymi czarnymi zasłonami, i jedną wysoką postać tuż przed sobą. Wtedy poznał Pięknego Joe. Rozpoznał sześciokątne okulary, wiotkie miękkie włosy ostrzyżone na dziewczęcą polkę, długie, cienkie, delikatne wargi. Odchrząknął.

– Siadaj tam. Henryk usiadł.

– A teraz nie ruszaj się, panie Marshalson. Mam rewolwer i nóż, a za drzwiami czeka mój przyjaciel, trochę niecierpliwy i narwany. – Latarka zabłysła na chwilę, ukazując ostrze noża, potem przesunęła się na walizkę, która otwarta leżała teraz na stole. – Czy to wszystkie pieniądze?

Henryk pomyślał, muszę być dzielny, muszę być mężczyzną. Och, dlaczego tu przychodziłem, dlaczego nie poszedłem na policję! Ze strachu nie będę w stanie nawet się odezwać. Powiedział wysokim, niepewnym głosem:

– Nie... tylko... dwadzieścia tysięcy.

Latarka i długa ręka przeglądały zawartość walizki.

– Dlaczego?

– Nie mogłem... dostać tyle... niedługo... obiecuję... Szybkie, zręczne dłonie w milczeniu układały paczki banknotów.

– To niedobrze. Moi ludzie nie lubią zwłoki. Chcą skończyć z tą robotą. Resztę musisz przynieść jutro.

Henryk z ogromnym wysiłkiem, załamującym się głosem powiedział:

– Nie mogę... potrzebuję na to więcej czasu... przyniosę je w czwartek albo w piątek... przysięgam... ale muszę mieć pewność, że Katonowi nic

się nie stanie... jeśli ja... – Słowa sączyły się w ciszy. Henryk siedział, trzymając się rękami za gardło.

– Puścimy twojego przyjaciela, kiedy przyniesiesz pieniądze. Jeśli nie przyniesiesz pieniędzy, przyślemy ci upominek. Uszy przyjaciela albo jego palce. Ale ty przyniesiesz pieniądze. Bo inaczej on będzie cierpiał i zginie. I ty też będziesz cierpiał i zginiesz. Dobrze o tym wiesz. Jeśli tego nie zrobisz, znajdziesz się na liście ofiar. Człowiek z listy może pożyć miesiąc, rok, nie dłużej. Jeśli nas zawiedziesz, nie będziesz już nigdy spał spokojnie. Ale nas nie zawiedziesz. Dajemy ci czas do piątku, musisz przynieść resztę pieniędzy tutaj, o tej porze. Wtedy twój przyjaciel zostanie zwolniony. Nie boimy się, że będziesz mówił. O nie, tego się nie boimy. Przyniesiesz pieniądze i wszystko będzie dobrze. Jeśli nas zawiedziesz albo powiesz choć słowo innej osobie, zginiesz i on też. Od nas nie można uciec. Teraz idę. Masz tu zostać pół godziny. Mój przyjaciel za drzwiami będzie cię obserwował, więc nie próbuj wychodzić jeszcze przez pół godziny. Dobranoc. Ale chwileczkę, chcę ci coś dać. Wyciągnij rękę.

Henryk wstał i wyciągnął rękę nad stołem. Pokój był tak ciemny, że zdawało mu się, iż wdycha ciemność, dosłownie słyszał staccato własnego nerwowego oddechu. Czuł, jak Piękny Joe zamyka jego rękę w delikatnym, mocnym uścisku, lekko ją obracając. Potem nagły piekący ból przebiegł mu po wierzchu dłoni, tuż za nasadą palców. Poczul, jak ostry nóż szybko podskakuje, przebiegając mu boleśnie po kościach dłoni.

Wydał głośny, stłumiony skowyt i usiadł, odpychając krzesło do tyłu. Chwycił zranioną dłoń i przycisnął ją do piersi drugą ręką. Usłyszał szuranie ściąganej ze stołu walizki, a potem dźwięk spokojnie otwieranych i zamykanych drzwi.

Siedział w ciemności i z oczu trysnęły mu łzy grozy, gniewu, bólu i bezsily. Nie mogąc spojrzeć na zegarek, siedział tak jeszcze, drżąc około godziny.

Gerda w sukni w niebiesko-zieloną kratkę stała nieruchomo w bibliotece przy kominku. W związku z długimi wypadami Henryka do Londynu oboje z Lucjuszem na nowo objęli pokój w posiadanie. Była prawie trzecia nad ranem. Henryk nie wrócił. Nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie mówił. Zrozumiała jednak, że miał przyjechać z powrotem tego samego dnia. Tak w każdym razie myślała Stefania i powtarzając swój znany „numer chorej dziewczynki”, jak w duchu nazywała to Gerda, ciągle o niego pytała. Gerda dała jej dwa proszki

nasenne, dopilnowała, żeby zostały zażyte, i powiedziała dobranoc. Termometr nie wykazał gorączki.

Gerdzie się zdawało, że Henryk nie rozumie swojej przyszłej żony i właściwie niezdolny jest ujrzeć jej we właściwym świetle. Nie było w tym nic dziwnego i nie oznaczało bynajmniej, że małżeństwo musi być nieudane. Co do tego Gerda miała zupełnie nowoczesne poglądy. Możliwe, że Henryk, zdominowany przez matkę, potrzebuje kobiety, którą mógłby się opiekować, jednocześnie nad nią dominując. Ile opieki będzie potrzebować Stefania, pewnie jeszcze nie zdawał sobie sprawy. Gerda czuła litość dla Stefanii i przypuszczała, że zainteresowanie Henryka, przynajmniej na początku, płynęło również z litości i jakiegoś niesamowitego uczucia związanego z Sandym. Cóż, kiedy Henryk był taki dziwny. W odczuciu Gerdy był jak mały, twardy pocisk pełen nieubłaganej wrogości i niszczycielskiej siły. Porzuciła już nadzieję, że dojdzie z nim do jakiegoś porozumienia. Przeznaczeniem jego było po prostu zniszczyć jej świat i zniknąć na zawsze w Ameryce.

Współczuła Stefanii i Henryk też jej współczuł. Sandy niewątpliwie również się nad nią litował. Gerda rozmawiała z nią trochę o Sandym, ale nie było w tym śladu intymności, której Henryk się spodziewał i na myśl o której się obruszał. Zrobiła to nie z ciekawości, ale wiedziona współczuciem i przekonaniem, że tak wypada. Stefania i jej wypowiedzi nie budziły jej ciekawości. Raczej wzdrygała się wewnątrz. Ten głos nie mógł powiedzieć jej nic o prawdziwym Sandym, ale potrafił powiedzieć coś, co zapamięta na zawsze. Lepsze było milczenie. I wydawało się, że Stefania, po pierwszym porywie wzruszenia przy fotografiach, też doszła do takiego wniosku. Starzejąc się, Gerda zaczynała zdawać sobie sprawę, że istnieją na świecie rzeczy, których nigdy nie zrozumie, i jedną z nich było z pewnością to, jak Sandy mógł pieścić taką dziewczynę. Gerda chłodno podejrzewała, że Sandy zbyt nią nie przejmował. Przebaczyłaby Sandy'emu wszystko, więc bez trudu przebaczyłaby mu pewną bezwzględność wobec Stefanii. Wydawało się jej, że wysoko ponad głową Stefanii, ponad wszystkim, napotyka łagodny wzrok swego starszego syna i że się rozumieją. Nikt nie wiedział, nikt nigdy się nie dowie, jak doskonały był ich wzajemny stosunek, choć mówił z nią prawie wyłącznie o błahostkach i nigdy nie rozmawiał o swoim życiu. Odkąd Gerda pogodziła się z myślą, że syn musi się ożenić, miała nadzieję, że jej synowa będzie osobą uporządkowaną, godną szacunku, może odrobinę nudną. Później podejrzewała Sandy'ego o skłonności homo seksualne. To nie miało znaczenia. Z Sandym, który teraz umilkł na wieki, złączona była

związkiem, który nic sobie nie robił z tych rzeczy. Tak dalece, że mogła być nawet w miarę obiektywna wobec nieszczęsnej Stefanii.

„Ciekawam, czy Henryk nie obarczył się chorą psychicznie”, powiedziała kiedyś Gerda do Lucjusza. „O, na pewno nie!”, odpowiedział wstrząśnięty Lucjusz. „Cóż, to jego sprawa”, powiedziała Gerda. Nie znaczy to, że myślała o Stefanii w ten sposób, ale z wzrastającym zniecierpliwieniem dostrzegała w synu oznaki pewnej słabości. Burkę, Sandy byli ludźmi mocnymi. Ona sama była osobą mocną. Jakie to dziwne, że kiedy Henryk powrócił do domu, spodziewała się po nim słabości. Był takim wątłym, słabowitym chłopcem. Prawdopodobnie za jego obecną agresywnością kryło się pragnienie, żeby zatrzeć ten obraz. Oddani jej mocni ludzie odeszli i pozostała z oddanym, ale pozbawionym kręgosłupa Lucjuszem. Z Johnem Forbesem, mocnym, rozsądnym mężczyzną, którego kiedyś szanowała, pokłóciła się. A Henryk zmobilizował przeciw niej całą swoją siłę ze zjadliwością, która – coraz bardziej to odczuwała – zaczęła zatrzuwać niechęcią jej własną duszę.

Jedno, co było w Stefanii wzruszające i co wzruszyło Gerdę, to że prawdopodobnie ku własnemu zdziwieniu przyjęła ona Gerdę jako matkę. I Gerda grała matkę. Oczywiście łatwiej jej było grać tę rolę, ponieważ ich stosunek miał charakter tymczasowy. Czy małżeństwo zda, czy nie zda egzaminu, Stefania zniknie, pojedzie z Henrykiem gdzie indziej, daleko, do Ameryki. Gerda nienawidziła Ameryki. Wydawała jej się prymitywna, brzydka, wulgarna, przerażająca i dziwnie pusta. Z pewnością nigdy nie pojedzie tam po raz wtóry. Była teraz przygotowana na to, że będzie musiała dbać o Stefanię, ale w sensie fizycznym wzdragała się przed nią. Słabość moralna, którą Gerda wyczuwała w przyszłej synowej, wyrażała się w formie cielesnej. Stefania miała leniwe, gnuśne ciało. Henryk zafundował sobie żonę, która będzie wylegiwać się w łóżku do południa. Pachniała tłustym ciałem i tanimi kosmetykami. Gerdzie nie podobała się ani jej bielizna, ani jej pozy. Podejrzewała, że Stefania jest starsza, niż przyznała się Henrykowi. W fizycznej aurze, otaczającej tę obecnie bezbroną i żalowaną istotę, Gerda wyczuwała rodzaj sprytu.

Szybko porzuciła myśl o tym, że Stefania pomoże jej wyperswadować Henrykowi sprzedaż domu. Stefania może płakać, ale nigdy Henryka nie przekona. Henryk jest jak siła natury. Gerda przypomniała sobie z obiektywnym zdumieniem, jak kiedyś potajemnie żywiła nadzieję, że po powrocie oswoi Henryka, nauczy go miłości do siebie, zamieni go w jakąś mglistą i słabą, niewystarczającą pociechę w swojej stracie. Zdawało się jej, że ma jakiś plan odzyskania Henryka, ale teraz Henryk wyraźnie okazał się nie do odzyskania i jednym ze skutków tego było, że nie

obchodziło jej, z kim się ożeni. Po prostu chciała, żeby już było po wszystkim i żeby sobie pojechali. Otoczenie, które kochała, zaczęło już po trochu rozbierać na kawałki i chcąc nie chcąc musiała powściągnąć swoje przywiązanie. Bellamy umówił się już o pracę z panią Fontenay i Johnem Forbesem. Za kilka tygodni dom zostanie wystawiony na sprzedaż.

Gerda pochyliła się i dołożyła polano do ognia. Naga, odarta z gobelinu ściana rozpościerała się za nią jak chłodna brama do pustki. Przeszedł ją dreszcz. To nie troska o Henryka kazała jej czekać na niego do rana, tylko natrętne pragnienie, aby pokazać, jak bardzo sama cierpi. Szarpnęła spódnicą niebiesko-zielonej sukni, wyciągając z kominka obrąbek poplamiony popiołem. Otrzepała go. Nawet teraz jestem znacznie piękniejsza od tej dziewczyny – pomyślała – jestem czysta i mocna. Ale czy to ma jeszcze jakieś znaczenie? Z wysokich drzew odezwało się pohukiwanie sowy, jak powtarzający się głuchy dźwięk fletu. Drzwi otworzyły się cicho i weszła ptasiogłowa Rhoda w granatowej sukni, która tak bardzo przypominała mundurek. W odpowiedzi na jej pytanie Gerda powiedziała, że nie chce kawy, nic do jedzenia, nic. Kazała Rhodzie iść do łóżka. W języku znaków dwu kobiet, które od wielu lat mieszkały razem, nie mówiąc nigdy o niczym prócz zwyczajnych spraw domowych, gest, jakim odprawiła Rhodę, wyrażał jej przywiązanie do służącej. Przelotnie spojrzała w duże oczy. Nie powiedziała jeszcze Rhodzie, że będzie musiała odejść. Prawdę mówiąc, nikt jeszcze nic Rhodzie nie powiedział. Gerda nie wiedziała, czy Rhoda wie o sprzedaży domu.

Po kilku minutach usłyszała skrzypienie, szmer i wszedł Lucjusz, zgarbiony, w szlafroku.

– Dlaczego nie śpisz?

– Gerdo, najdroższa, idź do łóżka, nie zamartwiaj się tym niedobrym chłopcem.

– Nie znoszę, kiedy tak o nim mówisz.

– Przepraszam. Nie zamartwiaj się.

– Nie zamartwiam się.

– Jak się czuje biedna Stefania, czy poszła w końcu spać?

– Tak.

– Myślisz, że naprawdę jest chora?

– Myślę, że niedługo dopracuje się załamania nerwowego, ale to już sprawa Henryka.

– Gerdo, nie powinnaś gniewać się na nią z jego powodu...

– Czy myślisz, że jestem zazdrosna?

– Cóż, to byłoby zrozumiałe...

– Czasami zastanawiam się, czy jesteś po prostu głupi, czy naprawdę jesteś mściwy. Wszystko to ma znacznie poważniejszy charakter i większą wagę, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. Masz nędzną, małostkową wyobraźnię. Nie „zamartwiam się niedobrym chłopcem”, nie jestem „zazdrosna” o to nieszczęsne nerwicowe stworzenie! Nic nie rozumiesz.

– Nie płacz...

– Ja nie płacę!

– Gerdo, wybacz mi, wiem, że czasem cię denerwuję, nie potrafię nic naprawić, ale naprawdę cię kocham, jesteś wszystkim, co mam, prawda, że w przyszłości też zostaniemy razem?

Z daleka doszedł ich lekki odgłos, na który Gerda czekała.

– To volvo. Jest Henryk. Idź do łóżka, Lucjuszu.

– Przebacz mi.

– Och, ty głupi, głupi. No. Idź.

Lucjusz poczłapał na górę. Powoli, mozolnie wspinał się po schodach do swojego pokoju. Serce bolało go w znajomy sposób i znajomy charakter tego bólu dokuczał mu tym bardziej. Zawsze uważał się za bałaganiarza, ofiarę, cierpiętnika. Ale jakże wygodnie urządzoną i zabezpieczoną ofiarę. Bolała go ironia Gerdy, to, że codziennie po trochu go odrzucała. Istniało to jednak wewnątrz jakiegoś wiecznego bezpieczeństwa, jej stałej tolerancji i choćby osłabionej, ale stałej potrzeby. To, że Gerda naprawdę potrzebowała swego ostatniego adoratora, było gwarancją jego przetrwania. Ale teraz, w okresie kryzysu, jej wzrok tak często go omijał utkwiony w przestrzeń.

Usiadł przy stole, przyciągnął papier i pióro.

Przygląda się swej twarzy w lustrze,

Przyglądam się jej twarzy w lustrze,

Przyglądam się lustrzanej pustce.

Henryk wtargnął jak huragan przez frontowe drzwi. Zatrzasnął je ostro, choć niezbyt głośno. W hallu paliło się światło i idąc w kierunku

schodów kątem oka zobaczył matkę u wejścia do biblioteki. Nie zwróciłby na nią uwagi i popędził na górę, gdyby nie zawołała cicho:

– Henryku!

Obrócił się, na chwilę zatrzymał, a potem podszedł do drzwi biblioteki i mijając matkę, wszedł do środka.

– O co ci chodzi, mamó? Już późno. Patrzyła na niego z przerażeniem.

– Skaleczyłeś się.

– Naprawdę?

– Całą twarz masz we krwi.

– To nic – powiedział Henryk. – Uderzyłem w ścianę pięścią, trochę krwawiła, i musiałem dotknąć twarzy. To tylko drobne cięcie.

– Pokaż. Gdzie się skaleczyłeś?

Henryk schował rękę za plecy. Była przewiązana chusteczką.

– Nie.

– Proszę cię, pokaż.

– Nie.

Spojrzeli na siebie z nagłą furją.

– Henryku...

– Idź do łóżka, mamó. Jak tam Stefania?

– Tak długo płakała, że pewnie już śpi.

– Czemu tak długo czekasz?

– Nie czekam. Rozmyślam...

– Cóż, zostawiam cię z twoimi myślami.

– O domku w Dirrunerstone.

– Ale poszłaś go obejrzeć, jak ci radziłem? Giles Gosling mówi...

– Nie chcę tam mieszkać.

– Och. Jak chcesz.

– Zamieszkać gdzie indziej. Zupełnie gdzie indziej. W normalnym mieszkaniu.

– W porządku. Myślałem, że chcesz mieć ogródek.

– Sam wspominałeś, że na grzebanie się w ogródku jestem za stara. Postanowiłam...

– No więc dobrze. Rób, jak chcesz. Dobranoc.

– Mówiłeś...

– Zostaw mnie!

Wypadł za drzwi, uciekając przed nią, i usłyszała, jak jego lekkie skoki oddalają się po schodach na górę.

Przez chwilę stała wpatrzona w naga, bladą ścianę pełną śladów pajęczyny. Potem zgasła lampy i pokój pograżył się w ciemności; zostało tylko złote światło tańczące na kominku. Wepchnęła osłonę w głąb paleniska. Gorące łzy wściekłości i okrutnego żalu spłynęły z jej policzków i opadły na łono. Mogła wykończyć się na jego oczach, a on się nawet nie wzruszy.

W łazience na górze Henryk przeglądał się w lustrze. Na twarzy miał krwawe smugi. Odwrócił się i zaczął badać dłoń. Chusteczka przylepiła się do rany, sztywna i ciemna od krwi. Cała dłoń, spuchnięta aż do nadgarstka, była gorąca i gwałtownie pulsowała. Przecinała ją linia bólu, okrutnego, przenikliwego bólu, jak gdyby ktoś powbijał mu gwoździe w ciało. Henryk bezradnie wsadził rękę pod kran. Trysnęła gorąca woda i ból dźgnął go ostro jak nożem, promieniując prosto pod pachę. Zakręcił kurek, usiadł na brzegu wanny i bez powodzenia próbował oderwać chusteczkę. Była mocno przylepiona i odrywanie wywoływało jeszcze większy ból. Co miał robić? Nie mógł iść do łóżka w takim stanie. Musi znaleźć doktora, opiekę, pociechę. Zastanawiał się, czy pójść do Stefanii, ale ona pewnie śpi, a poza tym byłaby po prostu przerażona. W obliczu nieszczęścia, które dotknęło jego, tym bardziej litowałyby się nad sobą.

Henryk siedział w niewygodnej pozycji w jaskrawym świetle, tuląc rękę do siebie i zastanawiając się, co u licha teraz się z nim stanie. Czy rzeczywiście istniał dla niego w tej sprawie jakiś wybór, czy dokonał go? Oczywiście musiał spróbować uratować życie Katona, ale co właściwie zrobił w tym celu? Nie mógł zlekceważyć listu, musiał stawić się na spotkanie. Teraz już nigdy nie opuści go myśl o tym, że znalazł się na „liście”, myśl, że gdyby się zdradził, a nawet gdyby zawiódł, będzie się bał każdego obcego człowieka, każdego obcego dźwięku aż do końca życia. Ucieczka do Ameryki nic tu nie pomoże, ci ludzie są wszędzie. Strach wkroczył w jego życie i nigdy go już nie opuści. Jak łatwo jest zwyciężyć

tym, którzy posługują się gwałtem. Strach jest nie do odparcia, strach to król; nigdy dotychczas, wolny od niego i swobodny, nie zdawał sobie z tego sprawy. Nawet zupełnie bezrozumny strach może człowieka na zawsze okaleczyć. Pewnie strach bezrozumny był najgorszy ze wszystkiego. Jak może w tej sytuacji wdawać się w jakieś kalkulacje, stworzyć sobie jakąś psychiczną obronę? Pewnie gdyby poszedł na policję, nie zginałby, ale nigdy by nie wiedział, nie mógł mieć pewności, ciągle oczekiwałby na cios. Jak dobrze teraz rozumiał zasadę powodzenia dyktatorów. Drobne ziarno strachu każdego żyjącego człowieka wystarczało na to, aby miliony utrzymać w spokoju. I przypomniał sobie obraz Maksa, na którym rzeczowy kat z łagodną miną wykręca ramię jęczącej, na wpół zadławionej ofiary, podczas gdy postać przypominająca Lenina spokojnie opuszcza zasłonę na ten widok. W końcu tak przedstawiało się to w zasadzie, u samych podstaw.

Ale – pomyślał – co będzie, co zrobią z biednym Katonem? Czy go uwolnią, jeśli dostaną pieniądze? A może wtedy go zabiją? Henryk z rozpaczą zdał sobie sprawę, że wyszedł już poza ten etap dyskusji. Żadne jego kalkulacje ani żaden czyn nie może, jakkolwiek by na to spojrzeć, wpłynąć na los Katona w taki czy inny sposób. A przecież czy nie w tym celu wkręcił się w tę straszliwą maszynę? Po prostu sam dał się złapać. I przypominając sobie oświetlony latarką profil pięknego chłopca, poczuł w swoim upodleniu ogromny gniew na Katona za to, że tak głupio stał się ofiarą tego nędznego małego szczura, który jest bez wątpienia niewolnikiem innych szczurów. Tak, po prostu dałem się złapać, pomyślał, tuląc gorącą dłoń pulsującą od bólu. Przyniosę im pieniądze, będę musiał. Ale dlaczego mieliby na tym poprzestać? Będą chcieli więcej, w końcu zażądają wszystkiego, wszystkiego, co posiadam, wszystkiego, co posiada moja matka. I dam im to wszystko po prostu, po prostu dlatego, że się boję.

Było kompletnie ciemno. Oczy Katona jeszcze do tego nie „przywykły”. Ciemność raczej je przepelniała, obmywała do tego stopnia, że w końcu straciły zdolność widzenia. Poruszał się z otwartymi oczyma nie dlatego, żeby mogły mu się przydać, lecz z przyzwyczajenia. Inne zmysły przynosiły mu jednak więcej informacji i teraz miał już całkiem niezłe pojęcie o swoim otoczeniu. Kilkakrotnie przez dłuższy czas nasłuchiwał i dwa razy usłyszał znowu dziwne głosy, jak gdyby szmer rozmowy toczącej się za zamkniętymi drzwiami o kilka pokoi dalej. Ciągłe wydawało mu się, choć nie mógł rozróżnić słów, że głosy te nie mówiły po angielsku. Poza tym nie było słyhać nic prócz bardzo słabego dźwięku czy

wibracji, która mogła być odgłosem metra, i jeszcze słabszego dźwięku, który zaczął rozróżniać, w miarę jak jego słuch wyostrzył się w ciemności. Był to rodzaj drapania czy kopania odbywającego się bardzo daleko. Odległy buldożer, wibrujący w ziemi?

Stracił wszelką rachubę czasu. Chwilę przedtem położył się na łóżku i nakrył kocem, sądząc, że lepiej jest odpoczywać, kiedy nie można robić nic innego, choć nie wyobrażał sobie, by mógł zasnąć. A jednak spał, ale nie wiedział, czy trwało to kilka minut, czy kilka godzin. A potem znowu spał, możliwe, że pod wpływem narkotyku, a może tylko okropnego kompletnego mroku, który przysłonił jego umysł i odebrał mu jak gdyby poczucie tożsamości. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, że zmysły są tak nieodzowne dla całego procesu myślenia. Zanurzony w bezustannej ciemności, czuł się dziwnie skołowany i nawet najzwyklejsze myśli wbrew jego woli prowadziły go ciągle ku fantazji. Nie była to całkowita utrata zmysłów, lecz raczej łagodny zanik materii wrażeń zmysłowych, która, jak mu się teraz wydawało, nigdy nie była zbyt zwarta i która teraz odpłynęła spokojnie w ciemność, w niewidomą mgłę falujących i rozplływających się powiązań.

Kiedy Kato wyczuł dziwną możliwość takiego zaniku, całą siłą woli próbował świadomie go powstrzymać. Czuł, że nigdy przedtem naprawdę nie wypróbował swojej woli w tak zdecydowany sposób. I okazało się to skuteczne, do pewnego stopnia. Niezastąpioną deską ratunku stało się dla niego poczucie dotyku. W ciemności badał swoje pomieszczenie po kilka razy od nowa, wodząc palcami po ścianach w górę, w dół i wzdłuż podłogi. Ciała wydawała mu się gładka i nieprzenikniona, jak gdyby była wyciosana w polerowanej skale. Jedyna nierówność i przedmiot uwagi, na którym zatrzymały się na dłużej palce Katona, to metalowa rura w ubikacji, trochę szersza, niż wydawało mu się przy pierwszej inspekcji. Rura wychodziła z gładkiej, nie spękanej ściany, a potem rozwidlała się za kolankiem. Jeden odcinek szedł w dół i urywał się tuż nad podłogą. Drugi ciągnął się dalej, a potem za następnym kolankiem nagle zwracał do góry i urywał wygięty mniej więcej na długość dłoni. Obmacując ten wygięty koniec, Kato doszedł do wniosku, że gdyby mógł w jakiś sposób odkręcić ostatni odcinek rury, zyskałby użyteczne narzędzie. Nie myślał o nim jako o broni. Nie miał jasnego wyobrażenia, co mógłby z nim zrobić, ale czuł, że takie narzędzie bardzo by mu się przydało. Przychodziło mu już na myśl, że mógłby wystukać sygnał SOS na rurze, która ginęła w ścianie, ale gołą ręką nie mógłby uzyskać żadnego rezonansu. Ostatecznie rury dokądś prowadziły i gdyby zastukał metalem o metal, wibracje mogły przenosić się daleko. Można by też użyć tego narzędzia do wyważenia drzwi. Przede

wszystkim jednak zakrzywiona rura, jako jedyny ważny punkt w pokoju, przyciągała uwagę Katona, bo dłubanie przy niej stanowiło jakieś zajęcie, obronę przed koszmarem.

Próbował już ją wyłamać, ale okazało się to niemożliwe. Nie miał dość siły w ramionach i bezowocne próby powodowały rozsadzające bóle i zawroty głowy, po których słaniał się przy ścianie. Delikatnie dotknął kolanka, próbując stwierdzić, czy jest, czy nie jest przykręcone, ale końce palców, z takim napięciem wystawiane na próbę, wysyłały sprzeczne sygnały, a wreszcie straciły wrażliwość. Potrząsał rurą, próbował nią kręcić, ale nie był pewien, czy, jeśli była nagwintowana, zamiast odkręcać, nie przykręca jej mocniej. W którą stronę przykręca się śruby? Wraz ze zdolnością widzenia utracił tę instynktowną wiedzę. Po chwili zrezygnował i wrócił wyczerpany na łóżko, do udręki skruchy i obawy przed śmiercią.

Siedząc na łóżku, poszukał ręką spodni i naciągnął je na siebie. Nie umiał wymyślić żadnego sposobu na utrzymanie ich w pasie i musiał je zdejmować, kiedy chciał chodzić. Po raz setny przeszukał puste kieszenie, a potem automatycznie przesunął dłońmi po nogawkach. Palce dotknęły mankietów, badając kłaczki kurzu w ich zagięciu. Potem nagle natrafiły na coś innego. Podniecone, czułe palce dotknęły czegoś, wbiły się, pochwyciły. Zapałka. Trzymając ją bezpiecznie w jednej dłoni, pospiesznie szukał innych. Nie. Tylko jedna. Ale jednak. Czy należała do rodzaju, który zapala się bez pudełka? Jeśli tak, to jak mógłby jej użyć? Czy ma ją zachować na jakąś przyszłą okazję, czy ma użyć jej teraz do rozwiązania zagadki rury w ubikacji? Po namyśle wstał i trzymając ją bardzo ostrożnie, zdjął spodnie. Przez chwilę stał, nasłuchując, potem odepchnął śmierdzący kubek w bok nogą i wrócił do niewidocznej rury. Wyczuł palcami jej położenie i zaczął obmacywać ścianę ponad nią. Była przerażająco gładka, ale w końcu palce natrafiły na bardzo lekką ziarnistą nierówność. Po chwili wahania i z gwałtownie bijącym sercem potarł drogocenną zapałką mocno o ścianę.

Nagle jaskrawe światło przyprawilo go niemal o skurcz bólu, zamknął oczy i o mało nie wypuścił zapałki. Kiedy otworzył oczy, wydało mu się, że ogląda jakiś dziwny obraz. Ściana, tuż przed nim, była ciemna, ale dość jaskrawo zielona, i wydało mu się, że nigdy w życiu nie widział tak cudownego koloru. Potem zobaczył, że nie jest jednobarwna, tylko cała pokryta dziwnym wzorem, który zauważył już przedtem w blasku świeczki Pięknego Joe. Dostrzegł też rozrzucone nieregularnie niesamowite różowe punkciki. Zmagając się z obrazem, który tak nagle wyrósł mu tuż przed oczyma, Kato stwierdził, że zaczyna czytać. Miał przed sobą nazwisko, Jeff Mitchell, i datę. Prymitywny rysunek. Inne nazwiska. Tommy Hicks, Peter

Wolf. Inne daty 75 lipca 1942. 3 VIII 43. 20 stycznia 1940. 17 kwietnia 1944. 11 IV 41. Daty i nazwiska pokrywały całą ścianę.

Oparzył się i upuścił zapalną, ale w chwili, kiedy spadała, spojrzął w dół, zobaczył rurę i odczytał zagadkę, której nie pojęły jego palce. Rura była nagwintowana i natychmiast zrozumiał, w którą stronę powinna się kręcić. Oddychając głęboko, oparł się o ścianę. Potem ujął rurę i spróbował nią poruszyć. Nie ustępowała. Znowu wrócił do łóżka. Zapalnik ujawniła jeszcze dwie inne rzeczy. Jego cela stanowiła część starego schronu przeciwlotniczego. W Londynie było wiele takich podziemnych wykopów, pod budynkami urzędów państwowych lub dawnych biur, z których wiele przestało istnieć w czasie wojny. Mógł być w każdym punkcie centrum Londynu, w jakimś zawałonym labiryncie opuszczonych pomieszczeń, do których wejście stanowiło zaklętą tajemnicę. Czytał o takich miejscach. W krótkim błysku światła rozwiązał również inny problem, pochodzenie dźwięku, który tak bardzo przypominał działanie odległego buldożera. Było to ciche brzęczenie setek różowawych prusaków. Trochę większe od mieszkańców kuchni misyjnej, czuły się tu jak u siebie w domu. Wzdrygnął się, wyciągając ręce przed siebie, bo zaczęło mu się wydawać, że są wszędzie, spacerują po łóżku, po koszuli i jego nagim ramieniu.

Nie może ustąpić, musi coś przedsięwziąć, podjąć jakąś próbę ratunku. Obowiązkiem żołnierza, który znalazł się w niewoli, jest ucieczka. Ale wszystko to wydawało mu się takie beznadziejne. Jeśli rzeczywiście znajdował się w schronie przeciwlotniczym, rura, w którą chciał stukać, prowadzi donikąd, do żadnego innego domu ani miejsca ratunku. Spróbuje odłączyć swoje „narzędzie”, ponieważ zapewni mu to jakieś zajęcie. Ale nie miał żadnego planu ani perspektywy uwolnienia, był skutecznie pogrzebany. Nikt nie zauważy, że go nie ma, ani nie będzie go szukać. Ojciec boleśnie odczuje jego nieobecność, ale, dumny i wyniosły, nigdy nie będzie go poszukiwał, zakładając, że uciekł do swoich „religijnych przyjaciół”. Colette będzie niespokojna, ale też nic nie zrobi. Co zrobi Henryk? Czy po otrzymaniu listu pójdzie na policję? Nie. Czy Henryka łatwo zastraszyć? Tak. Ach, gdybym tylko nie napisał tego listu, myślał Kato, leżąc w ciemności. To było takie haniebne i okropne. Nie będę więcej pisał listów dla tych ludzi. Nie napisałbym go, gdybym nie był taki oszołomiony. Nie mogę pozwolić na to, żeby mnie znowu odurzili.

Jakiś czas przedtem (ile godzin?) Piękny Joe przyniósł jedzenie. Pozostał przez chwilę, po to tylko, żeby postawić jedzenie na stole, a potem zniknął wraz ze światłem latarki. Wyglądał, jakby był podniecony, wzburzony, rozdrażniony, a może przestraszony. Kato bezskutecznie

próbował rozwiązać tę zagadkę. Jedzenie, do którego dotarł po omacku, składało się z wody w tekturowym kubku, dwu kawałków chleba i jakiejś pasty rybnej (z sardynek?) rzuconej na kartkę papieru. Był bardzo głodny. Zdecydował, że jeśli jedzenie jest przesycone jakimiś środkami, środki te będą w rybie. Zjadł chleb, wypił wodę i dość niechętnie wyrzucił rybę do kubła. Był słaby, głodny, ale poczuł, że ma trzeźwą głowę. Czy może jednak mieć nadzieję, że zyska coś dzięki zdrowym zmysłom? Czy rzeczywiście wyobrażał sobie, że nawet jeśli potrafi dokonać tego w sensie fizycznym, będzie miał odwagę wywalić drzwi i wejść w grozę tego, co rozciąga się na zewnątrz, gdzie czeka go śmierć nędznego szczura?

Podrażnione nagłym światłem oczy ciągle jeszcze dziwnie go piekły i kiedy leżał w ciemności, zaroilo mu się w głowie od obrazów. Odcisnięta w pamięci, powracała do niego zielona ściana, nazwiska, daty z lat wojny i poruszające się spokojnie duże różowe prusaki. Zobaczył Colette w zielonym kombinezonie i ogród w Leśnej Zagrodzie. Zobaczył matkę, postać nieomalże mityczną, stworzoną z dziś już nieuchwytnych wspomnień. Zobaczył ojca Milsoma odprawiającego mszę i hiszpański krucyfiks Brendana. Zdawało mu się, że gdzieś widzi, jak wielki czarny garb, swoją własną śmierć, i strach przed śmiercią obracał się i skręcał w nim w udęce, która przypominała rozpacz zapłakanego dziecka. Wyobraził sobie twarz Chrystusa i zastanawiał się, czy potrafi się modlić. Na usta cisnęły mu się dziwne słowa.

– Jezu Chryste, kimkolwiek jesteś, jeśli chcesz, aby nazywać Cię tym imieniem, tym imieniem wzywam Cię...

Spał długo i wreszcie się obudził. Pokój wypełniało wątle blade światło i ściany, porysowane sgrafitem napisów, tonęły w ciemnoszarym cieniu. Pod stołem paliła się świeczka. Usiadł wspierając się na poduszce.

Piękny Joe siedział, tak jak poprzednio, na stole, całkiem nieruchomo, z oczyma utkwionymi w Katona. Był w dżinsach i koszuli z zawiniętymi rękawami.

Kato poczuł, że mdli go ze strachu. Całym ciałem, choć jeszcze nie umysłem, odczuwał, jak każde pojawienie się Joego zbliża go do kresu drogi. Joe wydawał się zmieniony. Kato pamiętał, że musi udawać człowieka odurzonego środkami. W istocie był taki słaby, że nie musiał udawać. Powiedział:

– Czuję się tak dziwnie.

Piękny Joe nie spuszczał z niego wzroku.

– Joe, Joe, powiedz coś... Och, co za koszmar...

Joe wstał i podszedł bliżej, zasłaniając światło tak, że cień jego postaci padł na Katona. Kato skurczył się i cofnął. Joe usiadł na brzegu łóżka.

– Nie powinieneś był go zabierać...

– Czego?

– Rewolweru. To była kradzież. Wrzuciłeś go do rzeki. Od tego wszystko się zaczęło. To mnie właśnie rozwścieczyło. Nie mogłem ci przebaczyć. – Jego głos brzmiał dziwnie, prawie obco. Zdjął okulary, potarł policzki, a oczy jego wydawały się ogromne i ciemne jak oczodoły trupiej czaszki.

– Zrobiłem to, bo chciałem ci pomóc, chciałem cię ratować.

– Nie trzeba było, tak samo jak rozwodzić się nad panem Marshalsonem. Chciałeś przekupić mnie jego pieniędzmi. To wszystko twoja wina.

– Joe, co ci jest? Wyglądasz tak dziwnie. Czy nic ci nie zrobili?

– Oni? Nie. Teraz tu ich nie ma, prócz tego osiłka przy drzwiach, stukniętego Murzyna. Dla niego skrócić komuś kark to tylko krr...

– Czy widzieli się z Henrykiem?

– Ja się z nim widziałem. Przyniósł trochę pieniędzy. Był taki przerażony, że ledwo trzymał się na nogach. Następnym razem każę mu rozmawiać na klęczkach. Jutro dostaniemy następną partię. Poczekaj, coś ci pokażę. – W przyćmionym świetle coś błysnęło w ręku Joego. Nóż. Kato się wzdrygnął. – Widzisz te plamy? To jego krew.

– Joe, przecież nie...

– Och, co tam, nie zraniłem go, drasnąłem tylko, żeby zobaczyć, na co mnie stać. Lepiej byłoby, żebyś ty też to wiedział. Kato. Czy to nie twoje imię? – Joe wytarł nóż o rękaw koszuli Katona. Potem lekko podtrzymując ostrze wycelował nim w jego gardło.

– Joe, odłóż ten nóż.

Joe przysunął ostrze i Kato poczuł, jak nóż lekko opiera się sztychem o jego szyję. Usłyszał zgrzyt i ostrze zniknęło. Joe wsadził nóż do kieszeni.

– Nie uwierzysz, jacy oni potrafią być okrutni, to naprawdę okrutni ludzie, mówię ci. I to tylko dlatego, że tak im się podoba. Więc mówię ci, lepiej siedź cicho. Mogą cię po prostu zamknąć i pójść sobie. A ty mógłbyś krzyczeć, ile ci się spodoba. Mógłbyś tu siedzieć całe lata i nikt cię nie znajdzie. Cholera, ale ten kubeł śmierdzi. Nie udusisz się tutaj?

– Tobie też zrobią krzywdę...

– Nie, nie zrobią. Ma na mnie oko jeden z facetów z samej góry. Chce mnie ze sobą zabrać do... nieważne zresztą dokąd. Chce mnie zabrać, tak jak kiedyś ty, Kato. Jak to dawno temu. To jakby całe lata, prawda? Naprawdę tak chciałeś?

– Ach, Boże, gdybyś tylko...

– I żylibyśmy razem... tam...

– W Leeds.

– I ty byś wykładał, a ja uczyłbym się czegoś, tak jak chciałeś... może czytał książki... chciałbym się uczyć filozofii.

– Tak...

– Wiesz, Kato, ja to chyba jestem egzystencjalistą.

Albo jest pijany, albo zażył jakieś środki – pomyślał Kato. Ale myśl o ucieczce nie była zdolna poruszyć w nim ani jednego ścięgna. Sprawa była przegrana, z jednej strony nóż, z drugiej za drzwiami zwariowany Murzyn. Kato przyłożył dłoń do gardła, gdzie ciągle jeszcze czuł ostrze noża. Świadomie znieruchomiał, powstrzymując się od drżenia.

– Gdybyśmy tylko mogli się stąd wydostać, wszystko, co mówiłeś, mogłoby się spełnić nawet teraz. Henryk dałby nam pieniądze, moglibyśmy mieszkać na północy, mógłbyś robić, co ci się żywnie podoba, studiować filozofię, dlaczego nie... czy nie możemy się stąd jakoś wydostać? Przecież nie chcesz chyba zostać z tymi strasznymi ludźmi, nie...

– Uważaj, Kato. Mówisz nie to, co trzeba. Chcesz, żebym cię nadał? Oni niedługo wrócą. Mają co innego do roboty. Ty nie jesteś ważny. Po prostu mam cię pilnować, to moja sprawa, mój pomysł. A potem wyrwę się z tego zasranego grajdołka do innego życia, w wielki świat. Więc nie mów tak. Leż spokojnie albo sam ci dołożę. Mówiłem ci, że to wszystko twoja wina. Nie trzeba było zabierać rewolweru.

– Przepraszam...

– Mówiłeś, że mnie kochasz...

– Kochałem, Kocham cię.

Piękny Joe siedział tuż przy nim na łóżku. Kato czuł ciepło jego ciała i nagle jego ramię lekko zetknęło się z nagim ramieniem Joego. Twarz chłopca, bez okularów, z oczami dużymi jak w trupiej czaszce, wydawała się starsza, bezbronna, dzika, nieznajoma. Dziewczęce loki były potargane. Przez chwilę wyglądał jak opętana stara kobieta.

Kato leżał podparty na łóżku, sztywny i zimny, i kiedy poczuł dotknięcie ramienia Joego, niezupełnie nawet dotknięcie, bo tylko włoski na jego ramieniu musnęły włoski na ramieniu chłopca, przeszło go jakieś abstrakcyjne pragnienie, jak gdyby jego ciało na próżno tęskniło do odprężenia, a może nawet nie zdawało sobie sprawy z losu swego właściciela.

Joe powoli, prawie niezręcznie otarł się o ramię Katona, jakimś intymnym zwierzęcym gestem, potem poruszył ręką i ujął dłoń swego więźnia.

– Joe, Kochany, wydobądź nas stąd...

– Nie trzeba było tego robić, Kato. Nie trzeba było rzucać Kościoła, to był koniec. Opuściłeś mnie. Nie chciałeś mnie więcej ratować. Nic dziwnego, że zaczęło mi być wszystko jedno. Nic dziwnego, że poczułem się całkiem sam. Kiedy ty sam zaczęłeś mi mówić, że nie ma Boga. Pojechałbym z tobą, gdybyś dalej był księdzem, gdybyś kazał mi jechać, zrobiłbym, co zechcesz. Nie znałeś swojej siły. Ale rzuciłeś to wszystko. Kochałem cię, dalej cię Kocham, tylko to już na nic się nie zda. Jesteś nikim. Żal mi ciebie. Przykro mi patrzeć, jak tu siedzisz i robisz w portki ze strachu.

– Sam mnie tu sprowadziłeś.

– To było przeznaczenie. Och, gdybyś był inny, ten sam, ale inny... jesteś jedynym człowiekiem, jakiego naprawdę... ojciec... obejmij mnie. – Nagle chłopiec wyciągnął się całą długością obok Katona, chowając głowę na jego piersi. Kato poruszył się i wziął go w ramiona. Joe zaczął dygotać i chwycił zębami koszulę Katona. Kato poczuł jego wargi, wilgotne, może od łez.

– Och, mój drogi – powiedział Kato. Rozdarty między strachem, czułością i pożądaniem, położył rękę na potarganych włosach i ukołysał głowę, która pulsowała od gorąca.

Nagłym ruchem Joe szarpnął się w bok. Wstał i wsunął koszulę w spodnie. Włożył okulary.

– Nie magluj mnie. Nędzny, zasrany pedał, to wszystko, czym jesteś. To cała twoja religia. I zawsze tak było. Sposób na to, żeby być pedałem.

– Joe...

– Przyszedłem coś ci powiedzieć, Kato.

– Co? – Kato powoli usiadł i spuścił na podłogę bose stopy.

– Musisz napisać drugi list.

– Nie.

– Nie bądź głupi. Napiszesz. Chcesz stracić palec albo ucho?

– Napisałem jeden list, to wystarczy. Sam pisz sobie teraz swoje listy.

– Musisz napisać drugi list. Chcą, żeby drugą paczkę forsy przyniosła twoja siostra.

– Moja siostra? Nie, nie, nie...

– Twoja nadęta siostra. Dziewczyna, której według ciebie nie dorastam do pięt. Musi przyjść. A ty musisz napisać i powiedzieć jej, żeby przyszła. Jasne? Kato.

– Nie – odparł Kato. Wściekłość zablokowała mu język i gniew zakneblował usta, tak że nie mógł wydobyć z siebie głosu. – Nie. Zostaw moją siostrę w spokoju, zostaw ją w spokoju, zostaw ją, zostaw...

– Za wielka dama dla mnie, pieprzona drogocenna siostra, co?

– Nie, nie... – Kato zaskowytał. Potem głośno krzyknął, bo otrzymał gwałtowny cios w bok głowy. Padł na łóżko. Przed oczyma miał czarne plamy.

Drogi Henryku!

Chcą mieć szybko resztę pieniędzy, ale nie przychodź, ma je przynieść Colette. Nikt nie może o tym wiedzieć. Powiedz jej, żeby przyszła w to samo miejsce. Ktoś tam będzie o pierwszej przez trzy kolejne noce. Trzymaj się z daleka i nie mów nikomu, jeśli cenisz swoje życie. Nie zwracaj się do policji, bo wtedy koniec. Colette musi przyjść. Inaczej zaczną Ci przysyłać mnie kawałek po kawałku. Uwierz mi, Kato.

– Co się stało?

– Sypiesz popiół na prześcieradło.

– Co się stało, co to za list?

– Nic.

– Ciągłe nad czymś rozmyślasz.

– Chyba można myśleć.

– Co to jest?

– Nic, nic, nic.

– Jestem taka nieszczęśliwa, nikt mi nic nie mówi. Tej nocy znowu nie będziesz ze mną i znowu będę miała koszmary.

– Tutaj nie mogę, w żaden sposób, wszystko jest takie straszne.

– Nie byłoby straszne, gdybyśmy tu mieszkali.

– Cóż, nie będziemy tu mieszkać. Prawdopodobnie nie będziemy nigdzie mieszkać.

– Co to znaczy? Chcesz mnie opuścić? Co to znaczy?

– Na pewno nie chcę cię opuścić. Ale niektóre pary całe życie spędzają na walizkach. I my też jesteśmy tacy. Zmieścimy się w walizce.

– Ale kochasz mnie, prawda? I chcesz się mną opiekować?

– Tak, tak, tak, na litość boską, przestań jęczeć i stękać. Doktor powiedział, że nic ci nie dolega.

– Nieprawda. Nie wiesz, jakie straszne rzeczy mogą powstać w ludzkiej głowie. Nie rozumiesz tego, twoja matka nie rozumie, jesteście zdrowi. Ach, gdybyśmy mogli na zawsze pozostać w tym domu, tu się czuję bezpieczna, jest taki duży i taki prawdziwy, nie chcę jechać z powrotem do Londynu, to mieszkanie jest jak grób, zwariuję w nim, och, jak bardzo chciałabym zostać tutaj. Nie wiesz, co to jest być na moim miejscu, nie wiesz, co to znaczy, jak człowiek jest w środku poszarpany i rozdarty...

– Może przestaniesz palić – powiedział Henryk – to już nie pokój, tylko jakaś przeklęta komora gazowa.

Było po jedenastej w nocy. List od Katona przyszedł późnym popołudniem. Henryk czuł się tak, jak gdyby w mózgu wybuchła mu

bomba. Nie był w stanie myśleć ani działać. Od godziny prowadził ze Stefanią machinalną rozmowę po prostu dla zabicia czasu.

Stefania spędziła cały dzień w łóżku. Przyszedł doktor i orzekł, że jest zdrowa. Przepisał jakieś środki uspokajające i Gerda przyniosła je z apteki w Laxlinden. Stefania leżała na dużym mosiężnym łóżku w pokoju czereśniowym, który od czasów ojca Burke'a pozostał nie zmieniony i pachniał przeszłością, kurzem, nędznym piżmowym i pompatycznym zapachem, który przyprawiał Henryka o dreszcze. Lepiej już żyć na walizkach. Zamknięte okiennice, bladezielone i spłowiałe, przysłonięte były draperią koronkowych firanek. Podobna góra koronek wieńczyła łóżko, zawinięta jak turban, żółknąca od kurzu i starości. Tapeta w kwiat czereśni, na której widniały krajobrazy japońskie, również spłowiała, pokryta była jasnobrązową mgiełką. Stefania leżała w ostentacyjnie niezgrabnej pozie na stercie poduszek, które na tym tle uderzały białością. Oddychała szybko i twarz jej płonęła. Miała na sobie falbaniastą różową koszulę, obcisłą w talii i trochę za ciasną. Ramiączko z falbanką wpijało się w jej ramię i ciało wzdymało się po obu stronach. Kręciła się i wierciła w nerwowej irytacji, ale nie starczało jej siły woli, żeby poruszyć się i ułożyć wygodniej. Henryk spacerował po pokoju. Ręka, której nie pokazał doktorowi, ciągle go bolała. Spoglądał na Stefanię z litością, zniecierpliwieniem, władczością i zwykłym poczuciem odpowiedzialności, które składały się na jego miłość do tej dziwnej, nieporządnej kobiety. Tak, nieporządnej zarówno w sensie fizycznym, jak duchowym. Duża ciężka broda połyskiwała od tłuszczu, prawie okrągłe oczy, wilgotne i błyszczące, płonęły jakimś tajemniczym uczuciem. Temat dla Bonnarda, Vuillarda, a najlepszy dla Degas. Ustawiła na brzuchu dużą czubatą popielniczkę, a jej ręka trzymająca zapalonego papierosa płaśała po kołdrze jak jakieś niezależne spłoszone zwierzę. Mimo ogarniającej go rozpacz Henryk dalej odczuwał, że choć nieznośna, jest pociągająca. Tyle że środek jego mózgu, rozsadzony przez wybuch, zajęty był Colette.

– Ciągle myślisz o tej dziewczynie, Colette.

– Nieprawda. Lepiej zażyj proszki.

– Wzięłabym choćby sto. Nie chcę jechać do Ameryki. Kochanie, proszę cię, spróbuj zrozumieć. Wiem, że musisz być sobą. Ale ja też muszę być sobą.

– Wydaje mi się, że to tautologia.

– I jest tyle rzeczy, które muszę ci powiedzieć...

– Myślisz o przeszłości, o Sandym i tym wszystkim...

– Tak.

– Nie chcę o tym wiedzieć. Sandy nie ma znaczenia. Przestał istnieć.

– Mówisz tak brutalnie, że to aż boli. Wiem, że nie myślisz tak naprawdę. Uważasz, że jestem po prostu słaba, jak jakiś tchórz. Ale w środku jestem taka nieszczęśliwa i nie mogę zrobić nic, żeby to przerwać.

– Uważaj, wypalisz dziurę w prześcieradle.

– Twoja matka myśli, że jestem po prostu...

– Uważaj...

– To nieważne, i dla ciebie też nie, skoro chcesz wszystkiego się pozbyć.

Stefania szarpnęła się i rozsypała zawartość popielniczki wraz z palącym się papierosem na pstrą koldrę z początków dziewiętnastego wieku.

Henryk podniósł popielniczkę i zaczął strzepywać popiół i płonące iskierki na ziemię, rozdeptując je w szarą masę na perskim dywanie. Spojrzał z irytacją na pochylone ramię Stefanii i na prześcieradło, w którym pojawiła się wielka okrągła dziura z czarną obwódką. Chwytał jedno z falbaniastych ramiączek i pociągnął za nie obiema rękami. Czerwona twarz Stefanii nagle się wygładziła i uspokoiła, a ona sama odprężyla się, wsparta na poduszkach, wpatrując się w niego rożarzonymi oczyma.

Henryk dotknął jej policzka. Potem ostrożnie położył popielniczkę na szklanym blacie toaletki i wyszedł z sypialni, cicho zamykając drzwi. Zszedł na dół.

– Co to takiego? – zapytała Gerda.

Henryk stał w drzwiach biblioteki. Program telewizyjny pokazywał porwany samolot stojący na polu startowym afrykańskiego lotniska. Gerda, ubrana w ciemnopasowy szlafrok, siedziała w fotelu. Paliła się tylko jedna lampa. Na ruszcie kominka pełgał ostatni żółty płomyk.

Henryk stał nic nie mówiąc. Wyłączył dźwięk w telewizorze, potem podszedł do kominka i usiadł okrakiem na jego osłonie. Jedną nogą zaczął grzebać w popiele, a drugą odpychał czerwonobrunatny dywan kazachski, w którym wyskakujące węgle powypalały drobne dziurki.

Gerda wpatrywała się w syna, który blady, z małą głową i kręconymi włosami, siedział kołysząc długimi nogami i z uporem grzebiąc stopą w popiele.

– Więc postanowiłeś nie sprzedawać domu?

– Nie – odparł Henryk, wzbijając nogą chmurę popiołu.

– Jak twoja ręka? Żebyś chociaż pozwolił mi...

– Już dobrze – odparł po chwili, nie patrząc na nią, tylko na swój but pokryty popiołem. – Dlaczego powiedziałaś, że nie chcesz mieszkać w Dimmerstone? Czy nie byłoby ci tam dobrze?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Człowiek może rozporządzać swobodnie tym, co posiada – wyjaśniała Gerda – i nie mogę narzekać, skoro jestem, jak wspomniałeś, stara i mam już za sobą najpiękniejsze chwile, ale nie chcę być tutaj i patrzeć na to, co się dzieje z miejscem, które kocham. Kiedy dom zostanie sprzedany, skończy się również moje życie tutaj. Wyjadę i nie wrócę.

– Zgoda – powiedział Henryk po chwili. – Więc gdzie zamierzasz mieszkać?

– W mieszkaniu w Londynie.

– W porządku. Ale wiesz, jakie to wysokie koszty. Lepiej weź mieszkanie po Sandym. Mnie nie będzie potrzebne. Z widokiem na Harrodsa.

Gerda wpatrywała się w niego w milczeniu. Pod czerwonym szlafrokiem miała białą flanelową koszulę z postawionym kołnierzem. W przyćmionym świetle jej duża władcza twarz wydawała się gładka, bez śladu zmarszczek. Ciemne włosy, nie szczotkowane i trochę potargane, wepchnęła pod biały kołnierz. Jeszcze raz powtórzyła:

– Co to takiego?

Henryk wyjął z kieszeni list Katona. Był odrobinę pognieciony, więc go rozprostował. Wręczył list Gerdzie. Gerda czytała go, marszcząc brwi.

– Cóż to takiego?

Henryk przerzucił nogę nad osłoną kominka i siadł naprzeciw niej.

– Cóż, zadawaj pytania.

– Co to znaczy?

– Słuchaj – powiedział Henryk. – Stało się coś zupełnie okropnego. Muszę się tym z kimś podzielić, zwłaszcza teraz. Jacyś gangsterzy porwali Katona. To był chyba pomysł młodocianego przestępcy, jednego z jego trzódki. Ten chłopiec zwąchał, że mam kupę pieniędzy, a teraz ten gang ma Katona w swoim ręku i szantażuje mnie. Dałem im dwadzieścia tysięcy i spodziewają się, że dam jeszcze więcej. Ale teraz przyszło to. Nie wiem, co robić. Nie mogę posłać Colette do tych łajdaków. Sam też się boję pójść. Nie śmiem nic przedsięwziąć, bo mogą okaleczyć Katona. Nie wiem, co robić, chyba oszaleję z tego wszystkiego.

Gerda znowu przeczytała list od początku do końca.

– Jesteś pewien, że to nie sfałszowane?

– Tak. To pismo Katona. No i spotkałem się z tym chłopakiem. To wszystko prawda.

– Jaki niesamowity list – powiedziała Gerda. Zwróciła go Henrykowi.
– Komu mówiłeś?

– Nikomu. Tobie.

– Nie dałeś znać policji?

– Nie! Przecież nie mogłem! Gerda zastanawiała się.

– Poczekaj, aż się przebiorę. Myślę, że powinniśmy zobaczyć się z Johnem Forbesem.

Henryk siedział w kuchni w Leśnej Zagrodzie, z łokciami na dużym wyszorowanym stole i twarzą ukrytą w dłoniach. Czuł głęboką ulgę pomieszaną z czystym przerażeniem. Gerda rozmawiała z Johnem Forbesem.

– To sprawa wykluczenia możliwości – mówił John.

John Forbes nie zdziwił się, kiedy Gerda zadzwoniła tuż przed północą, pytając, czy może przyjść. Na wiadomość, że gangsterzy porwali jego syna i żądają stawienia się córki, okazał tylko leciutki przebłysk emocji. Zaczerwienił się, jak człowiek głęboko obrażony. Kiedy przyjechali, w kuchni paliło się światło, piec z otwartymi drzwiczkami promieniował gorącem i całe pomieszczenie, do którego Henryk nie wchodził od tylu lat, było świeżo uprzątnięte dla gości. John przeczytał list Katona i podczas gdy Henryk opowiadał pozostałą część historii, zaproponował herbatę, kawę, piwo, whisky. Biszkopty czekoladowe. Gerda podziękowała za wszystko. Henryk zgodził się na whisky. Nigdy nie zdawałem sobie

sprawy, jaki byłem wolny, zanim poznałem strach, myślał. Nawet jeśli uda nam się wydobyć z tego Katona, będę się już bał do końca życia. O Boże, dlaczego to się musiało stać? Przeklęty, głupi Kato, to wszystko jego wina. Wypił jeszcze trochę whisky. Odpowiedział na wiele pytań i teraz pozostawił sprawę do dyskusji starszym.

– To świetnie, że Colette tu nie ma – uspokoiła się Gerda. Choć w kuchni było gorąco, siedziała w tweedowym płaszczu.

– Tak. Dziś po południu pojechała do Londynu do cioci Pat. To stara przyjaciółka Ruth, znacie ją, pani Patrycja Raven. Zostanie tam na noc.

– Zgadzam się z tobą – powiedziała Gerda. – Po prostu nie można podjąć żadnych innych kroków.

– Oczywiście nie możemy pozwolić, żeby Colette poszła do tych ludzi sama czy też z eskortą, co do tego się zgadzamy, prawda? Jeśli Henryk to zrobi, może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Grając na zwłokę i obiecując im później więcej pieniędzy, Henryk miał trochę racji. Nie można go za to winić. Ostatecznie nawet wtedy sytuacja nie była jeszcze wyklarowana. Ale nie sędzę, żeby miało sens dawać im teraz większą ilość pieniędzy. Nie uratujemy w ten sposób życia Katona. Kiedy już część dostali, prawdopodobnie są przygotowani na to, żeby poczekać i trochę się potargować. Słuchaj, Henryk, ten chłopak, co tam przyszedł, ten, którego przedtem widziałeś u Katona, mówiłeś, że uważasz go tylko za pionka?

– Kato mówił, że to drobny przestępca – powiedział Henryk, podnosząc głowę. – Jest bardzo młody. Przypuszczam, że po prostu dostał się w łapy tych ludzi.

– Właśnie. Więc nie ma najmniejszego sensu, żebyśmy próbowali na własną rękę bawić się w detektywów. Co do tego też się zgadzamy. Nie mamy żadnych punktów oparcia. Miejsce ukrycia Katona może znajdować się wszędzie. Stempel na pewno jest celowo mylący i list nie naprowadzi nas na żaden trop.

– Nie mogę zrozumieć, jak mógł pisać tak okropne listy – komentowała Gerda. – To potworne, wciągać w ten sposób innych ludzi. Mogli Henrykowi zrobić krzywdę.

– I zrobili.

– Szkoda, że zniszczyłeś ten drugi list.

– Drugi też nie naprowadzał na żaden trop – przyznał Henryk markotnie, o mało nie rozplaszczywszy się podbródkiem na stole.

– Nie, to nam nic nie mówi – ciągnął John Forbes, studiując list Katona. – Jedyna sensowna rzecz, jaką można zrobić, to dostać w ręce tego chłopaka. Mówiłeś, Henryku, że ktoś z nim był?

– Tak.

– Czy widziałeś tego człowieka?

– Nie, ale powiedział, że ktoś jest za drzwiami, i rozumie się samo przez się, że nie przychodziłby sam.

– Trzeba zrobić zasadzkę na tych ludzi. Henryk musi pójść jeszcze raz i...

– Nie rozumiem, dlaczego Henryk – zaprotestowała Gerda.

– Ani ja – dodał Henryk.

– W każdym razie tę kwestię musi rozstrzygnąć policja – zdecydował John Forbes. – To kwestia techniczna, dla ekspertów. Uważam, że Henryk powinien być przygotowany na...

– Jeśli się zgadzamy, że trzeba zawiadomić policję, zrobmy to od razu – powiedziała Gerda. – Ja z miejsca chciałam do nich dzwonić. Dokąd zadzwonimy, tu czy do Londynu?

– Zawiadamiając policję, ponosimy pewne ryzyko. Chciałem się upewnić...

W tym momencie w hallu zadzwonił telefon. John Forbes wstał i wyszedł, zostawiając drzwi otwarte. Henryk podniósł głowę i spojrzał na matkę. Przeszedł ich dreszcz emocji, ale żadne się nie ruszyło. Z hallu dochodził głos Johna.

– Halo... O, halo, Pat... Tak... Co? Ale ja myślałem, że ona jest u ciebie, mówiła, że dzwoniłaś... O mój Boże. Tak, przeczytaj to, przeczytaj... O Boże... Nie, nie, to nie twoja wina... O diabli... Słuchaj, Pat, nie mogę teraz mówić, muszę zadzwonić na policję... Tak, tak.,, tak, zadzwonię jeszcze dzisiaj, tylko później.

John Forbes wrócił do kuchni i usiadł ciężko przy stole. Zaczerwienił się. Ukrył twarz w dłoniach.

– Co się stało? – zapytała Gerda.

– Colette poszła. Poszła tam. Poszła tam... do tych ludzi...

– Jak to...?

– Powiedziała, że ciocia Pat dzwoniła i że wybiera się do niej. Nie było mnie całe popołudnie i powiedziała mi o tym, kiedy wróciłem, a potem poszła na stację. Tymczasem Pat wcale nie dzwoniła i Colette do niej nie poszła. Po prostu wrzuciła do jej skrzynki list zaadresowany do mnie, z notatką „proszę przekazać”. Myślała pewnie, że Pat już śpi i wyjmie go dopiero jutro rano. Tymczasem Pat przyszła późno i wyjęła go ze skrzynki przed chwilą. Wydało jej się to trochę dziwne, otworzyła go...

– I co...?

– W środku był list od Katona adresowany do Colette. Napisał, że jest porwany i ona musi przyjść do domu misyjnego o pierwszej w nocy, jeśli chce mu uratować życie. A pod spodem Colette napisała po prostu: „Poszłam”.

– Musiała dostać go dziś po południu – powiedział Henryk.

– Pewnie przyszedł z tą samą pocztą co do mnie.

– Która godzina? – zapytała Gerda.

Był kwadrans po pierwszej.

Szarpiąc ją za włosy, splątane z tyłu głowy, chłopiec niezręcznie zdjął bandaż z jej oczu. Colette automatycznie pomagała mu go odwiązać i, nagle puszczone, pozostał jej w dłoniach. Drżała tak mocno, że o mało nie zachwiała się na nogach. Idąc z zawiązanymi oczyma, straciła poczucie równowagi i teraz cała dygotała, przejęta zimną gorączką fizycznego strachu. Zęby szczękały jej z przerażenia. Zmrużyła oczy i odwróciła głowę od kuli jaskrawego światła płonącego tuż przy jej twarzy. Znajdowała się w małym pokoju, oświetlonym tylko jedną świeczką stojącą na poziomie jej oczu na półce. Koło świeczki stało małe kwadratowe pudełko z kratką z przodu, prawdopodobnie rodzaj mikrofonu lub głośnika. Na półce pokrytej kurzem widać było ślady palców. Colette stała tak wpatrzona, z dłońmi przy twarzy, wlokącym się bandażem i torebką zwieszoną z ramienia.

– Nie hałasuj, bo ich tu sprowadzisz. Siadaj.

Zrobiła pół obrotu, zobaczyła brzeg żelaznego łóżka i usiadła. Upuściła bandaż, a torebkę postawiła za sobą. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Zduszony, załamujący się głos, jak istne wcielenie strachu, napływał jej do ust i zamierał. Znowu podniosła dłonie do twarzy i poczuła, że wargi jej drżą. Przycisnęła palce do ust, żeby to opanować. Wstrząśnięta i bezbronna, przeżywała własny strach z pewnym zdziwieniem.

– Co się stało?

– Boję się – powiedziała Colette. Czuła, że mówiąc to, może sobie pomóc, a nic innego nie przychodziło jej do głowy. Była w stanie wypowiedzieć słowa, ale głos jej się załamywał.

– Ciii... usłyszają. Siedź cicho przez chwilę. Nie trzęś się. Przez ciebie sam się zaczynam bać.

Chłopiec obserwował ją, siedząc na krześle. Colette rozpoznała go już w chwili, kiedy otwierała drzwi na podwórze, a on wyłonił się z mroku alejki za Misją. Zaświecił latarką prosto w jej twarz i dostrzegła w blasku dziwny kształt jego okularów i gładkie uczesanie prostych jasnych włosów. Stał przez chwilę, kierując na nią światło. Potem opuścił je i pokazał jej drugą rękę trzymającą nóż. Żadne z nich się nie odezwało. Colette szła obok niego z lekko rozchyłonymi ustami, szeroko otwartymi oczyma i ciałem spętanym przez strach. Nie wziął jej za rękę, ale szła obok niego jak w transie, posuwając się wraz z nim krętymi, źle oświetlonymi, pustymi uliczkami. Kiedy wreszcie wyszli na otwartą przestrzeń i nie mieli przed sobą nic prócz ciemności, zatrzymał się i zawiązał jej oczy. Przez chwilę Colette nie mogła zrozumieć, co chłopiec robi, i stała sparaliżowana, a potem pozwoliła się poprowadzić po nierównym terenie. Nie ujął jej za rękę, tylko ciągnął lekko za rękaw płaszcza, i dalej jakby spętana szła za nim jak w transie. Wspinali się na jakieś przeszkody, okrążali inne, schodzili z murków, a potem z jakichś schodów, i weszli gdzieś, gdzie rozlegało się echo ich kroków. Wtedy mocno uderzyła ręką o ścianę, zatrzymali się, on rozwiązał opaskę i zobaczyła płomień świecy.

W pierwszym momencie Colette była prawie całkowicie pochłonięta fizyczną walką z samą sobą, jak ktoś, kto postanowił, że nie upadnie lub nie utonie. Od chwili kiedy w Leśnej Zagrodzie otrzymała wezwanie Katona, była słaba i zwiotczała ze strachu. Potem, jak chłodny długi oddech, nadciągnęła odwaga, nagle niezwykła siła, która pozwoliła jej okłamać ojca, wyjść z domu, złapać pociąg i znieść okropne momenty oczekiwania w kawiarni na stacji, a potem w barze na rogu. Przez cały czas podtrzymywało ją na duchu przeświadczenie, że nie ma innej alternatywy. Kato prosił, żeby przyszła, żeby jakoś mu pomóc, żeby jakoś go ratować, i musiała przyjść, tak jak wbiegłaby do płonącego domu, gdyby usłyszała, że ją woła. Wyprostowana i usztywniona odwagą, choć serce jej tak strasznie biło, z pewną ulgą poszła do domu Misji. Jak w transie, któremu świadomie uległa, zniosła niesamowity, lunatyczny pochód przez dziwne ulice, przekonana, że ona, dziewczyna z chłopcem, jest niewidoczna, jej zwariowana maska nie jest widoczna. Ale teraz nagle

odwaga ją opuściła, nie widziała już celu, pozostało tylko to drżenie i niemy krzyk uwieczony w gardle. Wstrząśnięta własnym załamaniem i strachem, walczyła z sobą.

Celowo rozglądała się po pokoju, żeby nie patrzeć na chłopca. Znajdowała się w małym, szarym, prostokątnym boksie o ścianach z surowego betonu. Jasny płomień świecy lekko chybotał w przeciągu i czuła jakiś wodnisto-błotnisty zapach. Świadoma wpatrzonych w nią oczu chłopca lub raczej jego okularów, które widziała nawet na niego nie patrząc, badała swoje otoczenie. Stało tam łóżko, krzesło i niski stół, który nagle wydał jej się podobny do ołtarza. Na ołtarzu leżał wyjęty z pochwy nóż, po którym pełgał ruchomy odblask świeczki. Pod stołem stała walizka, a na niej i dookoła piętrzyły się paczki papierów. Przycisnęła usta ręką i przygryzła dolną wargę, a potem drgnęła, bo chłopiec nagle się poruszył. Pochylił się, podniósł jedną z paczek, pociągnął za gumkę, którą była ściśnięta, strzelił nią i rzucił paczkę na kolana Colette. Wydała lekki, stłumiony okrzyk, a potem wpatrywała się w kolorowe awersy pięcio-, dziesięcio- i dwudziestofuntowych banknotów, które spadały na jej spódnicę i spływały jak deszcz na podłogę. Chłopiec śmiał się i rozrzucał banknoty nogą.

– Pamiętasz moje imię?

Z oczu dziewczyny, zaskoczonej jego ruchem, trysnęły łzy. Otarła je ręką i odrzuciła rozpuszczone włosy z ramion do tyłu. Nagłe łzy trochę ją uspokoiły, łagodnie rozładowując napięcie, które, zdawało się, przerwać mógł tylko krzyk.

– Piękny Joe.

– Nie płacz. Nic ci nie zrobię.

– Mój brat... – powiedziała Colette.

– Nic mu się nie stało. Dotychczas. Nie płacz.

– Czy jest tutaj?

– Nie. Nie mów tak głośno. Teraz nie ma tu nikogo, tylko wielki Murzyn, który pilnuje bramy, ale nie chcę, żeby tu przychodził. Przyszedłby, gdybyś krzyczała czy coś takiego. Kiedy wchodziliśmy, czytał komiksy. Ludzie, dla których pracuję, są strasznie brutalni. Ale jeśli będziesz spokojna i rozsądna, będę cię pilnował.

– Ale mój brat... co to za pieniądze? – Colette strząsnęła resztę banknotów ze spódnicy na podłogę.

– Okup.

– Za niego... kto go zapłacił?

– Ktoś.

– Ale co się stanie, co oni chcą mu zrobić?

– Nic mu nie będzie, jeśli zrobisz to, co ci powiem. Mówię prawdę. Jeśli tego nie zrobisz, stanie się coś złego. Spójrz, chcę ci coś pokazać. Pieniądze są nieważne, podnieś się, stań na nich, stań na nich.

Colette podniosła się i nastąpiła na rozsypane banknoty.

– O, jak grzecznie, jak ładnie. Masz takie... śliczne pantofle. – Świeczka poruszyła się i po ścianach popędziły cienie. Colette patrzyła teraz na twarz chłopca, ale nie widziała jej wyraźnie, choć ozłacało ją światło podniesione w górę. Złoty zarost wokół ust i na brodzie połyskiwał i migotał jak rybie łuski. Wykrzywione szyderczo wargi rozciągnęły się i usłyszała przyspieszony oddech. Od strony betonowej ściany dochodziła lekka wibracja. Colette zakryła usta.

– Spójrz na to. Sam ci to kupiłem. Dzisiaj. Wczoraj.

Świeca przesunęła się niżej i Colette zobaczyła pod nogami łóżka pomarańczowy plastikowy kubeł, całkiem nowy, z przylepionymi trójkątami papierowych metek.

– To toaleta. Do twojej dyspozycji.

Colette spojrzała na kubeł. Przez chwilę zdawało jej się, jakby coś gorącego, jakiś wzmacniający trunek, a może gniew, wstrzyknięto jej do krwi. Widok nowiutkiego pomarańczowego kubła nappełnił ją dziwnie silnym rozdrażnieniem.

– Słuchaj – powiedziała – co to wszystko znaczy, chcę zobaczyć się z bratem, żądam wyjaśnienia.

– Nie ma go tutaj.

– Ale czy coś mu się stało? Dlaczego oni chcą mnie widzieć?

– Zobaczysz.

– Dlaczego...?

– Zamknij się. Bądź zadowolona, że jeszcze żyjesz. Tutaj życie jest tanie. Teraz muszę iść. Nie próbuj się stąd wydostać, bo i tak ci się to nie uda. Lepiej połóż się i śpij, jest jeszcze noc i nic innego nie masz do roboty. Nie hałasuj, bo przyjdzie Murzyn. Jest niezupełnie normalny, lubi

bić ludzi. Jak wrócę, nie chciałbym oglądać, jak ci rozkwasił twarz. Jeśli będziesz grzeczna, będę cię pilnował. A jak nie będziesz, zabiorą mi ciebie. Jasne?

Świeca przechyliła się ku jej twarzy i Colette cofnęła się, następując na dywan z banknotów i nie spuszczać oka z niskiego stołu i wyjątego z pochwy noża. Uderzyła nogami o łóżko i gwałtownie usiadła. Zobaczyła, jak Joe wysuwa rękę, żeby podnieść nóż. Świeczka przesunęła się i zniknęła w otworze drzwi. Drzwi się zamknęły i zamek zazgrzytał. Otworzyły się i zamknęły następne drzwi, usłyszała zgrzyt, a potem trzask i zapadła cisza.

Był całkowity, gęsty mrok, absolutna ciemność, wobec której zwykła ciemność wydawałaby się szara lub niebieskawa. Colette siedziała spokojnie na łóżku, obiema rękami trzymając się za gardło. Przez bardzo długi czas trwała tak zupełnie nieruchomo w ogromnym napięciu. Potem jej ciało, mięsień po mięskule, kawałek po kawałku, zaczęło się odprężać. Poszukała za sobą ręką i znalazła torbę. Nie była już sama, torba towarzyszyła jej jak pies. Nie przyszło jej na myśl, aby po omacku zbadać swoje więzienie, wiedziała, że się z niego nie wydostanie. Nie miała też ochoty wołać ani krzyczeć. Gdyby to zrobiła, nie znani jej brutale przyszliby ją uciszyć. Skupiła się na tym, żeby oddychać równo i głęboko, i próbowała myśleć. Kato napisał i podkreślił w liście: „Nie mów nikomu”. Colette miała zamiar nie mówić nikomu, ale pragnąc podzielić się z kimś swoim nieszczęściem i udęką wrzuciła list do skrzynki cioci Pat, która znajdzie go rano i prześle dalej ojcu. Ale skoro ojciec wyłożył pieniądze na okup, które zresztą teraz tarzały się wokół łóżka po podłodze, musi już o tym wiedzieć. To jednak niemożliwe. Nie mógł grać wobec niej, nie mógłby ukryć swojej rozpacz. Ale przecież ktoś musi wiedzieć, ktoś inny, kto zapłacił okup? Gdzie jest teraz Kato i czy przynajmniej jeszcze żyje? Jej wola i miłość, od czasu kiedy otrzymała list, skoncentrowana na bracie, natrafiając na przeszkodę, nabrała czegoś desperackiego. W ciemności w oczach jej pojawiły się łzy i zaczęły powoli wędrować po twarzy. Dotknęła policzków ręką i wyczuła, że są rozpalone i gorące.

Przemogła się i postanowiła zdjąć buty. Wysunęła ostrożnie stopy i ustawiła buty porządnie pod łóżkiem. Nie zdjęła płaszcza, tylko położyła się na plecach i naciągnęła koc. Dopiero wtedy poczuła, jak zimno jest w pokoju. Zesztywniała i obolała od chłodu, leżała powstrzymując oddech i słuchając. Powiedziała sobie, nie mogę teraz zrobić nic innego, jak tylko czekać, zrobiłam to, o co Kato prosił, zrobiłam to, co trzeba. Teraz muszę po prostu czekać. I kiedy tak leżała, wydało jej się, że z czasem dzieje się coś dziwnego, jak gdyby całe jej życie aż do tej pory było chwilą obecną,

która właśnie minęła, a chwila obecna, w której spoczywała jak w wielkim kielichu, była równie długa. Spoglądała na swoje życie i wydawało jej się, że je rozumie i opłakuje, jak gdyby już minęło, choć myśl o tym, że niedługo ktoś ma ją zabić, nie sprecyzowała się jeszcze jasno w jej umyśle.

Myślałam, że idę do Katona, powiedziała do siebie, myślałam, że przychodzę mu pomóc, ale teraz to nie ma sensu, nic nie ma sensu. Nie wiem, co właściwie zrobiłam, i prawdopodobnie po prostu zniknę i nikt nigdy się nie dowie, co się ze mną stało. I nawet nie wiem, czy byłam dzielna, czy tylko byłam głupia. I zaczął w niej narastać okropny ból skruchy. Ojciec tak często ganił ją za to, że w pośpiechu robi głupstwa. Oto jeszcze jedno z nich, i pewnie ostatnie. Czy trzeba było zaraz lecieć pędem tylko dlatego, że Kato napisał list z prośbą o coś, czego sam zapewne bynajmniej nie pragnął?

Leżała sztywno, udręczona, a potem, całkiem nagle, tą częścią umysłu, która jeszcze nie była uwięziona, zaczęła myśleć o Henryku Marshalsonie. Jakże mocno kochała Henryka, kiedy była małą dziewczynką, choć nikt nigdy by w to nie uwierzył, a teraz nawet o tym się nie dowie. Cała ta miłość należała do chwili minionej. Przypomniała sobie dziwny ponury wieczór w małym pokoiku w college'u, kiedy siedziała, trzymając Ust, w którym ojciec donosił jej o śmierci Sandy'ego; poczuła wtedy taki nagły poryw miłości i pewności, w jednej sekundzie ogarniając tak wiele ukrytych znaczeń i odkrywając tak wiele wizji. I tak jak teraz, pod wpływem listu Katona, popędziła do niego, tak samo ślepo, pod wpływem wewnętrznego impulsu, uciekła z college'u, z powrotem do Laxlinden, po prostu i tylko po to, żeby znowu zobaczyć Henryka, być blisko niego i otaczać go bałwochwalczą miłością. Obróciła się na łóżku, podciągając kolana, chyląc głowę i wyężając wzrok w ciemności. Pomyślała: biegłam do Henryka, pomyślała: musiałam. I zobaczyła jego roześmianą, ironiczną twarz w obramieniu ciemnych wijących się włosów i wpatrzone w nią ciemne, jarzące się oczy, i zapragnęła, aby fizyczne pożądanie pozwoliło jej zapomnieć, odwróciło uwagę od strachu i niedoli, ale nie przychodziło. I poczuła ze smutkiem, że straciła go, nie dlatego, że jej nie chciał, ale dlatego, że ona go już nie chciała. W tej ciemności Henryk nie przynosił światła, był tylko głupim, pustym marzeniem młodej dziewczyny.

– Muszę spać – powiedział Henryk. – Muszę, jutro muszę jechać do Londynu, żeby pójść na policję, chcę, żebym jutro wieczorem poszedł znowu w to miejsce.

– Zabiją cię.

– Nie, nie zabiją, policja będzie czuwać.

– Kiedy zobaczą policję, zabiją cię.

– Nie zobaczą.

– Skąd wiesz, że nie zobaczą?

– Och, skończ z tym, Stefanio, bez twojego gadania sam mam piekielnego stracha...

– Więc naprawdę myślisz, że cię zabiją!

– Nie! Policja będzie kilka kroków za mną. Słuchaj, zabieraj się już, na litość boską, muszę spać, muszę odpocząć, mam szansę, że stracę przytomność i będę miał miłe sny. Właśnie coś mi się śniło, kiedy przyszłaś.

– Dlaczego do mnie nie przyszedłeś?

– Myślałem, że śpisz.

– Pozwól mi zostać.

– Jeśli zostaniesz, nie będę spał. Na litość boską, chcę spać, czy to takie dziwne?

– Nie wierzę w tę historię, to wszystko jakieś nabieranie, dlaczego w to wierzysz, kiedy nie masz żadnych dowodów?

– Och, przestań...

– To wszystko spisek i pozory, wszystko to wymyśliła ta dziewczyna, bo chciała, żebyś się nad nią zlitował, żebyś się w niej zakochał, to wszystko czary.

– Cóż, jeśli pozory, to nie czary – powiedział Henryk – i jeśli to taki rodzaj spisku, to mnie nie zabiją. Wszystko to razem nie trzyma się kupy.

Nagle zbudzono go z głębokiego snu. Śniło mu się, że jest w domu w Sperriton i siedzi z Russem i Bellą w ogrodzie, który zrobił się bardzo duży, w ogrodzie jest jezioro, a na jeziorze maleńki model jachtu z białymi żaglami. Świadomy mocnej, życzliwej obecności przyjaciół, spoglądając na białe żagle, Henryk czuł się głęboko szczęśliwy.

W chwili przebudzenia najpierw ogarnęło go uczucie szczęścia, a potem, jakby przez kontrast, strachu i nieszczęścia. Obawiał się pułapki zastawionej przez policję, z którą czuł się zobowiązany współdziałać. Policja sądziła, że skoro drugi list Katona w sprawie Colette po prostu

żądał stawienia się dziewczyny, a nie dostarczenia pieniędzy, gang będzie oczekiwał, że Henryk przyniesie resztę okupu zgodnie z poprzednią umową. Henryk wyobraził sobie potworny mrok i ukrytych w nim bandytów. Był pewien, że ludzie z gangu zorientują się, że policja czuwa, i natychmiast go zabiją. Czuł całym ciałem okropną grozę nieodwołalnego okrucieństwa, równie żywo, jak gdyby dosłownie widział rewolwer lub nóż, który za chwilę okaleczy go lub zabije. I nawet jeśli przeżyje to potworne spotkanie, nic mu to nie pomoże, bo znajdzie się na czarnej liście, oznaczony jako zdrajca, człowiek, którego później trzeba się będzie pozbyć. Odebrano mu całą niewinność i przyjemność życia, jak gdyby istotnie został przekupiony przez swoich wrogów, jak gdyby sam też stał się przestępcą. I rzeczywiście, gdyby nie pewna myśl, Henryk Marshalson byłby teraz po prostu jedną drżącą masą solipsystycznego strachu. Była to myśl o Colette.

Właściwie Henryk zgodził się wystąpić w roli wabika policyjnego nie z powodu Colette, lecz z jakiegoś zastarzałego, pierwotnego poczucia obowiązku lub prościej biorąc, poczucia, że „tak się robi”. Nie widział sposobu wykręcenia się od tego i ani przez chwilę nie przyszło mu poważnie na myśl, że może się nie zgodzić. Myśl o Colette była czymś dodatkowym, dodatkowym bólem, dodatkową łaską i choć Henryk nie był w stanie myśleć o tym w ten sposób, jego udręczenie z powodu Colette pomagało mu trochę, odwracając uwagę od własnej osoby. Wyobrażał sobie, jak go zastrzelą, będą walić po głowie, doprowadzą do idiotyzmu przez uszkodzenie mózgu. Wyobrażał też sobie ją i to, co teraz pewnie się z nią dzieje; i jakoś poza tymi wyobrażeniami obraz Colette, myśl o jej odwadze i czystości przeszła go jak sztylet, jak twarde i czyste ostrze cudzej osobowości zanurzone w upokarzającej galarecie jego własnej trwogi.

- Nie będę mogła zasnąć, tak się boję.
- Ja też się boję, ale uważam, że trzeba spać.
- Mówiłeś, że się nie boisz.
- Nie mówiłem, boję się, wszystko jedno, bądź taka dobra i zabieraj się.
- Nie kochasz mnie. Myślisz o tej dziewczynie.
- Och, dość tego, dość, nie widzisz, że jestem jak w gorączce, nie mogę z tobą konwersować, czy chcesz, żebyśmy zaczął krzyczeć?
- Nie potrzebujesz mnie. Masz kłopoty i nie potrzebujesz mnie.

Kiedy Henryk obudził się, zobaczył, że lampa jest zapalona, a Stefania siedzi w nogach jego łóżka. Słyszała, jak samochód odjeżdżał, zabierając Henryka i Gerdę do Leśnej Zagrody, i przysłała do Henryka, który właśnie wrócił i natychmiast zasnął, zapytać, skąd wraca. Choć Gerda mu to odradzała, Henryk czuł się zobowiązany powiedzieć prawdę. Wyglądało na to, że Stefania postanowiła mu nie wierzyć, i rzeczywiście opowiadanie jego wydawało się obłąkane. Oszołomiony Henryk sam nie był teraz w stanie pojąć, na jakich podstawach opierał się ten wielki strach. Ale strach istniał i był prawdziwy.

Stefania, w neglizju w srebrno-czarne romby, z piórami u szyi, siedziała zgarbiona. Podkuliła pod siebie bose stopy i krzyżując ręce pod brodą wtuliła głowę w ramiona. Włosy miała potargane, a jej twarz bez makijażu była spuchnięta i blada; ostre linie po obu stronach ust rysowały się w świetle lampy jak dwa głębokie cienie. Wyglądała staro i po raz pierwszy, odkąd poznała Henryka, własny wygląd był jej zupełnie obojętny. Zdawało mu się, że płakała. Henryk poczuł, jak wraz z rozdrażnieniem budzi się w nim znajomy, władczy i czuły odruch litości. Potem odwrócił się od niej, rozprostowując się i jęcząc, ukrył twarz w poduszce. Świadomość jego wyostrzyła się i widział siebie, smukłego i napiętego w niebieskiej bawełnianej piżamie, mocnego, młodego, nietkniętego; a jutro o tej porze prawdopodobnie okaleczonego lub umarłego.

– Chcę cię o coś zapytać. Dlaczego mnie kochasz?

– Bo obchodzi mnie twój los – powiedział Henryk. Nie było już mowy o spaniu. – Kocham cię, bo obchodzi mnie twój los.

– To śmieszna odpowiedź.

– Jesteś śmieszoną dziewczyną.

– Dlaczego obchodzi cię mój los?

– Bo mi ciebie żal. Z powodu Sandy’ego. Ponieważ byłem w stanie cię kochać. Z powodu twojego zadartego noska i tego, że choćbyś najbardziej się starała, zawsze ubierasz się nieporządnie.

– Z powodu mojej przeszłości.

– Z powodu twojej przeszłości, twoich oczu, ponieważ byłaś wdzięczna. Jak można to wytłumaczyć, dlaczego czyjś los nas obchodzi? Sam jestem śmiesznym facetem.

– Muszę ci coś powiedzieć, Henryk, słuchaj. Nie powiedziałam ci prawdy.

– W porządku. Czy to ma znaczenie?

– Henryk, mój drogi... nigdy nie byłam striptizerką. Nigdy nie byłam prostytutką... to wszystko nieprawda. Nie masz pretensji?

Henryk usiadł. Stefania, skulona w kłębek w nogach łóżka, wyglądała jak stary sponiewierany ptak.

– O co ci chodzi

– Tylko o to. Wszystko to wymyśliłam. Nigdy nie byłam nikim w tym rodzaju. Byłam porządną dziewczyną, maszynistką. Nie byłam dziwką. Tak tylko powiedziałam.

– O – westchnął Henryk, przyglądając się kochance. Z oczu jej wolno spływały łzy. Nigdy nie wyglądała tak brzydko i tak żałośnie.

– Dlaczego?

– Myślałam, że to cię zainteresuje i wzbudzi twoje współczucie.

Henryk się zamyślił.

– Całkiem słusznie, wzbudziło.

– Więc nic nie szkodzi?

Henryk zastanawiał się, spoglądając na jej łzy. Skupił się, wyrwany z kleszczy przerażenia. Czuł, że wyszedł na durnia, czuł głęboki popłoch i niepokój.

– Chyba nie. Czuję się trochę jak idiota i trochę mnie mdli, ale to chyba nie ma znaczenia. Ty jesteś nieuczciwa, a ja jestem głupcem, to wszystko.

– I wybaczysz mi?

– Ta kwestia w ogóle nie istnieje. No tak, oczywiście. Więc gdy uciekłaś z domu, zostałaś maszynistką, a nie striptizerką. W porządku.

– Ale ja nie uciekłam. Mieszkałam z rodziną do dwudziestego roku życia. Oni dalej mieszkają w Leicester. Byłam tam na święta. Mój brat pracuje przy komputerach.

– Moje gratulacje – powiedział Henryk. – Solidne zajęcie. Więc wygląda na to, że niesłusznie ci współczułem.

– Nie, nie, miałaś rację. Widzisz... och, spróbuj zrozumieć. Moje życie, stopniowo i bez powodu, coraz bardziej zmieniał się w koszmar. Nie znasz takiego koszmaru. Nigdy nie umiałam sobie radzić. Nauczyłam się tylko pisać na maszynie, i to niezbyt dobrze. Straciłam posadę raz i drugi,

a kiedy brak referencji, o nową pracę jest coraz trudniej. Nie wiesz, jak to jest, jak wygląda rozpacz, kiedy człowiek coraz bardziej tonie. Próbowałam pracować jako urzędniczka, ale i to mi nie wychodziło, nie umiałam robić nic. Zaczęłam żyć z zapomogi...

– Znowu zaczynam ci współczuć...

– Oczywiście chciałam wyjść za męża, to była jedyna nadzieja, no i spotkałam w barach paru mężczyzn, ale byli okropni i chodziło im tylko o seks; i nikt nigdy nie był dla mnie dobry ani nie widział we mnie człowieka, z kobietami też nie umiałam się zaprzyjaźnić i dalej próbowałam, i nic mi się nie udawało, no i siedziałam sama w pokoju, i płakałam całymi godzinami; i nikogo to nie obchodziło, a potem w końcu z tej samotności i braku zajęcia miałam załamanie nerwowe i poszłam do szpitala; dawali mi środki i robili wstrząsy elektryczne i byłam tam prawie cały rok; i zdawało się, że już nigdy nie wyjdę, i nawet nie chciałam wyjść...

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał Henryk.

– Myślałam, że uznasz mnie za nerwowo chorą albo obłąkaną, lub coś w tym rodzaju, i odejdziesz. Jedna dziewczyna w szpitalu powiedziała, jeśli tylko chcesz znaleźć pracę albo męża, nigdy nikomu nie mów, że miałaś załamanie. I potem wyszłam, kazali mi wyjść, i dalej żyłam samotnie...

– Więc w rezultacie nie byłaś niczyją *femme fatale* – powiedział Henryk – prócz Sandy’ego i mnie. Więc gdzie spotkałaś Sandy’ego, jeśli nie w nocnym lokalu?

– Właśnie to muszę ci powiedzieć. – Usta miała mokre od łez. – To nieprawda. Nie byłam nigdy kochanką Sandy’ego. Wcale go nie znałam. Byłam po prostu sprzątaczką.

– Co?

– Sprzątałam po domach, to była jedyna rzecz, jaką umiałam robić. Myłam schody w tym bloku i wtedy jedna z pań poprosiła mnie, żebym sprzątnęła jej mieszkanie, i poleciła mnie Sandy’emu, i on zostawił dla mnie klucz w kopercie, i przychodziłam w poniedziałki, tylko jego nigdy wtedy nie było, zostawiał mi polecenia na kartkach i pieniądze. Widziałam go wszystkiego chyba dwa razy na schodach i nie byłam nawet pewna, czy to on, a on nie wiedział, kim ja jestem, a potem zobaczyłam w gazecie, że się zabił...

– Ale... poczekaj... poczekaj... to znaczy – nie byłaś kochanką Sandy’ego, to wszystko kłamstwo?

– Tak.

– Ależ to niepodobieństwo, doprawdy, musisz być szalona, wszystko o nim wiedziałaś, wiedziałaś wszystko o mnie, poznałaś mnie, kiedy tylko wszedłem.

– Nie, nic nie wiedziałam. Zajrzałam do jego biurka, ale nie mogłam nic znaleźć...

– Ale rozpoznałaś mnie, wiedziałaś, że nazywał się Sandy...

– Powiedziałaś mi, kim jesteś. Powiedziałaś mi jego imię. Po prostu czekałam i wszystko to wypłynęło, sam mi powiedziałaś...

– Ale, Stefanio, powiedziałaś, że byłaś kochanką Sandy’ego, powiedziałaś to w pięć minut po tym, jak cię zobaczyłem...

– Tak...

– Mój Boże. Więc wszystko to było przygotowane, całe to kłamstwo, dla każdego, kto przyjdzie?

– Dla każdego. Ale to było... och, nie potrafię ci wytłumaczyć, to nie było tak, to nie było na zimno, po prostu tak wypadło...

– Jak to wypadło, na litość boską?

– Snułam takie marzenia, takie fantazje na jawie, o Sandym i o wielu innych ludziach, właściwie o każdym napotkanym mężczyźnie, o tym, jak by mnie kochał i ożenił się, i okazałoby się, że jest bogaty, wyobrażałam sobie to wszystko, jak by to było z Sandym i jak mu opowiem, że uciekłam z domu i zostałam striptizerką, a on się nade mną zlituje i zaopiekuje się...

– Boże!

– No i widzisz, potem, kiedy umarł i nikt się nie zjawiał... mijały tygodnie za tygodniami i nikt nie przychodził, i ja czekałam i czekałam... i przychodziłam codziennie, i spacerowałam po mieszkaniu, i było takie dziwne, całkiem puste i nikogo w nim nie było prócz mnie... a potem straciłam swój pokój i to wyglądało na znak... i wprowadziłam się do mieszkania, jakby na wszelki wypadek... a potem zaczęłam wierzyć, że nikt nigdy nie przyjdzie i będę mogła po prostu przejąć mieszkanie i tam zostać... I któregoś dnia przyszło mi na myśl, że gdyby w końcu ktoś się zjawił i gdybym udała, że byłam kochanką Sandy’ego, wtedy, nawet gdyby byli na mnie źli, daliby mi trochę pieniędzy, i marzyło mi się, że może

daliby mi nawet to mieszkanie, bo w końcu mogłam przecież być kochanką Sandy'ego...

– Tak, mogłaś, rzeczywiście, więc w ten sposób jesteście bliscy prawdy. Uważam, że jesteś genialna, te elektryczne wstrząsy przyniosły ci masę pożytku. A potem zjawilem się ja.

– A potem zjawileś się ty i... udawałam... a ty powiedziałaś mi wszystko, kim jesteś i w ogóle, a ja tylko musiałam udawać, że wiem, o czym mówisz, i miałam nadzieję, że dasz mi mieszkanie, to jest przynajmniej na początku miałam...

– A potem zobaczyłaś, że możesz zgarnąć kasę.

– No więc, wtedy ja... wtedy ja... pokochałam cię...

– Jeszcze jedna fantazja. W każdym razie moje pieniądze to było coś konkretnego. Więc wszystkie te wzruszające bzdury o tym, jak Sandy tobą gardził... o dziecku i tak dalej... wszystko to było zmyślane... mój Boże, powinnaś pisać powieści. I ja wziąłem to wszystko za dobrą monetę. Musiałaś być zdumiona, że masz takie szczęście.

– Ale, Henryku, ja naprawdę cię kocham, naprawdę, to nie fantazja... i powiedziałaś ci prawdę, a przecież nie musiałam, i to było trudne, i tak okropnie się boję, że się wobec mnie zmienisz, tylko nie mogłam już dalej kłamać. Musiałam się upewnić, że pragniesz mnie jako mnie, a nie tylko z powodu Sandy'ego albo z powodu striptizu czy czegoś takiego, więc byłam odważna, przyznasz chyba? Och, proszę cię, zrozum i nie uważaj, że to takie straszne. Musiałam próbować, musiałam walczyć, zawsze byłam zdana na siebie i nikt mi nigdy nie pomagał ani nie dbał o mnie, ani nikt mnie specjalnie nie lubił, musiałam sama dawać sobie radę, musiałam robić plany...

– Jakie jeszcze plany robiłaś? Coś fascynującego...

– O, nic podobnego... nic mi nigdy nie wychodziło... tylko zaczęłam tracić nadzieję... widzisz, zaczęłam się starzeć, czułam, że to moja ostatnia szansa...

– Ile masz lat? – zapytał Henryk.

– Mam... cóż... jestem trochę starsza, niż powiedziałam... mam około czterdziestki... O Boże, Boże... spróbuj zrozumieć... po prostu musiałam sama myśleć o sobie, bo nikt się o mnie nie troszczył... a potem przyszedłeś ty i byłeś taki miły, mówiłeś do mnie „panno Whitehouse” z takim szacunkiem i tak grzecznie, i nie traktowałeś mnie jak szmaty, jak wszyscy inni, i zwróciłeś na mnie uwagę, byłam dla ciebie pociągająca...

– Wygląda na to, że po raz pierwszy miałaś trochę szczęścia.

– Tak, tak, kochanie, po raz pierwszy, pierwszy raz przydarzyło mi się coś dobrego... ale, och, chyba nie zepsułam wszystkiego tym kłamstwem, prawda? Wybaczysz mi... – Stefania ześliznęła się na ziemię i sunęła ku niemu na kolanach, popychając przed sobą dywan po podłodze. Wyciągnęła do niego ręce jak pies, który o coś prosi. Gorącymi, wilgotnymi palcami zaczęła chwytać go za rękaw niebieskiej bawełnianej piżamy.

– Nic dziwnego, że tak się śmiałaś, kiedy ci się oświadczyłem. Potrzebowałaś mnie i wy myliłaś mnie sobie. Tak, jesteś genialna.

– Henryk, zlituj się...

– A więc nie jesteś żadną *femme fatale*, tylko zwykłą sprzątaczką. Jesteś po prostu komediantką, sprzątaczką z komedii.

– Tak, tak, z komedii, twoją komediantką, prawda? Wybacz mi, powiedz, że mi wybaczasz. Mówiłeś, że było ci mnie żal, mówiłeś, że pokochałeś mnie, bo ci było żal, ale chyba dalej tak jest? Miałam takie podłe życie i byłam taka samotna i nie możesz mnie rzucić po prostu dlatego, że ci powiedziałam prawdę, musiałam to powiedzieć, bo cię kocham... nie możesz mnie teraz zostawić, powiedziałeś, że mój los cię obchodzi, to się nie zmieniło, prawda, tylko dlatego...

– Nie zmieniło się – powiedział Henryk.

– O... dziękuję ci, Bogu dzięki – dalej klęczała, trzęsąc się od płaczu, i przyciskała jego rękę do mokrych warg.

Henryk spojrzał na rozczochrane włosy, absurdalny kołnierz z piór i drżące ramiona Stefanii. Przyznaje się do czterdziestki, a pewnie ma jeszcze więcej – pomyślał.

– No, Stefcu, głowa do góry!

– Jesteś taki dobry, taki miły, jesteś jedynym człowiekiem, który był dla mnie miły...

– No, wstawaj, Stefo, te porywy są zupełnie nie na miejscu, nie, nie chcę, żebyś... podnieś się i siadaj, o tam na krzesło. Masz chusteczkę...

Stefania wstała i podeszła do krzesła, wycierając twarz.

– Więc wszystko jest w porządku, naprawdę wszystko?

– Tak, tak musi być. Nie mogę cię rzucić, Stefo, nie zrobię tego, po prostu czuję, że nie dość dobrze cię znam, ty nie dość dobrze mnie znasz, i tyle. Wydaje mi się, że jesteśmy na siebie skazani. Przypuszczam, że

będzie nam dobrze, będziemy troszczyć się o siebie tak jak należy. A teraz idź, nie, nie możesz spać tutaj, nie ma miejsca, a poza tym jestem zimny jak lód. Tak, tak, wybaczam ci, tylko proszę cię, idź już.

– Nie chodź tam jutro.

– Muszę.

– Jeśli cię tam zabiją, nie będę miała nic...

– Och, Stefo! Dobra, zrobię testament, w którym wszystko ci zostawię!

– Nie o to mi chodziło.

– Sama nie wiesz, o co ci chodzi. Jesteś moją komiczną przyjaciółką. Ale posłuchaj, musisz robić to, co ci powiem, to znaczy, jeśli przeżyję, a mam taki zamiar, musisz pojechać ze mną do Ameryki i być zwyczajną kobietą, a nie bogatą damą. Proszę cię, dość już tych fantazji.

– Zrobię, cokolwiek ty...

– A teraz idź już, idź.

– I to wszystko...

– Tak, tak, tak.

Po jej wyjściu Henryk wstał i napił się wody. Potem umył ręce. Zgasił lampę i z powrotem zaciągnął zasłony. Świtało.

Kato szarpał rurą we wszystkie strony już około godziny, a może dłużej, i jego poczucie czasu bardzo się zatarło. Klęczał na jednym kolanie, opierając się ramieniem o ścianę. Ręka go bolała, dłoń była mokra, pewnie krwawiła. Rura odkręciła się do pewnego punktu, a potem zacięła. Kato poruszał obłuzowaną rurą w tę i z powrotem, bo było to jakieś zajęcie, jak kręcenie modlitewnego młynka. Tylko to mógł zrobić dla swojego zbawienia. Otwarte oczy wypełniała ciemność. Były bezużyteczne, jak gdyby obumarłe. Ciało jego żyło zmysłem dotyku i zaczęło mu się zdawać, że tak było zawsze.

Długotrwała ciemność i głód dokonały całkowitej zmiany w jego zmysłach. Swój stosunek do otoczenia sprawdzał dzięki wrażliwości, która żyła w jego stopach, palcach i skórze twarzy. Nie odróżniał już nawet swoich ślepych oczu. Kiedy leżał lub siedział bez ruchu na łóżku, wydawało mu się, że ciało jego nie tylko się skurczyło, lecz i rozszerzyło, jak gdyby zamienione w dużą, ciasną, niewygodną beczkę, w której jego

dusza lub wola, czy coś innego, żyła jak cienka giętka linia. Zdawało mu się, że jest jednocześnie umocniony i pusty, słaby i oszalały od bezużytecznej siły. Ciało ciążyło mu, napełniało go niesmakiem, a jednak jego wrażliwe palce jak długie, długie czułki, nauczyły się nowych sztuczek, nowego poczucia przestrzeni. Mógł się poruszać bezszelestnie, lekko, ufnie w swoim więzieniu, a jednocześnie był ropuchą i czuł własny wstrętny oddech.

Minęło już trochę czasu od ostatniej przelotnej wizyty Joego, który przyniósł mu chleb i wodę. Zgłodniały Kato zjadł cały chleb. Później, pod wpływem narkotyków lub nowej fali głodu, poczuł zawrót głowy. Dotychczas nie widział innych członków gangu prócz Joego i to napełniało go grozą. Czuł szaloną ciekawość samotnego człowieka, jak gdyby najbardziej nawet przerażająca osoba mogła być dla niego pożądanym towarzystwem. Ale w dalszym ciągu, drżąc o bezpieczeństwo swoje i Joego, nie odważył się wołać ani stukać. Jeszcze raz usłyszał, dość dawno temu, dziwny odległy gwar głosów i jakieś kroki. Teraz, przejęty sprawą odłączenia kawałka metalowej rury, przestał słuchać. Nie planował, co zrobi ze swoim narzędziem, po prostu chciał je mieć. Po krótkim odpoczynku z cichym jękiem przeniósł ciężar ciała na drugie kolano i znowu zabrał się do pracy.

Moment, kiedy pisał pierwszy list do Henryka, wydawał mu się teraz niezmiernie odległy. Było to, jak przypuszczał, wiele dni temu i w porównaniu z terażniejszością przedstawiało się jak okres niewiedzy, a nawet niewinności. Z perspektywy czasu wydawało mu się, że był to jakiś absurd, i robił to, nie zdając sobie wyraźnie sprawy, że naraża przyjaciela na poważne niebezpieczeństwo. Ale oczywiście wiedział, że nie powinien był pisać tego listu, i nie przypominał sobie, czy bał się wtedy tak mocno, że nie mógł odmówić pisania. Miał wrażenie, że potworny strach przyszedł później, wraz ze słabością fizyczną i zamętem w myślach. A jednak tak się stało, że napisał ten pierwszy list, który tak bardzo mu ułatwił napisanie następnego, do Henryka, i zupełnie haniebnego do Colette. Napisał ze strachu przed Joem, przed jego gniewem, wariactwem, jego złowroźbnie rozbawionym nożem i ze strachu przed nimi, tymi, z których rąk miał otrzymać karę, gdyby tego nie zrobił; których ofiarą padłby wtedy również Joe. Wszystko to było tak nieobliczalnie skomplikowane. Kato czuł się taki słaby, taki chory, zmęczony, tak niezdolny do walki, do myślenia, opierania się, a nawet gry na zwłokę. I pośród grozy swojej zdrady pocieszał się myślą, że Colette powie o wszystkim ojcu, a ojciec zawiadomi policję. Colette nie przyjdzie, to nie stanie się nigdy. Tylko teraz nie był taki pewny.

Rozległ się nagły trzask, posypał się grad bębniącego gruzu i Kato znalazł się na podłodze, trzymając kawałek rury. Siedział tak przez chwilę, badając swoje trofeum. Rura była ciężka, miała około dwudziestu centymetrów długości, a na końcu wyszczerbiony metalowy język, wystający mniej więcej na dziesięć centymetrów. Kato siedział, głaszcząc ją, grając na niej jak na niemym instrumencie. Potem podniósł się z wysiłkiem, stanął na chwiejnych nogach i skierował do łóżka. Leżał, przyciskając do siebie kawałek rury, jak gdyby była czymś bliskim i cennym. Wyczuwał nawet jej kształt policzkiem. Była mu droga jako rzecz niewątpliwa, istniejąca poza jego ciałem i umysłem, jak talizman, coś, czego się dopracował i co teraz posiadał jako rodzaj świadectwa lub dowodu.

Słuchał. Była kompletna cisza. Przerywana wibracja, którą tłumaczył sobie jako odgłos kolei podziemnej, zniknęła, więc pewnie jest noc, około drugiej lub trzeciej nad ranem. Noc. Ojciec i Colette śpią pewnie bezpiecznie w Leśnej Zagrodzie. Cisza. Próbował myśleć o Henryku i zastanawiał się, czy Henryk przyniósł pozostałą część pieniędzy, ale Henryk i pieniądze wydawały mu się nierealne i mgliste, i nie miały tu nic do rzeczy. Zostanę tu i umrę z głodu, zostanę tu i umrę – pomyślał. W końcu zacznę krzyczeć, ale nikt mnie nie usłyszy. Może wszyscy oni odeszli i Piękny Joe już nie żyje. W końcu zacznę krzyczeć. Nikt nigdy się nie dowie, gdzie jestem ani co się zdarzyło. Cisza. Noc. Colette śpi.

Potem, ściskając kurczowo rurę, obrócił się w rozpacz i usiadł. Napisał ten list do Colette, ten okropny, ten nikczemny, fatalny list. Nie walczył, nawet nie dyskutował, próbował okupić swoje życie bezpieczeństwem siostry, a może nawet jej życiem, jej czcią, swoją czcią. Myślał o innych więźniach, dzielnych ludziach skazanych przez tyranów za to, że mówili prawdę. Nie należał do ich grona. Siedział z otwartymi oczami, półprzytomny ze wstydu i upodlenia. Teraz rozumiał, że Colette oczywiście przyjdzie, przyleci do niego jak strzała, przekonana, że robi to dla niego. I nie powie nikomu, po prostu przyjdzie.

Siedział, słuchając własnego oddechu i bicia serca. Siedział tak prosto, z lekko rozstawionymi nogami, i ta postawa nagle przywiodła mu na myśl wspomnienie pierwszych dni, kiedy przygotowywał się do święceń i zanurzony w czymś, co wtedy wydawało mu się ciemnością, poświęcał długie godziny medytacji. Nikt mu nie powiedział, czego ma się spodziewać ani nawet w jakim kierunku mają iść jego wysiłki. A gdybym miał wizje, powiedział ojcu Bellowi. Rób, jak uważasz, powiedziano mu. Możesz klęczeć, możesz siedzieć, możesz stać. Klęczeć, siedzieć, stać, klęczeć. Kato automatycznie pochylił się do przodu i ukląkł na podłodze. Położył

rurę ostrożnie i bezszelestnie koło siebie i wpatrywał się w doskonałą ciemność. Zobaczył Colette, jak spogląda na niego z wyrazem niezmiernej czułości, a potem ze smutkiem odwraca głowę. Z pełnym napięciem i skupieniem spokojem transformacji twarz Colette zamieniła się w twarz Odkupiciela, a Odkupiciel miał świetliste, ogromne oczy kota, wpatrzone w niego w ciemności, choć dookoła pełno było jaskrawego światła. I Kato widział włosy rozwiane wokół ukochanej głowy i kształt brody. I miał wyraźne, intensywne uczucie, że nie jest sam.

Kato wiedział, że te obrazy to po prostu halucynacje. Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie czuł i nie zaznał pustki wizji, fałszu pocieszenia, jakie niesie ich namacalna obecność. Zdradził swoją siostrę. Niedługo może umrzeć albo będzie żył w wiecznej hańbie. Napisał list, dokonał czynu, istnieją dowody przeciwko niemu. Przyszły mu na myśl pewne słowa: Bóg jest autorem wszystkich czynów. I pomyślał: ale Boga nie ma. Tylko te obrazy, tylko czyny i ich konsekwencje, i śmierć. Panie, zmiłuj się. Chryste, zmiłuj się. Panie, zmiłuj się. To nie modlitwa – pomyślał – i ja nigdy się nie modliłem. Jest tylko grzech i nic nie może go zmienić ani odmienić; tylko nasz grzech, który jest wstrętniejszy od wszystkiego, co znamy i możemy zrozumieć, ponieważ składamy się z kłamstw.

Zatoczył się, oparł jedną ręką o ziemię i dalej klęczał. Nie ma Boga. Nie mam nic. Jestem niczym. Bóg jest autorem wszystkich czynów. Nie ma Boga. Panie, zmiłuj się. Jestem zbrodniarzem. Nie ma nadziei. Nie ma tu nikogo. Jest przepaść. Znowu się zatoczył. Potem, opierając ręce o podłogę, położył się twarzą do ziemi. Nie ma Boga, pomyślał i poczuł, że po raz pierwszy naprawdę doświadcza tej zdecydowanej prawdy; a wraz z tym doświadczeniem nadeszło jakieś niezwykle załamanie, jak gdyby podcięto mu wszystkie struny i ścięgnię, i leżał tak bez sił, jak człowiek, którego niespodziewanie zaskoczyła śmierć.

Na półce paliła się świeca i płomień lekko chybotał w przeciagu, jak prawie nieruchomy tancerz, który spokojnie porusza jedną stopą. Colette i Piękny Joe siedzieli na łóżku.

– Colette. – Joe wyciągnął otwartą dłoń w jej kierunku. Potem delikatnie opuścił rękę na jej kolano. Wzdrygnęła się. – Pozwól mi się dotknąć. Mów do mnie „Joe”, dobrze?

– Joe.

– Boisz się mnie?

– Tak.

– Boisz się seksu?

– Tak.

– Kochałaś się już kiedyś?

– Nigdy.

Joe cofnął rękę.

– Nigdy jeszcze nie spotkałem takiej cizi jak ty. Jesteś... jesteś... rzadkością.

– Joe – powiedziała Colette. – Nie chcę, żeby Katonowi się coś stało. Chcę, żeby go uwolniono. Nie muszą trzymać nas obojga. Przyszłam po to, żeby jego uwolniono. Czemu tego nie zrobią? Z pewnością ten, kto dał te pieniądze, dałby je i za mnie.

– Henryk Marshalson. Kapujesz?

– To Henryk zapłacił okup?

– Tak, i zapłaci jeszcze dużo więcej, zanim wyciśniemy go do końca.

– Ale czy nie możecie teraz wypuścić Katona? Za okup wystarczę ja.

– Nie jesteś tu dla pieniędzy – powiedział Joe.

Colette odwróciła wzrok. Spojrzała na niski stół, gdzie Joe jeszcze raz odłożył nóż wyjęty z pochwy. Nóż błyszczał przedziwnie, jakby był zrobiony z jakiegoś cudownego metalu, który jest źródłem światła. Ostrze świeciło jak płomień. Rozsypane banknoty słały się dywanem po ziemi.

– Colette – powiedział Joe. – Chcę, żebyś się oddała. Nie chcę się z tobą bić.

– Oddała się.., tobie?

– Tak.

– To znaczy... nie komuś innemu?

Joe przez chwilę milczał. Potem zdjął okulary i położył je na stole obok noża. Twarz jego miała wyraz znużenia.

– Seks jest taki przyjemny, Colette. Kobięce ciało, sposób, w jaki się porusza...

– A jeśli ci się oddam, to czy uwolnicie Katona?

– Może. Tak, to może pomóc. Mógłbym się wściec, mógłbym cię zmusić, boisz się mnie. Niektórzy mężczyźni to lubią. Uważaj, żebym się nie rozżościł. Spróbuję pomóc twojemu bratu. Ale musisz dać. W końcu jesteś bezbronna, jesteś uwięziona. Mógłbym cię zmusić, każdy by mógł. Jesteś tylko dziewczyną. Nie chcesz chyba mieć kłopotów. Chyba nie chcesz, żebym pokieraszował ci twarz? Mógłbym ciachnąć cię tym nożem. Umiem nim machać tak, żeby cięcie zostało i blizny nigdy nie znikły. Wiesz?

Colette zrobiła wysięk, żeby się obrócić i spojrzeć na niego. Bez okularów wydawał się taki zmęczony, taki młody, taki chłopięcy. Zmrużył oczy, odparowując jej spojrzenie, a potem lekko się uśmiechnął, jak gdyby grał jakąś rolę, i potrząsnął gładkim hełmem włosów.

– Jest w tym coś z Pięknej i Bestii, prawda? Wiem, że nazywają mnie Piękny Joe, ale w porównaniu z tobą jestem bestią. Podobam ci się, Colette?

– Żal mi ciebie – powiedziała.

– Nie chcę twojej cholernej litości. Czemu nie weźmiesz mnie za rękę? Spójrz, znowu ci podaję.

Colette wzięła go za rękę i jęknęła z bólu, bo gwałtownie wykręcił jej dłoń. W oczach jej pojawiły się łzy, łzy bólu, strachu i bezsily. Od jakiegoś czasu miała w głowie jedną tylko myśl. Tak czy owak zostanie zgwałcona, ale jeśli istnieje jakaś szansa, żeby się targować, zamienić własne poddanie się w znaczące działanie, musi ją odkryć i wykorzystać. Ma przed sobą ostatnie chwile wolności i musi inteligentnie je zorganizować. Czy Joe jest w stanie pomóc Katonowi? Jeśli Colette szybko zrobi to, czego żąda, czy kupi tym samym jego przyjaźń, czy nie zostanie po prostu przekazana jak pogardzana, potulna niewolnica, jednemu z mocodawców Joego? Skuliła się i skurczyła, ale wiedziała, że nie oprze się przed nożem. Lekki ból i zamieni się w bełkoczącą idiotkę, nie będzie w stanie myśleć, nie mówiąc o targach. Powiedziała:

– Słuchaj, Joe, oddam ci się, jeśli najpierw pozwolisz mi zobaczyć Katona. Chcę się upewnić, że nic mu się nie stało.

Joe zawahał się.

– Nie ma go tutaj.

– Nie wierzę ci. Chcę się z nim zobaczyć.

– Możesz to zrobić potem.

– Nie, przedtem.

– Nie możesz stawiać warunków – powiedział Joe. – Zdejmuj rajstopy.

– Proszę cię. Poczekaj. Porozmawiajmy, Joe. Nie znam cię. Trzeba się zaprzyjaźnić.

– Naprawdę tak myślisz? Przepraszam, że sprawiłem ci ból. Chyba nie bardzo bolało? Po prostu byłem zły, bo nie chciałaś dotknąć mojej ręki, tak jakbyś mną pogardzała.

– Nie pogardzam tobą. Ale wolałabym, żebyś nie miał nic wspólnego z tymi okropnymi ludźmi. Czy nie możesz wydobyć nas stąd, uratować nas, Katona i mnie? Zrobiłabym wszystko, czego tylko zechcesz.

– Zrobisz to i tak. Mogę cię pocałować... Colette?

Colette siedziała sztywno i nie protestowała, kiedy chłopiec się nad nią pochylił. Gorące, mokre, lekko drżące wargi dotknęły jej ust, cofnęły się, a potem znowu się zbliżyły i jego ramię objęło jej ramiona. Zamknęła oczy.

– Obudziłaś się – powiedział, znowu się wycofując. – Pragniesz mnie. Pozwól mi się dotknąć tutaj, tylko dotknąć. Czy pragnęłaś kiedy mężczyzny?

– Nie.

– Nie będę cię zmuszał. Chcę, żeby wszystko odbyło się, jak trzeba, chcę, żeby było wspaniale. Muszę cię mieć, Colette, teraz, dzisiaj. Kiedy mężczyzna zaczyna, nie może się zatrzymać. Ale jeśli tak chcesz, nie będziemy się spieszyć. Tak będzie lepiej. Po prostu przyjemnie jest tak cię dotykać. Jesteś śliczna, śliczna... nigdy nie miałem takiej jak ty... pragniesz mnie, Colette, prawda? Nie czujesz, to seks, nic nie czujesz?

Colette oddychała głęboko. Nieruchomy tancerz poruszał się, pokój wibrował, wypełniony bezgłośnym brzęczeniem. Z głębi jej fizycznej istoty, której nigdy jeszcze nie odczuwała tak mocno, wydobyło się westchnienie. Odczuwała jednocześnie odrazę, niesmak, grozę, przerażenie i podniecenie.

– Pozwól mi dotknąć się tutaj.

– Nie.

– Nie próbuj ze mną walczyć. Pokaż mi piersi, tego się nie boisz. Niedługo rozpalisz się tak jak ja.

– Joe, posiedźmy spokojnie – powiedziała Colette. – Chcę się z tobą zaprzyjaźnić, nie będę z tobą walczyć, tylko... jeszcze nie... Joe, czy obiecasz, że wydobędziesz stąd Katona?

– Tak.

– Obiecasz?

– O, do licha z Katonem. Tak, tak. Jakaś ty cudowna, jaka boska. To przyjemne, prawda?

Pozwoliła mu rozpiąć przód sukienki i wsunąć jedną rękę na pierś. Sięgając do tyłu, odpięła stanik.

– Tak jest lepiej. Poczekaj. Och, Colette. – Joe zerwał się i ściągnął koszulę. Rozpiął suwak dżinsów. Potem bardzo delikatnie znowu położył jej rękę na piersi. – Widzisz, potrafię być spokojny. Nie jestem dzikim zwierzęciem, jeszcze nie. To miłe, prawda? Połóż rękę tutaj. O, dobrze. – Przyciągnął jej rękę do piersi i poczuła, wśród masy złocistych włosów okrywających jego ciało aż do pasa, schowane brodawki i gwałtowny łomot serca.

– Czujesz moje serce. Ja czuję twoje. Jesteś podniecona.

– Joe, gdzie jest Kato? Joe, drogi Joe, pomożesz nam?

– Mówiłem, że pomogę. Powiedziałaś, drogi Joe. Lubisz mnie?

– Tak. – Nie kłamała. Była ogromnie wzruszona i było jej ogromnie przykro.

– Chciałbym ci opowiedzieć o swoim życiu, tylko nie teraz. Potem. Tak przyjemnie jest potem, Colette, kiedy człowiek czuje, że był w niebie, i jest tak miękko, i tak słabo, i tak cudownie, i leży się koło siebie, i tyle jest czułości...

– Może opowiesz mi o swoim życiu teraz... chciałabym wiedzieć...

– Ojciec mnie prał, bracia mnie prali, a moja matka... Boże, kobiety to ścierwa... to nie znaczy, że ty... Colette, kochana, zdejmij rajstopy, pokaż mi tylko, że chcesz. Nie będę cię popędzał, nie będę cię zmuszał, wiem, że to pierwszy raz. Nie uwierzyłbym żadnej innej, ale tobie wierzę. Wiesz, Colette, że to trochę boli, pierwszy raz?

– Tak. – Colette powoli zsunęła pantofle i zaczęła ściągać rajstopy. Drżała gwałtownie na całym ciele. Rzuciła rajstopy na podłogę i obciągnęła kolana spódnica.

– Jesteś jak mała dziewczynka.

– Joe, a jak ci inni, ci inni ludzie... czy oni przyjdą? Och, Joe, tak się boję, nie boję się ciebie, ale ich.

– Oni? Ach, oni! Słuchaj, Colette, powiem ci prawdę. A potem będziemy się kochać, tak. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Nie ma tu nikogo innego, jestem tylko ja.

– Tylko... ty?

– Tak, udawałem, że to gang. Wystarczyło, żebym to powiedział, a oni uwierzyli. Ale się z nich śmiałem, Jezu Chryste! To było takie cholernie łatwe. Wszyscy trzęśli się ze strachu jak galareta. Henryk Marshalson przyniósł tę całą forszę, a twój brat skamieniał ze strachu i siedzi tam cicho jak mysz! Boże, ludzie to tacy piekielni tchórze. Pokaż im tylko nóż, a robią, co chcesz.

– Ale... to znaczy... nie ma żadnego gangu, w ogóle nikogo innego, to znaczy, zrobiłeś to wszystko sam, porwałś Katona, zmusiłeś go do napisania tego listu, zdobyłeś pieniądze za okup...?

– Tak. Czy nie jestem wspaniały?

– Ale ten Murzyn, mówiłeś...

– Nie ma Murzyna, nie ma nikogo... Widzisz ten tranzystor, czasami go nastawiałem, zagraniczne stacje, żeby się zdawało, że ktoś rozmawia. Chryste, jak ja się śmiałem!

– Więc to wszystko oszustwo, żart?

– Tego nie powiedziałem...

– Ale gdzie jest Kato? Musisz mi powiedzieć, natychmiast musisz go wypuścić... gdzie jesteście?

– Później, później, nie denerwuj mnie, ze mną trzeba uważać, wiesz, jaki jestem.

– Musisz oddać pieniądze i...

– Dość, koteczku, nie miaucz. Jasne, że nie mam zamiaru ich oddawać, i lepiej niech o to nie prosi. Pracowałem na tę forszę. Teraz jestem ważny, wyrosłem na ważnego faceta, i zrobiłem to sam. Trzeba było na to cholernych nerwów, nie wiedziałem, że to będzie takie łatwe. Teraz się mnie boi, a zresztą może je sobie darować, no nie? Jestem wolny i chcę być dalej wolny, i robić to, co mi się podoba.

– Ale nie zrobiłeś krzywdy Katonowi? Och, pozwól mi się z nim zobaczyć...

– Nie, nie, tylko napędziłem mu takiego stracha, że zzieleniał i stracił głowę. Jak łatwo ludzie głupieją. Musiałem mu zapłacić za to, że ukradł mój rewolwer, wrzucił go do rzeki, od tego wszystko się zaczęło. Ale nie wiedziałem, że tak piekielnie łatwo będzie nim kierować. Gdyby choć trochę się bronił, powiedziałbym mu, nic bym mu nie zrobił, lubię go, to mój przyjaciel. Ale był taki głupi i taki łagodny, potulny jak gołąb. Zmusiłem go, żeby napisał do Henryka i kazał przysłać cię z pieniędzmi, a potem pomyślałem, że nie mogę się cię doczekać, więc kazałem mu napisać do ciebie i ty od razu przysłałaś, wiedziałem, że przyjdiesz! Widzisz, ty jesteś dla mnie ważniejsza od pieniędzy. Rozumiesz to? Zdejmij te rzeczy z siebie, Colette, moja droga, kochana... i spójrz na mnie teraz, spójrz. Tylko o to chodzi. Tak jest dobrze. Zostaniesz moją dziewczyną, Colette, dobrze? Będę dla ciebie dobry, będę na ciebie harował. On chciał, żebym pojechał z nim na północ, więc wszyscy pojedźmy i żyjmy z tych pieniędzy, dlaczego nie, a ty będziesz moją dziewczyną.

Colette zamknęła oczy i położyła się na wznak. Sukienka napięła się i rozdarła.

– Będiesz moją dziewczyną, Colette, prawda, moja słodka, powiedz: tak.

– Tak.

– I pojedziemy, i będziemy sobie żyli na północy, i ja będę pracował, nauczę się czegoś, tak jak on chciał, jestem bystry, dla ciebie zrobię wszystko...

– Tak.

– Nie bądź taka napięta. Spójrz na mnie. Chcę, żebyś to zobaczyła.

Colette otworzyła oczy. Ciało jej zeszywniało ze wstrętu, miała uczucie, że jest cienka i napięta jak struna. Dostrzegła zaczerwienioną, wykrzywioną grymasem twarz Joego, rozchylone wilgotne usta, groźnie błyszczące oczy.

– Colette, ach, Colette, kochanie, prędko... przysięgasz, że nigdy nie robiłaś tego z kim innym?

– Tak.

– Rozluźnij się, do licha, nie broń się, chcesz, żeby cię bolało?

Colette zaczęła nagle szarpać się pod nim. Kolano jej uderzyło go w brzuch, ręce chwyciły za włosy, próbując odciągnąć gorącą, zaślinioną twarz. Ręka chłopca spoczęła ciężko na jej ustach i dziewczyna wpiła się

zębami w jego ciało. Zobaczyła nad sobą błyszczący łuk noża i dziwna martwa linia, a potem palący ból przecięły jak nić jej policzek. Zaczęła krzyczeć.

Kato podniósł się i usiadł na łóżku. Przez dłuższy czas leżał na podłodze. Od strony, którą opierał się o ziemię, bolała go szczeka. Trząśnięcie z zimna. Automatycznie naciągnął koc na ramiona. Otaczał go kompletny mrok. Wszelki dawny mrok, wydawał się przy tym szary. Nie było nic. Każda inna nicość pełna była utajonego życia, wszystkie inne pustki wypełnione gruzem. Teraz wszystko poddało się i padło i pustka nie była nawet przestrzenią. Kato siedział, oddychając. Siedział i ostatnia iskierka żywego ducha, jaka w nim pozostała, czekała, była czujna. Był napięty, wibrował, jak gdyby musiał przebrnąć całą galaktykę bytu, żeby być tak pustym, tak spokojnym, tu i tylko tu.

Potem poczuł błysk światła, ale natychmiast zrozumiał, że to nie światło, tylko głos. Gdzieś, niezbyt blisko, ale zupełnie wyraźnie, krzyczała kobieta. Zanim rozpoznał, kto tak woła, wiedział, że to Colette. Zerwał się, nagle nieporadny, ogłupiały, szalony, wściekle mamrocąc do siebie jakieś słowa. Spodnie opadły mu poniżej kolan i zrzucił je na ziemię. Podbiegł do drzwi, zaczął walić, szarpać i po raz pierwszy od chwili uwięzienia zaczął krzyczeć. Wczepił się w drzwi, szarpiąc za klamkę, a potem próbując znaleźć szparę na palce. Podbiegł z powrotem do łóżka, w rozpacz szukał kawałka rury, ale zostawił ją gdzieś na podłodze. Potknął się o nią, podniósł i popędził do drzwi, dalej krzycząc, wyjąc, bez słów, w zwierzęcym szale. Rąbnął ołowianą rurą w zamek, zaczął walić weń i w drewno dookoła. Potem, nie zważając na nic, oszalały, wbił rurę złamanym końcem w szparę między drzwiami i futryną i podważył drzwi. Osłabione ciało siłowało się z dźwignią i kurcz bólu przeszył mu wnętrzności. Cofnął się i znowu przymierzył, przyciskając grubszy koniec rury do ściany. Rozległ się trzask rozrywanego i pryskającego drewna i Kato poczuł, że zamknięte drzwi zaczynają wyrywać futrynę z tynku. Wepchnął swoje narzędzie głębiej w rozszerzającą się szparę, znalazł zaczepienie dla palców i futryna z częścią belki nadproża odczepiła się razem z drzwiami, zamkiem i całą resztą. Nie krzycząc już, ale skowycząc ze strachu i napięcia, Kato szarpał się, ale wciąż nie mógł wyjść. Na nogi posypał mu się tynk. Wcisnął ramię, a potem nogę w szparę między drzewem i ścianą. Belka nad nim zaczęła odrywać się dalej, szpara poszerzyła się i przepchnął się na zewnątrz. Trzymając rurę za cieńszy koniec, posuwał się naprzód potykając wśród ciemności, która nie była już tak gęsta. Wymacał

ręką zakręcił muru, minął go i z daleka zobaczył źródło światła. Znowu usłyszał krzyk Colette.

Kiedy dotarł do pokoju, zobaczył najpierw dziwny, długi, szarawy prostokąt, którego nie potrafił rozpoznać; była to ściana widziana przez na wpół otwarte drzwi. Potem oczy poraził mu blask świeczki. O mało nie upadł, wreszcie zobaczył przed sobą jakiś pulsujący różowy kłęb złożony z dwóch ciał ludzkich, które wiły się i walczyły ze sobą. Zobaczył krew na twarzy Colette, jej usta otwarte w okrzyku. Ktoś krzyczał, to był on. Zobaczył mężczyznę z nożem i nigdy już potem nie był pewien, czy w tym momencie go rozpoznał. Grubym końcem metalowej rury uderzył z całą siłą w tył głowy Joego i upadł na ziemię.

– Notabene, znalazłem te szkice Landseera – oświadczył Henryk. – Były w skrzyni w galerii. Włożyłem je do teczki razem z Orpenem.

– Dobrze – powiedziała Gerda. Zaznaczyła pozycję w notesie. Henryk siedział z matką przy stole w zalanej słońcem Sali balowej. W tłoku, choć metodycznie, zestawiono tam sterty obrazów, zwinięte dywany, różne meble, kilka serwisów obiadowych i masę drobnych *objets d'art*.

– A netsuke są wszystkie w tym pudełku.

– Każde zawinięte oddzielnie?

– Tak. Nie chciałabyś zachować któregoś, mamó?

– Nie, dziękuję. A więc ponumerowaliśmy już prawie wszystko. Masz spisy?

– Tak, w trzech egzemplarzach.

– Lepiej by było, gdybyś mi je oddał.

– Jesteś cudownie sprawna.

– Furgonetki od Sotheby'ego powinny być tu we wtorek, a wszystko, co zostanie, pójdzie na licytację. Narzędzia ogrodnicze są w stajniach. Będiesz, tu chyba jutro rano? Licytator znowu ma przysłać swoich ludzi.

– Tak, wiem. Dotychczas nie wydali foldera o sprzedaży domu. Nic więcej nie chcesz, mamó? Wiem, że masz dosyć mebli, ale może coś z drobiazgów, z tych przyjemnych zwierzątek miśnieńskich albo kieliszków...

– Nie ma dosyć miejsca. Poza tym myślę, że im prostsze urządzenie, tym lepsze. Zawsze było tu za dużo rzeczy. Zresztą tam nie będę miała Rhody, więc kto mi będzie ścierał kurz?

– O tak, Rhoda... więc nie?

– Odchodzi do córki pani Fontenay, wiesz, której, tej z...

– Czy to znaczy... że już odeszła?

– Tak.

– Chciałem jej coś dać.

– Cóż, przecież jeszcze możesz...

– Kto gotował wczorajszy obiad?

– Ja.

– Cieszę się, że w końcu postanowiłaś zamieszkać w Dimmerstone. A może chciałabyś zabrać jakieś rośliny z ogrodu? Jestem pewien, że Bellamy...

– Nie, wolałabym zacząć od początku. Tak będzie ciekawiej.

– Kiedy chcesz się przenieść? Załatwię furgonetkę.

– Wszystko już załatwione, Giles przewiezie rzeczy swoją ciężarówką, no i paru budowlanych przyjdzie pomóc.

– Giles? A... Gosling.

Henryk wstał i przeszedł leniwie pod wielkie przesklepione okno wychodzące na południe. Dokładnie naprzeciw niego, po drugiej stronie niewielkiej doliny, na dnie błękitu nieba, po którym szybko sunęła procesja małych złocistych chmurek, żeglował czarny granitowy obelisk. Za nim falowały lasy, których bogata zieleń kłębiła się w ostrym wietrze. Jak na obrazie Claude'a, wśród promiennej trawy obok połyskującego białą strumienia torowały sobie drogę dwie małe figurki: Lucjusz i Stefania. Olśniony widokiem Henryk zawrócił do matki, przewracając stos sztychów Cotmana.

– Do diabła!

– Uważam, że powinieneś pójść do Leśnej Zagrody i zobaczyć się z Colette...

– Nie mam czasu – powiedział Henryk.

– Nie musisz długo siedzieć. To chyba sprawa zwykłej grzeczności.

– Przecież nic się jej nie stało, prawda?

– Tak, oczywiście. Tyle, że ma bliznę na twarzy, która nigdy nie zniknie.

– Cóż, myślę, że to nie ma większego znaczenia.

– Dla młodej dziewczyny to może mieć znaczenie. I gwałt to też niezbyt miłe przeżycie.

– Nie została zgwałcona.

– W każdym razie wyobrażam sobie, że przeżyła wstrząs.

– I ja też. Nie masz pojęcia, jak strasznie się czułem tej nocy, kiedy stałem w tej potwornej ciemności i nasłuchiwałem, a potem nikt nie przyszedł i policja powiedziała...

– I uważam, że powinieneś również odwiedzić Katona.

– Jest w Londynie. Tak czy owak wątpię, czy zechce się ze mną zobaczyć. Na jego miejscu bym nie chciał.

– Czy wiesz, że ten nikczemny chłopak zginął?

– Tak.

– Kto ci powiedział?

– Lucjusz. A kto tobie?

– John Forbes. Przypuszczam, że to John powiedział Lucju- szowi. Henryku...

– Tak.

– Chciałabym, żebyś okazywał Stefanii więcej uwagi.

– Mamo, proszę cię, zostaw Stefanię w spokoju.

– Przecież nic takiego nie mówię. Po prostu uważam, że powinieneś być dla niej lepszy.

– Nie mam czasu.

– Wygląda na to, że nie masz czasu, żeby być dobrym dla nikogo.

– Cóż, jestem dla niej dobry. Ktoś z boku nie może zrozumieć, na czym polega dobroć. Stefania wie, że jest mi droga, i dobrze jej z tym, jest mocniejsza, niż ci się wydaje. Nie możesz sobie wyobrazić, jak wielkie przeżyłem napięcie. Cała ta koszmarna noc, czekanie w ciemności i policja powiedziała...

– Uważam, że powinieneś pójść do Leśnej Zagrody...

Henryk spoglądał na matkę; duża, spokojna i ostentacyjnie łagodna, wydawała mu się taka sama, jaką pamiętał z przeszłości. Widział we wspomnieniu jej obraz cofający się coraz bardziej jak obrazy w przeciwległych lustrach. Matka, chłodna i niezwykła, zawsze miała rację. Dzisiaj ubrana była w kostium z niebiesko-czarnego tweedu, a gęste ciemne włosy, starannie wy szcztokowane, rozpuściła na ramiona; jej duża, gładka i blada twarz, odrobinę nadašana pod wpływem wymuszonego spokoju, nosiła nieomal wyraz zadowolenia z siebie.

Gerda spoglądała na syna. Smukły i napięty, ze splecionymi nogami i ramieniem uniesionym pod brodę, wykrzywił usta z wyrazem szyderczej wrogości; wokół rozpalonych ciemnych oczu rysowały się nieufne zmarszczki, a kręcone włosy pod wpływem irytacji i zmęczenia zmierzwiły mu się nad czołem.

– Słuchaj, mam, nie pójde do Leśnej Zagrody. Mam tutaj kilka spraw do załatwienia. No i chcę jechać zaraz, jak najprędzej.

– No dobrze...

Zapanowała chwila ciszy, w której Henryk stukał butem w smukłą nogę komody w stylu Sheratona.

– Czy Lucjusz już zdecydował, co zabiera ze swojego pokoju?

– Tak, sądzę, że tak – powiedziała Gerda. – Mam tu jego spis.

– Co zamierza ze sobą zrobić?

– Na razie jedzie do Audrey.

– Aha.

– Nawiasem mówiąc, co się stało z tą całą masą pieniędzy? – zapytała Gerda.

– Jaką masą? Ach, pieniędzy za okup. Są w Londynie, w mieszkaniu.

– Czy nie lepiej złożyć je w banku?

– Tak, tak, tak, nie mogę myśleć o wszystkim naraz.

Henryk znowu podszedł do okna. Nagle na tarasie tuż przed jego oczyma wyrósł duży kwiecisty kapelusz Stefanii. Pokonała ciągnące się od trawnika schody i stanęła zdyszana, z zaczerwienioną twarzą, nieświadoma, że ktoś ją obserwuje. Poprawiła kapelusz na głowie, a potem potrząsnęła ramionami i ruszyła lekkim, sprężystym krokiem ku oknom salonu. Obserwując ją, Henryk wiedział, że Gerda, która z kolei obserwuje

jego, wyobraża sobie, że żywi dla swojej narzeczonej coś w rodzaju pogardy,

– Jest Stefania. Będę dla niej dobry.

– Namów ją, żeby mniej paliła. I ubierała się prościej.

Henryk wyszedł i zamknął drzwi.

Gerda, nie podnosząc się z miejsca, rozpostarła papiery na stoliku z różanego drzewa. Potem złożyła na nich dłonie, jedną na drugiej. Miała zamiar ofiarować Rhodzie kilka drobiazgów ze swojej biżuterii, ale tego nie zrobiła. Chciała ucałować ją na pożegnanie, ale tego też nie zrobiła. Spędziły razem z Rhodą tyle lat. A teraz nigdy się już nie zobaczą, ponieważ Rhoda nie była przyjaciółką, tylko służącą.

– Halo, Stefo, podoba mi się twój kapelusz.

– Ach, jak to dobrze.

– To nowy, chyba się nie mylę?

– Tak, kupiłam go wczoraj w Laxlinden.

Stefania codziennie kupowała coś z ubrania.

– Nie jestem pewna, czy pasuje do tej sukni, ale strasznie mi się podoba.

Stefania zdjęła kapelusz. Miała na sobie szydełkową sukienkę w pawim kolorze, która podkreślała jej okrągłe piersi i której odbłask pozostawiał sinawe smugi w jej okrągłych oczach. Najwyraźniej była też wczoraj u fryzjera i miała świeżo ufarbowane włosy.

– Miło ci było z Lucjuszem?

– Tak. To taki miły człowiek.

Usiedli na ławeczce, pod żółtą, upstrzoną muszelkami syde-rytową ścianą domu, która odwzajemniła im się ciepłem słońca. Henryk pomacał ręką za plecami i dotknął ściany. Tymianek na tarasie pokrył się już drobnymi główkami różowych pączków. Kilka zdrowych młodych pokrzyw zakorzeniło się wśród kamieni. Spojrzał w bok na Stefanię, na jej cudownie wyrazisty zadarty nosek i małe wydęte usta. Mrugała oczyma w słońcu pogodnie jak kot. Czy uda mi się kiedyś ją poznać? – pomyślał. Czy kiedykolwiek uda mi się kogokolwiek poznać dobrze? Czy jest na świecie człowiek, który by znał dobrze kogoś innego? Czy naprawdę dobrze znałem Russa i Bellę? Oczywiście to są Amerykanie, zupełni cudzoziemcy,

to zagadka, z nimi to niemożliwe. Żyło im się razem doskonale, ale nie znali się nawzajem, nie patrzyli sobie nawzajem w oczy rozumiejąc. Kato? Nie.

– Wzdychasz.

– Zastanawiam się, kiedy cię nareszcie poznam.

– Och, kochanie, nie...

– Nie męcz mnie, Stefo.

– Czy myślisz, że będziemy szczęśliwi?

– Nie dążę do szczęścia.

– Czy to wszystko się spełni?

– Nasze małżeństwo? Tak, rozpocząłem przygotowania.

– Nie widzę przyszłości, wszystko jest jak biała plama. To tak jakby spoglądać w kryształową kulę i nie widzieć nic, jak gdyby czekała nas śmierć.

– W kryształowych kulach nie ma czego szukać prócz własnego odbicia. Ja również nie widzę przyszłości, ale to nie ma znaczenia. Takie już jest małżeństwo, Stefo, to dziwna sprawa. Nie ma się najmniejszego pojęcia. Przypuszczam, że wszyscy ludzie, którzy się żenią, czują, że to nierealne i praktycznie niemożliwe.

– Tak się boję Russa i Belli.

– Nie bój się. Będą tobą zachwyceni. Bella weźmie cię pod swoje skrzydła. Nasz domek na pewno ci się spodoba. Będziemy żyli skromnie. Zobaczysz, zrozumiesz. Tak musi być, Stefo. Nie mam dość hartu, żeby żyć jak święty, a w każdym razie nie ma o tym mowy, ale dzięki Bogu potrafię unikać większych pokus. Będziemy żyli biednie i zwyczajnie.

– Nie jesteś zwyczajny. Jesteś zwiewny jak duch. Ja jestem zwyczajna. Nie mogę się domyślić, dlaczego mnie lubisz.

– Nie lubię cię. Kocham cię. Jesteś dla mnie jak omen, znak. Zawsze kierowałem się znakami. Nigdy nie miałem szczęścia do dziewczyn, za którymi ganiałem. A tyś po prostu zjawiała się na mojej drodze, spadłaś z nieba.

– Wolałabym nie być zwyczajna, nie chcę być zwyczajna, chcę...

– Cóż, wyjdiesz za mnie, który jestem nadzwyczajny, czy to nie wystarczy? Większość kobiet zadowala się życiem w cieniu swoich mężów.

– Uważasz, że jestem głupia.

– Powiedziałaś, że jesteś zwyczajna. Po prostu idę za twoją myślą. Nie wyczuwasz ironii? Och, Stefo, spróbuj choć raz być wesółą, czemu nie potrafisz pośmiać się, pożartować? Siedzimy obok siebie jak dwoje umarłych.

– Uważasz, że brak mi poczucia humoru, że jestem głupia, i tylko dlatego mnie lubisz, że jestem prostą kobietą. Wiesz, że nie mógłbyś ze mną dyskutować jak z...

– Dyskutuję z tobą przecież, ty idiotko!

– Nie, to nieprawda, po prostu wbijasz we mnie szpilki... jak gdybym była... jakimś owadem.

– Nie zajmuję się wbijaniem szpilek w owady. Poczekaj, czy chciałabyś jeszcze raz je zobaczyć, pokazać ci?

– O tak, koniecznie.

Henryk wyciągnął z kieszeni kopertę i wyjął dwa podłużne czerwone bilety lotnicze.

– Widzisz? Do Saint Louis przez Nowy Jork, pan i pani Marshalson. Przecież to dowód. Przyszłość jest tam, zagwarantowana. Kiedy samolot wystartuje, będziemy już po ślubie. Zobaczysz, że Nowy Jork ci się spodoba. Saint Louis też ci się spodoba, to dziwne miasto i jakie piękne. Nie chciałabyś zobaczyć Missisipi?

– Nie, och, mój drogi, chciałabym...

– Ach, przestań już, Stefanio, taki jestem zmęczony, miałem taką straszną noc, z czekaniem w ciemnościach na tych złoczyńców, jeszcze się z tego nie zdążyłem otrząsnąć. Nie mówiłem ci, jak to było, policja powiedziała...

– Henryk, proszę cię, nie powiesz nigdy nikomu, że nie byłam dziewczyną Sandy'ego? Matce ani Lucjuszowi?

– Nie...

– Ani Russellowi, ani Belli?

– Oni nie są ważni. Kiedy znajdziemy się w Ameryce, będziemy innymi ludźmi, wszystko to zniknie.

– Naprawdę nie masz pretensji, że nie byłam dziewczyną Sandy'ego?

– Och, przestań już. W pewnym sensie to Sandy właściwie przekazał mi ciebie.

– Tak to odczuwasz? Tak się cieszę.

– Nie rozumiem, dlaczego. Wygląda na to, że wszyscy w tym domu traktują Sandy'ego jako jedyny autorytet.

– Ale nie przestałam ci się podobać?

– Nie!

– Więc mnie pocałuj. Henryk pocałował ją.

– Twoje oczy są granatowe, a usta mają smak tytoniu.

– Dobrze. Wiesz, czuję się tak niezręcznie, czuję, że wszyscy się ze mnie śmieją.

– Nikt tu się nie śmieje...

– Henryk...

– Co, Stefcu?

– Ale nie pójdziesz do tej dziewczyny, Colette, przed naszym wyjazdem, prawda?

– Nie, nie, nie.

– Wiem, że z tym chłopakiem to straszna historia...

– Słuchaj, Stefo, muszę iść do stajni, sprawdzić spis narzędzi ogrodniczych.

Stefania poszła za nim schodami na górę, kołysząc zawieszonym na wstążce kapeluszem.

– Tak tu pięknie, tak wspaniale, że po prostu serce mi się kraje...

– Zostaw to, Stefo. Słuchaj, nasz ptaszek śpiewa naszą piosenkę.

Małe okrągłe chmurki poznikały i światło słoneczne stopione ze śpiewem niewidocznego skowronka pulsowało promienną energią z nieskazitelnego błękitu. W oddali zielona kopuła belwederu lśniła plamami srebra. Jezioro, ocienione pierzastymi wierzbami, rozciągało się jak długi płatek lazurowej emalii. Nad nim wznosiło się w stronę lasu pulchne zielone zbocze wzgórza. Wiatr ucichł i ponad okrągłymi głowami uspokojonych drzew widniała promienista, bladoszara wieża kościoła w Dimmerstone. Henryk patrzył na to wszystko i wydawało mu się, że ogląda własne myśli, własną istotę, może nawet własną rzeczywistość.

Tym gorzej dla rzeczywistości jako myśli; i z odległego dzieciństwa powróciła do niego ulubiona maksyma łacińska: *Solitudinem facio, pacem appello*. Nie, nikt we dworze się nie śmiał, Henryk postarał się o to. Trzeba to wszystko zniszczyć, zwinąć jak gobelin. Nic dziwnego, że nie może się porozumieć ze Stefanią. Na razie, na czas trwania tej pracy, będzie samotny i potępiony. Potem pomyślał: jak bardzo chciałbym być bohaterem, jak bardzo chciałbym uratować Colette. Naprawdę byłem bardzo odważny, tylko nikt o tym nie wie i nikogo to nie obchodzi.

– Kto wyprowadził volvo? – Stefania obróciła się ku stajniom, skąd żółty samochód wytoczył się na podjazd i zniknął.

– Sprzedałem go. Och, Stefanio, nie zaczynaj od nowa. Nie płacz. To tylko samochód!

– Nawet mnie nie spytałeś...

– Nie wiedziałem, że ci na nim zależy!...

– Nawet mnie nie spytałeś... był nasz, tak jak nasz dom... tak bardzo go lubiłam.

– Och, uspokój się, idzie Bellamy.

Ze stromych stopni tarasu wyłonił się nagle, jak z windy, zgnieciony kapelusz filcowy, a potem brunatna od wiatru twarz Bellamy'ego. Instynktownie tracił butem kępę pokrzyw i podszedł, dotykając ręką kapelusza.

– O, pan Henryk...

– Witaj, Bellamy, mamy piękny dzień.

– Mam dla pana list.

– Dziękuję.

Henryk wziął list i prędko go otworzył. Bellamy znowu zniknął w dole. Stefania poprawiała zapłakaną twarz w lusterku.

– Od kogo?

– Od architekta – powiedział Henryk. – Muszę się z nim zobaczyć w pewnej sprawie. Przepraszam cię, to nie potrwa długo. – Wszedł przez okno do salonu, a potem przez bibliotekę na taras po północnej stronie. Jeszcze raz dokładnie przeczytał list. Napisała go Colette – brzmiał następująco:

Drogi Henryku, muszę się z Tobą zobaczyć, proszę Cię, natychmiast, proszę Cię, przyjdź do Leśnej Zagrody, mam Ci coś pilnego do powiedzenia, muszę się z Tobą widzieć, proszę, przyjdź.

C.

W kwadrans potem Henryk, który popędził północnym podjazdem i przesadził bramę, stał dysząc pod drzwiami Leśnej Zagrody. Był spocony i czuł ostrą kolkę w boku. Wolałby tysiącrotnie, żeby dziewczyna do niego nie pisała. Ale oczywiście musiał się z nią zobaczyć, zobaczyć się i mieć to za sobą. Niech to diabli! Stał przy drzwiach, próbując opanować zadyszkę, i po chwili zapukał.

Drzwi otworzył John Forbes. Wydawał się zaskoczony i niezbyt ucieszony.

– O... dzień dobry, Henryku. Czym możemy służyć?

– Czy mogę zobaczyć się z Colette? – zapytał Henryk.

– Cóż... jest trochę wytracona.

– Ale czy mogę ją zobaczyć?

– Zapytam jej – powiedział John Forbes, zostawiając Henryka przy drzwiach. Po chwili wrócił i poprosił go do bawialni. – Nie siedź długo.

Henryk lekko zapukał i wszedł.

Oglądał ten pokój po raz pierwszy od wielu lat. Był taki sam jak wtedy, gdy siadywali tu z Katonem, chrupiąc frytki i popijając coca-colę. Pamiętał dobrze jego gołębią barwę, szare fotografie z Grecji, szarą porcelanę kopenhaską i sztuczne kwiaty w głębi kominka. Jak w wizji powróciła do niego spokojna słodycz tego niewinnego pokoju. A teraz pod oknem, z nogami na podnóżku, okryta do połowy kocem w niebiesko-białą kratę, leżała w fotelu Colette. Wyglądała bardzo dziwnie, starsza, wyraźnie blada, i w pierwszej chwili Henryk pomyślał, że ma obcięte włosy. Ale ściągnęła je tylko surowo do tyłu i zaplecione w warkocz wcisnęła pod poduszkę. Jej wypukłe czoło było zmarszczone, prawie porysowane od wysiłku, a źrenice rozszerzone. Miała na sobie rodzaj kraciastej bonżurki i pod spodem koszulową bluzkę w paski. Kiedy wszedł, zasłaniała twarz jedną ręką, a kiedy ją opuściła, zobaczył na jej policzku gruby opatrunek przyklejony plastrem.

Żadne z nich się nie uśmiechnęło. Colette miała smutną minę i Henryk poczuł, że sam też smutnieje, jak gdyby patrzył w lustro. Siedziała

plecami do okna, a on jak gdyby wyczuwał raczej niż widział ogromny niepokój w jej oczach. Poczł, jak udreka przedziwnie łączy się u niego z odprężeniem, jak gdyby człowiek wyczerpany znajdował ulgę, padając na ziemię. Podeszedł do niej i ujął jej wyciągniętą rękę. Przywitali się.

– Dziękuję, że tak prędko przyszedłeś.

– Och, drobnostka.

– Siadaj.

Henryk przyciągnął krzesło.

– Nie za gorąco tutaj? Może wyłączyć kominek? Zimno mi i ciągle mi się zdaje, że chyba nigdy się już nie ogrzeję.

– Nie, tak jest doskonale. Jak się czujesz?

– Och, całkiem nieźle. Słuchaj, chciałabym z tobą pomówić.

Henryk siedział sztywno, powstrzymując oddech i wpatrując się w Colette.

– Chodzi o Katona.

– A... – Henryk odwrócił wzrok i zaczął studiować fotografie Partenonu. Słyszał, jak z ust wyrzywa mu się absurdalne westchnienie.

– Muszę mówić prędko, bo tatuś się zjawi... widzisz... no, nie chcę być natrętna... jesteś jedynym człowiekiem, z którym mogę mówić; chcę, żebyś pojechał i zobaczył się z Katonem.

– Oczywiście – powiedział Henryk – zrobię wszystko, czego tylko zechcesz.

– Widzisz... obawiam się, że Kato może zwariować.

– Ale daj spokój, to niemożliwe.

– Czy wiesz, że Joe zginął?

– Tak.

Przez chwilę Colette milczała, zagryzając wargę. Żeby tylko nie płakała – pomyślał Henryk. A potem pomyślał, tak, niech płacze, niech gorzko płacze, a ja będę płakał razem z nią.

Nie rozplakała się.

– Nie chodzi o to, że Kato się załamał, w każdym razie jeszcze nie. Był cudowny. Czy wiesz, że poszedł do pani Beckett i sam jej o wszystkim powiedział?

– Pani Beckett?

– Matki Joego.

– To ładnie z jego strony.

– Prawda, że ładnie? Ale tak się boję...

– Gdzie on cię trzymał, jak to wyglądało, kiedy...?

– To było pod tym pustkowiem koło Misji. Ja myślałam, że to gdzieś bardzo daleko, musieliśmy krażyć w kółko, a potem zawiązał mi oczy. Buldożery odsłoniły wejście, ale zakryto je blachą falistą. W czasie wojny mieściła się tam jedna z głównych komórek wywiadu.

– Ale jak się wydostałaś i jak... Twój ojciec opowiadał coś Lucjuszowi, a...

– On nie wszystko wie, a gazety wszystko pokręciły... Kato... uderzył Joego i przez jakiś czas leżał zemdłony, i Joe był nieprzytomny, i ja... się ubrałam...

– Chryste.

– I wybiegłam, znalazłam budkę telefoniczną, i wtedy przyjechała karetka i policja, i... ale nie to ci chciałam powiedzieć. Widzisz, chodzi o Katona, tak się boję, że się dowie albo że może już się dowiedział, i że to go doprowadzi do szaleństwa...

– Czego się dowie?

– Tego, co się naprawdę stało. Widzisz, policja była cudowna, niesłychanie grzeczna i wyrozumiała...

– Colette, uspokój się, o czym ty mówisz?

– Policja mu nie powiedziała, a w każdym razie obiecała, że nie powie, a ja chciałabym, żebyś się z nim zobaczył i... oczywiście nie możesz o to pytać, ale ja chciałabym się upewnić, że on tego nie wie..

– Czego nie wie?

– Że nie było żadnego gangu... to był... och, prawie żart... to był tylko Joe... ja wiem, że to straszne, bo zmusił cię do przyścia i przyniesienia tych pieniędzy i w jakimś sensie sterroryzował Katona, ale powiedział, że gdyby Kato choć trochę się opierał, nic by mu nie zrobił, powiedziałby mu prawdę i pośmiał się zdrowo...

– Poczekaj, poczekaj, więc mówisz, że to nie mafia ani?...

– Nie! Nie było nikogo prócz Joego. I... och, Henryku... to wszystko moja wina, to właśnie jest takie okropne, straszne, i będę z tym żyła do końca, i nie będę mogła nikomu powiedzieć. – Znowu pojawiły się łzy, ale już nie gorące, tylko płynące wolnym strumieniem.

– Colette... kochanie... przestań...

– Nie będę płakać. Nie powinnam. Rozumiesz, on był miły i dobry, i... w ogóle niestraszny... współczułam mu... i powiedział mi, powiedział, że nie zamierza skrzywdzić Katona i że przez cały czas traktował to jak zgrywę...

– To nie musiała być prawda – powiedział Henryk – opierałaś mu się i skaleczył cię.

– Tak, ale to było inaczej...

– A może to też było kłamstwo, że był sam, po prostu pokrywka dla innych?

– Nie, nie, to była prawda, to prawda, jak się okazało, i nie znaleziono żadnych śladów nikogo innego, a potem od razu zrozumiałam, że Kato nie może nigdy się o tym dowiedzieć, i na początku myślałam, że nie powtórzę policji tego, co powiedział mi Joe, ale potem zrozumiałam, że muszę powiedzieć, bo inaczej będą szukać współników i gangu, który nie istnieje, więc powiedziałam im wszystko, tylko prosiłam, żeby nie mówili Katonowi,..

– Cóż, dla mnie to wielka ulga, że nie ma żadnego gangu – uspokoił się Henryk. – Myślałem, że mogą mieć mnie na oku za to, że powiedziałem policji. Kato pewnie też przyjmie to z ulgą?

– Ale czy nie rozumiesz, będzie myślał, że zabił Joego bez powodu, pomyśli, że gdyby tylko nie zabrakło mu odwagi... ale naprawdę to nie była jego wina, tylko moja wina, gdybym była sprytniejsza, gdybym tylko nie krzyczała...

– Więc co się właściwie zdarzyło?

– Joe był... och, mówił o tym, jak to będzie, kiedy wszyscy pojedziemy do Leeds...

– Wszyscy do Leeds?

– Tak, wiesz, że Kato dostał tam posadę i chciał, żeby Joe z nim pojechał, ale Joe nie chciał, a potem Joe powiedział mi, że chce, żebyśmy wszyscy pojechali i żyli z twoich pieniędzy, i żebym została jego dziewczyną...

– Jezu Chryste...

– I zapytał, czy ja chcę, i ja powiedziałam, tak...

– Ale nie myślałaś tak naprawdę?

– Nie, ale to wszystko było takie obłąkane, no i było mi go żal, tak bardzo mu współczułam, i był jakiś taki czuły, naprawdę czuły, i opowiadał o tym, jak będziemy żyli we trójkę... Można go było jakoś uratować, w każdym razie myślę, że w ogóle nie był prawdziwym złoczyńcą i naprawdę kochał Katona, i Kato go kochał... Może moglibyśmy wszyscy być przyjaciółmi... wiem, że to brzmi nieprzytomnie, ale trzeba próbować kochać ludzi, nawet jeśli to jest trudne albo okropnie dziwne... a teraz on nie żyje i nie mogę mu już w żaden sposób pomóc.

– Nie bądź sentymentalna, Colette, to był szczur...

– Tak twierdzi tatuś, ale to nieprawda. A poza tym mówił cały czas, że jeśli tylko pozwolę mu się kochać, to on wypuści Katona, i oczywiście powiedziałam, że pozwolę...

– I pozwoliłaś?

– Miałam zamiar... ach, Boże, gdybym tylko to zrobiła. Powinnam po prostu kochać się z nim i pozwolić mu na wszystko. Myślę, że w jakimś sensie połowicznie go kochałam, ale nie dosyć. A potem w ostatniej chwili, po prostu z jakiegoś głupiego... strachu... pod wpływem kobiecego instynktu... zaczęłam się szarpać i krzyczeć i wtedy Kato wyłamał drzwi, wpadł i... zabił Joego.

– Ale przecież Joe zranił cię nożem... tak w każdym razie słyszałem.

– Cóż, mam nadzieję, że Kato tak myśli. Pozwalam mu myśleć, że naprawdę mnie uratował, uratował mi życie. Musi tak myśleć, inaczej oszaleje. Widzisz, Joe miał nóż w ręku, ale jestem pewna, że nie chciał mnie zranić, to był przypadek, ja się siłowałam, a on był taki podniecony... ach, gdybym tylko była dość rozsądna, żeby po prostu pozwolić mu na wszystko, gdybym dalej z nim rozmawiała, ale nerwy mnie zawiodły i... och, gdybym tylko nie krzyczała, gdyby Katonowi nie udało się wydostać...

– Poczekaj, Colette. Nie wiesz, czy Joe w końcu nie zabiłby ciebie albo Katona.

– Wiem, żeby tego nie zrobił, poznałam go dość dobrze, kiedy byliśmy razem. Ale teraz widzisz, o co mi chodzi, chcę, żebyś zobaczył się z Katonem, nie mów, że ci cokolwiek mówiłam, po prostu przekonaj się, co

on mówi i jaki teraz jest. Tak bardzo cię lubi, jestem pewna, że się załamie i powie ci wszystko, i wtedy się dowiesz, czy on wie. W każdym razie, gdybyś się z nim zobaczył, czułabym się znacznie lepiej, to byłaby duża ulga. Jestem pewna, że nie chce się ze mną widzieć... czuje... wiesz... że nie może jeszcze spojrzeć mi w oczy... dlatego nie przyjechał do domu... i nie może spojrzeć w oczy tatusiowi. I wiem, że czuje się okropnie z powodu tych listów...

– Czy twój ojciec wie dokładnie, co się stało?

– Tak, ale nie wszystko. Wie, że nie było żadnego gangu, dowiedział się od policji, i na pewno nie przekaże tego Katonowi. Ale ja nie powiedziałam mu wszystkiego tak jak tobie, nie mogę... Ach, Henryku, to takie okropne, nigdy jeszcze nie żyłam w takim koszmarze, nigdy nie wyobrażałam sobie takiego koszmaru, to są tortury, wszystko to ciągle kręci się we mnie jak w maszynie, ciągle przetrząsam wszystko, co się zdarzyło, i myślę, że gdybym zachowała się inaczej, mogłabym uratować tego biednego chłopca i uchronić Katona od szaleństwa...

– Spokojnie, spokojnie Colette. Na pewno nie grozi ci załamanie.

– Nie. Wiem, że się nie załamie. Ale zobaczysz się z Katonem? Kocha cię i powie ci wszystko.

– Nie jestem pewien ani pierwszego, ani drugiego.

– Ach, i... Henryku.

– Cóż takiego, kochanie?

Jasne słońce, odbite od białego muru ogrodu, rzucało czyste, łagodne światło na gołębioszary pokój i twarz Colette rozświetliła się łagodną, ale intensywną jasnością. Wygląda – pomyślał Henryk – jak chłopiec okrętowy, młody kanonier z czasów Nelsona, dziecko, które jednak oglądało krew. Cóż za dziwny obraz – pomyślał, i pomyślał: jaka to piękna dziewczyna.

– Kiedy się żenisz?

Henryk spojrział przez okno na zalany słońcem ogród, równie czysty jak pokój, w którym siedział.

– Za dwa tygodnie. W Londynie.

– A, to dobrze. A potem do Ameryki?

– Tak.

– Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi – powiedziała Colette i jej słowa zabrzmiały jak pożegnanie.

Poruszyła się, dotknęła zabandażowanego policzka i uniosła na poduszce, wyciągając spod niej warkocz, i Henryk też poruszył się, uniósł i wstał. Patrzył na nią, pragnąc, żeby odwzajemniła mu spojrzenie, ale nie podniosła wzroku.

– Henryk. Przepraszam cię za ten wariacki list i za te wszystkie bzdury, które powiedziałam Stefanii w samochodzie. Oczywiście to był idiotyzm i naprawdę wcale tak nie myślałam, zrozumiałam to potem. Wtedy byłam jeszcze dzieckiem. Przepraszam...

– Nic nie szkodzi...

– Myślałam... czułam... że może przyjmiesz to z ulgą, że nie jestem w tobie zakochana... nigdy nie byłam... nie wiedziałam, co to znaczy...

– Cóż, oczywiście, i to mi pomoże, dobrze, że mi to mówisz...

– To takie męczące, jeśli się myśli, że ktoś... zresztą... tak już jest... Więc sprzedajesz dwór?

– Tak.

– I twoja matka zamieszka w Dimmerstone. Przekaż jej moje pozdrowienia. Mam nadzieję, że się z nią zobaczę, tak, na pewno...

Nastąpiła chwila ciszy. Colette, bawiąc się frędzlami koca, nagle podniosła wzrok, a potem zaczęli mówić oboje naraz.

– Co... przepraszam?

– Ja... Nie, możesz mówić.

– Właśnie chciałem powiedzieć... więc... jaki jest adres Katona w Londynie?

– Ach, tak. Mieszka u Brendana Craddocka, znasz go, ojciec Craddock. Jest w książce telefonicznej.

– Dziękuję. Obawiam się, że już tu nie wrócę, kiedy raz stąd wyjadę, ale postaram się zobaczyć z Katonem i napiszę ci, jak się czuje.

– To bardzo miło z twojej...

– Cóż, do widzenia, Colette. Nie przypuszczam, żebyśmy się jeszcze spotkali. Chyba że”. zajrzysz do nas, gdybyś kiedyś trafiła do Illinois.

– Na pewno. Do widzenia, Henryku, i dziękuję.

Patrząc mu prosto w oczy wymieniła z nim mocny uścisk dłoni. Nagle zadrżał na myśl, że mógłby ucałować jej rękę. Ale już było za późno, odwrócił się do drzwi, niedbale machnął ręką i wyszedł.

Ruszył prosto do drzwi frontowych i sam sobie otworzył. Kiedy je zamykał, padł jakiś cień i Henryk, który przez chwilę nie dostrzegając światła zewnętrznego, wpadł na Gilesa Goslinga.

- O, jak się masz?
- Dzień dobry.
- Piękna pogoda, prawda?
- Piękna.

Minęli się u wejścia. Gosling zapukał do drzwi i został wpuszczony. Henryk powoli poszedł alejką, a potem drogą, aż wreszcie dotarł do żelaznej bramy. Przez dłuższą chwilę stał oparty o kratę, spoglądając na zarośnięty chwastami żwirowy podjazd, na który słońce sączące się między drzewami rzucało wzorzyste cienie.

- Nigdy nie znałam nikogo sławnego – oświadczyła Stefania.
- Kiedyś byłem stosunkowo sławny – powiedział Lucjusz.
- Chciałabym poznać jakieś znakomitości, piosenkarzy, gwiazdorów filmowych czy kogoś takiego.
- Tak, kiedyś byłem sławny. Ale już nie jestem.
- Co to za wielki ptak?
- Czapla.

Czapla, maszerująca długimi krokami po mieliznach za pasem sitowia, teraz wzniosła się powoli i niedbale w powietrze, zaczęła krążyć nad wodą, a potem wylądowała ze skupioną precyzją po drugiej stronie jeziora. W pobliżu, na kupce skoszonej trawy, jasnooki kos stał z przekrzywioną głową i słuchał brzęczenia owadów. Lotem helikoptera przefrunęła ogoniasta sroka. Kwiliła i trzepotała para synogarlic. Po niebie płynął nieustanny śpiew skowronka. Henryk pojechał do Londynu zobaczyć się z agentami Sotheby'ego. Znowu był słoneczny dzień.

- Nigdy nie miałam przyjaciół – powiedziała Stefania. – Niektórzy ludzie już tacy są.
- Och, daj spokój. Musiałaś mieć przyjaciółki.

- Nie, wszystkie mnie nienawidziły.
- No więc ja jestem twoim przyjacielem.
- Ale nigdy się już z panem nie zobaczę.
- Więc żyjmy terazniejszością.
- Wydaje mi się, że kobiety nie mają przyjaciół.
- Ja miałem ich całe tłumy, całe tłumy...
- Kiedy byłam dzieckiem, miałam psa, był moim przyjacielem.
- Czy pozwolisz, że usiadziemy? Znowu czuję się nieswojo.
- To od gorąca. Tak bardzo nie chcę jechać do Ameryki.
- Henryk będzie się tobą opiekował.
- Ma tam przyjaciółkę, jakąś Belle. Ona jest inteligentna, to profesorka.
- W Ameryce wszyscy są profesorami.
- Henryk na pewno odejdzie z kimś inteligentnym.
- Nie, nie zrobi tego. Jest dżentelmenem. Zrobi to, co postanowił zrobić.
- Czuję się bezpieczniej, gdybyśmy wzięli ślub w kościele.
- Poza Kościołem też istnieją święte przysięgi. Henryk będzie wierny. Zresztą doskonale o tym wiesz.
- Uważa, że nie mam poczucia humoru.
- W małżeństwie poczucia humoru trzeba się uczyć od siebie nawzajem. To musi zająć trochę czasu. Zobacz, to zimorodek.
- Gdzie?
- Odleciał.
- Podoba mi się tutaj. Nigdy przedtem nie byłam na prawdziwej wsi. Henryk mówi, że w Ameryce nie ma wsi.
- Henryk często gada głupstwa.
- Przypuszczam, że to był żart. Czasami nie wiem, kiedy Henryk żartuje. Dlatego twierdzi, że nie mam poczucia humoru. Ciągłe na mnie napada.
- To typowe w miłości.

- Nie wiem, co ze sobą pocznę w Ameryce.
- Może dostaniesz pracę.
- Na pewno nie. Człowiek, który raz przeszedł załamanie, nie ma szans.
- Nie musisz nikomu mówić.
- Tak czy owak, teraz nie chcę już żadnej posady.
- Może spróbujesz mieć dziecko.
- O, z dzieckiem nie dałabym sobie rady. Tak czy owak, jestem... Nie...

- A więc nie będzie dziecka. Ale co lubisz robić?
- Dobrze byłoby mieć dziecko.
- Musi być coś takiego, co lubisz robić.
- Lubię kupować ubrania.
- No więc to już jest coś.
- Lubię jeść i pić.
- Co będziecie jedli, co będziecie pili i w co będziecie się odziewali.
- I lubię iść spać bez zmartwień, ale stale się o coś martwię.
- Więc to wykluczone. A co z religią, z Bogiem?
- Nigdy nie rozumiałam religii. Moja matka leczyła wiarą, ale ojciec nie pozwalał jej o tym mówić.

- A co myślisz o sztuce?
- Co takiego?
- O sztuce. To znaczy, czy lubisz muzykę, książki lub...
- Nie.
- Mogłabyś się nauczyć.
- Nie jestem zdolna. Henryk nie chce tego zrozumieć. Naprawdę to jestem taka jak masę ludzi. W pana ustach to brzmi, jakby nic mnie nie cieszyło, ale to nieprawda. Lubię zwierzęta i słońce, i takie miejsca jak to... i...

- Spójrz na tego ogromnego trzmiela, jest wielki jak szczenię.
- Skrył się w bluszczu.

*Od rana aż po zachód słońca
Bada refleksy płasające
Po skrzydłach pszczoł w gęstwinie pnączy.
I nie dba, czym są rzeczy one,
Lecz je zamienia pod powieką
W formy prawdziwsze od człowieka,
Poczęte na wieczności łonie.*

– Czy to pan napisał?

– Nie. Byłbym z tego bardzo dumny.

– Jeszcze w szkole lubiłam niektóre wiersze, ale teraz już ich nie pamiętam. Niedługo będzie obiad. Gerda nie pozwala mi pomagać w kuchni.

– Idź na górę. Ja tu trochę poczekam. Trudno mi chodzić prędko po schodach.

Stefania podreptała i Lucjusz odprowadził ją wzrokiem. Od chwili, gdy zrobiła na nim wrażenie tajemniczej, pulchnej uwodzicielki, zmieniła się na jego oczach. Teraz uważał, że jest to jedno z najbardziej prostodusznych stworzeń, z jakimi kiedykolwiek zdarzyło mu się dłużej rozmawiać, i jedno z najbardziej wzruszających. Dzięki jakim to doświadczeniom, jakiej bezgranicznej niewinności? Był dziwnie dumny z tego, że tak łatwo mu się z nią porozumieć. Nigdy jeszcze z nikim nie potrafił tak po prostu paplać. Było w niej coś absurdalnego i rzadkiego. Litował się nad nią i widział, jak Henryk się lituje. Gerda uważała, że miłość Henryka do Stefanii jest perwersyjna, wręcz niesamowita. Ale Lucjusz rozumiał.

Siedział spokojnie na drewnianej ławeczce, spoglądając ponad jeziorem na wierzbowy lasek i czerwone derenie po drugiej stronie. Zaczął się bać schodów. Był tak bardzo urażony, że Gerda nie poprosiła go, aby pozostał przy niej. Jego wyjazd uznała widocznie za rzecz oczywistą. Przestała z nim rozmawiać i zupełnie nie okazywała mu serca. Może, myślał, zbyt mocno cierpi i nie chce mieć świadków. Zawsze była kobietą dumną. Och, gdybym tylko mógł ją pocieszyć! Ale wyrok był nieodwołalny. Ma jechać do Audrey. To nie odpowiadało mu pod żadnym względem; zresztą i tak to wszystko jedno, bo Reks nigdy nie pozwoli mu zamieszkać tam na stałe. Pojadę do Londynu – myślał – znajdę sobie niewielki pokoik w Soho i będę codziennie wysiadywał w knajpach literackich, przecież jakieś na pewno pozostały. I wyobraził sobie siebie, szacowną, malowniczą

postać o białych włosach, w wielkim czarnym kapeluszu, jak siedzi w swoim stałym kącie i pisze, pokazywany palcem gościom. Henryk zaofiarował mu pomoc pieniężną, ale to nie wystarczy. Na pewno ktoś udzieli mi pomocy – myślał. Królewski Fundusz Literacki? Rada Artystyczna?

Spojrzał na jezioro i zdecydowanie odepchnął od siebie panikę, która teraz towarzyszyła mu prawie bez przerwy. Nie śpiąc po nocach, wyobrażał sobie, jak żyje w nędzy, stary i zapomniany. Oby tylko – myślał – sztuka ostatecznie mnie nie opuściła. Jeśli będę mógł dalej coś pisać, wszystko będzie w porządku. Może napiszę swoją autobiografię polityczną w formie epickiego poematu? Boże, jak ten czas przeleciał. Jak to możliwe, żeby całe życie minęło tak szybko i tak niewiele udało się dokonać? Myślałem, że w końcu posiadam mądrość, a teraz jest już koniec i dalej jestem głupcem. No, ale w starym ciele pali się jeszcze życie. Wyjął notes i napisał:

*Stara szara czapla
Szuka wśród prądów swej młodości
Czystego źródła życia.*

Henryk nacisnął dzwonek. Jakiś mężczyzna otworzył drzwi.

Upłynęło dobrych kilka sekund, zanim Henryk rozpoznał Katona. W pierwszej chwili zobaczył starszego mężczyznę w ciemnych spodniach i brudnej białej koszuli rozpiętej pod szyją, z okrągłą nabrzmiałą twarzą, plamistą cerą i ponurym spojrzeniem.

– Ach... proszę cię... wejdź...

– Widzę, że jesteś w stroju świeckim – powiedział Henryk rozpaczliwie, próbując usprawiedliwić swoje zdumienie.

– O tak. Z tym już koniec. Brendan jest w college'u. Czym mogę służyć?

– Nie masz pretensji, mam nadzieję, że dzwoniłem?

– Nie, nie. Czym mogę służyć?

Było południe następnego dnia po spotkaniu Henryka z Colette. Raz obarczony tą misją, nie potrafił odłożyć spotkania z Katonem na później. Był zadowolony, że go o to poprosiła, ale zadowolenie to było również źródłem bólu i chciał zerwać więź, jaką ten obowiązek stworzył między nim i dziewczyną. Relację ze spotkania prześle szybko w liście. A

potem, chwala Bogu, Ameryka. Nie opowiedział Stefaniu o wizycie u Colette ani o tym, jaką misją go obarczyła; swój wyjazd do Londynu wytłumaczył w inny sposób. Pragnąc oszczędzić sobie zdenerwowań, próbował nie myśleć z góry zbyt wiele o Katonie ani o jego okropnej przygodzie. Ale teraz, na widok tej twarzy wpatrzonej w niego bez uśmiechu, zrozumiał, co myślała Colette, kiedy wyraziła obawę, że jej brat może zwariować. Kato wyglądał na bardzo chorego, choć trudno było określić, na czym to polega. Twarz miał spuchniętą i spoconą, a wokół oczu sine kręgi. Otwierał co chwila usta, potem je zamykał, wreszcie, marszcząc nos, zaciskał je w szybkim, nerwowym grymasie. Rozbiegane oczy omijały Henryka.

Salonik w mieszkaniu Brendana Craddocka, dość wąski i ciemny, miał jedno okno wychodzące na mur sąsiedniego domu i chociaż na zewnątrz świeciło słońce, tonał w półmroku. Kato nie ruszył się, żeby zapalić światło; prawdopodobnie nie zauważył ponurego nastroju. Przy ścianach stały półki z książkami. W pokoju wisiały czarne aksamitne zasłony i o wiele za dużo tkanin.

Henryk usiadł niepewnie na jakimś haftowanym krześle. Kato stał, opierając się o książki, potem zrobił kilka kroków, ostrożnie ocierając się o nie rękawem, i znowu oparł się o półki spoglądając w okno. Po pierwszym pytaniu wyglądało na to, że zapomniał o Henryku.

– Ciekaw byłem, jak się czujesz – powiedział Henryk.

– O, całkiem nieźle. – Kato przesunął się koło półek z książkami, minął okno i wrócił koło półek z drugiej strony, opierając się o nie ręką, jak gdyby ten kontakt był konieczny dla jego bezpieczeństwa. Dotarł do drzwi, a potem zawrócił przesuwając po książkach drugą ręką i zacisnął usta z wyrazem skrupulatnej dokładności.

– Myślałem, że może mógłbym ci w jakiś sposób pomóc – powiedział Henryk. Słowa te w tym kontekście brzmiały płasko i impertynencko.

– Nie sędzę, dziękuję.

– Było mi... tak strasznie przykro... kiedy usłyszałem...

Kato nie odpowiedział. Przystanął, przyglądając się książkom, jakby czegoś szukał, a potem znowu zaczął chodzić po pokoju. Henryk odezwał się:

– Ja też przeżyłem straszne chwile, wiesz, że wraz z policją czekałem pod Misją całą noc, ale nikt nie przyszedł... i...

Kato milczał.

– A więc... zrzucasz sutannę?

– Tak.

– Przykro mi.

– Nie rozumiem, dlaczego miałoby ci być przykro – powiedział Kato, lekko marszcząc brwi – skoro nie wierzysz w Boga.

– Nie wiesz, w co wierzę – zaprotestował Henryk z irytacją. Miał nadzieję, że Kato, który okazał wreszcie ślad uczucia, zareaguje jakoś, że nawiąże się jakaś rozmowa, ale zapadła cisza. Kato rozglądał się dookoła, nie patrząc na Henryka. Henryk obrócił się i zaczął przypatrywać książkom za sobą. *Summa Theologica*. Dzieła zebrane Nietzschego po niemiecku.

– Słuchaj, Kato, na litość boską, przestań chodzić w tę i z powrotem. Nie masz czegoś do picia?

– Nie sędzę.

Henryk wstał i zaczął przeszukiwać barek wbudowany w półki. Znalazł butelkę whisky, karafkę sherry, szklanki. Nalał sobie trochę whisky.

– A ty?

– Nie, dziękuję.

Henryk usiadł. Kato przystanął, przyglądając się książkom, potem westchnął głęboko, tak jak wzdycha człowiek, kiedy jest sam.

– Kato, proszę cię... powiedz coś. Co zamierzasz ze sobą zrobić?

– Mam posiadłość w Leeds. Pojadę tam.

– A nie pojedziesz najpierw do Leśnej Zagrody?

– Tylko wtedy, jeśli stać mnie będzie na kłamstwo. – Kato wybrał książkę, otworzył i z napięciem zaczął ją przeglądać.

– Kłamstwo... jakie kłamstwo?

– Odpowiednie.

Upłynęła chwila, zanim Henryk się odezwał:

– Widziałem się z Colette.

– Naprawdę? – Nabrzmiała twarz Katona wykrzywiła się nieomal wrogo, ale nie przestał wertować książki.

– Nie widać, żeby... te przejścia... odbiły się na niej.

– Nie widać. To dobrze.

– Kato, usiądź wreszcie, proszę cię, porozmawiajmy rozsądnie.

Kato, krzywiąc się, rzucił Henrykowi wrogie spojrzenie. Z hałasem upuścił książkę na podłogę.

– Czy myślałeś kiedyś o tym, że mógłbym ożenić się z Colette? – Chciał wstrząsnąć Katonem i wydobyć z niego słowo prawdy.

– Ty? Ożenić się z Colette? Nie!

Henryk aż cofnął się przed impetem złości tryskającej z tych słów.

– Uspokój się, nie chciałem... to znaczy...

– Colette wyjdzie za mąż za człowieka dobrego i godnego. Jeśli wyjdzie.

– Dlaczego nie ma wyjść? A może myślisz, że zostanie zakonnica?

– To już jej sprawa – powiedział Kato zmatowiałym głosem. Oparł się plecami o półki i spoglądał na zegarek.

– Nie bądź na mnie zły.

– Słyszałem, że się żenisz z jakąś dziwką.

– Tak – powiedział Henryk. – To prawda.

– A potem, kiedy już wyładujesz na matce całą nienawiść, wracasz do Ameryki.

– Tak jest. Wiem, że byłeś przeciwny tej sprzedaży...

– O, nic podobnego – powiedział Kato. – Bynajmniej. Jestem za tym. Sprzedaj całą posiadłość, doskonale. To świetny pomysł, żeby wszystkie te stare domy przerobić na mieszkania czy cholerne ośrodki konferencyjne i zabudować cały bezużyteczny teren. Wiesz doskonale, jaki głód mieszkaniowy panuje w okolicy.

– Kato, czy nie powinieneś pójść do doktora?

– Po co tu przyszedłeś? – zapytał Kato, wpatrując się w Henryka; powiedział to z naciskiem, ale cicho.

– Przyszedłem przez sentyment.

– Przyszedłeś z ciekawości.

– Przyszedłem, bo jesteśmy starymi przyjaciółmi.

– Przyszedłeś jako turysta.

– Kato, przestań.

– Zabiłeś kiedy człowieka?

– Nie.

– To musisz spróbować. Śmieszne uczucie. Jak łatwo jest położyć kres ludzkiemu życiu. Kiedy się raz to zrobi, ma się uczucie, że można by to zrobić jeszcze raz. Dlaczego nie zabijać wszystkich dookoła?

– Kato... kiedy Brendan wraca?

– Boisz się mnie?

– Nie... ale... czuję, że nie powinieneś być sam.

– Wyobrażasz sobie, że mógłbym ze sobą skończyć?

– Nie, oczywiście nie...

– Kiedy popełni się jedno morderstwo...

– Ale przecież go nie popełniłeś!

– Człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę, że nie ma żadnych barier, że nigdy ich nie było. To, co uważało się za bariery, to zwykle puste, samolubne złudzenia, próżność i zadowolenie z siebie. Cała tak zwana moralność to po prostu mizdrzenie się do siebie w lustrze i podziwianie własnej dobroci. Moralność to nic innego jak szacunek dla samego siebie, nic innego, zwykła cnotliwa afektacja i roztaczanie duchowych uroków. A kiedy zabraknie szacunku, nie pozostaje nic innego jak orgia, orgia nieskrępowanego egoizmu.

– Jesteś ciągle pod wpływem szoku.

– Przyszedłeś tu jako turysta, żeby obejrzeć ruiny.

– Nieprawda... Słuchaj...

– Przepraszam. Przepraszam. Lepiej już idź. Nic mi nie potrzeba. Nie potrzebuję doktora. Proszę cię, idź już. I nie wspominaj o mnie w Leśnej Zagrodzie. Jedyne, co mogę zrobić, to modlić się za ciebie i życzyć ci, żebyś nigdy nie widział tego, co ja widzę, nigdy nie poznał tego, co poznałem, nigdy nie był na moim miejscu!

– Kato...

– Och, idź już, idź!

Henryk wypadł za drzwi i omal nie stoczył się z pierwszych stopni. Drzwi się zamknęły. Przystanął i znowu usłyszał okropne westchnienie samotnego człowieka, przedłużające się tym razem w rodzaj cichego jęku. Zbiegł ze schodów, wypadł na ulicę i przywołał taksówkę.

– Galeria Narodowa.

W dwadzieścia minut później Henryk siedział przed wielkim obrazem Tycjana. Gwałtowne bicie serca stopniowo łagodniało. Nie odrywał oczu od obrazu, jak gdyby zatopiony w modlitwie.

Nigdy nie będę mógł powiedzieć tego Colette ani nikomu innemu – myślał. Tak się jakoś stało, że zabrnąłem do piekła. Musi być dużo wejść. Nie napiszę do Colette. Wyślę jej małą, nic nie mówiącą kartkę lotniczą ze Sperriton. O Boże – myślał – za trzy tygodnie będę w domu w Sperriton, będę żonaty i cały ten koszmar się skończy. Będę z Russellem, Bellą... i Stefanią. Będę żył w prostocie i będę miał proste obowiązki: dbać o szczęście Stefanii, żyć w spokoju, uczyć moich studentów, popijać martini z przyjaciółmi i mknąć szosą samochodem. Okres okrucieństwa będzie już za mną. Wrócę do ludzi niewinnych, do kraju niewinności, na szczęście.

Wpatrywał się w obraz i w sercu jego zagościł spokój. Jak zupełnie odmienne od koszmaru spraw rzeczywistych jest okrucieństwo w sztuce. Psy rozrywają wnętrzności Akteona, a bogini przechodzi obojętnie obok niego. Coś przerażającego, bestialskiego i okropnego zamieniło się w jedną z najpiękniejszych rzeczy na świecie. Jak to możliwe? A może to kłamstwo? Czy Tycjan wiedział, że życie ludzkie w rzeczywistości jest przerażające, straszne, że to nic innego jak jatka? Czy Maks o tym wiedział, kiedy malował chytrze skomponowane sceny tortur? Może wiedzieli – myślał Henryk – ale ja z pewnością nie wiem i nie chcę wiedzieć. I myślał teraz o Katonie z pełną zgrozy litością, w której krył się niesmak, i wpatrywał się w głębię wielkiego obrazu, i modlił się za siebie: Obym nigdy nie zobaczył tego, co on widzi, nigdy nie poznał tego, co on poznał, nigdy nie był na jego miejscu, tak mi dopomóż Bóg!

– Postanowiłem napisać swoją autobiografię w formie poematu epickiego.

– Jeśli chcesz zachować jakieś meble, każ postawić je w stodole obok moich kufrów.

– Tylko stół i komodę.

- Powiem tragarzom.
- Dotychczas nie wierzę, że to wszystko się kończy.
- Rozejrzyj się dokoła, czy to nie wygląda na koniec wszystkiego?
- Kto się mną zaopiekuje, kiedy będę stary?
- Jesteś stary. Jesteśmy starzy.
- Może Audrey. Tylko Reks jej nie pozwoli.
- Mówiłeś, że chcesz zamieszkać w Londynie, mówiłeś, że tutaj czujesz się jak w klatce.
- Nie wysyłaj mnie, Gerdo. Kiedyś ci na mnie zależało.
- Kiedyś ty mnie kochałeś. Pisałeś dla mnie wiersze. A teraz z tego wszystkiego zostało tylko: „Człap, człap, stara kobieta”.
- Czy nie możemy zacząć od nowa?
- Zaczynamy od nowa.
- Ale razem? Czy nie mogę zamieszkać z tobą w Dimmerstone?
- Tam nie ma miejsca.
- Postanowiłaś sama się ukarać, chcesz wszystko zniszczyć, nie chcesz, żebym zamieszkał w Dimmerstone, bo nie chcesz, żebym oglądał cię pokonaną.
- Jako świadek nie przeszkadzałbyś mi bardziej niż pies Bellamy’ego.
- Jestem twoim psem, Gerdo. Nie porzucaj mnie, czuję, że śmierć jest już bliska. Zostańmy razem.
- Nigdy mi nie pomagałeś, nigdy mnie nie podtrzymywałeś. Więc teraz nie płacz.
- Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Pobierzmy się, Gerdo. Przeżyjmy razem nasze ostatnie dni. Jeszcze nie jest za późno, prawda? Pobierzmy się.
- Gdybyś powiedział to wiele lat temu, może miałyby to jakieś znaczenie, ale tego nie zrobiłeś. Teraz potrzebny ci tylko pokój i pielęgniarza.
- Ale mówiłem to wiele lat temu.
- Może tak myślałeś, ale nie powiedziałeś.

– Powiedziałem. Czy to znaczy, że byłaś wtedy skłonna za mnie wyjść?

– O, zapewne.

– Gerdo, ja oszaleję!

– Gdybyś naprawdę mnie kochał, nalegałbyś, żebym za ciebie wyszła, i ja bym się zgodziła. Po prostu nie kochałeś mnie dostatecznie, Lucjuszu. Taka jest bezwzględna prawda. I naprawdę, to życie wymierza nam sprawiedliwość.

– Czy to znaczy, że mnie kochałaś?

– O ile pamiętam, tak.

– Ależ, Gerdo, jeśli kochałaś mnie wtedy, możesz mnie kochać teraz. Przebacz mi i wyjdź za mnie, musisz to zrobić. Uratujmy coś z tego, niech nie wszystko będzie stracone. Nie odmawiaj mi teraz ze złości.

– Złości! Ach, jaki z ciebie głupiec!

– Gerdo, kochanie, przebacz mi, wyjdź za mnie, kocham cię z całych sił, wszystko, co we mnie jest, jest twoje, ofiarowałem ci całe życie, całe należy do ciebie. Nie możesz być tak niewdzięczna, żeby mnie teraz odrzucać.

– To ty mnie odrzuciłeś.

– Prosiłem cię o rękę, jestem pewien, że tak było!

– Nie było. Zresztą to już nieważne.

– Więc pewnie tak się stało, bo dałaś mi do zrozumienia, że mnie nie chcesz!

– Gdybyś był bardziej namiętny, może miałbyś większe powodzenie. Ale myślałeś tylko o sobie. Czy chciałeś, żebym za tobą biegała i błagała?

– A więc była to tylko duma. Jest tylko duma.

– Och, Lucjuszu! To już nieważne.

– Ja jestem człowiekiem namiętym, jestem, jestem! Nie zamierzam cię zostawić, nigdy, nigdy!

– W porządku, możesz to nazywać dumą. Chcę być w końcu sama i bez świadków. Ty, Lucjuszu, należysz do przeszłości, jeśli o mnie idzie, jesteś duchem. Ach, jakiś ty głupi! Jesteś głupi, tak samo jak Henryk, tak samo jak Sandy i jak Burkę! O Boże, dlaczego los kazał mi dzielić życie z takimi głupimi, głupimi ludźmi!

- Pozwolisz, mamó, że usiądę koło ciebie?
- Oczywiście, że pozwolę.

Henryk przysiadł na osłonie kominka. Był późny wieczór i płonące polana przygasły, a ruchomy kopiec iskrzących się i żarzących węgla przypominał nocne miasto na wzgórzu. Dywan został usunięty, a część mebli, łącznie z okrągłym stołem, przeniesiono do sali balowej, zanim nie powędrują do Sotheby’ego. Pokój rozbrzmiewał głuchym echem. Gerda usiadła tuż przy kominku i przyszywała guzik do tweedowego płaszcza.

- Jak tu cicho. Jeśli nie liczyć sów.
- Tak.
- To chyba nasze ostatnie chwile tutaj.
- Chyba tak.
- Dlaczego Lucjusz był rano taki przejęty?
- Właśnie mi się oświadczył – powiedziała Gerda.
- Pierwszy raz?
- Tak. Wydawało mu się, że zrobił to już kiedyś, ale to nieprawda.
- Bałaganiarz. Czy kochałaś go kiedyś, mamó?
- O tak, chyba tak. Kiedy był młodszy, był czarującą, romantyczną postacią.
- Pamiętam go. Te rozwichrzone włosy. Przyjęłaś go?
- Nie, oczywiście nie.
- Chciałbym mieć pewność, że masz kogoś, kto się tobą będzie opiekował.
- Lucjusz sam potrzebuje opieki.
- No, a czy nie powinnaś mu jej dać?
- Robiłam to przez wiele lat. Pragnę odmiany.
- Wyobrażam sobie. Nigdy nie miałem kim się opiekować.
- Czy Stefania wstała?
- Kręci się w szlafroku.
- Przydałby się jej szybki spacer na świeżym powietrzu.

- Wolałbym, żeby czymś się zajęła, choćby czytaniem powieści.
- Moim zdaniem...
- Kiedy tylko znajdziemy się w Ameryce, z daleka od tych wyblakłych splendorów, poczuje się znakomicie.
- Chciałabym, żebyś miał rację.
- Mamo...
- Słucham?
- Wydaje mi się, że powinienem ci powiedzieć. Stefania nigdy nie była kochanką Sandy'ego.
- Wiem.
- Skąd wiesz?
- Słyszałam, jak o nim mówiła. To po prostu fałszywie brzmiało. A potem zastawiłam na nią pułapkę.
- Jaką pułapkę?
- No, chodziło o... bliznę...
- Więc wiedziałaś. Dlaczego mi nic nie mówiłaś? Gerda przez chwilę milczała,
- Myślałam, że to nie zmieni twoich planów, i wszystko to wydało mi się takie...
- Niesmaczne?
- Niepokojące. Wolałam nie zagłębiać się w te sprawy. Powiedziała ci?
- Tak. W ogóle nie знаła Sandy'ego... była sprzątaczką.
- Na swój sposób to całkiem pomysłowa osóbką.
- Wydaje mi się, że ty także byłaś całkiem pomysłowa.
- Ciekawam, czy będziesz z nią szczęśliwy.
- A kiedy, mamo, byłem w życiu szczęśliwy?
- Och, Henryku, nie wygłupiaj się.
- Szczęście nie pojawia się na zawołanie. To dar natury i ja go nie posiadam.
- Dlaczego chcesz się z nią żenić?

– Jak to wytłumaczyć? Tak po prostu kręci się ten świat. Nie jestem szczęśliwym człowiekiem, którego radosne decyzje muszą być niewątpliwie słuszne. Może to, że czuję się odpowiedzialny za Stefanię, wiąże się z moim poczuciem wartości. Oczywiście w tym wszystkim dużą rolę grały złudzenia, a może dalej grają, i oczywiście stało się to częściowo za sprawą Sandy’ego. Nie mam pretensji, że kłamała, było w tym coś heroicznego. Jest tak bezradna, a jednak wbrew temu, że pech ją prześladował, walczyła o życie. Ma dziwny urok, wiem, że go nie dostrzegasz. Może to dlatego, że jest tak ogromnie wzruszająca i że mi jej żal... i mam ją, a to się nigdy przedtem nie zdarzyło. To pierwsza poważna rzecz, jaka kiedykolwiek pojawiła się w moim życiu, a ponieważ jestem sobą, nie mam pojęcia, jak to się zdarzyło i dlaczego. Potrafię przeniknąć złudzenia, a przynajmniej niektóre z nich, i kocham ją, jak Pan Bóg ją kocha, tak mi się wydaje. Może zostałem w to wciągnięty oszukańczo, w to, że widzę ją tak, jak Bóg ją widzi, i kocham, jak Bóg ją kocha. Cóż, oczywiście, o Bogu nie mówię w tej chwili na serio. Chodzi mi po prostu o to, że widzę, jak bardzo jest zagubiona, ale jest moja i czuję, że jest moim przeznaczeniem.

– Miałam nadzieję, że raczej ożenisz się z Colette – powiedziała Gerda, obrywając nitkę i ostrożnie wbijając igłę w pikowaną różową pokrywkę pudełka z szyciem.

– Ach, Colette. Czy wiesz, że mi się oświadczyła. Widocznie to pora oświadczyn.

– A ty ją odrzuciłeś.

– Tak. Nie mogłem... nie widziałem w niej... – Henryk w skupieniu podrzucał ciepły popiół czubkiem buta.

– Ale teraz możesz?

– Och, nie wiem. Potem to wszystko odwołała, nie kocha się we mnie. A w ogóle to dziewczynka, pensjonarka. Nie, Colette nie jest moim przeznaczeniem.

– Dlaczego uważasz, że nie posiadasz daru szczęścia? – zapytała Gerda po chwili. Siedziała teraz głęboko w fotelu, z założonymi rękami, patrząc, jak Henryk wsuwa stopę między prety osłony.

– Ponieważ ty z moim ojcem okradliście mnie z niego, kiedy byłem małym dzieckiem.

– Więc myślisz, że wcześniej go posiadałeś? Może spoczywając w moim łonie?

– Jesteś sprytna, mamó. Może. Ale świadomość mnie skazała. Zanim skończyłem sześć lat, złamano moje zaufanie. Wszyscy się sprzysięgli, żeby mnie upokarzać. Sandy znęcał się nade mną, ojciec pokpiwał ze mnie, onieśmiał i sprzeciwiał się na każdym kroku. Drwił ze mnie i zachęcał ciebie i Sandy'ego, żebyście ze mnie drwili. Mogłaś mnie chronić. W porządku, wolałaś Sandy'ego, ale mogłaś nie pozwolić ojcu, żeby mnie tak miażdżył. Nie zrobiłaś tego... byłaś jego sprzymierzeńcem i robiłaś to, co chciał. A ponieważ uczono nas tego cholernego stoicyzmu i sznurowania ust, prawdopodobnie nie masz pojęcia, ile wycierpiałem jako dziecko, jak całkowicie złamaliście moją wolę. Ojciec potrafił zniszczyć nawet najmniejszy projekt, jaki kiedykolwiek byłem zdolny sobie stworzyć. Według niego był mały, śmieszny i nic niewarty. Oboje toczyliście ze mną wojnę. Oczywiście Sandy się przyłączył. Przez całe dzieciństwo musiałem ukrywać swój ból, ukrywać łzy. Nic dziwnego, że od tego czasu nie chciałem już robić nic innego, jak tylko uciekać i ukrywać się.

– Oczywiście jesteś niesprawiedliwy – powiedziała Gerda, siedząc całkiem nieruchomo z założonymi rękami.

– W porządku, to tylko moje wrażenie. Ale ludzie ponoszą odpowiedzialność za to, jakie wrażenie robią na dzieciach.

– Wydaje mi się, że miałeś wiele szczęśliwych chwil.

– Może. Zapomnij o tym.

– Twój ojciec był porywczy i miał silną wolę.

– Tyran. Tak.

– Tak.

Henryk strzepnął popiół z buta i spojrzał na matkę.

– Oskarżasz mnie, że byłem jego sprzymierzeńcem – powiedziała Gerda. – Może powinnam z nim walczyć, ale koszty byłyby zbyt wysokie. Musiałam się poddać. Oczywiście w miarę upływu lat on coraz bardziej nade mną dominował. Musiałam zajmować się nim, a nie tobą. Kochałam go i starałam się, żeby był szczęśliwy, i sama też chciałam być szczęśliwa. To nie było łatwe, może w ogóle niemożliwe. Musiałam ciągle ustępować i ciągle myślałam, że dotarłam już do kresu ofiary, ale ciągle było jeszcze coś, czego ode mnie żądał i co trudno było ofiarować. Kochał mnie i był to w pewnym sensie jedyny sposób na to, żeby uratować nasze małżeństwo. Ale nie mogłam zajmować się tobą i nim jednocześnie. Z Sandym nie miałam kłopotu, myślę, że chyba rozumiał, a w każdym razie był niezależny. Miałam nadzieję, że ty też będziesz taki. Ale nie. Byłeś wyma-

gający, potem zrobiłeś się okropnie wrogi. Wrogość dziecka też może ranić. Nie umiałam do ciebie dotrzeć. Miałam swoją własną walkę i swoje własne lzy. W pewnym sensie była to po prostu kwestia energii. Lubiłam Lucjusza, bo był taki absurdalny, wrażliwy i delikatny. A potem, kiedy Burkę umarł, Lucjusz stał się jakoś niepotrzebny, wydawało się, że mało się przejmuje, w każdym razie jego postawa była nie dość zdecydowana. Lucjusz i ja zagubiliśmy się nawzajem, bo ja straciłam wolę szczęścia, straciłam klucz. Powinnam wtedy przyjąć wobec Lucjusza rolę prowadzącą, ale brakło mi sił i stanęłam chłodna, czekając, aż on przyjmie wobec mnie taką rolę. A teraz i z tego nic nie pozostało. Pozwoliłam mu zamienić się w rezydenta, komiczną próżniaczą figurę. A ponieważ zawiódł moje nadzieje, dawałam mu prawie odczuć jego niższość. Sandy był jedynym człowiekiem, który nadawał mojemu życiu jakiś czysty sens, czystą radość, ale nigdy z nim poważnie nie rozmawiałam. Nie było między nami wymiany myśli. Nigdy nie powiedziałam mu tego, co teraz powiedziałam tobie. Odkąd skończył lat dwanaście, nigdy go nie dotknęłam ani nie pocałowałam. – Głos Gerdy był zupełnie zrównoważony i całe jej napięcie uczuciowe wyrażało się w bezruchu.

Henryk, który wstrzymał oddech, westchnął i gwizdnął cicho.

– Jesteś chłodną klientką, mamó. Może ostatecznie jesteśmy podobni do siebie. Słuchaj... mam nadzieję, że nie podejrzewasz, że sprzedaję majątek tylko przez zemstę.

– Nie tylko przez zemstę. Myślę, że mylisz się w swoich motywach. Myślę, że się mylisz. Nie podoba mi się to, co robisz, ani sposób, w jaki to robisz. Ale może pewnego dnia, kiedy zamieszkałam już w Dimmerstone, będę ci za to wdzięczna.

– Ach... jesteś... tak... dziękuję.

Gerda była bardzo spokojna. Henryk stał teraz przed nią. Po chwili zaczął mówić dalej:

– Nie znam cię dość dobrze. Teraz czuję, że nie znam cię w ogóle. Jestem taki wdzięczny... za tę rozmowę. To nasza pierwsza prawdziwa rozmowa. Tak, chłodno patrzysz na życie. Chciałbym... och, chciałbym... chciałbym... chciałbym...

– Niczego nie chciej, Henryku. Oboje musimy przyjąć to, co nazwałeś sposobem, w jaki kręci się ten świat. Idź już do łóżka, mój drogi, jest późno.

– Och, mamó... jest tak... jak gdyby...

– Dobranoc, Henryku.

Henryk stał sztywno, potem skreślił i zrobił krok w bok, wreszcie zawrócił. Gerda spuściła oczy i powoli wyciągnęła rękę po koszyk z robótkami. Minał właściwy moment. Henryk znowu się odwrócił i jego szybkie kroki odbiły się echem w pokoju, w hallu, na schodach. Gerda zamknęła koszyk i zapięła haczyk. Pohamowała łzy i marszcząc brwi z namysłem, zaczęła wpatrywać się w blade resztki ognia.

– Przestań wreszcie płakać, Colette – niecierpliwił się John Forbes. – To tylko nerwy. Nikt nie potrafi szczerze płakać bez końca.

– Ja potrafię – powiedziała Colette. Pozdejmowała z parapetu figurki zwierząt z porcelany kopenhaskiej i siedziała przy oknie, spoglądając na ogród.

– Zobaczy cię tutaj.

– On nic nie widzi.

W ogrodzie Kato plewił grządki kwiatów. Padał drobny deszczyk. Był bez płaszcza i kapelusza.

– Obserwuję go od godziny – martwiła się Colette.

– Mam nadzieję, że nie płaczesz od godziny, popsujesz sobie oczy. Boże, jakie te dziewczęta są głupie.

– On nic nie widzi. Obserwuję go. Wyrzywa chwasty tak jak trzeba, ale robi to, jakby był ślepy. Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś podobnego. Spójrz tylko na niego.

– Nie będę mu się przyglądał – powiedział John Forbes i odwrócił się od okna, zaciskając pięści. – Na pewno przemókł. Zawołam go do środka.

– Lepiej nie, to jakbyś budził go z transu i mogłoby się źle skończyć. Zresztą już przestaje padać. Spójrz, jest tęcza.

– Wolałbym, żeby robił coś innego.

– Nie może. Mógłby pewnie zmywać. Zostawiłam mu trochę. Nie może chodzić na spacer, rozmawiać z nami ani czytać książek. Znalazł się w piekle. Nigdy nie widziałam człowieka, który byłby w piekle.

– Nie opowiadaj głupstw, Colette. Nie masz pojęcia, czym jest piekło. Przeżył wstrząs. Ale wolałbym, żeby chciał mówić.

– To niemożliwe. Wstydzi się. A dla niego to potworne, straszne, zupełnie co innego niż dla nas. Czy wstydziłeś się kiedyś, tatusiu?

– Tak. Oczywiście. – Ale John, zakłopotany tym pytaniem, nie mógł wydobyć z pamięci żadnych przekonujących przykładów.

– Myślę, że umiera ze wstydu.

– Przestań płakać, Colette.

– W porządku. Już przestałam. Zimno tutaj. Może rozpalimy na kominku?

– Nie patrz na niego.

– Dobrze, nie będę.

– Obawiam się tylko, żeby po tej okropnej historii nie rzucił się z powrotem w objęcia Kościoła.

– Mam nadzieję, że tak będzie. Musi gdzieś znaleźć pomoc, a my nie możemy mu jej ofiarować. Gdybym chociaż mogła modlić się za niego. Wydaje mi się, że mogłabym nauczyć się modlić, choćby ten jeden raz, że mogłabym wymyślić Boga po to tylko, żeby uratować Katona.

– Teraz ty zaczynasz swoje! Taka jesteś przesadna we wszystkim, Colette. Jesteś tak pochłonięta własnymi uczuciami, że przekształcasz każdą katastrofę w jakiś kryzys metafizyczny.

– On kochał tego chłopca. I zabił go.

– Na pewno go nie kochał! A zabił niebezpiecznego, groźnego kryminalistę. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby go za to winić. Wiem, jakie to musi być straszne zabić człowieka. Dzięki Bogu wojna oszczędziła mi tych doświadczeń. Ale trzeba być mężczyzną i dać sobie z tym radę. Może to brzmi dość ostro, ale obowiązkiem mężczyzny jest nie załamywać się.

– On się nie załamał. Przeżywa piekło. To co innego, to gorsze. Czy nie widzisz, jak się zmienił na twarzy?

– Tak. – Widok tej zmienionej twarzy napełniał Johna grozą.

– Nie mogę zrozumieć jednego, dlaczego pisał te straszliwie upadające listy i do samego końca ani razu nie próbował się stamtąd wydostać. Nas uczono, że ucieczka jest obowiązkiem oficera.

– Kato nie jest oficerem.

– Uważam, że to różnica. Tatusiu, nie powiesz tego nigdy Katonowi, prawda, o tych listach i o tym, że nie próbował?

– Nie. Ale gdybym to zrobił, powinien być w stanie to znieść. Naprawdę chciałbym go zrozumieć.

– Proszę cię, nie mów tego, i proszę cię, nie myśl nawet o tym, to w pewnym sensie nielojalne wobec Katona.

– Uważam, że to, co myślimy, musi być prawdziwe, a nie lojalne! Przecież myśląc, chyba go nie krzywdzę, prawda?

– Owszem, krzywdzisz. Nie możemy teraz z nim mówić ani nawet go dotykać. Dziś rano dotknęłam jego ramienia, wzdrygnął się i tak strasznie na mnie spojrzał. Uważam, że teraz powinniśmy myśleć o nim z czułością i miłością.

– Colette, proszę cię, nie bądź sentymentalna! Całe to przesadnie wrażliwe dumanie nad nim nic nie pomoże. W końcu będzie musiał odnieść się do tego zdrowo i realistycznie. Porozmawiam z nim wieczorem.

– Tatusiu, proszę cię, nie rób tego! Tylko go od nas odsuniesz. Czuję, że jest... tak jakby był wobec nas po prostu uprzejmy. Cały czas udaje. Chce udawać spokój, ale to jest absolutnie nieprzekonujące, wewnątrz wyje z bólu. Spójrz na niego, spójrz, jak się pochyla, zmienił się nawet fizycznie, jest jak marionetka.

Kato, pochylając sztywno górną część ciała, opuścił głowę i wyciągnął rękę przed siebie. Zerwał łodygę krzyżownika i wyprostował się, odrzucając głowę do tyłu. Nie spoglądając w tamtą stronę, rzucił chwast na stos innych, zrobił krok w prawo, dostawił lewą nogę i znowu się pochylił.

– Nie mogę na niego patrzeć – powiedział John Forbes. – Gdyby choć nie pisał tych listów, to jest coś, czego nie mogę zrozumieć...

– U oficera i u dżentelmena! Pogardzasz nim i on to czuje, czuje, że wszyscy nim gardzą. Jest mu wstyd i czuje się upodlony. Musi nas w tej chwili nienawidzić.

– Och, głupstwa! Mam nadzieję, że zostanie tu do początku jesiennego semestru.

– Ja nie mam. Nie możemy mu pomóc, tatusiu. Nie mamy na to sposobu. Lepiej, jeśli pojedzie z powrotem do Londynu, do ojca Craddocka. Jestem pewna, że pojedzie, kiedy tylko poczuje, że był dla nas dosyć uprzejmy,

– Uprzejmy! Colette, idź i umyj twarz, wyglądasz jak widmo. Co będzie, jeśli na przykład Giles Gosling wpadnie i zobaczy cię w takim stanie?

– Wszystko mi jedno.

– Przecież pójdziesz z nim potańczyć, prawda?

– Nie mam dobrej sukienki.

– No, to ją kupisz. Już jutro rano jedź do Londynu! Ile teraz kosztuje ładna sukienka, dziesięć funtów?

– Tatusiu, żyjesz w przeszłości!

– No, więc dwadzieścia funtów, trzydzieści funtów. Jedź koniecznie i kup sobie nową sukienkę. Chcę, żebyś poszła na zabawę z Gilesem i żebyś tam była najładniejszą dziewczyną! Czterdzieści funtów?

– Tatusiu, tak bardzo pragniesz mojego szczęścia, że chcesz mnie po prostu przekupić!

– Wszystko załatwione – oświadczył Henryk, który wrócił z Londynu prosto na herbatę. – Furgonetki od Sotheby’ego przyjeżdżają we wtorek o ósmej rano.

– Byli tu agenci licytatora – powiedziała Gerda. – Może spróbujesz placka, Lucjuszu?

– Nigdy w życiu nie wezmę już do ust placka – drożył się Lucjusz.

– Dlaczego nie? – zapytał Henryk, nakładając sobie.

– Podobno Kato Forbes wrócił do Londynu. Żałuję bardzo, że się z nim nie widziałeś, Henryku, jestem pewna, że mógłbyś mu pomóc.

– Ponieważ placki kojarzą mi się ze szczęściem.

– Och, daj spokój – powiedział Henryk. – Słyszałem, że zamierzasz napisać swoją autobiografię rymowanym heksametrem.

Pili herbatę w jadalni, gdzie wszystko na razie pozostało nie tknięte, jako że duży mahoniowy stół i komplet krzeseł wiktoriańskich miały być sprzedane *in situ*. Nalepiono już na nie białe numerowane etykiety. Posiłki, które po odejściu Rhody przestały być wymyślne, teraz sprowadzały się do rzeczy całkiem prostych. Nie zawsze nawet sprzątno rozsypane okruchy. Lucjusz miał na sobie płaszcz z postawionym kołnierzem, choć ciągle jeszcze było ciepło. Siedział przy stole bokiem,

wpatrzony w ścianę, z wyciągniętymi przed siebie nogami. Już teraz wydawał się odległy, poszarzały, pogrążony w marzeniach; przestał też ubiegać się o cudze współczucie. Natomiast Gerda była ożywiona i podniecona. Henryk na próżno usiłował przywrócić między nimi porozumienie. Unikała jego wzroku, umykając przed niemymi próbami nawiązania kontaktu. Włożyła letnią suknię i wyglądała młodo i żwawo.

Henryk, spoglądając przez okno na słońce, które pieściło i wieńczyło swym blaskiem czerwoną ceglana ścianę pawilonu „królowej Anny”, z tej strony pokrytego pączkami glicynii, czuł się tak, jakby budził się ze snu. Lub raczej jak gdyby miał nocne koszmary, a potem stwierdził, że to rzeczywistość. Czyżby nie wiedział, nie rozumiał, co robił dotychczas, zanim zobaczył przylepione do krzeseł białe etykiety i Lucjusza, zbyt nieszczęsnego, żeby chociaż zachować pozory? Przez cały czas od chwili powrotu do domu przeżywał, po raz pierwszy i jedyny, orgię samowoli. Wydawało mu się, że nigdy przedtem naprawdę ani konkretnie nic nie robił, nigdy nie wyciągnął mocnej, władczej ręki, żeby zmienić świat, nigdy aż do tej chwili. A teraz dokonał tego odważnie, z nadzieją, że pozna pełnię życia, A jednak czuł się raczej tak, jakby zabił siebie samego. Zniszczył dom swoich przodków, wygnał matkę i pozbawił dachu nad głową tego śmiesznego, pretensjonalnego i nieszkodliwego staruszka. Czy zrobił to, aby dowieść swojej determinacji, czy też z poczucia obowiązku albo przez zemstę? Nie mógłby udźwignąć ciężaru majątku i bogactw, i zepsucia, jakie ze sobą niosą, a przecież wszystko inne było tylko konsekwencją? Czy nie była to odwaga moralna i wyciąganie konsekwencji?

Lucjusz przyjął pieniądze, a matka na pewno da sobie radę. On zaś ożeni się i wróci do Ameryki z tą drogą bezradną kobietą, której los od tej pory od niego będzie zależał. Jak się ta sprawa miała do siły woli? I jeśli w efekcie dokonał spustoszenia, czy nie pragnął tego i czy nie jest to jego dzieło, jak żadne inne przedtem? Zyskał jakieś wyzwolenie, zdobył jakąś Stefanię i z tego stworzy sobie przyszłość, właściwą decyzję i żonę. A jednak przeżywał okropną mękę i żal; kojarzył to w pewnym stopniu z rozmową, w której, po raz pierwszy od czasu swego dzieciństwa, naprawdę, może tylko przez kilka sekund, mógł się z matką porozumieć. I to porozumienie stworzyło jakąś głęboką szczelinę, obudziło w nim jakąś starą zdolność do miłości dla matki. Żyła w nim jeszcze miłość, która nie znała jej zbrodni lub mogła udawać, że o nich nie wie. Tylko teraz nie było już czasu i Gerda znowu zamknęła się w sobie i uzbroiła w okropną, jaskrawą wesołość. Henryk wpatrywał się w nią, ale ona nie chciała spojrzeć mu w oczy. Pragnął dotknąć jej ręki. Wyciągnął palce i poruszył

kilka okruchów na stole, zastanawiając się, czy zauważyła jego gest i to, co się za nim kryje.

– No cóż, weź może kawałek chleba – powiedziała Gerda do Lucjusza.

– Pojadę do Audrey jeszcze przed licytacją.

– Nie możesz wyrzekać się chleba na zawsze. A poza tym niewiele jest na kolację.

– Mam dostać pokój Toby’ego. Wiem, co to znaczy.

– A cóż to znaczy? Herbaty?

– Gdzie jest Stefania? – zapytał Henryk, który nie widział jej od chwili przyjazdu.

– Albo w łóżku, albo na spacerze.

– Mam nadzieję, że poszła na spacer – powiedział Henryk – to jej dobrze zrobi.

Tak bardzo zależało mu, żeby poszła na spacer. Każdy powrót do niej ścisnął mu teraz serce bólem, jak powrót do klatki chorego zwierzęcia. Bał się, że kiedy wejdzie na górę, zobaczy, jak Stefania leży w łóżku, rozsypując po pościeli popiół z papierosów, i wodzi po ścianach pokoju, jak mu się zdawało, celowo tępych wzrokiem. Jezu Chryste, ma wyjść za mąż i tak się teraz czuje! I ja też czuję się trochę podobnie. Przypuszczam, że wszyscy ludzie czują się jakoś skazani, kiedy się żeniają. Ale kiedy wydostaniemy się z tego impasu, kiedy znajdziemy się w Sperriton, wszystko się zmieni. I perspektywa spotkania z Russem i Bellą rozbłysła przed nim na chwilę jak złota iskra.

– Idź i zobacz, może ją gdzieś znajdziesz – powiedziała Gerda. – Zapytaj, czy by nie przyszła na herbatę.

Henryk wstał i wyszedł do hallu. Na stole zobaczył list z Ameryki adresowany dużym pismem Belli, włożył go do kieszeni i przez frontowe drzwi przeszedł na taras. Zachodzące słońce uderzało z całą siłą w fasadę pawilonu „królowej Anny”, rzucając na zielone zbocze po prawej stronie długie zaokrąglone cienie wysokich drzew. Jezioro wibrowało błękitem, a ciepłe powietrze, nasycone wonią kwiatów, drżało od śpiewu ptaków. Henryk rozglądał się niespokojnie, szukając na mostku lub w pobliżu jeziora postaci Stefanii w miękkim kapeluszu od słońca, ze staromodnym parasolem, który Henryk sam dla niej wynalazł i z którego wydawała się bardzo zadowolona. Dzisiaj, podobnie jak jego matka, włożyła pewnie letnią sukienkę. Ale nigdzie nie dostrzegł jej osoby. Na rozległych

połaciach trawy skakało tylko kilka wiewiórek. W kierunku lasu jak jakiś omen przefrunęło srocze trio. Teraz musi iść i poszukać Stefanii na górze. Gdyby tylko mógł ją przekonać, żeby otworzyła okno. Czy ten okropny zapach to tylko papierosy? Zwlekając przez chwilę, wyciągnął z kieszeni list Belli i zaczął czytać.

Kochanie, słuchaj i nie myśl o nas źle. W ciągu ostatnich paru dni przewaliła się masa różnych spraw. Krótko mówiąc, Russ dostał posadę w Santa Cruz i musimy natychmiast jechać. Ktoś z tamtejszego wydziału przypadkowo zatruł się na śmierć narkotykami, niech go Pan Bóg błogosławi, i potrzebowali kogoś od razu; dzwonili przez międzymiastową, pytali, czy Russ zechce przyjechać, i obiecali mu coś w rodzaju stałej posady, gdyby zechciał, a nawet mają dom (ale nie po nieboszczyku!) i musieliśmy zdecydować natychmiast, i oczywiście musieliśmy po prostu powiedzieć tak, i naprawdę mamy nadzieję, że zrozumiesz! Więc kiedy przyjedziesz do Sperriton, nas już nie będzie. Zostawiliśmy Twoje klucze u Paula i Mai Horowitzów i oni pięknie przygotowują wszystko na Wasz przyjazd, a my szalejemy ze złości, że nie będziemy mogli Cię powitać, i oczywiście umieramy z ciekawości – ale przecież niedługo się zobaczymy, prawda? Musisz jak najszybciej odwiedzić nas z żoną w Santa Cruz. Nasz nowy dom stoi nad oceanem, mamy ogród z kawałkiem dżungli i basen kąpielowy w stylu cesarstwa rzymskiego! Musisz przyjechać jak najprędzej, to pewne, bo inaczej będziemy myśleli, że nam nie przebaczyłeś! I oczywiście będziemy ryć tu jak szalone bobry, żeby znaleźć posadę dla Ciebie. Napisz szybko, kochanie, cały czas myślimy o Tobie. Powinieneś był powiedzieć nam dokładnie, kiedy nastąpi ten wielki dzień. I, kochanie, jeśli chcesz wiedzieć, czy jestem zazdrosna, wiedz, że oczywiście jestem! Napisz prędko na wydział filozofii, bo nie od razu zainstalujemy się w tym domu. (Jest cudownie hiszpański, taki, o jakim marzyliśmy od dawna, z fontanną). I nie zapominaj, że Kochamy Cię, że żonaty czy nieżonaty należysz do nas. Gorące uściski. Bella.

U spodu arkusza Russell nabazgrał:

Przykro mi, mały. Kochamy Cię, ale chyba bardziej Kochamy siebie.

Henryk zmiął list i wsadził go z powrotem do kieszeni. Przed oczyma wyrosła mu ciemna chmura i powoli zaczęła go pochłaniać. Spoglądał na zalany słońcem krajobraz i nie widział nic. Nagle uświadomił sobie, że całą sprawę zabrania Stefanii do Sperriton zabarwiała, rozjaśniała i umożliwiała myśl o Russie i Belli. Jakże to niesprawiedliwe wobec Stefanii. A jednak taka była prawda, może zasadnicza prawda, i to nie najgorsza. Ponieważ Russ i Bella byli dzielni i dobrzy, kiedyś wszyscy zostaliby uratowani. Tylko teraz – jakkolwiek dzielnie Bella o tym mówiła – wszystko się skończyło i nigdy już nie wróci do dawnego stanu. W Sperriton Russ i Bella przełknęliby Stefanię całkiem nieźle. Z dystansu tysiąca ośmiuset mil Stefania będzie curiosum. Będzie obca, a on również prędko stanie się obcy. Russ i Bella będą żyli w innym świecie, porobią nowe znajomości, będą kochać i będą kochani gdzie indziej, adoptują następnego Henryka. Kiedy on ze Stefanią pojedą ich odwiedzić, pośród przyjęć i okrzyków radości Bella będzie się popisować swoim nowym światem, a pozbawiony tego wszystkiego Henryk przeżywać będzie męki zazdrości. Co do posady w Santa Cruz dla niego, mogliby równie dobrze starać się o posadę astronauty i świetnie o tym wiedzieli. Był to koniec drogi z Russem i Bellą i nikt ich nie zastąpi: ani Paul i Maya, ani Rosina i Franz, ani Bili i Emmy, Ann i Minio, nikt.

Powoli obrócił się i wszedł do domu. Było mu zimno i poczuł, że oczy go pieką, jak gdyby zbierało mu się na płacz. Przemknęła mu przez głowę szalona myśl, żeby pójść do matki, ale skrzył w stronę schodów. Gdyby tylko, idąc teraz do Stefanii, mógł odczuwać, że idzie tam, gdzie go zatrzymają, a nie tam, gdzie on musi kogoś zatrzymać.

Dom rozbrzmiewał dziwnym echem. Z galerii usunięto stopy mebli, a z górnego podestu zniknęły dywany i kilimy. Henryk powiedział: – Dzień dobry – i wszedł do sypialni Stefanii, ale zobaczył, że jest pusta. Podeszedł do okna i wyjrzał w kierunku północnym, żeby sprawdzić, czy nie ma jej z tej strony domu. Rozejrzał się po zarośniętym podjeździe, który zakręcał w stronę drzew iglastych, przysłonięty mgiełką kwitnących chwastów. Szukał drobnej postaci Stefanii, błakającej się wśród krzewów lub wylaniającej powoli z brzoźowego lasku. Nosła zawsze nieodpowiednie pantofle i spacerowała piekielnie wolno. Kiedy pomyślał o jej butach, przyszło mu do głowy, że minęło już sporo dni od czasu, kiedy ostatni raz się kochali. Nowe pędy na wierzchołkach drzew iglastych wtapiały się w niebo czerwonym blaskiem. Spoglądając w bok, w stronę podjazdu, Henryk westchnął. Pokój był duszny i pachniał dymem tytoniowym, kosmetykami i jakąś jeszcze inną ludzką wydzieliną, potem, a może bielizną czy czymś w tym rodzaju. Otworzył szeroko okno, wciągnął ciepłe, pełne

zapachów powietrze i znowu westchnął. Cofnął się, oślepiiony światłem dnia, do pokoju. Łóżko Stefanii, z garbem skłębionej pościeli, było z grubsza doprowadzone do porządku. Tam, gdzie kapa przykrywała poduszkę, zauważył białą plamę. Podeszedł ze zmrużonymi oczyma i zobaczył kopertę. List adresowany do niego.

Na widok listu poczuł, jak serce jego przenika złowróżbny promień czystego strachu. Chwycił go i otworzył.

Drogi Henryku!

Mam nadzieję, że nie zdziwisz się, otrzymując ode mnie wiadomość tą drogą, musiałeś tego oczekiwać, chciałeś tego i uważam, że nie zachowałeś się wobec mnie uczciwie, sam mnie do tego doprowadziłeś, wiesz, że tak było. Kochasz kogoś innego, mam powody, aby w to wierzyć, i nigdy nie myślałeś o tym, czego ja chce, tylko czego Ty chcesz. W małżeństwie musi być równość i sam mnie pchnąłeś do tego kroku. Chciałam mieszkać we dworze, a nie jechać do Ameryki, ale Ty nie chciałeś o tym słyszeć, nie chciałeś przedyskutować tego ze mną jak równy z równą. Całe życie byłam nieszczęśliwa i kiedy spotkałam Cię, myślałam, że ktoś się nareszcie mną zaopiekuje i pomyśli o moim szczęściu, ale to nie miało się spełnić. Jestem taka nieszczęśliwa, kiedy to piszę, i naprawdę chciałabym, żebyś się rozmyślił i wszystko urządził tak, żebyśmy mogli mieszkać we dworze, a nie jechać do Ameryki, gdzie jest ta kobieta; spodziewałeś się, że wiele zniosę, a kiedy chciałam o tym mówić, po prostu śmiałeś się ze mnie, a ja przypadkiem wiem, że Twoim zdaniem brak mi poczucia humoru. Jedyne człowiek, który był dla mnie naprawdę dobry, to Lucjusz; Twoja matka robiła, co mogła, ale traktowała mnie jak kogoś gorszego i wydaje mi się, że Ty też tak o mnie myślisz. Nie wiesz, jak bardzo mnie bolały Twoje pozy i to, że ciągle się ze mnie śmiałeś. Wróciłam do Londynu, żeby to przemyśleć, ale jeśli dalej masz zamiar sprzedać wszystko i jechać do Ameryki, to myślę, że nie pasujemy do siebie. Chciałam mieszkać we dworze i rozumiałam, że tak miało być na początku, kiedyśmy się zaręczyli. Wiem, myślisz, że jestem głupia, a naprawdę to nigdy nie miałam szczęścia, ludzie stale porzucali mnie i opuszczali, a poza tym mają swoje sprawy i nie zatrzymają się, żeby człowiekowi dopomóc. Ciekawiłam Cię tylko dlatego, że uważałeś mnie za kobietę łatwą i z powodu Sandy'ego. Żałuję, że nie poznałam go lepiej, pewnie tak by się stało, gdyby nie umarł, to był taki miły człowiek i myślę, że moglibyśmy żyć ze sobą, w każdym razie o tym marzyłam. Jeśli chcesz się ze mną zobaczyć i pomówić o wszystkim, będę w mieszkaniu; poza tym

mówiłeś, że mogę je zachować, w każdym razie mówiłeś tak na początku, ale nie chcę się z Tobą widzieć, jeśli nie zamierzasz zatrzymać dworu i pozostać, tak jak powinieneś, w Anglii. Wiesz dobrze, że nigdyśmy się naprawdę nie zgadzali, i czuję, że byłoby mi lepiej z kimś, kto by mnie rozumiał i naprawdę się o mnie troszczył. Nie mogę znieść, żeby mnie ktoś popędzał do małżeństwa i zabierał w obce miejsca, gdzie Twoi mądrzy przyjaciele śmieliby się ze mnie, dosyć już miałam przykrości. Nigdy nie próbowałeś widzieć mnie taką, jaką jestem naprawdę, czuję, że wykorzystywałeś mnie dla własnych celów. Przykro mi bardzo, Henryku, ale byłam taka nieszczęśliwa, myślałam, że chyba umrę, a Tyś mi nie pomógł i musiałam uciec; ale naprawdę pomyśl o tym, żeby zostać w Anglii, proszę Cię; jednak wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak się rozstaniemy, jeśli nigdy nie zechcesz robić tego, czego ja chcę.

W każdym razie dobrze nam było w łóżku, a to zawsze coś. Proszę Cię, spróbuj zrozumieć, że muszę być sobą, a nie mogę być taka, jak Ty chcesz. Och, jaka jestem nieszczęśliwa.

Twoja kochająca

Stefania

Henryk siedział na łóżku i czytał list. Północne światło wieczoru nasycalo pokój promienną jasnością. Dom milczał i tylko na dworze śpiewały ptaki. Henryk poczuł bardzo czysty i dziwny ból, jak nie zakłócony niczym ból skruchy, taki, jaki odczuwamy, kiedy musimy zrobić rachunek sumienia przed Bogiem. Nie znaczy to, że nic nie ukrył lub pozbył się złudzeń, ale przez krótką chwilę objawiła mu się wyraźna i jasna wizja tego, co robił dotychczas. Oczywiście wykorzystywał Stefanię, oczywiście jej życzenia były mu obojętne i oczekiwał, że będzie mu posłuszna, oczywiście nie traktował jej jak równej. Zakładał, że będzie wdzięczna za okazaną jej uwagę. Niedobrze ją sobie wyobraził. Dosyć już miałam przykrości. Oczywiście, doskonale zdawał sobie sprawę, że biorąc ją w ramiona obejmuje zupełnie niezrozumiały kłębek ludzki. Ale w orgii wyzwolenia woli wyobrażał sobie, że jeśli tylko będzie pędził naprzód dosyć szybko, wszystko będzie dobrze. Czy ma teraz gonić za nią do Londynu? Nasunęła mu się spokojna i jasna odpowiedź – nie. Na swój śmieszny sposób list był śmiały. Na swój śmieszny sposób była śmiałą dziewczyną.

Siedział nieruchomo, oszołomiony i wyczerpany uczuciowo, ogarnięty czystym bólem utraty i wyrzutów sumienia. Śmieszna mała, droga mała Stefania zniknęła, okazując pomysłowość i siłę samoobrony, której by się

po niej nie spodziewał. Uciekła; i teraz nigdy już nie będzie się nią opiekował ani jej wychowywał, nigdy nie będzie pracował, żeby zapewnić jej szczęście lub by wynagrodzić jej podłe życie. Czy rzeczywiście kiedyś myślał, że tak będzie? Siedział sztywno, pragnąc wykorzystać jasność tej chwili i ślepo hamując w sobie coś, co pojawiło się równocześnie: uczucie głębokiej ulgi. Czuł litość, dobrą starą znajomą, która kiedyś połączyła ich dłonie. „Biedna poczciwa Stefcia – powiedział głośno. – Biedna Stefa, ach, biedna Stefa”. Miłość do niej tkwiła w nim dalej, paląca, ale skurczona do rozmiarów małego punktu, poza którym rozpościerała się jego spokojna, niegodna osoba. Jakie to absurdalne, pomyślał. Jestem absurdalny, ona jest absurdalna. Nigdy bym jej nie opuścił, nigdy. Tak, jestem pewien, że to prawda, i to jest ważne. Ale teraz ona mnie opuściła i...

Powoli podniósł się, nagle dostrzegając wszystkie szczegóły pokoju, smugi rozsypanego pudru na pustej toaletce, szare ślady popiołu z papierosów na pościeli, pożyczoną od Gerdy parę rannych pantofli. Ruszył powoli do drzwi, upuścił po drodze zmięty list Stefanii, przeszedł przez dudniący echem podest na schody i opierając się ciężko o barierę pomaszerował w dół, przesadzając po dwa stopnie na raz, minął hall i wszedł do biblioteki. Jedno z wysokich okien było częściowo otwarte; podnosząc je na ramionach, wyszedł na taras, zeskoczył na trawę, potknął się i zaczął biec. Droga prowadziła lekko pod górę i kiedy dotarł do podjazdu, dyszał ze zmęczenia. Pobiegł dalej, nie dostrzegając żwiru pod nogami, i zdawało mu się, jakby biegł po grządce kwiatów; i rzeczywiście wokół nóg oplatały mu się polne kwiaty. Przy drzewach iglastych musiał zwolnić kroku. Żelazna brama prowadząca na drogę była dalej zamknięta na kłódkę, zapomniał prosić Bellamy'ego, żeby ją otworzył. Podciągnął się na główną sztabę, jedną ręką oparł o mur i przerzucił drugą nogę górą. Szpikulec przeszył mu spodnie i Henryk usłyszał lekki odgłos rozdieranego materiału. Poczul na nodze dotyk rozgrzanego słońcem żelaza, odbił się, zeskoczył i pośliznął, raniąc sobie dłonie o kamienny krawężnik drogi. Strzepnął żwir, obciągnął poły marynarki i skreślił na prawo w stronę Leśnej Zagrody. Przed zakretem zwolnił kroku, próbując zebrać myśli.

W tym momencie na ścieżce pojawiła się Colette i skreśliła przed nim w stronę wioski. Szła powoli, nie zwróciwszy na niego uwagi. Henryk przez jakiś czas szedł cicho w odległości około dwudziestu metrów za nią. Droga biegła w tym miejscu prosto, z jednej strony rosły czarne bzy, a z drugiej ciągnął się szeroki pas trawy i szereg wiązów. Między bzami i u podnóża drzew ciągle jeszcze kwitła masa pierwiosnków. Henryk szedł cichym kocim krokiem. W zachodzącym słońcu wyprzedzał go jego własny długi

cień. Przyspieszył kroku, tak że głowa jego cienia dosięgła Colette, a potem ją minęła. Ujrawszy cień pod nogami, dziewczyna odwróciła się i zatrzymała. Henryk też od razu przystanął i przyglądał się jej w milczeniu.

– O, jak się masz, Henryku.

Ubrana była w zielone pumpy, te same, które miała na sobie, kiedy spotkała Henryka i Stefanię w volvo, tylko teraz zamiast tweedowego żakietu włożyła jasnobrązową koszulę podobną do rosyjskiej rubaszki. Ciemne włosy, zebrane z tyłu głowy, były upięte i zrecznie podkrecone. Niosła koszyk. Na policzku, z którego zdjęto bandaż, miała długą siną szramę.

– Jak się masz – odparł Henryk. Ale nie drgnął.

Colette przez chwilę wpatrywała się w niego bez uśmiechu. Potem, widząc, że się nie odzywa, machnęła niepewnie ręką, odwróciła się i pomaszzerowała przed siebie. Henryk też ruszył, około dziesięciu metrów za nią. Minał ich jakiś samochód.

Colette znowu zatrzymała się i obróciła, wchodząc na pas trawy. Henryk również przystanął, ale niezbyt blisko. Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– O co chodzi?

Henryk zrobił dwa kroki ku niej w wysokiej trawie.

– Dokąd idziesz?

– Do wioski.

– Po co?

– Po piwo i tytoń dla tatusia.

Ponieważ Henryk nic nie mówił, niepewnie odwróciła się.

– Poczekaj chwilę – powiedział. Przebrnął pas trawy i stanął tuż przy niej. – Słuchaj, Colette. Ostatnim razem, kiedy cię spotkałem i miałaś na sobie te zupełnie absurdalne, ale muszę przyznać, całkiem zgrabne spodnie, powiedziałaś, że mnie kochasz. Potem to odwołałaś. A jednak trudno mi uwierzyć, że naprawdę zmieniłaś zdanie. Twoje pierwsze wyznanie brzmiało przekonująco, a drugie nie. Powiedz, proszę, czy kochasz mnie jeszcze?

Colette spojrzała na niego, mrużąc oczy w słońcu. Potem rzuciła koszyk w trawę.

– Tak, oczywiście, dalej cię kocham.

– Wobec tego – powiedział Henryk – pobierzmy się, bo ja też cię kocham, Colette...

– Nie przeszkadza ci... moja twarz?

– O Jezu! – westchnął – ty idiotko! – Zrobił jeszcze jeden krok i padł u jej stóp na kolana w wysoką trawę. Wyciągnął ramiona do zielonych spodni i haftowanego obrąbka brązowej koszuli, ona pochyliła się ku niemu, a on ujął ją za ramiona i przewrócili się na ziemię między pierwiosnki. – Wybacz, Colette... to prawda... to jest chyba to... kochasz mnie? Wiem, że na to nie zasługuję... ale nie mógłbym znieść tego, gdybyś przestała. Umarłbym i musiałabyś zakopać mnie w rowie.

– Kocham cię, Henryku, tak płakałam za tobą, myślałam, że cię straciłam... powiedziałam, że cię nie kocham, tylko dlatego, że wiesz... cóż mogłam zrobić... i tak bardzo żałowałam, że powiedziałam to głupstwo o dworze, wszystko mi jedno, nie chcę niczego prócz ciebie, pójdę z tobą, gdzie zechcesz, nawet gdybyśmy mieli być biedni...

– Nie oceniasz zbyt wysoko moich możliwości zarobkowych – powiedział Henryk, trzymając ją mocno i patrząc jej w twarz, z głową wspartą na jej ramieniu.

– Pójdę za tobą, gdzie zechcesz...

– Gdzie ja pójdę, ty pójdziesz i moi krewni będą twoimi krewnymi, a mój Bóg twoim Bogiem?

– Tak, tak, tak.

– I nie chcesz wyjść za tego przekłętogo typa Gilesa Goslinga?

– Nie! Ale co się stało...?

– Później wszystko opowiem – odparł Henryk. – Później opowiem ci wszystko, co wiem, a ty wyjaśnisz mi, kim jestem. Wyrzucę z siebie wszystko i napełni mnie twoja łaska i twoja prawda. Czy mogę cię pocałować?

– Tak.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, delikatnie, ostrożnie.

– Twoje usta mają smak jabłek.

– Och, Henryku, tak bardzo cię kocham, jestem taka szczęśliwa...

– Ależ ta trawa mokra – powiedział Henryk. – To chyba rosa. Czy na pewno?

Gerda, która słyszała, jak Henryk gwałtownie zbiegał ze schodów, i cicho zeszła za nim do biblioteki, widziała, jak wypadł za drzwi i zeskoczył z tarasu, a potem popędził, długonogi, przez trawnik. Obserwowała go, dopóki nie zniknął za zakrętem podjazdu. Potem wróciła do jadalni. Otworzyła kredens.

Wszedł Lucjusz w płaszczu. Wyjął górne zęby, przyjrzał im się i włożył z powrotem.

– Nie wiem, co zrobić z tym kufrem pełnym rękopisów. Jeśli go tu zostawię, może po prostu zginać, a nie zmieści się w taksówce. Może lepiej go rozpakować i wszystko rozdzielić.

– Za bardzo się przejmujesz – powiedziała Gerda. – Przykro mi, że przeze mnie spaliłeś te wiersze...

– O, to nie ma znaczenia – zapewnił ją Lucjusz. – Znam je wszystkie na pamięć, więc po prostu przepisałem je od nowa.

– Człap, człap, stara kobieta. Wcale się nie gniewałam. Ale chętniej widziałabym coś bardziej romantycznego.

– Naprawdę? No, więc napiszę! Och, dobrze, och, Gerdo, czy mogę... Co ty robisz?

– Lucjusz, pomóż mi otworzyć tę butelkę szampana!

Czy uważasz, że jesteś doświadczona seksualnie? Stefania rozważała tę kwestię.

Siedziała w kuchni swojego mieszkania, ubrana w nowy japoński szlafrok z rozciętymi rękawami, haftowany w żółte smoki, i właśnie zrobiła sobie następną filiżankę kawy. Była jedenasta rano i kopuła Harrodsa lśniła w jasnym słońcu jak głowa kapusty. Mieszkanie i jego zawartość teraz prawnie należały do Stefanii, dokumenty przyszły ranną pocztą. Więc przynajmniej to zostało załatwione. Przedtem była trochę niespokojna.

Czy jesteś śmiała w kontaktach z płcią przeciwną? Nie, pomyślała, nie jestem śmiała, nie jestem też seksualnie doświadczona, jestem w tych sprawach jak młoda dziewczyna, jak nieśmiała i całkiem niewinna osoba. Czy to nie dziwne, że czuję się tak młodo, jak gdyby ciągle wszystko było przede mną? Przypuszczam, że to właśnie oznacza, że ktoś jest młody

duchem. Siedziała, myśląc o sobie. Pamiętała, jak nazywali ją niektórzy mężczyźni. Mężczyźni byli potworni. Tak okropnie nie miała szczęścia.

Stefania nie byłaby absolutnie w stanie rozwiązać bolesnego dylematu, który przed nią wyrósł, gdyby nie pełna sympatii pomoc Gerdy. Załamałaby się i pozwoliła, aby stare, znajome demony na powrót zawładnęły jej życiem, gdyby Gerda nie zmusiła jej do myślenia i działania. W czasie kiedy Henryk wyjeżdżał w swoich prywatnych sprawach, dużo przestawała z Gerdą. Gerda uważnie zajęła się Stefanią, szukała z nią kontaktu i udało jej się go nawiązać, a Stefania odwzajemniła jej się wdzięcznością, zaufaniem. Gerda powiedziała Stefanii szczerze, że jej zdaniem Henryk naprawdę kocha się w Colette, którą zna od dziecka. Twierdziła, i Stefania musiała się z tym zgodzić, że Henryk bardzo słabo zna Stefanię taką, jaką jest w istocie, i że nie zamierza wcale poznać jej lepiej. „To prawda, traktuje mnie jak dziecko, jak zabawkę” – przytaknęła Stefania z oburzeniem. Według Gerdy Henryk zaręczył się ze Stefanią wyłącznie z poczucia obowiązku. „Tak, on się nade mną zlitował”. Gerda zapewniała Stefanię, że Henryk zainteresował się nią poważnie tylko z powodu Sandy’ego i dotychczas nie przyszedł do siebie po wstrząsie, jaki przeżył, dowiadując się, że skłamała. „Mówił tak?” Stefania się rozplakała. A więc mówiąc prawdę straciła to, co zyskała, kłamiąc. Kiedy powiedziała mu prawdę, czuła, że jest cnotliwa i heroiczna. Wydawało jej się niejasno, że jakaś część rzeczywistości, która zawsze jej się wymykała, nagle znalazła się w zasięgu ręki, wystarczyło wyciągnąć dłoń i dotknąć, nareszcie nie marzenia, lecz czegoś realnego. I pozorne przebaczenie Henryka wydawało się gwarancją ostatecznego bezpieczeństwa. Tylko to także, jak wszystko inne, w co kiedykolwiek wierzyła, okazało się nierzeczywiste.

Gerda następnie wskazywała, że Henryk, co dla Stefanii było jasne, postanowił pozostać bez grosza. Na tym polegała jego postawa romantyczna, bardzo czarująca i bardzo niewygodna. Gerda dobrze rozumiała i podzielała strach Stefanii przed Ameryką. I czy nie było tam kobiety, którą Henryk interesuje się przede wszystkim? „Oczywiście, nie porzuci cię” – powiedziała Gerda. I odczekała chwilę. „Jestem tego pewna – odparła Stefania. – Kłopot polega na tym, że kiedy go tutaj nie ma, w ogóle nie wierzę w jego istnienie”. Gdyby tylko towarzyszył jej bez przerwy, jak przystało na kochankę, nigdy nie miałyby tych strasznych wątpliwości. Dlaczego Henryk wyjechał, gdzie teraz jest, z kim? Gerda twierdziła, że nie wie. Henryk zawsze wyjeżdżał. Stefania zaczęła wyobrażać sobie Amerykę, wyobrażać sobie Bellę. „Czego ty właściwie chcesz?” – pytała ją Gerda.

Czego właściwie Stefania chciała? W nagłym, ostrym błysku samoświadomości Stefania zdecydowała, że naprawdę to chce być w Londynie. Tego zawsze pragnęła w tych okropnych czasach w Leicester, o których Henryk dowiedziałby się o wiele więcej, gdyby tylko zechciał słuchać. Jej kłamstwo skutecznie zablokowało ten kanał porozumienia. Chciał, żeby była kimś, kogo sobie właśnie wymyślił i kogo posiadał tutaj w chwili obecnej. Nie chciał słuchać o jej przeszłości, o tym, dlaczego szukając wolności musiała uciec od rodziców. Pragnęła wolności, a wolność oznaczała Londyn, i z pomocą Gerdy uświadomiła sobie jasno, że to, czego teraz pragnie, to znane jej życie w Londynie, pełnym sklepów, barów i przygód; oczywiście z dodatkiem pieniędzy. Stefania nie wierzyła w żadną rzeczywistość poza Londynem. „Więc tu by ci się nie podobało”, powiedziała z uśmiechem Gerda. Wreszcie Gerda zaoferowała, a Stefania ze łzami przyjęła znaczną sumę. Gerda doradziła jej, jak pieniądze zainwestować.

Po powrocie do londyńskiego mieszkania i do dawnej okropnej samotności Stefania spędzała dni pełne udręki, znowu niepewna, czego właściwie pragnie. Czy chce, aby Henryk przyjechał za nią, i czy to nie będzie straszne, jeśli tego nie zrobi? Gdyby Henryk miał powiedzieć, w porządku, a więc zamieszkamy we dworze, czy tak nie byłoby najlepiej i czy do tego właśnie nie chciała doprowadzić swoją ucieczką? Na pewno, pisząc list, czuła, że tak czy owak nie ma nic do stracenia.

W miarę jak dni mijały i Henryk się nie odzywał, zaczęła odczuwać ból, a potem ulgę. Żyjąc przeważnie w świecie kolorowych fantazji, niejedną raz próbowała snuć plany, które mogłyby przenieść ją do rzeczywistości. Tym razem, ku jej nagłemu zaskoczeniu, rzecz prawie się udała; ale w zasadzie była zadowolona, że wraca do wolności własnych samotnych marzeń.

Czuła wielką wdzięczność dla Henryka, ale czy kiedykolwiek naprawdę go kochała lub wierzyła, że on ją kocha? Henryk nigdy mnie nie rozumiał – myślała – zawsze tak bardzo się spieszył i żartował, nigdy nie miał dla mnie cierpliwości, nigdy nie poruszał się w tym samym tempie, nigdy nie był naprawdę ze mną. Łatwiej było rozmawiać z Lucjuszem, nawet z Gerdą. Nie, Henryk nie był Odpowiednim Panem. Muszę znaleźć swój własny rodzaj szczęścia – myślała – i być sobą, a to nigdy nie jest łatwe z kimś drugim. We dworze była taka słaba, zmęczona i nieszczęśliwa i żyjąc teraz na własną rękę, czuła się znacznie lepiej fizycznie i psychicznie. Zaczęła być dumna z siebie, z tego, że przeżyła, że uciekła. Ostatecznie sprawy nie wyglądały najgorzej. Prawdopodobnie w dalszym ciągu będzie szukać męża, bo do tego przecież służą piękne suknie i o to w

ogóle chodzi w życiu, ale teraz, kiedy posiada zasoby finansowe, nie ma potrzeby się spieszyć, nie ma potrzeby odczuwać, jak dawniej, że musi łapać każdego, kto się trafi.

A jednak wolałabym poznać Sandy'ego – pomyślała – i tak by było, gdyby nie umarł. Jestem pewna, że pomogłabym mu się odnaleźć. I pomyślała: gdyby Henryk wyglądał jak Sandy, nigdy bym go nie opuściła. Naprawdę to byłam stworzona dla Sandy'ego. Henryk to przypadek, to omyłka. Czuła się jak wdowa. Przez pewien czas będę chodzić w czerni – pomyślała – chyba będzie mi do twarzy i ludzie będą próbowali zgadnąć. Wyobraziła sobie, jak przesiaduje w barach i nocnych lokalach, zamawiając najdroższe trunki, samotna, elegancka i tajemnicza.

Tak, więc zmieni mieszkanie, w nowym wszystko będzie inne, jasne i nowoczesne, wydam trochę tych pieniędzy, które zostawili w walizce, tych, które wypłacono za okup, chyba postanowili mi je zostawić. Wróciła do formularza firmy matrymonialnej, który próbowała wypełnić. Czy chce, żeby jej wybrany miał długie włosy, czy krótkie? Czy lubi brody? Czy nie przeszkadzałoby jej, gdyby był Chińczykiem? Jaki ten świat mimo wszystko jest podniecający i pełen rozmaitych możliwości. Nic dziwnego, że czuje się taka niewinna, młoda i wolna. Jedno z pytań było dość zabawne: ułóż kolory kolejno, od tych, które lubisz najbardziej, do tych, które najmniej. Oczywiście to dowodzi czegoś ważnego. Myślę, że najbardziej lubię czerwony. A może niebieski? Ciekawe, czy moim kolorem jest błękit, a więc melancholia?

– Wydaje mi się, Bellamy, że z twojej strony jest wyżej – powiedziała Gerda. – Rhodo, kochanie, przytrzymaj chwileczkę, dobrze?

– Mówiłem ci, że te kółka są nierówne – wtrącił John Forbes.

– Cóż, dawniej wisiało prosto – odparła Gerda.

– Może podłoga jest krzywa. A może dawniej pani tego nie widziała.

– Szkoda, że teraz nie można go dobrze zawiesić.

– Jest bardzo ciężki, niektóre kółka się wygięły. Przyniosę nowe.

– W porządku, zawieś to na razie byle jak, doskonale. Bellamy z Rhodą zeszli z drabin. Rhoda zniknęła w kuchni.

Bellamy złożył drabiny i wyniósł je do hallu. Gobelin z Ateną i Achillesem znowu zawisł na dawnym miejscu, rozbłyskując wszystkimi kolorami w jasnym świetle dnia. Może spadło z niego trochę kurzu, a może

Gerda nigdy mu się dobrze nie przyjrzała. To, co dawniej uważała za czarne, przypominało teraz cudowny kolor indygo. Ciekawam, co się naprawdę stało, myślała. Nie zadawała żadnych pytań.

– Piękny pokój – powiedział John Forbes. Biblioteka powróciła do dawnego stanu.

– Sandy bardzo go lubił. – Gerda zorientowała się, że stale powtarza przy Johnie Forbesie imię Sandy’ego, jak gdyby bezustannie sprawdzając, jak łatwo jej teraz o nim mówić i jak bardzo ból zmienił swój charakter. Opowiadała Johnowi wiele o Sandym. „To Sandy kupił te niebiesko– żółte włoskie wazony, z których porobiliśmy lampy”. Stałe, łagodne i prawie bezcelowe przywoływanie jego pamięci dobrze jej robiło. Ciągnąc swój watek, dodała:

– Mam nadzieję, że Kato przyjedzie do domu na święta.

– I ja też, ale ciągle jeszcze zachowuje się jak szaleniec. Podeszli do okna, pochyłili głowy i wyszli na północny taras.

Była już pełnia lata i dwa duże krzewy róż rosnące w dole na trawniku obsypane były ogromnymi różowymi kwiatami w najrozmaitszych odcieniach, a czerwone przezroczyste łodygi wyginały się w wielkie łuki. Świeciło gorące słońce. Gerda miała na sobie letnią suknię na ramiączkach. John, bez marynarki, pocił się w samej koszuli.

– Niech przyjedzie tutaj – powiedziała Gerda. – Wyleczymy go.

John zaśmiał się.

– Przykro mi, ale twoja wiara jest wzruszająca, jak gdybyś uważała, że można wyleczyć każdego.

Tak – pomyślała – nigdy nie przeboleję śmierci Sandy’ego, nigdy, ale przynajmniej teraz mogę o tym myśleć i mówić. Chciała to powiedzieć Johnowi, ale się powstrzymała. Czuła, że oboje najpierw formułują w milczeniu to, co chcą powiedzieć, a potem nic nie mówią.

Biegając za jej myślami, John zapytał:

– Gdzie jest Lucjusz?

– Jeszcze w łóżku. Ostatnio strasznie się rozleniwił.

– Cóż, muszę wracać na budowę. – John zeskoczył z tarasu na trawę i stanąwszy w słońcu tuż za ukośnym cieniem domu, spojrzał w górę na Gerde, mrużąc oczy, które w jasnym świetle były mocno niebieskie.

Nie żegnając się z nim, Gerda uśmiechnęła się i zawróciła do domu. Tak wiele się teraz działo, tyle było ruchu, że nie musiała zwracać uwagi na formy.

Weszła przez okno do biblioteki i znowu spojrzała na duże włoskie wazony kupione przez Sandy'ego. Pamiętała, jak przywiózł je któregoś wieczoru, trzymając po jednym w każdym ręku i kołysząc nimi niedbale. Dotknęła grubej, pysznej emalii. A potem pomyślała o Henryku. Henryk zachowywał się wobec niej jak młody kochanek. Całą swoją przekorną inteligencję, która wydawała się tak destruktywna, skupił na jednym celu, żeby ją zadowolić. Ciągłe jej unikał, ale ciągle wracał do niej, igrając z nią taktownie i delikatnie, jak gdyby tańczył wokół niej. Oczywiście nie zastąpi Sandy'ego. Myśl o tym, że mógłby w jakimś sensie zająć jego miejsce, była marzeniem powziętym w pierwszym żalu, kiedy musiała wymyślić sobie jakiś rodzaj pocieszenia, bo inaczej musiałyby umrzeć. Teraz spokojnie doszła do przekonania, że pocieszenie nie jest możliwe. Ale musiała udawać szczęśliwą ze względu na Henryka, bo była mu wdzięczna, bo w końcu postanowiła przyjąć to, co ponad jej wszystkie nadzieje było w nim najlepszego, i ten wysiłek przyniósł jej w istocie swego rodzaju autentyczną radość. Usiadła na kracie kominka i wyciągnęła przed siebie nagie opalone nogi. Była szczęśliwa i smutna i nie wstrzymywała łagodnych łez.

– Posłuchaj kukułki.

– Ciągłe zawracasz mi głowę tym ptakiem. Czy musisz spuszczać na mnie ten perlisty deszcz?

– A czy to nie odświeżające?

– Spychaj drag prosto, nie machaj nim w kółko.

– Spycham go prosto.

– Żadna kobieta nie wie, jak jeździć na pych.

– Uważaj, bo wciągam drag.

– Chryste, ale upał.

– Wsadzę nogi do wody.

– Uważaj, bo nas wywalisz. Wiesz, że jesteś naprawdę całkiem przystojną dziewczyną.

– Nie żałujesz, że się ze mną ożeniłeś?

– To błąd mojego życia. Najpierw przekonałaś mnie, żebym nie sprzedawał dworu...

– Nigdy nie powiedziałam na ten temat ani słowa!

– To był wpływ ponadzmysłowy. Razem z moją matką uruchomiłyście telepatię o sile dziesięciu mega...

– Czy jakaś kobieta zmusiła kiedy mężczyznę do tego, czego on nie chce?

– Wzięłaś ślub w bieli w kościółku w Dimmerstone, tak jak chciałaś...

– To ty postanowiłaś nie sprzedawać dworu.

– Nie powinienem był iść na kompromis. Skusiłaś mnie, jak Ewa Adama. Kiedy tylko zaczyna się zabawa w majątek, człowiek jest skończony.

– Mówiłaś, że nigdy nie przychodziło ci do głowy, że to nie musi być wszystko albo nic.

– Myślę, że to powinno być wszystko albo nic. Przegrałem.

– Jaka błyszcząca woda, jakby miała srebrną skórkę. Słuchaj, chcę mieć parę czarnych łabędzi.

– A potem zażyczysz sobie pawie.

– Tak, chcę mieć pawie.

– Przegrałem. Zanim cię spotkałem, miałem czyste serce.

– Nie miałeś czystego serca, byłeś tylko terrorystą.

– Spójrz na to wszystko. Boże.

– Dlaczego nie chcesz się tym cieszyć? Będziesz mógł oddać to później.

– Jeśli te drzewa nie wyrosną za szybko, to z górnego piętra pawilonu „królowej Anny” widać będzie anteny telewizyjne osiedla.

– Ale cieszysz się z tego osiedla?

– Cieszę się, że ten przeklęty Duckling, czy jak go tam zwa, wyjechał projektować Nowe Miasto w Rattenbury.

– Strasznie lubię, jak jesteś zazdrosny o Gilesa, nigdy mnie nic nie obchodził.

– No więc cieszę się, że wyjechał. Teraz ja jestem architektem i nic nikomu do tego. Dziś rano zaprojektowałem fontannę.

– Zobacz, przepłynęła pod nami kaczka czubatka, i o! wypłynęła z drugiej strony.

– Jestem wstrząśnięty tym, ile przyniósł Cotman.

– To będzie wzorowa wioska, a kiedy skończymy, Dimmerstone też będzie zachwycające.

– Z samej sprzedaży obrazów możemy pokryć pierwszą fazę.

– Czy myślisz, że to, co znalazłeś na strychu, to naprawdę Guercino?

– Tak, ale na razie nie mów o tym Gerdzie.

– Czy mówiłeś jej, że wszystkie te pieniądze zostały w mieszkaniu?

– Nie, na tym ucierpiałby mój obraz jako nadczołowieka.

– Czy dużo myślisz teraz o Stefanii?

– Tak.

– Jak może być inaczej? Tyle hałasu o nią robiłaś i z samej przekory nie chciałaś mnie wpuścić przed ślubem do łóżka...

– To nie była przekora. Czułam, że... miałaś wszystkie te kobiety... chciałam, żeby z nami było inaczej, zupełnie, zupełnie inaczej.

– No i jest. Pobraliśmy się i jesteśmy zgubieni.

– Prawda, że mieliśmy śliczny ślub? Taki cichy i biały. Szkoda tylko, że Katona nie było.

– Chyba nie jestem dla ciebie za stary, jak myślisz?

– Cóż, nie będę ukrywać, że jesteś.

– Zobacz, szybko, widzisz, płynie zaskroniec.

– Kochanie, nie myśl, że to źle być szczęśliwym.

– Nie ma w tym nic złego, ale człowiek powinien móc być szczęśliwy w biedzie, tak byłoby lepiej.

– Nie wiesz nic o biedzie.

– Wiem. To jest coś, co przekracza moje moralne możliwości. Zawsze miałem kłopot z oceną moich możliwości moralnych. Ten pomysł, żeby wszystko sprzedać i zniknąć, przekraczał moje możliwości, nie mógłbym w żaden sposób przeprowadzić tego prawidłowo. Może ktoś inny by umiał.

Ale u mnie to było po prostu... tak, oczywiście, masz rację... aktem gwałtu. To jednak nie oznacza, że nie toniemy w morzu zepsucia.

– Ach, tak, zanurzyliśmy się już po szyję!

– A kiedy społeczeństwo jest do głębi przegniłe, nie należy budować piękniejszych domów nawet dla całkiem pospolitych ludzi.

– Nigdy nie rozumiałam tego argumentu. Nie chcesz przecież zniszczyć przeszłości. Dlaczego wszystkie stare, dobre rzeczy nie mają stopniowo stawać się dostępne dla każdego?

– Bo nie ma ich dosyć.

– Więc lepiej wywalić to wszystko?

– Nasze piękne osiedle mieszkaniowe to złudzenie i pułapka.

– Powiedz to ludziom, którzy mają tam mieszkać! Dom jest chyba najbardziej konkretnym ze wszystkich dóbr materialnych.

– To złudzenie. Zabawki. Błyskotki. Fontanny.

– Dlaczego niektórym ludziom nie ma być lepiej? Tatuś mówi, że gdyby utrzymać komorne na niskim poziomie...

– To ja reżyseruję to widowisko, nie twój ojciec.

– A potem moglibyśmy budować z drugiej strony kościółka w Dimmerstone i na Dębowej Łące. Teraz, kiedy można już dostać tę mieszkankę sydereytową...

– Zależy ci na tym. I mnie też. W tym cały kłopot.

– W porządku. Zależy nam. Czy to nie są nasze możliwości moralne?

– Właśnie w tym sęk.

– Spójrz na tę olbrzymią ważkę.

– Dawniej myślałem o sobie jak o Maksie. Teraz myślę jak o Leonardzie.

– Ale napiszesz swoją książkę o Maksie, prawda? Pojedziemy do Amsterdamu, do Lipska i do Colmar...

– I do Saint Louis.

– I do Santa Cruz.

– Nie przeszkodzi ci, jeśli Russ i Bella przyjadą tu we wrześniu?

– Chyba nie kochasz się w Belli?

– Ubóstwiam Bellę. A ciebie kocham każdą cząstką mojej istoty. Rozśmieszasz mnie.

– Ona też.

– Znajduję chorobliwe upodobanie w twoim towarzystwie. Na tym polega miłość, nie licząc kilku drgnień fizycznych.

– To nie wydaje mi się dostateczne.

– Czytam w twojej duszy.

– Czy to nie nudne?

– Bynajmniej. Widzę tam siebie.

– Jesteś narcyzem.

– Narcyzami byli najlepsi. Leonardo, Szekspir, Jezus Chrystus...

– I myślisz o Stefanii.

– Wszystko odbyło się tak prędko. Żał mi bardzo biednej Stefci. Kochałem ją, w pewnym sensie, ale ta historia zaczęła się pod złym znakiem.

– A pod jakim znakiem zaczęła się nasza historia?

– Pod znakiem szczęścia.

– Czy to wystarcza?

– To początek. Reszty nauczy nas życie. Dobry punkt wyjścia jest tak samo ważny jak dobre cele. Kiedy nagle zobaczyłem, że mogę wybrać szczęście, wszystko stało się kryształowo jasne. Przedtem nigdy w życiu tego nie rozumiałem. Zawsze myślałem, że muszę wybierać nieszczęście.

– Wiesz, myślę, że Gerda też nagle wybrała szczęście, kiedy postanowiła pożegnać się ze Stefanią.

– Jeśli twoja teoria jest słuszna. Biedna Stefcia.

– Twoje współczucie równa się pogardzie. Myślę, że nieźle na tym wyszła.

– Naprawdę to właściwie nigdy się nią nie interesowałem.

– Jesteś potworem. A mną się interesujesz?

– Dlaczego rozmowy z kobietami zawsze schodzą na tematy osobiste? Kiedy chciałem ożenić się ze Stefanią, wydawało mi się, że jest to rzecz nie

do pomyślenia, coś, co można zrobić tylko na ślepo i z wielkim przerażeniem. I myślałem, że zawsze tak musi być, kiedy człowiek się żeni.

– A było inaczej?

– Tak. Nasz ślub był łagodny i czysty.

– Drżałeś.

– To nieprzyzwoite objawy namiętności. Jesteś pewna, że lubisz seks?

– Oczywiście!

– Niektóre dziewczęta go nie znoszą.

– Po prostu chciałam poczekać.

– Może twoim magnesem było dziewictwo. Stefania to wyczuła. Bała się ciebie.

– Teraz wszystko to należy do ciebie.

– Jak to możliwe, żebyś ty mnie kochała! Chyba popełniasz błąd. Jesteś taka wartościowa. A ja mam szczęście. Wiesz, kochanie, myślałem, że może ci tego nie powiem, ale...

– Musisz powiedzieć mi wszystko.

– Tak, wiem, że muszę, to już przymus nerwicowy. Ale... to trochę dziwne... wiesz, ten pierścionek, Róża Marshalsonów...

– Tak.

– Marzyłem, żeby ci go ofiarować.

– Ale zgubił się, a ja jestem zachwycona tym, który dostałam.

– Widziałem go na ręku Rhody.

– Róża Marshalsonów u Rhody?

– Tak, miała ją na naszym ślubie. To coś przedziwnego. Wiesz, że Rhoda zwykle nosi rękawiczki, przyzwyczailiśmy się do jej widoku w rękawiczkach. Więc kiedy wychodziliśmy z kościoła, a właściwie szliśmy przez środek, zobaczyłem Rhodę, stała z brzegu i ręka jej zwisała, jak gdyby... jak gdyby chciała ją pokazać, i miała ten pierścionek... nie mam najmniejszej wątpliwości.

– Jakie to dziwne. I nic nie powiedziałaś?

– Jej? Oczywiście, że nie. Nie mówiłem nikomu.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

– Było w tym coś tak dziwnego, że postanowiłem nikomu nie mówić. Rhoda zawsze wydawała mi się trochę dziwna.

– Nie kochasz się w niej?

– Nie, oczywiście, że nie... czułem, że jest jak z innej planety. A potem, kiedy ukradła ten pierścionek i dosłownie go demonstrowała, popisowała się, kiedy my braliśmy ślub... poczułem, że to może zły znak. No więc powiedziałem ci i teraz musisz mnie pocieszać. Od tego są żony. Opowiada się im straszne rzeczy, a one mówią nam, że te rzeczy nie są wcale takie straszne, i humor nam się poprawia.

– Nie myślę, że to straszne. Dlaczego przypuszczasz, że go ukradła?

– Musiała, jak mogło być inaczej?

– Henryku, słuchaj, muszę ci coś powiedzieć.

– O Boże. W tajemnicy wysłaś za Ducklinga. Zastrzele się.

– Nie, słuchaj. To zdarzyło się wiele, wiele lat temu i obiecuję, że nikomu nigdy nie powiem, tylko że teraz czuję, jakbym została zwolniona z obietnicy...

– Colette, prędko, bo mnie zamordujesz...

– Chodzi o Sandy'ego.

– Och, Colette, na litość boską, nie...

– Nie, nie, nie przerywaj. To było całe wieki temu, miałam mniej więcej osiem lat. Spacerowałam sobie po ogrodzie, zdaje mi się, że właśnie tutaj. Szukałam ciebie i Katona, pamiętasz, jak zawsze się za wami włóczyłam. I nie wiem dlaczego, postanowiłam wspiąć się do belwederu. Wspięłam się i...

– I?

– Zobaczyłam Sandy'ego, jak kochał się z Rhodą.

– Och... jakie to dziwne... jakie... o Boże... jakie wzruszające i... okropne, i...

– Sandy był trochę speszony. Nie wiem, co myślała Rhoda. Patrzyła na mnie tylko tymi dziwnymi oczyma.

– Ma oczy ibisa. Czy Sandy coś powiedział?

– Dał mi pół korony, żeby nikomu nie mówić.

– A teraz powiedziałaś.

– Zatrzymałam ją. Poprosiłam tatusia i wyborował mi w niej dziurkę. Nie powiedziałam mu, dlaczego. Nosłam ją na szyi. Mam ją do dziś.

– Więc ty również kochałaś się w Sandym.

– Nie. Kochałam się w tobie. Ale Sandy był... jakiś taki wspaniały.

– Tak, był, tak... wspaniały.

– Więc widzisz. Może w końcu Rhoda ma prawo do Róży Marshalsonów. Jestem pewna, że dostała ją od Sandy'ego.

– Jako nagrodę pocieszenia. A ja, wiesz, współczułem Stefanii, bo myślałem, że Sandy był zbyt wielkim snobem, żeby się z nią ożenić.

– Więc sam poczuwałeś się do tego obowiązku. Mam nadzieję, że nie odczuwasz go wobec Rhody?

– Nie. Zawsze bałem się jej jak ognia. Ta maleńka główka, te wielkie oczy. Teraz boję się jej jeszcze bardziej.

– Niesłusznie. Ona specjalnie pokazała ci ten pierścionek.

– Jako groźbę, jako ostrzeżenie. Żeby nam pokazać, że to ona powinna iść przez kościół z Sandym.

– Nie, na pewno nigdy nie miała nadziei, że Sandy się z nią ożeni. Po prostu chciała nam pokazać, że w pewnym sensie należy do rodziny.

– Do rodziny! Teraz sobie przypominam, że Sandy zawsze potrafił zrozumieć, co ona mówi. Ja nigdy.

– I pewnie chciała, żebyś się dowiedział, co się stało z tym pierścionkiem.

– Cóż, może go zatrzymać.

– Nie powiesz Gerdzie?

– Oczywiście, że nie.

– A może mam wyrzucić tę półkoronówkę? Jeśli chcesz, wrzucę ją do jeziora.

– Nie, mój drogi aniele, zatrzymaj ją. Wiesz, że ostatnio myślę o Sandym zupełnie inaczej.

– Cieszę się. Gerda też o tym wie.

– Mam nadzieję. Kiedy przyjechałem do domu, byłem potworem.

– Ale dla mnie nigdy nie będziesz potworem, prawda? To by mnie zabiło.

– Wciągnij stopy na pokład, chcę je pocałować. Mają smak jeziora. Twoje usta też mają smak jeziora. Jesteś podrzutkiem wyłowionym z jeziora. Boże, jak bardzo cię kocham.

– Jestem taka szczęśliwa... tylko że... tylko że...

– Wiem. Kato. I to, co się stało.

– Śmierć jest taka straszna. A szczególnie ta.

– Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś.

– Śmierć jest straszna, straszna, to ciemna strona duszy, izoluje człowieka bardziej niż cokolwiek innego.

– Musisz spróbować o tym zapomnieć. To nie nasza sprawa, nie musimy martwić się teraz śmiercią, nie potrzebujemy tej lekcji, jeszcze nie. Naszym godłem jest szczęście.

– Mam nadzieję, że Kato nigdy się nie dowie, że to wszystko było niepotrzebne. Ach, ten biedny, biedny chłopiec, a mogłam dać sobie z nim radę...

– Przestań, Colette. Wydaje mi się, że zbyt ufasz w siłę swojego dziewictwa. O jednego oszusta mniej na tym świecie.

– Kato inaczej na to patrzy. Musi przeżywać piekło.

– Bóg czuwa nad nim i na pewno go nam przywróci. Wiesz, że kiedy zobaczyłem go w tej starej czarnej sutannie, wydawało mi się, że znalazłem przywódcę duchowego.

– Jest załamany.

– Bóg go wyprostuje.

– Nie wierzy w Boga.

– Tacy ludzie jak Kato wymyślają Boga dla siebie. Dla nich istnieje. Dla nas to niemożliwe. My, prostaczkowie, żyjemy kosztem Boga wymyślonego przez świątobliwych. Ale co tam...

– Myślisz, i gdybyś się ze mną nie ożenił, mógłbyś sam zostać człowiekiem świątobliwym?

– Ja? Nie. Brak mi osobowości. Mnie także trzeba wymyślić. Ty, wysiłkiem własnej woli, będziesz musiała podtrzymać moje istnienie.

– Zrobię to. Czy to nie miłość?

Przypuszczam, że popełniłem błąd – myślał Henryk. Powinienem był sprzedać majątek i wyjechać. Nie powinienem był się żenić. Wtedy pewnie mógłbym na swój własny sposób zostać człowiekiem świątobliwym, zniknąć w białym drewnianym domku w Ameryce, w zapomnianej okolicy, skurczyć się i zamienić w rodzaj nieszkodliwego chrząszcza. Urodziłem się, aby nie mieć nic i być nikim. Oczywiście wiem, że ten dom to iluzja, ale teraz się wkopałem. Dałem się wrobić w miłość i szczęście i będę musiał grać rolę szczęśliwego męża i kochającego syna, i pewnego dnia, przypuszczam, z wolą Bożą, odpowiedzialnego ojca, już na zawsze i do końca życia. Jak cholernie łatwo jest zapewnić kobiecie szczęście. I będę tak produkował szczęście, przywiązany do tego przekłętą pięknego domu do końca moich dni, i nigdy nie będę mógł się zdecydować, żeby go sprzedać. Na pewien czas pozbędę się kilku rzeczy, wyślę najcenniejsze obrazy do salonów sztuki, ale po jakimś czasie zacznę znowu kupować rzeczy, znowu zacznę upiększać ten dom. Zostanę koneserem i będę trzymał w piwnicach dobre wino. W końcu dałem się złapać w sidła majątku i młodej żony. Jako istota duchowa jestem zgubiony. Jedynym moim doświadczeniem duchowym było prawdopodobnie współczucie dla Stefanii. I spojrział w górę na dom, rozparty na zielonej fałdzie wzgórza, z połyskującą od słońca fasadą zwróconą na południe. Tak, jestem zgubiony – myślał Henryk. Nigdy już nie będę żył tak, jak powinienem, w prostocie i samotności. Wybrałem los pospolity. Nigdy nie skończę książki o Maksie i upodobnię się do Sandy’ego, czego prawdopodobnie pragnie moja matka. Może wszystko to stało się z jej woli lub z woli Colette, albo z woli moich przeklętych przodków. Przegrałem, ale to nic nie szkodzi. Będę szczęśliwy. Nigdy się tego nie spodziewałem, nigdy tego nie chciałem ani nie szukałem, ale stało się. Najwidoczniej taki jest wyrok losu i choćbym miał stanąć na głowie, postaram się, żeby to trwało jak najdłużej.

– Kochanie, zostaw tę bliznę.

– Posłuchaj kukułki.

– Do licha z tym ptakiem.

– Henryku...

– Muszę iść, umówiłem się z miejskim inżynierem.

– Henryku...

– No, wykrztuś to...

– Chyba jestem w ciąży...

– Och, nie? O nieba...!

– Może spróbuje pan tortu orzechowego?

– Nie, dziękuję. Wystarczy grzanka z anchois.

Ptasiogłowa Rhoda postawiła tacę na kołdrze i wyszła. Lucjusz poczuł lekki zawrót głowy. Przed chwilą zdarzyło się coś dziwnego – pomyślał. A potem zaczął się zastanawiać, co to było. Po prostu zrozumiał słowa Rhody. Jakże to dziwne, po tylu latach. Czy, słuchając jej mowy, stopniowo się przyzwyczaił? Czy zaczęła mówić wyraźniej? Cóż to mogło być? Jakkolwiek było, z całą pewnością dzisiaj ją rozumiał. I rozumiał ją również wczoraj, rozmawiał z nią przecież o naleśnikach.

Lucjusz leżał w łóżku, zaledwie dotykając tych spraw myślą, bo nie myślał naprawdę. Był strasznie zmęczony. A przecież najlepiej czuł się przy herbacie. Ranki były straszne. Gorąca herbata indyjska i grzanka z anchois na koncentrację umysłu. Dzięki Bogu, są jeszcze jakieś radości.

Popołudniowe słońce, wpadając przez okno do pokoju, oświetlało kurz na wierzchu komody, gdzie leżały porozrzucane jego rzeczy. Szczotka, którą matka darowała mu, kiedy szedł do college'u. Grzebień pełen nici srebrnych włosów. Dwa nie rozsupłane krawaty. Pieniądze. Spinki od mankietów. Kurz. Nigdy nie miał kobiety, która by po nim sprzątała.

Bolały go usta, bolały go plecy, czuł się tak, jakby w środku miał dziurę, w której uroczyście wali bęben na zakończenie jakiegoś rytuału. Oddychał szybko. Wszyscy o nim zapomnieli. Nikt teraz nie zwracał już uwagi, że cały czas siedzi w swoim pokoju, nikt nie zapraszał go, aby zszedł na dół oglądać telewizję. Rhoda karmiła go, tak jak karmi się starego ptaka w klatce. Nie, wszystko to było złe i niesprawiedliwe. Oczywiście odwiedzali go, oczywiście przypominali, że w taki ładny dzień powinien wyjść na spacer. Byli grzeczni. Tyle tylko, że stał się dla nich niewidoczny, bo byli szczęśliwi. Colette, z twarzą jaśniejącą zamglonym światłem, z oczyma rozmarzonymi od radości, wprowadziła ze sobą młodość, właśnie to, co leżącemu w łóżku Lucjuszowi wydawało się czasami czymś najcenniejszym, lepszym od cnoty, mądrości czy sztuki, zwykłą młodość i urodę zdrowego ludzkiego zwierzęcia, dojrzałego i zupełnie wolnego od zepsucia, ciało, umysł jasny i czysty, w jedynej postaci, w jakiej te cnoty naprawdę występują, nie u brudnych starych ludzi w jaskiniach, ale po prostu tam, gdzie natura jest niepowstrzymana i nieskażona.

Henryk również był szczęśliwy, ale na swój tajemniczy sposób, nie przyznając się do tego wewnątrz. Ciemne oczy płonęły mu jak gwiazdy, a z kręconych włosów tryskała energia elektryczna. Biegali z Colette po całym domu i krzyczeli jak dzieci. Lucjusz słyszał regularne dudnienie na frontowych schodach. Gerda miała więcej godności, próbowała ukryć zadowolenie z sukcesu swoich planów. Kiedy przychodził John Forbes, co zdarzało się teraz codziennie, albo nie wspominała o tym Lucjuszowi, albo udawała, że wizyta jest niespodzianką. Podawała jakieś niewinne powody tych odwiedzin, zawsze pomijając najważniejszy, że po prostu chciał się z nią zobaczyć. Odmłodziła i odświeżyła swoją garderobę. Nagle, kiedy w jej domu pojawił się mężczyzna, powróciła do krainy młodości, właściwej krainy swojego istnienia. Ona również promieniała. Lucjusz leżał w łóżku albo siedział w szlafroku przy stole i słuchał wariackiego śmiechu Henryka i autorytatywnego, huczącego basu Johna Forbesa.

A więc nie byłem mężczyzną tego domu – pomyślał. Nie. Henryk również nie był tym mężczyzną, no ale Henryk jest elfem i przejdzie przez życie jak elf. Kiedyś wyobrażałem sobie, że jestem Tejrezjaszem, myślał Lucjusz, ale nigdy nie zyskałem siły jasnowidzenia. Mógłbym zdobyć Gerde po śmierci Burke'a, nawet po śmierci Sandy'ego, gdybym był zwyczajnym mężczyzną ze zwyczajną egoistyczną wolą i apetytem. Pragnąłem jej i kochałem ją, pragnę jej i kocham ją, ale ona widzi, że jestem duchem, i całkiem słusznie wybiera ciało i krew. To nie jest dobroć, ten brak silnej ręki, kiedyś tylko tak mi się zdawało. Jestem po prostu jednym z tych, którzy nie posiadają i którym nawet to, co posiadają, zostanie odebrane.

Wyobrażałem sobie, że samotność wiele mnie nauczy, ale czy kiedykolwiek w życiu osiągnąłem prawdziwą samotność? Jakie łatwe miałem życie – pomyślał – i jak szybko minęło. Dalej czuję się piękny i młody, jak gdybym wcale się nie zestarzał. Starość to sprawa dalekiej, dalekiej przyszłości. Zawsze ktoś mnie wspierał i opiekował się mną i uważałem, że tak być powinno. Nigdy nie cierpiałem i nie walczyłem jak zwyczajni ludzie. Nie umiałem i dalej nie wiem, jak mogą to robić inni. Zawsze miałem się za kogoś wyjątkowego. Zawsze czekałem na coś i czułem, że muszę siedzieć jak gdyby w wygodnym przedpokoju. Może czekałem na Gerde. Tylko że teraz wreszcie wiem, a może dopiero odkryłem, wczoraj czy w zeszłym tygodniu, że jest dla mnie stracona. Była między nami intymność, rodzaj nerwowej miłości, ale nie poznaliśmy surowości prawdziwego życia. Teraz będzie mną gardzić i litować się nade mną i stopniowo stanę się dla niej ciężarem. Czy kiedykolwiek zaprzyjaźnię się z Henrykiem? Nie.

Oczywiście, myślał, nie czekałem tylko na Gerdę. Czekałem na to wielkie dzieło sztuki, które zawsze skryte było za zasłoną, na moje własne genialne dzieło. A teraz jest za późno. Wszystkie te anemiczne wiersze, którymi pokrywałem kartki papieru, to tylko namiastka długiej, trudnej walki, jaką toczy prawdziwa sztuka, poważnego wysiłku, którego już nigdy nie podejmę. Ale muszę dalej w nie wierzyć, muszę dalej oszukiwać się pisaniem, gdybym przestał, musiałbym umrzeć. To zabawne – pomyślał – wyobrażałem sobie, że mogę zmienić swoje życie, że będę mógł znowu chodzić do knajpek literackich i wysiadując tam pisać poezje na poplamionych piwem stołach, tajemniczy dla młodzieży. Czy byłbym w stanie tak żyć? Może byłoby lepiej, gdyby Henryk obdarł mnie ze wszystkiego i wyrzucił z domu jak głodnego psa.

Jak strasznie jestem zmęczony, myślał Lucjusz, mimo że cały dzień leżę w łóżku. Świeci słońce. Muszę wstać. Może nastawię jakąś płytę, chociaż teraz muzyka zawsze napełnia mnie takim smutkiem. Gdybym chociaż miał ochotę na alkohol, ale nie mam. Muszę udawać, że przeżyłem dzień, że coś robiłem, zanim nadejdzie noc. A potem, mój Boże, zostawmy sprawę pigułkom nasennym. Mrok był teraz zawsze zagrożony piekłem bezsenności – piekłem, o którym próbował we dnie zapominać i którego nie mógł sobie wyobrazić. Jak gdyby w nocy stawał się innym człowiekiem. Nie śpiąc, płakał czasami w niezrozumiałym żalu, jak potępione dziecko.

Wstajemy, pomyślał, spychając po kołdrze tacę z rozlaną herbatą i okruchami grzanek. Dlaczego tak cholernie trudno jest mu teraz wstać z łóżka? Musi mieć anemię czy coś w tym rodzaju. Powinien poradzić się doktora, tylko nikomu nie przyszło do głowy, żeby podsunąć mu tę myśl.

Usiadł i zaczął manewrować nogami na brzegu łóżka. Były chude i białe, pokryte siecią grubych błękitnych żył. Spojrzał w dół na bose sękaty stopy, a potem mocno wyprostował szyję. Silny zawrót głowy uderzył go nagle jak podmuch gwałtownego wiatru. Sufit pociemniał i zjechał w dół. Sięgnął ręką za siebie, ale krawędź otomany gwałtownie umknęła w bok. Przerażliwy ból wypełniał pustkę, w której walił wielki bęben.

W chwilę później Lucjusz zdał sobie sprawę, że leży na podłodze. Po dłuższym namyśle udało mu się, raczej drogą umysłowego niż fizycznego wysiłku, usiąść opierając się o krzesło przy stole. Prawa ręka funkcjonowała dobrze, ale lewa była bezwładna. Podobnie jak lewa noga, lewe ramię. Lewe oko. Lucjusz wypróbował mięśnie twarzy. Wiedział, że jest zmieniona. Ból u nasady karku zginał mu głowę do przodu. Przez

jakiś czas siedział, oddychając spokojnie i zastanawiając się nad sobą. Po chwili poczuł się tak, jak gdyby o coś prosił, czegoś się domagał, czegoś żądał. Cóż to było, czego tak bardzo teraz pragnął, może jakaś jedyna rzecz? Coś w rodzaju sprawiedliwości, tylko z pewnością nie to. Nie miłość. Wydawało mu się, że wszystkie słowa odłączyły się od swoich desygnatów i fruwały swobodnie w jego umyśle. Gdyby tylko mógł znaleźć właściwe słowo. Cóż to było? Odwaga – pomyślał. Tak, odwaga.

Bardzo wolno sięgnął do stołu i ściągnął blok papieru i pióro na stary, zakurzony dywan. Nigdy przedtem nie siedział w ten sposób na podłodze. Spoglądał na dywan i dziwił się, jaki jest zniszczony, wytarty i stary. Kiedyś był to dobry dywan. Ostrożnie podniósł pióro, niezręcznie balansując nim w palcach. Czy tak właśnie należy trzymać pióro? Chciał zobaczyć, czy jeszcze może pisać. Oparł blok mocno o nogę stołu. Powoli napisał chwiejną ręką:

Byłem ślepy na tyle świtów.

Teraz objawienie nocy

Przychodzi do mnie zbyt późno, O wielki nauczyciel.

John Forbes leżał w łóżku z Patrycją Raven.

– Jedno, czego nie mogę zrozumieć – powiedział – to dlaczego pisał te okropne, służalcze listy. Wyobraź sobie, że piszesz do swojej siostry i prosisz ją, żeby oddała się bandzie zbirów.

– Tylko że nie było bandy.

– On o tym nie wiedział i dalej nie wie.

– Myślał, że ją od tego powstrzymasz.

– Powinien lepiej ją znać. Po takim wezwaniu popędziłaby za nim w ogień. Zawsze była odważna.

– Wspominałeś już, że jest jak młody rycerz.

– Tak. O Boże, nie mogę się z tym pogodzić. Gdyby miał w sobie choć szczyptę zwyczajnego męstwa, najzwyczajszej uczciwości i odwagi, nie pisałby tych listów, po prostu nie zdecydowałby się na to.

– Przypuszczam, że pisanie do Henryka o okup nie wydawało mu się takie straszne. Ostatecznie to tylko pieniądze, a Henryk ma ich mnóstwo. A kiedy już zaczął pisać listy, coraz łatwiej przychodziły mu następne. Był głodny i nie wiedział, co się z nim dzieje...

– Ja bym nigdy nie zaczął.

– W takiej sytuacji, pod groźbą noża, można się bardzo przestraszyć...

– Nawet takiego wąłego chłopca.

– Ci, którzy stosują przemoc, mają przewagę psychologiczną. Mogą przerazić spokojnych ludzi samą siłą woli. To okropne, ale taka jest prawda.

– Mogą przerazić myszy. Ja bym się wściekł. Wpadłbym w szał. Nie mogę przebaczyć Katonowi, że przyjął to bez walki, że nie był agresywny... Oczywiście powiesz, że lepiej, jak człowiek nie jest agresywny...

– Nie to chciałam powiedzieć. Ale może tak jest mądrzej. Mam nadzieję, że nikt cię nie porwie. Dałbyś się zamordować.

– Może lepiej byłoby umrzeć niż żyć z pewnymi wspomnieniami.

– Och, przestań...

– A najstraszniejsze i najdziwaczniejsze w tej historii jest to, że gdyby był odważny i bił się z tym chłopakiem, cała mistyfikacja od razu by wyszła na jaw. Ten dzieciak sam musiał być zdumiony, przecież na początku to miał być pewnie jakiś kawał. A potem nagle pojawiły się tysiące funtów i dziewczyna, która się oddaje... muszę przyznać, że Henryk też nie jest bez winy.

– Moim zdaniem wszyscy działali w miarę rozsądnie. Sytuacja była niejasna, a w obliczu zła ludzie tracą głowę. Gdyby Kato bił się, Joe mógłby go zabić.

– Kato dał się prowadzić jak jagnię na rzeź. Gdyby tylko na początku trzepnął chłopca w twarz, nie musiałby na końcu rozwalić mu czaszki. Dzisiejsza młodzież to słabeusze. Część z nich jest tylko wściekle leniwa i żąda czegoś za nic, inni po prostu nie potrafią przeciwstawić się złu.

– A może są łagodni. Kato nie jest gwałtowny. Colette znacznie bardziej.

– Tak, ona przynajmniej walczyła.

– No cóż, stało się, co się stało, i Kato musi z tym żyć, a my, jeśli chcemy mu pomóc...

– O, nic mu nie będzie. Zwróci się z powrotem do Boga. Ta przeklęta religia tak strasznie osłabia człowieka. Powiedz mi, Pat, szczerze, czym ja

zasłużyłem na takie dzieci? Żeby Kato został katolikiem, a Colette żoną Henryka Marshalsona!

– Wydaje się bardzo szczęśliwa.

– Mogła mieć kogoś takiego jak Giles Gosling, zdolny młody architekt szalał za nią.

– Myślałam, że jesteś zadowolony z planów budowlanych Henryka.

– To moje plany budowlane. Dla Henryka i Colette to tylko zabawa.

– Cóż, myślę, że Henryk to jeszcze dzieciak.

– Pat!

– Już wstaję.

– Nudzę cię.

– Niezupełnie, ale tak niewiele rozumiesz.

Patrycja przekręciła się na łóżku i wstała. W młodości była płomiennie ruda. Teraz jej bujne włosy spłówiały, zachowując jednak promienną rdzę pstrego piasku. Miała bardzo bladą skórę i bladobłękitne oczy. Pod pozorami naiwności kryła się w niej inteligencja, która co jakiś czas z przerażającą szczerością wyzierała z przezroczytych jasnych oczu. Ludzie się jej bali. W jasnej twarzy tylko czoło było naznaczone lekkimi zmarszczkami zmęczenia. Teraz, ubrana w jasnobrazowy indiański szlafrok, paliła cygaro. John Forbes obserwował ją w milczeniu.

– John, muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Niedługo ktoś tu się sprowadzi.

– Nie! Mężczyzna?

– Nie, nie, kobieta.

– O, diabli. A co ze mną? Przecież muszę tu przychodzić.

– Wszystko bardzo się zmieni.

– Och nie, Pat, nie bądź paskudna. Przecież muszę tu przychodzić. A w ogóle co to za kobieta?

– Miriam Shippel.

– Chryste, ale nie ta, co pisze książki?

– Ta.

– Ale, Pat, to niemożliwe, przecież musisz zachować dla mnie czas...

– Przechodzę na emeryturę i będę miała zajęcie w Partii Pracy. Miriam ma kandydować. Chcemy włączyć się do polityki. Dostyc mam wściekania się i pisanie listów do „Timesa”.

– Chyba żartujesz, Pat... to chyba nie znaczy... że... chcesz z tym skończyć?

– Cóż, kiedy Miriam tu zamieszka, będziemy musieli z tym skończyć. Nie przejmuj się. Wiesz dobrze, jak to odczuwałam, jak to było...

– Nie znosiłaś tego.

– Wiesz, że to nieprawda! Ale robiłam to z miłości i przyjaźni...

– „Z miłości i przyjaźni”, to mi się podoba!

– Godziłam się na to, żeby zrobić ci przyjemność, bo nie było żadnych przeszkód. Przykro mi, ale teraz są.

– Wiesz przecież, że muszę kogoś mieć...

– Oczywiście, musisz, mój drogi...

– Uważasz, że jestem gruboskórny...

– Tak.

– To dlaczego znosiłaś mnie tak długo?

– Mój Boże, po prostu przypadkiem cię kocham. No i z powodu Ruth. Ją też bardzo kochałam.

– Tak, wiem...

– Dlaczego nie spróbujesz z Gerdą?

– Nie, do licha, musiałbym się z nią ożenić! Nie jesteś chyba zazdrosna o Gerdę? Nie, pod tym względem nie mam szczęścia.

– No więc czemu nie ożenisz się z Gerdą? Wydaje mi się, że to dobry pomysł.

– Nie, nie, nie ma mowy. Słuchaj, Pat, a może zależy ci na ślubie? To znaczy, jeśli tak, nie miałbym nic przeciwko temu...

Pokój zatrzęsł się od śmiechu Patrycji.

– Przepadłem – powiedział John. – Po raz pierwszy od wielu lat widzę, że jesteś naprawdę szczęśliwa.

– Nie zabierasz żadnych książek? – zapytał Kato.

– Nie.

Była dziewiąta wieczorem i Kato siedział u Brendana w saloniku. Szuflady i półki opróżniono i wszystko leżało na podłodze. Małe mieszkanie Brendana było w trakcie likwidacji. Brendan jechał do Indii.

– W końcu ten młody policjant powiedział mi wszystko.

– Mówiłeś już o tym.

– Przepraszam, czy jestem pijany?

– Nie, nie, napij się jeszcze.

– To Colett nie chciała, żebym się dowiedział. Gdybym tylko coś zrobił, krzyczał, walczył, cokolwiek. Boże, jak on musiał się śmiać. To tak, jakby... jakbym nie dał mu żadnej szansy.

– Nie wiesz na pewno. Colette powiedziała policji, że Joe nie zrobił jej krzywdy, ale przecież umyślnie rozciął jej policzek tak szkaradnie. I nie wiadomo nawet, czy nie miał współników, czy to tylko on.

– O, jestem pewien, że był sam... po przeszukaniu terenu policja była całko wie przekonana. Mój ojciec uważa mnie za jakiegoś śmierdzącego tchórza. Nie może zrozumieć, jak mężczyzna mógł się zachować tak jak ja. Ja teraz też nie mogę tego zrozumieć.

– Nie próbuj... w ten sposób.

– Może miałem rację, że nie reagowałem ostro, gdybym tylko się tego trzymał... ciągle przetrząsam to w myślach od nowa.

– Przynajmniej zdajesz sobie sprawę, że to bez sensu.

– Kiedyś mnie szanował. Kiedy zniszczyłem ten szacunek, nic już nie mogło go uratować...

– Czy widziałeś się jeszcze raz z jego matką?

– Nie. Ojciec Thomas się nią zajął. Powiedziała, że nie chce mnie widzieć na oczy. Nie mam o to pretensji. W każdym razie ma go z głowy. Szanował mnie i kochał i ja w jakimś sensie przybliżyłem mu Boga... gdyby tylko...

– Mam nadzieję, że nie będziesz obarczał tym Colette.

– Nie, tylko ciebie. Colette nie wie, że ja wiem. Pewnie nigdy mi nie przebaczy, że wciągnąłem ją w te okropieństwa. Gardzi mną. Tak samo jak ojciec. Tak samo jak Henryk.

– Colette kocha cię i przede wszystkim pragnie pomóc. Musisz wyjść naprzeciw temu pragnieniu, choćby tworząc jakiś pozór, dopóki ten pozór nie stanie się prawdą. Wszyscy oni ciebie potrzebują.

– Nie mogę zaspokoić cudzych potrzeb, lepiej trzymać się z dala. W końcu kim ja jestem? Może teraz zacznę rzucać się na moich uczniów. Pedał w sztruksowym ubraniu, tak mnie nazwał.

– Więc pogódź się z tym. Nie ma w tym nic złego, że się jest pedałem. Tyle, że nie sądzę, żebyś powinien rzucać się na uczniów, nauczyciel ma tak wielką władzę.

– Straciłem szacunek dla samego siebie, a nigdy nie sądziłem, że to ma takie znaczenie. Jest wielką obroną przeciw pokusom. Teraz, kiedy mi go brak, czuję, że może mnie skusić każdy grzech, nazwij go, a ja go popełnię. Kiedy się zedrze tę duchową dekorację, nie pozostaje nic prócz szatana.

– Wiem, że tak to odczuwasz.

– Och, nie tylko tak... czuję, że jestem nikim, niczym.

– Zawsze taki byłeś, mój drogi, wszyscy tacy jesteśmy.

– Co się ze mną stanie?

– Kiedyś, później, będziesz mógł zostać pastorem anglikańskim, jestem pewien, że cię przyjmą.

– Po winie kakao?

– Kakao mogłoby ci dobrze zrobić. Zawsze miałeś w sobie coś z pijaka, wiesz sam.

– Pijany Chrystusem, tak.

– Kapłaństwo to małżeństwo. Ludzie często najpierw się zakochują i ciągną to przez wiele lat, nie rozumiejąc, że ta miłość musi się zamienić w jakąś inną miłość, która jest do niej tak niepodobna, że trudno ją w ogóle uznać za miłość. Czasem pierwszy popęd prowadzi człowieka aż do końca. Cóż, to jedna z wielu dróg.

– A ty? Czy „zakochałeś się”?

– Ja? No cóż, ja, ja miałem szczęście wychowywać się przy kimś świętym.

– Kto to był?

– Moja matka. Była typem świętej, której nikt nigdy nie dostrzega, była prawie niewidoczna.

– I to w jakimś sensie rozładowało dramat?

– Nigdy nie przyszło mi na myśl, że mógłbym nie być księdzem. U ciebie to było *coup de foudre*,

– Chciałbym móc wierzyć, że Joe jest w czyścicu.

– Gdybyś w to wierzył, nie wiedziałbyś, w co wierzysz. Dobrze by było, gdybyś się za niego modlił. Gdybyś nie przestawał się modlić. Modlitwa to najbardziej istotna ze wszystkich ludzkich czynności, powinna być jak oddychanie. Chyba w dalszym ciągu odczuwasz, że potrzebujesz modlitwy jak powietrza.

– Tak czuję. Ale czego dowodzi oddychanie? Wiesz, kiedy byłem tam w tym kącie, w ciemności, zrozumiałem wreszcie i całkiem na pewno, że nie ma Boga. Wydawało mi się, że myślałem tak już przedtem, ale to nieprawda. To tak, jakbym doświadczył nieistnienia Boga w sposób całkowicie pewny. Nie patrz tak na mnie. Próbujesz wepchnąć wszystkie doświadczenia, wszystkie świadectwa, z powrotem do istoty boskiej. Tak nie można. Znam się na tym, ostatecznie od lat w tym tkwię.

– Mówisz, że tkwisz w tym od lat. Wydaje mi się, że nie wiesz, na czym to polega.

– W porządku, więc powiedz mi.

– Mówiłem ci. Zakochałeś się. To początek, ale tylko początek. Człowiek, który się zakochuje, jest egoistą opętanym przez wyobrażenia i znajdującym w nich pocieszenie; wyobrażenia ukochanej, wyobrażenia siebie samego. Największy ból i największy paradoks tego wszystkiego polega na tym, że miłość osobista musi się w pewnym punkcie załamać, załamać się musi własne ja, trzeba porzucić coś absolutnie naturalnego, coś, co wydaje się dobrem, może jedynym dobrem. Potem zostaje ciemność, cisza i przestrzeń. I Bóg. Pamiętasz świętego Jana od Krzyża. Tam, gdzie kończą się wyobrażenia, wpada się w przepaść, ale jest to przepaść wiary. Kiedy nic już nie zostaje, nie pozostaje nic prócz nadziei.

– *El abismo de la fé*. Słyszałem to już tyle razy. I nawet mówiłem tyle razy!

– Spróbuj przynajmniej wyciągnąć stąd jakąś naukę dla siebie. Ciągłe powracasz do tamtego zdarzenia, wyobrażasz je sobie raz tak, raz inaczej. A tak nie można. Żal za grzechy nie ma w sobie nic z obsesji winy. Pomyśl, jak często to powtarzałeś, w taki czy inny sposób, w konfesjonale.

– Nie mogę powiedzieć tego sobie samemu.

– Twoją winą jest próżność, a ona ma wiele wspólnego z szacunkiem dla samego siebie, o którym już mówiłeś, którego bynajmniej nie utraciłeś, ale który w tobie zraniono. Skrusz się i pozwól, żeby te sprawy odpłynęły.

– Bez Chrystusa nie mogę. Bez tej przeklętej maszyny nie jestem w stanie. Myślałem, że może ty będziesz umiał zrobić to dla mnie, ale nawet ty nie potrafisz. Wydaje mi się, że jestem potępiony. Kochałem tego chłopca, sprowadziłem go na manowce i zabiłem go.

– Żyjemy dzięki śmierci Odkupiciela. Każdy może zastąpić Chrystusa.

– Zwariowałeś.

– To od śmierci uczymy się najwięcej, i tylko wtedy, gdy pojawia się koło nas. Kiedy jest daleko, zapominamy o niej zupełnie. Ci, którzy potrafią żyć ze śmiercią, potrafią żyć w prawdzie, tyle że jest to prawie nie do zniesienia. To nie z dramatu śmierci płynie nauka... kiedy stajemy z nią oko w oko, nie ma żadnego dramatu. Dlatego tak trudno jest pisać tragedie. Śmierć to wielka niszczycielka wszystkich legend i wyobrażeń i ludzie robią wszystko, żeby jej tylko nie spojrzeć w oczy. Ostatnią deską ratunku jest cierpienie, próba oszukania śmierci przez cierpienie. A jak wiemy, cierpienie rodzi wyobrażenia, najpiękniejsze z wyobrażeń.

Kato odstawił kieliszek. Spojrzał na Brendana, który, mówiąc kręcił się, porządkował książki, a teraz stał przy pustych półkach, wodząc po kurzu palcami.

– Chrystus oszukał śmierć, bo zamiast niej wybrał cierpienie – odezwał się Kato.

Brendan przez chwilę patrzył na Katona, a potem oparł się o półki i spoglądał w milczeniu przed siebie rozmarzonym wzrokiem.

– Och, nie... – powiedział Kato.

Brendan uśmiechnął się, błysnął niebieskimi oczyma i usiadł, przewracając stopą wysoką stertę książek. Potem roześmiał się naprawdę.

– Ale ty wierzysz w zmartwychwstanie i w życie – powiedział Kato. – Gdybym naprawdę wierzył, też bym się śmiał. Nie jestem pewien, czy wierzyłem kiedykolwiek. Ty wierzysz i dlatego to, co przed chwilą powiedziałaś, musi dla ciebie brzmieć jak nonsens, magiczny urok wymyślony, wiem to dobrze, dla mnie, jak to, co się mówi w konfesjonale, tyle że o wiele bardziej wyrafinowany. Zresztą ty wierzysz w Boga osobowego...

Brendan milczał.

– No, przecież wierzysz?

Po chwili Brendan powiedział:

– To następne wyobrażenie. Zajmujemy się, musimy się zajmować pojęciem osoby. Ale Boga nie można sobie wyobrazić, jest niepojęty i bezimienny. *Dysphrastos* i *thaumastos*. Och, wszystko to jest stara „zabawa”, wiem. Ale człowiek żyje tą zabawą i sprawy się zmieniają. Tyś nigdy naprawdę nią nie żył, byłeś od samego początku tymczasowym księdzem. Zajmowałeś się tą sprawą na własnych warunkach. Teraz, kiedy wreszcie mógłbyś przestać być nim na zasadzie tymczasowej...

– I rzucić się w przepaść.

– Mówisz o rezygnacji.

– Nie tylko mówię, rezygnuję.

– Naprawdę? To się okaże z czasem. Nie myślę o tym, że przechodzisz do stanu świeckiego. Nie można uciec przed Bogiem tylko dlatego, że się załatwi parę formalności.

– Ale powiedz mi, Brendan, czy naprawdę wierzysz w Boga, czy nie? To znaczy, nie oskarżam cię o to, że mistyfikujesz, jesteś prawdomówny i dzięki tobie coś innego jest prawdą... ale to nie stanowi jeszcze o Bogu, to znaczy, nawet ty nie możesz go stworzyć! Czy naprawdę wierzysz?

– Nie sposób jest odpowiedzieć prawidłowo na pytanie, jeśli nie wiemy, co ono znaczy dla pytającego.

– Och, dosyć tych subtelności. Jeśli nie wiesz, czy Bóg jest osobą, co się dzieje z twoją chrystologią?

– Zostawiam ją Chrystusowi.

– Powinieneś być prawnikiem. Pamiętam, jak ojciec Bell mówił, że jesteś naszym najlepszym teologiem.

– Mój drogi, to było wiele lat temu.

– Więc zerwałeś z tym? Przestałeś myśleć, ty, który celowałeś w myśleniu?

Brendan zaczął odpychać nogą rozrzucone książki.

– Dotąd można dojść, ale nie można posunąć się dalej.

– A co robili ludzie w przeszłości? Ostatecznie wszyscy myśleliśmy o tym przez całe wieki.

– Cóż naprawdę możemy wiedzieć o ludziach przeszłości? Tak niewiele wiemy o umysłach, które znamy tylko z książek. Cały zasięg naszego rozumienia i pole widzenia są tak wąskie.

– Nowy Testament?

– Jest niezwykły. Ta jego niezwykłość to jeden z niewielu jasnych punktów.

– Twój przyjaciel Platon?

– Problemy ludzkie nie są poważne, ale trzeba poważnie je traktować. Jesteśmy kukiełkami w rękach Boga.

– Tak powiedział?

– Platona można oglądać jedynie poprzez mgłę jego twórczego płodu: filozofii europejskiej.

– A wszyscy świetni myśliciele, którzy stworzyli doktrynę Trójcy Świętej?

– Zgadzam się, świetni. Cóż, musimy myśleć, a w każdym razie niektórzy ludzie muszą. Ale myślenie w tym sensie to tylko kwestia obrony przed wszelkiego rodzaju złudzeniami, to sposób trzymania się prawdy, nawet wtedy, a zwłaszcza wtedy, kiedy nie da się jej sformułować.

– Może jestem bardziej podobny do ojca, niż mi się zdawało. On uważa, że religia to zwykły hokus-pokus. Zaczynam myśleć, że w znacznej mierze tak jest.

– O tak, oczywiście. Ale, słuchaj, zostaw na boku rozum i inteligencję. Trzymaj się Chrystusa, Chrystusa, którego Kościół nie może ci odebrać.

– Teraz mówisz jak fundamentalista. Ale powiedz, czy dlatego właśnie jedziesz do Indii, żeby przestać myśleć?

– Nie, nic podobnego.

– Więc dlaczego?

– Przyszedł czas na jakąś zmianę.

– Zbyt ci tu wygodnie?

– Nie, nie, dzieła Chrystusa można dokonywać wszędzie. Nie... wiele rzeczy...

– Powiedz mi choć o jednej.

– Zanadto oddawałem się spekulacjom. Czasami zdawało mi się, że jeśli to trochę dłużej trwało, przeżyłbym rodzaj doskonałej iluminacji na temat całości wszechrzeczy.

– Więc dlaczego nie próbujesz dalej?

– Bo wiem, że gdyby nadeszła, byłaby złudzeniem... jednym z naj..., cóż, najwspanialszych. Myślę o samej głównej *felix culpa*.

– To brzmi jak rozpacz.

– Chodzi o to, że nigdy nie można dotrzeć do końca, do dna, nigdy, nigdy, nigdy. I to nigdy, nigdy, nigdy trzeba przyjąć jako swoją nadzieję i tarczę, i najwspanialszą obietnicę. Wszystko, co potrafimy wymyślić na temat Boga, jest złudzeniem.

– Ale Bóg nie jest złudzeniem?

– Nikt z was, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem.

– Nie uwierzę, żebyś miał zupełnie porzucić teologię. Teologia to magia. Bądź ostrożny.

– Wiem.

– Muszę już iść, jeśli mam złapać pociąg do Leeds, odchodzi o północy. Kiedy się zobaczymy?

Brendan wstał i zapalił jeszcze jedną lampę.

– W przyszłym tygodniu zaczynam rekolekcje i zaraz potem wyjeżdżam z Anglii.

– Więc nie zobaczymy się przed twoim wyjazdem?

– Nie.

– A może przyjechać do ciebie do Kalkuty, gdyby udało mi się wydostać skądś pieniądze?

– Nie, lepiej nie.

Na chwilę zapanowała cisza. Kato włożył płaszcz.

– Więc ty również mnie opuszczasz?

– Ja również. Spojrzeli na siebie...

– Zawsze liczyłem na ciebie jak na ostatnią deskę ratunku – wyznał Kato.

– Wiem. Ale nie tego rodzaju ratunku powinieneś szukać. Nawet gdybyśmy mieli dalej prowadzić takie rozmowy, nic ci to nie pomoże. O czym zresztą mówimy?

– O, do diabła... – powiedział Kato.

– Odjeżdżam, tak się stało, tak się składa, i prawdopodobnie nie wrócę, w każdym razie wyjeżdżam na wiele lat. A ciebie czeka tu wiele różnych rzeczy...

– Napiszesz?

– Wątpię.

– Będziesz się za mnie modlił?

– Codziennie.

Kato stał w milczeniu, nie patrząc na przyjaciela.

– Pada – powiedział Brendan.

– Tak.

– Jak dojedziesz do King's Cross?

– Taksówką. Wszystko w porządku.

– Masz coś do czytania w pociągu?

– Kupię gazetę.

– A swoją drogą, czy wiedziałeś, że umarł Lucjusz Lamb? W dzisiejszym „Timesie” był nekrolog.

– Naprawdę? Biedny staruszek.

– Czytałeś kiedy jego wiersze?

– Nie. Słyszałem, że były okropne.

– Niektóre z wcześniejszych były dość dobre, a przynajmniej w latach chłopięcych tak mi się wydawało. Pamiętam jeden, który zrobił na mnie wielkie wrażenie. Nazywał się: *Wielki nauczyciel*.

– O czym to było?

– Nie pamiętam, przypominam sobie tylko z grubsza atmosferę.

– Idę już.

– Musisz mi obiecać, że pojedziesz jak najprędzej do Leśnej Zagrody, przynajmniej na święta.

– Ale nie znajdę już prostego życia i wzniosłych myśli w Leśnej Zagrodzie, tylko kolędy świąteczne i polana na kominku, i domowe szczęście we dworze.

– Jedź i dopełnij ich szczęścia.

– Colette jest w ciąży.

– Tak się cieszę.

– Cóż...

– O, i chciałem dać ci to.

Brendan zaczął grzebać w kredensie i wyciągnął ciemnozielone aksamitne pudełko. Otworzył je. W środku leżał hiszpański krucyfiks z kości słoniowej.

– O, nie zabierasz go?

– Nie. Chciałem ci go ofiarować. Ja zabiorę twój, ten, który zostawiłeś u mnie na łóżku tej nocy, kiedy ode mnie uciekłeś. To dobra zamiana.

– O, dziękuję ci, jest bardzo piękny.

– A więc do widzenia, niech ci Pan Bóg błogosławi.

Na dworze padał silny deszcz. Kato ruszył, rozglądając się za taksówką. Krucyfiks w futerale, ciężki i niezdarny w kieszeni płaszcza, za każdym krokiem uderzał nieregularnie w jego udo.